wolnelektury.pl

Joseph Conrad
(tłum. Stanisław Wyrzykowski)

Nostromo

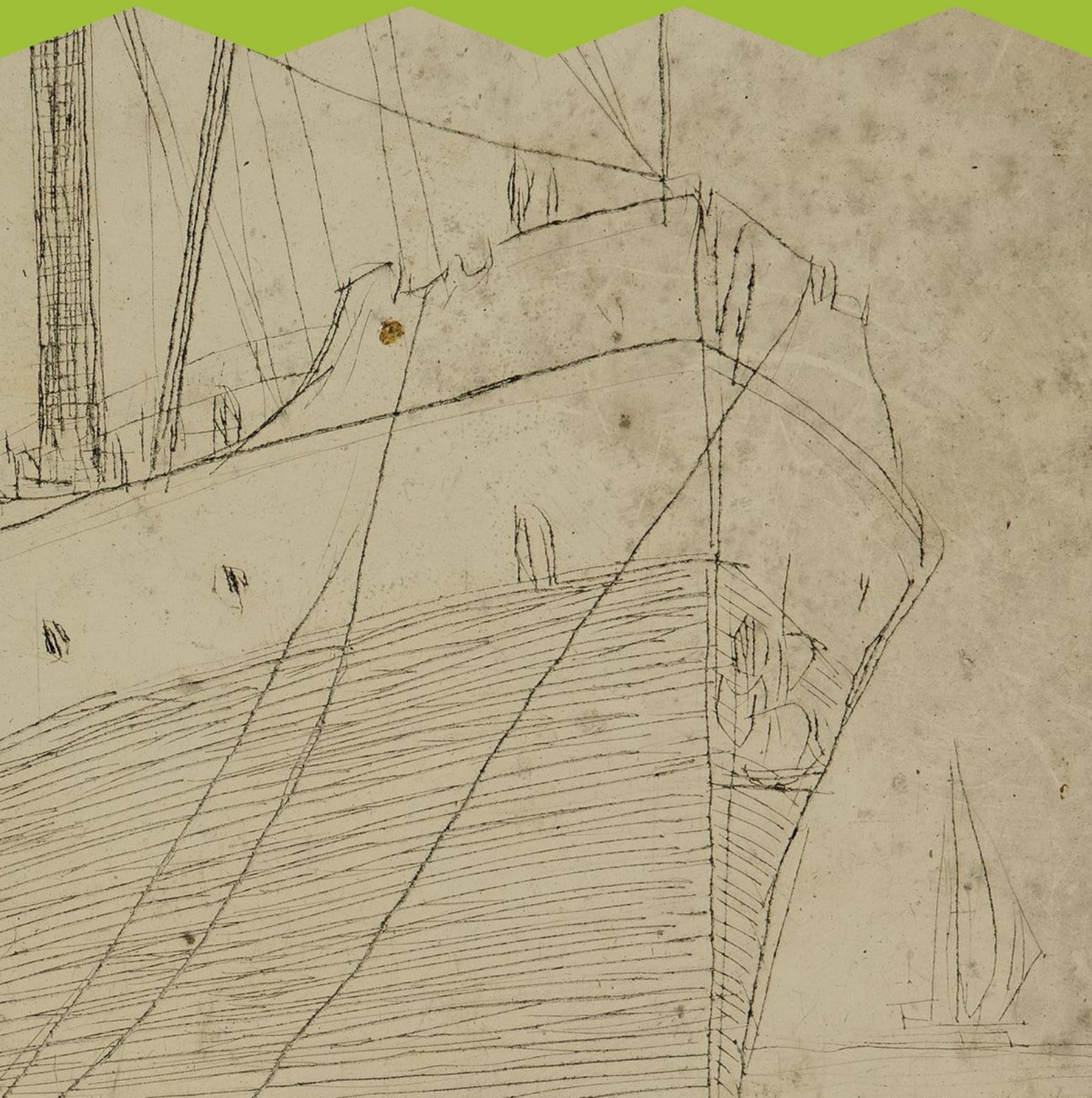

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JOSEPH CONRAD

Nostromo

OPOWIEŚĆ Z WYBRZEŻA

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Tak chmurne niebo nie wyjaśnia się bez burzy[1]

Shakespeare

PRZEDMOWA AUTORA

Żadnej z moich dłuższych powieści, które powstały po ogłoszeniu zbioru nowel pt. *Tajfun*, nie przemyślałem tak troskliwie, jak właśnie *Nostroma*.

Nie zamierzam przez to powiedzieć, jakobym wówczas uświadomił sobie jakąkolwiek zmianę czy to w mojej umysłowości, czy też w mym stosunku do zadań twórczego życia. Jakoż być może, iż nie było innej zmiany prócz tej tajemniczej, niedocieczonej rzeczy, która nie ma nic wspólnego z teoriami sztuki, a polega na subtelnej zmianie w istocie natchnienia; zjawisko, za które żadną miarą niepodobna czynić mnie odpowiedzialnym. Co jednak dało mi poniekąd do myślenia, to wrażenie, jakiego doznałem po ukończeniu ostatniej opowieści ze zbioru *Tajfun*: zdawało się mi mianowicie, iż nie ma już o czym pisać na tym świecie.

To z dziwnego jakiegoś zaprzeczenia poczęte, lecz niepokojące przywidzenie nie trwało zbyt długo. Podobnie jak to miało miejsce z wieloma moimi dłuższymi powieściami, pierwszy pomysł *Nostroma* zaświtał mi wkrótce pod postacią luźnej anegdoty, pozbawionej zupełnie wyrazistszych szczegółów.

Było to w 1875 lub 1876 roku, za czasów mojej wczesnej młodości, kiedy w Indiach Zachodnich[2], a raczej w Zatoce Meksykańskiej bywałem nieczęsto, krótko i przelotnie. Słyszałem tam opowiadanie o jakimś człowieku, którego podejrzewano, iż podczas zaburzeń rewolucyjnych miał sam jeden skraść statek pełen srebra, gdzieś na wybrzeżach Tierra Firme[3].

Na dnie tej opowieści krył się jakiś niezwykły rys. Ale nie słyszałem szczegółów, a nie żywiąc większego zainteresowania przestępstwem jako takim, nie zdobyłem się, by ją zachować w pamięci. Zapomniałem też o niej i dopiero w jakieś dwadzieścia sześć czy siedem lat później zetknąłem się znów z nią w nędznej książczynie, znalezionej przypadkiem w podrzędnej księgarni. Był to życiorys pewnego marynarza amerykańskiego, napisany przez niego przy pomocy jakiegoś dziennikarza. Marynarz ów podczas swych wędrówek pracował przez kilka miesięcy na pokładzie szkunera, którego panem i właścicielem był właśnie złodziej, majaczący we wspomnieniach mej wczesnej młodości. Nie wątpiłem o tym, gdyż niepodobna pomyśleć, żeby dwa takie szczególne zdarzenia mogły zajść w tej samej części świata i żeby na domiar oba pozostawały w związku z rewolucją południowoamerykańską.

[1] *Tak chmurne niebo nie wyjaśnia się bez burzy* — Szekspir, *Życie i śmierć króla Jana*, akt IV, scena 2. [przypis edytorski]

[2] *Indie Zachodnie* — daw. nazwa Karaibów, wysp w basenie M. Karaibskiego, nadana w XV w. przez wyprawiających się na zachód Europejczyków, którzy uważali, że wyspy te leżą blisko wybrzeży Indii. [przypis edytorski]

[3] *Tierra Firme* (hiszp.: stały ląd) — hist. nazwa hiszpańskich posiadłości kolonialnych na wybrzeżach M. Karaibskiego (ob. Wenezuela, Kolumbia oraz kraje Ameryki Centralnej), odróżniająca je od pobliskich kolonii na wyspach. [przypis edytorski]

Drab ten zdołał zatem skraść statek ze srebrem, i to, jak się zdaje, tylko dzięki ślepemu zaufaniu swych przełożonych, którzy musieli być nader nieszczególnymi znawcami charakterów ludzkich. W opowiadaniu marynarza przedstawia się on jako nieposkromiony łotr, nikczemny oszust, głupkowaty, dziki, ponury, o niepokaźnym wyglądzie, zgoła niewart wielkości, którą sposobność dała mu w ręce. Ciekawe jest to, iż podobno przechwalał się otwarcie.

Powiadał nieraz:

— Ludzie myślą, że dorobiłem się pieniędzy na tym moim szkunerze. Ale tak nie jest. Nie dbam o niego. Od czasu do czasu jadę sobie hen i przywożę sztabę srebra. Trzeba bogacić się powoli, nieprawdaż?

Wspomniany jest jeszcze inny zajmujący rys tego człowieka. Pewnego razu, gdy się posprzeczali, marynarz pogroził mu:

— A kto mi zabroni powtórzyć na lądzie to wszystko, co słyszałem od pana o tym srebrze?

Cyniczny drab bynajmniej tą groźbą się nie zaniepokoił. Zaśmiał się tylko:

— Jesteś głupi! Spróbuj tylko powiedzieć o mnie coś podobnego na lądzie, a żgnę cię nożem w plecy. Tam, w porcie, wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety i dzieci są moimi przyjaciółmi. A kto mi dowiedzie, że statek nie zatonął? Nie pokazałem ci, gdzie jest ukryte to srebro. Nieprawdaż? Nie wiesz nic. A gdybym kłamał, to co?

Ostatecznie marynarz, nabrawszy odrazy do plugawej nikczemności tego zatwardziałego złodzieja, zbiegł ze szkunera. Cały ten epizod zajmuje jakieś trzy strony w jego autobiografii. Cóż o nich można powiedzieć? A jednak, kiedym je przejrzał, zastanawiające potwierdzenie kilku przypadkowych słów, zasłyszanych we wczesnej młodości, wywołało wspomnienie tych odległych czasów, kiedy wszystko było takie świeże, takie nieoczekiwane, takie zapamiętałe i takie ciekawe: skrawki obcych lądów w migotaniu gwiazd, cienie padające od wzgórz słonecznych, namiętności ludzkie w pomrokach, na wpół zapomniane, gawędy, zamierzchłe dawno twarze... A może, a może byłoby jeszcze o czym pisać na tym świecie. Jednak zrazu nie dostrzegałem niczego w tej skąpej opowieści. Jakiś łotr przywłaszcza sobie znaczną część cennego dobytku — tak powiadają ludzie. Jest to prawdą lub nieprawdą; to pewne, iż samo w sobie nie posiada żadnej wartości. Nie miałem ochoty wynajdywać okoliczności towarzyszących temu sprzeniewierzeniu, gdyż moje uzdolnienia nie podążały tym torem i gra nie wydawała się mi warta świeczki. Dopiero kiedym zaczął rozmyślać, iż zaborca tego skarbu niekoniecznie być musiał zakamieniałym przestępcą, że mógł być nawet człowiekiem z charakterem, działaczem, a bodaj nawet ofiarą w zmiennych kolejach rewolucji — dopiero wówczas miałem pierwszą wizję mrocznej krainy, która miała się stać prowincją Sulaco; jej strzelista, widmowa Sierra[4] i zanurzone w oparach Campo[5] są niemymi świadkami wypadków wynikających z namiętności ludzi, krótkowzrocznych zarówno w dobrym, jak w złym.

Oto najszczersza prawda, jak przedstawiały się ciemne zawiązki książki zatytułowanej *Nostromo*. Od tej chwili doznawałem wrażenia, iż mogła już powstać. Jednak wciąż ociągałem się jeszcze, jak gdyby ostrzegany instynktem samozachowawczym przed daleką i uciążliwą podróżą do kraju pełnego wichrzeń i zaburzeń rewolucyjnych. Lecz trzeba było przystąpić do dzieła.

Praca nad nim zajęła mi większość 1903 i 1904 roku. Przerywały ją niejednokrotnie wznawiające się wątpliwości, czy nie zatracę się w coraz to rozleglejszych perspektywach, które otwierały się przede mną w miarę dokładniejszej znajomości tego kraju. Nieraz też, kiedy myśli moje popadały w zastój nad zagmatwanymi sprawami tej republiki, brała mnie chętka, obrazowo mówiąc, spakować manatki, wyjechać z Sulaco dla zmiany klimatu i napisać kilka kartek *Zwierciadła morza*. Ale na ogół, jak już powiedziałem, pobyt mój na lądzie słynnej z gościnności Ameryki Łacińskiej trwał około dwu lat. Po powrocie (posługując się z lekka stylem kapitana Guliwera) zastałem mą rodzinę w zdrowiu i pomyślności; moja żona była bardzo zadowolona, że ten kłopot już się skończył, a nasz malec urósł znacznie podczas mej nieobecności.

[4] *sierra* (hiszp.) — łańcuch górski. [przypis edytorski]

[5] *campo* (hiszp.) — pole, otwarty, płaski teren; rola; wieś. [przypis edytorski]

Głównym mym źródłem do dziejów Costaguany była bezstronna i wymowna *Historia pięćdziesięciu lat nierządu*, której autorem był mój czcigodny przyjaciel, nieżyjący już don José Avellanos, minister pełnomocny przy dworze angielskim, hiszpańskim itd. Dzieło to nigdy nie pojawiło się w druku — czytelnik dowie się dlaczego — toteż jestem jedyną osobą na świecie, która zna jego treść. Wczytywałem się w nie całymi godzinami z wytężoną uwagą i mam nadzieję, że moja ścisłość zdobędzie sobie zaufanie. Zarówno ze względu na siebie, jak dla uspokojenia obaw przezornych czytelników, uważam za konieczne zaznaczyć, iż nieliczne wzmianki historyczne nigdy nie mają na celu popisywania się moją jedyną umiejętnością, lecz że każda z nich pozostaje w ścisłym związku z tym, co się dzieje, bądź to rzucając światło na istotę wypadków bieżących, bądź też wpływając bezpośrednio na los osób przeze mnie opisywanych.

Jeżeli zaś chodzi o ich własne dzieje, to dokładałem starań, by je uwydatnić. Arystokrację i lud, mężczyzn i kobiety, Latynosów i Anglosasów, bandytę i polityka kreśliłem ręką tak chłodną, jak tylko to było możliwe w rozterce i wrzeniu mych własnych, sprzecznych uczuć. Poza wszystkim jest to zresztą historia ich zatargów. Trzeba było czytelnikowi wyłuszczyć, o ile zasługiwali oni na uwagę zarówno przez swe czyny, jak przez skryte dążenia swych serc, objawione wśród gorzkich konieczności epoki. Wyznaję, iż dla mnie był to okres niewzruszonych przyjaźni i niezapomnianej gościnności. Z wdzięcznością wspominam tu panią Gould, „najznakomitszą damę w Sulaco", którą spokojnie można powierzyć tajonej czułości doktora Monyghama i Charlesa Goulda; ten zaś idealistyczny twórca interesów materialnych niechaj pozostanie w swej kopalni — z której na tym świecie nie ma dlań wyjścia.

O Nostromie, tym drugim przedstawicielu sprzeczności rasowych i społecznych, również opętanym przez srebro z kopalni San Tomé, czuję się zobowiązany powiedzieć nieco więcej.

Nie wahałem się uczynić główną postacią Włocha. Najpierw dlatego, że jest to najzupełniej wiarygodne; Włosi roili się wówczas w Zachodniej Prowincji, jak o tym każdy, kto zechce dalej czytać, może się łatwo przekonać. Po wtóre, nie było nikogo, kto by mógł równie godnie stanąć obok Giorgia Violi, „Garibaldina", tego idealisty dawniejszych, humanitarnych rewolucji. Potrzebny mi był człowiek z ludu, możliwie wolny od uprzedzeń klasowych i utartych sposobów myślenia. Powody moje były natury artystycznej, a nie moralnej. Gdyby był Anglosasem, byłby dążył do działalności w zakresie polityki miejscowej. Nie czuje potrzeby wyniesienia się nad tłumy. Poprzestaje na poczuciu, że jest potęgą — wśród ludu.

Główny jednak powód, dla którego Nostromo jest tym, czym jest, pochodzi stąd, iż pomysł jego podsunął mi jeszcze za czasów mej młodości pewien marynarz z Morza Śródziemnego. Ci, którzy czytali niektóre moje powieści, odgadną od razu, o co chodzi, gdy powiem, iż Dominik, *padrone*[6] „Tremolina", mógłby w pewnych okolicznościach stać się Nostromem. To pewne, iż Dominik byłby rozumiał tego młodzieńca znakomicie — nie szczędząc mu zresztą pogardy. Obaj byliśmy wmieszani w pewną, niedorzeczną zresztą przygodę, lecz o niedorzeczność tu nie chodzi. Nie bez rzetelnego zadowolenia myślę o tym, iż za moich bardzo młodych lat musiało być we mnie coś, co było godne, żeby powodować na poły cierpką wiernością i na poły ironicznym oddaniem tego człowieka. Wiele z przemówień Nostroma słyszałem po raz pierwszy w głosie Dominika. Dzierżąc trzonek wiosła w garści i spod mniszego kaptura, ocieniającego jego twarz, wodząc nieulęknionym okiem po widnokręgu, zwykł był zaczynać wykłady swej okrutnej mądrości od słów: „*Vous autres gentilhommes*"[7], a brzmiały one tak zjadliwie, iż po dziś dzień szemrzą mi w uszach. Podobnie jak Nostromo! Wy, *hombres finos*[8]! Nader podobnie jak Nostromo. Ale Korsykanin Dominik miał niejaką dumę rodową, od której Nostromo jest wolny, gdyż pochodzenie Nostroma wywodzić należy ze znacznie odleglejszych czasów. To człowiek, który dźwiga brzemię niezliczonych pokoleń minionych i nie ma powinowactw, żeby chełpić się nimi... Podobnie jak lud.

[6] *padrone* (wł.) — tu: właściciel, kapitan. [przypis edytorski]
[7] *Vous autres gentilhommes* (fr.) — wy, szlachetni panowie. [przypis edytorski]
[8] *hombres finos* (hiszp.) — szlachetni panowie. [przypis edytorski]

W mocnym chwycie, jakim przylgnął do odziedziczonej ziemi, w swej nierozwadze i wspaniałomyślności, w rozrzutności, z jaką marnotrawi swe dary, w swej męskiej próżności, w niejasnym poczuciu swej wielkości, wreszcie w swej wiernej tkliwości dla tego, co rozpacza i jest rozpaczliwe w swych popędach — jest on człowiekiem z ludu, jego własną, niezawistną siłą, która gardzi władzą, ale włada od wewnątrz. Po latach, kiedy staje się z wiekiem słynnym kapitanem Fidanzą i zagnieżdża się w kraju, kiedy załatwiając swe liczne sprawy, chodzi po zmodernizowanych ulicach Sulaco, ścigany spojrzeniami pełnymi szacunku, kiedy zachodzi do wdowy po *cargadorze*[9], uczęszcza do Loży i z niewzruszonym spokojem przysłuchuje się na wiecu przemówieniom anarchistycznym — zagadkowy orędownik nowego ruchu rewolucyjnego, bogaty, godny towarzysz Fidanza, który w duszy kryje poczucie swego upadku moralnego, pozostaje w swej istocie nadal człowiekiem z ludu. W pomieszaniu miłości i wzgardy życia, w obłędnym przeświadczeniu, iż go oszukano, że umiera oszukany, nie wiadomo przez co czy przez kogo, jest on do ostatka przedstawicielem ludu, jego bezsprzecznie wielkim człowiekiem — który ma zresztą poza tym swe osobiste dzieje.

Pragnąłbym nadmienić jeszcze o jednej postaci z tych burzliwych czasów, mianowicie o Antonii Avellanos, „pięknej Antonii". Nie śmiem twierdzić, że jest typową przedstawicielką dziewcząt Ameryki Łacińskiej. Ale tak mi się przedstawia. Aczkolwiek zawsze nieco w cieniu, zawsze u boku swego ojca (mojego czcigodnego przyjaciela), jest ona mimo to — jak sądzę — dość wyrazista, by uprzystępnić dalsze moje słowa. Ze wszystkich ludzi, którzy widzieli wraz ze mną narodziny Zachodniej Republiki, ona jedyna pozostawiła w mej pamięci obraz ciągłości życia. Arystokratka, Antonia, i człowiek z ludu, Nostromo, są mistrzami nowej ery, istotnymi twórcami nowego państwa; on dzięki swemu legendarnemu i zuchwałemu czynowi, ona, jako kobieta, po prostu dzięki swej swoistej potędze, gdyż tylko ona zdolna była rozniecić szczere uczucie w sercu nicponia.

Jeżeli kiedykolwiek mogłoby mnie jeszcze coś skłonić do ponownego pobytu w Sulaco (należałoby się śpieszyć, by zobaczyć zmiany, jakie tam zaszły), to tylko Antonia. A istotnym tej chęci powodem — bo i czemuż nie miałbym być szczery? — jest to, że wzorowałem ją na pierwszej mojej miłości. Byliśmy czeredą szkolnych wyrostków, nieodłącznymi towarzyszami jej dwu braci, i pamiętam, jak spoglądaliśmy na tę dziewczynę, która sama niedawno opuściła ławę szkolną, a już niosła sztandar wiary, pod którym wszyscy urodziliśmy się, lecz który tylko ona umiała dzierżyć wysoko z niezachwianą nadzieją! Być może, iż miała w swej duszy więcej żaru, a mniej spokoju od Antonii, lecz była nieprzejednanie czystą kapłanką patriotyzmu, bez najlżejszej zmazy ziemskości w swych myślach. Nie tylko ja jeden w niej się kochałem, ale ja byłem tym, który najczęściej słyszał od niej gorzkie wyrzuty z powodu swej lekkomyślności — nader podobnie jak biedny Decoud — i w którego najczęściej godziły ciosy jej surowej, nieodpartej zniewagi. Nie całkiem mnie rozumiała — ale mniejsza o to. Tego popołudnia, kiedy przyszedłem do niej jako skruszony, lecz zuchwały grzesznik, żeby pożegnać się raz na zawsze, otrzymałem uścisk dłoni, od którego drgnęło mi serce, i ujrzałem łzę, co wydarła mi westchnienie z piersi. Zmiękła w końcu, gdyż uświadomiła sobie nagle (ach, byliśmy jeszcze zupełnymi dziećmi!), że odjeżdżam naprawdę na dobre, że jadę bardzo daleko — tak daleko, jak do Sulaco, które, nieznane, skrywa się przed naszymi oczyma w pomroce Zatoki Placido.

Oto dlaczego tęsknię niekiedy, by znów zobaczyć „piękną Antonię" (a może raczej tę inną?), gdy kroczy w mrokach wielkiej katedry, odmawia krótką modlitwę nad grobem pierwszego i ostatniego kardynała-arcybiskupa Sulaco, przystaje zadumana w dziecięcej tkliwości przed pomnikiem don[10] Joségo Avellanosa i tęsknym, słodkim, ufnym spojrzeniem obrzuca pamiątkowy medalion Martina Decouda, po czym wychodzi spokojnie na słoneczną *plaza*[11], smukła, z niepokalaną skronią, istna świętość przeszłości, lekceważonej przez ludzi, co oczekują niecierpliwie zórz innych, nowych er, rozpętania dalszych rewolucji.

[9] *cargador* (hiszp.) — robotnik portowy zajmujący się załadunkiem i rozładunkiem towarów; doker. [przypis edytorski]

[10] *don* (hiszp.) — pan, zwrot grzecznościowy używany przed imieniem osoby. [przypis edytorski]

[11] *plaza* (hiszp.) — plac. [przypis edytorski]

Lecz jest to najpłonniejszy z moich snów. Z chwilą, kiedy uleciało ostatnie tchnienie z piersi dostojnego *capataza*[12], człowieka z ludu, uwolnionego wreszcie od trosk miłości i bogactwa, zrozumiałem w zupełności, iż nie mam już nic do czynienia w Sulaco.

J. C.

Październik 1917

[12]*capataz* (hiszp.) — nadzorca, brygadzista, majster. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ PIERWSZA. SREBRO KOPALNI

ROZDZIAŁ I

Za czasów panowania hiszpańskiego i przez wiele lat po nim, miasto Sulaco — bujna piękność ogrodów pomarańczowych świadczy o jego starożytności — nie miało większego znaczenia handlowego i było tylko przybrzeżnym portem, którego wcale znaczny handel miejscowy ograniczał się do skór bydlęcych i indyga. Głęboko się nurzające, ociężałe galeony zdobywców, które potrzebowały mocnego wiatru, by w ogóle ruszyć z miejsca, i nieruchomiały tam, gdzie okręt nowoczesny, zbudowany smuklejszym kształtem, mknie naprzód od samego trzepotania swych żagli, nie docierały do Sulaco z powodu przemożnych cisz panujących w jego olbrzymiej zatoce. Dostęp do niektórych portów na świecie bywa utrudniony przez zdradliwe skały podwodne i burzliwe wybrzeże. Sulaco, obce pokuszeniom świata handlowego, zawdzięczało swą nietykalność uroczystej ciszy głębokich wód Golfo Placido[13], mieszcząc się jak gdyby w niezmierzonej, półkolistej i nienakrytej sklepieniem świątyni, co otwarta ku morzu, ma ściany z niebotycznych gór, obwieszonych posępnymi zasłonami obłoków. Natura

Po jednej stronie tej wielkiej krzywizny, tuż na brzegu Republiki Costaguany, ostatni kraniec wybrzeża tworzy niepozorny przylądek zwany Punta Mala. Sam ten punkt lądu od środka zatoki jest zupełnie niewidoczny, natomiast trzon stromego wzgórza w głębi kreśli się nikłym cieniem na przestworzu niebieskim.

Po drugiej stronie coś, co wydaje się niby samotnym strzępem błękitnej mgły, pławi się lekko w przeźroczach widnokręgu. To półwysep Azuera, dziki zwał ostrych krzesanic[14] i kamienistych równi, przerżniętych pionowymi wąwozami. Sięga on daleko w morze niby srogi łeb kamienny, który wyciąga się z przyodzianego zielenią wybrzeża na cienkiej, piaszczystej szyi, pokrytej gęstwą ciernistych zarośli. Zupełnie pozbawiony wody, gdyż opady deszczowe ściekają od razu ze wszech stron do morza, nie ma podobno nawet tyle ziemi, żeby wyżywić bodaj jedno źdźbło trawy, jak gdyby go poraziła jakaś klątwa. Biedacy, którym mętny instynkt pociechy każe kojarzyć zło z bogactwem, utrzymują, iż jest jałowy, gdyż kryje w sobie zaklęte skarby. Pospólstwo okoliczne, *peonowie*[15] z *estancji*[16], *vaqueros*[17] z równin nadmorskich, obłaskawieni Indianie, którzy idą z daleka, by przynieść na targ wiązkę trzciny cukrowej lub koszyk kukurydzy, niewart trzech groszy, są przeświadczeni, iż stosy lśniącego złota leżą w mrokach przepaścistych otchłani, brużdżących kamieniste płaszczyzny Azuery. Podanie utrzymuje, iż w prastarych czasach zginęło tam wielu zuchwalców, którzy się wybierali na poszukiwanie tych skarbów. Krążą również pogłoski, że już za pamięci ludzkiej dwu wędrownych marynarzy — ponoć *Americanos*[18], lecz na pewno *gringos*[19] w swoim rodzaju — namówiło pewnego szulera, złajdaczonego *mozo*[20] i ukradli we trójkę osła, który miał dźwigać dla nich wiązkę suchego chrustu, bukłak z wodą i zapas żywności na parę dni. Tak zaopatrzeni, z rewolwerami u pasa, wyruszyli, by maczetami utorować sobie drogę wśród ciernistych zarośli pokrywających przesmyk półwyspu.

Następnego wieczora pionowy słup dymu (który mógł pochodzić tylko z ich ogniska) po raz pierwszy za pamięci ludzkiej zamajaczył nikłą smugą na tle nieba, ponad ostrą jak brzytwa krzesanicą kamiennej głowy. Załoga przybrzeżnego szkunera, który stał o trzy mile od brzegu, patrzyła ze zdumieniem na to zjawisko aż do nastania ciemności. Pewien rybak murzyński, mieszkający w ustronnej chacie wznoszącej się opodal nad małą zatoczką, widział, jak wybierali się w drogę, i zwracał bacznie uwagę, czy nie dojrzy jakie-

[13] *Golfo Placido* (hiszp.) — Zatoka Łagodna. [przypis edytorski]
[14] *krzesanica* — urwisko skalne. [przypis edytorski]
[15] *peon* (hiszp.) — robotnik rolny. [przypis edytorski]
[16] *estancia* (hiszp.) — majątek ziemski. [przypis edytorski]
[17] *vaquero* (hiszp., lm: *vaqueros*) — pasterz bydła. [przypis edytorski]
[18] *Americanos* (hiszp.) — Amerykanie. [przypis edytorski]
[19] *gringo* (hiszp., lm: *gringos*) — cudzoziemiec, osoba dla której językiem ojczystym nie jest hiszpański. [przypis edytorski]
[20] *mozo* (hiszp.) — chłopak, młodzieniec; służący, posługacz, chłopiec na posyłki. [przypis edytorski]

goś znaku. Przywołał żonę, właśnie gdy słońce już zachodziło. Śledzili oboje osobliwego zwiastuna z zazdrością, niedowierzaniem i grozą. Ale bezbożni awanturnicy nie dali już odtąd żadnego znaku. Nikt potem nie widział ani marynarzy, ani Indianina, ani ukradzionego kłapoucha. Za duszę *mozo*, który pochodził z Sulaco, kazała jego żona odprawić kilka mszy; biednemu czworonogowi, jako że był bez grzechu, pozwolono prawdopodobnie zginąć własną śmiercią; ale co do dwóch *gringos*, którzy są żywymi widmami, utarło się przeświadczenie, iż po dziś dzień przebywają wśród głazów pod złowrogim zaklęciem swego szczęsnego losu. Ich dusze nie mogą opuścić swych ciał, dzierżących straż nad odkrytym skarbem. Są teraz bogaci, ale łakną i pragną — osobliwa teoria o zawziętych duchach *gringos*, pokutujących w zetlałych i wynędzniałych zewłokach upartych niedowiarków, podczas gdy chrześcijanin wyrzekłby się wszystkiego i byłby zbawiony.

Tacy to są ci legendarni mieszkańcy Azuery, strzegący jej zaklętych skarbów. Cień na niebie po jednej stronie wraz z krągłym strzępem błękitnych wyziewów plamiących świetlisty rąbek widnokręgu po drugiej — oto dwa najskrajniejsze punkty zakola, które nosi nazwę Golfo Placido, gdyż jeszcze się nie zdarzyło, aby mocny wicher dął nad jego wodami.

Minąwszy wyobrażoną linię przeprowadzoną od Punta Mala do Azuery, okręty płynące z Europy zwracają się ku Sulaco, wolne naraz od ostrych podmuchów oceanicznych. Dostają się w moc płochych powiewów, które igrają z nimi nieraz przez trzydzieści godzin na tej przestrzeni. Przed nimi ogrom spokojnej zatoki wypełniają przez znaczniejszą część roku wielkie kłęby nieruchomych i mętnych obłoków. Zdarzają się jednak czasem jasne poranki, a wówczas inny cień pada na rozpostarte tonie. Brzask świta za spiętrzoną, szczerbatą ścianą Kordylierów[21], tworząc wyrazistą wizję ciemnych turni, których strome zbocza wystrzeliwują z wyniosłego podścieliska borów, sięgających aż po sam skraj wybrzeża. Wśród nich biały szczyt Higueroty dźwiga się majestatycznie w bezmiar błękitu. Nagie zwały olbrzymich skał nakrapiają nikłymi, czarnymi plamkami śnieżną biel jej kopuły.

Natura

Później, gdy południowe słońce rozproszy z zatoki cienie górskie, z niżej położonych dolin zaczynają wypełzać chmury. Oblekają w posępne łachmany obnażone urwiska krzesanic, wznoszących się nad lesistymi upłazami[22], przysłaniają szczyty, kłębią się zwichrzonymi pasmami wśród śniegów Higueroty. Kordyliery pierzchają z oczu, jak gdyby się roztapiały w wielkich ławicach szarych i czarnych wyziewów, które staczają się ku morzu i zanikają doszczętnie w przejrzystym powietrzu pod płomienistym tchnieniem dnia. Niknący kraniec mgławicy wciąż posuwa się naprzód, ale rzadko dosięga środka zatoki. Marynarze powiadają, że pożera ją słońce. Bywa niekiedy, iż posępna żagiew piorunowa błyśnie z łona obłoków, przebiegnie po zatoce, ujdzie na pełne morze za Azuerą, rozpali się tam nagle płomieniem i załomocze niby jakiś złowrogi, napowietrzny okręt korsarski, przyległszy na widnokręgu i ogarnąwszy morze.

Noc

Nocą opary podnoszą się ku niebu, pogrążając cały przestwór spokojnej zatoki w nieprzeniknionych ciemnościach. Tu i ówdzie słychać, jak szmer rzęsistego deszczu wszczyna się i nagle ustaje. Te mgliste noce są przysłowiowe dla marynarzy wzdłuż całego zachodniego wybrzeża wielkiego lądu. Niebo, ziemia i morze nikną bez śladu, gdy Placido — jak zwykli powiadać — ułoży się do snu pod swym czarnym poncho[23]. Nieliczne gwiazdy, widniejące od strony morza, poniżej chmurnego sklepienia, migocą blado, niby w czeluści czarnej jaskini. Płynący niewidzialnie wśród jej bezmiaru okręt drży pod stopami, a jego żagle szeleszczą w ciemności nad głową. Sam Bóg nie dojrzy — dodają, bluźniąc zgryźliwie — co tam czyni ręka ludzka i można by bezkarnie samego diabła wezwać na pomoc, gdyby nawet jego złość nie traciła swej mocy w tym głuchym mroku.

Wyspa

Brzegi zatoki są wszędzie strome. Trzy niezamieszkane wysepki, zanurzone w powodzi słonecznej tuż poza obrębem mglistej opony[24], a położone naprzeciw ujścia portu w Sulaco, noszą miano Izabel.

---

[21] *Kordyliery* — łańcuch górski w zach. części Ameryki Płn.; w tradycji anglojęzycznej nazwa *the Cordilleras* obejmuje również południowoamerykańskie Andy. [przypis edytorski]

[22] *upłaz* — rozległy, poziomy lub łagodnie nachylony stok górski. [przypis edytorski]

[23] *poncho* (hiszp.) — wierzchnie okrycie z prostokątnego kawałka tkaniny z otworem na głowę pośrodku. [przypis edytorski]

[24] *opona* (daw.) — zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]

Jest Wielka Izabela i całkiem okrągła Mała Izabela oraz najmniejsza z nich, Hermoza.

Ma ona zaledwie stopę wysokości i około siedmiu kroków średnicy. Jest to po prostu płaski wierzchołek szarej skały, który dymi po deszczu jak perzyna[25]. Przed zachodem słońca nikt nie śmie stanąć na niej bosą nogą. Na Małej Izabeli stara, łachmaniasta palma o grubym, pękatym pniu najeżonym kolcami, istna wiedźma wśród drzew palmowych, szemrze posępnymi kiściami obumarłych liści nad jałowymi piachami. Wielka Izabela ma źródło czystej wody, tryskającej z urwiska spiętrzonego nad rozpadliną. Podobny do szmaragdu, zielony klin ziemi tworzy płaszczyznę nad morzem, a na nim wznoszą się dwa drzewa, rosnące blisko siebie i zaścielające podnóże swych gładkich pni wielkim kręgiem cienia.

Jar przerzyna wyspę podłużnie od jednego krańca do drugiego i jest pełen chaszczy. Wyższy jego brzeg rozszczepia głęboka, kręta szczelina, natomiast niższy przekształca się w płytką kotlinę i zlewa się z wąską smugą piaszczystego wybrzeża.

Z niższego krańca Wielkiej Izabeli wnika oko przez otwór, oddalony o jakieś dwie mile i jakby wyrąbany siekierą w regularnej falistości wybrzeża, wprost do portu w Sulaco. Jest to podłużna tafla wodna podobna do jeziora. Po jednej stronie lesiste garby i doliny Kordylierów staczają się pod kątem prostym aż do samego wybrzeża, po drugiej wielka płaszczyzna Sulaco gubi się w opalowej tajemnicy niezmierzonej oddali, zasnutej suchymi oparami. Samo miasto Sulaco — szczyty murów, wielka kopuła, białe balkony wybłyskujące z gęstwy gajów pomarańczowych — leży między górami a morzem, w niewielkiej odległości od portu i poza linią prostą, po której wzrok biegnie od strony morza.

ROZDZIAŁ II

Jedyną oznaką działalności handlowej w porcie widoczną z plaży Wielkiej Izabeli jest graniasty, niezdarny kraniec drewnianego pomostu, który Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej (w mowie potocznej T.O.Ż.P.) przerzuciło przez płytszą część zatoki, skoro tylko postanowiło uczynić Sulaco jednym ze swych portów węzłowych dla Republiki Costaguany. Państwo to posiada kilka przystani na swym długim wybrzeżu, lecz z wyjątkiem Cayty, mającej istotnie duże znaczenie, wszystkie inne są albo małymi i niedogodnymi załomami w skalistych brzegach — jak na przykład Esmeralda, położona o sześćdziesiąt mil dalej na południe — albo też zwykłymi postojami, otwartymi dla wiatrów i narażonymi na wrzenie toni morskiej.

Być może, iż warunki klimatyczne, które trzymały z dala floty handlowe wieków minionych, skłoniły T.O.Ż.P. do naruszenia świątynnej ciszy, chroniącej spokojny byt Sulaco. Zmienne powiewy, bujające swobodnie po ogromnym półokręgu wód okolonych głowicą Azuery, nie mogły ubezwładnić potęgi pary, jaką rozporządzała jego znakomita flota. Rok po roku czarne kadłuby jego okrętów krążyły wzdłuż wybrzeża, wpływały do portu i z niego wypływały, mijały Azuerę, Izabele i Punta Mala — nie dbając na nic prócz przemocy czasu. Ich nazwy, imiona zaczerpnięte z mitologii, spowszedniały na wybrzeżach, które nigdy nie pozostawały pod władzą bogów olimpijskich. „Junona" znana była tylko ze swych wygodnych kabin w kadłubie, „Saturn" z genialności swego kapitana oraz przepysznie malowanego i złoconego salonu, natomiast „Ganimedes" nadawał się głównie do przewozu bydła, więc unikali go wszyscy podróżni obeznani z wybrzeżem. Najuboższy Indianin z najmarniejszej wioski nabrzeżnej znał „Cerbera", niewielkiego, czarnego kopciucha, pozbawionego wdzięku i ludzkich urządzeń, który wałęsał się wzdłuż lesistych nizin pobrzeżnych, tuż obok potężnych, groźnych skał, i przystawał uprzejmie przed każdą kępą chat dla zabrania ziemiopłodów, począwszy od trzyfuntowej bryłki kauczuku zawiniętej w suchą trawę.

A ponieważ statki te rzadko pomijały najdrobniejszą bodaj przesyłkę, nie naraziły nikogo na stratę cielaka i nie utopiły ani jednego ze swych podróżnych, więc firma T.O.Ż.P. słynęła ze swej rzetelności. Powiadano, iż pod jej opieką życie i mienie ludzkie jest bezpieczniejsze na wodzie niżeli pod własnym dachem na lądzie.

Naczelnik sekcji T.O.Ż.P. w Sulaco, obsługującej całą Costaguanę, był bardzo dumny ze stanowiska, jakie zajęło jego przedsiębiorstwo. Duma ta wyrażała się w słowach,

[25] *perzyna* (daw.) — zgliszcza, żarzący się popiół. [przypis edytorski]

które nader często rozbrzmiewały z jego ust: „My nie mylimy się nigdy". W stosunku do oficerów Towarzystwa przybierały one formę surowego napomnienia: „Nie powinniśmy mylić się nigdy! Nie zniósłbym tu pomyłek i nic mnie nie obchodzi, co tam Smith robi w swoim kącie".

Smith, którego nigdy nie widział na oczy, był również naczelnikiem z ramienia przedsiębiorstwa, urzędującym o jakieś tysiąc pięćset mil od Sulaco. „Nie mówcie nic o waszym Smisie".

Po czym, uspokajając się nagle, zwykł był odprawiać swych podwładnych z wyszukaną niedbałością:

— Smith wie tyle o tym lądzie, co niemowlę u piersi.

„Nasz przezacny señor[26] Mitchell", jak wyrażały się sfery przemysłowe i urzędowe w Sulaco, „czepialski Joe", jak powiadali komendanci okrętów Towarzystwa — kapitan Józef Mitchell, chełpił się głęboką znajomością spraw i ludzi miejscowych — *cosas de Costaguana*[27]. Za najbardziej niekorzystne z nich dla prawidłowej działalności swego przedsiębiorstwa uważał częste zmiany rządu, powodowane przez rewolucje o charakterze wojskowym.

Ówczesna atmosfera polityczna republiki była na ogół burzliwa. Patriotyczni zbiegowie z pokonanego stronnictwa zdobyli się na pomysł wywołania nowego przewrotu na wybrzeżu przy pomocy parowca, naładowanego do połowy bronią ręczną i amunicją. Tej obfitości zasobów dziwił się kapitan Mitchell niepomiernie, ile że uchodząc, byli ogołoceni ze wszystkiego. Nadmieniał, iż „wyglądali, jak gdyby nie mieli przy sobie dość drobnych, żeby zapłacić za wyjazd z ojczyzny". A mógł mówić ze znajomością rzeczy, gdyż przy pewnej pamiętnej sposobności wzywano go, by ocalił życie dyktatora oraz kilku urzędników z Sulaco, mianowicie przedstawiciela władzy administracyjnej, dyrektora ceł oraz naczelnika policji, którzy należeli do obalonego rządu. Biedny señor Ribiera (tak nazywał się ów dyktator), przegrawszy bitwę pod Socorro, ujechał osiemdziesiąt mil, przedzierając się rozpaczliwie przez przesmyki górskie, gdyż miał nadzieję, że uda mu się wyprzedzić fatalne nowiny — czego oczywiście nie zdołał dokonać na kulawym mule. Na domiar zwierzę padło pod nim martwe na końcu *alamedy*[28], gdzie wieczorami grywa niekiedy muzyka wojskowa, gdy nie ma rewolucji. „Panie — mawiał dalej kapitan Mitchell z niezmierną powagą — żałosny koniec tego muła zwrócił uwagę na nieszczęśliwego jeźdźca. Rysy jego rozpoznało kilku zbiegów z armii dyktatora wśród łotrowskiego motłochu, który wybijał już szyby w gmachu Intendencji[29]".

Wczesnym rankiem tego dnia władze miejscowe z Sulaco schroniły się w biurach T.O.Ż.P., potężnym budynku, położonym na brzegu u końca pomostu, pozostawiając miasto na pastwę rewolucyjnej tłuszczy. Dyktator, przeklinany przez ludność z powodu surowego prawa poborowego, do którego zmusiły go konieczności wojenne, miał wszelkie widoki, iż rozszarpią go na ćwierci. Na szczęście Nostromo — nieoceniony człowiek! — wraz z garścią włoskich robotników, sprowadzonych do budowy Centralnej Kolei Państwowej, był pod ręką i zdołał go wyrwać z tłumu — przynajmniej na razie. Ostatecznie kapitanowi Mitchellowi udało się przewieźć ich wszystkich własną łodzią na jeden z parowców Towarzystwa — była to „Minerwa" — który szczęsnym trafem właśnie w tej chwili zawijał do portu. Trzeba było spuszczać tych panów na linie przez otwór w tylnej ścianie domu, gdy tymczasem motłoch, który wyroił się z miasta i rozproszył wzdłuż wybrzeża, wył i pienił się u frontowego podnóża budynku. Dostojny przedstawiciel T.O.Ż.P. musiał potem biec z nimi przez całą długość pomostu; był to rozpaczliwy bieg, po prostu karkołomny — i znów Nostromo, ten kochany człowiek, tym razem na czele zastępu robotników portowych Towarzystwa bronił pomostu przed naporem tłuszczy i pozwolił zbiegom dotrzeć do łodzi, która czekała już na nich u drugiego krańca z flagą Towarzystwa zatkniętą na rufie. Sypały się strzały, kije i kamienie, rzucano nawet nożami. Kapitan Mitchell pokazywał długą bliznę ponad lewym uchem i na skroni, pochodzącą od ostrza brzytwy przytwierdzonej do kija — broni, wedle niego, bardzo cenionej „przez najgorszą hołotę murzyńską".

[26] *señor* (hiszp.) — pan, zwrot grzecznościowy używany z nazwiskiem osoby. [przypis edytorski]
[27] *cosas de Costaguana* (hiszp.) — sprawy Costaguany. [przypis edytorski]
[28] *alameda* (hiszp.) — promenada. [przypis edytorski]
[29] *intendencja* — tu: zarząd miasta, gminy lub prowincji. [przypis edytorski]

Kapitan Mitchell był tęgi i już w statecznym wieku. Nosił wysokie, spiczaste kołnierzyki, miał krótkie bokobrody, był zwolennikiem białych kamizelek i lubił gawędzić, chociaż pokrywał tę chętkę pozorami wyniosłej powściągliwości.

— Ci panowie — mawiał, spoglądając z uroczystą powagą — zmykali jak króliki. I ja także czmychałem jak królik. Pewne rodzaje śmierci są... hm... obrzydliwe dla... hm... przyzwoitego człowieka. Byliby mnie również uśmiercili. Oszalały motłoch nie dba o różnice. Dzięki Opatrzności zawdzięczaliśmy nasze ocalenie mojemu *capatazowi de cargadores*, jak go nazywali w mieście. Kiedym go odkrył, był już sternikiem na włoskim okręcie, dużym okręcie genueńskim, jednym z tych nielicznych okrętów europejskich, które zawijały do Sulaco z ładunkiem, zanim powstała Centralna Państwowa. Porzucił go za namową przezacnych przyjaciół, których tu znalazł, swych ziomków, ale mi się zdaje, że chodziło mu także o poprawę swego losu. Trzeba panu wiedzieć, że jestem doskonałym znawcą charakterów. Mianowałem go przodownikiem naszych robotników portowych i nadzorcą naszego nabrzeża. Oto czym był. Ale bez niego señor Ribiera byłby zginął. Ten Nostromo, człowiek bez zarzutu, stał się postrachem wszystkich miejskich złodziei. Byliśmy podówczas nawiedzeni, zalani po prostu, panie, przez *ladrones*[30] i *matreros*[31], złodziei i zbrodniarzy z całej prowincji. Korzystając ze sposobności, napływali do Sulaco przez cały poprzedni tydzień. Wywąchali, że bliski już koniec. Połowa tego rozbójniczego motłochu składa się z zawodowych bandytów, którymi obdarzyło nas Campo, ale nie było żadnego wśród nich, który by nie słyszał o Nostromie. Zaś *leperos*[32] miejscy tchórzyli już na sam widok jego czarnego zarostu i białych zębów. Truchleli przed nim, panie! Co to może siła charakteru, nieprawdaż?

Wyglądało to tak, jakby sam Nostromo ocalił życie tym panom, zaś kapitan Mitchell nie odstępował ich, dopóki nie znaleźli się na pokrytych kosztownym aksamitem kanapach salonu pierwszej klasy na „Minerwie", wyczerpani, zdyszani, przerażeni i zrozpaczeni, lecz żywi i cali. Na ostatek okazał tyle delikatności, iż zwrócił się do byłego dyktatora ze słowami: „Wasza ekscelencjo".

— Panie, nie mogłem inaczej! Ten człowiek był złamany — upiorny, siny, cały pokryty ranami.

„Minerwa" nie stanęła na kotwicy w porcie. Naczelnik T.O.Ż.P. wydał rozkaz, by natychmiast odpłynęła. Nie dało się oczywiście wyładować towaru, a podróżni płynący do Sulaco nie chcieli wyjść na brzeg. Słyszeli strzały i widzieli dokładnie walkę, która rozegrała się tuż nad wodą. Odparty motłoch rzucił się z rozmachem na gmach Urzędu Celnego, posępny budynek o wielu oknach, wyglądający jak niewykończony. Znajdował się on o jakieś dwieście jardów[33] od zabudowań T.O.Ż.P. i był obok nich jedynym w pobliżu portu. Kapitan Mitchell, poleciwszy komendantowi „Minerwy", by wysadził „tych panów" w pierwszym znaczniejszym porcie poza obrębem Costaguany, powrócił w swej łodzi, by zobaczyć, co dałoby się uczynić dla ochrony własności Towarzystwa. Podobnie jak mienie kolejowe pozostawała ona pod opieką przedstawicieli państw europejskich, to znaczy samego kapitana Mitchella oraz grona inżynierów budujących tory, a mieli do pomocy robotników włoskich i baskijskich, którzy dochowali wierności swym angielskim przełożonym. Robotnicy portowi Towarzystwa, choć pochodzący z Costaguany, sprawowali się również dzielnie pod wodzą swego *capataza*. Były to wyrzutki bardzo mieszanej krwi, głównie Murzyni, żyjący w ustawicznych zatargach z innymi klientami podrzędnych szynków miejskich, którzy korzystali z rozkoszą z tej sposobności, by załatwiać swe osobiste porachunki w tak sprzyjających warunkach. Nie było wśród nich ani jednego, któremu nie zdarzyłoby się już patrzeć z trwogą na rewolwer Nostroma skierowany ku swojej twarzy lub nie doświadczył w inny sposób na sobie jego stanowczości. To był „tęgi chłop" ten ich *capataz*, o którym powiadali, że zbyt wiele ma pogardy w swym usposobieniu, by poniewierać wyzwiskami, a jest przy tym niestrudzony w swych działaniach i tym straszniejszy, że nie zapomina języka w gębie. I oto tego dnia stał na czele, zwracając się łaskawie w żartobliwy sposób do tego lub owego.

[30] *ladron* (hiszp.) — złodziej. [przypis edytorski]
[31] *matrero* (hiszp.) — bandyta. [przypis edytorski]
[32] *lépero* (hiszp.) — łobuz, drań. [przypis edytorski]
[33] *jard* — anglosaska miara długości, ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

Takie przewodnictwo dodawało ducha, toteż szkody wyrządzone przez motłoch ograniczyły się do podłożenia ognia pod jeden jedyny stos podkładów kolejowych, które były nasmołowane i paliły się dobrze. Główny atak na składy kolejowe, na biura T.O.Ż.P., zaś przede wszystkim na gmach Urzędu Celnego, pod którego silnymi sklepieniami znajdował się, jak powszechnie było wiadomo, wielki zapas srebra w sztabach, nie powiódł się zupełnie. Nawet hotelik starego Giorgia, stojący samotnie na połowie drogi między portem a miastem, uniknął rabunku i spustoszenia, a nie było to cudem, lecz stało się dlatego, że tłuszcza, czując się bezpieczna, nie dbała zrazu o niego, a później nie zdołała już się zatrzymać. Nostromo ze swymi *cargadores* zbyt mocno ją naciskał.

ROZDZIAŁ III

Mógłby był ktoś powiedzieć, iż po prostu śpieszył z pomocą swym najbliższym. Od samego początku zżył się blisko z rodziną hotelarza, który był jego ziomkiem. Stary Giorgio Viola, z pochodzenia genueńczyk, o siwej, rozwianej, lwiej grzywie — zwany często „Garibaldino”[34] (podobnie jak mahometanie wzięli miano od swego proroka) — był, wedle słów kapitana Mitchella, tym „przezacnym, statecznym przyjacielem”, za którego namową Nostromo porzucił służbę na okręcie, by szukać szczęścia na wybrzeżach Costaguany.

Starzec, pełen pogardy dla miejscowej ludności, jak to często się zdarza surowym republikanom, zlekceważył pierwsze objawy zaburzeń. Wyszedł, jak zwykle, tego dnia, by powałęsać się w pantoflach dokoła *casy*[35], wyrażając przy tym gniewnym pomrukiem swą pogardę dla rozruchów pozbawionych charakteru politycznego i wzruszając ramionami. Ostatecznie zaskoczył go niespodziewanie pochód motłochu. Było już za późno myśleć o usunięciu rodziny, bo i dokądże można było uciekać na tej wielkiej równinie z pulchną signorą[36] Teresą i dwojgiem dziewczątek? Zabarykadowawszy zatem wszystkie otwory, starzec siedział niewzruszony pośrodku przyciemnionej kawiarni ze starą strzelbą myśliwską na kolanach. Obok niego na drugim krześle zajęła miejsce jego małżonka, szepcąc pobożnie modlitwy do wszystkich świętych z kalendarza.

Stary republikanin nie wierzył ani w świętych, ani w modły, ani w to, co nazywał „religią księżą”. Wolność i Garibaldi byli jego bóstwami; ale pobłażał „zabobonom” kobiecym i zachowywał pod tym względem wyniosłe milczenie.

Obie jego córki, starsza czternastoletnia, a druga o dwa lata młodsza, przykucnęły na posypanej piaskiem podłodze po obu stronach signory Teresy, kryjąc głowy na łonie matki. Obie były podniecone, lecz w odmienny sposób; ciemnowłosa Linda wrzała z oburzenia i gniewu, natomiast młodsza, śliczna Gizela, była raczej przerażona i zrezygnowana. *Padrona*[37] podniosła na chwilę ramiona, którymi obejmowała córki, by się przeżegnać, i załamała rozpaczliwie ręce. Stęknęła nieco głośniej:

— Och, Gian’ Battista, czemu tu ciebie nie ma? Och, czemuż tu ciebie nie ma?

Nie miała na myśli świętego, lecz Nostroma, którego ten święty był patronem. Stary Giorgio, siedzący nieruchomo obok niej na krześle, obruszył się na te bezładne i żałosne biadania.

— Cicho, kobieto! Czy to ma jaki sens? To jego obowiązek — mruknął w pomroce, lecz rzekła mu na to, rzucając się i sapiąc:

— Ech, co mi po cierpliwości? Obowiązek! A cóż ma stać się z kobietą, która była dla niego matką? Klękałam przed nim dziś rano: nie wychodź, Gian’ Battista! pozostań w domu, Battistino! Patrz na dwoje tych niewinnych dzieciątek!

Signora Viola była również Włoszką, urodzoną w Spezzii. Miała już młodość za sobą, chociaż była znacznie młodsza od swego męża. Rysy jej twarzy były niebrzydkie, ale cerę miała żółtą, gdyż klimat Sulaco zupełnie jej nie służył. Głos jej rozbrzmiewał mocnym *contralto*. Kiedy założywszy ramiona pod bujnym łonem, zrzędziła na krępe, grubonogie dziewczęta chińskie, które bieliły płótno, skubały drób lub tłukły ziarno w drewnianych moździerzach wśród brudnych przybudówek za domem, zdobywała się na takie namiętne, rozedrgane, grobowe tony, iż uwiązany na łańcuchu pies podwórzowy czmychał do

[34] *garibaldino* (wł.) — garibaldczyk, żołnierz-ochotnik walczący o niepodległość i zjednoczenie Włoch pod dowództwem Giuseppe Garibaldiego (1807–1882). [przypis edytorski]

[35] *casa* (hiszp., r.ż.) — dom. [przypis edytorski]

[36] *signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

[37] *padrona* (wł.) — gospodyni, właścicielka. [przypis edytorski]

swej budy, warcząc donośnie. Luis, Mulat o cynamonowej barwie skóry, kiełkujących zaledwie wąsikach i grubych, ciemnych wargach, przestawał zamiatać kawiarnię pękiem liści palmowych i czuł, że ciarki przebiegają mu z lekka po grzbiecie. Jego tęskne oczy w kształcie migdałów zamykały się przy tym na długo.

Tak przedstawiała się służba w Casa Viola, pierzchła jednak wczesnym rankiem za pierwszym odgłosem rozruchów, woląc ukrywać się wśród pól, niż pozostać w domu. I trudno było ją za to ganić, gdyż — nie wiadomo, słusznie, czy niesłusznie — powszechnie w mieście utrzymywano, iż Garibaldino ma pieniądze zakopane pod podłogą w kuchni. Pies, zły i kudłaty, ujadał zapamiętale lub skomlał żałośnie, bądź to przewracając się na grzbiet, bądź też wpadając do budy i wypadając z niej, jak gdyby opętany przez trwogę.

Huragany wrzasków zrywały się i zamierały na podobieństwo podmuchów wichru, rozpętanych na równinie dokoła zabarykadowanego domu. Gorączkowe grzechotanie wystrzałów górowało nad krzykami. Niekiedy następowały chwile niepojętej ciszy i niepodobna było wyobrazić sobie czegoś radośniejszego i spokojniejszego od wąskich, jasnych smug światła słonecznego, które przedostawały się przez szczeliny okiennic i przez zawaloną stołami i krzesłami kawiarnię padały na przeciwległą ścianę. Tę pustą, wybieloną salę stary Giorgio wybrał na schronienie. Miała tylko jedno okno, zaś jej jedyne drzwi wychodziły na pokryty kurzem gościniec, który wił się między żywopłotami z aloesu i łączył miasto z portem. Zazwyczaj skrzypiały na nim ciężkie wozy, wlokące się w ślad za leniwie stąpającymi wołami, popędzanymi przez chłopaków na koniach.

Gdy znów nastała chwila ciszy, Giorgio odwiódł kurek strzelby. Na ten złowieszczy chrzęst odpowiedziało głuche stęknięcie znieruchomiałej obok niego kobiety. Nagły wybuch wrogiego wrzasku, który rozległ się tuż koło domu, przycichł naraz w jakichś niewyraźnych pomrukach. Ktoś biegł wzdłuż domu; gdy mijał drzwi, wionął głośny szmer oddechu z jego zdyszanej piersi. Pod ścianą zabełkotał ktoś chrapliwie i zatupotały czyjeś nogi. Czyjeś ramię otarło się o okiennicę, gasząc jasne smugi słońca, które przenikały przez całą szerokość sali. Ramiona signory Teresy, obejmujące klęczące postacie córek, zacisnęły się dokoła nich kurczowo.

Motłoch, odparty od gmachu Urzędu Celnego, rozsypał się na kilka gromad, które przez równinę pierzchały ku miastu. Na przemożny grzechot salw, rozlegających się z oddali, odpowiadały skądś przyciszone wycia. Pojedyncze strzały huczały w przerwach głucho, a niski, długi, biały budynek o pozamykanych okiennicach zdawał się być ośrodkiem zamętu, który wrzał wielkim kręgiem dokoła jego martwej ciszy. Lękliwe ruchy i szepty rozbitej szajki, szukającej chwilowego schronienia pod ścianami domu, napełniały ciemność, przecinaną spokojnymi pasmami słonecznego blasku, jakimiś złowrogimi, ukradkowymi szmerami. Rozbrzmiewały one w uszach Violów, którym zdawało się, że jakieś niewidzialne widma czają się za ich krzesłami i naradzają się szeptem, czy nie należałoby podłożyć ognia pod *casą* tych przybłędów.

Rozstrajało to nerwy. Stary Viola podniósł się z wolna ze strzelbą w ręce, ale nie wiedział, co zrobić, by przeszkodzić napastnikom. Głosy dolatywały już od tyłu. Signora Teresa nie posiadała się z przerażenia.

— Ach, zdrajca! — szeptała niemal bezgłośnie. — Teraz tu nas spalą, a ja padałam przed nim na kolana! Ale on musi biec przy nodze swoich Anglików!

Zdawało się jej, że dość było obecności Nostroma, żeby dom był zupełnie bezpieczny. I ona także zostawała pod urokiem rozgłosu, jaki zdobył sobie na wybrzeżu i wzdłuż linii kolejowej *capataz de cargadores* zarówno wśród Anglików, jak wśród mieszkańców Sulaco. Przy nim, nawet wobec swego męża, udawała zawsze, iż szydzi sobie z niego, naśmiewając się czasem dobrodusznie, lecz częściej z jakąś dziwną goryczą. Wszelako kobiety są nierozumne w swych sądach, jak zwykł był mawiać spokojnie Giorgio w podobnych okolicznościach. Trzymając więc przed sobą strzelbę gotową do strzału i nie spuszczając oka z zabarykadowanych drzwi, nachylił się do żony i szepnął jej do ucha, że Nostromo nie zdołałby im dopomóc. Bo i cóż może zdziałać dwu ludzi zamkniętych w domu przeciw dwudziestu, którzy chcą podłożyć ogień pod dach? Jest pewien, iż Gian' Battista ani przez chwilę nie zapomina o domu.

— Nie zapomina o domu! On? — bełkotała nieprzytomnie signora Viola, uderzając się dłonią w piersi. — Znam ja go! On myśli tylko o sobie.

Huk broni palnej rozległ się w pobliżu. Odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy. Stary Giorgio zacisnął zęby pod białymi wąsami, a jego źrenice błysnęły dziko. Kilka kul ugodziło równocześnie w skraj ściany i było słychać, jak tynk od zewnątrz obsypywał się kawałkami. Jakiś głos wrzasnął: „Idą tutaj!" i po chwili straszliwego milczenia zatupotały głucho nogi pod ścianą frontową.

Wyprostowana postać starego Giorgia pochyliła się znowu i uśmiech pogardliwej ulgi przemknął po ustach sędziwego wojownika o lwiej głowie. To nie był lud walczący o sprawiedliwość, lecz złodzieje. Bronić się przeciwko nim było już poniekąd poniżeniem dla człowieka, który był jednym z owego nieśmiertelnego tysiąca, co pod wodzą Garibaldiego zdobywał Sycylię[38]. Miał bezgraniczną pogardę dla tych opryszków i *leperos*, którzy nie rozumieli znaczenia słowa „wolność".

Odłożył swą starą strzelbę, odwrócił głowę i rzucił okiem na kolorową litografię Garibaldiego, widniejącą w czarnych ramach na białej ścianie. Smuga jasnego blasku przekreślała ją prostopadle. Oczy jego, nawykłe już do mroku, doszukiwały się mocnego zabarwienia twarzy, czerwieni koszuli, zarysów barczystych ramion i czarnej plamy bersalierskiego[39] kapelusza, nad którym przeginało się kogucie pióro. Nieśmiertelny bohater. Oto jaka była nasza wolność! Dała nam nie tylko życie, lecz także nieśmiertelność!

Nie umniejszał się fanatyzm tego człowieka. W chwili, kiedy doznał ulgi na myśl, że jego rodzina uniknęła największego może niebezpieczeństwa, na jakie była narażona w swym tułaczym życiu, zwrócił się przede wszystkim do wizerunku swego wodza, a następnie położył rękę na ramieniu żony.

Dzieci, klęczące na podłodze, nie poruszyły się. Signora Teresa otworzyła nieco oczy, jak gdyby się budziła z najgłębszego snu, w którym nic jej się nie śniło. Zanim zdążył we właściwy sobie, rozważny sposób rzec do niej uspokajające słowo, zerwała się na równe nogi, mając dzieci uwieszone po obu bokach, odetchnęła głęboko i wrzasnęła chrapliwie.

Równocześnie ktoś zaczął mocno i niecierpliwie stukać od zewnątrz w okiennicę. Usłyszeli nagle parskanie konia i przeciągły tętent podków na wąskiej, ubitej ścieżce przed domem. Koniec czyjegoś buta stukał znowu w okiennicę. Za każdym stuknięciem podzwaniały ostrogi. Wzburzony głos zawołał: — Hej, a co tam słychać?

ROZDZIAŁ IV

Przez cały ranek Nostromo nie spuszczał oczu z Casa Viola, nawet w odmęcie najgorętszej utarczki pod gmachem Urzędu Celnego. „Jeśli ujrzę dym nad dachem — myślał sobie — to są zgubieni". Przełamawszy motłoch, ruszył natychmiast pośpiesznie z garstką włoskich robotników w tym kierunku, była to bowiem najkrótsza droga do miasta. Część ściganej przez niego tłuszczy zamierzała, jak się zdawało, zatrzymać się pod domem; jego towarzysze dali salwę zza aloesowego żywopłotu i przynaglili łotrów do dalszej ucieczki. W zagłębieniu, gdzie układano szyny bocznicy kolejowej wiodącej do portu, ukazał się Nostromo na swej siwej klaczy. Wrzasnął, posłał za uciekającymi wystrzał z rewolweru i popędził do okna kawiarni. Przyszło mu na myśl, iż właśnie tę część domu musiał stary Giorgio wybrać na schronienie.

Głos jego dotarł do nich, zdyszany i naglący:

— Hej, *Vecchio!*[40]! Hola, *Vecchio!* Czy nie stało się wam nic złego?

— A widzisz... — mruknął stary Viola do żony.

Signora Teresa nie odezwała się. Nostromo zaśmiał się za oknem.

— Zdaje mi się, że *padrona* jeszcze żyje.

— Zrobiłeś wszystko, żebym umarła ze strachu — krzyknęła signora Teresa. Chciała powiedzieć coś więcej, ale zabrakło jej głosu. Linda podniosła na chwilę oczy ku jej twarzy, lecz stary Giorgio rzekł, jakby chcąc usprawiedliwić:

— Jest nieco wzburzona.

Nostromo zaśmiał się powtórnie:

---

[38] *z owego nieśmiertelnego tysiąca, co pod wodzą Garibaldiego zdobywał Sycylię* — w maju 1860 Giuseppe Garibaldi na czele tysiąca ochotników wyprawił się przeciwko Królestwu Obojga Sycylii i w ciągu czterech miesięcy obalił rządy Burbonów, co przyczyniło się do zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

[39] *bersalierski* — przym. od *bersalier*: żołnierz lekkiej piechoty włoskiej, formacji utworzonej w 1836. [przypis edytorski]

[40] *vecchio* (wł.) — stary. [przypis edytorski]

— Mnie nie wzburzy.

Signora Teresa odzyskała głos.

— Jest tak, jak mówię! Nie masz ani serca ani sumienia, Gian' Battista...

Usłyszeli, że odwraca konia od okna. Oddział, którym dowodził, rozprawiał gorączkowo po włosku i hiszpańsku. Zachęcano się nawzajem do pościgu. Stanął znowu na ich czele, wołając:

— *Avanti!*[41]

— Niedługo przebywał z nami. Nie ma tu cudzoziemców, żeby go chwalili — zawołała tragicznie signora Teresa. — *Avanti!* Oto wszystko, co go obchodzi. Byle być pierwszym, mniejsza o to gdzie, jak, być pierwszym wśród tych Anglików. Będą go pokazywali wszystkim: „Oto nasz Nostromo!" — Zaśmiała się złowieszczo. — Cóż to za imię? Co to znaczy Nostromo?[42] Przybrał miano, które nie ma nic wspólnego z ich językiem.

Tymczasem Giorgio spokojnymi ruchami otwierał drzwi. Fala światła trysnęła na signorę Teresę z dwojgiem przytulonych do niej dziewczątek. Wyglądała malowniczo w tej postawie szczytnego macierzyństwa. Za nią na olśniewająco białej ścianie blakły w słońcu jaskrawe barwy litografii przedstawiającej Garibaldiego.

Stary Viola, stojąc koło drzwi, podniósł ramię w górę, jak gdyby zdawał sprawę ze swych śpiesznych, pierzchliwych myśli wizerunkowi dawnego swego wodza, zawieszonemu na ścianie. Nawet gdy gotował dla inżynierów, *signori Inglesi*[43], jak ich nazywał (był słynnym kucharzem, chociaż kuchnię miał ciemną), pozostawał, jak zawsze, pod okiem tego wielkiego człowieka, który wiódł go do chlubnych bojów hen, pod mury Gaety[44], gdzie tyrania byłaby sczezła raz na zawsze, gdyby nie przeklęty, piemoncki pomiot królów i ministrów. Kiedy czasem przypaliło się coś na patelni podczas jakiejś misternej czynności z krajaną cebulą i kiedy starzec wybiegał na korytarz, klnąc i kaszląc w obłoku gryzącego dymu, wówczas rozlegało się niejednokrotnie nazwisko Cavoura[45] — tego arcykrętacza, zaprzedanego królom i tyranom — obok wymyślań na chińskie dziewczęta, na zawód kucharski w ogóle i na ten podły kraj, do którego zagnała go miłość wolności, zadławionej przez zdrajcę.

Tymczasem signora Teresa, cała w czerni, wychodziła innymi drzwiami i stąpała przed siebie, okazała i stroskana, pochylając głowę o subtelnych rysach czarnobrewki, rozkładając ramiona i zawodząc posępnie:

— Giorgio! Co to za narwaniec! *Misericordia divina!*[46] I to w takim słońcu! Jeszcze się rozchoruje.

Kury pierzchały jej spod nóg we wszystkich kierunkach ogromnymi podskokami. Gdyby akurat byli tam inżynierowie z linii kolejowej przecinającej Sulaco, to na pewno ukazałaby się jakaś młoda angielska twarz z sali bilardowej, która znajdowała się na jednym krańcu domu. Na drugim końcu, w kawiarni, Mulat Luis dokładał starań, żeby go nie dostrzeżono. Dziewczęta indiańskie, których włosy miały wygląd rozwianych, czarnych końskich grzyw, przyodziane tylko w koszulki i krótkie spódniczki, wodziły ospałym wzrokiem spod grzywek przyciętych równo nad czołem. Przenikliwe wyziewy tłuszczu ustały; dym wzbijał się w słoneczne przestworza; mocny zapach smażonej cebuli zawisł w sennym skwarze spowijającym domostwo. Oko gubiło się na niezmierzonej, pokrytej trawą płaszczyźnie rozpościerającej się ku zachodowi, jak gdyby równina pomiędzy Sierrą, wznoszącą się nad Sulaco, a skrajem wybrzeża, widniejącym od strony Esmeraldy, była tak wielka jak pół świata.

---

[41] *Avanti!* (wł.) — naprzód! [przypis edytorski]

[42] *Co to znaczy Nostromo?* — po włosku *nostromo* oznacza bosmana, a chociaż pochodzi od katalońskiego *nostramo*, *nostre amo*: nasz pan, to przypomina wł. *nostro uomo*: nasz człowiek. [przypis edytorski]

[43] *signori Inglesi* (wł.) — panowie Anglicy. [przypis edytorski]

[44] *Gaeta, gdzie tyrania byłaby sczezła raz na zawsze, gdyby nie przeklęty, piemoncki pomiot…* — Gaeta to niewielkie portowe miasto we Włoszech; w XIX w. było silnie umocnioną twierdzą, ostatnią placówką Franciszka II, władcy Królestwa Obojga Sycylii, broniącą się przeciwko wojskom Królestwa Piemontu i Sardynii walczącym o zjednoczenie Włoch. Oblężenie (XI 1860 – II 1861) zakończyło się kapitulacją twierdzy, przy czym Franciszkowi II i jego żonie pozwolono udać się na wygnanie do Rzymu, gdzie zostali gośćmi papieża. [przypis edytorski]

[45] *Cavour, Camillo Benso di* (1810–1861) — włoski polityk, premier królestwa Piemontu i Sardynii, pierwszy premier królestwa Włoch, przyczynił się do zjednoczenia Włoch. Podczas oblężenia Gaety prowadził rokowania i ustalał warunki kapitulacji. [przypis edytorski]

[46] *Misericordia divina!* (wł.) — Boże miłosierny! [przypis edytorski]

Signora Teresa po chwili znaczącego milczenia odezwała się z wymówką:

— Ej, Giorgio, pozostaw ty Cavoura w spokoju i pomyśl, że zaprzepaściliśmy się w tym kraju z dwojgiem dzieci, ponieważ nie możesz pogodzić się z rządami królewskimi.

Patrząc na niego, podnosiła chwilami śpiesznie rękę ku sercu, lekkie drżenie pojawiało się na wdzięcznych ustach i marszczyły się proste, czarne brwi, jak gdyby mgnienie cierpkiej męki czy cierpkiej myśli przebiegało po jej regularnych, pięknych rysach.

Była to męka; zdołała jednak powściągnąć drżenie ust. Pojawiło się ono u niej po raz pierwszy w parę lat po wyjeździe z Włoch, kiedy wyemigrowali do Ameryki i osiedlili się ostatecznie w Sulaco. Tułali się przedtem po różnych miastach, próbowali zakładać sklepiki, a raz chwycili się nawet rybołówstwa — było to w Maldonaldo — bowiem Giorgio, podobnie jak wielki Garibaldi, był niegdyś marynarzem.

Niekiedy niecierpliwiła ją ta męka. Trawiła ją całymi latami, weszła w skład krajobrazu, utworzonego z migotania portu i okalających go lesistych zboczy. Nawet blask słoneczny był ciężki i posępny — ciężki od męki — niepodobny do słońca jej lat dziewczęcych, kiedy Giorgio, który był podówczas w średnim wieku, poprzysiągł jej statecznie i namiętnie miłość na wybrzeżach zatoki w Spezzii.

— Wracaj zaraz do domu, Giorgio! — rzekła rozkazująco. — Mogliby sobie ludzie pomyśleć, że nie masz litości nade mną. Pamiętaj, że mamy w domu czterech *signori Inglesi*.

— *Va bene, va bene*[47] — zamamrotał Giorgio.

Usłuchał. Niechaj *signori Inglesi* przychodzą upominać się o obiad. On należał kiedyś do tego nieśmiertelnego i niezwyciężonego zastępu wyzwolicieli, przed którym najemnicy tyranii pierzchali niby plewa przed huraganem, *un uragano terribile*[48]. Co prawda, nie był wtedy żonaty i nie miał dzieci, a tyrania nie zdążyła jeszcze podnieść na nowo głowy wśród zdrajców, którzy uwięzili Garibaldiego[49], jego bohatera.

Dom miał troje drzwi od frontu. Po południu Garibaldino zwykł był stawać na którymś z swych progów; widywano biel jego gęstej czupryny; ramiona miał założone, nogi skrzyżowane, lwią głowę opartą o futrynę, a wzrok utkwiony w lesiste upłazy, staczające się od podnóży śnieżnego tumu[50] Higueroty. Od domu padał czarny, długi prostokąt cienia, roztaczający się z wolna na nikłe koleiny, wyżłobione przez zaprzęgnięte w woły wozy. Poprzez otwory, wyrąbane w zaroślach oleandrowych, bocznica kolejowa, położona tymczasowo na poziomie równiny, wiła się ku portowi połyskliwą krzywizną swych równoległych wstęg, przebiegających o jakieś sześćdziesiąt jardów od narożnika domu. Wieczorem pociągi pustych, płaskich wagonów kolejowych okrążały ciemnozielone gaje Sulaco; toczyły się po równinie, kołysząc się z lekka i wyrzucając białe kłęby pary, mijały Casa Viola i podążały dalej do bocznicy kolejowej w pobliżu portu. Maszyniści włoscy pozdrawiali Georgia z platform skinieniem ręki, natomiast palacze murzyńscy siedzieli niedbale na tendrach, patrząc wprost przed siebie, a ronda ich wielkich kapeluszy trzepotały na wietrze. Giorgio odwzajemniał się lekkim kiwnięciem głowy, lecz nie rozplatał skrzyżowanych ramion.

Owego pamiętnego dnia rozruchów ramiona jego nie spoczywały na piersiach. Dzierżył w dłoni lufę strzelby opartej na progu. Nie spojrzał nawet na biały tum Higueroty, której chłodna czystość zdawała się unikać zetknięcia z rozpaloną ziemią. Rozglądał się z ciekawością po równinie. Długie pasma oparów słaniały się tu i ówdzie. Na niepokalanym niebie widniało słońce, jasne i olśniewające. Gromadki ludzi biegły pośpiesznie, inne stały w miejscu; łoskot broni palnej docierał rozedrgany do jego uszu przez pałające, ciche powietrza. Niektóre postacie piechurów uciekały rozpaczliwie. Jeźdźcy uderzali na siebie, kłębili się i rozpierzchali w okamgnieniu. Giorgio widział, jak ktoś upadł; jeździec i koń zniknęli, niby pochłonięci przez jakąś czeluść, a mgnienia tej burzliwej sceny były

Walka

[47] *Va bene, va bene* (wł.) — dobrze, dobrze. [przypis edytorski]

[48] *un uragano terribile* (wł.) — straszliwy huragan. [przypis edytorski]

[49] *zdrajców, co uwięzili Garibaldiego* — w 1862 Garibaldi wyruszył z 2000 ochotników na Rzym, żeby zdobyć jedyny, prócz Wenecji, region, którego brakowało do zjednoczenia całości Włoch. Król Włoch, Wiktor Emanuel II, obawiając się politycznych konsekwencji starcia z garnizonem francuskim strzegącym Państwa Papieskiego, zakazał podobnych działań: pod Aspromonte drogę oddziałowi Garibaldiego zastąpiła dywizja wojsk rządowych. Rannego podczas strzelaniny Garibaldiego przetransportowano do twierdzy, gdzie leczył się, pozostając pod strażą jako więzień. [przypis edytorski]

[50] *tum* — średniowieczna katedra. [przypis edytorski]

jakby szczegółami zapamiętałego turnieju, który odbywał się na równinie między karłami pieszymi i konnymi, dobywającymi ze swych wątłych krtani wrzaskliwych głosów u podnóża góry, wyglądającej niby olbrzymie wcielenie milczenia. Giorgio nigdy dotąd nie widział na tym spłachciu równiny takiego wrącego życia; nie mógł ogarnąć spojrzeniem wszystkich naraz szczegółów; przysłonił oczy ręką, lecz drgnął tejże samej chwili, gdyż nagle tuż koło niego zagrzmiał tętent wielu końskich kopyt.

Koń

Stado koni wybiegło z ogrodzeń Towarzystwa Kolejowego. Gnały jak wicher. Chrapiąc, wierzgając i kwicząc, runęły przez tor kolejowy pstrą ławą, zwichrzoną tłuszczą kasztanowatych, karych i siwych grzbietów, pałających ślepi, wyciągniętych szyi, czerwonych nozdrzy i długich rozwianych ogonów. Skoro tylko wpadły na drogę, gęsty kurz wzbił się spod ich kopyt i na sześć jardów od Giorgia przemknął jakby brunatny obłok majaczących niewyraźnie karków i zadów, a od tego obłoku zadrgała ziemia.

Viola zakaszlał, odwracając się twarzą od kurzu i potrząsając z lekka głową.

— Będą musieli pomyśleć o połapaniu tych koni przed wieczorem.

W czworoboku blasków słonecznych, napływających przez drzwi, signora Teresa uklękła przed krzesłem i ukryła w dłoniach głowę, ciężką od hebanowych splotów, przetkanych już srebrem. Czarny szal, którym zwykła była osłaniać twarz, osunął się na podłogę. Dziewczynki powstały, trzymając się za ręce. Były obie w krótkich spódniczkach i miały rozpuszczone bezładnie włosy. Młodsza przysłaniała ramieniem oczy, jak gdyby lękała się spojrzeć w światło. Linda, trzymając rękę na jej ramieniu, spoglądała śmiało. Viola rzucił okiem na dzieci.

Słońce uwydatniło głębokie bruzdy na jego twarzy. Miała wyraz energiczny i nieruchomość posągu. Niepodobna było odgadnąć jego myśli. Krzaczaste, siwe brwi przysłaniały posępne jego oczy.

— No, a wy się nie modlicie, jak wasza matka?

Linda wydęła swe czerwone usteczka, pałające niemal aż nadmierną czerwienią. Miała przedziwne oczy, ciemne, ze złotymi iskrami w źrenicach, pełne uczucia i myśli i tak promieniste, iż zdawały się rzucać swój blask na jej szczupłą, anemiczną twarzyczkę. Brązowe połyski migotały na czarnej gęstwie jej włosów, a długie, krucze rzęsy pogłębiały jeszcze bladość jej cery.

— Mama zamierza ofiarować świece do kościoła. Robi to zawsze, ilekroć Nostromo walczy. Mam je zanieść do kaplicy Madonny w katedrze.

Powiedziała to prędko, z wielką pewnością siebie, podnieconym i przenikliwym głosem. Po czym, potrząsając z lekka ramieniem siostry, dodała:

— A ona też będzie musiała zanieść świecę!

— Dlaczego musiała? — spytał Giorgio poważnie. — Czyżby nie miała ochoty?

— Jest nieśmiała — rzekła Linda, parskając śmiechem. — Ludzie zwracają uwagę na jej jasne włosy, gdy wychodzi z nami. Wołają za nią: „Idzie *Rubia*![51] Patrzcie, idzie *Rubiacita*!" Tak za nią wołają po ulicach. Nie ma śmiałości do ludzi.

— A ty? Ty przecież nie jesteś nieśmiała, co? — odezwał się ojciec z wolna.

Odrzuciła w tył gęstwę ciemnych włosów.

— Nikt za mną nie woła.

Stary Giorgio spoglądał na swe dzieci zamyślony. Było między nimi dwa lata różnicy. Przyszły na świat późno, w kilka lat po śmierci syna. Gdyby ten chłopiec żył, byłby już niemal w wieku Gian' Battisty, którego Anglicy nazywali Nostromem. Córkami zajmował się mało, gdyż nie pozwalała mu na to surowość jego usposobienia, podeszły wiek i pogrążenie się we wspomnieniach. Kochał swe dzieci, lecz dziewczęta należą raczej do matki, a przy tym jego uczucia znajdowały ujście we wzniosłej służbie wolności.

Idealista, Żołnierz

Będąc jeszcze młodym chłopcem, zbiegł z kupieckiego okrętu, krążącego po La Plata, by zaciągnąć się do marynarki w Montevideo, pozostającej wówczas pod wodzą Garibaldiego[52]. Później, walcząc w republikańskim legionie włoskim przeciw rozpanoszonej

[51] *rubia* — blondynka, jasnowłosa. [przypis edytorski]

[52] *marynarki w Montevideo, pozostającej wówczas pod wodzą Garibaldiego* — od 1841 Garibaldi mieszkał w Montevideo w Urugwaju, gdzie wziął ślub i pracował jako marynarz i nauczyciel; po wybuchu w 1842 wojny domowej w Urugwaju między konserwatystami a liberałami objął dowodzenie nad niewielką flotą urugwajską i powołał do życia Legion Włoski (tzw. Czerwone Koszule), złożony z licznych emigrantów z Włoch. W l. 1842–1848 Garibaldi skutecznie bronił Montevideo przed wojskami argentyńskiego dyktatora Juana Manuela

tyranii Rosasa[53], na niezmierzonych równinach i na ostrowach olbrzymich rzek, brał udział w najzuchwalszych może bojach, jakie kiedykolwiek toczyły się na świecie. Żył wśród ludzi, którzy głosili wolność, cierpieli za wolność, umierali za wolność z rozpaczliwą wzniosłością ducha, zwracając oczy ku uciśnionej Italii.

Entuzjazm jego miał swe źródło w obrazach rzezi, w przykładach szczytnego poświęcenia, w huku bitew, w płomienistym patosie proklamacji. Nie odstępował nigdy wodza, którego sobie wybrał — dumnego zwiastuna niepodległości — wytrwał przy nim w Ameryce i we Włoszech, aż do owego fatalnego dnia, po bitwie pod Aspromonte, kiedy zdrada królów, cesarzy i ministrów objawiła się światu, wtrącając do więzienia rannego bohatera. Katastrofa ta roznieciła w nim głuchą wątpliwość, czy kiedykolwiek zdoła pojąć drogi sprawiedliwości boskiej.

Mimo to jej nie przeczył. Zwykł był mawiać, że wymaga ona cierpliwości. Chociaż nie lubił księży i za nic w świecie nie byłby przestąpił progu kościoła, mimo to wierzył w Boga. Czyż proklamacje przeciw tyranom nie zwracały się do ludów w imieniu Boga i wolności? „Bóg dla mężczyzn, religie dla kobiet" — mruczał niekiedy. Na Sycylii pewien Anglik, który powrócił do Palermo po opuszczeniu tego miasta przez armię królewską, dał mu Biblię w przekładzie włoskim, wydaną przez Brytyjskie Towarzystwo Biblijne. Była to księga oprawna w ciemną skórę. W okresach przeciwności politycznych, kiedy rewolucjoniści nie wydawali proklamacji, Giorgio — czy to jako marynarz, czy jako robotnik w dokach genueńskich, czy wreszcie jako najemnik folwarczny wśród wzgórz koło Spezzii — czerpał pokarm z tej pierwszej książki, która mu wpadła w ręce, poświęcając jej skąpe chwile wolne od pracy. Zabierał ją ze sobą na pole bitew. Obecnie stanowiła jedyną jego lekturę. Nie chcąc obywać się bez niej (gdyż druk był drobny), zgodził się przyjąć oprawne w srebro okulary, które ofiarowała mu w darze señora Emilia Gould, żona Anglika zarządzającego kopalniami srebra w górach, o trzy mile od miasta. Była to jedyna Angielka w Sulaco.

Giorgio miał wielki szacunek dla Anglików. To uczucie, zrodzone na pobojowiskach Urugwaju, liczyło co najmniej czterdzieści lat. Wielu z nich przelało krew za sprawę wolności w Ameryce, zaś pierwszy, którego poznał, miał na imię Samuel. Dowodził on kompanią Murzynów pod Garibaldim podczas słynnego oblężenia Montevideo i zginął wraz ze swymi Murzynami bohaterską śmiercią, przeprawiając się przez Boyanę. Giorgio dosłużył się stopnia chorążego — *alferez* — i gotował dla generała. Później, we Włoszech, mając już stopień porucznika, jeździł ze sztabem i był dalej kucharzem u generała. Gotował dla niego podczas całej kampanii lombardzkiej; kiedy maszerowali na Rzym, pitrasił dla niego w Kampanii wołowinę na sposób amerykański; odniósł ranę w obronie Republiki Rzymskiej[54]; był jednym z owych czterech zbiegów, którzy wraz z generałem przenieśli z lasu do chłopskiej zagrody dogorywającą żonę wodza; zmarła tam, wyczerpana trudami tego straszliwego odwrotu. Towarzysząc generałowi, doczekał się w Palermo tej żałosnej chwili, kiedy bomby neapolitańskie zaczęły pękać nad miastem[55]. Gotował dla niego na polu bitwy pod Volturno[56] po całodziennej walce. I wszędzie widywał Anglików w czołowych szeregach armii wolności. Cenił ten naród, gdyż kochali Garibaldiego. Utrzymywano, że ich najznakomitsze hrabianki i księżniczki całowały po rękach generała w Londynie. Wydawało się mu to wiarygodne, gdyż naród ten był szlachetny, a człowiek

de Rosasa dowodzonymi przez byłego dyktatora Urugwaju Manuela Oribe. Obrońców wspierały wówczas floty Wielkiej Brytanii i Francji. [przypis edytorski]

[53]*Rosas, Juan Manuel de* (1793–1877) — argentyński generał i polityk, gubernator prowincji Buenos Aires, dyktator; korzystając z wojny domowej w Urugwaju usiłował zagarnąć tereny tego państwa; w 1852 obalony przez swojego generała, zbiegł do Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

[54]*Republika Rzymska* (1849) — krótko istniejące państwo w Italii , obejmujące terytorium Państwa Kościelnego. Powstało w wyniku wystąpień rewolucyjnych na rzecz zjednoczenia Włoch w 1848, wskutek których papież Pius IX musiał opuścić Rzym i udać się na wygnanie do Gaety; po powszechnych wyborach 9 lutego 1849 ogłoszono konstytucję i proklamowano Republikę Rzymską. Mimo zaangażowania Garibaldiego i jego zwolenników w obronę republika została obalona przez interwencję wojsk francuskich, które 29 czerwca wkroczyły do Rzymu. [przypis edytorski]

[55]*w Palermo (…) kiedy bomby neapolitańskie zaczęły pękać nad miastem* — podczas powstania na Sycylii w maju 1860, kiedy Garibaldi z tysiącem ochotników wkroczył do Palermo, które wkrótce otoczyły wojska królewskie, ostrzeliwujące miasto z dział z lądu i morza. [przypis edytorski]

[56]*bitwa nad rzeką Volturno* (1 października 1860) — stoczona w płn. Kampanii pomiędzy ochotniczymi oddziałami Garibaldiego a neapolitańską armią Królestwa Obojga Sycylii, zakończona zwycięstwem garibaldczyków. [przypis edytorski]

po prostu święty. Dość było spojrzeć mu raz w oblicze, by dostrzec w nim nadludzką potęgę wiary, by pojąć jego bezmierne współczucie dla wszystkiego, co było biedne, cierpiące i uciśnione na tym świecie.

Idealista

Duch zaparcia się, szczere poświęcenie się wielkiej idei ludzkości, właściwe myślom i dążeniom tej rewolucyjnej epoki, pozostawiły na Giorgiu swe znamię, a polegało ono na jakiejś cierpkiej pogardzie dla wszelkiej korzyści osobistej. Człowiek, którego pospólstwo z Sulaco podejrzewało, iż posiada skarby zakopane w kuchni, przez całe swe życie gardził pieniądzmi. Mistrzowie jego młodości żyli biedni i umierali biedni. Stało się to nawykiem jego umysłu, iż nie dbał o jutro. Nawyk ten wyniknął po części z życia, pełnego podniet, przygód i dzikiej, żołnierskiej doli. Ale przede wszystkim był kwestią zasad. Nie przypominał beztroski kondotiera[57], lecz był purytanizmem[58] życiowym, poczętym z surowego entuzjazmu na podobieństwo purytanizmu religijnego.

To surowe oddanie się sprawie zasępiło starość Giorgia. Zasępiło ją, gdyż sprawa wydawała się zgubiona. Zbyt wielu jeszcze królów i cesarzy pleniło się na świecie, który Bóg przeznaczył dla ludu. Smuciła go własna prostoduszność. Mimo że nie szczędził pomocy swym ziomkom i wszędzie, gdzie przebywał (na wygnaniu, jak się wyrażał), był wielce poważany przez wychodźców włoskich, to jednak nie skrywał przed sobą, iż nie troszczyli się oni zgoła o krzywdy uciemiężonych narodów. Przysłuchiwali się wprawdzie chętnie jego żołnierskim gawędom, lecz wyglądali, jak gdyby na myśl przychodziło im pytanie, co też on na tym zyskał. A dostrzec niczego nie mogli. „Nie upominaliśmy się o nic! Cierpieliśmy, bośmy kochali ludzkość!" — krzyczał niekiedy namiętnie, a gromowy głos, płomieniste źrenice, rozwiana biała grzywa i czarna, żylasta ręka wzniesiona w górę, jakby wzywała Boga na świadka, wstrząsały duszami słuchaczy. Kiedy zaś starzec urywał nagle, potrząsając głową i ręką, jak gdyby chciał rzec: „Czy to nie szkoda do was o tym mówić?", poszturchiwali się wzajemnie. Bo też posiadał stary Giorgio potęgę uczucia, urok głębokiego przeświadczenia, coś, co uważali za *terribilita*[59] — i dlatego nazywali go zazwyczaj „starym lwem". Drobny wypadek lub od niechcenia rzucone słowo skłaniały go do zabrania głosu; przemawiał na wybrzeżu morskim w Maldonaldo do rybaków włoskich i we własnym sklepiku, w Valparaiso, do swych rodaków. Zdarzało się również, iż wieczorem wybuchał nagle w kawiarni, która znajdowała się na jednym krańcu Casa Viola (gdyż drugi był przeznaczony dla inżynierów angielskich), mając przed sobą doborową klientelę, złożoną z maszynistów i majstrów z warsztatów kolejowych.

Ludzie ci o szlachetnych, brązowych, szczupłych obliczach, o czarnych, lśniących kędziorach, gorejących oczach i szerokich barach, brodaci, niekiedy z niewielkimi, złotymi kolczykami w uszach — tworzyli arystokrację wśród robotników kolejowych i słuchali go, odwracając się od kart lub domina. Ten i ów Baskijczyk przyglądał się tymczasem swym rękom, czekając cierpliwie. Żaden Costaguańczyk nie naprzykrzał się. Była to warownia włoska. Nawet konni policjanci z Sulaco, patrolujący nocami, mijali ją pobłażliwie, pochylając się tylko w siodłach, by rzucić przez okno okiem na głowy, majaczące w obłokach dymu, a gromki patos opowieści starego Giorgia zdawał się rozpływać za nimi po równinie. Tylko pomocnik naczelnika policji, niewielki, śniady człowieczek o szerokiej twarzy i dużej domieszce krwi indiańskiej w żyłach, uważał za właściwe ukazać się niekiedy. Pozostawiając przed drzwiami konie pod opieką swego towarzysza, podchodził z pewnym siebie, chytrym uśmieszkiem do długiego stołu. W milczeniu wskazywał na jedną z butelek stojących na półce. Giorgio, włożywszy pośpiesznie fajkę do ust, obsługiwał go osobiście. Ciszę mącił tylko lekki brzęk ostróg. Wychyliwszy szklankę, rozglądał się nieskorym, badawczym wzrokiem po sali, wychodził na dwór i odjeżdżał bez pośpiechu, podążając z powrotem ku miastu.

[57] *kondotier* — najemny żołnierz. [przypis edytorski]

[58] *purytanizm* (z łac. *puritas*: czystość) — ruch religijno-społeczny dążący w XVI–XVII w. do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagujący surowe zasady moralne i obyczaje; przen.: rygorystyczność, surowość zasad moralnych. [przypis edytorski]

[59] *terribilità* (wł.) — włoska nazwa używana na określenie poruszającej siły wyrazu dzieł Michała Anioła; siła dramatyczna. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ V

Był to jedyny sposób, w jaki władze miejscowe dawały odczuć swe istnienie licznym gromadom krzepkich cudzoziemców, którzy kopali ziemię, rozsadzali skały i puszczali w ruch maszyny dla „postępowych i patriotycznych celów". Tymi słowami przed półtora rokiem *excellentissimo señor*[60], don Vincente Ribiera, dyktator Costaguany, określił Centralną Kolej Państwową, wygłaszając wielką mowę przy rozpoczęciu robót ziemnych.

Przybył umyślnie do Sulaco. Ukończywszy swe czynności urzędowe na wybrzeżu, o godzinie pierwszej wziął udział w uroczystym obiedzie, który dla zaproszonych gości wydało na pokładzie „Junony" Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej. Kapitan Mitchell własnoręcznie sterował lichtugą, suto przystrojoną flagami, która, holowana przez łódź parową „Junony", przewiozła *excellentissima* z pomostu portowego na okręt.

Zaproszono wszystkie wybitniejsze osobistości z Sulaco — jednego czy dwu kupców cudzoziemskich, wszystkich przedstawicieli starych rodów hiszpańskich przebywających podówczas w mieście, wielkich właścicieli ziemskich z równin, poważnych, wytwornych, prostodusznych *caballeros*[61] czystej krwi, którzy mieli małe ręce i nogi, byli konserwatywni, gościnni i uprzejmi. Zachodnia Prowincja stanowiła ich twierdzę. Stronnictwo ich, *blancos*[62], obecnie triumfowało. Z ich grona wyszedł prezydent-dyktator, *blanco*, jak i oni. Siedział teraz między dwoma przedstawicielami zaprzyjaźnionych mocarstw cudzoziemskich, uśmiechając się grzecznie. Przybyli wraz z nim z Santa Marta, by swą obecnością dodać znaczenia przedsiębiorstwu, w którym brał udział kapitał pochodzący z ich ojczystych krajów.

Jedyną kobietą w tym towarzystwie była pani Gould, żona don Carlosa, zarządcy kopalni srebra w San Tomé. Panie z Sulaco nie były jeszcze dostatecznie przygotowane, by mogły uczestniczyć w życiu publicznym, tak bardzo rozwiniętym. Pojawiły się wprawdzie licznie ubiegłego wieczora na wielkim balu w Intendencji, ale obecnie tylko pani Gould odcinała się jasną plamą na tle czarnych strojów męskich, widniejących za prezydentem-dyktatorem, na pokrytym szkarłatnym suknem podwyższeniu, wzniesionym w cieniu drzewa na brzegu portu, gdzie miała się odbyć uroczystość wykopania pierwszej bryły ziemi. Przybyła lichtugą[63], pełną dostojników i szeleszczącą radośnie flagami, siedząc na honorowym miejscu, obok sterującego kapitana Mitchella, a jej jasna suknia była jedyną oznaką uroczystego nastroju wśród ciemnych postaci, które zapełniły podłużny, okazały salon „Junony".

Głowa prezesa rady nadzorczej kolei (z Londynu), kształtna i blada, w srebrzystej mgle białych włosów, z przyciętą w klin brodą, słaniała się opodal jej ramienia, baczna, uśmiechnięta i znużona. Podróż z Londynu do Santa Marta statkami pocztowymi, później zaś wagonami salonowymi na linii obsługującej wybrzeże Santa Marta (to jedyna kolej, która dochodzi tak daleko) była znośna — nawet przyjemna — zupełnie znośna. Natomiast mniej miła była przeprawa przez góry do Sulaco w staroświeckiej *diligencji*[64], po karkołomnych drogach, wijących się skrajem zawrotnych przepaści.

— Dwa razy w ciągu jednego dnia przewróciliśmy się tuż na krawędzi głębokich wąwozów — opowiadał półgłosem pan Gould. — A gdyśmy wreszcie tu przyjechali, nie wiem, co byłbym począł bez gościnności państwa! Jakiż zapadły kąt to Sulaco! Jak na miasto portowe wprost zdumiewający!

— My natomiast jesteśmy z niego bardzo dumni. Posiadało zawsze niemałe znaczenie historyczne. W dawnych czasach było siedzibą najwyższego trybunału kościelnego, rozpościerającego swą władzę na dwa wicekrólestwa — wyłuszczała mu z ożywieniem.

— Jestem pod wrażeniem. Nie zamierzałem bynajmniej ubliżać Sulaco. Pani, jak sądzę, jest gorącą patriotką.

— Miejscowość jest miła, chociażby tylko dzięki swojemu położeniu. A pan może nie wie, że przebywam tu już od dawna.

---

[60] *excellentissimo señor* (hiszp.) — dosł.: najświetniejszy pan; Jego Ekscelencja; tytuł używany w jęz. hiszp. wobec głów państwa i innych wysokich rangą osobistości. [przypis edytorski]

[61] *caballero* (daw. hiszp.) — kawaler, szlachcic. [przypis edytorski]

[62] *blancos* (hiszp.) — biali; określenie konserwatystów w Ameryce Płd. [przypis edytorski]

[63] *lichtuga* — rodzaj małej barki o płaskim dnie przeznaczonej do przewożenia ładunku i pasażerów ze statku na ląd i odwrotnie. [przypis edytorski]

[64] *diligencia* (hiszp.) — dyliżans. [przypis edytorski]

— Od dawna? To mnie dziwi — mówił przyciszonym głosem, spoglądając na nią z lekkim uśmiechem. — Nie możemy tu wskrzesić trybunału kościelnego, lecz za to będziecie mieli więcej parowców, kolej i kabel telegraficzny. To przyszłość w wielkim świecie, nieporównanie więcej warta od wszelkiej chwały kościelnej przeszłości. Zetkniecie się państwo z czymś większym od dwu wicekrólestw. Nie wyobrażałem sobie, żeby miejscowość na wybrzeżu mogła być tak odcięta od świata. Gdyby znajdowała się tysiąc mil w głębi lądu... to osobliwe! Czy wydarzyło się tu cokolwiek w ostatnim stuleciu?

Mówił to przeciągłym, humorystycznym tonem, na który odpowiedziała z lekkim uśmieszkiem. Rozwodząc się ironicznie na jego sposób, zapewniała, że nigdy nic się nie zdarzyło w Sulaco. Nawet rewolucje, których było aż dwie za jej czasów, uszanowały spokój tego miasta. Odbywały się one na gęściej zaludnionych, południowych połaciach republiki oraz w wielkiej dolinie Santa Marta, która była jednym wielkim polem bitwy stronnictw. W zdobyczy dostawała się im stolica i dostęp do drugiego oceanu. Toteż tam znać było postęp. Do Sulaco docierały tylko echa tych wielkich zagadnień i zmieniali się oczywiście za każdym razem przedstawiciele władzy, przedostając się przez zapory górskie tą samą drogą, którą on odbył w staroświeckiej *diligencji*, narażając swe życie i całość swych członków.

Prezes kolei korzystał z jej gościnności przez kilka dni i był za nią naprawdę wdzięczny. Skoro tylko wyjechał z Santa Marta, wśród egzotycznych krain postradał natychmiast poczucie europejskiego trybu życia. W stolicy był gościem poselstwa i prowadził układy z członkami rządu don Vincenta — światłymi ludźmi, którym sposoby cywilizowanego załatwiania interesów zgoła nie były obce.

Obecnie obchodziła go najwięcej sprawa nabycia ziemi pod kolej. W dolinie Santa Marta, gdzie już istniała jedna linia kolejowa, ludność była skłonna do układów i chodziło tylko o cenę. Ustanowiono komisję do ustalenia wartości ziem i wszelkie spory poddawano wytrawnemu orzecznictwu komisarzy. Ale w Sulaco — chociaż tę kolej zamierzano budować głównie dla rozwoju Zachodniej Prowincji — wyłoniły się trudności. Prowincja ta, chroniona przez wieki swymi naturalnymi zaporami, odtrącała nowoczesną przedsiębiorczość krzesanicami łańcuchów górskich, płytkością portu, otwierającego się na wiekuiste cisze chmurnej zatoki i ciemnotą właścicieli żyznych ziem. Wszystkie te arystokratyczne, stare rody hiszpańskie, wszyscy ci donowie Ambrosiowie, wszyscy ci donowie Fernandowie zdawali się zapatrywać niechętnie i nieufnie na przeprowadzenie kolei przez ich włości. Zdarzało się, iż komisje, rozesłane po całej prowincji dla zbadania stanu rzeczy, otrzymywały ostrzeżenia, że mogą narazić się na zniewagi czynne. Gdzie indziej znów wyśrubowywano niesłychanie ceny. Ale potentat kolejowy chełpił się, iż sprosta wszelkim trudnościom. Spotkawszy się w Sulaco z niechęcią zaślepionego konserwatyzmu, zamierzał uczucie złagodzić uczuciem i dopiero w ostateczności oprzeć się tylko na swym prawie. Rząd był zobowiązany dotrzymać umowy z zarządem nowego towarzystwa kolejowego, nawet gdyby mu wypadło użyć siły. Lecz on bynajmniej nie życzył sobie zbrojnych zatargów w spokojnym przeprowadzaniu swych planów. Były zbyt wielkie, zbyt sięgające w przyszłość i zbyt obiecujące, żeby wszystko miało pozostać po dawnemu; zamierzał więc skłonić prezydenta-dyktatora do całego szeregu uroczystości i przemówień, których uwieńczeniem byłoby symboliczne przerzucenie łopatą pierwszej bryły ziemi na brzegu przystani. Bo też don Vincente był po prostu ich tworem. Przedstawiał ucieleśnienie triumfu najlepszych żywiołów w państwie. To były fakty, a ponieważ fakty są wszystkim, więc sir John wywnioskował, iż wpływ takiego człowieka musi być istotny i że jego wpływ osobisty wywoła następstwa pojednawcze, o które mu chodziło. Udało się mu załatwić to wszystko przy pomocy bardzo rzutkiego adwokata, który był znany w Santa Marta jako agent kopalń srebra Goulda, największego przedsiębiorstwa w Sulaco, a nawet w całej republice. Jakoż była to istotnie nadzwyczaj bogata kopalnia. Jej tak zwany agent był widocznie człowiekiem zdolnym i kulturalnym, gdyż nie piastując stanowiska urzędowego, posiadał mimo to nadzwyczajne wpływy wśród najwyższych sfer rządowych. Mógł zapewnić sir Johna, iż prezydent-dyktator uda się w tę podróż. W toku jednakże tej samej rozmowy wyraził ubolewanie, iż generał Montero pragnie mu w niej towarzyszyć.

Generał Montero, który w pierwszym okresie wojny był skromnym kapitanem, pełniącym służbę na dzikiej, wschodniej granicy państwa, związał swe losy ze stronnictwem

Ribiery w chwili, kiedy wyjątkowe okoliczności nadały temu podrzędnemu przystąpieniu znaczenie wyjątkowe. Szczęście wojenne służyło mu zadziwiająco, a zwycięstwo nad Rio Seco (po całodziennej, rozpaczliwej walce) przypieczętowało jego powodzenie. Ostatecznie wypłynął jako generał, minister wojny i wojskowy przywódca stronnictwa białych, choć bynajmniej nie mógł się poszczycić pochodzeniem arystokratycznym. Podobno nim i jego bratem zaopiekował się w sieroctwie szczodrobliwy i słynny podróżnik europejski, w którego służbie ich ojciec postradał życie. Inna pogłoska utrzymywała, iż ich ojciec zajmował się wypalaniem węgla w lasach, a matka była ochrzczoną Indianką pochodzącą z głębi kraju.

Tak czy owak, dzienniki costaguańskie, opisując, jak Montero na samym początku wojny przedzierał się ze swej *commandancji*[65] przez lasy, by połączyć się z wojskami *blancos*, wyrażały się, iż „był to najbardziej heroiczny czyn militarny nowożytnych czasów". Mniej więcej w tym samym czasie powrócił z Europy jego brat, który wyjechał tam rzekomo jako sekretarz któregoś konsula. Zebrawszy niewielki oddział opryszków, okazał na czele tej *guerilli*[66] niejakie zdolności i po przywróceniu pokoju otrzymał w nagrodę stopień wojskowego komendanta stolicy.

Minister wojny towarzyszył zatem dyktatorowi. Zarząd T.O.Ż.P., działając ręka w rękę z władzami kolejowymi dla dobra republiki, skorzystał z tej ważnej okoliczności i polecił kapitanowi Mitchellowi, aby statek pocztowy „Junona" oddano do dyspozycji dostojnym gościom. Don Vincente wyjechał z Santa Marta w kierunku południowym, wsiadł na okręt w Cayta, głównym porcie costaguańskim, i przypłynął do Sulaco morzem. Natomiast prezes towarzystwa kolejowego pojechał śmiało przez góry w rozklekotanej *diligencji*, przede wszystkim dlatego, żeby się zobaczyć z naczelnym inżynierem, któremu powierzono nadzór nad wytyczaniem trasy.

Pomimo obojętności, jaką ludzie interesów zwykli okazywać przyrodzie, której wrogość da się zawsze poskromić przy pomocy pieniędzy, nie mógł oprzeć się wrażeniu otoczenia ujrzanego podczas postoju w obozowisku ekipy pomiarowej, rozbitym na najwyższym wzniesieniu, przez które miała przechodzić kolej. Spędził tam noc, przybył jednakże za późno, by widzieć blaski słoneczne dogasające na śnieżnych stokach Higueroty. Kolumnowe zwały czarnego bazaltu obramiały na podobieństwo otwartego portyku część białego pola, obniżającego się ku zachodowi. W przejrzystym powietrzu wyniosłej wyżyny wszystko wydawało się bardzo bliskie i zanurzone w jasnej ciszy, niby w nieważkim płynie. Nadsłuchując turkotu zapowiedzianej *diligencji*, naczelny inżynier stał przed chatą z nieociosanego kamienia i przyglądał się zmiennym barwom pałającym na ogromnych zboczach górskich, myśląc, iż w widoku tym, niby w jakimś natchnionym utworze muzycznym, dopatrzeć się można najwyższej subtelności przyciszonego wyrazu i najpotężniejszej wspaniałości efektu.

Sir John przybył za późno, żeby mógł słyszeć wspaniałą a niedosłyszalną melodię, śpiewaną przez słońce wśród wysokich krzesanic Sierry. Wyśpiewała się ona w głuchej chwili głębokiego zmierzchu, zanim zdążył zejść po przednim kole z *diligencji*, rozprostować swe sztywne członki i uścisnąć dłoń inżynierowi.

Podano mu obiad w chacie z kamienia podobnej do sześciennej kostki; miała ona wprawdzie dwa otwory, ale bez drzwi i okien. Przed chatą paliło się jasno ognisko z chrustu (przywiezionego na mule z dolin) i rzucało do wnętrza swe drżące poświaty. Dwie świece w cienkich lichtarzach — zapalone, jak mu wytłumaczono, ku jego czci — stały na czymś, co zastępowało stół obozowy. Usiadł przy nim po prawej ręce naczelnego inżyniera. Umiał być miły. Obok niego zajęli miejsca młodzieńcy ze sztabu inżynierskiego, dla których nadzór nad trasą kolejową miał urok pierwszego kroku na drodze życia. Przysłuchiwali się skromnie, a na ich szczupłych twarzach, ogorzałych na wietrze, znać było niemałe zadowolenie, iż tak wielki człowiek okazuje im tyle uprzejmości.

Następnie późną już nocą wybrał się z naczelnym inżynierem na przechadzkę pod wolnym niebem i długo z nim rozmawiał. Znał go dobrze od dawna. Nie było to pierwsze przedsięwzięcie, w którym zgodnie pracowały ich uzdolnienia, żywiołowo sprzeczne jak ogień i woda. Z zetknięcia tych dwu osobowości, wyposażonych w tak odmienne poglądy

[65] *commandancia* (hiszp.) — komendantura, siedziba dowódcy wojskowego. [przypis edytorski]
[66] *guerilla* (hiszp.) — partyzantka. [przypis edytorski]

na świat, powstawała moc oddana na usługi świata — subtelna siła, która umiała wprawiać w ruch potężne machiny i mięśnie ludzkie, a zarazem rozbudzała w duszach ludzkich nieokiełznane poświęcenie dla podjętego dzieła. Z tych młodzieńców, którzy siedzieli przy stole i dla których pomiary trasy były jakby wytyczaniem drogi życia, niejednemu wypadło zejść z tego świata przed ukończeniem swej pracy. Ale praca powinna zostać wykonana, a moc winna niemal dorównywać wierze. Nie całkiem co prawda. Wśród ciszy uśpionego obozowiska, na zalanym księżycową poświatą płaskowyżu, który tworzył szczyt przełęczy na podobieństwo posadzki wielkiego amfiteatru otoczonego ścianami bazaltowych grani, zatrzymały się dwie błędne postacie przyodziane w ciepłe płaszcze, a z ust inżyniera rozległy się dobitnie słowa:

— Gór przenieść nie zdołamy.

Sir John podniósł głowę, by spojrzeć we wskazanym kierunku, i w całej pełni zdał sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Z mroków ziemi i skał wydźwigała się w jaśnię księżycową biała Higuerota na kształt zamarzniętej bańki mydlanej. Było cicho, gdy wtem w pobliskiej zagrodzie dla zwierząt pociągowych, zbudowanej naprędce z luźnych kamieni, juczny muł uderzył o ziemię kopytem i dwukrotnie ciężko sapnął.

Słowa inżyniera naczelnego były odpowiedzią na przypuszczenie prezesa, że może dałoby się zmienić kierunek linii kolejowej zgodnie z życzeniami ziemian z Sulaco. Jego zdaniem upór ludzki był mniejszą przeszkodą. Zresztą, by go pokonać, mieli do rozporządzenia wielkie wpływy Charlesa Goulda, natomiast przebicie tunelu pod Higuerotą było przedsięwzięciem wprost niesłychanym.

— Ach, tak, Gould. Co to za człowiek?

Sir John słyszał już dużo o Charlesie Gouldzie w Santa Marta, lecz pragnął się dowiedzieć jeszcze więcej. Naczelny inżynier zapewnił go, iż zarządzający kopalnią San Tomé ma ogromne wpływy wśród wszystkich tych donów hiszpańskich. Jego dom należy do najprzyzwoitszych w Sulaco, a gościnność Goulda jest ponad wszelkie pochwały.

— Przyjęli mnie, jakby mnie znali od niepamiętnych czasów — opowiadał. — Pani jest uosobieniem dobroci. Mieszkałem u nich z miesiąc. Dopomógł mi zorganizować zespoły pomiarowe. Dzięki faktycznemu posiadaniu kopalń srebra San Tomé zajmuje wyjątkowe stanowisko. Znajduje posłuch u wszystkich powag prowincjonalnych, a wszystkich hidalgów[67], jak już powiedziałem, może sobie owinąć dokoła małego palca. Jeśli usłucha pan jego wskazówek, trudności znikną, gdyż on potrzebuje kolei. Oczywiście, musi się pan liczyć z każdym swym słowem. Jest Anglikiem, jak się zdaje, ogromnie bogatym. Firma Holroyd ma jakieś udziały w jego kopalni, więc może pan sobie wyobrazić...

Przerwał, gdyż od jednego z niewielkich ognisk palących się pod niską ścianą zagrodzenia podniosła się postać człowieka otulonego w poncho po samą szyję. Siodło, które służyło mu za wezgłowie, znaczyło się na ziemi ciemną plamą w czerwonej poświacie żaru.

— Zobaczę się z Holroydem, przejeżdżając z powrotem przez Stany Zjednoczone — rzekł sir John. — Jestem przekonany, że on również potrzebuje kolei.

Człowiek, któremu zamąciły spokój zbliżające się głosy, podniósł się z ziemi, by zapalić papierosa. W płomyku zapałki mignęła jego brązowa twarz o czarnym zaroście i nieulęknione źrenice. Poprawiwszy na sobie płaszcz, legł znowu jak długi na ziemi i oparł głowę na siodle.

— To szef naszego obozu, którego będę musiał odesłać do Sulaco, gdyż mamy zamiar przystąpić teraz do pomiarów w dolinie Santa Marta — odezwał się znów inżynier. — Nader pożyteczny człowiek. Pożyczył mi go kapitan Mitchell z T.O.Ż.P. Było to z jego strony wielką uczynnością. Charles Gould powiedział mi, iż najlepiej zrobię, jeśli z niej skorzystam. Daje sobie radę z tymi mulnikami i peonami. Nie mamy zgoła kłopotów z naszymi ludźmi. Odprowadzi prosto do Sulaco pańską *diligencję*, a będzie miał do pomocy kilku naszych peonów kolejowych. Droga jest kiepska. Oszczędzi panu niejednej niemiłej niespodzianki. Obiecał mi, że przez całą drogę będzie dbał o pana jak o własnego ojca.

Tym szefem obozu był włoski marynarz, którego wszyscy Europejczycy z Sulaco, naśladując błędną wymowę kapitana Mitchella, zwykli nazywać Nostromo. Rzeczywiście

[67] *hidalgo* (hiszp.) — szlachcic. [przypis edytorski]

wywiązał się znakomicie ze swego zadania, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie droga była gorsza, i zasłużył na uznanie, którego później nie skąpił mu sir John, rozmawiając o nim z panią Gould.

ROZDZIAŁ VI

Nostromo już od dość dawna przebywał w kraju, by wznieść się na najwyższy szczebel w opinii kapitana Mitchella, przeświadczonego o niesłychanej wartości swego odkrycia. Bezsprzecznie był on jednym z tych nieocenionych podwładnych, których posiadanie daje wszelkie prawa do dumy.

Kapitan Mitchell chełpił się ze swej przenikliwości w stosunku do ludzi, ale nie był samolubny — i na tle jego niewinnej pychy zaczęła już rozwijać się mania „wypożyczania mego *capataza de cargadores*", co z czasem doprowadziło Nostroma do osobistego zetknięcia się ze wszystkimi Europejczykami w Sulaco, jako jakiegoś wszechstronnego *factotum*[68], istnego dziwu sprawności we właściwym mu zakresie życia.

— Ten człowiek jest mi oddany ciałem i duszą! — zwykł był powtarzać kapitan Mitchell i chociaż nikt nie mógłby zapewne wytłumaczyć, jak to się stało, to jednak przyglądając się ich wzajemnym stosunkom, niepodobna było zaprzeczyć temu twierdzeniu, chyba że ktoś miał tak przykre i dziwaczne usposobienie, jak na przykład doktor Monygham, którego krótki, beznadziejny śmiech brzmiał jakby bezgraniczną niewiarą w człowieczeństwo. Doktor Monygham nie był, co prawda, arcywzorem ani wesołości, ani wielomówności. Milczał zawzięcie w swych najlepszych chwilach, natomiast w najgorszych bywał postrachem dla wszystkich z powodu swego nieskrywanego szyderstwa. Jedynie pani Gould zdolna była utrzymać w karbach jego niewiarę w pobudki ludzkie. Ale i do niej (zresztą nie z powodu Nostroma, i to w tonie, który jak na niego był łagodny), nawet do niej powiedział pewnego razu:

— Jest po prostu niedorzecznością domagać się, aby człowiek lepiej myślał o innych, aniżeli potrafi myśleć o samym sobie.

Pani Gould zmieniła pośpiesznie przedmiot rozmowy. Dziwne pogłoski krążyły o tym angielskim lekarzu. Szeptano sobie na ucho, iż przed laty, jeszcze za czasów Guzmana Bento, był zamieszany w jakiś spisek, który skutkiem zdrady wyszedł na jaw i, jak się wyrażano, „został utopiony we krwi". Posiwiał, a jego wygolona twarz przybrała barwę cegły. Jego flanelowa koszula w wielkie, pstre kraty i jego stary, brudny kapelusz typu panama były stałym wyzwaniem rzuconym wymaganiom towarzyskim przyjętym w Sulaco. Gdyby nie wyróżniał się niepokalaną czystością odzieży, mógłby był uchodzić za jednego z tych wykolejonych Europejczyków, którzy stanowią skazy na poważaniu kolonii niemal we wszystkich egzotycznych częściach świata. Młode dziewczęta, zdobiące gronami ładnych twarzyczek balkony domów wznoszących się wzdłuż ulicy Konstytucji, ilekroć mijał je, kulejąc, z pochyloną głową, w krótkiej, płóciennej kurtce, wdzianej niedbale na kraciastą, flanelową koszulę, powiadały do siebie: „Señor doktor idzie zapewne z wizytą do doñii Emilii, bo włożył kurtkę". Wniosek ten był słuszny, ale głębsze jego znaczenie nie było dostępne dla ich dziewczęcych inteligencji. Zresztą nie wysilały ich wcale, myśląc o doktorze. Był stary, brzydki, uczony — i trochę *loco*, wariat, a może nawet czarownik, jak go podejrzewało pospólstwo. Biała kurtka była istotnie ustępstwem, jakie czynił uszlachetniającemu wpływowi pani Gould. Doktor, ze swym nawykiem do gorzkich, sceptycznych spostrzeżeń, nie miał innego sposobu okazania swego głębokiego szacunku dla charakteru kobiety znanej w kraju jako angielska señora. Składał swe hołdy nader poważnie, co nie było drobnostką przy jego usposobieniu. Pani Gould odczuwała to najzupełniej, ale nie przyszło jej nigdy na myśl, by zniewalać go do tych widocznych oznak poważania.

Gospodyni

Jej stary hiszpański dom (jeden z najpiękniejszych w Sulaco) rozporządzał wszystkimi drobnymi urokami istnienia. Obdzielała nimi z prostotą i wdziękiem, powodowana przenikliwym wyczuciem wartości. Posiadała niezwykły dar towarzyskości, który polega na subtelnych odcieniach zapominania o sobie oraz na zdolności zrozumienia wszystkiego. Charles Gould (rodzina Gouldów, osiedlona w Costaguanie od trzech pokoleń, zawsze pielgrzymowała do Anglii po wykształcenie i po żony) wyobrażał sobie, iż zakochał się

[68] *factotum* (łac.) — osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju. [przypis edytorski]

w zdrowym rozsądku dziewczyny, jak zrobiłby każdy inny mężczyzna; nie tłumaczyło to jednak całkowicie powodów, dlaczego, na przykład, całe obozowisko ekipy pomiarowej, począwszy od najmłodszego z młodzieży, a skończywszy na dojrzałym jej szefie, szukało sposobności, by możliwie najczęściej zachodzić do domu pani Gould, kiedy przebywała wśród wysokich krzesanic Sierry. Gdyby jednak ktoś jej opowiedział, jaką wdzięcznością otoczona jest jej pamięć na pograniczu śniegów powyżej Sulaco, byłaby się zaparła, jakoby cokolwiek dla nich uczyniła, uśmiechając się przy tym z lekka i otwierając szeroko zdumione, szare oczy. W ostateczności posłużyłaby się swą bystrością i znalazłaby wytłumaczenie: „To było dla tych chłopaków wielką niespodzianką, iż spotkali się z jakim takim przyjęciem. Zresztą zdaje mi się, że im tęskno za domem. Moim zdaniem, każdemu musi być nieco tęskno".

Bolała ją zawsze tęsknota ludzka.

Urodzony, podobnie jak jego ojciec, w tym dalekim kraju, smukły i szczupły, o mocno rudych wąsach, kształtnej brodzie, jasnoniebieskich oczach, kasztanowatych włosach i pociągłej, świeżej, różowej twarzy, Charles Gould wyglądał na cudzoziemca, który niedawno przybył zza morza. Dziad jego walczył za sprawę niepodległości pod Bolivarem[69] w owym słynnym legionie angielskim, któremu na pobojowisku pod Carabobo[70] wielki wyzwoliciel dał zaszczytne miano zbawcy swej ojczyzny. W okresie Federacji[71] jeden z stryjów Charlesa Goulda został z wyboru prezydentem prowincji Sulaco (która tworzyła podówczas stan), lecz wkrótce potem postawiono go pod ścianą kościoła i rozstrzelano z rozkazu barbarzyńskiego generała unionistów, Guzmana Bento. Był to ten sam Guzman Bento, który zostawszy później dożywotnim prezydentem, zasłynął z swej bezlitosnej i krwawej tyranii, zaś szczytu swej haniebnej chwały dostąpił w ludowym podaniu o siejącym postrach upiorze, którego zewłok porwał diabeł z ceglanego mauzoleum zbudowanego w nawie kościoła Wniebowstąpienia Panny Marii w Santa Marta. Przynajmniej w ten sposób tłumaczyli księża jego zniknięcie bosym tłumom, które napływały, by zajrzeć ze zgrozą do otworu w brzydkim ceglanym grobowcu przed wielkim ołtarzem.

Prócz stryja Charlesa Goulda potworny Guzman Bento skazał na śmierć jeszcze wiele innych osób. Wszystkie były w pewnej mierze męczennikami idei arystokratycznej, zwolennikami „oligarchów z Sulaco" (wedle frazeologii z epoki Guzmana Bento). Ci rzekomi oligarchowie zwali się obecnie *blancos* i wyrzekli się idei federalistycznej. Nazwa ta obejmowała rody czystej krwi hiszpańskiej. Zaliczały one Charlesa do swego grona. Z takimi tradycjami rodzinnymi niepodobna było być czystszym Costaguanerem od don Carlosa Goulda; jednak wygląd jego był tak charakterystyczny, iż pospólstwo wciąż jeszcze nazywało go *Inglesem*, Anglikiem z Sulaco. Wyglądał na Anglika bardziej niż świeżo przybyli młodzi inżynierowie kolejowi, nawet bardziej niż figury ze scen myśliwskich, ilustrujących „Puncha"[72], który docierał do salonu jego żony w dwa miesiące po wyjściu z druku. Dziwiło to, iż mówił najzupełniej biegle po hiszpańsku (kastylijsku, jak wyrażają się krajowcy), a nawet miejscowym narzeczem indiańskim. Nie miał nigdy angielskiego akcentu. A jednak w jego przodkach, tych costaguańskich Gouldach — bojownikach o wolność, odkrywcach, plantatorach kawy, kupcach i rewolucjonistach — było coś tak niezatartego, że on, w trzecim pokoleniu jedyny ich spadkobierca, na lądzie, który posiada własny styl jazdy konnej, nawet na siodle był obrazem doskonałego Anglika. Nie jest to bynajmniej powiedziane w znaczeniu ironicznym, jak mówią *llaneros* — ludzie z wielkich równin — którzy mniemają, że prócz nich nie ma nikogo, kto by umiał siedzieć na koniu. Charles Gould, jeśli można się posłużyć odpowiednim, górnolotnym

[69] *Bolivar, Simón* (1783–1830) — polityk i dowódca wojskowy, przywódca walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod władzy Hiszpanów, dążył do stworzenia federacji wszystkich państw byłej hiszpańskiej Ameryki; czczony jako rewolucjonista i wyzwoliciel. [przypis edytorski]

[70] *bitwa pod Carabobo* (24 czerwca 1821) — starcie zbrojne podczas wojen niepodległościowych w Ameryce Łacińskiej pomiędzy siłami powstańczymi Simona Bolivara a armią hiszpańską gen. Morillo, zakończone zwycięstwem powstańców; wśród sił Bolivara znajdował się batalion ochotników z tzw. legionu angielskiego, jak nazywano walczące po stronie powstańców oddziały weteranów brytyjskich z wojen napoleońskich i wojny brytyjsko-amerykańskiej (1812). [przypis edytorski]

[71] *Federacja Wielkiej Kolumbii* — republika federacyjna w płn.-zach. części Ameryki Płd., utworzona na kongresie w Angosturze w Wenezueli, istniejąca w l. 1819–1831; obejmowała terytoria obecnej Kolumbii (wraz z Panamą), Wenezueli i Ekwadoru, wchodzące wcześniej w skład kolonialnego wicekrólestwa Nowej Granady; jej pierwszym prezydentem był Simón Bolívar, po jego śmierci federacja rozpadła się. [przypis edytorski]

[72] *„Punch"* — satyryczne czasopismo angielskie. [przypis edytorski]

zwrotem, jeździł konno jak centaur. Jazda konna nie była dla niego jakimś ćwiczeniem popisowym; stanowiła wrodzoną zdolność, podobnie jak wszyscy ludzie zdrowi na duszy i na ciele mają zwyczaj chodzić na tylnych kończynach. A jednak kiedy jechał kłusem do kopalni, omijając wyboje poczynione przez wozy zaprzęgnięte w woły, w angielskim ubraniu i na cudzoziemskim siodle, wyglądał, jakby dopiero co przybył do Costaguany swym lekkim i rączym *pasotrote*[73] z jakichś zielonych łąk rozpostartych na drugim krańcu świata.

Droga jego prowadziła zazwyczaj obok starodawnego, hiszpańskiego gościńca — Camino Real[74], jak mówi pospólstwo. Jest to z istnienia i nazwy jedyna pozostałość rządów królewskich, których stary Giorgio Viola nienawidził, chociaż nawet ich cień już od dawna pierzchł z kraju.

Co prawda należałoby jeszcze wspomnieć o wielkim konnym posągu Karola IV, bielejącym na tle drzew u wylotu *alamedy*. Ale chłopom z okolicy i żebrakom miejskim, śpiącym na jego stopniach, był on znany tylko pod nazwą Kamiennego Konia. Kiedy drugi Carlos mijał go z szybkim tętentem kopyt po zrujnowanym bruku — don Carlos Gould — w swym angielskim ubraniu nie dostrajał się do otoczenia, ale był nierównie bardziej u siebie niż królewski jeździec, który siedząc na swym rumaku wśród uśpionych *leperos*, podnosił marmurowe ramię do marmurowego brzegu powiewającego piórami kapelusza.

Uszkodzony przez czas posąg królewski, znieruchomiały w geście pozdrowienia pod dłutem rzeźbiarza, zdawał się potajemnie stawiać czoło politycznym zmianom, które pozbawiły go nawet imienia. Ale też i drugi jeździec, dobrze znany ludowi ze swej siły i zręczności, gdy siedział na kształtnym, karym koniu, nie zwykł nosić serca na dłoni. Umysł jego nie wychodził z równowagi tak stałej, jak gdyby pozostawał pod zaklęciem beznamiętnej niewzruszalności pojęć, które co do poprawności prywatnej i publicznej obowiązują w Europie. Przyjmował z jednakim spokojem rażącą niewłaściwość, z jaką panie z Sulaco pokrywały swe twarze pudrem perłowym tak obficie, iż wyglądały w końcu niby białe odlewy gipsowe o pięknych, ognistych oczach — i osobliwsze plotkarstwo tego miasta, i nieustanne zmiany polityczne, które rzekomo miały „zbawiać kraj", a dla jego żony były niedorzeczną i krwiożerczą igraszką, pełną zbrodni i kradzieży, uprawianą ze straszliwą powagą przez zepsute dzieci. W pierwszych czasach swego pobytu w Costaguanie młoda cudzoziemka nieraz z rozpaczą załamywała ręce, iż nie jest zdolna spraw publicznych tego kraju brać tak poważnie, jak by może należało, sądząc po srogości metod politycznych stosowanych w różnych okolicznościach. Wydawały się jej komedią naiwnych uroszczeń, w której, poza jej własnym oburzeniem i przerażeniem, nie było ani odrobiny szczerości. Charles słuchał jej z wielkim spokojem, podkręcał bujnego wąsa, ale nie chciał wdawać się w rozmowy o tych sprawach. Zdarzyło się jednak, iż raz rzekł łagodnie:

— Zapominasz, kochanie, że tu się urodziłem.

Usłyszawszy te proste słowa, umilkła, jakby pod wpływem nagłej rewelacji. Być może, iż to, że przyszedł na świat w tym kraju, stanowiło między nimi różnicę. Miała wielkie zaufanie do swego męża, prawie bezgraniczne. Od pierwszej chwili działał na jej wyobraźnię tym, że był pozbawiony sentymentalizmu, posiadał natomiast wielki spokój umysłu, co w jej pojmowaniu było oznaką doskonałej biegłości w sztuce życia. Don José Avellanos, ich sąsiad z naprzeciwka, mąż stanu, poeta, człowiek wielkiej kultury, który bywał przedstawicielem swej ojczyzny na różnych dworach europejskich (i doznał niewysłowionej poniewierki jako więzień polityczny za tyrańskich rządów Guzmana Bento), wyraził się raz w salonie doñii Emilii, iż Carlos kojarzy wszystkie angielskie właściwości charakteru ze szczerym patriotycznym uczuciem.

Pani Gould spojrzała na szczupłą, czerwoną, ogorzałą twarz swego męża, ale nie dostrzegła najlżejszego drgnienia w jego rysach, aczkolwiek nie uszło zapewne jego uwagi to przeświadczenie o jego patriotyzmie. Być może, iż dopiero co zsiadł z konia, powróciwszy z kopalni; dość jeszcze był Anglikiem, by nie zwracać uwagi na najgorętszą porę dnia. Basilio, w białej, płóciennej liberii z czerwonymi wypustkami, pochylił się na chwilę

[73] *pasotrote* (hiszp.) — kłus. [przypis edytorski]
[74] *Camino Real* (hiszp.) — Trakt Królewski. [przypis edytorski]

do jego stóp, by zdjąć mu w patio[75] ciężkie, niezdarne ostrogi. Po czym señor administrator wszedł po schodach na galerię. Rzędy roślin doniczkowych, umieszczonych na balustradzie między kolumnami arkad, swymi liśćmi i kwiatami osłaniały *corredor*[76] od strony położonego poniżej czworoboku, którego wybrukowany przestwór jest właściwym ogniskiem rodzinnym domów południowoamerykańskich, gdzie spokój życia domowego mierzy się zmiennością światła i cienia na płytach posadzki.

Señor Avellanos miał zwyczaj zachodzić niemal codziennie o piątej po południu. Don José lubił pojawiać się na patio w porze, kiedy podawano herbatę, gdyż zwyczaje angielskie, panujące pod dachem doñii Emilii, przypominały mu pobyt w Londynie, gdy był ministrem pełnomocnym przy dworze królewskim. Herbaty nie lubił; oparłszy swe lśniące buty na podnóżku, kołysał się zazwyczaj w amerykańskim fotelu i mówił nieprzerwanie z pewną lubością krasomówczą, dziwną w jego wieku, nie wypuszczając ani na chwilę filiżanki z ręki. Włosy miał krótko przystrzyżone i zupełnie białe, oczy czarne jak węgiel.

Kiedy Charles Gould wchodził do sali, witał go zrazu skinięciem głowy i kończył zaczęte zdanie. Po czym odzywał się:

— Mój drogi Carlosie, znów przyjechałeś konno z San Tomé w największy upał. Zawsze ta sama, iście angielska energia. Cóż nam powiesz?

Rzekłszy to, wypijał filiżankę do dna jednym haustem. Czynności tej towarzyszył stale lekki wstrząs i głuche, mimowolne „brrr", którego nigdy nie udawało się mu pokryć pośpiesznym wykrzyknikiem: „Przewyborna!"

Następnie, oddawszy pustą filiżankę do rąk swego młodego przyjaciela, wyciągał się z uśmiechem i rozwodził się dalej nad patriotycznym znaczeniem kopalni San Tomé, napawając się swą płynną wymową i bujając się w fotelu na biegunach, przywiezionym ze Stanów Zjednoczonych. Sufit największego salonu w Casa Gould roztaczał swe biele wysoko nad jego głową. W jego ogromie karłowato przedstawiała się mieszanina ciężkich, szeroko rozpartych krzeseł hiszpańskich z brunatnego drzewa, z siedzeniami obitymi skórą, oraz mebli europejskich, niewielkich i wyścielanych w całości, wyglądających niby krępe potworki, wypchane stalowymi sprężynami i włosiem końskim. Były tam drobiazgi porozstawiane na stolikach, lustra wpuszczone w ściany nad marmurowymi konsolami, kwadratowe płachty dywanów, rozpostartych pod dwiema grupami foteli, wśród których naczelne miejsca zajmowały wygodne kanapy; na czerwonych płytach posadzki leżały tu i ówdzie kilimy. Trzy okna, sięgające od sklepienia do samego dołu, wychodziły na balkon, ujęte w obramienia prostopadłych fałd ciemnych portier. Staroświecka okazałość kryła się wśród czterech wysokich gładkich ścian, powleczonych subtelnym, różowym obiciem. Pani Gould, o małej główce i lśniących pierścieniach włosów, siedziała tam w obłoku koronek i muślinów przy misternym, mahoniowym stole i podobna była do czarodziejki, która słodyczą miłosnych napojów napełnia czary ze srebra i porcelany. Salon

Pani Gould znała dzieje kopalni San Tomé. Za dawnych czasów pracowali w niej głównie niewolnicy przynaglani biczem, a wydobywanym z niej skarbom dorównywały wagą kości ludzkie. Wyginęły w niej przy pracy całe plemiona indiańskie. Następnie ją opuszczono, gdyż skutkiem prymitywnych metod górniczych przestała być zyskownym przedsiębiorstwem mimo całych gór trupów, rzucanych w jej czeluście. Poszła w zapomnienie. Odkryto ją na nowo po wojnie o niepodległość. Pewna spółka angielska uzyskała prawo eksploatacji i znalazła złoża tak bogate, iż ani zdzierstwa zmieniających się kolejno rządów, ani przemoc, jakiej się dopuszczali oficerowie, zabierając do wojska najemnych górników, nie zdołały zachwiać jej wytrwałością. W końcu podczas przewlekłego zamętu *pronunciamentos*[77], który nastąpił po śmierci osławionego Guzmana Bento, miejscowi górnicy, podburzeni przez wysłanników ze stolicy, rzucili się na swych angielskich przełożonych i wycięli ich w pień. Dekret zarządzający konfiskatę, który zaraz potem pojawił

[75] *patio* (hiszp.) — wewnętrzny dziedziniec. [przypis edytorski]

[76] *corredor* (hiszp.) — krużganek, galeria; korytarz. [przypis edytorski]

[77] *pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) — rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

się w „Diario Official”[78], wydawanym w Santa Marta, zaczynał się od słów: „Ludność górnicza z San Tomé, słusznie oburzona uciskiem cudzoziemców, powodowanych raczej nikczemnymi pobudkami zysku niż miłością kraju, do którego zagnało ich ubóstwo i chciwość, itd...”, a kończył się oświadczeniem: „Naczelnik państwa postanowił zastosować w całej rozciągłości przysługujące mu prawo łaski. Kopalnia, która wedle wszelkich praw międzynarodowych, ludzkich i boskich, wraca znów jako własność narodowa w posiadanie rządu, ma pozostać zamknięta aż do chwili, kiedy miecz, dobyty w obronie uświęconych zasad liberalnych, nie dokona swego dzieła i nie zapewni pomyślności naszej drogiej ojczyźnie.”

Kopalnia San Tomé przez długie lata pozostawała w tym stanie. Jakiej korzyści spodziewał się rząd z tego łupu, niepodobna obecnie powiedzieć. Niełatwo przyszło zmusić Costaguanę do wypłacenia żebraczych odszkodowań rodzinom ofiar, po czym sprawa ta spadła z porządku dziennego dyplomacji. Niedługo potem inny rząd zaczął zastanawiać się nad tą cenną spuścizną. Był to zwyczajny rząd costaguański — czwarty z kolei w ciągu sześciu lat — ale patrzył trzeźwiej sprawy. Miał skryte poczucie, że kopalnia San Tomé nie posiada w jego ręku żadnej wartości, lecz równocześnie z niepowszednią zmyślnością zdawał sobie sprawę z rozmaitych sposobów wyzyskania własności złóż srebra z pominięciem konieczności mozolnego wydobywania tego kruszcu z łona ziemi. Ojciec Charlesa Goulda, jeden z najzamożniejszych kupców costaguańskich, postradał już znaczną część swego majątku w przymusowych pożyczkach, zaciąganych przez kolejno następujące po sobie rządy. Był to człowiek spokojny i rozsądny, któremu nigdy nie śniło się dochodzić swych praw. Toteż kiedy mu nagle zaofiarowano bezterminową koncesję na kopalnię San Tomé, zaniepokojenie jego nie miało granic. Znał doskonale metody rządowe. Jakoż zamiary rządu w tej sprawie, aczkolwiek niewątpliwie przemyślane głęboko w skrytości, rzucały się w oczy w dokumencie, który mu polecono jak najrychlej podpisać. Trzeci i najważniejszy jego punkt ustalał, iż posiadacz koncesji będzie zobowiązany wypłacić od razu rządowi pięcioletni czynsz dzierżawny od szacunkowych dochodów z produkcji kopalni.

Pan Gould-senior nie skąpił próśb i argumentów, wymawiając się od tej fatalnej łaski, ale bez powodzenia. Nie miał pojęcia o górnictwie, nie wiedział, w jaki sposób zużytkować swą koncesję na targu europejskim, kopalnia jako przedsiębiorstwo czynne nie istniała. Budynki spalono, urządzenia górnicze zniszczono, ludność górnicza rozpierzchła się od dawna z okolicy. Nawet droga znikła tak doszczętnie pod naporem tropikalnej roślinności, jakby ją pochłonęło morze, a główny szyb zawalił się na przestrzeni stu jardów od wejścia. Nie była to już opuszczona kopalnia, lecz dzika, niedostępna, skalista gardziel Sierry, gdzie pod gąszczem ciernistych pnączy pokrywających ziemię można było znaleźć resztki zwęglonego budulca, trochę pogruchotanej cegły i zniekształcone ułomki zardzewiałego żelastwa. Pan Gould-senior nie pragnął bynajmniej wejść w wieczyste posiadanie tego pustkowia. Ilekroć wśród ciszy nocnej zamajaczyło mu przed oczyma duszy, popadał w stan gorączkowej i niespokojnej bezsenności.

Zdarzyło się jednak, że ministrem skarbu w owych czasach był człowiek, któremu pan Gould miał nieszczęście odmówić dawnymi laty niewielkiej zapomogi pieniężnej, uzasadniając swą odmowę tym, że jest on znany jako oszust i szuler, ponadto mocno podejrzewany o rabunkowy napad na pewnego zamożnego *ranchero*[79] w odległym zakątku wiejskim, gdzie piastował godność sędziego. Teraz, dostąpiwszy ministerialnego dostojeństwa, polityk ów oświadczył, iż ma zamiar odwzajemnić się temu biednemu señorowi Gouldowi dobrym za złe. Zapewnienia te ponawiał w salonach Santy Marty tak słodkim i nieubłaganym głosem i z takim złośliwym błyskiem w oczach, iż najlepsi przyjaciele ostrzegali z naciskiem pana Goulda, by nie próbował z tej pułapki wykpić się przekupstwem. Było to bezskuteczne. Doprawdy nie była to droga zbyt bezpieczna. Podzielała to zdanie w zupełności pewna zamaszysta, krzykliwa dama francuskiego pochodzenia, podobno — jak utrzymywała — córka wyższego oficera, *officier supérieur de l’armée*, której ofiarowano mieszkanie w murach zsekularyzowanego klasztoru, zaraz obok Ministerstwa Finansów. Ta kwitnąca osóbka, gdy poproszono ją o pomoc panu Gouldowi, we właści-

[78] *Diario Official* (hiszp.) — Dziennik Urzędowy. [przypis edytorski]
[79] *ranchero* (hiszp.) — farmer. [przypis edytorski]

wy sposób i nie szczędząc hojnego podarku, potrząsnęła głową z zakłopotaniem. Miała dobre serce i jej zakłopotanie było najzupełniej szczere. Wychodziła z założenia, iż nie wypada jej brać pieniędzy za coś, czego nie jest zdolna dokonać. Przyjaciel pana Goulda, który podjął się drażliwego zadania, utrzymywał później, iż była ona jedyną uczciwą osobą pozostającą w bliższym czy dalszym stosunku z rządem.

— Nie idzie! — rzekła właściwym sobie, pretensjonalnym, opryskliwym głosem, posługując się wyrażeniami godniejszymi raczej jakiegoś podrzutka niż sieroty po dostojniku wojskowym. — Nie, to nie da się zrobić! *Pas moyen, mon garçon. C'est dommage, tout de même. Ah, zut! Je ne vole pas mon monde. Je ne suis pas ministre, moi! Vous pouvez emporter votre petit sac.*[80]

Przez chwilę, zagryzając swe karminowe wargi, ubolewała w głębi duszy nad tyranią surowych zasad, którymi powodowała się, frymarcząc[81] swym wpływem w sferach rządzących. Po czym znacząco i z odcieniem zniecierpliwienia dorzuciła:

— *Allez et dites bien à votre bonhomme — entendez-vous? — qu'il faut avaler la pilule.*[82]

Po tym ostrzeżeniu nie pozostawało nic innego jak podpisać i zapłacić. Pan Gould połknął pigułkę, lecz zawierała ona widocznie jakąś subtelną truciznę, gdyż zaczęła oddziaływać bezpośrednio na jego mózg. Dostał bzika na punkcie kopalni, a ponieważ był oczytany w lżejszej literaturze, bzik ten przybrał w jego umyśle kształty Starca Morskiego[83] siedzącego mu na karku. Zaczęły mu się także majaczyć wampiry. Pan Gould przesadzał w ocenie ujemnych stron swego nowego położenia, dając się ponosić emocjom. Jego sytuacja w Costaguanie nie była gorsza niż wcześniej. Jednak człowiek jest istotą przeraźliwie konserwatywną, a groteskowa nowość tego zamachu na jego sakiewkę wstrząsnęła jego wrażliwością. Nie było dokoła niego ludzi, których nie obrabowałyby rządy i rewolucje po śmierci Guzmana Bento. Doświadczenie uczyło go, iż żadna szajka, która wejdzie w posiadanie pałacu prezydenckiego, nie będzie do tego stopnia nieudolna, by wskutek braku pretekstów pozwolić wywieść się w pole, chociażby nawet łup miał zawieść w pewnej mierze jej uzasadnione oczekiwania. Pierwszy lepszy przygodny pułkownik bosej armii urwipołciów mógł nawet każdemu zwykłemu cywilowi z całym naciskiem i ścisłością wykazać swe prawa do sumy dziesięciu tysięcy dolarów, w każdym jednak razie liczył nieodmiennie na łapówkę co najmniej tysiąca dolarów. Pan Gould wiedział o tym znakomicie i uzbroiwszy się w cierpliwość, czekał lepszych czasów. Jednak grabież pod płaszczykiem prawności i interesu była dla jego wyobraźni nie do zniesienia. Pan Gould-senior miał jedną wadę w swym godnym i roztropnym charakterze: oto przypisywał zbyt wielkie znaczenie formie. Jest to wspólna cecha ludzi, których poglądy nasiąkły przesądami. W sprawie tej dopatrywał się złośliwego działania znikczemniałej sprawiedliwości i doznał wstrząsu moralnego, który zachwiał jego krzepkim ustrojem fizycznym. „To mnie w końcu zabije" — powtarzał codziennie. Rzeczywiście od tego czasu zaczął cierpieć na wątrobę i na dławiącą niemoc myślenia o czymkolwiek innym. Minister finansów nie przeczuwał wcale, jak bardzo subtelny był jego odwet. Nawet listy, które pan Gould pisywał do swego czternastoletniego syna Charlesa, kształcącego się wówczas w Anglii, nie mówiły o niczym innym, jak o kopalni. Sarkał na niesprawiedliwość, na prześladowania, na haniebne brzemię tej kopalni; zapełniał całe stronice wywodami na temat fatalnych następstw, jakie ze wszystkich punktów widzenia muszą wyniknąć z posiadania tej kopalni, snuł złowrogie wnioski, truchlał na myśl o pozornie wiekuistej trwałości tego przekleństwa. Bowiem tej koncesji udzielono jemu i jego potomstwu po wszystkie czasy. Zaklinał syna, by nigdy nie wracał do Costaguany, nigdy nie upominał się o udział w tamtejszym swoim dziedzictwie, gdyż plami je owa nikczemna koncesja; niechaj po nic nie sięga, niechaj nawet się nie zbliża, niechaj zapomni, że istnieje Ameryka i zajmie się kupiectwem w Europie. Zaś każdy list kończył się gorzkimi ubolewaniami, iż za długo przyszło mu przebywać w tej jaskini złodziei, bandytów i krętaczy.

[80] *Pas moyen, mon garçon…* (fr.) — Nie da rady, mój chłopcze. Ale szkoda! Nie będę okradała ludzi. Nie jestem ministrem, do licha! Niech pan zabierze swoją sakiewkę. [przypis edytorski]

[81] *frymarczyć* (daw.) — kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

[82] *Allez, et dites bien à votre bonhomme…* (fr.) — Idź pan i powiedz swojemu przyjacielowi — rozumie mnie pan? — że trzeba przełknąć tę pigułkę. [przypis edytorski]

[83] *Starzec Morski* — postać z piątej podróży Sindbada Żeglarza, jednej z opowieści z *Księgi tysiąca i jednej nocy*: starzec, który poprosił Sindbada o przeniesienie na drugi brzeg rzeki, ale nie chciał później zejść z jego grzbietu i nie sposób go było zrzucić. [przypis edytorski]

W czternastym roku życia nie przywiązuje się zbyt wielkiego znaczenia do nieustannie ponawianych zapewnień, iż przyszłość nasza jest zwichnięta skutkiem posiadania kopalni srebra; ale forma tych zapewnień może wywołać pewien odruch zdziwienia i zastanowienia. Z biegiem czasu chłopak, nie tyle oszołomiony tymi gorzkimi żalami, co zmartwiony kłopotami swego taty, zaczął zastanawiać się nad tą sprawą w chwilach wolnych od nauki i zabawy. W ciągu jakiegoś roku zdołał wysnuć z owych listów niewzruszone przeświadczenie, iż naprawdę istnieje kopalnia srebra w prowincji Sulaco, stanowiącej część Republiki Costaguany, gdzie przed wielu laty żołnierze rozstrzelali biednego stryja Henryka. Z ową kopalnią pozostawała w ścisłym związku sprawa zwana „niegodziwą koncesją Goulda", która widocznie była napisana na papierze, skoro jego ojciec pragnął gorąco „ją podrzeć i rzucić w twarz" prezydentom, członkom trybunału i ministrom państwa.

Pragnienie to nie wygasało, aczkolwiek zauważył, iż nazwiska tych dygnitarzy rzadko pozostawały bez zmiany w ciągu całego roku. Wydawało się ono zupełnie słuszne chłopakowi, gdyż rzecz ta była niegodziwa, nie wiedział jednak, na czym jej niegodziwość polega. Później, w miarę jak mu rozwidniało się w głowie, zdołał oddzielić istotną prawdę od fantastycznych naleciałości o Starcu Morskim, wampirach i widmach, które korespondencji jego ojca nadawały posmak jakiejś okropnej baśni z arabskich nocy. W końcu dorastający młodzieniec posiadał nie mniej dokładną znajomość kopalni San Tomé od starca, który pisywał te boleściwe i zaciekłe listy z drugiej strony oceanu. Donosił on, że nałożono na niego kilkakrotnie ogromne grzywny za zaniedbywanie pracy w kopalni, chociaż już poprzednio zmuszono go do wypłacenia zaliczek na rachunek przyszłego czynszu dzierżawnego, pozorując to bezprawie tym, iż człowiek, który znajduje się w posiadaniu takiej cennej koncesji, nie powinien odmawiać pieniężnego poparcia rządowi republiki. Resztę jego mienia wymuszono — jak pisał z wściekłością — w zamian za bezwartościowe kwity, piętnując go równocześnie jako człowieka, który miał ciągnąć olbrzymie zyski z trudnej sytuacji kraju. A młodzieniec przebywający w Europie z coraz większym zainteresowaniem śledził sprawę, która zdolna była wywołać taką burzę słów i namiętności.

Myślał o niej codziennie, ale myślał bez goryczy. Nie ulegało wątpliwości, iż sprawa ta była nieszczęściem dla jego biednego taty i że cała historia rzucała posępne światło na stosunki polityczne i społeczne w Costaguanie. Pogląd jego na te sprawy nie różnił się od poglądu ojca, ale był spokojny i refleksyjny. Niepodobna z uporczywym i nieustannym oburzeniem odczuwać fizycznych czy psychicznych udręczeń innej osoby, chociażby chodziło nawet o własnego ojca. W dwudziestym roku życia Charles Gould jako następny uległ zaklęciu kopalni San Tomé. Ale był to inny rodzaj oczarowania, bardziej zgodny z jego młodością, gdyż w skład jego formuły magicznej zamiast zgnębionego oburzenia i rozpaczy wchodziła nadzieja, krzepkość i ufność we własne siły. Pozostawiony w tym wieku samemu sobie (chociaż z surowym zastrzeżeniem, by nie wracał do Costaguany), odbywał dalsze studia w Belgii i Francji, chcąc zostać inżynierem górniczym. Jednak strona naukowa tych studiów zarysowywała się w jego umyśle niejasno i ułamkowo. Kopalnie posiadały dla niego dramatyczne napięcie. Badał ich właściwości z osobistego punktu widzenia, podobnie jak ktoś bada odmienne cechy charakterów ludzkich. Zwiedzał kopalnie w Niemczech, w Hiszpanii i Kornwalii. Zwłaszcza opuszczone oddziaływały na niego mocno. Ich opuszczenie wstrząsało nim na podobieństwo niedoli ludzkiej, której przyczyny są głębokie i rozmaite. Mogą być liche, ale mogą być też niedocenione. Jego przyszła żona była pierwszą, i może jedyną istotą ludzką, która zdołała odkryć pobudki rządzące nader wrażliwym i niemal milczącym zachowaniem się tego człowieka w stosunku do świata spraw materialnych. I od razu jej skłonność do niego, która ociągała się z na wpół rozpostartymi skrzydłami na podobieństwo ptaków, niełatwo wzlatujących z równiny, znalazła szczyt, z którego mogła wzbić się w niebiosa.

Poznali się we Włoszech, gdzie przyszła pani Gould przebywała w towarzystwie starej, bladej ciotki, która przed laty poślubiła zubożałego, włoskiego markiza, człowieka w średnim wieku. Nie zdejmowała żałoby po tym człowieku, który potrafił oddać własne życie za niepodległość i zjednoczenie ojczyzny. Uczynił to z taką entuzjastyczną wielkodusznością, iż dorównał najmłodszym, którzy również zginęli za tę samą sprawę i których szczątkiem był stary Giorgio Viola, unoszonym przez prąd szczątkiem, na podobieństwo zgruchotanego dzioba okrętowego, niknącego niepostrzeżenie wśród fal po

morskim zwycięstwie. Ubrana zawsze czarno, z białą przepaską na czole jak zakonnica, prowadziła *marchesa* ustronne, przyciszone życie w zakątku starożytnego, zrujnowanego pałacu, którego wielkie, puste sale mieściły na dole, pod swymi malowanymi sklepieniami, ziemiopłody, drób, a nawet bydło obok całej rodziny dzierżawcy.

Młodzi spotkali się w Lukce. Po tym spotkaniu Charles nie zwiedzał już kopalń, chociaż pewnego razu pojechali oboje powozem, by zobaczyć kamieniołomy marmuru, w których praca o tyle jest podobna do górniczej, iż również ma na celu wydobywanie cennego surowca z ziemi. Charles Gould nie wygłaszał przed nią mów, by odsłonić swe serce. Dawał się jej poznać, myśląc i działając. Tak zwykła objawiać się szczerość. Często mówił: „Zdaje mi się, że mój biedny ojciec ma niesłuszny pogląd na to przedsiębiorstwo San Tomé". I zastanawiali się oboje nad tym poglądem długo i poważnie, jak gdyby mogli oddziaływać na umysł człowieka poprzez pół kuli ziemskiej. Jednak rzeczywistą przyczyną tych rozważań była miłość, która przenika wszelki przedmiot i rozpłomienia życiem najobojętniejsze wyrażenia. Oto powód, dla którego pani Gould lubiła te dyskusje w okresie swego narzeczeństwa. Charles martwił się, że ojciec nadwyręża swoje siły i naraża się na chorobę, chcąc uwolnić się od kopalni.

— Mam wrażenie, że nie jest to właściwy sposób postępowania — dumał głośno, jak gdyby mówił do siebie. Kiedy zaś ona nie taiła swego zdziwienia, iż człowiek charakteru może poświęcać swe siły knowaniom i intrygom, Charles oświadczył, że pojmuje jej zdziwienie, lecz dodał:

— Proszę nie zapominać, że on się tam urodził.

Z właściwą sobie bystrością zaczęła się nad tym zastanawiać, po czym postawiła oderwane pytanie, które słusznie uznał za przenikliwe:

— No, a pan? Pan również tam się urodził.

Miał gotową odpowiedź.

— To co innego. Nie byłem tam od dziesięciu lat. Ojciec nie miał nigdy tak długiego wytchnienia. A trwa już to ze trzydzieści lat.

Emilia była pierwszą osobą, do której przemówił, dowiedziawszy się o śmierci swego ojca.

— To go zabiło — powiedział.

Ruiny

Otrzymawszy tę wiadomość, wyszedł z miasta i podążał wprost przed siebie w południowym słońcu, po białej drodze, aż stanął przed nią w sali zrujnowanego pałacu. Była to komnata wspaniała i pusta. Długie strzępy adamaszku, poczerniałe od czasu i wyziewów, zwieszały się tu i ówdzie po ogołoconych boazeriach ścian. Umeblowanie składało się z jednego pozłacanego krzesła z odłamanym oparciem i z piedestału w kształcie ośmiokątnej kolumny, na którym stała ciężka, marmurowa urna, zdobna w rzeźbione maski i girlandy kwietne, pęknięta od góry do dołu. Charles Gould był cały zakurzony od białego pyłu gościńca; pokrywał on jego obuwie, ramiona i czapkę. Pot ściekał po jego twarzy. W odsłoniętej prawej ręce trzymał gruby dębowy kij.

Wydawała się bardzo blada pod różami swego wielkiego, słomianego kapelusza. Włożyła już rękawiczki i wzięła jasną parasolkę, by wyjść naprzeciw i oczekiwać go na szczycie wzgórza, gdzie trzy topole rosły obok muru winnicy.

— To go zabiło — powtórzył. — Miałby jeszcze długie lata przed sobą. W naszej rodzinie żyje się długo.

Nazbyt była strapiona, by przemówić. Utkwił swe przenikliwe, nieruchome spojrzenie w pękniętej marmurowej urnie, jakby pragnął jej kształty utrwalić w swej pamięci na zawsze. Dopiero gdy nagle zwróciwszy się do niej, wybełkotał dwukrotnie: „Przyszedłem do pani... przyszedłem prosto do pani...", zdołała w całej pełni zdać sobie sprawę z wielkiej i żałosnej niedoli tego dalekiego i udręczonego zgonu w Costaguanie. Ujął ją za rękę i podniósł jej dłoń do swych ust, ona zaś upuściła parasolkę, by pogłaskać go po twarzy, mówiąc szeptem: „Biedny ty!". Po czym zaczęła ocierać oczy pod opadającym skrzydłem kapelusza. Jej drobna postać w skromnym, białym kostiumie podobna była do dziecka, które, zabłąkane, szlocha wśród obumarłego przepychu wspaniałej sali. Znieruchomiał znów obok niej, zapatrzony w marmurową urnę.

Poszli następnie na długą przechadzkę, nie zamieniając zrazu ani słowa. W końcu wydarło się mu z ust:

— No, tak! Lecz gdyby był wziął się do rzeczy we właściwy sposób!

Przystanęli. Wszędzie słaniały się długie cienie po wzgórzach, po drogach, po ogrodzonych sadach oliwnych: cienie topól, rozłożystych kasztanów, budynków folwarcznych i murów z kamienia. Dźwięczny, radosny głos dzwonu rozlegał się w pogodnym powietrzu na podobieństwo tętna żaru słonecznego. Jej usta rozchyliły się, jak gdyby ze zdziwienia, że nie patrzy na nią z właściwym sobie wyrazem. Zwykły jego wyraz polegał na skupieniu i bezwzględnym dla niej uznaniu. W rozmowach z nią bywał najtroskliwszym i najczołobitniejszym władcą, co niezmiernie jej się podobało. Dzięki temu miała poczucie swej władzy bez ujmy dla jego godności. Ta szczupła dziewczyna o drobnych stópkach, drobnych rączkach i drobnej twarzyczce, przeciążonej uroczo szczodrymi splotami włosów, posiadała wyniosłą duszę doświadczonej kobiety. Jej nieco za duże usta tchnęły świeżością szczerości i szlachetności. Ponad wszystko, ponad wszelkie pochlebstwa, troszczyła się o tego, który był chlubą jej wyboru. Otóż w owej chwili nie patrzył na nią wcale. Miał napięte rysy i nieprzytomny wyraz twarzy, jak człowiek, który ponad głową młodej dziewczyny zapatrzył się w nicość.

— A więc tak. To była krzywda. Skrzywdzili biednego starca. Ach, czemuż nie pozwalał mi wrócić do siebie? Lecz teraz będę wiedział, jak wziąć to w ręce.

Wymówiwszy te słowa z ogromną otuchą, spojrzał na nią i od razu stał się pastwą przygnębienia, niepewności i obawy.

Jedyną rzeczą, o którą mu obecnie chodziło, było to, czy ona dostatecznie go kocha — czy ma odwagę pojechać z nim tak daleko? Stawiał jej te pytania głosem drżącym z obawy, gdyż był człowiekiem stanowczym.

Tak, kochała go bardzo. Chciała jechać. I niezwłocznie przyszła orędowniczka wszystkich Europejczyków w Sulaco doznała fizycznego wrażenia, iż ziemia zarywa się pod nią. Pierzchła jej sprzed oczu, pierzchł nawet dźwięk dzwonu. Kiedy znów uczuła ziemię pod stopami, dźwięki wciąż jeszcze rozlegały się wśród doliny; podniosła ręce do głowy, oddychając szybko, i powiodła okiem po okolonej murami drożynie. Uspokoiła się, bo nie było nikogo. Tymczasem Charles stanął jedną nogą w suchym, zakurzonym rowie i podniósł otwartą parasolkę, która odskoczyła od nich z marsowym łoskotem potrąconego bębna. Wręczył ją spokojnie, choć z niejakim przygnębieniem.

Zaczęli wracać ku domowi. Kiedy zaś wsunęła mu rękę pod ramię, pierwsze jego słowa były:

— Jak to dobrze, że będziemy mogli osiedlić się w mieście portowym! Słyszałaś jego nazwę. To Sulaco. Cieszę się, że mój biedny ojciec kupił tam dom. Nabył go już przed laty, aby w głównym mieście tak zwanej Zachodniej Prowincji istniała zawsze Casa Gould. Będąc małym chłopcem, mieszkałem tam już raz przez cały rok z moją drogą matką; mój biedny ojciec bawił wówczas w Stanach Zjednoczonych za interesami. Będziesz nową panią Casa Gould.

Później zaś w niezamieszkanym zakątku starożytnego pałacu, hen, nad winnicami, marmurowymi wzgórzami, piniami i oliwkami Lukki, tak do niej mówił:

— Nazwisko Gouldów cieszyło się zawsze wielkim poważaniem w Sulaco. Mój stryj Harry był czas jakiś naczelnikiem państwa i pozostawił po sobie dobrą pamięć wśród najznakomitszych rodów. Są to czyści Kreolowie[84], którzy nie biorą udziału w nędznych błazeństwach rządowych. My, Gouldowie, nie jesteśmy w Costaguanie przybłędami. Pochodził z tego kraju, kochał go, ale w swych przekonaniach pozostał do rdzenia Anglikiem. Posługiwał się politycznym hasłem swej epoki. Była nim federacja. Ale nie był politykiem. Stawał w obronie porządku społecznego po prostu z czystego umiłowania rozumnie pojmowanej wolności i z nienawiści do wszelkiego ucisku. Nie gmatwał się w niedorzecznościach. Zajął się pracą na swój sposób, gdyż uważał ją za potrzebną, podobnie jak ja muszę zabrać się do tej kopalni.

Mówił do niej takimi słowy, ponieważ pamięć jego pełna była kraju lat dziecinnych, ponieważ serce śniło o pożyciu z tą dziewczyną, a myśl była zajęta kopalnią San Tomé. Zapowiedział jej, że opuści ją na kilka dni, by odszukać pewnego Amerykanina pochodzącego ze San Francisco, który wałęsał się jeszcze po Europie. Poznał go przed kilkoma miesiącami w starym, historycznym mieście niemieckim, położonym w okręgu górniczym. Amerykanin był w towarzystwie żony, lecz czuł się osamotniony, gdyż cały-

[84] *Kreol* — urodzony w Ameryce Łacińskiej potomek europejskich kolonizatorów. [przypis edytorski]

mi dniami rysowali stare odrzwia i uwieńczone wieżyczkami narożniki średniowiecznych domostw. Charles Gould zawiązał z nim ścisłą spółkę w sprawie kopalni. Wspólnik ten znał się na przedsiębiorstwach górniczych, był nieco obeznany z Costaguaną i z nazwiskiem Gouldów. Rozmawiali z niejaką poufałością, co było możliwe dzięki różnicy wieku. Charles potrzebował wówczas kapitalisty o przenikliwym umyśle i ludzkim charakterze. Mienie jego ojca w Costaguanie, które w mniemaniu jego miało być dość znaczne, stopniało widocznie w łotrowskim tyglu rewolucji. Prócz jakichś dziesięciu tysięcy funtów, umieszczonych w Anglii, pozostał tylko dom w Sulaco, problematycznej wartości prawo do eksploatacji lasów w odległych i dzikich stronach oraz koncesja na kopalnię San Tomé, która doprowadziła jego biednego ojca na krawędź grobu.

Wyłuszczał to wszystko. Rozstali się bardzo późno. Nigdy jeszcze nie widział jej w takiej świetności uroku. Cała tęsknota młodzieńcza do niepowszedniego życia, do wielkich oddali, do przyszłości, nęcącej obietnicą przygód i walki — wszystka subtelna myśl o współdziałaniu i podboju rozpłomieniała ją mocnym podnieceniem, co w stosunku do niego przejawiało się nie tak już skrywaną i przedziwną tkliwością.

Gdy, pożegnawszy się z nim, schodziła ze wzgórza i gdy pozostał sam, odzyskał natychmiast swą trzeźwość. Zmiana, jaką nieubłagana śmierć wywołuje w toku naszych powszednich myśli, może stać się nieokreślonym i dotkliwym rozstrojem umysłu. Bolało to Charlesa Goulda, iż już nigdy, żadnym wysiłkiem woli nie będzie mógł myśleć o swym ojcu w ten sam sposób, w jaki zwykł był myśleć o nim za jego życia. Żywy jego obraz nie był już dlań uchwytny. To spostrzeżenie, bezpośrednio uderzające w własną jego osobowość, napełniało jego pierś bolesnym i przejmującym pragnieniem czynu. Pod tym względem instynkt go nie zawodził. Czyn ma moc pocieszenia. Jest wrogiem myśli i druhem pochlebnych rojeń. Jedynie w toku naszych działań możemy doszukać się zagadki panowania nad przeznaczeniem. Dla niego jedynym polem działania była kopalnia. Chwilami nasuwało się natarczywe pytanie, jak sprzeniewierzyć się uroczystym życzeniom nieboszczyka. Postanowił sobie, iż jego nieposłuszeństwo (jako zadośćuczynienie) będzie najzupełniejsze. Kopalnia była przyczyną niedorzecznego nieszczęścia moralnego, praca w niej powinna się stać poważnym zwycięstwem moralnym. Należało się to pamięci zmarłego. Tak przedstawiały się odczucia Charlesa Goulda. Myśli jego krążyły wokół zdobycia wielkiego kapitału w San Francisco lub gdzieś indziej. Mignęła mu w głowie refleksja, iż rady nieboszczyka byłyby zawodnym przewodnikiem. Nigdy nie można z góry przewidzieć, jakie ogromne zmiany może wywołać zgon tej czy innej jednostki w najistotniejszym porządku świata.

Śmierć, Czyn

Najnowszy okres dziejów kopalni znała pani Gould z własnego doświadczenia. Były to dzieje jej małżeńskiego pożycia. Płaszcz dziedzicznego stanowiska Gouldów w Sulaco osunął się suto na jej drobną osóbkę; nie chciała jednak dopuścić, żeby właściwości tego osobliwego stroju miały przytłoczyć żywość jej charakteru, co było oznaką nie samej tylko machinalnej ruchliwości, lecz także przenikliwej inteligencji. Nie należy przez to przypuszczać, że pani Gould miała męski umysł. Kobieta o męskim umyśle nie jest istotą wyższego rzędu, jest po prostu okazem niedoskonałego zróżnicowania płci — zajmująco jałowym i bez znaczenia. Kobieca inteligencja doñii Emilii pomogła jej dokonać podboju Sulaco, torując drogę jej nieegoistycznej i współczującej naturze. Umiała rozmawiać z wdziękiem, ale nie była gadatliwa. Mądrość serca, niemająca nic wspólnego z budowaniem lub burzeniem teorii, a tym bardziej z obroną przesądów, nie ma czczych słów na zawołanie. Słowa, które wypowiada, mają wartość aktów rzetelności, wyrozumiałości i współczucia. Szczera tkliwość kobieca, podobnie jak szczera męskość mężczyzny, wyraża się czynami, które mają władzę podbijania. Panie z Sulaco uwielbiały panią Gould. „Wciąż jeszcze patrzą na mnie jak na jakieś dziwo" — rzekła żartem do jednego z trzech dżentelmenów z San Francisco, których wypadło jej ugaszczać w swej nowej siedzibie po roku pożycia małżeńskiego.

Kobieta

Serce, Słowo

Byli to pierwsi goście zagraniczni, którzy przybyli obejrzeć kopalnię San Tomé. „Żartuje bardzo miło" — myśleli sobie, zaś Charles Gould, wiedząc doskonale, do czego zmierza, parł ku urzeczywistnieniu. Te okoliczności usposabiały ich przychylnie do jego żony. Niezaprzeczony entuzjazm, zabarwiony lekkim nalotem ironii, sprawił, iż jej wywody o kopalni zachwycały po prostu gości i wywoływały u nich poważne i pełne pobłażania uśmiechy, niepozbawione dużej domieszki szacunku. Być może, iż gdyby byli

poznali zapamiętały idealizm jej poglądów na powodzenie przedsiębiorstwa, byliby nie mniej zdumieni właściwościami jej umysłu od owych hiszpańsko-amerykańskich pań, które nie wychodziły z podziwu dla jej niestrudzonej ruchliwości. Istotnie mogła być dla nich — posługując się jej własnymi słowami — „istnym dziwem". Ale Gouldowie byli z usposobienia skryci i ich goście wyjechali, nie przypuszczając, iż może chodzić o coś innego niż o zyski z puszczonej w ruch kopalni. Pani Gould kazała zaprząc parę białych mułów do swego powozu, by odwieźć ich do portu, skąd „Ceres" miała ich odstawić na plutokratyczny Olimp. Kapitan Mitchell skorzystał z tego pożegnania, by szepnąć poufnie do pani Gould:

— To zapowiedź nowej epoki.

Dom

Pani Gould lubiła patio swego hiszpańskiego domu. Na szerokie, kamienne schody spoglądała w milczeniu z wnęki ściennej Madonna w błękitnych szatach, z ukoronowanym Dzieciątkiem na ręku. Przyciszone głosy dolatywały wczesnym rankiem z dna brukowanej kwadratowej studni, jaką z góry wydawał się dziedziniec; słychać było stąpania koni i mułów, które prowadzono parami, by je napoić. Z kolanek smukłych pni bambusowych zwieszały się wąskie, lancetowate liście nad kwadratową taflą sadzawki, a tłusty stangret siedział skulony na jej cembrowinie, trzymając leniwie końce lejcy w ręku. Wynurzywszy się spod niskiego, mrocznego sklepienia sieni, przemykały się tu i ówdzie bose dziewczęta służebne; pojawiły się dwie praczki, niosące kosze z wypraną bielizną, przeszedł piekarz z dzieżą zarobionego ciasta i jej własna *camerista*[85], Leonarda, która w ręce wzniesionej wysoko ponad kruczą czerń włosów niosła pęk nakrochmalonych spódniczek, olśniewająco białych w ukośnych blaskach słońca. Po czym pokuśtykał stary odźwierny, zamiatając kamienne płyty bruku, i dom był przygotowany do zwykłego życia dziennego. Wysokie pokoje po trzech stronach czworoboku były połączone między sobą i miały drzwi na *corredor*, wzdłuż którego biegła poręcz z kutego żelaza ozdobiona kwiatami. Na podobieństwo władczyni średniowiecznego zamczyska mogła widzieć z góry, kto wjeżdżał lub wyjeżdżał z *casa*, a odgłosy, rozlegające się za każdym razem ze sklepionej sieni, wzmagały wrażenie okazałości.

Patrzyła, jak wyjeżdżał jej powozik, odwożący trzech gości z północy. Uśmiechała się. Troje rąk podniosło się równocześnie do trzech kapeluszy. Czwartym był kapitan Mitchell, który towarzyszył im z grzeczności i zaczął już pompatyczną przemowę. Ociągała się. Ociągała się, pochylając co chwila twarz nad kępami kwiatów, jak gdyby chciała pozostawić swym myślom czas, by dostosowały się do powolności jej kroków, zdążających w głąb długiego korytarza.

Obwieszony frędzlami i barwnymi piórami hamak indiański z Aroa wisiał w kącie, gdzie najwcześniej pojawiało się słońce, gdyż poranki bywają w Sulaco chłodne. Ogromne kępy kwiatów, zwanych *flor de noche buena*[86], pałały przed roztwartymi, oszklonymi drzwiami salonów. Wielka, zielona papuga, połyskująca świetnością szmaragdu w błyszczącej złotej klatce, zaskrzeczała dziko: „*Viva Costaguana!*"[87], po czym zawołała dwukrotnie słodkim głosem: „Leonarda! Leonarda!", naśladując panią Gould, i pogrążyła się nagle w bezruchu i milczeniu. Pani Gould doszła do końca galerii i zajrzała spoza drzwi do pokoju swego męża.

Charles Gould z nogą wspartą na niskim stołeczku przypinał już ostrogi. Spieszył się do kopalni. Pani Gould, nie wchodząc do środka, rozejrzała się po pokoju. Jedną szafę, dużą i szeroką, z oszklonymi drzwiami, wypełniały książki; natomiast druga, pozbawiona półek i wybita czerwoną bają[88], zawierała broń palną: karabiny winchesterskie, rewolwery, parę strzelb myśliwskich i nawet dwie pary pistoletów z podwójnymi lufami. Pomiędzy nimi wisiała samotnie na kawałku szkarłatnego aksamitu stara szabla kawaleryjska, niegdyś własność don Enrique Goulda, bohatera Zachodniej Prowincji, podarowana przez don Joségo Avellanosa, dziedzicznego przyjaciela rodziny.

Poza tym białe ściany były zupełnie pozbawione ozdób. Wyjątek stanowiła akwarela przedstawiająca góry San Tomé; była ona własnoręcznym dziełem doñii Emilii. Pośrod-

[85]*camerista* (hiszp.) — pokojówka. [przypis edytorski]

[86]*flor de noche buena* (hiszp.) — wilczomlecz nadobny, pot. gwiazda betlejemska, popularna roślina ozdobna pochodząca z Meksyku i Gwatemali. [przypis edytorski]

[87]*Viva Costaguana!* (hiszp.) — niech żyje Costaguana! [przypis edytorski]

[88]*baja* — rodzaj miękkiej bawełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

ku, na posadzce ułożonej z czerwonych płytek, stały dwa długie stoły zawalone planami i papierami, obok nich kilka krzeseł i oszklona szafka, zawierająca okazy rudy z kopalni. Pani Gould, rzuciwszy śpiesznie okiem na te przedmioty, wyraziła głośno zdziwienie, dlaczego rozmowy tych bogatych i przedsiębiorczych ludzi, rozprawiających o możliwościach, o działalności i bezpieczeństwie kopalni, niecierpliwiły ją i rozstrajały, podczas gdy ze swym mężem mogła całymi godzinami gawędzić o kopalni z niesłabnącym zainteresowaniem i zadowoleniem.

I opuszczając powieki w wyrazisty sposób, dodała:

— A ty co o tym sądzisz, Charley?

Po czym, zdziwiona milczeniem męża, podniosła szeroko otwarte oczy, piękne jak blade kwiaty.

Uporał się już z ostrogami i podkręcając oburącz swe długie wąsy, przyglądał się jej z wysokości swoich długich nóg z widocznym uznaniem dla jej wyglądu. Świadomość, iż jest tak podziwiana, sprawiała przyjemność pani Gould.

— Są to wielce poważani ludzie — odezwał się.

— Wiem o tym. Ale czy przysłuchiwałeś się ich rozmowom? Nie zdaje się mi, żeby bodaj w przybliżeniu zdawali sobie sprawę z tego, co tu widzieli.

— Oglądali kopalnię. Czynili to w pewnym zamiarze — wtrącił Charles Gould, stając w obronie gości.

Na to jego żona wymieniła nazwisko najwybitniejszego z tej trójki. Wyróżniał się w dziedzinie finansowej i przemysłowej. Jego nazwisko znały miliony ludzi. Był znakomitością tej miary, iż nigdy nie podjąłby się pracy tak daleko od ośrodka swej działalności, gdyby lekarze, nie szczędząc skrywanych pogróżek, nie zniewolili go do dłuższego wypoczynku.

— Pan Holroyd — mówiła dalej pani Gould — czuł się dotknięty i urażony przepychem strojów świętych, których posągi stoją w katedrze. Nazwał to kultem drewna i pozłotki. Ale mnie się zdaje, iż on zapatruje się na swego Boga jak na jakiegoś wpływowego wspólnika, który jako swój udział w zyskach otrzymuje ufundowane kościoły. To pewnego rodzaju bałwochwalstwo. Opowiadał mi, że co roku funduje kościół. Bóg

— Bez końca — przemówił pan Gould, podziwiając w duszy ruchliwość jej rysów. — Po całym kraju. Słynie z tej swojej hojności.

— Och, nie przechwalał się tym! — zaświadczyła sumiennie pani Gould. — Zdaje mi się, że to naprawdę dobry człowiek, ale taki głupi! Biedny *Cholo*[89], który ofiarowuje swemu Bogu srebrne ramię lub nogę za to, że go uleczył, jest tak samo mądry, a nierównie bardziej wzruszający.

— Stoi na czele olbrzymich przedsiębiorstw związanych ze srebrem i żelazem — napomknął Charles Gould.

— Ach, tak! Religia srebra i żelaza! To bardzo przyjemny człowiek; wprawdzie ujrzawszy po raz pierwszy w klatce schodowej Madonnę z pomalowanego drzewa, przybrał wyraz namaszczonej zgrozy, ale nic mi nie powiedział. Mój drogi Charley, słyszałam, jak ci ludzie rozmawiali ze sobą. Czy to możliwe, by ze względu na ogromne poważanie pragnęli istotnie zostać nosiwodami i drwalami dla wszystkich krajów i narodów świata?

— Człowiek winien pracować do ostatka — rzekł ogólnikowo Charles Gould.

Pani Gould, marszcząc brwi, oglądała go od stóp do głowy. W swych bryczesach, skórzanych kamaszach (niewidywanych przedtem w Costaguanie), norfolskiej marynarce z szarej flaneli i z tymi wielkimi, płomienistymi wąsami wyglądał na oficera kawalerii, który został ziemianinem. To porównanie odpowiadało upodobaniom pani Gould. „Jaki on, biedak, szczupły! — myślała. — Przepracowuje się". Niepodobna jednak było zaprzeczyć, iż jego subtelna, wyrazista, czerwonawa twarz i cała jego smukła, długonoga postać wywoływała wrażenie szlachetności i wytworności. Pani Gould złagodniała.

— Zastanawiałam się tylko, jak ty to odczuwasz — szepnęła łagodnie.

W ostatnich dniach Charles Gould musiał dwa razy pomyśleć, zanim coś powiedział, i nie zwracał zbytnio uwagi na swe odczucia. Ale stanowili dobraną parę, więc nietrudno mu przyszło znaleźć odpowiedź.

[89] *Cholo* (hiszp.) — potomek rodziców hiszpańskiego i indiańskiego pochodzenia, mówiący po hiszpańsku Indianin. [przypis edytorski]

— Najlepsze moje uczucia są w twojej mocy — rzekł swobodnie i tyle było prawdy w tych niejasnych słowach, iż tejże samej chwili doznał względem niej wielkiego przypływu tkliwości i wdzięczności.

Nie wyglądało jednak, żeby ta odpowiedź była dla pani Gould niejasna. Pokraśniała z lekka, lecz już zmienił ton.

— No, to jest pewnikiem! Wartość kopalni jako kopalni nie ulega wątpliwości. Dzięki niej będziemy bardzo bogaci. Puszczenie jej w ruch jest zagadnieniem wiedzy technicznej, a tę posiadam, posiada ją tysiąc innych ludzi na świecie. Ale jej bezpieczeństwo, trwałość jej istnienia jako przedsiębiorstwa zapewniającego dochody tym ludziom, tym cudzoziemcom, którzy włożyli w nią swe pieniądze, spoczywa wyłącznie w mych rękach. Wzbudziłem zaufanie w człowieku bogatym i możnym. Wydaje się ci to zupełnie naturalne, nieprawdaż? No, a ja nie wiem, nie wiem, dlaczego zdołałem je wzbudzić. Ale to pewnik. Czyni on wszystko możliwym. Bez niego nie przyszłoby mi na myśl nie oglądać się na życzenia mego ojca. Nigdy nie rozporządziłbym się tą koncesją jak spekulant, który odstępuje swe prawa spółce za gotówkę i dywidendy, by wzbogacić się przy nadarzającej się sposobności lub przynajmniej zagarnąć nieco grosza do kieszeni. Nie! Nie uczyniłbym tego, nawet gdyby to było możliwe, o czym wątpię. Biedny ojciec tego nie rozumiał. Obawiał się, że uwieszę się przy zrujnowanym przedsiębiorstwie i czekając na podobną sposobność, zmarnuję życie. Takie znaczenie miał jego zakaz, z którego świadomie się wyłamałem.

Przechadzali się po korytarzu. Sięgała mu głową do ramienia. Opuścił ramię i objął jej kibić. Ostrogi pobrzękiwały z lekka.

— Nie widział mnie od dziesięciu lat. Nie znał mnie. Rozstał się ze mną dla mojego dobra i nie chciał pozwolić, żebym wrócił. Powtarzał nieustannie w swych listach, żebym się wyrzekł Costaguany, porzucił wszystko i ratował się ucieczką. Sam był zbyt cennym łupem. Za pierwszym podejrzeniem byliby go wrzucili do więzienia.

Ostrogi odezwały się znów cichym podźwiękiem. Pochylał się ku żonie, mówiąc do niej. Wielka papuga przechyliła głowę i śledziła ich ruchy krągłym, niemrużącym się okiem.

— Był samotnym człowiekiem. Kiedy miałem dziesięć lat, przemawiał do mnie, jakbym był dorosły. Podczas mojego pobytu w Europie pisywał do mnie co miesiąc. Dziesięć, dwanaście stron każdego miesiąca przez dziesięć lat. Lecz mimo to mnie nie znał. Dość wyobrazić sobie — całe dziesięć lat w okresie, kiedy stawałem się mężczyzną! Nie mógł mnie znać. Jak ci się zdaje?

Pani Gould potrząsnęła przecząco głową, gdyż przyszło jej na myśl, że nikt nie może znać jej Charlesa, znać go naprawdę, prócz niej samej. To było oczywiste. Dawało się odczuć. Nie wymagało uzasadnień. Zaś biedny pan Gould-senior, który umarł za wcześnie, by dowiedzieć się o ich narzeczeństwie, przedstawiał się jej zbyt mglisto, żeby mogła przypisywać mu znajomość czegokolwiek.

— Nie, nie zdawał sobie sprawy! W moim pojęciu ta kopalnia nie jest czymś, co można sprzedać. Nigdy! Po tym, co przecierpiał, po prostu nie mógłbym wziąć za nią pieniędzy — mówił Charles Gould dalej, a ona potakująco tuliła głowę do jego ramienia.

Tych dwoje młodych ludzi rozmyślało o życiu, które zakończyło się w niedoli właśnie wówczas, kiedy ich własne istnienia zajaśniały w blaskach ufnej miłości, co bardzo wrażliwym umysłom wydaje się niby triumfem dobra nad wszystkimi nędzami ziemi. Niejasna idea rehabilitacji wtargnęła do zamierzeń ich życia. Była zbyt niejasna, by obyć się bez podpory uzasadnienia, lecz właśnie dlatego była tym silniejsza. Objawiła się im w tej chwili, kiedy kobiecy zmysł poświęcenia i męski zmysł działania pod wpływem najpotężniejszego ze złudzeń ulegają najsilniejszemu bodźcowi. Z surowości zakazu wynikała konieczność powodzenia, jakby byli moralnie zobowiązani do wykazania wyższości swego pełnego wigoru podejścia do życia nad błędem znużenia i rozpaczy.

Myśl o bogactwie nasuwała im się tylko o tyle, o ile łączyła się z powodzeniem tamtej sprawy. Pani Gould, sierota bez majątku, wychowana w atmosferze upodobań intelektualnych, nie upajała się nadzieją wielkich bogactw. Były one zbyt dalekie, a przy tym nie nawykła ich pożądać. Z drugiej strony nie zaznała zupełnego niedostatku. Nawet wielkie ubóstwo jej ciotki *marchesy* nie było nie do zniesienia dla wysubtelnionego umysłu; pozostawało w zgodzie z wielkim cierpieniem, tchnęło surowością ofiary, złożonej szczyt-

nemu ideałowi. Nie było zatem w charakterze pani Gould najsłuszniejszych nawet rysów materializmu. Zmarły, o którym myślała z czułością (gdyż był ojcem Charleya) i z niejaką niecierpliwością (ponieważ był słaby), nie mógł mieć ani cienia słuszności. W przeciwnym bowiem razie nic nie zdołałoby uchronić ich pomyślności od skazy, plamiącej jej jedynie realną, jej niematerialną stronę!

Natomiast Charles Gould musiał brać należycie pod rozwagę myśl o bogactwie; jednak zajmował się nim jako środkiem, nie zaś jako celem. Gdyby kopalnia nie była korzystnym interesem, nie należałoby jej puszczać w ruch. Musiał dbać o widoki przedsiębiorstwa. Była to dźwignia, za pomocą której mógł ruszyć kapitalistów. A Charles Gould wierzył w kopalnię. Wiedział o niej wszystko, co tylko można było wiedzieć. Jego wiara w kopalnię udzielała się innym, chociaż nie miała na swe usługi wielkiej wymowy; ale ludzie interesu bywają często nie mniej zapalni i marzycielscy od kochanków. Częściej ulegają urokowi osobistemu, niżby ktoś przypuszczał, a Charles Gould ze swą niezachwianą pewnością był bezwarunkowo przekonywający. Ponadto ludzie, do których się zwracał, znali się na rzeczy i wiedzieli, że przedsiębiorstwo górnicze w Costaguanie jest grą, która może być nierównie więcej warta od świeczki. Ludzie interesu posiadali dobre informacje. Rzeczywista trudność ruszenia z miejsca znajdowała się gdzie indziej. Ale zwalczała ją spokojna i nieugięta stanowczość, zabarwiająca nawet głos Charlesa Goulda. Ludzie interesów porywają się czasem na rzeczy, które dla zdrowego rozsądku ludzkiego uchodzą za niedorzeczne, powodują się w swych postanowieniach pobudkami impulsywnymi i bardzo ludzkimi.

— No, tak — rzekła wybitna osobistość, której Charles Gould, przejeżdżając przez San Francisco, wyłuszczył jasno swe poglądy. — Przypuśćmy, że przystępujemy do przedsiębiorstwa górniczego w Sulaco. Któż w nim będzie? Po pierwsze firma Holroyd, zupełnie pewna, po drugie pan Charles Gould, obywatel costaguański, zupełnie pewny, no i wreszcie rząd republiki. Bardzo to podobne do początków przedsiębiorstwa pól saletry w Atacamie; brała tam udział firma, która dawała pieniądze, pewien dżentelmen nazwiskiem Edwards i rząd, a raczej dwa rządy, dwa rządy południowoamerykańskie. I wie pan, co z tego wynikło? Wynikła z tego wojna, przewlekła, wyniszczająca wojna, panie Gould! Co prawda, w pańskim wypadku mamy do czynienia tylko z jednym rządem południowoamerykańskim, czyhającym łapczywie na udział w łupie. Jest to korzystne. Ale zło ma swe stopniowania, a rząd, o którym mówimy, jest rządem costaguańskim.

Tak mówiła wybitna osobistość, milionowy fundator kościołów na skalę godną wielkości jego ojczyzny, ten sam, do którego lekarze przemawiali językiem zatrważających i skrywanych pogróżek. Był to silnie zbudowany, roztropny człowiek, którego stateczna tusza obszernemu surdutowi na jedwabnej podszewce użyczała wytwornej dostojności. Włosy miał siwe jak stal, brwi jeszcze czarne, a jego potężny profil przypominał profil głowy Cezara na starożytnych monetach rzymskich. Jednak jego pochodzenie wyprowadzano od Niemców, Szkotów i Anglików, co z niejaką domieszką krwi duńskiej i francuskiej wyposażało go w temperament purytanina i nienasyconą wyobraźnię zdobywcy. Nie krępował się zupełnie w stosunku do swego gościa, ponieważ miał on gorące poparcie z Europy i ponieważ silne przekonania i determinacja budziły niewytłumaczalne upodobanie, bez względu na koniec, do jakiego prowadzą.

— Rząd costaguański wyciągnie rękę po całą jej wartość, wspomni pan moje słowa, panie Gould! Bo i czym jest Costaguana? Bezdenną otchłanią pożyczek na dziesięć procent i innych, równie szalonych inwestycji. Europejczycy przez długie lata oburącz rzucali w nią swe kapitały. Ale my nie. Znamy ten kraj już dość dobrze, by mieć się na baczności. Możemy siedzieć i czekać. Przyjdzie oczywiście czas, że tam wtargniemy. Jesteśmy gotowi. Ale nie ma pośpiechu. Sam czas jest na usługach największego kraju w całym bożym świecie. Naszym posłannictwem jest dać niejedno światu: przemysł, handel, prawo, dziennikarstwo, sztukę, politykę i religię, od Przylądka Horn po Cieśninę Smitha i dalej, choćby i do Bieguna Północnego, gdyby się okazało, że jest tam coś wartego uwagi. A z czasem zagarnie się postronne wyspy i lądy ziemskie. Weźmiemy sprawy świata w ręce bez względu na to, czy to światu się spodoba czy nie. Nic na to nie poradzi — a my od swego nie odstąpimy. Tak sądzę.

Swej wierze w posłannictwo dawał ujście w słowach dostosowanych do swej inteligencji, niewyćwiczonej w wyrażaniu idei ogólnych. Inteligencja jego karmiła się faktami.

Zaś Charles Gould, którego wyobraźnia pozostawała stale pod urokiem jednego wielkiego faktu, mianowicie kopalni srebra, temu jego poglądowi na przyszłość świata nie miał nic do zarzucenia. Jeżeli chwilowo go raził, to tylko dlatego, że to nagłe stwierdzenie tak rozległych możliwości sprowadzało niemalże do nicości sprawę, która była na porządku dziennym. On i jego zamierzenia, i wszystkie bogactwa kopalniane Zachodniej Prowincji wydały się mu nagle ogołocone ze wszystkich znamion wielkości. Wrażenie było niemiłe, ale Charles Gould nie był tępy. Czuł już, że się podoba. Świadomość tego pochlebnego faktu pozwoliła mu zdobyć się na nieokreślony uśmiech, który jego tęgi towarzysz wziął za uśmiech dyskretnego i pełnego podziwu uznania. Odwzajemnił się spokojnym uśmiechem. I w jednej chwili Charles Gould z tą lotnością umysłu, którą zwykli okazywać ludzie broniący swych umiłowanych nadziei, zdał sobie sprawę, iż nader widoczna niepozorność jego zamierzeń może mu dopomóc w powodzeniu. Jego osoba i jego kopalnia będą dobrze przyjęte, ponieważ są to rzeczy niewielkiej wagi dla człowieka, którego działalność miała na celu cały ogrom przeznaczenia. Charles Gould nie czuł się upokorzony tą myślą, gdyż dla niego sprawa kopalni nie postradała nic ze swego wielkiego znaczenia. Niczyje, najrozleglejsze nawet poglądy na przeznaczenie nie mogły umniejszyć wartości jego dążeń do odbudowania kopalni San Tomé. W porównaniu z jasnością jego zamierzeń, określonych w przestrzeni i dających się osiągnąć w oznaczonym czasie, wielki finansista wydał mu się idealistą, marzycielskim i niemogącym zaważyć na szali.

Otyły, dobrotliwy potentat spoglądał na niego w zamyśleniu. Wkrótce jednak przerwał milczenie, by rzucić uwagę, iż w Costaguanie aż roi się od koncesji. Każdy poczciwina, który zapragnie tamtejszej koncesji, może ją uzyskać od razu.

— Nasi konsulowie przejadają się nimi — ciągnął dalej z błyskiem jowialnej wzgardy w oczach. — Sumiennemu, prawemu człowiekowi, który niczego nie traktuje byle jak i umie się połapać w ich intrygach, sprzysiężeniach i klikach, natychmiast wręczają paszport. Cóż pan na to, panie Gould? *Persona non grata*[90]. I to jest przyczyną, dla której nasz rząd nigdy nie jest należycie poinformowany. Trzeba jednak trzymać Europę z dala od tego lądu, a na nasze wmieszanie się jeszcze czas nie przyszedł; przynajmniej tak pozwalam sobie twierdzić. Ale my nie jesteśmy ani rządem tego kraju, ani pierwszymi lepszymi poczciwinami. Pańska sprawa przedstawia się korzystnie. *All right*. Głównym zagadnieniem naszym jest, czy drugi uczestnik, to znaczy pan, zdoła poradzić sobie z trzecim i niepożądanym uczestnikiem, mianowicie z tą lub ową rozpanoszoną i potężną szajką łupieską, która będzie miała w rękach rządy Costaguany. Jak panu się zdaje, panie, hę?

Pochylił się, patrząc uparcie w spokojne oczy Charlesa Goulda, który wspomniawszy wielką szkatułę listów ojcowskich, nagromadzoną od wielu lat gorycz i wzgardę zawarł w tonie swej odpowiedzi:

— O ile chodzi o znajomość tych ludzi, ich metod i ich polityki, to mogę ręczyć za siebie. Karmiono mnie tą znajomością od lat chłopięcych. Nie jestem skłonny popadać w błędy z nadmiaru optymizmu.

— Nie jest pan skłonny, hę? To bardzo dobrze. Takt i stanowczość — oto, czego pan potrzebuje! I może pan nieco mydlić oczy potęgą swego przedsiębiorstwa. Ale nie zanadto. Nie opuścimy pana, dopóki wszystko będzie szło dobrze. Ale nie chcemy narażać się na większe kłopoty. Podejmę się tego eksperymentu. Jest w nim pewne ryzyko, ale godzimy się na nie. Z chwilą jednak, gdy nie będzie pan mógł dać sobie rady, weźmiemy straty na siebie — i damy wszystkiemu spokój. Ta kopalnia może czekać... Pan wie, iż raz już była zasypana. Zapewne pan rozumie, iż żadną miarą nie będziemy marnowali dobrych pieniędzy na kiepskie interesy.

Tak mówił ów znakomity mąż w swym prywatnym biurze, w wielkim mieście, gdzie inny człowiek (nader wybitny w pojęciu gawiedzi) oczekiwał z upragnieniem skinienia jego ręki. A kiedy w jakiś rok później pojawił się nieoczekiwanie w Sulaco, dał jeszcze silniejszy wyraz swej nieustępliwości ze szczerością i swobodą, na jaką mu pozwalały jego wpływy i bogactwa. Być może, że przyszło mu to tym łatwiej, iż odbyta kontrola, zaś przede wszystkim sposób, w jaki posuwała się stopniowo rozbudowa przedsiębiorstwa, obudziły w nim przeświadczenie, iż Charles Gould zdoła sprostać zadaniu.

„Ten młodzieniec — pomyślał — może z czasem stać się potęgą w tym kraju".

[90]*persona non grata* (łac.) — osoba niepożądana. [przypis edytorski]

Ta myśl pochlebiała mu, gdyż to, co dotychczas powiadał swym przyjaciołom o tym młodzieńcu, brzmiało następująco:

— Mój szwagier poznał go w pewnym starym mieście niemieckim położonym w okręgu górniczym i przysłał go do mnie z listem. Pochodzi on z Gouldów costaguańskich, czystej krwi Anglików, ale urodzonych już w tym kraju. Stryj jego wmieszał się w sprawy polityczne, był ostatnim prezydentem prowincjonalnym Sulaco i został rozstrzelany po przegranej bitwie. Ojciec jego był wybitnym przemysłowcem w Santa Marta, chciał wyzwolić się z matactw politycznych i umarł, zrujnowany zmiennymi kolejami rewolucji. Cała historia Costaguany w miniaturze!

Oczywiście był nazbyt wielkim człowiekiem, by o jego pobudki mieli pytać nawet najbliżsi. Światu wolno było pokornie podziwiać ukryte znaczenie jego posunięć. Był tak wielkim człowiekiem, iż jego szczodry patronat nad „czystszymi formami chrześcijaństwa" (które przejawiało się naiwnym fundowaniem kościołów, co bawiło panią Gould) uchodził wśród swoich współobywatelki za objaw pokory i pobożności. Natomiast w jego własnych sferach świata finansowego na jego przystąpienie do takiego przedsiębiorstwa jak kopalnia San Tomé zapatrywano się wprawdzie z uznaniem, ale nie bez tajonej wesołości. Był to kaprys wielkiego człowieka. W gmachu Holroyda (olbrzymim stosie żelaza, szkła i kamiennych bloków, położonym na zbiegu dwu ulic i zasnutym u szczytu promienistą pajęczyną drutów telegraficznych) naczelnicy głównych departamentów wymieniali między sobą żartobliwe spojrzenia, które miały oznaczać, iż nie są dopuszczeni do tajemnicy przedsiębiorstwa San Tomé. Przesyłki pocztowe z Costaguany (niezbyt obfite, ograniczające się do jednej, średnio ciężkiej koperty) odsyłano nieotwarte wprost do pokoju wielkiego człowieka, skąd nigdy nie otrzymywano polecenia, żeby je załatwić. Urzędnicy szeptali sobie na ucho, iż odpowiadał osobiście, nie dyktując nikomu, lecz pisząc własnoręcznie piórem i atramentem. Przypuszczano nawet, iż sam kopiował swe listy we własnym zeszycie, niedostępnym dla oczu zwykłych śmiertelników. Niektórzy złośliwi młodzieńcy, spełniający podrzędne czynności w jedenastopiętrowym warsztacie wielkich interesów, wypowiadali otwarcie swe osobiste zdanie, iż ich znakomity szef palnął wreszcie głupstwo i czuł się zawstydzony swym nierozumem. Inni, starsi i mało znaczni, lecz pełni romantycznego podziwu dla interesów, które pochłonęły najlepsze ich lata, przebąkiwali niejasno i przenikliwie, że jest to zapowiedź wielkiej wagi, że spółka Holroyda zamierza zagarnąć niezwłocznie całą Republiką Costaguańską ze wszystkimi dobrodziejstwami inwentarza. Wszelako przypuszczenie, iż była to tylko chimeryczna zachcianka, okazało się najsłuszniejsze. Wielki człowiek zapragnął zaznajomić się osobiście z kopalnią San Tomé, zapragnął tym goręcej, iż zachcianka ta zmierzała do pierwszej wakacyjnej podróży, na jaką zamierzał sobie pozwolić od bardzo wielu lat. Nie chodziło mu o wielkie przedsiębiorstwo, o jakąś budowę kolei czy spółkę przemysłową. Chodziło mu o człowieka! Dogadzałoby mu wielce powodzenie wynikające z nowego, orzeźwiającego źródła, ale z drugiej strony poczuwał się do obowiązku umycia rąk od wszystkiego przy pierwszej niepomyślnej oznace. Człowieka można się pozbyć. Na nieszczęście dzienniki roztrąbiły po całym kraju wiadomość o jego podróży do Costaguany. Wyrażając uznanie dla sposobu prowadzenia przedsięwzięcia, jaki obrał Charles Gould, przyrzekał pomoc, ale nie szczędził cierpkich ostrzeżeń. Na jakieś pół godziny przed swym wyjazdem, kiedy trzymając kapelusz w ręce, miał już zejść na patio, by wsiąść do powozu zaprzęgniętego w białe muły, tak jeszcze się odezwał w pokoju Charlesa:

— Niech pan działa dalej po swojemu i tak długo liczy na moją pomoc, jak długo będzie umiał pan sobie radzić. Ale niech pan będzie pewny, że w razie potrzeby będziemy wiedzieli, jak pana w porę opuścić.

Na to jedyną odpowiedzią Charlesa Goulda były słowa:

— Proszę możliwie najrychlej przysyłać maszyny!

Wielkiemu człowiekowi podobała się ta niewzruszona pewność siebie. Tajemnica jej polegała na tym, iż Charles Gould lubował się w takich bezwzględnych określeniach. Były nie mniej stanowcze od przeświadczenia, jakie wyrobił sobie o kopalni w swych chłopięcych latach. Wszystko zależało tylko od niego. Rzecz była wielkiej wagi, toteż przystępował do niej z zaciętością.

Przechadzając się z żoną po korytarzu pod gniewnym okiem papugi, opowiadał jej o swej rozmowie z swym niedawnym gościem i zauważył:

— Oczywiście taki człowiek może podźwignąć sprawę lub jej zaniechać wedle swego widzimisię. Nie pogodziłby się z myślą o porażce. Może dać za wygraną lub jutro umrzeć, ale wielkie przedsiębiorstwa związane ze srebrem i żelazem go przeżyją i przyjdzie dzień, że opanują Costaguanę i resztę świata.

Przystanęli w pobliżu klatki. Papuga, podchwyciwszy dźwięk słowa należącego do jej słownika, uważała za potrzebne się wtrącić. Papugi są bardzo towarzyskie.

— *Viva Costaguana!* — wrzasnęła z ogromną stanowczością i nastroszywszy pióra, przybrała wygląd napuszonego kłębka ospałości za lśniącymi drutami klatki.

— A czy ty w to wierzysz, Charley? — spytała pani Gould — Dla mnie jest to krańcowy materializm i...

— To mnie nie obchodzi — przerwał jej mąż przekonywającym tonem. — Posługuję się wszystkim, co mi się pod rękę nawinie. Nie moją jest rzeczą orzekać, czy jego gadanina jest głosem przeznaczenia, czy tylko przejawem tuzinkowej wymowności. W obu Amerykach słyszy się często jedno i drugie. Widocznie atmosfera Nowego Świata sprzyja sztuce krasomówczej. Czy nie pamiętasz, jak nasz kochany Avellanos potrafi tu gadać całymi godzinami? ...

— Och, to co innego! — zaprzeczyła pani Gould, niemal urażona. Przymówka nie była na miejscu. Don José był kochanym, zacnym człowiekiem, który mówił bardzo dobrze i rozprawiał z zapałem o kopalni San Tomé. — Jak możesz ich porównywać? — zawołała z wyrzutem. — On cierpiał, a jednak nie traci nadziei.

Kompetencja w działaniu mężczyzn, w którą zresztą nie powątpiewała, bywała zawsze dla pani Gould wielką niespodzianką, zauważyła bowiem, iż niejednokrotnie, kiedy chodziło o najoczywistsze wnioski, okazywali oni osobliwą tępotę.

Charles Gould z zatroskanym spokojem, który zapewnił mu znów serdeczną tkliwość żony, zaręczył, iż nie miał zamiaru porównywać. Bądź co bądź sam był Amerykaninem i w niejakiej mierze mógł zdawać sobie sprawę z obu rodzajów wymowy, „gdyby nie szkoda było na to czasu" — dodał z goryczą. On jednak oddychał powietrzem angielskim dłużej niż ktokolwiek z jego rodziny od trzech pokoleń, więc zasługuje może na usprawiedliwienie. Jego biedny ojciec mógł również być wymowny. I zapytał żony, czy przypomina sobie ustęp z pewnego ojcowskiego listu, w którym pan Gould wyrażał przeświadczenie, „iż widocznie Bóg pogniewał się na tę ziemię, gdyż inaczej zesłałby przez jakąś szczelinę bodaj promyk nadziei w te potworne mroki intryg, krwiożerczości i zbrodni, które zaległy nad królową lądów".

Pani Gould nie zapomniała.

— Czytałeś mi to, Charley — szepnęła. — Wstrząsnęło mną to zdanie. Jak głęboko musiał twój ojciec odczuwać jego okropny smutek.

— Nie chciał być ofiarą rozboju. Doprowadzało go to do rozpaczy — rzekł Charles Gould. — Ale jego obrazowe powiedzenie da się wcale nieźle zastosować. Trzeba nam tu prawa, rzetelności, porządku, bezpieczeństwa. Niech inni deklamują sobie o tych sprawach, ja pokładam ufność w interesach materialnych. Gdy staną mocno na nogach, będą musiały wytworzyć warunki, od których jedynie zależy ich dalsze istnienie. Oto dlaczego groszoróbstwo znajduje usprawiedliwienie wobec tutejszego nierządu i bezprawia. Usprawiedliwia je to, iż bezpieczeństwo, którego wymaga, staje się udziałem uciemiężonego ludu. Lepszy rodzaj sprawiedliwości nastąpi później. Na tym polega ów promyk nadziei. — Ramię jego zacisnęło się na chwilę silniej dokoła jej smukłych kształtów. — I kto wie, czy kopalnia San Tomé nie stanie się w tym znaczeniu ową szczeliną w ciemnościach, o której mój biedny ojciec powątpiewał, czy kiedyś ją zobaczy.

Spojrzała na niego z podziwem. Był powołany do dzieła. Nadał imponujący kształt jej nieokreślonym, niesamolubnym ambicjom.

— Charley — rzekła — jesteś wspaniale nieposłuszny.

Nagle pozostawił ją samą na korytarzu i poszedł po swój kapelusz, miękkie, szare sombrero, które chociaż stanowiło cząstkę stroju narodowego, mimo to nadspodziewanie dobrze licowało z jego angielskim wyglądem. Po chwili ukazał się znowu, trzymając szpicrutę pod pachą i dopinając rękawiczki. Jego twarz odzwierciedlała stanowczość jego

myśli. Żona oczekiwała go przy zejściu ze schodów. Zanim ucałował ją na pożegnanie, dokończył rozmowę:

— To jedno jest całkiem pewne, że nie ma dla nas odwrotu. Czy podobna zaczynać życie na nowo? Postawiliśmy na tę kartę całe swe istnienie.

Pochylił się nad jej odwróconą twarzą z wielką słodyczą i jakby ze skruchą. Charles Gould był powołany do dzieła, gdyż nie poddawał się złudzeniom. O koncesję Gouldów trzeba było walczyć na śmierć i życie taką bronią, jaką można było znaleźć w kałuży zepsucia, tak powszechnego, iż niemal straciło swe znaczenie. Był gotów sięgnąć po tę broń. Przez chwilę doznawał wrażenia, jak gdyby ta kopalnia srebra, która zabiła jego ojca, wabiła go dalej, niż zamierzał pójść, i poddając się zawiłej logice wrażeń, czuł, że wartość jego życia zależy od powodzenia. Nie było już drogi odwrotu.

ROZDZIAŁ VII

Pani Gould posiadała zbyt inteligentną zdolność odczuwania, żeby nie podzielać tego uczucia. Stanowiło ono podnietę życiową, a nazbyt była kobietą, żeby miała nie lubić podniet. Ale bała się nieco, a kiedy don José Avellanos, kołysząc się w amerykańskim fotelu, zapędzał się tak daleko, iż powiadał: „A gdyby nawet, mój drogi Carlosie, ci się nie powiodło, gdyby jakiś złowrogi wypadek zniszczył twe dzieło, to jednak zasłużyłbyś się ojczyźnie", pani Gould podnosiła oczy od zastawy stołowej i wpatrywała się przenikliwie w swego męża, obracając łyżeczką w filiżance, jak gdyby po to, żeby tych słów nie dosłyszał.

Zresztą don José nie miał podobnych przypuszczeń na myśli. Nie mógł się nachwalić taktu i odwagi drogiego Carlosa. Jego angielskie, twarde jak skała właściwości charakteru były najlepszą rękojmią. Tak utrzymywał don José, po czym zwracając się do pani Gould z poufałością, na jaką mu pozwalał podeszły wiek i dawna zażyłość, dodawał: „Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Emilio, moja duszyczko, to jesteś taką szczerą patriotką, jak gdybyś się urodziła wśród nas".

Mogło to być mniej lub więcej prawdą. Pani Gould, jeżdżąc z mężem po całej prowincji w poszukiwaniu robotników, przyglądała się uważniej temu krajowi, niżby to uczyniła urodzona Costaguanera. W podniszczonej amazonce[91], z twarzą okrytą białym kurzem niby warstwą gipsu i przysłoniętą małą, jedwabną maską przed upalnym słońcem, podróżowała na kształtnym, lekkonogim kłusaku w otoczeniu nielicznego grona. Dwu *mozos de campo*[92] w malowanych wielkich kapeluszach, z ostrogami u bosych pięt, w białych, wyszywanych *calzoneras*[93], skórzanych kurtkach i pasiastych ponchach, przewiesiwszy karabiny przez plecy, gnało na złamanie karku, kołysząc się miarowo na swych koniach. *Tropilla*[94] mułów jucznych tworzyła straż tylną, pozostającą pod nadzorem szczupłego, śniadego mulnika, który siedział na swym kłapouchym człapaku blisko zadu, wyciągnąwszy daleko nogi ku przodowi, a szeroka kresa jego kapelusza, tworzyła jakby otok dokoła jego głowy. Na komendanta i organizatora tej wyprawy polecił don José starego oficera costaguańskiego, wysłużonego majora, który wprawdzie nie mógł poszczycić się szlachetnym pochodzeniem, lecz mimo to był w łaskach u najznakomitszych rodów, gdyż należał do *blancos*. Końce siwych wąsów zwisały mu znacznie poniżej brody. Jadąc obok pani Gould, rozglądał się dokoła dobrotliwymi oczyma, zwracał uwagę na cechy okolicy, wyszczególniając po nazwie *pueblos*[95], *estates*[96] i *haciendas*[97], które na podobieństwo wydłużonych warowni wieńczyły wzgórza, wznosząc się nad doliną Sulaco. Pełna zieleni łanów, równin i zagajników, błyskająca zwierciadłami wód, roztaczała się ona na podobieństwo parku od błękitnych oparów dalekiej Sierry aż po niezmierzoną, rozedrganą linię trawy i nieba na widnokręgu, gdzie wielkie, białe obłoki zdawały się z wolna zapadać w ciemność swych własnych cieni.

Wieś

Ludzie orali drewnianymi pługami ciągnionymi przez woły, które gubiły się wśród

[91] *amazonka* — tu: długa suknia używana przez kobiety jako strój do jazdy konnej. [przypis edytorski]
[92] *mozos de campo* (hiszp.) — młodzi ludzie ze wsi. [przypis edytorski]
[93] *calzoneras* (hiszp.) — spodnie do konnej jazdy. [przypis edytorski]
[94] *tropilla* (hiszp.) — stado. [przypis edytorski]
[95] *pueblo* (hiszp.) — osiedle. [przypis edytorski]
[96] *estate* (hiszp.) — majątek, posiadłość. [przypis edytorski]
[97] *hacienda* (hiszp.) — dwór. [przypis edytorski]

ogromu przestrzeni, jak gdyby pochłaniane przez nieskończoność. Konne postacie *vaqueros* przemykały w oddali. Rogate łby wielkich stad pasącego się bydła zlewały się w jedną rozfalowaną linię przecinającą rozległe *portreros*[98]. Rosochate drzewo bawełniane ocieniało słomianą strzechę przydrożnej chaty. Wlekli się długim uznojonym szeregiem obarczeni ciężarami Indianie, którzy zdejmowali kapelusze i wznosili swe smutne oczy ku podróżnym wzbijającym kurz na rozsypującej się Camino Real, zbudowanej kiedyś rękami ich ujarzmionych praojców. I z każdym dniem podróży zdawało się pani Gould, że wnika coraz głębiej w duszę tego kraju, że dokonuje straszliwego odkrycia jego wnętrza, niedotkniętego lekką, europejską powłoką miast przybrzeżnych, że ten wielki przestwór równin i gór pełen jest ludu cierpiącego i milczącego, zakrzepłego w bolesnym i cierpliwym oczekiwaniu przyszłości.

Wieś, Gość

Poznała krajobrazy tej ziemi i jej gościnność, udzielaną z ospałą jakby godnością w wielkich dworach o długich, ślepych ścianach i potężnych portykach, otwierających się na wietrzne pastwiska. Zajmowała pierwsze miejsce przy stołach, do których państwo i czeladź zwykli zasiadać razem z patriarchalną prostotą. Zdarzało się jej rozmawiać z paniami tych domów na podwórzach, gdzie drzewa pomarańczowe pławiły się w księżycowej poświacie. Czarowała ją słodycz ich głosów i jakby jakaś tajemniczość ich spokojnego bytowania. Rankiem panowie, w plecionych sombrerach i suto haftowanych strojach, wsiadali na swe rumaki, połyskujące od srebrnych świecideł, i odprowadzali odjeżdżających gości aż do słupów granicznych swych majątków, gdzie żegnali ich z powagą i polecali boskiej opiece. We wszystkich tych dworach żyły wspomnienia ucisku politycznego: opowiadano jej o krewnych i znajomych, zrujnowanych, uwięzionych, poległych w niedorzecznych wojnach domowych lub wyjętych spod prawa i okrutnie straconych, jak gdyby rządy w państwie były igraszką głupkowatych diabłów, których wypuszczono na kraj, odziawszy w mundury, uzbroiwszy w szable i górne frazesy. I ze wszystkich ust przemawiało umęczone pragnienie pokoju oraz lęk przed światem urzędniczym wraz z jego upiorną parodią administracji bez prawa, bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

Podróżowała całe dwa miesiące i zniosła tę podróż bardzo dobrze; okazywała wielką odporność na trudy, którą ze zdziwieniem dostrzega się niekiedy u pozornie wątłych kobiet, jak gdyby wyposażonych w szczególną moc ducha. Don Pépé, stary oficer costaguański, niepokoił się zrazu wielce o to chuchro, lecz później zaczął ją nazywać „niestrudzoną señorą". Pani Gould rzeczywiście stawała się Costaguarierą. Zapoznawszy się w południowej Europie z prawdziwym chłopstwem, mogła docenić wielką wartość ludu. Pod powłoką milczącego zwierzęcia roboczego o smutnych oczach dostrzegała człowieka. Widywała ich, jak na drogach uginali się pod ciężarami lub samotnie pracowali wśród równin w wielkich słomianych kapeluszach i trzepoczących na wietrze połach białej odzieży. Zapamiętywała sobie wsie według gromadek kobiet indiańskich stojących u studni lub według melancholijnych i zmysłowych rysów dziewcząt indiańskich, które niosły gliniane naczynia napełnione zimną wodą do drzwi ciemnych chat z drewnianymi okapami, pod którymi stały wielkie, brunatne dzbany.

Wieś

Potężne, drewniane koła wozów, których dyszle nurzały się w kurzu, były dziełem siekiery. Nosiciele węgla, z których każdy umieszczał swe brzemię tuż nad swą głową na niskim, glinianym murze, układali się rzędem do snu w smudze cienia.

Ogromne kamienne mosty i kościoły, które pozostały po zdobywcach, świadczyły o nieposzanowaniu ludzkiego znoju, o niewolniczej pracy wytępionych narodów. Wszechwładza królów i Kościoła wprawdzie minęła, ale na wzgórzach, które górowały nad niskimi, glinianymi lepiankami wiejskimi, wciąż jeszcze widniały potężne zwały ruin. Na ich widok don Pépé przestawał opowiadać o swych wyprawach wojennych i wzdychał:

— Biedna Costaguano! Dawniej byłaś wszystkim dla *padres*[99], a niczym dla ludu, teraz jesteś wszystkim dla tych polityków ze Santa Marta, dla Murzynów i złodziei!

Charles rozmawiał z *alcadami*[100], z urzędnikami skarbowymi, z radcami miejskimi i ze szlachtą wiejską. Komendanci okręgów ofiarowywali mu eskorty, gdyż mógł się wykazać upoważnieniem ówczesnego wielkorządcy z Sulaco. Ile złotych dwudziestopięciodolarówek kosztował go ten dokument, to miało pozostać tajemnicą między nim a wielkim

[98]*portrero* (hiszp.) — duże, otwarte pastwisko. [przypis edytorski]
[99]*padre* (hiszp.) — ojciec; tu: ksiądz. [przypis edytorski]
[100]*alcade* (hiszp.) — alkad, burmistrz, urzędnik zarządzający miastem. [przypis edytorski]

człowiekiem ze Stanów Zjednoczonych (który raczył odpisywać własnoręcznie na listy z Sulaco) i jeszcze innym wielkim człowiekiem, o ciemnej, oliwkowej cerze i chytrych oczach, który rezydował wtedy w pałacu Intendencji w Sulaco i chełpił się swą kulturą i europejskością we francuskim stylu, gdyż spędził kilka lat w Europie — na wygnaniu, jak powiadał. Było jednak powszechnie wiadomo, iż przed owym wygnaniem zdarzyło się mu nieopatrznie przegrać całą gotówkę Urzędu Celnego w pewnym niewielkim porcie, gdzie dzięki poparciu wpływowego przyjaciela piastował godność poborcy. Ta młodzieńcza nieopatrzność naraziła go na niejakie nieprzyjemności i uczyniła zeń na czas jakiś kelnera w kawiarni madryckiej; ale widocznie odznaczał się wielkimi zdolnościami, skoro z taką chwałą powrócił na widownię polityczną. Charles Gould, wyłuszczając swą sprawę z niewzruszonym spokojem, tytułował go ekscelencją.

Dostojnik prowincjonalny przybrał wyraz znudzonej wyższości, kołysząc się w swym fotelu koło otwartego okna na sposób iście costaguański. Orkiestra wojskowa rzępoliła właśnie na placu urywki z oper, więc podniesioną ręką dwukrotnie nakazywał milczenie, by wysłuchać ulubionej melodii. Muzyka

— Znakomicie, rozkosznie! — bełkotał, nie zważając, iż Charles Gould stoi i czeka z niepojętą cierpliwością. — *Lucia, Lucia di Lammermoor!*[101] Namiętnie lubię muzykę. Zachwyca mnie! Ach, to boskie! Ach, Mozart! *Si*[102], boskie!... O czym to pan mówił?

Rzecz prosta, iż pogłoski o zamiarach przybysza dotarły już do jego uszu. Ponadto otrzymał ostrzeżenie urzędowe ze Santa Marta. Chodziło mu po prostu o to, by nie zdradzić się ze swą ciekawością i wywrzeć wrażenie na gościu. Skoro jednak w otwartej szufladzie stojącego opodal wielkiego biurka dostrzegł coś, czego przedtem tam nie było, stał się niezmiernie uprzejmy i powrócił spiesznie na swój fotel. Władza

— Jeżeli pan zamierza budować wioski i osadzać ludność dokoła kopalni, to trzeba będzie się postarać o pozwolenie ministra spraw wewnętrznych — doradzał w formie urzędowej.

— Podanie już wysłałem — rzekł niezachwiany Charles Gould — i liczę obecnie z całą ufnością na przychylną odpowiedź ekscelencji.

Ekscelencja był człowiekiem o zmiennych nastrojach. Kiedy otrzymał łapówkę, wielka łagodność spłynęła na jego nieskomplikowaną duszę. Nadspodziewanie wydał głębokie westchnienie.

— Ach, don Carlosie! Czego tu trzeba, w tej prowincji, to takich postępowych ludzi jak pan! Zastój, zastój u tych arystokratów! Nie mają zmysłu społecznego! Nie mają przedsiębiorczości! Poczyniwszy głębokie studia w Europie, chciałbym... rozumie mnie pan?

Z ręką na wypiętej piersi podnosił się i opadał na palcach i przez jakieś dziesięć minut z zapartym tchem starał się namiętną wymową przedrzeć przez grzeczne milczenie Charlesa Goulda. Kiedy zaś ustał nagle i osunął się znowu w swój fotel, wyglądał, jak gdyby go odparto od jakiejś warowni. By zachować godność, odprawił spiesznie milczącego gościa dostojnym skinieniem głowy i słowami pełnymi opryskliwej, znużonej wyniosłości:

— Może pan polegać na mej światłej przychylności, o ile nie będzie pan się rozmijał z obowiązkami dobrego obywatela.

Wziął do ręki papierowy wachlarz i zaczął się nim chłodzić z wielce urzędową miną. Kiedy jednak Charles Gould skłonił się i wyszedł, opuścił natychmiast wachlarz. Miał na twarzy wyraz zdziwienia i zakłopotania, patrząc przez czas jakiś na zamknięte drzwi. W końcu wzruszył ramionami, jakby chciał się utwierdzić w lekceważeniu. Chłodny, nieruchawy. Bez inteligencji. Rude włosy. Prawdziwy Anglik. Uczuł do niego odrazę.

Twarz mu pociemniała. Co oznaczało to obojętne i chłodne zachowanie? Był pierwszym z polityków wysłanych ze stolicy do zarządzania Zachodnią Prowincją, którego postępowanie Charlesa Goulda w stosunkach urzędowych dotknęło obraźliwą niezależnością.

Charles Gould był zdania, iż o ile pozory, jakoby przysłuchiwał się idiotycznym bzdurom, mogły jeszcze wchodzić w skład łapówki, za którą miano mu oszczędzić niemiłych nagabywań, o tyle obowiązek popisywania się samemu podobną gadaniną już do niej nie

[101] *Lucia di Lammermoor* (wł.) — *Łucja z Lammermooru* (1835), opera tragiczna z muzyką Gaetana Donizettiego i librettem Salvatora Cammarano, opartym na powieści Waltera Scotta. [przypis edytorski]

[102] *si* (wł., hiszp.) — tak. [przypis edytorski]

należał. Przyjął pewien sposób postępowania. Dla satrapów[103] prowincjonalnych, przed którymi zwykły truchleć wszystkie warstwy spokojnej ludności, powściągliwość tego angielskiego inżyniera była wielce nie na rękę, więc wahali się między uniżonością a gburowatością. W końcu przekonali się wszyscy, iż bez względu na stronnictwo, które stało u władzy, pozostawał on zawsze w najściślejszych stosunkach ze sferami rządzącymi w Santa Marta.

Było to pewnikiem z niemałą korzyścią dla Gouldów, którzy bynajmniej nie byli tak bogaci, jak inżynier naczelny nowej kolei mógł słusznie przypuszczać. Idąc za radą don Joségo Avellanosa, który był człowiekiem rozumnym (choć okropne przejścia w czasach Guzmana Bento uczyniły go zalęknionym), Charles Gould nie gromadził kapitałów. Mimo to w plotkach rezydentów cudzoziemskich (po części poważnie, a po części ironicznie) był zwany „królem Sulaco". O pewnym adwokacie trybunału costaguańskiego, człowieku znanym ze zdolności i prawości, a przy tym należącym do znakomitej rodziny Moraga, posiadającej rozległe włości w dolinie Sulaco, powiadano z domieszką poszanowania i tajemniczości, iż jest agentem kopalni San Tomé — rozumie się, „politycznym". Był rosły, miał czarne bokobrody i słynął ze swej skrytości. Wiedziano powszechnie, iż ma łatwy dostęp do ministrów i że wielu generałów costaguańskich bywa chętnie u niego na obiadach. Prezydenci bez trudu udzielali mu posłuchania. Pozostawał w ożywionej korespondencji ze swym wujem, don Josém Avellanosem, ale swe listy, o ile nie były zdawkowym przejawem należnego uszanowania, rzadko powierzał poczcie costaguańskiej. Otwierano je bowiem na ogół z nieskrępowanym i bezczelnym bezwstydem, charakterystycznym dla niektórych rządów południowoamerykańskich. Trzeba jednakże nadmienić, iż mulnik, którego zatrudniał Charles Gould w swych pierwszych wycieczkach po równinach, mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiło ponowne otwarcie kopalni San Tomé, przyłączył swe niewielkie stadko zwierząt jucznych do nikłego strumyka ruchu handlowego, który przełęczami górskimi przenikał z płaskowyżu Santa Marta do doliny Sulaco. Tym stromym i niebezpiecznym szlakiem rzadko kto podróżował, o ile nie zachodziły wyjątkowe okoliczności, zaś stan handlu wewnątrz kraju nie wymagał widocznie dodatkowych ułatwień przewozowych. Mimo to ów mulnik zdawał się nieźle wychodzić na swym zajęciu. Trochę pakunków zawsze jakoś się znalazło, gdy miał wyruszać w drogę. Bardzo suchy i śniady, w portkach z koziej skóry wywróconej włosem na zewnątrz, sadowił się na swym rączym mule blisko jego zadu, zasłaniał się swym wielkim kapeluszem od słońca i z wyrazem błogiego próżniactwa na wydłużonej twarzy podśpiewywał sobie całymi dniami żałośnie jakieś piosnki miłosne lub nie zmieniając w niczym swego wyglądu, przynaglał wrzaskiem swą małą *tropillę*, idącą przodem. Niewielka, okrągła gitara zwieszała się mu z pleców, zaś w jednym z jego drewnianych siodeł znajdował się artystycznie wydrążony otwór, w który można było włożyć mocno zwinięty papier, po czym zatkać ten otwór drewnianym kołkiem i zgrzebne płótno, które stanowiło powłokę siodła, przybić gwoździkami na nowo. Kiedy był w Sulaco, całymi dniami (jakby nie miał nic lepszego do roboty) palił papierosy lub wylegiwał się na ławie kamiennej stojącej przed bramą Casa Gould, na wprost okien domu Avellanosa. Przed laty matka jego była pierwszą praczką w tym domu, nadzwyczaj biegłą w krochmaleniu. On sam przyszedł na świat w jednej z *haciendas* Avellanosów. Miał na imię Bonifacio. Don José, idąc do doñii Emilii na zwykłą, popołudniową wizytę, zawsze odpowiadał na jego pokorny ukłon skinieniem ręki lub głowy. Odźwierni obu domostw gawędzili z nim leniwie tonem wielkiej zażyłości. Wieczory spędzał na grze lub zabawiał się po pańsku i wesoło z dziewczętami *peyne d'oro*[104] w najodleglejszych zaułkach miasta. Ale był również człowiekiem bardzo dyskretnym.

ROZDZIAŁ VIII

Kto dla ciekawości lub interesu bywał w Sulaco przed wypuszczeniem pierwszego pociągu, ten zapewne pamięta, jaki zbawienny wpływ wywarła kopalnia San Tomé na życie tej zabitej deskami prowincji. Wygląd zewnętrzny jeszcze wówczas się nie zmienił, jak to nastąpiło później, kiedy tramwaje zaczęły krążyć po ulicy Konstytucji, kiedy w głąb kraju rozbiegły się gościńce, hen, ku Rincon i do innych wsi, gdzie kupcy cudzoziem-

[103] *satrapa* — namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji; synonim tyrana. [przypis edytorski]
[104] *peyne d'oro* (daw. hiszp., dziś: *peine d'oro*) — złote grzebienie. [przypis edytorski]

scy i *ricos*[105] posiadają nowoczesne wille, i kiedy zbudowano ogromne magazyny kolejowe w pobliżu portu, który otrzymał przybrzeżną ulicę, długi rząd składów towarowych i najzupełniej swoiste, nie byle jak zorganizowane zaburzenia robotnicze.

Nikt przedtem nie słyszał o zaburzeniach robotniczych. Robotnicy portowi tworzyli krnąbrne bractwo wszelkiej hołoty. Bractwo to miało swego świętego patrona. Zwykli byli strajkować każdego dnia, kiedy odbywały się walki byków, zaś tego rodzaju zaburzeń nawet wielka powaga Nostroma nie była zdolna powściągnąć dość skutecznie. Ale nazajutrz po takiej fieście[106], kiedy śniegi Higueroty jarzyły się blado nad miastem na czarnym jeszcze niebie, a przekupki indiańskie nie zdążyły jeszcze pootwierać na plaży swych uplecionych z łyka parasoli, pojawienie się widmowego jeźdźca na siwej klaczy rozstrzygało niezawodnie o problemie pracy. Jego klacz człapała po błotnistych uliczkach i porośniętych chwastami podwórkach czarnych, nieoświetlonych chat, które okolone murami starej warowni wyglądały jak stajnie lub jak psie budy. Jeździec łomotał kolbą ciężkiego rewolweru do drzwi niskich *pulperias*[107], ohydnych lepianek, przypartych do zwalisk wyniosłych ścian, lub kołatał do drewnianych ścian chałupek tak wątłych, iż w przerwach między potężnymi hukami jego uderzeń dolatywały z wewnątrz odgłosy chrapania i sennego mamrotania. Nie opuszczając siodła, jeździec wołał groźnie po imieniu i powtarzał wołanie. Zaspane głosy — opryskliwe, pojednawcze, dzikie, żartobliwe lub błagalne — odzywały się z wnętrza i rozlegały się wśród głuchej ciemności spowijającej jeźdźca, a po chwili ciemna postać ukazywała się, zakłócając kaszlem ciszę powietrza. Niekiedy niski głos kobiecy odezwał się z otworu okiennego: „Zaraz idzie, señor!", a jeździec czekał w milczeniu na nieruchomym koniu.

Ale jeżeli zdarzyło się mu zejść z siodła, wówczas po chwili z drzwi takiej chałupki czy *pulperii* wśród dzikich podrygów i zdławionych klątw wylatywał głową naprzód *cargador* i toczył się pod przednie kopyta siwej klaczy, która tylko strzygła bystro swymi drobnymi uszami. Była przyzwyczajona do podobnych widowisk, zaś potrącony stawał na nogi i usuwał się śpiesznie sprzed rewolweru Nostroma, zataczając się z lekka po drodze i klnąc pod nosem. Kapitan Mitchell, który o wschodzie słońca miał zwyczaj pojawiać się w nocnym stroju na drewnianym balkonie przebiegającym wzdłuż całego budynku T.O.Ż.P., widział, że lichtugi już są w drodze i że robotnicy krzątają się pilnie koło żurawi ciężarowych. Zdarzało mu się nawet słyszeć nieocenionego Nostroma, który zsiadłszy z konia, w kraciastej koszuli i czerwonym pasie żeglarzy śródziemnomorskich, grzmiącym głosem wydawał z końca pomostu rozkazy. Co za człowiek!

Materialne przejawy udoskonalonej cywilizacji, zacierającej indywidualności starych miast stereotypowymi urządzeniami nowoczesnego życia, wówczas jeszcze nie wtargnęły do miasta. Jednak nader nowoczesna w swej istocie działalność kopalni San Tomé zaczęła już wywierać swój subtelny wpływ na zgrzybiałą starodawność Sulaco, gdzie domy, ozdobione sztukateriami, mają zakratowane okna i gdzie spoza posępnej zieleni cyprysów wyzierają ogromne, żółtawobiałe ściany opustoszałych klasztorów. Zmienił się również zewnętrzny wygląd tłumu, który w uroczyste dni tłoczył się na plaży przed otwartymi drzwiami katedry, gdyż pojawiło się mnóstwo białych *ponchos* z zielonym obszyciem, stanowiących odświętny strój górników ze San Tomé. Zaczęli oni również nosić białe kapelusze z zielonymi wstążkami i takież naramienniki. Te części stroju, w przednim zresztą gatunku, nabywali za bezcen w magazynach administracji. Spokojny *Cholo*[108] noszący te barwy (niezwyczajne w Costaguanie) nader rzadko bywał teraz pobity do nieprzytomności z powodu nieposzanowania okazanego policji miejskiej. Nie narażał się również na niebezpieczeństwo, iż po drodze zostanie pojmany na lasso przez *lanceros*[109] poławiających rekruta. Ta metoda zaciągania ochotników do wojska uchodziła za najzupełniej legalną w republice. Wiadomo było powszechnie, iż całe wsie werbowano w ten sposób do armii, na co don Pépé, wzruszając beznadziejnie ramionami, powiadał do pani Gould:

[105] *rico* (hiszp.) — bogacz. [przypis edytorski]
[106] *fiesta* (hiszp.) — święto. [przypis edytorski]
[107] *pulperia* (hiszp.) — karczma. [przypis edytorski]
[108] *Cholo* (hiszp.) — potomek rodziców hiszpańskiego i indiańskiego pochodzenia. [przypis edytorski]
[109] *lanceros* (hiszp.) — lansjerzy, lekka kawaleria uzbrojona w lance. [przypis edytorski]

— Cóż pani chce? Biedni ludzie! *Pobrecitos! Pobrecitos!*[110] Ale państwo musi mieć żołnierzy.

Tak ze swego stanowiska zawodowego zapatrywał się na to don Pépé, były bojownik o obwisłych wąsach, orzechowej, szczupłej twarzy i twardo zarysowanych szczękach. Z wyglądu przypominał konnego pastucha, który strzeże bydła na wielkich *llanos*[111] południa.

— Jeżeli señores zechcą posłuchać starego oficera Paeza[112] — tak zwykł był zaczynać swe przemowy w Klubie Arystokratycznym w Sulaco, do którego go dopuszczono w uznaniu zasług, jakie położył niegdyś w sprawie federacji. Klub ten, założony w epoce ogłoszenia niepodległości Costaguany, szczycił się, że wielu bojowników o wyzwolenie należało do grona jego założycieli. Znęcała się nad nim bez końca samowola różnych rządów. Jego członkowie bywali wyjmowani spod prawa, a w końcu padli nawet ofiarą gromadnej rzezi, zebrawszy się nieopatrznie na ucztę z polecenia gorliwego komendanta miejscowej załogi. Najnikczemniejszy motłoch odarł następnie ich zwłoki do naga i powyrzucał przez okna na *plaza*[113]. Z nastaniem lepszych czasów klub rozkwitł na nowo. Szczodrze użyczał cudzoziemcom gościnności w chłodnych, obszernych komnatach, położonych we frontowej części budynku, który był niegdyś siedzibą wysokiego dostojnika Świętego Oficjum[114]. Dwa inne skrzydła stały opuszczone, a za ich zabitymi na głucho drzwiami dokonywała się zupełna ruina odwróconej ku bramie części tylnej. Przysłaniał ją zagajnik drzew pomarańczowych, które wybujały na niebrukowanym podwórzu. Wchodziło się tam z ulicy, jak do jakiegoś zaklętego sadu. Podnóża rozklekotanej klatki schodowej strzegł omszały posąg jakiegoś świętego biskupa w mitrze i z pastorałem. Pokornie znosił on ohydę utrąconego nosa, skrzyżowawszy na piersiach swe kształtne, kamienne ramiona. Czekoladowe twarze służby z czubami czarnych włosów spoglądały z góry na wchodzących. Łoskot kul bilardowych dolatywał do uszu, a kiedy weszło się po schodach, zaraz w pierwszej sali spostrzegało się zazwyczaj don Pépégo, który w pełnym świetle sadowił się sztywno na krześle z prostopadłym oparciem, poruszał swymi długimi wąsami i sylabizował jakąś starą gazetę z Santa Marta, trzymaną na odległość ramienia od twarzy. Jego koń, nieczuła, lecz wytrzymała kara szkapa z łbem kształtu młota, drzemał nieruchomo na ulicy pod olbrzymim siodłem, dotykając niemal nozdrzami skraju chodnika.

Don Pépé, o ile „wypełzł z gór", jak brzmiało powiedzenie, używane często w Sulaco, bywał także w salonie Casa Gould. Ze skromnym poczuciem swej godności i niejaką powściągliwością zasiadał do stołu, przy którym podawano herbatę. Trzymając kolana blisko siebie i z dobroduszną jowialnością łypiąc głęboko osadzonymi oczyma, wtrącał swe zwięzłe, ironiczne żarty do toku rozmowy. Była w tym człowieku jakaś zdrowa, ucieszna przebiegłość oraz żyłka szczerego człowieczeństwa, spotykana tak często u prostych, starych żołnierzy, którzy niejednokrotnie dowiedli swej odwagi w rozpaczliwych okolicznościach. Nie miał oczywiście pojęcia o górnictwie, ale jego zajęcie było specjalnego rodzaju. Miał nadzór nad ludnością na całym terytorium kopalni od wylotu gardzieli aż do miejsca, gdzie droga jezdna opuszcza podnóże gór i skręca w równinę, podążając przez strumień po drewnianym mostku pomalowanym na zielono. Zieleń ta, oznaka nadziei, była zarazem barwą kopalni.

Opowiadano w Sulaco, iż „hen, w górach" don Pépé przyodziewał podniszczony mundur z wyblakłymi epoletami majora i chodził po stromych ścieżynach z wielkim mieczem u boku. Górnicy składali się przeważnie z Indian o dużych, dzikich oczach. Mówili do niego: *taita* (ojcze), jak zwykł przemawiać bosy lud costaguański do ludzi, którzy mają na nogach obuwie. Niczym to jednak było w porównaniu z tym, co uczynił Basilio, osobisty

[110] *pobrecito* (hiszp.) — biedak. [przypis edytorski]

[111] *llano* (hiszp.) — równina. [przypis edytorski]

[112] *Páez, José Antonio* (1790–1873) — wenezuelski generał i polityk; uczestnik walk o niepodległość Ameryki Łacińskiej: od 1816 jako przywódca *llaneros*, od 1819 w armii Simona Bolivara; od 1822 rządził Wenezuelą jako częścią składową Wielkiej Kolumbii, w 1830 proklamował niezależność tego kraju i objął władzę jako prezydent; obalony w 1863. [przypis edytorski]

[113] *plaza* (hiszp.) — plac miejski. [przypis edytorski]

[114] *Święte Oficjum* — tu: *Tribunal del Santo Oficio de la Inquisición*, hiszpańska inkwizycja, instytucja kościelna powołana do strzeżenia katolickiej prawowierności mieszkańców Hiszpanii i jej kolonii. [przypis edytorski]

mozo pana Goulda i najstarszy służący w domu. Oto z najzupełniej dobrą wiarą i nie bez poczucia tego, co wypada, dał raz znać o jego przybyciu uroczystymi słowy:

— Przyszedł *el señor gobernador*.

Don José Avellanos, który był wtedy w salonie, ubawił się niezmiernie trafnością tego tytułu i prześladował nim odtąd starego majora, ilekroć jego żołnierska postać ukazywała się we drzwiach. Na to don Pépé tylko się uśmiechał pod swymi długimi wąsami, jakby chciał powiedzieć: „Można by znaleźć gorsze przezwisko dla starego żołnierza".

I *el señor gobernador* pozostawał w salonie, podżartowując z lekka ze swej funkcji i zasięgu władzy, gdzie, jak zapewniał z zabawną przesadą panią Gould:

— Nawet dwa kamienie nie potrącą o siebie, żeby *gobernador* nie dosłyszał ich łoskotu.

Robotnik

I zmyślnie przykładał koniec palca do ucha. Nawet gdy ilość górników powiększyła się do przeszło sześciu tysięcy, znał on tych wszystkich niezliczonych José'ów, Manuelów, Ignaciów z wioski *primero*, *secundo* lub *tercero*[115] (bo aż trzy wsie górnicze pozostawały pod jego zarządem). Rozpoznawał ich nie tylko po ich płaskich, bezbarwnych twarzach, które dla pani Gould były tak do siebie podobne, jak gdyby je wszystkie odlano w tej samej dziedzicznej formie niedoli i cierpliwości, ale także po niezliczonych odcieniach czerwonawobrunatnych, czarnobrunatnych lub miedzianobrunatnych grzbietów, kiedy dwie ich zmiany, odziane tylko w płócienne portki i skórzane czapki, tłoczyły się na wzniesieniu przed wejściem do głównego szybu, tworząc zamęt nagich członków, zarzuconych na ramiona oskardów, rozkołysanych lamp i stóp ozutych w sandały. Była to chwila odpoczynku. Chłopcy indiańscy stali, oparci leniwie o długi rząd małych, pustych, wywrotnych wagoników; górnicy od łupania i przesiewania rudy przykucnęli na ziemi, paląc długie cygara. Wielkie drewniane rynny, pochylone nad skrajem wzniesienia, z którego wchodziło się do szybu, teraz ucichły, słyszało się tylko mocny, nieprzerwany szum wody szemrzącej w sztucznych łożyskach, łoskot rozpędzonych kół turbiny i dudnienie stęporów[116], które rozcierały opodal na proch drogocenny kamień. Starsi górnicy, wyróżniający się mosiężnymi odznakami zawieszonymi na nagich piersiach, odbywali przegląd swych podwładnych. W końcu góra pochłonęła jedną połowę milczącej ciżby, zaś druga jej połowa zaczęła długimi szeregami schodzić po zakosach ścieżek w głąb wąwozu. Wąwóz był głęboki. Smuga roślinności, wijąca się hen, w dole wśród jaskrawo oświetlonych zwałów skał, podobna była do nikłej, zielonawej wstęgi, na której trzy zwarte kępy bananowców, palm i cienistych drzew oznaczały wieś pierwszą, wieś drugą i wieś trzecią, siedziby górników z kopalni Gouldów.

Całe rodziny ruszyły od razu ku podnóżom Higueroty, gdy na pasterskim Campo gruchnęła wieść, że można tam znaleźć pracę i bezpieczeństwo. Omijając wezbrane wody, przedzierały się przez rozpadliny i wąwozy dalekich, błękitnych krzesanic Sierry. Przodem szedł ojciec w stożkowatym słomianym kapeluszu, za nim matka ze starszymi dziećmi, a zazwyczaj także karłowaty osiołek. Wszyscy dźwigali ciężary, prócz przewodnika, niekiedy też dorosłej dziewczyny, chluby swych rodziców, która szła boso, prosta jak trzcina, z oplotami kruczych włosów okalających jej wyrazistą, dumną twarz, nie niosąc nic prócz małej gitary i miękkich, skórzanych sandałów przewieszonych przez plecy. Na widok tych wędrowców, snujących się po rozstajnych drogach między pastwiskami lub wypoczywających na poboczu królewskiego gościńca, konni podróżni powiadali do siebie:

— Znów napływają ludzie do kopalni San Tomé. Jutro przyjdą inni.

I przynaglając konie do biegu wśród obłoków kurzu, rozprawiali o nowinach głośnych w całej prowincji, o kopalni San Tomé. Jakiś bogaty Anglik przystępował w niej do pracy — a może to nie Anglik? *Quien sabe?*[117] Słowem, cudzoziemiec, co ma pieniądze. Tak, to już się zaczęło. Ludzie, którzy byli w Sulaco ze stadem czarnych byków przeznaczonych na najbliższą corridę[118], opowiadali, iż z przedsionka *posady*[119] w Rincon, o niespełna milę od miasta, widać, jak światła w górach migocą nad drzewami. Podobno ma być tam kobieta,

[115] *primero, secundo, tercero* (hiszp.) — pierwszy, drugi, trzeci. [przypis edytorski]
[116] *stępor* — drewniany tłuczek lub kloc do ubijania albo miażdżenia czegoś. [przypis edytorski]
[117] *Quien sabe?* (hiszp.) — Kto wie? [przypis edytorski]
[118] *corrida* (hiszp.) — walka byków. [przypis edytorski]
[119] *posada* (hiszp.) — zajazd. [przypis edytorski]

która jeździ na koniu bokiem, nie w kolebce do siedzenia, lecz jakby na jakimś siodle i nosi męski kapelusz. Chodzi też pieszo ścieżkami górskimi. Pewno jest inżynierem.

— Co za głupstwo! To niemożliwe, señor!

— *Si, si. Una Americana del norte.*[120]

— No, to co innego, jeśli szanowny pan wie na pewno. *Una Americana!* Pewno to coś takiego.

I podśmiechiwali się z lekka nie bez zdumienia i pogardy, rozglądając się czujnie wśród zapadających zmierzchów, gdyż nie należy do rzeczy przyjemnych spotkać na Campo złoczyńców o późnej porze.

Don Pépé znał nie tylko mężczyzn; bacznym, zadumanym spojrzeniem ogarniał także każdą kobietę, każdą dziewczynę i każdego wyrostka przebywającego na jego terenie. Jedynie dzieciarnia wprawiała go niekiedy w kłopot. Widywano go często z księdzem, jak stawali obaj zamyśleni na ulicy i przyglądali się gromadkom spokojnych, śniadych dzieci lub naradzali się półgłosem nad pochodzeniem małego, statecznego berbecia, który nagi i poważny, dreptał drogą z cygarem w dziecięcych ustach i z różańcem na szyi, wypożyczonym dla ozdoby od matki i zwisającym sznurem pereł na drobny, krągły brzuszek. Pasterz duchowny i pasterz doczesny ludności górniczej żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni. Natomiast z doktorem Monyghamem, pasterzem lekarskim, który podjął się tych obowiązków na życzenie pani Gould i mieszkał w zabudowaniach szpitalnych, zażyłość ich nie była zbyt bliska. Ale też trudno było utrzymywać bliższe stosunki z doktorem, który ze swym przygarbionym grzbietem, zwieszoną głową, szyderczymi ustami i kosym, gorzkim spojrzeniem był niemiły i tajemniczy. Dwaj inni zwierzchnicy pracowali zgodnie. Ojciec Roman, mały, suchy, ruchliwy, pomarszczony, z wielkimi, krągłymi oczyma, ostrą brodą i wielkim, zatabaczonym nosem, był również weteranem; spowiadał niejednego biedaka na pobojowiskach republiki, klękał nieraz przy konających na stokach wzgórz, w bujnych trawach lub w mrokach lasów, by wysłuchać ostatniej spowiedzi, mając nozdrza pełne wyziewów prochu, a uszy rozkołatane od szczęku karabinów, od syków i pogwizdów kul. Wczesnymi wieczorami mieli zwyczaj grywać na probostwie w zatłuszczone karty i rozstawali się z przykrością, gdy don Pépé wychodził, by zobaczyć, czy wszyscy strażnicy kopalni, których sam przygotował do tej służby, są na swych posterunkach. Spełniając ten ostatni obowiązek przed udaniem się na spoczynek, don Pépé przypasywał swą starą szablicę na werandzie białego domu, zbudowanego w stylu rdzennie amerykańskim i zwanego przez ojca Romana probostwem. Stojący opodal długi, niski, mroczny budynek, podobny do dużej szopy, lecz z dzwonnicą na dachu i drewnianym krzyżem na szczycie, był kaplicą górników. Ojciec Roman odprawiał tam codziennie mszę przed mrocznym obrazem w ołtarzu, przedstawiającym Zmartwychwstanie: szary złom kamienia grobowego stał odchylony po jednej stronie obrazu, nad nim ulatywała wzwyż długa, sina postać w otoku bladego światła, a na brunatnym tle pierwszego planu leżał powalony śniady legionista z hełmem na głowie.

Dziecko

Ksiądz

— To malowidło, moje dzieci, jest *muy lindo e maravilloso*[121] — mawiał ojciec Roman do swych owieczek. — Oglądacie je tutaj dzięki szczodrobliwości małżonki *señora administradora*. Namalowano je w Europie, kraju cudów i świętych, dużo większym od naszej Costaguany.

Po czym zażywał z namaszczeniem szczyptę tabaki. Kiedy jednak jakiś badawczy umysł zapragnął dowiedzieć się, w jakim kierunku leży ta Europa, czy znajduje się w górę czy w dół wybrzeża, ojciec Roman, chcąc ukryć swe zakłopotanie, stawał się bardzo powściągliwy i surowy.

— To pewne, że leży bardzo daleko. Ale tacy ciemni grzesznicy, jak wy, powinni raczej wzdragać się przed wiekuistym potępieniem niż dopytywać się o wspaniałości tej ziemi z jej krajami i narodami, co zresztą nie pomieściłoby się w waszych głowach.

Po słowach: „dobranoc, *padre*", „dobranoc don Pépé", *gobernador* odchodził wielkim, posuwistym krokiem, pochylając się naprzód i tuląc do boku swe szablisko. Jowialność, z jaką zabawiał się niewinną grą w karty o kilka cygar lub garść *yerby*[122], ustępowała miej-

[120] *Si, si. Una Americana del norte* (hiszp.) — Tak, tak. Amerykanka z północy. [przypis edytorski]

[121] *muy lindo e maravilloso* (hiszp.) — bardzo piękne i cudowne. [przypis edytorski]

[122] *yerba* — wysuszone, zmielone liście ostrokrzewu paragwajskiego, z których w Ameryce Płd. przygotowuje się popularny napar, podobny do herbaty. [przypis edytorski]

sca surowemu poczuciu obowiązku u oficera, który idzie nadzorować placówki obozującej armii. Na donośny gwizd świstawki, zawieszonej na jego szyi, odpowiadały niezwłocznie przeraźliwe gwizdania innych świstawek, pomieszane ze szczekaniem psów, które odzywały się z doliny, pragnąc widocznie, by w górskim wąwozie wreszcie nastał spokój. Bez szmeru podbiegało ku niemu dwóch *serenos*[123], którzy strzegli mostu. Po jednej stronie drogi wznosiły się długie zabudowania magazynów, pozamykanych na głucho od końca do końca; po drugiej jej stronie jeszcze dłuższe, białe baraki z werandą mieściły szpital. Jarzyło się tam światło w dwu oknach mieszkania zajmowanego przez doktora Monyghama. Nie drżało nawet wiotkie listowie kępy drzew pieprzowych, tak ciche były mroki nocne, ogrzane promieniowaniem rozpalonych skał. Don Pépé zatrzymywał się na chwilę, mając przed sobą nieruchome postacie *serenos*, gdy wtem daleko w górze, na litych zboczach skał, upstrzonych migającymi pochodniami niby kroplami płomieni, które spadły z gorejących powyżej dwóch wielkich ognisk, zaczynała dudnić ruda w rynnach. Lawina łoskotu i łomotu toczyła się coraz szybciej, zyskując moc i rozpęd, podchwytywana przez krzesanice wąwozu i odrzucana na równiny hukiem gromu. *Posadero*[124] z Rincon zaklinał się, iż nieraz cichą nocą, kiedy stał we drzwiach swego domu i nadsłuchiwał uważnie, huk ów dolatywał do niego niby burza, która sroży się w górach.

Charlesowi Gouldowi roiło się, że łoskot ten musi docierać do najdalszych krańców prowincji. Jadąc konno nocą do kopalni, odróżniał go na skraju lasku, tuż za Rincon. Nie ulegało wątpliwości, iż był to głuchy pomruk gór, osuwających się pod stępory lawiną swych skarbów. Rozlegał się w jego sercu z potęgą proklamacji, wstrząsającej całym krajem jak grom, cudownością ziszczenia śmiałych zamierzeń. Słyszał go już w swej wyobraźni owego dawno minionego wieczora, kiedy wraz z żoną przedarł się konno przez ostępy leśne i przystanął nad strumieniem, by spojrzeć po raz pierwszy w zarośniętą chaszczami czeluść wąwozu. Tu i ówdzie widniały wierzchołki palm. W wyżynnej rozpadlinie, która okalała skraj góry San Tomé (wystrzelającej na kształt graniastej turni), wąska wstęga wodospadu migotała szkliście i świetliście pośród ciemnej zieleni rosochatych drzewiastych paproci. Don Pépé, który im towarzyszył, podjechał bliżej i wyciągając ramię w kierunku wąwozu, zawołał z ironicznym namaszczeniem:

— Oto istny raj węży, señora!

Po czym skręcili końmi i pojechali z powrotem, by przespać się w Rincon. Alkad, stary, chudy Moreno, sierżant z czasów Guzmana Bento, usunął się czołobitnie z domu wraz ze swymi trzema ładnymi córkami, by zrobić miejsce dla zagranicznej señory i wielmożnych *caballeros*. W zamian za tę przysługę prosił Charlesa Goulda (którego wziął za jakąś zagadkową i urzędową figurę), by zechciał przypomnieć władzom naczelnym — *el gobierno supremo* — o pensyjce (wynoszącej coś około dolara na miesiąc), która rzekomo mu się należała. Przyrzeczono ją, jak zapewniał, prostując marsowo swą pochyloną postać, „przed wielu laty za moją waleczność w wojnach z dzikimi Indianami, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem".

Wodospad już nie istniał. Drzewiaste paprocie, które bujnie rosły dzięki jego rozpryskom, pousychały nad osuszonym bagnem, a wyżynna rozpadlina zamieniła się w duże zagłębienie wypełnione do połowy rumowiskiem odpadów kopalnianych. Strumień, obecnie omurowany u góry, rozprowadzał swe rwące wody za pomocą koryt, wydrążonych z pni drzewnych i rozpartych na kozłach, do turbin, poruszających stępory na niższym płaskowyżu — *mesa grande*[125] — góry San Tomé. Wspomnienie wodospadu z jego niesamowitymi paprociami, zawieszonego niby jakiś ogród nad krzesanicami wąwozu, przechowało się jedynie na akwaforcie pani Gould. Namalowała ją naprędce z polanki wśród chaszczy, siedząc w cieniu słomianego daszku wspartego na nieokorowanych palach, a obmyślanego dla niej przez don Pépégo.

Pani Gould widziała wszystko od początku: trzebienie puszczy, budowanie drogi, rąbanie nowych ścieżek na turni San Tomé. Przebywała tam tygodniami w towarzystwie męża i przez cały rok widywano ją tak rzadko w Sulaco, iż pojawienie się powozu Gouldów na *alamedzie* wywoływało powszechne poruszenie. Z ciężkich familijnych pojazdów,

[123] *sereno* (hiszp.) — stróż nocny. [przypis edytorski]
[124] *posadero* (hiszp.) — właściciel gospody. [przypis edytorski]
[125] *mesa grande* (hiszp.) — wielki stół. [przypis edytorski]

zatłoczonych statecznymi señorami i czarnookimi señoritami, pozdrawiały ją białe dłonie i dolatywał zgiełk powitalny. „Doña Emilia powróciła z gór".

Ale nie na długo. Po jednym lub dwu dniach doña Emilia znów wyjeżdżała „w góry", a dla mułów z jej skromnego zaprzęgu zaczynały się nowe wywczasy. Przypatrywała się budowie pierwszego baraku, postawionego na niższej *mesie*, przeznaczonego na pomieszczenia biura i kwaterę don Pépégo. Przeniknęło ją dziękczynne drżenie radości, gdy usłyszała, jak ruda, wysypana z pierwszego wagonu, załomotała po jedynej podówczas rynnie. Nie poddając się wzruszeniu, stała milcząca obok swego męża, gdy po raz pierwszy puszczano w ruch pierwszą baterię piętnastu stęporów. Gdy pod pierwszym rzędem retort zapłonęły w hucie ognie, rozwidniając swą łuną mroki nocne, nie poszła spocząć na twardym tapczanie, który ustawiono dla niej w pustym jeszcze baraku, lecz czekała, by ujrzeć pierwszą gąbczastą bryłę srebra, którą ciemne otchłanie kopalni Gouldów wyrzuciły na igraszkę świata. Z podnieceniem, od którego drżały jej dłonie, dłonie pozbawione chciwości, dotykała pierwszej sztaby srebra, kiedy jeszcze ciepła wyszła z formy. Ważąc w wyobraźni jej potęgę, nadawała tej bryle kruszcu usprawiedliwiającą wartość, jak gdyby nie była ona samym tylko realnym przedmiotem, lecz czymś o daleko sięgającym i nieuchwytnym znaczeniu, niby najistotniejszym wyrazem jakiegoś odczucia lub wyłonieniem się jakiejś zasady.

Don Pépé, który okazywał również ogromne zaciekawienie, spoglądał przez jej ramię z uśmiechem, który żłobił podłużne bruzdy w jego twarzy, czyniąc ją podobną do skórzanej maski z dobrodusznie diabelskim wyrazem.

— Byleby *muchachos*[126] Hernandeza nie pokusili się o tę bagatelkę, która, *por Dios*[127], wygląda jak kawałek cyny — odezwał się jowialnie.

Rozbójnik Hernandez był niegdyś nieszkodliwym, drobnym *ranchero*, którego podczas jednej z wojen domowych wydarto ze szczególnym okrucieństwem z pieleszy rodzinnych i zmuszono do służby w wojsku. Jako żołnierz sprawował się wzorowo aż do chwili, kiedy udało mu się zabić swego pułkownika i odzyskać wolność. Z szajką zbiegów, którzy uczynili go swym przywódcą, schronił się w dzikich i bezwodnych pustkowiach Bolson de Tonoro. *Haciendas* opłacały mu haracz bydłem i końmi. Opowiadano istne cuda o jego zdolnościach i nieprawdopodobnych ucieczkach z więzień. Do wsi i miasteczek Campo miał zwyczaj przyjeżdżać konno, sam jeden, z dwoma rewolwerami u pasa, pędząc przed sobą jucznego muła. Przyjechawszy, wchodził do sklepu lub magazynu, zabierał, co mu było potrzebne, i odjeżdżał nienapastowany, gdyż słynął ze swej nieustraszoności i z okropieństwa swych rozbojów. Biedotę wiejską pozostawiał zwykle w spokoju, zamożniejszych często zatrzymywał po drogach i grabił, natomiast wszystkich urzędników, którzy mieli nieszczęście wpaść mu w ręce, poddawał surowej chłoście. Oficerowie nie lubili, gdy wymieniano jego imię w ich obecności. Jego towarzysze, jeżdżąc na skradzionych koniach, kpili sobie z pościgów kawalerii, którą wysyłano na ich połów, i zabawiali się, wciągając ją nader umiejętnie w zasadzki w załamaniach terenu niedaleko swych kryjówek. Urządzano obławy i wyznaczono nagrodę za jego głowę, próbowano nawet wdawać się z nim podstępnie w jawne układy, ale nie zdołano wymóc najlżejszej bodaj zmiany w jego postępowaniu. W końcu dyrektor urzędu skarbowego w Tonoro, pałając chęcią poskromienia osławionego Hernandeza, postąpił iście po costaguańsku i zaofiarował mu wynagrodzenie pieniężne oraz list żelazny na wyjazd z kraju, jeśli zgodzi się wydać swych towarzyszy. Jednak Hernandez nie był widocznie z tej samej gliny, z której ulepiono znakomitych polityków i wojskowych warchołów costaguańskich. Ten przebiegły, choć niewyszukany pomysł (który jest zaklęciem powściągającym często rewolucje) zawiódł w zupełności w stosunku do herszta pospolitych *salteadores*[128]. Zapowiadało się zrazu nader pomyślnie dla dyrektora urzędu skarbowego, lecz skrupiło się bardzo dotkliwie na szwadronie *lanceros* zaczajonych w kotlinie, do której Hemandez obiecał przyprowadzić swych towarzyszy, niepodejrzewających rzekomo niczego. Przyszli też istotnie o oznaczonej porze, lecz pełznąc przez chaszcze na czworakach, i o swej obecności dali znać tylko salwą ognia karabinowego, który wielu *lanceros* zmiótł ze siodeł. Pierzchający żołnierze, pędząc co koń wyskoczy, wpadli do Tonoro. Utrzymywano potem, iż ich komendant

[126] *muchacho* (hiszp.) — chłopak, młodzieniec. [przypis edytorski]
[127] *por Dios* (hiszp.) — na Boga. [przypis edytorski]
[128] *salteador* (hiszp.) — rozbójnik. [przypis edytorski]

(który wyprzedził wszystkich, mając lepszego konia) upił się do nieprzytomności z rozpaczy i za to zniesławienie armii narodowej obił mocno płazem swej szabli ambitnego dyrektora urzędu skarbowego w obecności jego małżonki i jego córek. Podobno najwyższy dostojnik cywilny z Tonoro miał zemdleć i paść się na ziemię, zaś jego kolega wojskowy w przystępie przeczulenia pastwił się nad nim dalej, kopiąc go i kiereszując mu twarz i szyję ostrogami. Pani Gould znała do najdrobniejszych szczegółów tę plotkę z głębi Campo, tak znamienną dla rządców kraju, którego dzieje są jednym pasmem ucisku, niemocy, tępoty, zdrady i dzikiego zezwierzęcenia. Jedną z oznak upadku, który ją doprowadzał niemal na skraj rozpaczy, było to, iż ludzie inteligentni, wytworni, niepozbawieni charakteru dowiadywali się o takich zdarzeniach bez oburzenia, godząc się z nimi niby z czymś wynikającym z natury rzeczy. Nie podnosząc jeszcze oczu znad sztaby srebra, potrząsnęła głową i odrzekła na słowa don Pépégo:

— Gdyby nie bezprawie waszych rządów, wielu z tych wyjętych spod prawa, którzy teraz łączą się z Hernandezem, żyłoby spokojnie i szczęśliwie z uczciwej pracy swych rąk.

— To prawda, señora! — zawołał don Pépé z zapałem. — To jakby Bóg dał pani władzę przenikania do głębi dusz ludzkich! Widziała ich pani przy pracy, doño Emilio: łagodni jak baranki, cierpliwi jak ich osły, waleczni jak lwy! Prowadziłem ich w paszcze dział, jak tu stoję, señora, za czasów Paeza, który był wspaniałomyślny i któremu nikt nie dorównywał odwagą, prócz może stryja don Carlosa. Nic dziwnego, że Campo wydaje bandytów, skoro w Santa Marta rządzą złodzieje, oszuści i krwiożercze małpy. Lecz niech będzie, jak chce, bandyta jest bandytą i powinniśmy mieć z tuzin dobrych winchesterów, jeśli zechcemy odwieźć to srebro do Sulaco.

Przejażdżka konna z eskortą, która odstawiła pierwszy transport srebra do Sulaco, była dla pani Gould zakończeniem tego, co nazywała swym „życiem polowym"; odtąd osiedliła się już na stałe w swym miejskim domu, jak wypadało i co nawet było konieczne dla małżonki administratora takiego potężnego przedsiębiorstwa, jak kopalnia San Tomé. Stało się bowiem ono instytucją, punktem węzłowym dla wszystkich tych żywiołów, które nie mogły wyżyć bez porządku i spokoju. Bezpieczeństwo zdawało się spływać na kraj z rozpadliny górskiej. Władze w Sulaco pojęły, iż kopalnia San Tomé może być warta zachodu, o ile jej sprawy i ludzi pozostawi się w spokoju. Było to pierwsze zbliżenie się do prawideł sprawiedliwości i zdrowego rozsądku, które Charles Gould uważał na razie za możliwe do osiągnięcia. Toteż ze swą organizacją, ze swą szybko wzrastającą ludnością, przywiązaną gorąco do przywileju bezpieczeństwa, ze swą zbrojownią, ze swym don Pépém i zbrojnym zastępem *serenos* (między którymi znajdowało się podobno wielu zbiegów i wygnańców, a nawet rozbójników z szajki Hernandeza) kopalnia była potęgą w kraju. Pewnego razu, kiedy w Santa Marta zastanawiano się nad kierunkiem działań, jaki władze z Sulaco przyjęły w okresie przesilenia politycznego, któryś z wybitnych mężów stanu zawołał, parskając czczym śmiechem:

— Panowie sądzicie, że oni są urzędnikami rządowymi? Oni? Bynajmniej! To urzędnicy kopalni, urzędnicy koncesji Gouldów! Wierzcie mi!

Znakomity ten mąż (który dzierżył podówczas ster władzy, a miał twarz koloru cytryny oraz nader krótką i kędzierzawą, by nie rzec, wełnistą czuprynę) zapamiętał się w swym niezadowoleniu tak dalece, iż potrząsnął swą żółtą pięścią pod nosem przeciwnika i wrzasnął:

— Tak jest! Wszyscy! Milczeć tu! Wszyscy! Powiadam wam! Polityczny *jefe*[129], dyrektor policji, dyrektor Urzędu Celnego, generał, wszyscy, wszyscy są urzędnikami Goulda.

Po czym w gabinecie ministerialnym wszczął się nieulękniony, lecz przyciszony i przekonywający poszmer głosów i gniew znakomitego męża zakończył się cynicznym wzruszeniem ramion. „O cóż zresztą chodzi? — chciał nim powiedzieć — skoro nie zapomina się i o ministrze podczas jego krótkiego urzędowania?" Mimo to nieoficjalny przedstawiciel kopalni San Tomé, pracujący dla dobra sprawy, miewał chwile troski, której dawał ujście w listach do swego wuja, don Joségo Avellanosa.

— Żadna krwiożercza małpa ze Santa Marta nie postanie nigdy w tej części Costaguany, która leży za mostem San Tomé — zapewniał don Pépé w rozmowach z panią Gould — chyba że będzie naszym gościem, bo nasz *señor administrador* jest wytrawnym

[129] *jefe* (hiszp.) — szef, przywódca. [przypis edytorski]

politykiem. — Ale kiedy był sam na sam z Charlesem Gouldem, stary major mawiał z żołnierską niedbałością: — Stawką w tej grze są nasze głowy.

Zaś don José Avellanos pomrukiwał: — To *imperium in imperio*[130], Emilio, moja duszo — a mówił to z wyrazem głębokiego zadowolenia, które jednakże jakimś szczególniejszym trafem zdawało się zawierać domieszkę fizycznej przykrości. Było to jednak widoczne tylko dla wtajemniczonych.

I dziwnym, zaiste, dla wtajemniczonych miejscem był salon Casa Gould, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiał się pan domu, *el señor administrador*, starszy, bardziej krzepki i zagadkowo milczący. Pogłębiły się rysy jego angielskiej, czerwonawej, ogorzałej twarzy. Jego cienkie nogi kawalerzysty przekraczały ten próg bądź to kiedy wracał „z gór", bądź też kiedy wybierał się „w góry". Pobrzękiwał wówczas ostrogami i miewał szpicrutę pod pachą. Z żołnierską skromnością przesiadywał tam don Pépé, szczery *llanero*, który zdawał się odzyskiwać niekiedy swą rycerską jowialność, swą znajomość świata i poczucie swego stanowiska, zatracone wśród dzikich zbrojnych zmagań z podobnymi sobie. Bywał Avellanos, poufały i wytworny, pokrywający wielomównością wielką roztropność i wiedzę, zawartą w subtelnych wskazaniach rękopisu dzieła historycznego o Costaguanie. Nosiło ono tytuł *Pięćdziesiąt lat nierządu*. Przezorność nie pozwalała mu na razie (nawet gdyby to było rzeczą możliwą) „dać tę książkę światu". Wśród nich nad błyszczącą zastawą stołową zajmowała miejsce doña Emilia, wdzięczna i drobna niby czarodziejka. Łączyła ją z tymi trzema ludźmi wspólna myśl przewodnia, wspólne poczucie trudnych warunków i niewygasająca nigdy troska o zachowanie nietykalności kopalni za każdą cenę. Widywano tam również kapitana Mitchella, który siadywał nieco na uboczu, w pobliżu wielkiego okna. Wyglądał na staroświeckiego, przyzwoitego kawalera w swej białej kamizelce i z napuszoną po trosze miną. Nie zwracano zbytnio na niego uwagi, ale nie czuł tego. Będąc jak tabaka w rogu, wyobrażał sobie, iż przenika do rdzenia rzeczy. Spędził trzydzieści lat na pełnym morzu, zanim otrzymał to, co nazywał „biletem na brzeg", i był wielce zdziwiony ogromem przedsięwzięć (niemających nic wspólnego z żeglugą), które dokonywały się na stałym lądzie. Niemal każdy wypadek rozmijający się z codzienną powszedniością miał dla niego „znaczenie epokowe" lub był „historyczny". Zdarzało się jednak, iż wrodzona chełpliwość przedzierzgała się w stropioną niepewność na jego czerwonej, niebrzydkiej twarzy, okolonej gęstą, śnieżnobiałą czupryną i krótkimi bokobrodami; zmieszany bełkotał:

— Ach, to! To była pomyłka, panie!

Kapitan Mitchell był przekonany, iż ma do czynienia z „wypadkiem epokowym", kiedy jednemu z parowców T.O.Ż.P. polecono odstawić do San Francisco pierwszy transport srebra z kopalni San Tomé. Sztaby tego kruszcu mieściły się w skrzynkach ze sztywnej skóry wołowej, opatrzonych uchwytami z plecionego rzemienia. Każdą taką skrzynkę dwu ludzi mogło unieść z łatwością. Powierzono tę pracę *serenos*, którzy krocząc dwójkami po stromych zakosach ścieżek, znieśli starannie drogocenny ciężar do podnóża góry. Tu wkładano te skrzynki do ustawionych długim rzędem dwukołowych wozów, podobnych do dużych skrzyń z drzwiczkami z tyłu. Zaprzęg każdego takiego wozu pancernego składał się z pary mułów. Nad całym taborem czuwali zbrojni *serenos* na koniach. Don Pépé pozamykał w końcu wszystkie drzwiczki, po czym na znak dany przez niego gwizdkiem rząd wozów ruszył z miejsca wśród szczęku ostróg i karabinów, wśród świstu i trzaskania batów. Z wielkim zgiełkiem tabor przetoczył się przez graniczny most („w głąb kraju złodziei i krwiożerczych małp", jak wyraził się później don Pépé). Zakołysały się w pierwszych brzaskach dnia kapelusze na głowach postaci otulonych w opończe. Spoczęły winchestery na biodrach. Dzierżąc lejce, wysuwały się spod fałdzistych *ponchos* szczupłe, brunatne ręce. Tabor minął niewielki lasek, po czym podążając traktem kopalni, wjechał między lepianki i niskie mury wsi Rincon. Na Camino Real przyśpieszono kroku; poczęto popędzać muły, eskorta ruszyła cwałem. Don Carlos jechał konno sam na czele ogromnej kurzawy, w której majaczyły niewyraźnie długie uszy mułów, trzepotały zielono-białe chorągiewki, pozatykane na wozach, podnosiły się ramiona wśród ciżby *sombreros* i błyskały białka podkrążonych oczu. Don Pépé, ledwie widoczny w obłokach kurzu, cwałował na samym końcu tego roztrajkotanego taboru. Jego wyprostowana po-

[130]*imperium in imperio* (łac.) — państwo w państwie. [przypis edytorski]

stać podnosiła się i opadała rytmicznie na grzbiecie karej szkapy o owczej szyi łbie kształtu młota.

Rozespani mieszkańcy chatek z gospodarstw przydrożnych, słysząc ogromną wrzawę, domyślili się, iż z kopalni San Tomé wiozą srebro ku zrujnowanym murom miejskim od strony Campo. Wybiegli na zewnątrz, by zobaczyć tabor, który podążał kamienistą drogą wśród świstu i trzaskania batów z regularnością i niewstrzymanym pędem baterii rzucającej się w odmęt walki. Daleko na samym przodzie widniała samotnie angielska postać *señora administradora*.

W przydrożnych ogrodzeniach bryknęły dziko puszczone luzem konie. Bydło brodziło po piersi w trawach, odpowiadając głuchym porykiem na przelatującą wrzawę. Pokorne chłopstwo indiańskie spoglądało poza siebie i pośpiesznie usuwało się pod mury, wlokąc za sobą objuczone osiołki, by nie zastępować drogi transportowi srebra, który z kopalni San Tomé zdążał ku morzu. Gromadka *leperos*, którzy marzli pod Kamiennym Koniem na *alamedzie*, zabełkotała: *Caramba!*[131], widząc, jak tabor, zatoczywszy wielkie koło, zagłębił się cwałem w pustą ulicę Konstytucji. Bowiem mulnicy z kopalni San Tomé uważali, iż wypada pędzić przez budzące się miasto co koń wyskoczy, jak gdyby diabeł siedział im na karku.

Świt

Wczesne świty jarzyły się bladą różanością i bladym błękitem na ścianach wielkich domów. Bramy były jeszcze pozamykane i za żelaznymi kratami okien nie ukazywały się twarze. Puste były balkony, zalane światłem słonecznym, i tylko na jednym z nich, zawieszonym wysoko nad połyskliwym brukiem, pojawiła się biała postać. Była to żona *señora administradora*. Wychyliła się, by zobaczyć, jak tabor będzie przejeżdżał ku portowi.

Strój

Szczodre oploty jasnych warkoczy okalały niedbale jej główkę. Miała na sobie muślinową suknię zamkniętą pod szyją smugą koronki. Uśmiechnęła się, gdy mąż podniósł ku niej przelotnie oczy, po czym przyglądała się tłumowi, który przepływał z wrzawą poniżej jej stóp, a w końcu odpowiedziała przyjacielskim skinieniem głowy na sztywny, czołobitny ukłon don Pépégo, który w pędzie uchylił kapelusza aż poniżej swych kolan.

Z każdym rokiem wydłużał się sznur zamykanych na kłódkę wozów i pomnażała się eskorta. Potężniejący nieustannie strumień skarbów przelewał się co trzy miesiące przez ulice Sulaco, by zatrzymać się w skarbcu w budynku portowym T.O.Ż.P. i odpłynąć następnie ku północy. Ze zwiększoną objętością zwiększała się również ogromna jego wartość. Charles Gould, promieniejąc radością, powiedział pewnego razu do żony, że nie ma na świecie niczego, co by dorównywało bogactwom kopalni San Tomé. Każdy transport przesuwający się pod balkonami Casa Gould był dla nich obojga nowym zwycięstwem w walce o pokój Sulaco.

Władza

Niepodobna zaprzeczyć, iż początkowej działalności Charlesa Goulda sprzyjał zrazu okres względnego pokoju, który właśnie wówczas nastąpił, sprzyjało również powszechne złagodzenie obyczajów, zwłaszcza w porównaniu z epoką wojen domowych, z których wyłoniła się żelazna tyrania straszliwego Guzmana Bento. W zamieszkach, które wybuchły pod koniec jego rządów (dzięki którym przez całych piętnaście lat panował w kraju spokój), więcej było tępej głupoty, rozpętanego okrucieństwa i udręki, lecz nierównie mniej ślepej zaciekłości i dzikiego fanatyzmu politycznego, który znamionował dawniejsze czasy. Wszystko stało się ohydniejsze, nikczemniejsze, godniejsze pogardy i nieskończenie pobłażliwsze dla nieskrywanego cynizmu pobudek. Uwidoczniła się jaskrawiej bezczelna łapczywość, czyhająca na zmniejszającą się nieustannie ilość łupów. Wszelką przedsiębiorczość w najgłupszy sposób wytępiono w kraju. I oto doszło do tego, że prowincja Sulaco, która była niegdyś ogniskiem mściwych walk partyjnych, stała się jedną z najcenniejszych zdobyczy karierowiczów politycznych. Możni z Santa Marta rezerwowali stanowiska w dawniejszej Zachodniej Prowincji dla swych najbliższych i najmilszych: dla braci, bratanków, mężów ukochanych sióstr, serdecznych przyjaciół, wiernych popleczników lub wybitnych popleczników osobistości, których się obawiano. Była to błogosławiona ziemia wszelkich możliwości i szczodrych łapówek; bowiem kopalnia San Tomé miała swą nieoficjalną listę płac, której szczegóły i kwoty, ustalone przez Charlesa Goulda i señora Avellanosa, znane były znakomitemu przedsiębiorcy ze Stanów Zjednoczonych, który każdego miesiąca poświęcał jakichś dwadzieścia minut wyłącznie

[131] *Caramba!* (hiszp.) — Do licha! [przypis edytorski]

sprawom Sulaco. Równocześnie przedsięwzięcia zawiązywane przy poparciu kopalni San Tomé spokojnie porastały w pierze w tej części republiki. O ile, na przykład, w politycznych sferach stolicy powszechnie było wiadomo, że stanowisko w Urzędzie Skarbowym w Sulaco otwiera drogę do Ministerstwa Finansów i że to samo dotyczy wszystkich innych tamtejszych urzędów, o tyle zrozpaczone sfery przemysłowa i handlowe republiki zaczęły uważać Zachodnią Prowincję za obiecaną krainę bezpieczeństwa, zwłaszcza jeżeli komuś powiodło się wejść w porozumienie z administracją kopalni. „Charles Gould to wspaniały człowiek! Bezwarunkowo trzeba upewnić się co do niego, zanim cokolwiek się przedsięweźmie. Niech pan postara się o list polecający od Moragi, wie pan, tego agenta króla z Sulaco".

Nic też nie było w tym dziwnego, iż sir John, przyjechawszy z Europy, by utorować drogę dla swej kolei, spotykał się na każdym kroku z nazwiskiem (a nawet z przezwiskiem) Charlesa Goulda. Agent kopalni San Tomé w Santa Marta (który okazał się przyzwoitym i znakomicie obeznanym ze stosunkami dżentelmenem), przyczynił się w takiej mierze do zorganizowania objazdu kraju przez prezydenta, iż sir John zaczął się zastanawiać, czy też jakieś źdźbło prawdy nie kryje się w głuchych pogłoskach o niezmiernych, choć tajonych, wpływach przedsiębiorstwa Gouldów. Mianowicie szeptano sobie na ucho, iż administracja kopalni San Tomé zasiliła, przynajmniej w części, zasobami pieniężnymi ostatnią rewolucję. Jej wynikiem była pięcioletnia dyktatura don Vincente Ribiery, człowieka światłego i nieskazitelnego, któremu najuczciwsze sfery społeczeństwa poruczyły zadanie naprawy republiki. Poważny, dobrze obeznany ze stosunkami dżentelmen zdawał się w to wierzyć i wyrażał nadzieję, że nastaną lepsze czasy, że praworządność, rzetelność i ład zapanują wreszcie w życiu publicznym. „Tym lepiej" — pomyślał sobie sir John. Przyzwyczajony był do działalności na wielką skalę. Zamierzano udzielić pożyczki państwu, przystąpić do systematycznej kolonizacji Zachodniej Prowincji i z tymi rozległymi planami połączyć budowę Centralnej Kolei Państwowej. Do rozwoju tych wielkich przedsięwzięć konieczna była dobra wola, ład, rzetelność i spokój. Każdy, kogo obchodziły te rzeczy i kto mógł w nich dopomóc, miał wielkie znaczenie dla sir Johna. Nie zawiódł się na „królu z Sulaco". Przeszkody miejscowe, jak przepowiedział naczelny inżynier, dały się usunąć przy pomocy Charlesa Goulda. Sir John był wspaniale podejmowany w Sulaco, niemal tak samo jak prezydent-dyktator, co stało się przyczyną złego humoru generała Montero podczas lunchu wydanego na pokładzie „Junony", która wkrótce potem odpłynęła, zabierając z Sulaco prezydenta-dyktatora oraz dostojnych gości cudzoziemskich.

Excellentissimo („nadzieja uczciwych ludzi", jak wyraził się don José, przemawiając publicznie w imieniu Zgromadzenia Prowincjonalnego z Sulaco) zajął pierwsze miejsce przy długim stole. Kapitan Mitchell, osłupiały i purpurowy na twarzy od przejęcia się tym „wypadkiem historycznym", zasiadł na ostatnim, jako przedstawiciel T.O.Ż.P. na Sulaco. Obok niego usiedli goście podrzędniejsi oraz kapitan okrętu i niżsi urzędnicy lądowi. Ci pogodni, śniadzi panowie rzucali jowialne spojrzenia na butelki z szampanem, które zaczęły już strzelać w rękach stewardów okrętowych. Bursztynowe wino perliło się w kieliszkach.

Charlesowi Gouldowi dostało się miejsce obok przedstawiciela obcego państwa, który obojętnym, przyciszonym głosem gawędził o myślistwie i polowaniach. Przy tej nalanej, bladej twarzy z monoklem i obwisłymi, żółtawymi wąsami *señor administrador* wydawał się jeszcze bardziej opalony, jeszcze płomieniściej czerwony, stokroć żywszy w swoim milczeniu. Don José Avellanos sąsiadował z innym cudzoziemskim dyplomatą, o śniadej cerze i spokojnym, bacznym, powściągliwym usposobieniu. Nie przestrzegano zbytnio prawideł etykiety; jedynie generał Montero pojawił się w galowym mundurze, tak suto haftowanym od przodu, iż wyglądał on na jego szerokich piersiach jak złoty pancerz. Sir John zaraz z początku opuścił honorowe miejsce, które mu wyznaczono, by usiąść obok pani Gould.

Wielki finansista ujmował właśnie w słowa swą wdzięczność za jej gościnność i zapewniał o swym uznaniu dla jej męża, który „posiada ogromne stosunki w tej połaci kraju", kiedy mu przerwała przyciszonym: „Pst!". Prezydent miał wygłosić okolicznościowe przemówienie.

Excellentissimo podniósł się już z miejsca. Powiedział zaledwie kilka słów, widocznie głęboko odczutych i zwróconych, jak się zdaje, głównie do starego druha, Avellanosa.

Zwracał uwagę na konieczność niesłabnących wysiłków dla zabezpieczenia trwałego dobrobytu krajowi, dla którego po okresie przewlekłych walk miał obecnie nastać okres wytchnienia i pomyślności.

Pani Gould, słuchając mdłego i nieco przygnębionego głosu, patrzyła na jego krągłą, śniadą, przytłoczoną okularami twarz i krępy tułów, otyły aż do chorobliwości. Przyszło jej na myśl, że ten człowiek o subtelnym i melancholijnym umyśle, ten połowiczny kaleka, który na wezwanie przyjaciół rzucił się z domowego zacisza w odmęt niebezpiecznych wyzwań, miał prawo zaznaczyć z naciskiem swe poświęcenie. A jednak było jej jakoś nieswojo. Wydał jej się raczej patetyczny niż obiecujący ten pierwszy prezydent cywilny Republiki Costaguańskiej, który z kieliszkiem w ręce nawoływał prostymi hasłami do uczciwości, pokoju, poszanowania prawa, dobrej wiary w stosunkach politycznych wewnętrznych i zewnętrznych — tych rękojmi honoru narodowego.

Usiadł. Podczas pochwalnego szmeru, który rozległ się po przemówieniu, generał Montero podniósł swe ciężkie, ospałe powieki i z wyrazem jak gdyby urażonej tępoty wodził oczyma po twarzach. Nieokrzesany bohater wojskowy stronnictwa poddawał się wprawdzie w głębi duszy potędze wrażeń, jaką mu przyniosła nagła nowość i dostojeństwo jego stanowiska (nie był przedtem nigdy na pokładzie okrętu, a morze widywał tylko z daleka), ale instynktownie wyczuwał korzyści, jakie mu zapewniała prostacka, pewna siebie postawa dzikiego wojownika wśród tych wytwornych arystokratów. Ale dlaczego nikt na niego nie patrzył? Zastawiał się gniewnie. Potrafił przecież czytać drukowane litery i wiedział z gazet, że dokonał „największego czynu wojennego nowożytnych czasów".

— Mój mąż potrzebuje kolei — rzekła pani Gould do sir Johna wśród gwaru rozmów, które zaczęły się zawiązywać na nowo. — Wszystko to przybliża lepszą przyszłość, tak pożądaną dla kraju, który jej oczekiwał w smutku od Bóg wie kiedy. Ale wyznaję, iż doznałam pewnego wstrząsu, ujrzawszy pewnego dnia podczas popołudniowej przejażdżki indiańskiego chłopaka, który wypadł nagle konno z lasu, trzymając w ręce czerwoną chorągiewkę używaną przy robotach mierniczych. Przyszłość wymaga zmiany, zupełnej zmiany. A jednak nawet tutaj istnieją rzeczy proste i malownicze, które pragnęłoby się zachować.

Sir John słuchał z uśmiechem. Ale teraz na niego przyszła kolej uciszenia pani Gould.

— Generał Montero zabiera głos — szepnął i niemal niezwłocznie dodał z komicznym przerażeniem: — O, nieba, zdaje się, iż zamierza wznieść toast na moją cześć!

Żołnierz

Generał Montero podniósł się, szczękając stalową pochwą szabli i błyskając pozłotą swej wygalonowanej piersi. Spod stołu wyjrzała rękojeść potężnej szabli, którą nosił u boku. W swym wspaniałym mundurze, z byczym karkiem, z haczykowatym, spłaszczonym na końcu nosem i obwisłymi wąsami wyglądał jak przebrany, złowrogi *vaquero*. Jego gromki głos miał dziwnie szorstkie i bezduszne brzmienie. Wybąkał ponuro kilka zdawkowych frazesów, po czym podźwignął nagle swój wielki łeb i huknął opryskliwie na cały głos:

— Honor ojczyzny spoczywa w rękach armii. Zapewniam panów, iż dochowam mu wiary. — Zatrzymał się i zaczął wodzić oczyma, aż wreszcie utkwił swe ponure, gnuśne spojrzenie w twarzy sir Johna. Przypomniały mu się niedawne rokowania o pożyczkę. Podniósł kieliszek w górę.

— Piję za zdrowie człowieka, który przywozi nam półtora miliona funtów.

Przełknął szampana i zwalił się znów ciężko na krzesło, wodząc na poły zdumionym, na poły zaczepnym wzrokiem po otaczających go twarzach wśród głębokiego, jak gdyby stropionego milczenia, które zaległo po tak fortunnym toaście. Sir John nie poruszył się.

— Nie wydaje mi się, żeby wypadało mi wstać — szepnął do pani Gould. — Tego rodzaju rzeczy mówią same za siebie.

Jednak don José Avellanos przyszedł z pomocą krótkim przemówieniem, w którym położył nacisk na dobrą wolę, jaką Anglia okazuje Costaguanie.

— O tej dobrej woli — mówił dalej znacząco — wiem coś z doświadczenia, gdyż w swoim czasie byłem ministrem pełnomocnym przy Dworze Świętego Jakuba[132].

[132] *Dwór Św. Jakuba* — tradycyjna nazwa brytyjskiego dworu królewskiego, używana w dyplomacji; od pałacu Św. Jakuba, oficjalnej rezydencji władców. [przypis edytorski]

Dopiero wówczas sir John uznał za właściwe zabrać głos. Odpowiadał z wdziękiem, lecz lichą francuszczyzną, a przemówienie jego przerywała wrzawa oklasków i nawoływania: „Słuchajcie, słuchajcie!" kapitana Mitchella, który rozumiał niektóre słowa. Ukończywszy mowę, finansista kolejowy zwrócił się do pani Gould.

— Miała pani zamiar prosić mnie o coś — przypomniał uprzejmie. — O co to chodzi? Proszę mi wierzyć, iż każdą prośbę pani będę uważał dla siebie za łaskę.

Podziękowała mu wdzięcznym uśmiechem. Wszyscy podnieśli się od stołu.

— Chodźmy na pokład — rzekła. — Tam będę mogła powiedzieć, o co chciałabym prosić.

Święto

Olbrzymia flaga narodowa Costaguany, na której skośnie łączyły się barwy żółta i czerwona, a pośrodku widniały dwie zielone palmy, kołysała się gnuśnie u szczytu głównego masztu „Junony". Mnóstwo ogni sztucznych, które puszczano na wybrzeżu ku czci prezydenta, zapalało się z tajemniczym trzaskiem. Od czasu do czasu jakaś rakieta, wzbijająca się w górę niedostrzegalnie, pękała nad głowami, pozostawiając na świetlistym niebie wyprysk dymu. Tłumy ludzi zgromadziły się między bramami miejskimi a portem, pod pękami różnobarwnych chorągwi trzepoczących na wysokich masztach. Niekiedy dolatywały znienacka stłumione dźwięki muzyki wojskowej, a z oddali rozlegały się odgłosy wystrzałów. U skraju pomostu garstka obdartych Murzynów strzelała raz za razem z małej żelaznej armatki. Cienka smuga kurzu szarzała nieruchomo w blaskach słońca.

Pod płóciennym daszkiem rozpostartym nad pokładem don Vincente Ribiera postąpił kilka kroków, wspierając się na ramieniu señora Avellanosa. Dokoła niego utworzyło się wielkie koło, w którym zwracał się w tę i ową stronę przygasły uśmiech jego ciemnych warg i ślepnący połysk jego okularów. Nieoficjalne zebranie, które urządzono na pokładzie „Junony", żeby dać prezydentowi-dyktatorowi sposobność do poufnego porozumienia się ze swymi najwybitniejszymi stronnikami w Sulaco, dobiegało do końca.

Żołnierz

Generał Montero, przykrywszy swą łysą głowę kapeluszem z kogucimi piórami, siedział nieruchomo, oparłszy potężne dłonie w ogromnych rękawicach na rękojeści szabli sterczącej prostopadle między jego kolanami. Biały pióropusz, miedziane zabarwienie szerokiej twarzy, błękitnawa czerń wąsów pod zakrzywionym dziobem, mnóstwo pozłoty na piersi i rękawach, wysokie, połyskliwe buty z olbrzymimi ostrogami, rozdęte nozdrza, idiotyczny, a zarazem władczy wyraz oczu u tego przesławnego zwycięzcy znad Rio Seco — wszystko to raziło czymś złowieszczym i niewiarygodnym. Była w nim przesada jakiejś okrutnej karykatury, niedorzeczność uroczystej maskarady, krwiożercza groteskowość wojennego bożyszcza Azteków[133], które przystrojone po europejsku oczekuje czołobitności swych czcicieli. Don José podszedł dyplomatycznie do tego złowrogiego i nieodgadnionego zwiastuna, zaś pani Gould odwróciła od niego swe zapatrzone oczy.

Charles Gould, który zbliżył się, by pożegnać się z sir Johnem, słyszał, jak ten powiedział, pochylając się ku ręce jego żony:

— Na pewno. Przecież chodzi o pani protegowanego! Nie ma najmniejszej trudności. Będzie załatwione!

Don José Avellanos, powracając z Gouldami do brzegu w tej samej łodzi, był bardzo milczący. Dość długo również nie otwierał ust, siedząc w powozie Gouldów. Muły dreptały powoli wśród wyciągniętych rąk żebraków, którzy tego dnia opuścili gromadnie przedsionki kościołów. Charles Gould zajął miejsce na tylnym siedzeniu i rozglądał się po równinie.

Święto

Z zielonych gałęzi, z trzciny, z obrzynków drzewnych, pokrytych płachtami zgrzebnego płótna, pobudowano mnóstwo bud, w których sprzedawano *dulces*[134], owoce i cygara. Kobiety indiańskie, przykucnąwszy na matach, warzyły nad żarem strawę w czarnych glinianych garnkach lub gotowały wodę na *mate*[135], którą polecały wieśniakom miękkimi, pieściwymi głosami. Wytyczono teren wyścigowy dla *vaqueros*. Gęsty tłum ludzi tłoczył się dokoła ogromnego, skleconego naprędce budynku, który wyglądał jak namiot cyrkowy przykryty stożkowatą, słomianą strzechą. Dolatywały z niego przenikliwe dźwięki strun harfy i ostre brzęczenie gitar pomieszane z posępnym dudnieniem indiańskiego *gombo*, tętniącego rytmicznie wśród przeraźliwych pokrzykiwań tancerzy.

[133] *Aztekowie* — indiański lud ze środkowego Meksyku, który w XV w. utworzył potężne imperium, podbite w l. 1519–1521 przez Hiszpanów. [przypis edytorski]

[134] *dulces* (hiszp.) — słodycze. [przypis edytorski]

[135] *mate* — naczynie z tykwy do picia yerba mate, naparu z ostrokrzewu paragwajskiego. [przypis edytorski]

Charles Gould odezwał się:

— Cała ta połać ziemi należy obecnie do Towarzystwa Kolejowego. Nie będzie tu już zabaw ludowych.

Pani Gould myślała o tym z przykrością. Opowiedziała przy tej sposobności, jak dopiero co udało się jej otrzymać przyrzeczenie od sir Johna, że dom zajmowany przez Giorgia Violę pozostanie nienaruszony. Nie mogła nigdy pojąć, dlaczego inżynier miernicy wciąż napomykał o potrzebie zburzenia tego starego domostwa. Przecież nie stało ono na drodze planowanego odgałęzienia linii kolejowej.

Kazała zatrzymać powóz przed drzwiami, by uspokoić od razu starego genueńczyka, który wyszedł z domu, nie nakrywszy głowy, i stanął u stopnia powozu. Mówiła do niego po włosku, on zaś dziękował ze spokojną godnością. Stary Garibaldino był jej serdecznie wdzięczny za ocalenie dachu nad głową jego żony i dzieci. Był już za stary, by znów zaczynać tułaczkę.

— A czy to na zawsze, *signora*? — zapytał.

— Na tak długo, jak panu się podoba.

— *Bene*[136]. Trzeba zatem będzie pomyśleć o nazwaniu tego miejsca. Dotychczas nie było warto.

Zaśmiał się szorstko, a zmarszczki zbiegły się mu dokoła oczu.

— Zabiorę się jutro do namalowania napisu.

— A jakże będzie on brzmiał, Giorgio?

— *Albergo d'Italia Una*[137] — odparł stary Garibaldino, odwracając na chwilę oczy. — Raczej na pamiątkę tych, którzy już nie żyją — dodał — niż kraju, ukradzionego podstępnie nam, żołnierzom wolności, przez przeklęty piemoncki pomiot królów i ministrów.

Pani Gould uśmiechnęła się z lekka i wychyliwszy się nieco, zaczęła go wypytywać o żonę i dzieci. Wysłał je tego dnia do miasta. *Padrona* była zdrowsza; dziękuje bardzo *signorze* za pamięć.

Mijali ich ludzie dwójkami, trójkami i całymi gromadami, szli mężczyźni i kobiety w otoczeniu hasających dzieci. Jeździec na siwej klaczy, uchyliwszy kapelusza w stronę powozu, skąd odpowiedziano mu uśmiechami i przyjaznymi skinieniami, przystanął spokojnie w cieniu domu. Stary Viola, widocznie bardzo zadowolony z zasłyszanych przed chwilą nowin, przerwał rozmowę z gośćmi, by powiedzieć mu pośpiesznie, iż dzięki łaskawości angielskiej *signory* dom jego jest ocalony na tak długo, jak mu to będzie dogadzało. Jeździec słuchał go uważnie, ale nie rzekł ani słowa.

Strój

Gdy powóz ruszał z miejsca, zdjął znowu kapelusz, szare sombrero, ozdobione srebrnym sznurem i chwostami. Ogromne srebrne guzy przy suto wyszywanym, skórzanym kaftanie, rzędy drobnych, srebrnych guziczków wzdłuż szwów spodni, śnieżna bielizna, jedwabny pas z haftowanymi końcami, srebrne blaszki na siodle i uprzęży — wszystko to świadczyło o nieskazitelnym stylu słynnego *capataza de cargadores*, marynarza z Morza Śródziemnego, który przyćmiewał swym przepychem wszystkich dziarskich, młodych *rancheros* z Campo, wystrojonych od wielkiego święta.

— To dla mnie wielka rzecz — mruknął stary Giorgio, wciąż jeszcze myśląc o domu, bowiem uprzykrzyła się mu już włóczęga. — *Signora* mówiła o mnie z Anglikiem.

— Z tym starym, co ma tyle pieniędzy, że może zapłacić za kolej? Za godzinę już go tu nie będzie — wtrącił Nostromo niedbale. — No, *buon viaggio*[138]. Pilnowałem jego kości od przełęczy Entrada poprzez równinę aż do Sulaco, jak gdyby był moim ojcem.

Stary Giorgio tylko potrząsnął głową z roztargnieniem. Nostromo wskazał palcem na powóz Gouldów, który zbliżał się już do zarośniętej chwastami bramy w starym murze miejskim, wyglądającej, jakby ją obwieszono barwnymi matami.

— A nocami siadywałem z rewolwerem w magazynie Towarzystwa, strzegąc stosów srebra tego drugiego Anglika, jak gdyby było moje.

Viola nie wychodził z zadumy.

— To dla mnie wielka rzecz — zamamrotał znów jakby do siebie.

---

[136]*bene* (wł.) — dobrze. [przypis edytorski]

[137]*Albergo d'Italia Una* (wł.) — Hotel Zjednoczona Italia. [przypis edytorski]

[138]*buon viaggio* (wł.) — szczęśliwej podróży. [przypis edytorski]

— Na pewno — potwierdził wspaniały *capataz de cargadores*. — Słuchaj no, *vecchio*, idź do domu i przynieś mi cygaro. Ale nie szukaj go w mojej izbie, bo tam nic nie znajdziesz.

Viola poszedł do kawiarni, skąd powrócił natychmiast, wciąż jeszcze pogrążony w myślach. Podał mu cygaro i mruknął pod wąsem:

— Dzieci rosną, a dziewczęta też! Dziewczęta! — Westchnął i umilkł.

— Co, tylko jedno? — odezwał się Nostromo, spoglądając na niedomyślnego starca z wyrazem komicznej wymówki. — Niech będzie — dodał niedbale — trzeba poprzestać na jednym, gdy nie ma drugiego.

Zapalił cygaro i upuścił bezwiednie zapałkę z palców. Giorgio Viola podniósł oczy i powiedział nagle:

— Gdyby mój syn żył, byłby już takim przystojnym młodzieńcem, jak ty, Gian' Battista.

— Co? Twój syn? Masz rację, ojcze. Byłby mężczyzną, co się zowie, gdyby był podobny do mnie.

Zawrócił z wolna konia i poczłapał między budy, zatrzymując co chwila swą klacz bądź to wśród dzieci, bądź też wśród gromadek ludzi z dalekiego Campo, którzy spoglądali za nim z uwielbieniem. Robotnicy portowi Towarzystwa pozdrawiali go z daleka. Wśród pochwalnych szmerów i niskich ukłonów, ścigany zazdrosnymi spojrzeniami, *capataz de cargadores* podążał ku wielkiemu budynkowi przypominającemu cyrk. Ścisk zwiększał się, donośniej brząkały gitary. Inni mężczyźni siedzieli nieruchomo na koniach, paląc spokojnie cygara nad głowami tłumu, który wirował i tłoczył się przed budynkiem o stożkowatym dachu. Dolatywały stamtąd szurgania i przytupywania nóg w takt muzyki tanecznej, która skwierczała i tętniła jakimś udręczonym rytmem, przytłaczanym przeciągłym, straszliwym, głuchym pomrukiem *gomba*. Barbarzyński, gromki dźwięk tego wielkiego bębna, który przyprawia tłumy o szaleństwo i którego nawet Europejczyk nie może słuchać bez jakiegoś dziwnego wrażenia, zdawał się wabić Nostroma ku swemu źródłu. Tymczasem jakiś człowiek, odziany w wyszarzałe i podarte poncho, zeskoczył ze strzemion i rozpychając tłum łokciami na prawo i na lewo, zaczął usilnie prosić „jego wielmożność" o zatrudnienie w porcie. Skomlał, ofiarując *señorowi capatazowi* połowę swej dziennej płacy za dopuszczenie go do buńczucznego bractwa *cargadores*. Zapewniał, że gotów jest poprzestać na drugiej połowie. Ale prawa ręka kapitana Mitchella — „nieoceniony w naszej pracy i bezwarunkowo nieprzekupny człowiek" — spojrzał krytycznie na obszarpanego *mozo* i potrząsnął przecząco głową, nie wyrzekłszy ani słowa wśród wzmagającego się zgiełku.

Mozo zeszedł mu z drogi, lecz oddaliwszy się nieco od Nostroma, zaczął go przedrzeźniać. Z drzwi sali tanecznej wychodzili mężczyźni i kobiety, zataczając się, ociekając potem, drżąc na całym ciele. Zdyszani, z osłupiałymi oczyma i rozchylonymi ustami, opierali się o ściany budynku, w którym wśród nieustannych grzmotów bębna rzępoliły z szaleńczym uniesieniem harfy i gitary. Klaskały setki rąk, słychać było piski, które naraz przycichały, po czym rozlegał się śpiewany zgodnym chórem refren pieśni miłosnej o tęsknej nucie. Czerwony kwiat, rzucony celnie przez kogoś z tłumu, musnął policzek świetnego *capataza*. Taniec

Zręcznym ruchem uchwycił go w locie, lecz przez jakiś czas nie odwracał głowy. Kiedy wreszcie raczył się obejrzeć, zobaczył, iż tłum rozstępuje się przed śliczną *morenitą*[139], z włosami spiętymi małym, złotym grzebykiem. Szła ku niemu wolnym przejściem.

Jej szyja i ramiona wynurzały się, nagie i pulchne, ze śnieżnobiałej bluzki. Niebieska wełniana spódnica, obfita z przodu, wąska na biodrach i obcisła od tyłu, uwydatniała jej wyzywający chód. Podeszła i położyła rękę na karku klaczy, rzucając z ukosa lękliwe i zalotne spojrzenie. Strój

— *Querido*[140] — zaszczebiotała pieszczotliwie — dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz, kiedy cię spotykam na ulicy?

— Bo cię już nie kocham — odparł Nostromo spokojnie po chwili namysłu.

[139] *morenita* (hiszp.) — brunetka. [przypis edytorski]
[140] *querido* (hiszp.) — ukochany. [przypis edytorski]

Dłoń spoczywająca na karku klaczy drgnęła nagle. *Morenita* pochyliła głowę pod spojrzeniami tłumu, który otaczał wielkim kołem wielkodusznego, straszliwego i niestałego *capataza de cargadores* i jego dziewczynę.

Nostromo zerknął w dół i zobaczył, że łzy zaczynają ściekać po jej twarzy.

— A więc to tak, mój najmilszy! — szepnęła. — Czy to prawda?

— Nie — rzekł Nostromo, rozglądając się niedbale. — To kłamstwo. Kocham cię tak samo jak dawniej.

— A czy to prawda? — zaszczebiotała radośnie, mając jeszcze policzki wilgotne od łez.

— Prawda!

— Prawda, jak ci życie miłe?

— Tak jest. Ale nie zmuszaj mnie, abym przysięgał przed Madonną, która stoi w twoim pokoju. — I *capataz* uśmiechnął się lekko, odpowiadając na wyszczerzone w uśmiechach zęby tłumu.

Zaczęła się przymilać, śliczna, nieco niespokojna.

— Nie, nie będę cię zmuszała. Poznam po twoich oczach, czy mnie kochasz. — Położyła mu rękę na kolanie. — Dlaczego tak drżysz? Czy z miłości? — mówiła dalej wśród rozlegających się nieustannie grzmotów *gombo*. — Ale jeżeli tak ją kochasz, to powinieneś dać swojej Paquicie oprawny w złoto różaniec, żeby go zawiesiła na szyi swej Madonny.

— Nie — odparł Nostromo, spoglądając w jej podniesione, proszące oczy, które nagle osłupiały ze zdumienia.

— Nie? Cóż więc raczy mi dać wielmożny pan przy dzisiejszej *fieście*, żebym nie potrzebowała wstydzić się przed ludźmi? — zapytała gniewnie.

— Nie potrzebujesz się wstydzić, że raz nie dostałaś nic od swego kochanka.

— Prawda! To wstyd dla wielmożnego pana, mojego biednego kochanka — rzuciła szyderczo.

Śmiano się z jej gniewu, z jej przycinka. Co za zuchwała żmijka! Świadkowie tego widowiska przywoływali śpiesznie innych. Krąg dokoła siwej klaczy powoli zacieśniał się.

Dziewczyna odstąpiła na krok, urągając szyderczym spojrzeniom, po czym przypadła znów do strzemienia i wspięła się na palcach, zwracając do Nostroma wzburzoną twarz i pałające oczy.

— Juanie — syknęła — mogłabym cię pchnąć nożem w serce!

Straszliwy *capataz de cargadores*, któremu wielkoduszna niedbałość nie pozwalała ukrywać się ze swymi miłostkami, objął ją ramieniem za szyję i ucałował jej rozedrgane usta. Dokoła rozległ się szmer.

— Noża! — huknął w tłum, trzymając ją mocno za ramię.

Dokoła niego błysnęło naraz ze dwadzieścia ostrzy. Jakiś młodzieniec w odświętnym stroju podbiegł ku niemu, podał mu nóż i odskoczył znowu w tłum, wielce zadowolony ze siebie. Nostromo nawet nie spojrzał na niego.

— Stań na mojej nodze! — rozkazał dziewczynie, która nagle poskromiona, wskoczyła lekko. Kiedy zaś miał ją już przy sobie, objął ją wpół i przybliżywszy jej twarz do swojej, wcisnął nóż w jej drobną rękę.

— Nie, *morenita*, nie zawstydzisz mnie! — przemówił. — Dostaniesz podarek ode mnie! I żeby wszyscy wiedzieli, kto jest dziś twoim kochankiem, pozwalam ci poodcinać wszystkie srebrne guziki od mojego kaftana.

Dowcipny ten pomysł przyjęto burzą śmiechów i oklasków. Ostrze noża migało w rękach dziewczyny, a jeździec podzwaniał niedbale srebrnymi guzami, które spadały do jego dłoni. Z pełnymi garściami ześlizgnęła się wreszcie przy jego pomocy na ziemię. Poszeptała z nim jeszcze namiętnie, po czym znikła wśród ciżby.

Tłum się rozpierzchł, zaś dostojny *capataz de cargadores*, nieoceniony człowiek, wypróbowany i wierny Nostromo, marynarz z Morza Śródziemnego, który zabłąkał się na ląd, by szukać szczęścia w Costaguanie, poczłapał z wolna ku przystani. „Junona" zataczała właśnie krąg. Kiedy zaś Nostromo osadzał konia, by się jej przyjrzeć, podciągnięto chorągiew na zaimprowizowanym maszcie, który ustawiono na szczycie starego, na wpół zburzonego fortu u wejścia do portu. Wysłano tam pośpiesznie z koszar pół baterii dział

polowych, żeby przepisową salwą pożegnały prezydenta-dyktatora i ministra spraw wojskowych. Gdy parowiec mijał cieśninę, spóźniona salwa dała znać, iż pierwsze oficjalna wizyta don Vincenta Ribiery w Sulaco dobiegła końca. Dla kapitana Mitchella był to koniec kolejnego „dziejowego zdarzenia". Ponowne odwiedziny, które „nadzieję uczciwych ludzi" sprowadziły w półtora roku później znów do Sulaco, nie miały już charakteru urzędowego. Tułając się po wertepach górskich, prezydent uciekał po przegranej bitwie na kulawym mule i byłby zginął haniebną śmiercią z rąk motłochu, gdyby go nie ocalił Nostromo. Było to zupełnie odmienne zdarzenie, o którym kapitan Mitchell powiadał:

— Ależ to historia, panie! Co to za historia! A mój Nostromo, wie pan, brał w tym udział. Ten człowiek tworzy historię, panie!

Ale po tym wypadku, tak chlubnym dla Nostroma, nastąpił natychmiast inny, którego kapitan Mitchell nie mógł zaliczyć ani do „historii", ani też do „pomyłek". Toteż znalazł na jego określenie inne słowo:

— Panie — mawiał później — to nie był błąd. To było fatalne zrządzenie losu. Po prostu nieszczęście! A mój biedny chłopak był w samym środku, w samym środku! Fatalne zrządzenie losu... i moim zdaniem od tej pory już nigdy nie był tym samym człowiekiem.

CZĘŚĆ DRUGA. IZABELE

ROZDZIAŁ I

Wśród dobrych i złych kolei zmiennego losu walk, które don José określił zwrotem: „Los uczciwości narodowej waży się na szali", koncesja Gouldów, to *imperium in imperio*, nie ustawała w swej pracy. Z grani górskich nadal skarby staczały się po drewnianych rynnach do niestrudzonych baterii stęporów, noc po nocy migotania świateł kopalni San Tomé rozwidniały głębokie, bezbrzeżne mroki Campo, a co trzy miesiące eskorta odstawiała transport srebra do portu, jak gdyby ani wojna, ani jej następstwa nie wywierały wpływu na starodawną Zachodnią Prowincję, ukrytą za wysoką zaporą Kordylierów. Walki toczyły się po drugiej stronie potężnego muru, utworzonego ze szczerbatych szczytów, wśród których królował biały tum Higueroty. Muru tego nie przebiła dotychczas kolej, z której wykonano tylko pierwszą, łatwiejszą część, przebiegającą przez równinne Campo od Sulaco do doliny Ivia u podnóża przełęczy. Również linia telegraficzna jeszcze nie przekroczyła gór; jej wysmukłe słupy, sterczące niby tyki miernicze na równinie, wnikały w leśne obrzeża na zboczach gór przeciętych głębokim wąwozem drogi jezdnej, zaś druty telegraficzne kończyły się nagle w obozowisku konstruktorów, na białej powierzchni stołu dźwigającego aparat Morse'a i umieszczonego w podłużnej chacie, skleconej z bali i przykrytej dachem z blachy falistej. Olbrzymie cedry ocieniały tę chatę, która była zarazem mieszkaniem inżyniera kierującego dalszymi robotami.

Port również był czynny, gdyż dowożono materiały kolejowe i odbywały się ruchy wojsk wzdłuż wybrzeża. Flota T.O.Ż.P. pracowała bez wytchnienia. Costaguana nie miała marynarki i prócz kilku kutrów, które pełniły służbę strażniczą wzdłuż wybrzeża, państwo to posiadało zaledwie parę starych parowców handlowych używanych do przewozu towarów.

Kapitan Mitchell, który coraz silniej utwierdzał się w przeświadczeniu, że zagłębia się w historię, zawsze znajdował czas, by zajść po południu na godzinkę do salonu Casa Gould, gdzie z dziwną nieświadomością sił, które rzeczywiście działały wokół niego, wyrażał zadowolenie, iż może odetchnąć od zamętu spraw. Oświadczał, iż nie wiedziałby, co począć bez nieocenionego Nostroma. Zwierzał się pani Gould, iż zawikłane stosunki polityczne Costaguany przysparzały mu więcej roboty, niżeli przewidywał.

Don José Avellanos oddał na usługi zagrożonego rządu Ribiery swą działalność organizacyjną i swą wymowę, której echa dotarły nawet do Europy. Odkąd bowiem rząd Ribiery zaciągnął nową pożyczkę, Europa zaczęła zajmować się Costaguaną. Sala Zgromadzenia Prowincjonalnego (w ratuszu miasta Sulaco), ozdobiona portretami wyzwolicieli oraz starożytną chorągwią Corteza[141] przechowywaną za szkłem nad krzesłem prezydenta, słyszała wszystkie te przemówienia. Najwcześniejsze z nich zawierało namiętne oświadczenie, że „militaryzm jest wrogiem"; w drugim, wygłoszonym z związku z głosowaniem nad utworzeniem drugiego pułku w Sulaco w celu obrony rządu naczelnego, rządu reform, padły słynne słowa o „wahającej się szali". Kiedy prowincje rozwinęły znów swe dawne sztandary (prześladowane za czasów Guzmana Bento), miała znów miejsce wielka przemowa, w której don José składał hołd tym prastarym godłom wojny o niepodległość, podźwigniętym znów w imię nowych ideałów. Dawna idea federalizmu zanikła. Zapewniał, iż nie zamierza wskrzeszać starych doktryn politycznych. Były przemijające. Zamarły. Ale zasada rzetelności politycznej jest nieśmiertelna. Drugi pułk z Sulaco, któremu powierzał teraz ten sztandar, dowiedzie swej mocy w obronie porządku, pokoju, postępu. Niechaj dziełem jego będzie utrwalenie godności narodowej, bez której — jak oświadczał z naciskiem — „będziemy tylko wyrzutkiem i pośmiewiskiem wśród mocarstw świata".

Don José kochał swą ojczyznę. Pełniąc służbę dyplomatyczną, nie szczędził dla niej swego mienia, zaś słuchaczom jego dobrze znane były dzieje jego uwięzienia i barbarzyńskiej poniewierki, jakiej doznał za czasów Guzmana Bento. Było to istnym cudem, że nie padł ofiarą krwiożerczych i doraźnych sądów, które znamionowały tę tyranię. Bowiem

Władza, Przemoc

[141] *Cortez*, właśc. *Hernán Cortés* (ok. 1485–1547) — hiszpański konkwistador, zdobywca Meksyku. [przypis edytorski]

Guzman rządził krajem z posępną tępotą fanatyzmu politycznego. Władza najwyższa stała się dla jego ograniczonego umysłu przedmiotem osobliwszego bałwochwalstwa, jak gdyby była jakimś okrutnym bóstwem. Ucieleśniała się w nim samym, zaś jego przeciwnicy, federaliści, byli najgorszymi grzesznikami, przedmiotami nienawiści, odrazy i lęku, podobnie jak dla zaciekłego inkwizytora bywali heretycy. Przez długie lata wlókł za swymi wojskami po całym kraju niewolny tłum takich ohydnych zbrodniarzy, którzy uważali za największe nieszczęście, iż nie stracono ich na miejscu. Była to wciąż zmniejszająca się gromada niemal nagich szkieletów, obarczonych kajdanami, okrytych brudem, robactwem i niewygojonymi ranami, a należeli do niej ludzie wybitni, wykształceni i bogaci, którzy nauczyli się walczyć między sobą o ochłapy mięsiwa rzucane im przez żołnierzy lub potrafili żałośnie błagać kucharza Murzyna o łyk mętnej wody. Podzwaniając wśród innych swymi łańcuchami, don José Avellanos zdawał się istnieć jedynie po to, by dowieść, ile głodu, męki, poniżenia i okrutnych tortur może znieść ciało ludzkie, a mimo to nie wyzionąć ducha. Niekiedy poddawano ich śledztwu, przy pomocy bardzo prymitywnych tortur, zarządzanych przez komisje oficerskie. Zbierały się one naprędce w chatach z chrustu i gałęzi i były nieubłagane, gdyż ich członkowie drżeli o własne życie. Zdarzało się, iż jednego lub dwu szczęśliwców spośród tego widmowego grona więźniów odprowadzano chwiejących się za pobliskie krzaki i przekazywano do rozstrzelania żołnierzom.

Ksiądz

Zawsze towarzyszył im kapelan wojskowy, nieogolony brudas z szablą u boku i małym krzyżykiem wyhaftowanym białą bawełną po lewej stronie oficerskiej bluzy. Szedł za nimi z papierosem w ustach i drewnianym stołeczkiem w ręce, by wysłuchać spowiedzi i dać rozgrzeszenie. Bowiem Obywatel Zbawca Ojczyzny (jak urzędowo tytułowano Guzmana Bento w zanoszonych do niego prośbach) nie był przeciwnikiem rozsądnej łaskawości. Rozlegał się nieregularny łoskot wystrzałów, po którym niekiedy następował jeszcze pojedynczy strzał ostateczny. Nad zielonymi chaszczami wzbijał się błękitnawy obłoczek dymu i armia pacyfikacyjna wyruszała w dalszy pochód przez lasy i sawanny, przeprawiając się przez rzeki, napadając sielskie *pueblos*, pustosząc *haciendas* znienawidzonych arystokratów, zalewając w poczuciu patriotycznego posłannictwa ustronne miasta i pozostawiając za sobą zjednoczony kraj, w którym poprzez dymy palących się domów i wyziewy rozlanej krwi niepodobna już było dostrzec zgubnej zmazy federalizmu.

Don José Avellanos przetrwał te czasy.

Być może, iż wydając pogardliwie rozkaz, aby go uwolniono, Obywatel Zbawca Ojczyzny miał przeświadczenie, iż ten zatracony arystokrata jest już nazbyt złamany na duchu, ciele i mieniu, żeby mógł być niebezpieczny. A może był to tylko zwykły kaprys. Guzman Bento, zazwyczaj pełen urojonych obaw i nurtujących podejrzeń, miewał nagłe przystępy nieuzasadnionej niczym wiary w siebie, kiedy mu się zdawało, iż stanął u szczytu potęgi i bezpieczeństwa, gdzie go już nie mogły dosięgnąć zamachy śmiertelnych spiskowców. W takich chwilach popędliwie nakazywał uroczyste msze dziękczynne, które w kościele katedralnym Santa Marta odprawiał wśród śpiewów i z wielką okazałością drżący przed nim arcybiskup, będący jego powolnym narzędziem. Słuchał ich, siedząc w złoconym fotelu przed wielkim ołtarzem, wśród orszaku cywilnych i wojskowych dostojników swego rządu. Nieurzędowy świat Santa Marta napływał do katedry, gdyż dla osób wybitniejszych nie było zgoła rzeczą bezpieczną trzymać się z dala od tych objawów bogobojności prezydenckiej. Oddawszy w ten sposób hołd jedynej mocy, którą uważał za wyższą od swojej, nie szczędził aktów łaski, które miały charakter rozpasanej złośliwie łaskawości. Chcąc dopełnić miary swojej potęgi, zapragnął zobaczyć, jak jego zmiażdżeni przeciwnicy będą wypełzali bezsilnie na światło dzienne z mroku ohydnych cel więziennych w Collegio. Jego nienasycona próżność rozkoszowała się ich niemocą, a zawsze było można uwięzić ich ponownie. Było zasadą, iż wszystkie kobiety z ich rodzin musiały później składać podziękowania na osobnych posłuchaniach. Uosobienie dziwnego bóstwa, zwanego *El Gobierno Supremo*[142], przyjmowało je, stojąc, w kapeluszu z pióropuszem na głowie. Groźnym bełkotem nawoływał je do wdzięczności; niechaj jej dowiodą, wychowując swą dziatwę w wierności dla demokratycznej formy rządu, „którą zaprowadziłem dla dobra naszej ojczyzny". Miał wymowę niewyraźną i bełkotliwą, gdyż utracił przednie zęby w jakimś wypadku, kiedy był jeszcze pastuchem. Zapewniał, iż pracuje sam jeden dla

[142] *el gobierno supremo* (hiszp.) — najwyższa władza. [przypis edytorski]

Costaguany, wśród przeciwności i zdrady. Ale niechaj to wreszcie ustanie, bo w końcu znudzi się mu przebaczać!

Don José Avellanos doświadczył na sobie tego przebaczenia.

Jego zdrowie i majątek były dostatecznie nadwątlone, by rozradować oczy najwyższego naczelnika ustroju demokratycznego. Usunął się do Sulaco. Jego żona miała majątek ziemski w tej prowincji i rozniecіła w nim znów iskrę życia, gdy powrócił z domu śmierci i niewoli. Kiedy umarła, ich jedyna córka była już w tym wieku, że mogła zaopiekować się „biednym tatusiem".

Panna Avellanos urodziła się w Europie i po części wychowała się w Anglii. Była to dziewczyna smukła i poważna, o powściągliwym usposobieniu. Miała szerokie, białe czoło, gęste kasztanowe włosy i błękitne oczy.

Inne młode panny z Sulaco podziwiały jej charakter i wytworność. Uchodziła za niezmiernie wykształconą i stateczną. Duma była u niej cechą dziedziczną, wiedziano bowiem powszechnie, iż wszyscy Corbelanowie byli dumni, a matka jej pochodziła z tego rodu. Don José Avellanos bezgranicznie polegał na przywiązaniu swej ukochanej Antonii. Przyjmował je z zamroczeniem ludzi, którzy chociaż stworzeni na podobieństwo boskie, stają się bezdusznymi, kamiennymi bożyszczami, gdy poczują dymy całopaleń na ich cześć. Był zniszczony pod każdym względem, ale człowiek opanowany przez namiętność nie jest jeszcze bankrutem życiowym. Don José Avellanos pożądał dla swej ojczyzny pokoju, pomyślności i (jak się wyraził w zakończeniu swej przedmowy do *Pięćdziesięciu lat nierządu*) „zaszczytnego miejsca w gronie cywilizowanych narodów". W tym ostatnim zwrocie przejawia się bez osłonek patriotyzm ministra pełnomocnego, upokarzanego haniebnie nierzetelnością swego rządu w stosunku do zobowiązań zaciąganych u cudzoziemców.

Niedorzeczne starcia żarłocznych klik, które nastąpiły po tyranii Guzmana Bento, zdawały się otwierać wrota sposobności jego pragnieniom. Był zbyt stary, by wstąpić osobiście na arenę w Santa Marta. Ale ludzie, którzy tam działali, zasięgali jego wskazówek na każdym kroku. Sam był zdania, iż najpożyteczniejszy będzie mógł być na odległość, z Sulaco. Jego nazwisko, jego stosunki, jego dawniejsze stanowisko, jego doświadczenie nakazywały poszanowanie ludziom z jego obozu. Do zwiększenia jego wpływów przyczyniło się odkrycie, iż ten człowiek, znoszący z godnością ubóstwo w domu, który niegdyś był miejską siedzibą Corbelanów (naprzeciwko Casa Gould), może rozporządzać środkami materialnymi dla poparcia słusznej sprawy. Jego list otwarty rozstrzygnął o kandydaturze don Vincenta Ribiery na prezydenta. Inny z tych nieformalnych dokumentów państwowych, skreślonych przez don Joségo (tym razem w formie petycji od Zachodniej Prowincji), skłonił tego skrupulatnego stróża konstytucji do przyjęcia pełnomocnictw nadzwyczajnych, których na pięć lat udzielono mu przygniatającą większością głosów na posiedzeniu kongresu w Santa Marta. Było to upoważnienie wyjątkowe, celem utrwalenia pomyślności narodowej na podstawie trwałego pokoju w kraju oraz odzyskania zaufania za granicą, do czego miało posłużyć zaspokojenie wszystkich słusznych jej żądań.

Wiadomości o tym głosowaniu dotarły do Sulaco pewnego popołudnia zwykłą drogą okrężną przez Caytę, skąd następnie przywiózł je parowiec. Don José, który oczekiwał poczty w salonie Gouldów, zerwał się z fotela na biegunach, przy czym kapelusz spadł mu z kolan na ziemię. Oniemiały z radości, zaczął trzeć obiema dłońmi swą srebrzystą, krótką czuprynę.

— Emilio, moja duszyczko — parsknął w końcu — pozwól, że cię uściskam! Pozwól mi...

Kapitan Mitchell, gdyby był przy tym obecny, byłby niewątpliwie w porę napomknął o brzasku nowej ery, ale don Joségo zawiodła tym razem jego wymowa, jeżeli nawet przyszło mu na myśl coś podobnego. Pod duchowym sprawcą odrodzenia stronnictwa *blancos* ugięły się nogi. Pani Gould podbiegła ku niemu śpiesznie i podając z uśmiechem policzek swemu staremu przyjacielowi, udzieliła mu zarazem przezornie pomocy swego ramienia, której istotnie potrzebował.

Don José odzyskał zrazu panowanie nad sobą, ale przez jakiś czas nie mógł zdobyć się na nic innego prócz niewyraźnie bełkotanych słów: „Och, wy patrioci, moi patrioci!" — przy czym wodził kolejno wzrokiem po obojgu. Niejasne pomysły nowego dzieła

historycznego, które zbożnej pamięci przyszłych pokoleń przekazałoby cały ogrom ofiar poniesionych dla odrodzenia umiłowanej ojczyzny, zaświtały mu w głowie. Był historykiem, który miał dość wzniosłości ducha, by napisać o Guzmanie Bento: „Jednak ten potwór, zbluzgany krwią swych ziomków, nie zasługuje na bezwzględne potępienie potomności. Zdaje się, iż naprawdę kochał swą ojczyznę. Dał jej dwanaście lat spokoju. Żył i umarł w ubóstwie, chociaż był samowładnym panem życia i mienia swych współobywateli. Być może, iż najgorszą jego wadą nie była dzikość, lecz niewiedza". Otóż człowiek, który w ten sposób wyraził się o swym okrutnym prześladowcy (ustęp ten znajduje się w *Historii nierządu*), zapałał w przededniu swego powodzenia bezmierną niemal czułością do tych dwojga swoich pomocników, do tej młodej pary zza morza.

Podobnie jak przed laty Henry Gould stanął spokojnie do boju z bronią w ręce, przeświadczony o konieczności praktycznej, silniejszej od wszelkich abstrakcyjnych doktryn politycznych, tak samo obecnie, kiedy czasy się zmieniły, Charles Gould rzucił srebro kopalni San Tomé na szale walki. *Ingles* z Sulaco, „Anglik costaguański" w trzecim pokoleniu, równie był daleki od matactw politycznych, jak jego wuj od kuglarstwa rewolucyjnego. Czyny ich były wyrozumowane, a wynikały z instynktownej prawości ich natur. Nadarzyła się sposobność, więc ujęli broń w ręce.

Stanowisko Charlesa Goulda, stanowisko kierownicze w głębi tych wysiłków, zmierzających do zapewnienia pokoju i rozbudzenia zaufania do republiki, było jasno określone. Z początku musiał przystosowywać się do istniejącego stanu zepsucia, tak naiwnie bezczelnego, iż mogło rozbroić nienawiść człowieka dość odważnego, by nie lękać się jego nieodpowiedzialnej mocy, zdolnej przyprawić o zgubę wszystko, co się z nią zetknęło. Wydawało się mu zbyt nikczemne, żeby mogło zasługiwać bodaj na odruch gorętszego uniesienia. Wykorzystywał je z chłodną, nieulęknioną wzgardą, która objawiała się raczej niż ukrywała pod formami zakamieniałej poprawności, umniejszającej wielce hańbę położenia. Być może, iż cierpiał z tego powodu w głębi duszy, gdyż był niezdolny do tchórzliwych urojeń, ale nie chciał wdawać się ze swą żoną w rozmowy o poglądach etycznych. Ufał, iż aczkolwiek nieco rozczarowana, zdobędzie się przecież na tyle inteligencji, iż pojmie, że jego charakter stanowi nie mniejszą, a nawet większą ich istnień rękojmię od jego obrotności. Nadzwyczajny rozwój kopalni dał mu do ręki wielką potęgę. Poczucie, iż ta pomyślność będzie zawsze zdana na łaskę głupiej łapczywości, napełniało go gniewem. Dla pani Gould było to upokorzeniem. W każdym jednak razie groziło niebezpieczeństwem. W poufnej korespondencji wymienianej między Charlesem Gouldem, królem Sulaco, a naczelnym kierownikiem wielkich przedsiębiorstw srebra i stali, działającym w dalekiej Kalifornii, coraz wyraźniej zaznaczało się przeświadczenie, iż wszelkie wysiłki podejmowane przez ludzi światłych i prawych powinny być potajemnie popierane. „Proszę powiedzieć swemu przyjacielowi, Avellanosowi, że takie jest moje zdanie". Mr. Holroyd napisał te słowa we właściwej chwili ze swego nietykalnego przybytku w jedenastopiętrowym warsztacie wielkich interesów. Wkrótce potem dzięki kredytowi otwartego w Third Southern Bank (który mieścił się w budynku sąsiadującym z gmachem Holroyda) stronnictwo ribierzystów w Costaguanie przybrało realny kształt pod nadzorem zawiadowcy kopalni San Tomé. Toteż don José, dziedziczny przyjaciel rodu Gouldów, mógł powiedzieć: „Być może, mój drogi Carlosie, iż wiara moja nie poszła na marne".

ROZDZIAŁ II

Po długiej rozprawie zbrojnej, rozstrzygniętej zwycięstwem Montera nad Rio Seco, a stanowiącej nowy rozdział w opowieści o wojnie domowej, „ludzie uczciwi", jak ich nazywał don José, mogli wreszcie po raz pierwszy od pół wieku odetchnąć swobodnie. Ustawa o pełnomocnictwie pięcioletnim była podstawą tego odrodzenia, które dzięki namiętnemu pragnieniu i oczekiwaniu stało się jakby eliksirem wiekuistej młodości dla don Joségo Avellanosa. Kiedy zaś nagle, acz bynajmniej nie znienacka, targnął się na nie „nikczemny Montero", płomienne oburzenie było tym nowym bodźcem do życia. Już za pobytu prezydenta-dyktatora w Sulaco Moraga nadesłał z Santa Marta natarczywe ostrzeżenie przed ministrem wojny. Montero i jego brat stanowili przedmiot bardzo poważnych rozmów między dyktatorem-prezydentem a sędziwym przywódcą duchowym stronnictwa. Ale don Vincente, doktor filozofii Uniwersytetu w Kordobie, zdawał się mieć wygóro-

wane poszanowanie dla uzdolnień wojskowych, których zagadkowość, na pozór zupełnie niezależna od intelektu, oddziaływała na jego wyobraźnię. Zwycięzca znad Rio Seco był bohaterem popularnym. Jego zasługi były tak niedawne, iż prezydent-dyktator wzdragał się przed nieuniknionym zarzutem politycznej niewdzięczności. Zapoczątkowano odrodzenie wielkimi dziełami: świeżą pożyczką, nową linią kolejową, szeroko pomyślanym planem kolonizacji. Należało unikać wszystkiego, co mogłoby wzburzyć opinię publiczną stolicy. Don José przyznał słuszność tym argumentom i starał się zatrzeć w swym umyśle wspomnienie złowieszczego zwiastuna przy szabli, w butach i ze złotymi galonami, pocieszając się nadzieją, iż postradał on już wszelkie znaczenie w nowym porządku rzeczy.

W niespełna sześć miesięcy po odwiedzinach prezydenta-dyktatora, Sulaco dowiedziało się z osłupieniem o buncie wojskowym, podniesionym w imię honoru narodowego. Minister wojny w wygłoszonym w koszarach przemówieniu do oficerów pułku artylerii, do którego przybył na inspekcję, oświadczył, iż honor narodowy zaprzedano cudzoziemcom. Dyktator skutkiem swej niedołężnej uległości wobec żądań mocarstw europejskich, które domagały się uregulowania zaległych od dawna zobowiązań pieniężnych, okazał się niezdolny do rządzenia. List Moragi wyjaśnił później, iż pomysł, a nawet treść tego podburzającego przemówienia były w rzeczywistości dziełem drugiego Montera, byłego *guerillero*[143], obecnie *commandante de plaza*[144]. Energiczne zabiegi doktora Monyghama, po którego posłano pośpiesznie „w góry" i który, pędząc na koniu cwałem, przebył trzy mile wśród głębokich ciemności, ocaliły don Joségo od niebezpiecznej żółtaczki.

Przyszedłszy do siebie po tym wstrząsie, don José nie chciał się uznać za pokonanego. Rzeczywiście, początkowo nadchodziły lepsze wieści. Bunt w stolicy zdławiono po całonocnej walce ulicznej. Na nieszczęście, obaj Monterowie zdołali umknąć na południe, do swej rodzinnej prowincji Entre-Montes. Bohatera przemarszu przez lasy, zwycięzcę znad Rio Seco przyjęto z szalonym entuzjazmem w Nicoyi, która była stolicą tej prowincji. Wojska stacjonujące tam jako garnizon przeszły wszystkie na jego stronę. Bracia organizowali armię, gromadzili niezadowolonych, wysyłali emisariuszy, mydlili patriotycznymi łgarstwami oczy ludowi, a obietnicą łupów zjednywali sobie dzikich *llaneros*. Powstała nawet prasa monterystowska, napomykająca zagadkowo o tajnych obietnicach poparcia, które pozwalały mieć nadzieję, iż „wielka siostrzana republika z północy" pośpieszy z pomocą przeciwko złowrogim, niszczycielskim zamiarom mocarstw europejskich, i wyklinająca na wszelkie sposoby „nikczemnego Ribierę", który uknuł spisek, by spętaną ojczyznę wydać na pastwę obcym spekulantom.

Senne, sielskie Sulaco wraz ze swym bujnym Campo i bogatą kopalnią srebra przysłuchiwało się kapryśnie szczękowi broni ze swego szczęsnego odosobnienia. Nie zaniedbywało wprawdzie stanąć w czołowych szeregach obrońców, dostarczając ludzi i pieniędzy. Wszelkie pogłoski docierały tam drogą okrężną — nawet za pośrednictwem zagranicy, tak dalece było odcięte od reszty republiki, nie tylko skutkiem przeszkód naturalnych, lecz także z powodu zamętu wywołanego przez wojnę. *Monteristos* oblegali Caytę, ważny węzeł pocztowy. Gońcy przestali przedzierać się przez góry i w końcu żaden mulnik nie chciał podjąć się tej wyprawy. Nawet Bonifacio nie powrócił pewnego razu ze Santa Marta i nie wiadomo było, czy nie śmiał stamtąd wyjechać, czy też wpadł w ręce nieprzyjaciela, którego oddziały uganiały się po kraju między stolicą a Kordylierami. Jednakże odezwy monterystowskie torowały sobie w jakiś tajemniczy sposób drogę do tej prowincji i pojawiali się emisariusze monterystowscy, głoszący śmierć arystokratom w siołach i miasteczkach Campo. Bardzo wcześnie, bo już w pierwszych dniach rozruchów, bandyta Hernandez (za pośrednictwem pewnego starego proboszcza z zapadłej wioski) oświadczył gotowość wydania dwu takich emisariuszy w ręce władz ribierystowskich w Tonaro. Przyszli oni do niego, ofiarując mu w imieniu generała Montera amnestię i stopień pułkownika, o ile zgodzi się połączyć swą rozbójniczą bandę ze zbuntowanymi wojskami. Początkowo nie zwrócono uwagi na to oświadczenie. Jako dowód dobrej woli było ono dołączone do prośby, z którą bandyta zwracał się do zgromadzenia w Sulaco, ażeby było mu wolno wstąpić wraz ze swymi towarzyszami do szeregów armii, którą miano werbo-

[143]*guerillero* (hiszp.) — partyzant. [przypis edytorski]
[144]*commandante de plaza* (hiszp.) — komendant miasta. [przypis edytorski]

wać w Sulaco dla obrony pięcioletniego mandatu rządów odrodzenia. Prośba ta, podobnie zresztą jak wszystkie inne, dotarła do rąk don Joségo. Pokazał on pani Gould te zabrudzone kartki szarawego, szorstkiego papieru, zrabowanego prawdopodobnie w jakimś wiejskim sklepiku i pokrytego niewprawnymi, żmudnymi gryzmołami starego *padre*, którego porwano z jego chaty przylegającej do kościółka z gliny, aby służył za sekretarza straszliwemu *salteadorowi*. W świetle lampy w salonie Gouldów pochylili się oboje nad tym dokumentem, zawierającym dumny i zarazem pokorny odzew tego człowieka przeciwko ślepemu i tępemu barbarzyństwu, które uczciwego *ranchero* przedzierzgnęło w bandytę.

Przypisek księdza stwierdzał, że pozbawiono go wprawdzie na dziesięć dni wolności, ale że obchodzono się z nim po ludzku i z szacunkiem należnym jego świętemu powołaniu. Ze słów jego wynikało, iż wysłuchał spowiedzi i udzielił rozgrzeszenia hersztowi oraz większości jego bandy i że ręczy za szczerość ich dobrej woli. Skazał ich na surową pokutę, polegającą zapewne na postach i litaniach, i dowiódł jak na dłoni, że niepodobna będzie im pojednać się na stałe z Bogiem, jeżeli przedtem nie pojednają się z ludźmi.

Zapewne nigdy Hernandez nie był równie bezpieczny, jak kiedy prosił pokornie o pozwolenie zmazania z bronią w ręku win swoich i bandy swych zbiegłych z wojska towarzyszy. Mógł przemieszczać się bez przeszkody na rozległej połaci kraju otaczającej jego kryjówki, gdyż w całej prowincji nie było wojska. Załoga Sulaco wyruszyła na wojnę wraz ze swą orkiestrą dętą, która przygrywała marsz Bolivara na pokładzie jednego z parowców Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Wysokie, powleczone skórą siedzenia wielkich pojazdów familijnych, ustawionych wzdłuż wybrzeża portu, uginały się pod ciężarem rozentuzjazmowanych señor i señorit, które stawały na nich, by powiewać koronkowymi chusteczkami, kiedy zapełnione żołnierzami lichtugi zaczęły odpływać kolejno od krańca pomostu.

Nostromo kierował zaokrętowaniem pod nadzorem kapitana Mitchella, który z twarzą zaczerwienioną od słońca, w rzucającej się w oczy białej kamizelce, ucieleśniał dobrą wolę i troskę o wszystkie materialne sprawy cywilizacji. Generał Barrios, dowodzący wojskami, zapewnił przy pożegnaniu don Joségo, iż za trzy tygodnie Montero będzie siedział w drewnianej klatce, do której zaprzęgnie się trzy pary wołów, żeby go obwozić po wszystkich miastach republiki.

— A wówczas, señora — mówił dalej, pochylając swą kędzierzawą głowę ku pani Gould, siedzącej w powozie — wówczas, señora, przekujemy nasze miecze na lemiesze i będziemy się bogacili. Nawet ja, gdy tylko załatwię się z tą bagatelą, założę *fundacion*[145] na kawałku ziemi, którą mam wśród *llanos*, i zacznę spokojnie dorabiać się pieniędzy. Señora wie i wie cała Costaguana — co mówię? — cała Ameryka Południowa, iż Pablo Barrios okrył się chwałą na polu walki.

Charles Gould nie był obecny przy tym ekscytującym patriotycznym pożegnaniu. Nie jego rzeczą było przyglądać się, jak żołnierze wsiadali na okręt. Nie było to ani jego sprawą, ani jego upodobaniem, ani jego powinnością. Jego sprawy, jego upodobania i jego powinności jednoczyły się w wysiłku, by płynął nieprzerwanie strumień skarbów, który tylko za jego sprawą trysnął z blizny otwartej na nowo w zboczu górskim. Gdy kopalnia zaczęła się rozrastać, wziął sobie do pomocy kilku krajowców. Byli wśród nich przodownicy, majstrowie i urzędnicy biurowi, zaś *gobernadorem* całej ludności górniczej był don Pépé. Poza tym tylko na jego barkach spoczywało całe brzemię tego *imperium in imperio*, wielkiej koncesji Gouldów, której sam cień wystarczał, by złamać życie jego ojca.

Pani Gould nie potrzebowała zajmować się kopalnią. Jej przedstawicielami w codziennych sprawach koncesji byli ksiądz i lekarz, ale jej kobieca skłonność do podniet znajdowała pożywkę w wydarzeniach, których znaczenie uzyskiwało swą czystość w ogniu jej podsycanych wyobraźnią zamierzeń. Tego dnia zabrała ze sobą do portu oboje Avellanosów, ojca i córkę.

Wśród różnych innych zajęć w tych burzliwych czasach don José stanął na czele Komitetu Patriotycznego, który znaczną część wojsk z okręgu Sulaco zaopatrzył w broń palną ulepszonego systemu. Wyzbywało się jej wówczas pewne wielkie mocarstwo europejskie, zaprowadzając u siebie jeszcze doskonalsze śmiercionośne narzędzia. Jaką część

[145] *fundacion* (hiszp.) — gospodarstwo. [przypis edytorski]

ceny rynkowej za tę broń, nabytą z drugiej ręki, udało się pokryć z dobrowolnych składek najznakomitszych rodów i ile w ten sposób zebrano pieniędzy, które don José zdołał wysłać zagranicę, było tajemnicą znaną tylko jemu samemu. Pewne jednak, że *ricos*, jak ich nazywało pospólstwo, nie szczędzili grosza pod naciskiem wymowy swego Nestora[146]. Niektóre bardziej entuzjastyczne panie składały w ofierze nawet swe klejnoty w ręce człowieka, który był duszą i życiem swego stronnictwa.

Bywały chwile, iż zarówno jego życie, jak jego dusza zdawały się uginać pod brzemieniem tylu lat niezachwianej wiary w odrodzenie. Gdy siedział teraz wyprostowany w powozie obok pani Gould, wyglądał jak martwy. Jego piękna, stara, starannie ogolona twarz miała jednostajną barwę, jak gdyby ją wyrzeźbiono z żółtego wosku. Miękki pilśniowy kapelusz ocieniał jego ciemne, nieruchome oczy. Antonia, piękna Antonia, jak ją nazywano w Sulaco, siedziała naprzeciwko. Jej bujne kształty i surowy owal jej twarzy o pełnych, czerwonych ustach czyniły ją dojrzalszą od ruchliwej, drobnej, silnej postaci pani Gould pod lekko chwiejącą się parasolką.

Antonia niemal nie odstępowała swego ojca. Jej bezsprzeczna czułość łagodziła nieco gorszące wrażenie, jakie wywoływało lekceważenie przez nią nieubłaganych zasad regulujących życie dziewcząt południowoamerykańskich. I rzeczywiście, nie była już dziewczątkiem. Powiadano o niej, iż niejednokrotnie pod dyktandem swego ojca pisywała dokumenty państwowe i że zdążyła przeczytać wszystkie książki z jego biblioteki. Podczas przyjęć — kiedy pozory ratowała obecność zgrzybiałej staruszki (kuzynki Corbelanów), która głucha jak pień, siedziała nieruchomo w fotelu — Antonia dotrzymywała pola w dyskusji z dwoma lub trzema mężczyznami równocześnie. Oczywiście, nie była dziewczyną, którą zadowalałoby spoglądanie przez zakratowane okno na otuloną w płaszcz postać wielbiciela, kryjącego się w bramie przeciwległego domu, co w Costaguanie uważa się za poprawną formę zalotów. Utrzymywano powszechnie, iż ze swym cudzoziemskim wychowaniem i cudzoziemskimi pojęciami wykształcona i dumna Antonia nigdy nie wyjdzie za mąż, chyba że poślubi jakiegoś cudzoziemca z Europy lub Ameryki Północnej, co było rzeczą możliwą, gdyż zanosiło się, iż Sulaco zaleją wkrótce przybysze z całego świata.

ROZDZIAŁ III

Gdy generał Barrios zakończył swe przemówienie do pani Gould, Antonia podniosła niedbale rękę, trzymającą rozpostarty wachlarz, jak gdyby chciała osłonić przed słońcem swą głowę otuloną lekkim, koronkowym szalem. Jasne spojrzenie jej błękitnych oczu, wyzierających spod czarnego rąbka rzęs, zatrzymało się chwilowo na rysach jej ojca, a potem podążyło dalej ku młodemu człowiekowi, który mógł mieć lat około trzydziestu, był średniego wzrosty, raczej krępy, ubrany w jasne palto. Wspierając niedomkniętą dłoń na gałce gibkiej laski trzcinowej, przyglądał się z daleka; skoro jednak spostrzegł, iż zwrócono na niego uwagę, podszedł spokojnie i oparł łokieć na drzwiczkach powozu.

Kołnierz od koszuli, obejmujący nisko szyję, bujny węzeł krawata, krój ubrania, okrągły kapelusz i lakierowane obuwie, wszystko to wywoływało wrażenie francuskiej elegancji. Ale poza tym był to typowy okaz przystojnego, hiszpańskiego Kreola. Bujny wąs i krótka, kędzierzawa, płowa broda nie zakrywały całkiem jego ust, różowych, świeżych, o niemal nadąsanym wyrazie. Jego pełna, krągła twarz miała tę ciepłą, zdrową białość Kreolów, która nie ciemnieje nigdy pod promieniami ich ojczystego słońca. Martin Decoud nieczęsto doświadczał na sobie działania costaguańskiego słońca, pod którym się urodził. Rodzina jego przebywała długo w Paryżu, gdzie studiował prawo, zabawiał się literaturą, a w chwilach zapału spodziewał się niekiedy zostać poetą na podobieństwo innego cudzoziemca hiszpańskiego pochodzenia, Joségo Marii Heredii[147]. W innych jednak chwilach raczył pisywać artykuły o sprawach europejskich do „Semenaria", głównego dziennika w Santa Marta, który je zamieszczał pod nagłówkiem: „Od naszego specjalnego korespondenta", aczkolwiek powszechnie było wiadomo, kto był ich autorem. Cała Costaguana, gdzie wieści o ziomkach przebywających w Europie są przyjmowane niechętnie, wiedziała, że był nim „syn Decoudau", o którym przypuszczano, iż ma dostęp do

Uroda

[146] *Nestor* (mit. gr.) — król Pylos, najstarszy z wodzów greckich uczestniczących w wojnie trojańskiej, symbol wieku i związanego z nim doświadczenia. [przypis edytorski]

[147] *Heredia, José María* (1803–1839) — kubański poeta, czołowy przedstawiciel romantyzmu w literaturze Ameryki Łacińskiej. [przypis edytorski]

wyższych sfer towarzyskich. W rzeczywistości był to płytki *boulevardier*[148], utrzymujący stosunki z kilkoma zjadliwymi dziennikarzami, których niezbyt ceniono w redakcjach, ale za to chętnie widywano w przybytkach, gdzie zwykli zabawiać się przedstawiciele prasy. To życie, którego czczą powierzchowność powleka pokost uniwersalnej blagi, podobnie jak głupie błazeństwa arlekina pokrywa błyskotliwość pstrego kostiumu, napoiło go niby to francuskim, a w rzeczywistości najzupełniej niefrancuskim kosmopolityzmem, który w istocie swej był tylko jałową obojętnością, przybierającą pozy wyższości intelektualnej.

O swej ojczyźnie tak zwykł był mawiać do swych francuskich towarzyszy:

— Proszę sobie wyobrazić atmosferę opery buffa[149], w której wszystkie komiczne czynności teatralnych mężów stanu, bandytów i tak dalej, wszystkie ich komiczne złodziejstwa, intrygi i morderstwa odbywają się ze śmiertelną powagą. Jest to do rozpuku zabawne, krew leje się przez cały czas, a aktorom zdaje się, że oddziaływają na losy wszechświata. Rzecz jasna, każdy rząd, gdziekolwiek by był, jest rzeczą nadzwyczaj komiczną dla krytycznego umysłu, ale my, południowi Amerykanie przebraliśmy, zaprawdę, wszelką miarę. Nawet człowiek o bardzo miernej inteligencji nie może wziąć udziału w tej *farce macabre*[150]. Trzeba przyznać, iż ci ribierzyści, o których słyszy się obecnie tak wiele, starają się we właściwy sobie, komiczny sposób uczynić ten kraj miejscem, w którym da się żyć, a nawet chcieliby spłacić nieco długów. Moi przyjaciele, zrobicie lepiej, jeżeli będziecie pisali o señorze Ribierze w ten sposób, jakby to chodziło o dobro waszych akcjonariuszy. Jeśli to, co mi w listach donoszą, jest prawdą, to mogą mieć oni niejaką nadzieję.

I drwiąco tłumaczył im, czym kieruje się don Vincente Ribiera, ten żałosny człowieczek, uginający się pod brzemieniem swych dobrych chęci. Wyjaśniał im znaczenie wygranych bitew, opowiadał, kim jest Montero (*un grotesque vaniteux et feroce*[151]) oraz w jaki sposób przy pomocy nowej pożyczki ujęto w jeden wielki finansowy schemat rozbudowę kolei i kolonizację rozległych połaci kraju.

Jego francuscy przyjaciele nabrali przeświadczenia, iż ten urwis, Decoud, *connaissait la question a fond*[152]. Pewien wybitny miesięcznik paryski zamówił u niego artykuł o tej sprawie. Był on w tonie poważny, ale w treści płochy. Napisawszy go, zapytywał później swych znajomych:

— Czytaliście moją rozprawę o odrodzeniu Costaguany? *Une bonne blague, hein?*[153]

Uważał się za paryżanina do szpiku kości. Ale nie będąc nim wcale, narażony był na to, iż pozostanie przez całe życie czymś w rodzaju nieokreślonego dyletanta. Kpiny ze wszystkiego posunął tak daleko, iż w końcu przestał zdawać sobie sprawę z właściwych popędów swej własnej natury. Kiedy zaś wybrano go nagle na członka wykonawczego Komitetu Patriotycznego dostarczającego ręcznej broni, wydało się mu, iż stanął oto u szczytu niespodzianki, że nastąpił jeden z tych fantastycznych odruchów, do których tylko jego „drodzy ziomkowie" byli zdolni.

— Spadło to jak cegła na moją głowę. Ja, ja — członkiem wykonawczym! Po raz pierwszy zdarza się mi słyszeć o czymś podobnym! Jakież ja mam pojęcie o karabinach wojskowych? *C'est funambulesque!*[154] — wykrzykiwał do ulubionej siostry. A trzeba nadmienić, iż rodzina Decoudów, prócz staruszka ojca i matki, mówiła między sobą po francusku. — Gdybyś przeczytała poufny list z wyjaśnieniami! Osiem bitych stron, mówię ci!

List ten był pisany ręką Antonii, a podpisany przez don Joségo. Odwoływał się on do „młodego i uzdolnionego Costaguanera" w sprawie publicznej, prywatnie zaś otwierał serce przed swym utalentowanym chrześniakiem, człowiekiem bogatym i wytwornym, posiadającym rozległe stosunki, zasługującym dzięki swemu wychowaniu i swym powinowactwom na zupełne zaufanie.

---

[148] *boulevardier* (fr.) — bywalec paryskich bulwarów. [przypis edytorski]

[149] *opera buffa* — włoska opera komiczna; gatunek opery powstały w XVIII w. we Włoszech. [przypis edytorski]

[150] *farce macabre* (fr.) — makabryczna farsa. [przypis edytorski]

[151] *un grotesque vaniteux et feroce* (fr.) — próżny i okrutny błazen. [przypis edytorski]

[152] *connaissait la question a fond* (fr.) — znał dokładnie sprawę. [przypis edytorski]

[153] *Une bonne blague, hein?* (fr.) — Dobry żart, co? [przypis edytorski]

[154] *C'est funambulesque!* (fr.) — To dziwaczne! [przypis edytorski]

— Co znaczy — tłumaczył Martin cynicznie swej siostrze — iż nie wyglądam na człowieka, który sprzeniewierzyłby fundusze lub wypaplał o wszystkim przed naszym *charge d'affaires*[155].

Rzecz tę przeprowadzano za plecami ministra wojny, Montera, któremu w rządzie Ribiery nie ufano, ale którego trudno było od razu się pozbyć. Nie wiedział on o niczym aż do chwili, kiedy wojska pod dowództwem Barriosa miały nową broń w ręku. Jedynie prezydenta-dyktatora, którego położenie było bardzo trudne, dopuszczono do tej tajemnicy.

— Jakież to zabawne! — mówił dalej Martin do swej siostry i powiernicy tonem najczystszej, paryskiej blagi. — To przecież niesłychane! Pomyśleć, iż naczelnik państwa przy pomocy prywatnych obywateli kopie dołki pod swym własnym, niezbędnym ministrem wojny! Zaiste, jesteśmy niezrównani! — I śmiał się jak opętany.

Jego siostrę zadziwiła później rzetelność i zręczność, z jaką wywiązywał się ze swego zadania, zwłaszcza że okoliczności bynajmniej mu nie sprzyjały i miał do pokonania przeszkody wynikające z jego nieznajomości rzeczy. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej widzieć, żeby Martin zajmował się czymś z taką gorliwością.

— Bawi mnie to — odpowiadał jej krótko. — Osaczyła mnie zgraja oszustów, którzy by mi chcieli sprzedać wszelkie rodzaje broni palnej. Są przerozkoszni! Zapraszają mnie na sute śniadania. Pozwalam im się łudzić. To nadzwyczaj zabawne! Tymczasem po cichu załatwiam sprawę gdzie indziej.

Kiedy zaś dobił targu, oświadczył nagle, iż ma zamiar osobiście dopilnować, żeby ten cenny ładunek dotarł bezpiecznie do Sulaco. Jego zdaniem, było warto tę groteskową historię doprowadzić do końca. Skubał swą złotą brodę i tłumaczył się wykrętnie przed przenikliwą, młodą kobietą, która ochłonąwszy z pierwszego osłupienia, przymrużyła oczy i przemówiła z wolna:

— Mnie się zdaje, że masz ochotę zobaczyć Antonię.

— Jaką Antonię? — zapytał costaguański bywalec bulwarów podrażnionym i pogardliwym tonem. Wzruszył ramionami i obrócił się na pięcie.

Siostra zawołała za nim ze śmiechem:

— Tę Antonię, którą znałeś, gdy jeszcze spadały jej na plecy włosy splecione w dwa warkocze.

Poznał ją przed jakimiś ośmiu laty, na krótko przed wyjazdem Avellanosa z Europy. Była wówczas szesnastoletnią smukłą dziewczyną, jeszcze młodzieńczo surową w osądach, ale o tak ustalonym charakterze, iż śmiała lekceważyć jego pozory rozczarowanej mądrości. Pewnego razu, kiedy przebrała się miarka jej cierpliwości, zaczęła wyrzucać mu bezcelowość jego życia i płytkość jego poglądów. Miał wtedy dwadzieścia lat, był jedynakiem, psutym przez rodzinę, która go uwielbiała. Ta nauczka zmieszała go tak bardzo, iż zachwiał się w poczuciu swej próżniaczej wyższości wobec tego niepozornego podlotka w mundurku pensjonarki. Zaś wrażenie, które mu pozostało, było tak silne, iż wszystkie przyjaciółki jego siostry przypominały mu odtąd Antonię Avellanos bądź to z powodu niejakiego do niej podobieństwa, bądź też z powodu całkowitego kontrastu. Była to, jego zdaniem, jakaś śmieszna fatalność. W listach, które Decoudowie otrzymywali regularnie z Costaguany, nazwisko ich przyjaciół, Avellanosów, powtarzało się często; donoszono o uwięzieniu i okrutnej poniewierce byłego ministra, o niebezpieczeństwach i prześladowaniach tej rodziny, o jej zubożeniu i wyjeździe do Sulaco, o śmierci matki.

Pronunciamento monterystów wybuchło, zanim Martin Decoud zdołał dotrzeć do Costaguany. Popłynął drogą okrężną, przez Cieśninę Magellana, korzystając z głównej linii, a potem ze statku Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej kursującego wzdłuż zachodniego wybrzeża. Cenny ładunek przybył w samą porę, zamieniając początkowe uczucie przygnębienia w odruch ufnej nadziei. *Familias principales*[156] nie szczędziły mu publicznie swego uznania. Ze łzami w oczach uściskał go prywatnie don José, wciąż jeszcze wyczerpany i słaby.

— Przeszedłeś samego siebie! Ale należało spodziewać się tego po potomku Decoudów. Niestety, najgorsze nasze obawy się sprawdziły — skarżył się żałośnie. I znów tulił

[155]*charge d'affaires* (fr.) — szef misji dyplomatycznej najniższej rangi (niższej niż ambasador lub minister pełnomocny). [przypis edytorski]

[156]*familias principales* (hiszp.) — główne rodziny. [przypis edytorski]

do siebie swego chrześniaka. Zaiste, nastał czas, żeby wszyscy ludzie prawi i inteligentni stanęli murem dokoła zagrożonej sprawy.

Wówczas dopiero Martin Decoud, przybrany syn zachodniej Europy, dostał się nagle w zupełnie odmienną atmosferę. Poddał się uściskom i przemówieniom, nie odzywając się ani słowem. Mimowolnie wzruszył go ten akcent namiętności i smutku, obcy wytworniejszym arenom polityki europejskiej. Kiedy zaś w mroku wielkiej, pustej sali domu Avellanosów podeszła ku niemu lekkim krokiem smukła Antonia, kiedy (we właściwy sobie, wyemancypowany sposób) podała mu rękę i rzekła: „Cieszę się, że pana tu widzę" — uczuł, że będzie dla niego niepodobieństwem powiedzieć tym dwojgu ludziom, iż zamierzał odjechać najbliższym parowcem pocztowym, który odpływał za miesiąc do Europy. Don José tymczasem nie ustawał w swych pochwałach. Każde przystąpienie krzepiło ducha w społeczeństwie. A przy tym jakiż przykład dawał młodzieży przebywającej w kraju ten świetny obrońca odrodzenia ojczyzny, ten godny głosiciel politycznego programu stronnictwa wobec całego świata! Wszyscy czytali jego wspaniały artykuł w powszechnie znanym „Przeglądzie Paryskim". Świat teraz wiedział, co myśleć; zaś przyjazd autora w tej właśnie chwili był jakby publicznym wyznaniem wiary. Młody Decoud uczuł, że go ogarnia niecierpliwe zakłopotanie. Miał zamiar wracać przez Stany Zjednoczone, zwiedzić Kalifornię, Yellowstone Park, zobaczyć Chicago, Niagarę, zajrzeć do Kanady, zatrzymać się przejazdem w Nowym Jorku, spędzić czas jakiś w Newport, zrobić użytek ze swych listów polecających. Uścisk dłoni Antonii był tak szczery, w jej dziwnie niezmienionym głosie brzmiało tyle gorącej pochwały, iż po głębokim ukłonie zdobył się zaledwie na słowa:

— Jestem bardzo wdzięczny za powitanie. Ale czyż należy dziękować człowiekowi, który wraca do swej rodzinnej ziemi? Jestem przekonany, iż doña Antonia tak nie myśli.

— Oczywiście, że nie — odparła z najzupełniejszym spokojem otwartości, która znamionowała wszystkie jej słowa. — Jeżeli jednak ktoś tak wraca, jak pan to czyni, to obie strony mogą być zadowolone.

Martin Decoud nie wspominał nic o swych zamiarach. Nie zdradził się z nimi przed nikim ani słowem, ale w jakieś dwa tygodnie później zapytał panią Casa Gould (gdzie go oczywiście od razu dopuszczono), pochylając się w krześle z wyrazem poprawnej poufności, czy nie zauważyła w nim tego dnia wyraźnej zmiany, jakby dojrzalszej powagi. Na te słowa pani Gould odwróciła głowę w jego stronę i spojrzała z wyrazem niemej badawczości w lekko rozszerzonych źrenicach, a po jej rysach przemknął właściwy jej, nader nikły cień uśmiechu, który czarował mężczyzn jakimś subtelnym oddaniem, wytwornym zaparciem się siebie, znamionującym skwapliwą gotowość jej uwagi. Bowiem — mówił dalej niezmieszany Decoud o sobie — nie czuje się już próżniaczym zjadaczem chleba, gdyż oto ma ona przed sobą publicystę z Sulaco. Pani Gould zerknęła nagle ku Antonii, która siedziała wyprostowana w rogu wysokiej hiszpańskiej kanapy, pochylając z lekka wielki, czarny wachlarz ku falistym liniom swych szlachetnych kształtów. Końce skrzyżowanych stóp wyzierały nieco spod rąbka jej czarnej sukni. Oczy Decouda zatrzymały się na niej i przyciszonym głosem dorzucił, iż panna Avellanos wie dobrze o jego nowym i nieoczekiwanym powołaniu, które w Costaguanie było na ogół specjalnością niedouczonych Murzynów i zubożałych doszczętnie adwokatów. Po czym, spoglądając z wyrazem jakiejś uprzejmej bezczelności w zapatrzone na niego życzliwie oczy pani Gould, wyszeptał słowa: „*Pro patria!*"[157].

A wszystko to stało się w taki sposób, iż nagle uległ natarczywym prośbom don Joségo i podjął się redagowania dziennika, który miał być „wyrazem dążeń całej prowincji". Był to dawny i ulubiony pomysł don Joségo. Potrzebny do tego sprzęt oraz wielki zapas papieru nadesłano niedawno z Ameryki, nie było tylko odpowiedniego człowieka. Nie mógł go znaleźć nawet señor Moraga z Santa Marta, a rzecz stała się niezmiernie pilna. Koniecznie potrzeba było jakiegoś pisma, które by zwalczało kłamstwa rozsiewane przez prasę monterystowską. Miotała ona najhaniebniejsze potwarze, nawoływała lud, by powstał i z nożami w garści uporał się wreszcie ze wszystkimi *blancos*, z tymi „gotyckimi[158]

[157]*pro patria* (łac.) — dla ojczyzny. [przypis edytorski]

[158]*gotycki* — w oryginale *gothic*: gotycki, średniowieczny lub gocki, właściwy Gotom, ludowi germańskiemu, który w V w. wdarł się na terytorium zachodniej części cesarstwa rzymskiego, gdzie założył własne królestwa. [przypis edytorski]

przeżytkami", z tymi „złowrogimi mumiami", z tymi „bezsilnymi paralitykami", którzy knują spiski z cudzoziemcami na zgubę kraju i ujarzmienie ludu.

Wrzaskliwość tego „murzyńskiego liberalizmu" przerażała señora Avellanosa. Dziennik był jedynym środkiem zaradczym. Toteż kiedy w osobie Decouda znaleziono wreszcie odpowiedniego człowieka, natychmiast wielkie, czarne litery ukazały się między oknami ponad arkadą biegnącą wzdłuż parteru pewnego domu przy *plaza*. Stał on w pobliżu ogromnego składu Anzaniego, gdzie nabywano obuwie, jedwabie, wyroby żelazne, muśliny, drewniane zabawki, drobne, odlane ze srebra nogi, głowy i serca (przeznaczone na wota), różańce, szampan, patentowane środki lecznicze, a czasem nawet zakurzone książki w papierowych okładkach i przeważnie po francusku. Wielkie, czarne litery napisu tworzyły słowa: „Redakcja »*Porvenir*«[159]". Stamtąd trzy razy w tygodniu wychodził plon pracy publicystycznej Martina: złożona na pół strona druku. Uprzejmy Anzani o żółtej twarzy, paradujący w obszernym czarnym kaftanie i miękkich pantoflach przed licznymi drzwiami swego sklepu, pozdrawiał głębokim ukłonem, pochyleniem całego ciała, publicystę z Sulaco, który mijał go często, załatwiając sprawy swego dostojnego zawodu.

ROZDZIAŁ IV

Być może, iż tylko z zawodowego obowiązku przyszedł, by zobaczyć odjazd wojsk. Najbliższy numer „Porvenir" niewątpliwie miał zamieścić wzmiankę o tym zdarzeniu, ale jego redaktor stał teraz oparty o drzwiczki powozu i zdawał się nie zważać na nic. Przednie szeregi kompanii piechoty, zamykającej w trzy rzędy dostęp na pomost od strony lądu, gdy je zaczęto naciskać zbyt z bliska, pochyliły z groźnym chrzęstem do ataku swe bagnety. Tłum widzów targnął się wstecz, pierzchając aż po nozdrza wielkich, białych mułów. Mimo gęstej ciżby słychać było tylko przyciszone, głuche szmery. Kurz zawisł w brunatnych oparach. Gdzieniegdzie jeźdźcy, wtłoczeni w tłum, unosili się w biodrach, zwracając ponad głowami ludzkimi spojrzenia w jednym kierunku. Niemal każdy z nich miał za sobą towarzysza, który obiema rękami chwytał się od tyłu jego ramion, zaś stykające się ronda ich kapeluszy tworzyły jakby jedną tarczę, podtrzymującą stożki dwu spiczastych wypukłości z dwiema twarzami poniżej. Niekiedy rozlegał się ochrypły głos jakiegoś *mozo*, który nawoływał znajomych w szeregach, lub zabrzmiał nagle okrzyk kobiecy: „*Adios!*[160], po którym następowało jeszcze imię męskie.

Generał Barrios, w podniszczonej niebieskiej bluzie munduru i białych szarawarach, opadających na osobliwe czerwone buty, stał z odkrytą głową, lekko pochylony, wspierając się na grubej lasce. Nie! Chwała, którą się okrył, mogła zaspokoić każdego człowieka — zapewniał panią Gould, usiłując nadać swemu zachowaniu pozory galanterii. Kruczoczarne włoski zwisały skąpo z jego górnej wargi, miał wystający nos, cienką, długą szczękę, a na jednym oku płatek czarnego jedwabiu. Drugie, małe i głęboko osadzone, zerkało błędnie na wszystkie strony z bezcelową dobrotliwością. Nieliczni widzowie europejscy, skupiający się oczywiście dokoła powozu Gouldów, dawali do zrozumienia surowym wyrazem swych twarzy, iż generał wypił widocznie za dużo ponczu (szwedzkiego ponczu, importowanego w butelkach przez Anzaniego) w klubie „Amarilla", zanim ze swym sztabem ruszył co koń wyskoczy do portu. Ale pani Gould, pochyliwszy się nieco i nie tracąc panowania nad sobą, dała wyraz przeświadczeniu, iż jeszcze większa chwała oczekuje wodza w najbliższej przyszłości.

— Señora! — przeczył z ogromnym uniesieniem. — Proszę zważyć, na miłość boską. Jakąż chwałę może odnieść mej miary człowiek z pokonania takiego łysego *embustero*[161] o farbowanych wąsach?

Pablo Ignacio Barrios, syn wiejskiego *alcade*, generał dywizji, komendant Zachodniego Okręgu Wojskowego, nie miał zwyczaju bywać w wytworniejszych towarzystwach. Wolał niekrępujące zebrania męskie, gdzie mógł opowiadać o polowaniach na jaguary, chełpić się swą zręcznością we władaniu lassem, którym dokonywał podobno nadzwyczaj trudnych rzutów, „niemożliwych dla ludzi żonatych", jak zwykli powiadać *llaneros*.

[159] *porvenir* (hiszp.) — przyszłość. [przypis edytorski]
[160] *Adios!* (hiszp.) — Żegnaj! [przypis edytorski]
[161] *embustero* (hiszp.) — łgarz. [przypis edytorski]

Gawędził o nadzwyczajnych wyprawach nocnych, spotkaniach z dzikimi bawołami, walkach z krokodylami, przygodach w dziewiczych lasach, przeprawach przez wezbrane rzeki. I nie z samej tylko chełpliwości wynikały wspomnienia generała, ale także z istotnego upodobania do tego dzikiego życia, które było udziałem jego młodości, zanim nie rozstał się raz na zawsze ze słomianą strzechą rodzicielskiej *tolderii*[162] zagubionej wśród lasów. Powędrował aż do Meksyku, gdzie walczył przeciwko Francuzom po stronie (jak powiadał) Juareza[163] i był jedynym wojskowym z całej Costaguany, który kiedykolwiek zetknął się z Europejczykami na polu walki. Fakt ten otoczył blaskiem chwały jego imię, które przyćmiła dopiero wschodząca gwiazda Montery. Przez całe życie był zapamiętałym graczem. Sam potwierdzał otwarcie to, co o nim opowiadano, mianowicie, iż podczas pewnej kampanii, kiedy był jeszcze komendantem brygady, spędził noc przed bitwą, grając w *monte*[164] ze swymi pułkownikami. Przegrał swe konie, pistolety, nawet mundur wraz z epoletami. Ostatecznie posłał pod eskortą swą szablę (szablę galową ze złotą rękojeścią) do miasteczka położonego na tyłach jego linii bojowej z poleceniem, ażeby ją niezwłocznie zastawiono za pięćset *pesetas*[165] u zaspanego i przerażonego sklepikarza. O świcie, kiedy przegrał do grosza te pieniądze, podniósł się z miejsca spokojnie i rzekł tylko: „A teraz chodźmy walczyć do upadłego". Od tego czasu doszedł do przekonania, iż wódz może prowadzić najzupełniej dobrze swe wojska do boju ze zwykłą laską w ręku. „Stało się to odtąd moim przyzwyczajeniem" — powiadał.

Był zawsze obarczony długami; nawet w okresie świetności swych zmiennych losów generała costaguańskiego, kiedy piastował wysokie funkcje wojskowe, jego haftowane złotem mundury niemal stale znajdowały się w zastawie u lichwiarzy. W końcu, chcąc uniknąć nieustannych zatargów o swą odzież z niespokojnymi wierzycielami, zaczął udawać pogardę dla przepychu wojskowego i przyjął ekscentryczny zwyczaj noszenia starych, podniszczonych kurtek, co w końcu stało się drugą jego naturą. Ale stronnictwo, do którego Barrios się przyłączył, nie potrzebowało się obawiać z jego strony odstępstwa politycznego. Był zanadto szczerym żołnierzem, by niegodnie frymarczyć kupnem i sprzedażą zwycięstw. Pewien przedstawiciel dyplomacji cudzoziemskiej w Santa Marta tak o nim zawyrokował: „Barrios to człowiek bezwzględnie uczciwy, a nawet nie pozbawiony niejakich zdolności strategicznych, *mais il manque de tenue*[166]". Gdy ribierzyści wzięli górę, otrzymał nader zyskowne stanowisko komendanta okręgu zachodniego, głównie dzięki staraniom swych wierzycieli (kupców z Santa Marta, którzy wszyscy byli wielkimi politykami). Poruszali oni publicznie w swym własnym interesie niebo i ziemię, zaś prywatnie oblegali señora Moragę, wpływowego agenta kopalni San Tomé, żaląc się przed nim przesadnie, iż „będziemy zrujnowani, jeżeli generał zostanie pominięty". Przygodna, lecz przychylna wzmianka o nim w długiej korespondencji, którą pan Gould-senior prowadził ze swym synem, również przyczyniła się nieco do jego mianowania, ale przede wszystkim zaważyła jego niezawodna uczciwość polityczna. Nikt nie podawał w wątpliwość osobistej odwagi tego „pogromcy tygrysów", jak go nazywała ludność. Utrzymywano wprawdzie, że nie miał szczęścia na polu bitwy, ale było to w przededniu okresu pokojowego. Żołnierze lubili go za jego ludzkie podejście, które niby jakieś dziwne i cenne kwiecie nieoczekiwanie rozkwitło na podłożu zepsucia rewolucyjnego. Pogardliwa jowialność, z jaką wodził po tłumach swym jednym okiem, człapiąc z wolna na koniu ulicami podczas wojskowych uroczystości, wydzierała okrzyki z piersi pospólstwa. Zwłaszcza kobiety z ludu ulegały bezwzględnie urokowi jego długiego nosa, wystającej brody, grubej dolnej wargi, czarnego jedwabnego płatka na oku i przepaski, która niedbale wiła się na jego czole. Dzięki swej wysokiej randze znajdował zawsze słuchaczy wśród *caballeros*, którym opowiadał swe przygody myśliwskie nader barwnie, z prostotą i szczerym zadowoleniem. Towarzystwa kobiecego nie lubił z powodu ograniczeń, jakie nakładało, nie dając w za-

[162] *tolderia* (hiszp.) — obozowisko indiańskie. [przypis edytorski]

[163] *Juárez, Benito* (1806–1872) — meksykański przywódca, reformator i demokrata, prezydent Meksyku (od 1857), uznawany za bohatera narodowego. Wobec fatalnej sytuacji gospodarczej kraju w 1861 wstrzymał spłatę długów zagranicznych, co stało się dla Francji pretekstem do interwencji zbrojnej w celu ustanowienia w Meksyku marionetkowej monarchii. [przypis edytorski]

[164] *monte* (hiszp.) — hazardowa gra karciana, w XIX w. uważana za narodową grę Meksyku. [przypis edytorski]

[165] *pesetas* (hiszp.) — pesety, tu: potoczna XIX-wieczna nazwa srebrnych monet meksykańskich o wartości 2 reali i 25 centymów. [przypis edytorski]

[166] *mais il manque de tenue* (fr.) — ale brakuje mu manier. [przypis edytorski]

mian, jego zdaniem, niczego. Bodaj nie więcej niż trzy razy rozmawiał z panią Gould od chwili, kiedy objął swe naczelne stanowisko w okręgu, ale przyglądał się jej nieraz, gdy jechała konno z *señorem administradorem*, i wyraził się nawet, iż w swej drobnej ręce dzierżącej wodze ma więcej rozumu niż wszystkie głowy kobiece w Sulaco. Odjeżdżając, pragnął okazać się bardzo ugrzeczniony wobec kobiety, która umiała trzymać się w siodle, a przy tym była żoną człowieka, który miał wielkie znaczenie dla jego pustej kieszeni. Uprzejmość swoją posunął tak daleko, iż na jego rozkaz adiutant (krępy, przysadkowaty kapitan o tatarskiej twarzy) ustawił przed powozem kaprala z kilkoma żołnierzami, aby cofająca się ciżba „nie niepokoiła mułów señory". Po czym zwróciwszy się do gromadki Europejczyków, którzy przyglądali się z pobliska, odezwał się protekcjonalnie:

— Señores, nie miejcie obaw! Budujcie spokojnie swój *ferro carril*[167], swe koleje, swe telegrafy, swe... Costaguana ma dosyć bogactw, by zapłacić za wszystko, gdyż inaczej was by tu nie było. Ha, ha! Nie zwracajcie uwagi na tę małą *picardię*[168] mojego przyjaciela Montera. Wkrótce ujrzycie jego farbowane wąsy za kratami mocnej drewnianej klatki. *Si, señores*! Nie lękajcie się niczego, pracujcie nad rozwojem kraju, pracujcie, pracujcie!

Garstka inżynierów przyjęła te napomnienia bez słowa odpowiedzi. Skinąwszy ku nim wyniośle ręką, zwrócił się znowu do pani Gould:

— Oto co powinniśmy czynić, jak powiada don José. Być przedsiębiorczymi! Pracować! Wzbogacać się! Wsadzić Montera do klatki jest moim zadaniem, a kiedy załatwimy się z tą drobnostką, powinniśmy, jak chce don José, wzbogacić się wszyscy i każdy z osobna, na podobieństwo tych Anglików, gdyż zbawieniem dla kraju są pieniądze i...

Wtem jakiś młody oficer, w nowym jak z igły mundurze, nadbiegł od strony pomostu i przerwał mu dalszy wykład poglądów señora Avellanosa. Generał drgnął niecierpliwie, ale przybysz zaczął na niego nalegać, nie szczędząc mu zresztą oznak szacunku. Konie sztabowe już załadowano, łódź okrętowa oczekiwała generała u podnóża pomostu. Barrios, spojrzawszy nań srogo swym jednym okiem, począł się żegnać. Don José silił się na zwroty odpowiadające powadze chwili i wygłaszał je mechanicznie. Przemawiała przez niego straszliwa rozterka obawy i nadziei i zdawało się, że nie szczędzi ostatnich iskier swego żaru na te wysiłki krasomówcze, których echa powinny rozlec się nawet w dalekiej Europie. Antonia, zacisnąwszy różowe usta, kryła odwróconą głowę za wachlarzem, zaś młody Decoud, chociaż czuł na sobie oczy dziewczyny, wspierał się na łokciu i uparcie patrzył w dal z wyrazem zupełnego i pogardliwego odosobnienia. Pani Gould bohatersko skrywała niesmak, jaki w niej rozbudzał widok ludzi i zdarzeń, najzupełniej obcych pojęciom jej rasy; niesmak ten był tak głęboki, iż nie dawał się zawrzeć w słowach nawet w rozmowie z mężem. Rozumiała teraz lepiej jego milczącą powściągliwość. Ich duchowa bliskość zawodziła nie na osobności, lecz właśnie wśród ludzi, kiedy szybkie skrzyżowanie się ich spojrzeń bywało wyjaśnieniem jakiejś zmiany w biegu wypadków. Stała się jego uczennicą w jedynie możliwej sztuce nieprzejednanego milczenia, odkąd w celu dopięcia ich celów trzeba było pogodzić się z wieloma rzeczami, które wydawały się jej gorszące, dziwaczne lub groteskowe, a które w tym kraju uważano za coś normalnego. Dostojna Antonia była stanowczo dojrzalsza i nieskończenie spokojniejsza, ale też nigdy nie przychodziło jej na myśl, jak pogodzić nagłe opady swego ducha z ujmującą ruchliwością wyrazu.

Pani Gould uśmiechnęła się na pożegnanie do Barriosa, skinęła w stronę Europejczyków (którzy równocześnie zdjęli kapelusze) z powabnym zaproszeniem: „Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła powitać wszystkich panów u siebie" — po czym rzekła nerwowo do Decouda: „Proszę wsiadać, don Martinie". Słyszała, jak otwierając drzwiczki powozu, mruknął do siebie po francusku: „ *Le sort en est jeté*"[169]. Słowa te przejęły ją niemal rozpaczą. Nikt lepiej od niej nie wiedział, iż pierwszy rzut kości w tej rozpaczliwej grze nastąpił już dawno. Rozległy się dalekie okrzyki i słowa komendy, warkot bębnów na pomoście pozdrawiał odjeżdżającego generała. Owładnęła nią jakby lekka niemoc i patrząc pustym wzrokiem na spokojną twarz Antonii, zastanawiała się, co by się stało z Charleyem, gdyby ten cudak zawiódł.

[167]*ferro carril* (hiszp.) — kolej żelazna. [przypis edytorski]
[168]*picardia* (hiszp.) — żart, psota. [przypis edytorski]
[169]*Le sort en est jeté* (fr.) — kości zostały rzucone. [przypis edytorski]

— *A la casa, Ignacio!*[170] — zawołała ku nieruchomym, szerokim plecom stangreta, który ujął bez pośpiechu lejce, mrucząc pod nosem: — *Si, la casa. Si, si, niña*[171].

Powóz potoczył się bez szmeru po miękkiej drodze. Długie cienie padały na zapyloną niewielką równinę, usianą ciemnymi chaszczami, kopcami odwalonej ziemi, blaszanymi dachami niskich zabudowań drewnianych, stanowiących własność Towarzystwa Kolejowego. Rząd rzadko rozstawionych słupów telegraficznych wymykał się bokiem z miasta, niosąc w głąb rozległego Campo pojedynczy, niemal niedostrzegalny drut, niby nikłą, drgającą mackę postępu, czekającego chwili pokoju, żeby przeniknąć w głąb kraju i owinąć się dokoła jego udręczonego serca.

Okna kawiarni w „Albergo d'Italia Una" zapełniały ogorzałe, brodate twarze kolejarzy. Natomiast na drugim krańcu domu, gdzie się zbierali *signori Inglesi*, stał przed drzwiami pośrodku swych córek stary Giorgio z obnażoną głową, białą niby śniegi Higueroty. Pani Gould kazała zatrzymać się stangretowi. Rzadko mijała swego protegowanego, nie zamieniwszy z nim kilku słów, zaś w tej chwili odczuwała jeszcze pragnienie, wywołane podnieceniem, upałem i kurzem. Poprosiła o szklankę wody. Giorgio kazał pójść po nią dzieciom, sam zaś podszedł ku niej z widoczną radością na pobrużdżonej twarzy. Nieczęsto widywał swą dobrodziejkę, która była ponadto Angielką, co było jeszcze jednym powodem jego względów. Przepraszał za swą żonę. Czuje się dzisiaj niedobrze, ma dolegliwości — tu dotknął ręką swej szerokiej piersi. Nie może się ruszyć z fotela.

Decoud, wciśnięty w róg powozu, spoglądał posępnie na starego rewolucjonistę, po czym zapytał bezceremonialnie:

— No, a co pan myśli o tym wszystkim, Garibaldino?

Stary Giorgio zerknął na niego z niejaką ciekawością i odparł grzecznie, iż wojska podczas marszu przedstawiały się bardzo dobrze. Jednooki Barrios i jego oficerowie w krótkim czasie dokonali z tymi rekrutami cudów. Ci *Indios*, wzięci zaledwie kilka dni przedtem, szli w zdwojonym tempie, jak bersalierzy; wyglądali na dobrze odżywionych i mieli na sobie całe mundury.

— „Mundury!" — powtórzył z bolesnym półuśmiechem. Gorzkie widzenie przeszłości mignęło w jego przenikliwych, niewzruszonych oczach. Inaczej to bywało za jego czasów, kiedy walczono przeciw tyranii w lasach brazylijskich i na równinach Urugwaju na wpół nago, kiedy jedynym pożywieniem bywała na poły surowa wołowina bez soli, a jedyną nieraz bronią nóż, przytwierdzony do kija. Żołnierz

— A jednak braliśmy górę nad ciemiężycielami — dokończył z dumą.

Podniecenie jego przygasło; lekkim ruchem ręki dał wyraz swemu zniechęceniu. Nadmienił jednak, iż prosił jednego z sierżantów, żeby mu pokazał nowy karabin. Nie było takiej broni za jego żołnierskich czasów i jeżeli Barrios nie zdoła...

— Tak, tak — przerwał don José, drżąc niemal z zapału. — Jesteśmy dobrze zaopatrzeni. Zacny señor Viola zna się na rzeczy. Śmiertelnie groźna, czyż nie tak? Wspaniale wywiązałeś się ze swego zadania, mój drogi Martinie!

Decoud rozparł się na siedzeniu, zapatrzony na starego Violę.

— No, tak! Zna się na rzeczy... Ale po czyjej jest pan stronie w głębi duszy?

Pani Gould wychyliła się z powozu ku dzieciom. Linda z wielką ostrożnością przyniosła z domu szklankę wody na tacy. Gizela podała ją wraz z wiązanką zerwanych naprędce kwiatów.

— Po stronie ludu — odparł stary Viola twardo.

— W zasadzie my wszyscy jesteśmy po stronie ludu.

— Tak — zamamrotał gniewnie stary Viola. — Ale oni walczą za was. Ślepi! *Esclavos!*[172]

W tej chwili młody Scarfe, członek ekipy kolejowej, wynurzył się z drzwi, które prowadziły do części domu zajmowanej przez *signori Inglesi*. Przyjechał z gór drezyną do kwatery głównej i zaledwie zdążył wykąpać się i zmienić ubranie. Był to miły chłopak. Pani Gould powitała go serdecznie.

[170] *A la casa, Ignacio!* (hiszp.) — Do domu, Ignacio! [przypis edytorski]
[171] *Si, la casa. Si, si, niña* (hiszp.) — Tak, dom. Tak, tak, pani. [przypis edytorski]
[172] *esclavos* (hiszp.) — niewolnicy. [przypis edytorski]

— Jakaż to rozkoszna niespodzianka, że widzę panią, pani Gould! Właśnie zjechałem z gór. Nie mam szczęścia. Znowu wszystko mnie ominęło. Przegląd wojsk już się odbył i słyszałem, że ubiegłego wieczora u don Juste Lopeza tańczono na zabój. Czy to prawda?

— Młodzi patrycjusze — odezwał się nagle Decoud poprawną angielszczyzną — tańczyli istotnie, zanim wyruszyli na wojnę z wielkim Pompejuszem[173].

Młody Scarfe wpatrzył się w niego zdumiony.

— Panowie jeszcze się nie znają — wtrąciła pani Gould. — Pan Decoud, pan Scarfe.

— No, ale my nie wyruszamy pod Farsalos — żachnął się don José z nerwowym pośpiechem, również po angielsku. — Nie godzi się żartować w ten sposób, Martinie.

Pierś Antonii falowała od głębszego oddechu. Młody inżynier był jak tabaka w rogu.

— Jaki wielki? — bąknął niepewnym głosem.

— Na szczęście Montero nie jest Cezarem — mówił Decoud dalej. — Nawet obaj Monterowie nie utworzyliby znośnej parodii Cezara. — Skrzyżował ręce na piersiach, spoglądając na señora Avellanosa, który pogrążył się znów w nieruchomości: — To pan tylko jest naprawdę starym Rzymianinem, *vir Romanus*[174], wymownym i nieugiętym.

Usłyszawszy nazwisko Montera, młody Scarfe pośpieszył dać wyraz swym prostym uczuciom. Donośnym i młodzieńczym głosem oświadczył, iż ma nadzieję, że ten Montero zostanie pobity i raz na zawsze usunięty z drogi. Nie wiadomo, co by się stało z koleją, gdyby rewolucja wzięła górę. Może trzeba by było zaprzestać jej budowy. Nie byłaby to pierwsza kolej, którą zmarnowano w Costaguanie.

— Państwo wiedzą, to jedna z ich tak zwanych spraw narodowych — kontynuował, marszcząc nos, jak gdyby to słowo miało podejrzaną woń dla jego głębokiej znajomości stosunków południowoamerykańskich. — Oczywiście — paplał z ożywieniem — dla mnie, w moim wieku, było to ogromnym szczęściem dostać posadę w tak wielkim przedsiębiorstwie, państwo rozumieją. — Zapewniało mu to przewagę nad wieloma innymi, i to, jak zapewniał, przez całe życie. — Zatem, precz z Monterem, pani Gould!

Jego prostoduszny uśmiech zanikał z wolna wobec zgodnej surowości twarzy, które zwracały się ku niemu z powozu. Jedynie ten „starowina" don José o nieruchomym, woskowym profilu, patrzył prosto przed siebie jakby głuchy. Scarfe nie znał bliżej Avellanosów. Nie wydawali balów, a Antonia nie stawała nigdy w parterowym oknie, jak to czyniły niektóre panny, pod opieką starszych dam mizdrzące się do konnych *caballeros* na *calle*[175]. Spojrzenia tych Kreolów nie obchodziły go zbytnio, ale co, u licha, stało się pani Gould? Rzekła: „Jedźmy, Ignacio!" i skinęła ku niemu lekko głową. Usłyszał krótki śmiech tego sfrancuziałego lalusia o okrągłej twarzy. Zaczerwienił się aż po białka oczu i popatrzył na Giorgia Violę, który wraz z dziećmi odsunął się nieco, trzymając kapelusz w ręce.

— Potrzebuję zaraz konia — odezwał się z niejaką cierpkością do starca.

— *Si, señor*. Koni jest pod dostatkiem — mruknął Garibaldino, głaskając bezwiednie swymi brunatnymi rękami główki swych córek, jedną ciemną o brązowych poświatach, drugą jasną, mieniącą się miedzianymi połyskami. Powrotna fala widzów wzbijała wielki kurz na drodze. Jeźdźcy górowali nad tłumem.

— Idźcie do matki — rzekł. — Podrastają, a ja się starzeję i nie ma nikogo...

Spojrzał na młodego inżyniera i urwał, jak gdyby obudzony ze snu. Po czym skrzyżował ramiona na piersiach i przybrał swą zwykłą postawę, oparłszy się o futrynę i utkwiwszy oczy w białym ogromie dalekiej Higueroty.

W powozie Martin Decoud, zmieniając pozycję, jakby mu było niewygodnie, ruszył się z miejsca i szepnął do Antonii:

— Zdaje mi się, że pani mnie nienawidzi.

Po czym głośno zaczął gratulować don Josému, iż wszyscy inżynierowie są z przekonania ribierzystami.

---

[173] *Gnejusz Pompejusz* zw. *Magnus* (Wielki) (106–48 p.n.e.) — rzymski polityk i wódz, jeden z twórców I triumwiratu (razem z Juliuszem Cezarem i Markiem Krassusem); po rozpadzie triumwiratu konflikt między nim i Cezarem przerodził się w otwartą wojnę domową, zakończoną bitwą pod Farsalos, w której Pompejusz odniósł druzgoczącą klęskę. [przypis edytorski]

[174] *vir Romanus* (łac.) — mężczyzna rzymski, Rzymianin. [przypis edytorski]

[175] *calle* (hiszp.) — ulica. [przypis edytorski]

— Słyszał pan, co mówił jeden z nich. Zabawna była ta jego przychylność. Miło jest myśleć, iż pomyślność Costaguany przynosi korzyść światu.

— Jest bardzo młody — zauważyła pani Gould spokojnie.

— A taki mądry na swój wiek — odparł Decoud. — Z ust tego dzieciaka usłyszeliśmy bowiem nagą prawdę. Pan ma słuszność, don José! Bogactwa naturalne Costaguany nie są bez znaczenia dla postępowej Europy, której przedstawicielem jest ten młodzian, podobnie jak przed trzystu laty skarby naszych praojców hiszpańskich były rzeczą nader ważną dla reszty Europy, reprezentowanej przez zuchwałych piratów. Przekleństwo nijakości ciąży na naszym charakterze: Don Kichot i Sancho Pansa, rycerskość i materializm, szczytnie brzmiące uczucia i ospała moralność, potężne wzloty ku idei i gnuśne zastyganie we wszystkich formach zepsucia. Wstrząsnęliśmy całym kontynentem, by odzyskać niepodległość, a staliśmy się bierną pastwą demokratycznej parodii, bezwolnymi ofiarami łotrów i rzezimieszków; nasze instytucje są błazeństwem, nasze prawa kpinami, a naszym władcą Guzman Bento! Upadliśmy tak nisko, iż kiedy taki człowiek jak pan obudził w nas sumienie, głupi barbarzyńca w rodzaju Montera — mój Boże, takiego Montera! — staje się groźnym niebezpieczeństwem, a ciemny samochwał, *Indio*, Barrios, jest naszym obrońcą.

Jednak don José, pomijając całość oskarżeń, jak gdyby nie słyszał z nich ani słowa, wziął w obronę Barriosa. Człowiek ten mógł sprostać specjalnemu zadaniu, jakie mu poruczono w planie kampanii. Polegało ono na tym, iż przyjmując Caytę za bazę swych działań, miał uderzyć na skrzydło wojsk rewolucyjnych zmierzających od południa ku stolicy, osłanianej przez drugą armię, w której znajdował się prezydent-dyktator. Don José zaczął rozprawiać z wielkim ożywieniem, pochylając się niespokojnie naprzód pod bacznym spojrzeniem swej córki. Decoud, jak gdyby zniewolony do milczenia tym jego zapałem, nie odzywał się ani słowem. Dzwony miejskie nawoływały do modlitwy, gdy powóz wjechał pod sklepienie starej bramy wznoszącej się naprzeciwko portu niby jakiś bezkształtny pomnik, spiętrzony z kamieni i liści. W turkot kół huczących pod arkadą wnikały dziwne, przeraźliwe okrzyki. Decoud, któremu dostało się miejsce na przednim siedzeniu, widział lud, wlokący się drogą hen, za powozem. Wszystkie głowy w sombrerach i *rebozos*[176] zwracały się ku lokomotywie, która przemknęła z wielką szybkością i zniknęła za domem Giorgia Violi w smudze białej pary, jak gdyby roztapiającej się w zdyszanych, histerycznie przeciągłych rykach wojowniczego triumfu.

I wszystko to było niby przelotna wizja: hałaśliwe widmo parowozu, mijającego pierzchliwie sklepione łuki bramy wśród poruszenia ludu, który wracał gromadnie z parady wojskowej i brodził cichymi stopami w kurzu drogi. Był to pociąg towarowy, wracający z Campo do otoczonej ostrokołem zajezdni. Puste wagony toczyły się lekko po jedynym szlaku szyn; nie dudniły koła i nie drgała ziemia. Maszynista, który mijając Casa Viola, podniósł ramię na znak pozdrowienia, zwolnił nieco biegu, zanim wjechał do zajezdni. Kiedy zaś ucichł ogłuszający świst parowego gwizdka, szereg twardych zderzeń, pomieszanych ze szczękiem łańcuchów, zabrzmiał pod sklepieniem bramy odgłosem ciosów i targania kajdan.

ROZDZIAŁ V

Powóz Gouldów pierwszy wracał z portu do wyludnionego miasta. Po starym, ułożonym w wzory bruku, pełnym dziur i wybojów, stateczny Ignacio, dbały o resory sprowadzonego z Paryża powozu, jechał noga za nogą. Decoud ze swego kąta zaczął przyglądać się chmurnie wnętrzu bramy. Graniaste, uwieńczone wieżyczkami narożniki zawierały między sobą ogrom murów porośniętych z wierzchu kępami trawy. U szczytu arkady widniała szara, grubo rzeźbiona kamienna tarcza z herbami Hiszpanii, które niemal już się zatarły, jak gdyby w oczekiwaniu jakiegoś nowego godła, znamionującego zbliżanie się postępu.

Twarde łomoty wagonów kolejowych zdawały się wzmagać rozdrażnienie Decouda. Zamamrotał coś do siebie, po czym urywanymi, zjadliwymi uwagami zaczął narzucać się milczeniu obu kobiet. Don José, którego przezroczyste, woskowe oblicze ocieniał miękki szary kapelusz, kiwał się z lekka, podrzucany przez powóz, obok pani Gould.

[176] *rebozo* (hiszp.) — obszerny szal noszony na ramionach, a niekiedy również na głowie; używany przez kobiety w Meksyku. [przypis edytorski]

— Ten zgiełk jest niby nowe ostrze przyłożone do starej prawdy.

Decoud mówił po francusku, może dlatego, iż nad nim na koźle siedział Ignacio. Stary woźnica, którego szerokie plecy wypełniały krótką, haftowaną srebrem kurtkę, miał wielkie uszy, z muszlami odstającymi mocno od jego krótko ostrzyżonej głowy.

— Tak, ten zgiełk za murami miasta jest nowy, ale zasada jest stara.

Przeżuwał czas jakiś swe niezadowolenie, po czym zaczął na nowo, zerknąwszy z ukosa na Antonię:

— A gdyby tak właśnie teraz wyobrazić sobie naszych praojców w hełmach i pancerzach, jak stoją w szeregu przed tą bramą, mając przeciwko sobie zastęp awanturników, którzy dopiero co wylądowali w przystani! Naturalnie, złodzieje. No, i spekulanci. Każda z ich wypraw była spekulacją statecznych i czcigodnych osób w Anglii. Tak wygląda historia, jak zawsze zwykł powiadać ten kiep Mitchell.

— Załadowaniem wojska Mitchell pokierował znakomicie! — zawołał don José.

— To... to było w rzeczywistości zasługą tego jakiegoś marynarza genueńskiego! Lecz wróćmy do tego, co mówiłem o zgiełku. Dawnymi czasy rozlegało się przed tą bramą granie surm[177] bojowych! Jestem pewien, że były to surmy. Czytałem gdzieś, iż Drake[178], największy z tych ludzi, zwykł był ucztować w swej kabinie, na pokładzie okrętu, przy dźwięku surm. Podówczas miasto to było ogromnie bogate. Ci ludzie przyjeżdżali, by zagarnąć te bogactwa. Obecnie cały kraj jest jakby jednym skarbcem, a ci ludzie włamują się do niego, gdyż my wodzimy się za łby. Jedyna rzecz, która jeszcze ich trzyma z dala, to wzajemna zazdrość. Ale z czasem się pogodzą, a kiedy przyjdzie chwila, że zaprzestaniemy swych kłótni, nabierzemy stateczności i rzetelności, nic już dla nas nie zostanie. Zawsze bywało tak samo. Jesteśmy przedziwnym ludem, ale taki już nasz los, że zawsze nas — nie powiedział: „rabowano", lecz dodał po chwili: „wyzyskiwano".

Pani Gould obruszyła się:

— Och, to niesprawiedliwe!

Ale Antonia wtrąciła:

— Nie odpowiadaj, Emilio! To przymówka do mnie.

— Chyba pani nie przypuszcza, że miałem na myśli don Carlosa? — odezwał się Decoud.

Powóz zatrzymał się wreszcie przed bramą Casa Gould. Młodzieniec podał rękę damom. Wysiadły pierwsze. Za nimi podążał don José w towarzystwie Decouda. Podagryczny, stary odźwierny dreptał na końcu, niosąc lekkie okrycia.

Don José ujął pod ramię publicystę z Sulaco.

— „Porvenir" powinien zamieścić długi, podniosły artykuł o Barriosie i o potędze jego armii z Cayty. Trzeba dodać otuchy krajowi. W odpowiednich streszczeniach należałoby go nadać telegraficznie do Europy i Stanów Zjednoczonych dla podtrzymania przychylnej opinii za granicą.

Decoud mruknął:

— O tak, trzeba podtrzymywać na duchu naszych przyjaciół spekulantów!

Długi, otwarty krużganek wraz z nieruchomym kwieciem roślin, umieszczonych w doniczkach wzdłuż balustrady, nurzał się w cieniu. Wszystkie oszklone drzwi prowadzące do salonów stały otworem. Dźwięk ostróg zamierał gdzieś w drugim końcu.

Basilio, stojący opodal pod ścianą, rzekł miękkim głosem do przechodzących pań: „*Senior administrador* powrócił dopiero co z gór".

W wielkiej sali, gdzie staroświeckie, hiszpańskie i nowoczesne, europejskie meble stanowiły niby dwa różne ośrodki pod wyniosłością białego sklepienia, jarzyło się wśród grupek karłowatych foteli srebro i porcelana zastawy stołowej, tworząc jak gdyby buduar[179] kobiecy, pełen niewieściej, pieściwej delikatności.

---

[177]*surma* — instrument dęty o przenikliwym brzmieniu, używany w daw. wojsku do sygnalizacji. [przypis edytorski]

[178]*Drake, Francis* (1540–1596) — angielski żeglarz, korsarz i admirał; walczył przeciwko flotom i portom hiszpańskim w Ameryce Łacińskiej; w wielkiej ekspedycji opłynął kulę ziemską (1577–80); w 1588 jako wiceadmirał floty angielskiej brał udział w odparciu tzw. Niezwyciężonej Armady, floty inwazyjnej hiszpańskiego króla Filipa II. [przypis edytorski]

[179]*buduar* — pokój kobiecy, przeznaczony głównie do wypoczynku. [przypis edytorski]

Don José usiadł w fotelu na biegunach i umieścił kapelusz na kolanach. Decoud przechadzał się wzdłuż salonu, krążąc wśród stołów zastawionych cackami i niewidocznych niemal za wysokimi oparciami wysłanych skórą kanap. Myślał o gniewnej twarzy Antonii; miał nadzieję, iż uda mu się z nią pojednać. Nie po to pozostał w Sulaco, by zrażać do siebie Antonię.

Martin Decoud był zły na siebie. Wszystko, co widział i słyszał dokoła siebie, pozostawało w irytującej sprzeczności z przyjętymi przez niego pojęciami europejskiej cywilizacji. Wyglądało to zupełnie inaczej aniżeli wówczas, kiedy rozmyślał o rewolucjach z oddali bulwarów paryskich. Tu, na miejscu, niepodobna było zbyć tej tragikomedii słowami: *Quelle farce!*[180]

Rzeczywistość zdarzeń politycznych w całej swej nagości stała się bliższa i dolegała mu tym dotkliwiej, iż Antonia wierzyła w tę sprawę. Cierpkość tej wiary raziła jego uczucia. Dziwił się swemu przeczuleniu.

— Zdaje mi się, że jestem więcej Costaguanerem, aniżeli przypuszczałem — myślał.

Niechęć jego wzmagała się w miarę, jak potężniał odpór jego sceptycyzmu przeciwko działalności, do której zniewoliła go zapamiętała miłość do Antonii. Starał się uspokoić, wmawiając w siebie, że nie jest patriotą, lecz człowiekiem zakochanym.

Panie powróciły, zdjąwszy kapelusze. Pani Gould osunęła się na krzesło przed małym stolikiem z zastawą do herbaty. Antonia zajęła swoje zwykłe miejsce, zajmowane podczas przyjęć — narożnik wysłanej skórą kanapy; z wachlarzem w ręce, przybrała postawę pełną surowego wdzięku. Decoud zboczył z linii prostej, po której się przechadzał, i przyszedł oprzeć się o wysoką poręcz jej siedzenia.

Przez jakiś czas mówił jej do ucha łagodnie, z półuśmiechem i wyrazem powściąganej poufałości. Wachlarz, na wpół złożony, leżał na jej kolanach. Nie obejrzała się na Decouda ani razu. Jego spieszne słowa stawały się coraz natarczywsze i pieszczotliwsze. W końcu parsknął z lekka śmiechem.

— Nie, naprawdę! Niech mi pani przebaczy. Człowiek czasem musi być poważny.

Zamilkł. Odwróciła nieco głowę. Jej błękitne oczy podążyły z wolna ku niemu, nieco słodsze i pytające.

— Czyż pani sądzi, że jestem poważny, gdy co drugi dzień nazywam w „Porvenir" Montera *gran' bestia*[181]? To nie jest poważne zajęcie. Żadne zajęcie nie jest poważne, nawet gdy ktoś okupuje swój błąd strzałem w serce.

Jej dłoń zacisnęła się mocno dokoła wachlarza.

— Jedyną rzeczą poniekąd rozumną, jedynym, co ma jaki taki sens, jest pogrążyć się w myślach; to jakby błysk prawdy. Mówię o prawdzie istotnej, dla której nie ma miejsca w polityce i dziennikarstwie. Zdarzyło się mi powiedzieć, co myślałem. A pani się pogniewała! Jeśli pani uczyni mi tę łaskę i zastanowi się nieco, to przekona się pani, że mówiłem jak patriota.

Po raz pierwszy rozchyliła nieco łaskawiej swe czerwone usta:

— Zapewne, lecz pan nigdy nie ma przed oczyma celu. Trzeba posługiwać się ludźmi takimi, jakimi są. Zdaje mi się, iż nikt nie jest naprawdę bezinteresowny, prócz może pana, don Martinie.

— Broń Boże! Pragnąłbym, by ta wiara we mnie znajdowała się u pani na ostatnim miejscu — odezwał się swobodnie i zamilkł.

Zaczęła lekko poruszać wachlarzem, nie podnosząc ręki. Po chwili szepnął namiętnie:

— Antonio!

Uśmiechnęła się i angielskim zwyczajem wyciągnęła rękę do Charlesa Goulda, który składał jej ukłon. Decoud, opierając się łokciem o poręcz kanapy, spuścił oczy i bąknął: „*Bonjour*"[182].

Señor administrador kopalni San Tomé pochylił się na chwilę nad swą żoną. Zamienili kilka słów, z których zabrzmiały głośniej tylko wyrazy: „największy entuzjazm", wyrzeczone przez panią Guld.

— No, tak — zaczął znów półgłosem Decoud — nawet on!

— To istna potwarz — rzekła Antonia niezbyt surowo.

[180] *Quelle farce!* (fr.) — Co za komedia! [przypis edytorski]
[181] *gran' bestia* (hiszp.) — wielkie bydlę. [przypis edytorski]
[182] *bonjour* (fr.) — dzień dobry. [przypis edytorski]

— Niechże go pani poprosi, by rzucił swą kopalnię w tygiel wielkiej sprawy — szepnął Decoud.

Don José zabrał głos. Zacierał ręce zadowolony. Doskonała postawa wojsk oraz wielka ilość nowych, śmiercionośnych karabinów na ramionach tych dzielnych żołnierzy napełniała go jakąś ekstatyczną otuchą.

Charles Gould stał wysoki i szczupły przed swym krzesłem i słuchał, ale na jego twarzy nie można było dojrzeć niczego prócz uwagi, uprzejmej i pełnej poszanowania.

Tymczasem Antonia powstała z miejsca i podeszła ku jednemu z trzech wielkich okien wychodzących na ulicę. Decoud podążył za nią. Okno było otwarte. Oparł się o ścianę w jego zagłębieniu. Długie fałdy adamaszkowej portiery zwisającej z szerokiego, mosiężnego gzymsu zakrywały go częściowo od strony salonu. Skrzyżował ramiona na piersiach i patrzył uparcie na profil Antonii.

Tłum wracający z portu roił się na chodnikach; szmer sandałów i głuchy rozgwar głosów wzbijał się ku oknu. Od czasu do czasu jakiś pojazd przejechał z wolna po zrujnowanych brukach Calle de la Constitucion. W Sulaco było niewiele prywatnych powozów, w najruchliwszej porze dnia można było policzyć je na *alamedzie* od jednego rzutu oka. Wielkie landary[183] familijne o wysokich, wyścielanych skórą siedzeniach pełne były ładnych, upudrowanych twarzyczek, z których wyzierały czarne, ogniste oczy. Pierwszy przejechał don Juste Lopez, przewodniczący Zgromadzenia Prowincjonalnego, w otoczeniu swych trzech uroczych córek. W czarnym fraku i sztywnym białym krawacie wyglądał tak uroczyście, jakby przewodniczył obradom z wysokiej trybuny. Wprawdzie wszyscy podnieśli oczy ku balkonowi, ale Antonia nie powitała ich zwykłym skinieniem ręki, więc udawali, że nie widzą dwojga młodych osób, tych Costaguanerów z europejskimi obyczajami, nad których niezwykłością rozprawiano za kratami okien najznamienitszych domów w Sulaco. Druga z kolei minęła ich piękna i pełna godności wdowa, señora Gavilaso de Valdes, w swej wielkiej landarze, w której miała zwyczaj jeździć do swego dworu na wsi pod strażą zbrojnego orszaku w skórzanej odzieży i wielkich sombrerach, z karabinami przy łękach siodeł. Była to kobieta najznakomitszego rodu, dumna, bogata i dobrego serca. Jej drugi syn, Jaime, wyruszył właśnie na wojnę ze sztabem Barriosa. Najstarszy, nicpoń o humorzastym usposobieniu, napełniał Sulaco rozgłosem swych hulanek i grywał grubo w klubie. Dwaj najmłodsi synowie siedzieli na przednim siedzeniu, z żółtymi kokardami ribierystowskimi u czapek. Udawała również, iż nie widzi, jak señor Decoud rozmawia publicznie z Antonią wbrew przyjętym obyczajom. A nie był on nawet jej *novio*[184], przynajmniej o ile było wiadomo! Ale nawet i w takim wypadku byłaby to rzecz zdrożna. Ta czcigodna pani, podziwiana i szanowana w towarzystwach arystokratycznych, czułaby się niewątpliwie jeszcze bardziej zgorszona, gdyby usłyszała słowa, które zamieniali między sobą:

— Powiedziała pani, że straciłem cel z oczu? Mam tylko jeden cel w życiu.

Uczyniła głową niemal niedostrzegalny ruch zaprzeczenia, wciąż zapatrzona na dom Avellanosów, szary, naznaczony piętnem ruiny, z żelaznymi kratami na podobieństwo więzienia.

— A tak łatwo można by go osiągnąć! — mówił dalej. — Cel ten, świadomie czy nie, miałem zawsze w sercu, od owej chwili, kiedy dała mi pani tak dotkliwą nauczkę w Paryżu. Pamięta pani?

Jakby lekkim uśmiechem drgnęła jedna strona jej ust.

— Straszna była z pani osoba! Niby Charlotte Corday[185] w mundurku pensjonarki. Zapamiętała patriotka. Byłaby pani pchnęła nożem Guzmana Bento, nieprawdaż?

Przerwała mu:

— Za wiele dla mnie zaszczytu!

— Bądź co bądź — odparł, przybierając nagle ton cierpkiej lekkomyślności — bez wyrzutu sumienia byłaby mnie pani wysłała, żebym go zasztyletował.

— *Ah, par exemple!*[186] — rzekła z urazą w głosie.

---

[183] *landara* — ciężka kareta podróżna bądź ogólnie: duży, niezgrabny pojazd konny. [przypis edytorski]

[184] *novio* (hiszp.) — narzeczony. [przypis edytorski]

[185] *Corday, Marie Anne Charlotte de* (1768–1793) — morderczyni Jean-Paula Marata, polityka z okresu Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

[186] *Ah, par exemple!* (fr.) — Och, cóż znowu! [przypis edytorski]

— A teraz — upierał się nieszczerze — każe mi pani pisywać śmiertelne niedorzeczności. Zabójcze dla mnie! Zabiły już we mnie godność własną. Proszę sobie wyobrazić — mówił dalej głosem, w którym drgnął akcent lekkiej żartobliwości — iż Montero, gdyby mu się powiodło, postąpiłby ze mną w jedyny sposób, w jaki postąpić może zwierzę, takie zwierzę z człowiekiem inteligentnym, który trzy razy w tygodniu raczy go nazywać *gran' bestia*. To pewnego rodzaju śmierć intelektualna, ale na dziennikarza mojego pokroju czyha jeszcze inna.

— Gdyby mu się powiodło! — rzekła Antonia zamyślona.

— Zdawało mi się, że pani jest zadowolona, iż moje życie wisi na włosku — odparł Decoud z przykrym uśmiechem. — Co się zaś tyczy drugiego Montero, „godnego zaufania brata" z proklamacji, tego *guerillero*, to czyż nie pisałem o nim, iż za czasów Rojasa w chwilach wolnych od szpiegowania naszych emigrantów zdejmował płaszcze gościom i zmieniał im talerze w naszym poselstwie paryskim? Tę fatalną prawdę postara się on utopić we krwi. W mojej krwi! Dlaczego spogląda pani z takim zaniepokojeniem? To po prostu szczegół z życiorysu jednego z naszych wielkich ludzi. A co on ze mną zrobi, jak pani się zdaje? Za rogiem *plaza* wznoszą się mury pewnego klasztoru. Pani wie? Naprzeciw drzwi z napisem: *Intrada de la sombra*[187]. Odpowiedni, nieprawdaż? To miejsce, gdzie stryj naszego gospodarza wyzionął swego anglo-południowoamerykańskiego ducha. A proszę zważyć, że mógł uciec. Człowiek, który walczył z bronią w ręku, ma prawo uciec. Gdyby pani dbała o mnie, to byłaby mi pani pozwoliła pójść z Barriosem. Byłbym stanął z największą radością w jednym szeregu z biednymi peonami i *Indios*, którzy nie mają pojęcia o zasadach i o polityce, i byłbym dźwignął jeden z tych karabinów, w których taką ufność pokłada don José. Najbardziej straceńcza placówka w najbardziej straceńczej armii na świecie jest bezpieczniejsza od zadania, dla którego kazała pani mi tu zostać. Gdy się jest w boju, można się cofnąć, ale niepodobna myśleć o ucieczce, gdy spędza się swój czas na zachęcaniu biednej, ciemnej tłuszczy, by zabijała i dawała się zabijać.

Mówił wciąż lekkim tonem, zaś ona, jakby nie wiedząc o jego obecności, stała nieruchomo, ze splecionymi lekko dłońmi, a wachlarz zwisał z jej zachodzących na siebie palców. Poczekał chwilę, po czym:

— Pójdę pod ścianę — odezwał się z jakąś żartobliwą rozpaczą.

Ale nawet po tych słowach nie spojrzała na niego. Nie poruszyła głową, zapatrzona na dom Avellanosów, którego obłupane kolumny i obłamane narożniki skryły już swe pohańbione dostojeństwo w gęstniejących zmierzchach ulicznych. Z całej jej postaci tylko usta drgnęły słowami:

— Czy pan chce, żebym się rozpłakała?

Milczał przez chwilę zaskoczony, jak gdyby przytłoczony brzemieniem jakiegoś zalęknionego szczęścia. Drwiący uśmiech zastygł na jego ustach, a jego oczy znieruchomiały w wyrazie niedowierzającego zdumienia. Wartość słów zależy od osoby, która je wypowiada, gdyż niczego nowego nie może powiedzieć ani kobieta, ani mężczyzna. Słowa wyrzeczone przez Antonię były ostatnimi, jakich się od niej spodziewał. Nigdy jeszcze nie był z nią tak blisko podczas ich krótkich spotkań. I zanim zdążyła zwrócić się ku niemu, co uczyniła z oziębłym wdziękiem, zaczął nalegać: Słowo

— Moja siostra tylko czeka, żeby panią uścisnąć. Mój ojciec będzie uszczęśliwiony. A czyż mam mówić o mej matce? Nasze matki będą jak dwie siostry. W przyszłym tygodniu statek pocztowy odpływa na południe. Jedźmy! Ten Moraga to głupiec! Człowieka takiego jak Montero można było przekupić. To zwyczaj tego kraju. To jego tradycja polityczna. Niechaj pani zajrzy do *Pięćdziesięciu lat nierządu*.

— Proszę nie powoływać się na mego ojca! On wierzy...

— Myślę z największą tkliwością o pani ojcu — mówił namiętnie. — Ale panią kocham, Antonio! Moraga haniebnie popsuł całą tę sprawę. Być może, iż przyczynił się także do tego pani ojciec, nie wiem. Montero dałby się przekupić. Trzeba mu było dać odczepne z tej sławetnej pożyczki zaciągniętej na cele rozwoju narodowego. Czemuż ci głupcy ze Santa Marta nie wysłali go w jakiejś misji do Europy lub nie obmyślili dla niego czegoś podobnego? Byłby wziął wynagrodzenie za pięć lat z góry i pojechałby trwonić je w Paryżu, ten głupi, dziki *Indio!*

[187] *Intrada de la sombra* (hiszp.) — wejście w cień, w ciemność. [przypis tłumacza]

— Ten człowiek — rzekła zamyślona, odpowiadając spokojnie na jego porywcze słowa — dał się opętać próżności. Mieliśmy o nim dokładne informacje nie tylko od Moragi, ale i od innych. Przy tym jego brat również wziął udział w intrygach.

— No, tak! — przemówił. — Pani wie o tym. Pani wie wszystko. Czytuje pani całą korespondencję, pisuje wszystkie dokumenty. Wszystkie dokumenty państwowe powstają tutaj, w tym salonie, natchnione przez ślepą uległość teorii czystości zasad politycznych. Czyż nie ma pani przed oczyma Charlesa Goulda? *Rey de Sulaco!*[188] On i jego kopalnia są praktycznym pokazem tego, co dałoby się zrobić. Czyż pani sądzi, że może mieć powodzenie, wierząc w swą teorię cnoty? A wszyscy ci inżynierowie kolejowi, ludzie uczciwej pracy! Bo trzeba przyznać, że pracują uczciwie. Ale czyż można pracować uczciwie, dopóki nie zaspokoi się złodziei? Czyż nie mógł ten dżentelmen powiedzieć temu jakiemuś sir Johnowi, czy jak tam on się nazywa, że trzeba przede wszystkim przekupić Montera, jego i tych murzyńskich liberałów, uwieszonych przy jego haftowanych złotem rękawach? Sprzedałby siebie, swą tępą osobę na wagę złota, sprzedałby wraz z sobą buty, szablę, ostrogi, kapelusz z kogucim pióropuszem — słowem wszystko. Proszę mi wierzyć.

Potrząsnęła głową z lekka.

— To było niemożliwe — rzekła cicho.

— Chciał zagarnąć wszystko? Co?

Zwróciła się teraz twarzą do niego w głębokiej framudze okiennej. Stała bliska i nieruchoma. Tylko jej usta poruszały się szybko. Decoud, oparłszy się plecami o ścianę, słuchał z założonymi rękami i przymkniętymi nieco powiekami. Poił się brzmieniem jej miarowego głosu i śledził ruchliwą żywość, z jaką fale wrażeń zdawały się wynikać z jej serca i przepływać przez jej krtań ulatującym w powietrze szmerem jej rozumnych słów. On także nie miał aspiracje: pragnął wyrwać ją z tej zabójczej jałowości reform i *pronunciamentos*. Wszystko to było chybione, zupełnie chybione. Pozostawał pod jej urokiem, ale chwilami nieodparta słuszność jakiegoś powiedzenia przełamywała ten czar, nagle pierzchało zaklęcie pod niemiłym naporem ciekawości. „Czasem kobieta staje jak gdyby na progu geniuszu — myślał. — Po co im wiedzieć, zastanawiać się, rozumieć? Namiętność starczy za wszystko" — i gotów był uwierzyć, że to lub owo zdumiewająco głębokie spostrzeżenie, ocena czyjegoś charakteru lub sąd o jakimś zdarzeniu po prostu graniczą z cudem. W dojrzałej Antonii dostrzegał z nadzwyczajną wyrazistością surową pensjonarkę z lat minionych. Umiała przykuć jego uwagę, niekiedy nie mógł się powstrzymać, by jej nie przyznać słuszności, to znów całkiem poważnie czynił jakieś zastrzeżenia. Stopniowo zaczęli dyskutować; portiera zasłaniała ich po części przed oczyma osób zebranych w sali.

Kobieta

Na dworze zapadła ciemność. Z głębokich smug cienia między domami, majaczącymi w migotaniu lamp ulicznych, roztaczała się przez Sulaco wieczorna cisza, cisza miasta, gdzie jest mało pojazdów, nie podkuwa się koni, a ludzie noszą miękkie sandały. Okna Casa Gould rzucały świetlne prostokąty na ściany domu Avellanosów. Od czasu do czasu przeszedł ktoś cichym krokiem i błysnął roziskrzony żar papierosa u podnóża ściany. Powietrze, jakby ochłodzone śniegami Higueroty, muskało świeżością ich twarze.

— My, ludzie Zachodu — mówił Martin Decoud, używając określenia, którym posługiwali się zazwyczaj mieszkańcy prowincji Sulaco, gdy mówili o sobie — byliśmy zawsze odsunięci i oddaleni. Jak długo mamy Caytę w rękach, nic nas nie może dosięgnąć. Nie zdarzyło się jeszcze podczas naszych zaburzeń, żeby jakaś armia przekroczyła te góry. Rewolucja w centralnych prowincjach od razu nas odgradza. Proszę tylko zważyć, jak zupełne jest teraz to odosobnienie! Wiadomości o ruchach Barriosa będą przesyłane telegraficznie do Stanów Zjednoczonych i dopiero z przeciwległego wybrzeża morskiego będą docierały do Santa Marta. Posiadamy największe bogactwa, najżyźniejsze ziemie, najczystszą krew w naszych wielkich rodach, najpracowitszą ludność. Zachodnia Prowincja winna być samoistna. Federalizm przeszłości nie był dla nas niekorzystny! Nastąpiło po nim zjednoczenie, któremu opierał się don Henrique Gould. Utorowało ono drogę do tyranii. Odtąd reszta Costaguany wisi jak kamień młyński u naszej szyi. Zachodnia

[188] *rey de Sulaco* (hiszp.) — król Sulaco. [przypis edytorski]

Prowincja jest dość wielka, żeby dla nas wszystkich była ojczyzną. Niech pani spojrzy na góry. Nawet przyroda zdaje się nawoływać nas: „Oddzielcie się".

Zaprzeczyła energicznym gestem. Nastało milczenie.

— Wiem, że to przeciwne zasadom wyłuszczonym w *Dziejach pięćdziesięciu lat nierządu*. Staram się tylko być rozsądny. Ale mój rozsądek zawsze panią obraża. Czy bardzo przeraziły panią te najzupełniej rozumne dążenia?

Potrząsnęła głową. Nie, nie była urażona, ale ten pomysł pozostawał w sprzeczności z jej przekonaniami. Jej patriotyzm sięgał dalej. Nie zastanawiała się nigdy nad taką możliwością.

— A jednak to jedyny sposób, by ocalić choć po części pani przekonania — rzekł proroczo.

Nie odpowiedziała. Wydawała się znużona. Stojąc obok siebie, opierali się oboje po przyjacielsku o kratę niewielkiego balkonu. Zakończyli rozmowę o polityce i pogrążyli się w milczącym poczuciu wzajemnej bliskości, w tym głębokim mgnieniu, które tętni rytmem namiętności. W głębi *plaza*, u wylotu ulicy, jarzyły się jaskrawo węgle, żarzące się w *brazeros*[189] przekupek, które gotowały dla siebie wieczerzę. Jakiś człowiek przemknął bez szmeru, mignąwszy w świetle lampy ulicznej barwnym, odwróconym trójkątem swego bramowanego poncho, zarzuconego na barczyste ramiona i sięgającego poniżej kolan. Od strony portu jakiś jeździec człapał ulicą na koniu, który mijając lampy, mglił się srebrzyście pod ciemnymi kształtami postaci ludzkiej.

— Oto słynny *capataz de cargadores* — odezwał się Decoud miękko. — Ukończył pracę i nadjeżdża w całej swej okazałości. Po don Carlosie Gouldzie jest to największy człowiek w Sulaco. Dobry z natury, więc z nim się zaprzyjaźniłem.

— Naprawdę? — zapytała Antonia. — W jaki sposób pan z nim się zaprzyjaźnił?

— Dziennikarz powinien wyczuwać tętno ludu, a ten człowiek jest jednym z przywódców pospólstwa. Dziennikarz powinien znać ludzi niezwykłych, a ten człowiek jest na swój sposób niezwykły.

— Zapewne — rzekła Antonia w zamyśleniu. — Wiadomo powszechnie, iż ten Włoch wywiera wielki wpływ.

Jeździec ich minął, mignęły w mgławej poświacie połyskliwe blachy uprzęży, wielkie, błyszczące strzemiona oraz długie srebrne ostrogi. Ale przelotne muśnięcie żółtawego światła ześliznęło się bezsilnie po ciemnej tajemniczej postaci, której oblicze nikło zupełnie pod wielkim sombrerem.

Decoud i Antonia stali wciąż jeszcze oparci o poręcz balkonu, tak blisko siebie, iż dotykali się niemal łokciami. Ich pochylone głowy nurzały się w ciemności ulicznej, a za nimi jarzyła się oświecona jasna sala. To *tête à tête*[190] było w najwyższym stopniu zdrożne i na całym obszarze republiki zdolna była do niego tylko ta niezwykła Antonia, biedna, osierocona dziewczyna, którą nikt się nie opiekował, której niedbały ojciec dbał tylko o wykształcenie. Nawet Decoud doznawał wrażenia, iż osiągnął więcej, aniżeli mógł się spodziewać przed... zakończeniem rewolucji, kiedy wreszcie będzie mógł zabrać ją ze sobą do Europy, wyrwać ją z tego nieskończonego zamętu wojen domowych, których niedorzeczność była bodaj przykrzejsza od hańby. Oto po jednym Montero pojawi się na pewno inny, jemu podobny; wśród ludności najprzeróżniejszego pochodzenia i zabarwienia skóry będzie dalej szalało bezprawie, barbarzyństwo i nieunikniona tyrania. Wielki wyzwoliciel, Bolivar, słusznie rzekł z głębi swej rozgoryczonej duszy: „Ameryką rządzić niepodobna. Ci, co pracowali dla jej niepodległości, orali morze". Zaś on sam oświadczał bez ogródek, iż nie dba o ojczyznę. Przy każdej sposobności powiadał Antonii otwarcie, że nie jest patriotą, chociaż udało się jej uczynić z niego dziennikarza, który oddał swe pióro na usługi *blancos*. Przede wszystkim samo pojęcie patriotyzmu nie ma sensu dla umysłów światłych, dla których ciasnota wszelkich przekonań ideologicznych jest nie do zniesienia; po wtóre pojęcie to sponiewierano beznadziejnie w nieustannych zamieszkach w tym nieszczęsnym kraju. Stało się ono hasłem ciemnego barbarzyństwa, osłoną bezprawia, zbrodni, grabieży i pospolitego złodziejstwa.

---

[189] *brasero* (hiszp.) — naczynie w formie umieszczonej na nóżkach metalowej miski wypełnionej rozżarzonym węglem. [przypis edytorski]

[190] *tête à tête* (fr.) — sam na sam; spotkanie tylko we dwoje, schadzka. [przypis edytorski]

Dziwiła go płomienność własnej wymowy. Nie potrzebował przyciszać głosu, gdyż przez cały czas mówił cicho, szeptem, zatracającym się wśród milczenia mrocznych domów, których okiennice w Sulaco zamyka się wcześnie z obawy przed nocnym powietrzem. Jedynie salon w Casa Gould rzucał wyzywający blask ze swych czterech okien, jasne snopy światła wśród głuchego mroku ulicy. Po krótkiej chwili rozległ się znowu na małym balkonie szmer głosów.

— Pracujemy, żeby to zmienić — przeczyła mu Antonia. — To jest naszym pragnieniem. To jest naszym zadaniem. Na tym polega wielkość sprawy. Zaś w owym pojęciu, którym pan pomiata, zawarł się ogrom poświęcenia, męstwa, stałości, cierpienia. Mój ojciec, który...

— Orze tonie morskie — przerwał Decoud, spoglądając w dół.

Zadudniły pod nimi śpieszne, ciężkie kroki.

— Wuj pani, wikariusz generalny[191], wszedł właśnie do bramy — objaśnił Decoud. — Odprawił mszę dla wojska na *plaza* dziś rano. Czy wie pani, że zbudowano dla niego ołtarz z bębnów? I że wyniesiono z kościoła wszystkie pomalowane drewna, żeby się przewietrzyły? Wszyscy drewniani święci stali jak żołnierze w szeregu u podnóża wielkich schodów. Wyglądali niby wspaniały orszak towarzyszący wielkiemu wikariuszowi. Przyglądałem się temu uroczystemu obrzędowi z okien „Porveniru". Pani wuj, ostatni z Corbelanów, jest zdumiewający. Skrzył się w swym ornacie z krzyżem ze szkarłatnego aksamitu na plecach. Tymczasem nasz zbawca, Barrios, siedział w klubie „Amarilla" przy otwartym oknie i popijał poncz. To *esprit fort*[192], ten nasz Barrios. Spodziewałem się, iż wuj pani ciśnie lada chwila klątwą w to przysłonięte czarnym płatkiem oko, które wyzierało z okna po drugiej stronie *plaza*. Ale nie. W końcu wojsko odmaszerowało. Barrios raczył wreszcie zejść na dół z kilkoma oficerami i rozmawiając, stał na skraju chodnika w porozpinanym mundurze. Nagle u drzwi katedry ukazał się wuj pani, już nie w skrzących szatach, lecz w czerni. Jak zwykle, wyglądał groźnie, niby jakiś duch pomsty. Spojrzał, podszedł wielkimi krokami ku oficerom i uprowadził generała, wziąwszy go pod ramię. Wodził go jakiś kwadrans w cieniu kościoła. Ani na chwilę nie puszczał go od siebie, mówiąc bez przerwy gorączkowo i gestykulując swym długim, czarnym ramieniem. Było to ciekawe widowisko. Oficerowie jakby osłupieli ze zdumienia. Niezwykły człowiek, ten pani wuj misjonarz. Nienawidzi bardziej heretyka niż bezbożnika, a stokroć woli poganina od bezbożnika. Czy pani wie, iż raczy niekiedy nazywać mnie poganinem?

Antonia słuchała, przełożywszy ręce przez balustradę. Dłonie jej otwierały i zamykały z wolna wachlarz. Decoud mówił nieco nerwowo, jak gdyby się obawiał, iż odejdzie od niego, jeśli przestanie mówić. Ich częściowe odosobnienie, tkliwe poczucie zbliżenia, lekkie zetknięcie ich ramion napawały go błogością. W jego ironicznym szepcie odzywała się niekiedy słodycz czułości.

— Umiem cenić nawet najniklejszą oznakę łaskawości ze strony pani krewnych. A przy tym może on mnie rozumie. Bo ja znam *padre* Corbelana. Godność polityczna, sprawiedliwość, uczciwość polega w jego pojęciu na zwrocie dóbr zabranych Kościołowi. Nic innego nie zdołałoby skłonić go do powrotu z puszcz, gdzie nawracał zapamiętale dzikich Indian! Ta zawodna nadzieja skłoniła go do pracy na rzecz ribierzystów. Gdyby znalazł zwolenników, to dla tej sprawy sam byłby gotów wywołać *pronunciamento* przeciw każdemu rządowi. Co też myśli o tym don Carlos Gould? Ale któż odgadnie jego myśli za tą nieprzeniknioną angielską skrytością? Najprawdopodobniej nie obchodzi go nic poza jego kopalnią, jego *imperium in imperio*. Jeżeli zaś chodzi o panią Gould, to ona myśli o swych szkołach, o swych szpitalach, o matkach z drobnymi dziećmi i o wszystkich chorych starcach w trzech wioskach górniczych. Gdyby pani odwróciła teraz głowę, to na pewno zobaczyłaby pani, iż albo odbiera raport od tego zakazanego doktora w kraciastej koszuli, jakże on się nazywa? Ach, prawda, Monygham, albo wypytuje don Pépégo albo też słucha *padre* Romana. Wszyscy oni są dziś tutaj, zeszli się wszyscy ministrowie jej państwa. Uczuciowa z niej kobieta, a don Carlos jest może uczuciowym mężczyzną. To jedna z cech angielskiego zdrowego rozsądku, by nie myśleć za wiele i dbać tylko

[191] *wikariusz generalny* — duchowny wyznaczony przez biskupa do pomocy w zarządzaniu diecezją jako jego pełnomocnik. [przypis edytorski]

[192] *esprit fort* (fr.) — osoba wznosząca się ponad powszechne, utarte poglądy i wierzenia religijne; otwarta głowa; wolnomyśliciel. [przypis edytorski]

o to, co można praktycznie zużytkować w danej chwili. To ludzie niepodobni do nas. Nie mamy politycznego rozumu; miewamy tylko polityczne namiętności, i to niekiedy. Czym jest przekonanie? Swoistym wyrazem naszych osobistych korzyści, bądź to praktycznych, bądź też uczuciowych. Nie jest się za darmo patriotą. Na tym słowie nieźle się wychodzi. Ale ja patrzę jasno i nie mam prawa go używać, mówiąc do pani. Nie mam złudzeń patriotycznych. Mam tylko najwyższe złudzenie — człowieka zakochanego.

Zamilkł, po czym szepnął niemal bezgłośnie:

— Które może zaprowadzić bardzo daleko.

Wzmagający się za ich plecami gwar głosów był oznaką, iż nastała chwila przypływu politycznego, który raz na dwadzieścia cztery godziny zwykł był przelewać się wzdętą falą przez salon Gouldów. Napływali goście pojedynczo, dwójkami, trójkami: wyżsi urzędnicy prowincjonalni i ogorzali inżynierowie kolejowi. Wśród ich młodych, czerstwych twarzy widniała szpakowata głowa ich zwierzchnika, który uśmiechał się z lekko żartobliwą pobłażliwością. Scarfe, miłośnik fandango[193], wymknął się już, poszukując, gdzie by można zatańczyć, chociażby mu wypadło iść na krańce miasta. Don Juste Lopez, odwiózłszy córki do domu, wszedł uroczyście, mając na sobie czarny, pognieciony surdut, pozapinany aż pod bujną, ciemną brodę. Nieliczni członkowie Zgromadzenia Prowincjonalnego skupili się zaraz dokoła swego prezesa i zaczęli omawiać nowiny z pola walki oraz najnowszą proklamację buntowniczego Montera, nikczemnego Montera, który w imieniu „płonącej słusznym oburzeniem demokracji" wzywał wszystkie Zgromadzenia Prowincjonalne republiki, by zaprzestały posiedzeń aż do chwili, kiedy jego miecz zapewni spokój i będzie można zasięgnąć zdania ludu. Praktycznie było to wezwanie do rozwiązania Zgromadzeń. Co za niesłychane zuchwalstwo tego podłego szaleńca!

Garstka posłów stojących za Josém Avellanosem zakipiała oburzeniem. Don José podniósł głos i zawołał do nich przez wysokie oparcie swego fotela:

— Sulaco dało odpowiedź, wysyłając dziś armię, która uderzy na niego od skrzydła. Gdyby wszystkie inne prowincje dowiodły bodaj w części patriotyzmu, który ożywia nas, obywateli z Zachodu...

Burza okrzyków zagłuszyła rozedrgany głos człowieka, który był życiem i duszą swego stronnictwa. — Tak jest? To prawda! To wielka prawda! Sulaco stanęło na czele, jak zawsze! — zahuczał pochwalny zgiełk; wiekopomny dzień rozbudził otuchę wśród tych *caballeros* z Campo, troszczących się o swe łany, o swe trzody, o bezpieczeństwo swoich rodzin. Wszystko rzucono na szalę...

— Nie! To niepodobna, żeby Montero zwyciężył! Ten zbrodniarz, ten bezwstydny *Indio!* — Wrzawa nie przycichała. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku gromadce, wśród której don Juste przybrał wyraz tak bezstronny i uroczysty, jak gdyby przewodniczył posiedzeniu Zgromadzenia Prowincjonalnego.

Decoud odwrócił się i oparłszy się plecami o balustradę, wrzasnął na cały głos do wnętrza sali: — *Gran' bestia*!

Pod wpływem tego nieoczekiwanego okrzyku zgiełk ucichł. W oczach, które podążyły za nim w stronę okna, błysnęło przychylne oczekiwanie. Ale Decoud zdążył już odwrócić się od salonu i stał znów pochylony nad cichą ulicą.

— Oto najistotniejsza treść mojej działalności publicznej. Oto najdosadniejszy jej argument! — przemówił do Antonii. — Wynalazłem to określenie, to hasło wielkiej sprawy. Ale nie jestem patriotą. Nie jestem nim tak samo, jak *capataz de cargadores*, ten genueńczyk, który tak wiele uczynił dla tego portu i stał się czynnym pracownikiem w materialnej dziedzinie naszego rozwoju. Słyszała pani, jak kapitan Mitchell nieustannie się zwierza, iż odkąd znalazł tego człowieka, sam nie wie, jak długo trwa wyładowanie okrętu? To jest ze szkodą dla postępu. Widziała go pani, jak mijał nas po pracowicie spędzonym dniu na swej słynnej klaczy. Pojechał bałamucić dziewczęta w salonach, gdzie tańczy się na ubitej ziemi. Szczęśliwy z niego człowiek! Jego praca polega na oddziaływaniu potężnej indywidualności, jego zabawa na przyjmowaniu oznak bezgranicznego uwielbienia. A on to lubi! Czyż można być szczęśliwszym? Być przedmiotem lęku i podziwu jest...

[193] *fandango* — odmiana flamenco; hiszp. taniec ludowy o szybkim, dynamicznym tempie wybijanym kastanietami oraz podkutymi specjalnie butami, wykonywany z towarzyszeniem gitary. [przypis edytorski]

— Czy to szczyt pańskich dążeń? — przerwała Antonia.

— Mówiłem o człowieku tego pokroju — odparł Decoud krótko. — Bohaterów podziwiano i lękano się. Czegóż mu więcej trzeba?

Decoud czuł nieraz, iż właściwy mu nawyk ironicznego myślenia kruszy się, rozbity o powagę Antonii. Irytowała go wtedy, jak gdyby i ona uległa tej niepojętej, kobiecej tępocie, która tak często bywa przeszkodą między mężczyzną a kobietą pospolitej miary. Ale od razu powściągnął rozdrażnienie. Nie przychodziło mu na myśl, by uważać Antonię za naturę pospolitą, aczkolwiek jego sceptycyzm nawet o nim samym wydał takie orzeczenie. Z drżeniem przejmującej czułości w głosie zapewnił, iż jedynym jego dążeniem jest szczęście tak bezmierne, iż wydaje się niemal niemożliwe do osiągnięcia na tej ziemi.

Zarumieniła się niedostrzegalnie i ogarnął ją płomień, którego niezdolne już były przytłumić powiewy Sierry, jak gdyby postradały swe chłodzące moce w nagłym topnieniu śniegów. Nie było to następstwem jego szeptu, chociaż w głosie jego było tyle żaru, iż roztajałoby nawet serce z lodu. Antonia odwróciła się nagle, jak gdyby chciała szmer jego zaklęć unieść w głąb salonu, pełnego świateł i rozgwaru głosów.

Przypływ rozważań politycznych wezbrał wysoko wśród czterech ścian wielkiej sali, jak gdyby wzdęty nad miarę potężnym podmuchem nadziei. Roztaczająca się na kształt wachlarza broda don Juste'a wciąż jeszcze była ośrodkiem głośnych, ożywionych rozmów. Ze wszystkich głosów rozbrzmiewała ufność we własne siły. Nawet nieliczni Europejczycy, zebrani dokoła Charlesa Goulda — jeden Duńczyk, dwu Francuzów oraz rozsądny, gruby Niemiec, który uśmiechał się, nie podnosząc oczu — nawet wszyscy ci przedstawiciele materialnych interesów, zapuszczających korzenie w Sulaco pod możną opieką kopalni San Tomé, wnieśli do swego wielkiego poważania odrobinę dobrego humoru. Charles Gould, któremu starali się przypodobać, był widomym symbolem stałości, jaką można osiągnąć na grząskim gruncie rewolucji. Zaczęli znów patrzeć z otuchą na swe różnorodne przedsiębiorstwa. Jeden z Francuzów, drobny, czarny, o skrzących oczach, ginących w ogromnej gęstwie kudłatej brody, wymachiwał chuderlawymi, śniadymi rękami o wątłych przegubach. Pracował w głębi kraju dla pewnego syndykatu kapitalistów europejskich. Jego wymuszone „*monsieur l'administrateur*" przenikliwie rozlegało się co chwila wśród nieustającego rozgwaru. Opowiadał o swych odkryciach. Był wniebowzięty. Charles Gould spoglądał na niego uprzejmie.

Podczas takich koniecznych przyjęć pani Gould miała zwyczaj w pewnej chwili usuwać się do przeznaczonego wyłącznie dla siebie saloniku, który znajdował się tuż obok wielkiej sali. Powstała właśnie i czekając na Antonię, słuchała z wyrazem nieco roztargnionego wdzięku naczelnego inżyniera kolejowego, który pochyliwszy się nad nią, opowiadał powoli i bez najlżejszego gestu coś, co zapewne miało być zabawne, gdyż mrugał przy tym jowialnie oczyma. Antonia, zanim weszła do salonu, by przyłączyć się do pani Gould, na jedno mgnienie odwróciła przez ramię głowę ku Decoudowi.

— Dlaczego ktokolwiek z nas miałby sądzić, że jego dążenia nie dadzą się urzeczywistnić? — spytała pośpiesznie.

— Nie wyrzeknę się swoich do ostatka, Antonio! — odpowiedział przez zaciśnięte zęby, po czym skłonił się nisko i nieco z daleka.

Naczelny inżynier nie zdążył ukończyć jeszcze swej zabawnej opowieści. Komiczne sytuacje związane z budową kolei w Ameryce Południowej przemawiały do jego bystrego postrzegania absurdów, toteż wybierał bardzo trafnie przykłady ciemnych przesądów i ciemnej przebiegłości. Nie opuścił pań, kiedy wychodziły z salonu, idąc obok pani Gould, która zaczęła go słuchać z niepodzielną uwagą. Ostatecznie we trójkę wyszli niepostrzeżenie przez oszklone drzwi korytarza. Jedynie rosły duchowny, który kroczył w milczeniu wśród wrzawy salonu, zerknął ukradkiem za nimi. Ojciec Corbelan, którego Decoud zauważył z balkonu, kiedy wchodził do bramy Casa Gould, nie przemówił jeszcze do nikogo. Długa, skromna sutanna uwydatniała smukłość jego postaci. Idąc, wysuwał naprzód swą potężną pierś. Prosta czarna kreska jego zrośniętych brwi, ostre kontury kościstej twarzy i biała blizna na sinym, wygolonym policzku (świadcząca o jego apostolskiej gorliwości wśród zgrai nienawróconych jeszcze Indian) sprawiały wrażenie, jak gdyby coś zdrożnego kryło się pod powłoką jego kapłaństwa. Wyglądał niby jakiś kapelan bandytów. Rozłączył swe kościste, żylaste ręce, założone dotychczas w tył, by pogrozić palcem Martinowi.

Ksiądz

Decoud wszedł za Antonią do salonu, ale nie poszedł wgłąb. Zatrzymał się przy portierze z wyrazem niezupełnie szczerej powagi, z jaką ludzie dorośli zwykli brać udział w zabawach dzieci. Spojrzał spokojnie na groźnie podniesiony palec.

— Widziałem, jak wasza wielebność nawoływała do skruchy generała Barriosa — rzekł, nie ruszając się z miejsca.

— Co za niemądre gadanie! — Potężny głos ojca Corbelana rozległ się tak gromko po całej sali, iż wszyscy odwrócili głowy. — To pijak! Señores, bóstwem waszego generała jest butelka.

Jego pogardliwe słowa wywołały niemiłe milczenie, jakby z grona obecnych pierzchła naraz otucha. Ale nikt nie odniósł się do tej wypowiedzi.

Ksiądz

Wiedziano, iż ojciec Corbelan wrócił z dżungli, by bronić uświęconych praw Kościoła z tą samą fanatyczną nieustraszonością, z jaką głosił słowo Boże wśród dzikich, krwiożerczych plemion, pozbawionych ludzkich uczuć i czci dla jakichkolwiek świętości. Wprost legendarnie brzmiały opowiadania o powodzeniu, jakie osiągał w swej działalności misjonarskiej, z dala od oczu chrześcijańskiego społeczeństwa. Zdołał ochrzcić całe plemiona indiańskie, żyjąc wśród nich jak dziki. Opowiadano, iż *padre* miał zwyczaj uganiać na wpół nagi wraz z swymi Indianami na koniu, dzierżąc tarczę z bawolej skóry, no i zapewne długą włócznię. Zaszyty w skóry, miał podobno wałęsać się, hen, na pograniczu śniegów w Kordylierach, szukając prozelitów[194]. Nie słyszano jednak nigdy, żeby *padre* Corbelan sam opowiadał o tych przygodach. Nie robił natomiast tajemnicy ze swego przeświadczenia, iż politycy z Santa Marta mają twardsze serca i nikczemniejsze dusze aniżeli poganie, którym głosił Ewangelię. Nierozważna żarliwość, z jaką stawał w obronie doczesnych dóbr Kościoła, szkodziła sprawie ribierzystów. Utrzymywano powszechnie, iż nie chciał przyjąć godności biskupa tytularnego diecezji zachodniej, zanim pokrzywdzony Kościół nie otrzyma zadośćuczynienia. Polityczny *jéfé* z Sulaco (ten sam dygnitarz, którego kapitan Mitchell ocalił później z rąk tłumu) dawał do zrozumienia z naiwnym cynizmem, iż panowie ministrowie zapewne dlatego wysłali *padre* przez góry do Sulaco w najgorszej porze roku, ażeby zamarzł na śmierć w lodowatych zawiejach górskich *paramos*[195]. Nie było roku, ażeby kilku zuchwałych mulników, ludzi zahartowanych w takich wyprawach, nie ginęło w ten sposób. Ale co się okazało? Ekscelencje nie osiągnęły swego celu, taki twardy z niego człowiek. Tymczasem wśród ciemnych tłumów wszczęło się szemranie, iż reformy ribierystowskie zmierzają po prostu do odebrania ludowi ziemi. Część jej mieli otrzymać cudzoziemcy, którzy budowali kolej, zaś resztę mieli zagarnąć *padres*.

Takie były owoce gorliwości wikariusza generalnego. Nawet w krótkim przemówieniu do wojsk na *plaza* (słyszały je zresztą tylko przednie szeregi) nie zaniedbał wspomnieć o znieważeniu Kościoła, który oczekuje, że ojczyzna zadośćuczynieniem odpokutuje swe winy. Polityczny *jéfé* zirytował się. Ale szwagra don Joségo nie mógł przecież wtrącić do więzienia w *cabildo*[196]. Dygnitarz ten, przystępny i ludzki służbista, miał zwyczaj zachodzić o zmierzchu z Intendencji do Casa Gould, dokąd udawał się sam, odpowiadając z jednakowo uprzejmą godnością na pozdrowienia możnych i pospólstwa. Tego wieczora podszedł prosto do Charlesa Goulda i syknął mu do ucha, że miałby ochotę wywieźć wikariusza generalnego z Sulaco na jakąś odludną wyspę, na przykład na którąś z Izabel.

— Na tę bezwodną najlepiej, nieprawdaż, don Carlosie? — dodał żartobliwie, lecz z poważną miną. Ten nieobliczalny kapłan, który nie chciał zamieszkać w pałacu biskupim i wolał zawieszać swój dziurawy hamak wśród brudu i pajęczyn zagarniętego przez władze świeckie klasztoru dominikańskiego, uwziął się, by uzyskać bezwarunkową amnestię dla rozbójnika, Hernandeza! I nie dość na tym, wszedł bowiem, jak się zdaje, w porozumienie z tym najzuchwalszym przestępcą, jakiego kiedykolwiek nosiła ta ziemia. Policja z Sulaco wiedziała oczywiście, co się święci. *Padre* Corbelan porozumiał się z tym lekkomyślnym Włochem, *capatazem de cargadores*, jedynym do takich zleceń, i wyprawił go z poselstwem. Ojciec Corbelan kształcił się w Rzymie i mówił po włosku. Dowiedziano się, iż tenże *capataz* bywał nocą w starym klasztorze dominikańskim. Staruszce, która usługiwała wikariuszowi generalnemu, obiło się o uszy nazwisko Hernandeza, zaś

[194] *prozelita* — neofita, nowo pozyskany wyznawca jakiejś wiary. [przypis edytorski]
[195] *páramo* (hiszp.) — pustkowie. [przypis edytorski]
[196] *cabildo* (hiszp.) — ratusz. [przypis edytorski]

ubiegłej soboty widziano *capataza*, jak cwałem wyjeżdżał z miasta. Nie było go przez dwa dni. Policja mogła rzecz jasna podążyć tropem Włocha, ale obawiała się *cargadores*, ludzi bardzo burzliwych, którzy mogli wywołać rozruchy. W obecnych czasach niełatwo jest rządzić w Sulaco. Zaczęły napływać tu szumowiny, zwabione pieniędzmi w kieszeniach robotników kolejowych. Przemówienia ojca Corbelana wywołują wrzenie wśród ludności. I urzędnik naczelny zaczął tłumaczyć Charlesowi Gouldowi, iż odkąd prowincja jest ogołocona z wojska, w razie wybuchu bezprawia władze nie wiedziałyby, co począć.

Po czym, zasępiwszy się, usiadł w fotelu, paląc długie, cienkie cygaro i pochylając się od czasu do czasu, by zamienić kilka słów z don Josém, który siedział opodal. Udawał, że nie zauważył wchodzącego księdza, a kiedy głos ojca Corbelana rozlegał się za jego plecami, wzruszał niecierpliwie ramionami.

Ksiądz

Ojciec Corbelan stał przez chwilę nieruchomo, ale z tej jego nieruchomości przemawiała jakaś mściwość, która znamionowała całe jego postępowanie. Posępny żar surowych przekonań nadawał szczególniejszego wyrazu tej czarnej postaci. Ale ta srogość złagodniała, gdy *padre*, utkwiwszy oczy w Decoudzie, podniósł powoli, znacząco długie, czarne ramię:

— A pan... pan jest zupełnym poganinem — odezwał się przytłumionym, głębokim głosem.

Postąpił krok naprzód i dotknął wskazującym palcem piersi młodzieńca. Decoud, bardzo spokojny, poczuł, iż poprzez portierę tyłem głowy dotyka ściany. Po czym uśmiechnął się, wysuwając brodę.

— Tak jest — potwierdził z lekko znużoną niedbałością człowieka, który przywykł do podobnych wystąpień. — Ale coś mi się zdaje, że ksiądz jeszcze nie zna bóstwa mojej wiary? Łatwiej to poszło z naszym Barriosem!

Kapłan powściągnął gest zniechęcenia.

— Nie wierzy pan w nic — przemówił.

— Nawet w butelkę — dodał Decoud wyzywająco. — Ale nie wierzy w nią także drugi ulubieniec waszej wielebności. Mam na myśli *capataza de cargadores*. Nie pije. Znajomość mojej natury przynosi zaszczyt przenikliwości księdza dobrodzieja. Ale dlaczego nazywa mnie ksiądz poganinem?

— To prawda — odparł ksiądz — pan jest stokroć gorszy. Nawet cud by pana nie nawrócił.

— Oczywiście, nie wierzę w cuda — rzekł Decoud spokojnie.

Ojciec Corbelan wzruszył powątpiewająco swymi potężnymi ramionami.

— Ot, taki Francuz, bezbożnik, materialista — wypowiadał powoli słowa, jak gdyby ważąc określenia starannej analizy. — Ani to dziecię własnego, ani cudzego kraju — mówił dalej w zadumie.

— Innymi słowy, ledwie zasługujący na miano człowieka — skomentował Decoud z głową opartą o ścianę i oczyma utkwionymi w suficie.

— Ofiara tej bezbożnej epoki — zakończył ojciec Corbelan głębokim, lecz przytłumionym głosem.

— Ale poniekąd przydatny jako publicysta. — Decoud zmienił postawę i zaczął mówić z większym ożywieniem. — Ale czy czytała wasza wielebność ostatni numer „Porveniru"? Zapewniam, iż nie różni się niczym od poprzednich. Co do ogólnej linii politycznej, nadal nazywa Montera *gran' bestia* i piętnuje jego brata, *guerillera*, jako lokaja i szpiega. Czyż może być coś dosadniejszego? Jeśli chodzi o sprawy lokalne, zwraca się z wezwaniem do władz prowincjonalnych, aby wcieliły do armii narodowej bandę rozbójnika Hernandeza, który, jak się zdaje, cieszy się opieką Kościoła, a przynajmniej wikariusza generalnego. Nic rozsądniejszego.

Ksiądz

Ksiądz skinął i obrócił się na szerokich obcasach swych tępo zakończonych trzewików, opatrzonych wielkimi, stalowymi sprzączkami. Założywszy znów ręce w tył, zaczął się przechadzać, stawiając mocno nogi. Kiedy się obracał, poły jego sutanny zawijały się lekko od nagłości jego ruchów.

Wielki salon powoli się opróżniał. Gdy *jéfé politico* powstał, by również odejść, wszyscy jeszcze obecni podnieśli się ze swych miejsc na znak szacunku, a don José Avellanos zatrzymał swój rozbujany fotel. Ale dobrotliwy dostojnik poprosił gestem, by się nie ruszali, pożegnał skinieniem ręki Charlesa Goulda i wymknął się chyłkiem.

Wśród względnej ciszy salonu skrzeczące „*monsieur l'administrateur*" chuderlawego, zarośniętego Francuza rozlegało się z przeraźliwą nienaturalnością. Wysłannik syndykatu kapitalistycznego nie opamiętał się jeszcze ze swego entuzjazmu.

— Miedź wartości dziesięciu milionów dolarów w perspektywie, *monsieur l'administrateur!* Dziesięć milionów w perspektywie! I będzie kolej, kolej! Nie uwierzą mojemu raportowi. *C'est trop beau!*[197] — I wśród kiwających poważnie głów popadł w stan skrzeczącej ekstazy, mając naprzeciw niewzruszenie spokojną sylwetkę Charlesa Goulda.

A ksiądz przechadzał się dalej, zawijając połami swej sutanny przy każdym obrocie. Decoud mruknął do niego ironicznie:

— Ci panowie mówią o swych bogach.

Ojciec Corbelan przystanął na chwilę, spojrzał twardo na publicystę z Sulaco, wzruszył lekko ramionami i podjął znowu swą wędrówkę z zaciekłością niestrudzonego piechura.

Europejczycy otaczający kręgiem Charlesa Goulda zaczęli odłączać się od koła jeden po drugim, aż w końcu administrator wielkiej kopalni srebra ukazał się w całej okazałości swej szczupłej postaci, pozostawiony przez odpływ swych gości na wielkim spłachciu dywanu, który niby barwna ławica kwiatów i arabesek roztaczał się pod jego brązowymi butami.

Ojciec Corbelan zbliżył się do fotelu na biegunach, w którym siedział don José Avellanos.

— Chodź, bracie — odezwał się dobrotliwą szorstkością i odcieniem niecierpliwej ulgi, jakiej zwykło się doznawać pod koniec najzupełniej zbytecznej ceremonii. — *A la casa! A la casa!* Tu już powiedziano wszystko, co można było powiedzieć. Chodźmy teraz myśleć i modlić się o łaskę niebios.

Podniósł swe czarne oczy w górę. Obok tego wątłego dyplomaty, który był duszą i życiem swego stronnictwa, wydawał się olbrzymem z ogniem fanatyzmu w źrenicach. Ale głos tego stronnictwa, a raczej jego trąba, „syn Decouda" z Paryża, który dla pięknych oczu Antonii został dziennikarzem, wiedział, że tak nie było, że był on tylko gorliwym księdzem opętanym przez jedną ideę, istnym postrachem dla kobiet, przeklinanym przez mężczyzn z ludu. Martin Decoud, dyletant życiowy, wyobrażał sobie, iż dozna rozkoszy artystycznej, śledząc malowniczą krańcowość opętania, w jakie uczciwość, a nawet świątobliwość przekonań może wtrącić jednostkę ludzką. „To coś jak obłęd. Musi nim być, gdyż dąży do własnego unicestwienia" — nieraz powtarzał sobie Decoud. Zdawało się mu, że każde przekonanie, gdy tylko wyjdzie ze stanu bierności, przeistacza się w szaleństwo, którym bogowie karzą ofiary swego gniewu. Rozkoszował się cierpkim urokiem tego przykładu z lubością znawcy, który obrał sobie pewną dziedzinę sztuki. Obaj ci ludzie lgnęli do siebie, jak gdyby czuli w pewnej mierze, iż zarówno niepowściągliwość przekonań, jak rozpętanie sceptycyzmu mogą zaprowadzić człowieka na bezdroża w działalności politycznej.

Don José był posłuszny dotknięciu wielkiej, owłosionej ręki. Decoud podążył za nimi. W obszernym, pustym salonie, pełnym niebieskawego dymu tytoniowego, pozostał jeszcze jeden tylko gość, o wielkich oczach, okrągłych policzkach i obwisłych wąsach. Był to handlarz skór z Esmeraldy, który przedostał się lądem do Sulaco, jadąc konno z kilkoma peonami wzdłuż wybrzeża. Był ogromnie przejęty swą podróżą, którą podjął, by zobaczyć się z *señorem administradorem* i prosić go o poparcie dla swego przedsiębiorstwa eksportu skór. Miał nadzieję znacznie je powiększyć, gdy tylko kraj się uspokoi. A zanosi się na to, że się uspokoi, powtórzył kilka razy, pospolitując jakimś dziwacznym, niespokojnym skomleniem dźwięczność hiszpańskiego języka, którym paplał śpiesznie, jak gdyby to był jakiś służalczy żargon. Porządny kupiec może teraz robić interesy w tym kraju, a nawet spokojnie myśleć o ich powiększeniu. Czyżby nie? Wyglądał, jakby błagał Charlesa Goulda, by potwierdził jego słowa, by mruknął coś na pociechę lub bodaj skinął głową.

Nie doczekał się niczego. Jego zaniepokojenie wzrastało. Łypał od czasu do czasu oczyma, po czym zmuszony do poniechania tematu, zaczął uskarżać się na niebezpieczeństwa swojej podróży. Bezczelny Hernandez, opuściwszy swe zwykłe kryjówki, przekroczył podmiejskie Campo i zaczajał się, jak utrzymywano, w wąwozach wzdłuż wybrzeża. Nie

[197] *C'est trop beau!* (fr.) — To zbyt piękne! [przypis edytorski]

dalej jak wczoraj handlarz skór i jego towarzysze widzieli, jak zaledwie o parę godzin drogi od Sulaco na gościńcu zatrzymało się jakichś podejrzanych trzech ludzi, a ich konie miały łby zwrócone do siebie. Dwóch z nich odjechało natychmiast cwałem i przepadli w płytkim jarze, który odchodził na lewo.

— Zatrzymaliśmy się — opowiadał dalej kupiec z Esmeraldy — a ja starałem się ukryć za krzakami. Żaden z moich *mozos* nie chciał się ruszyć, by dowiedzieć się, co się święci, a ten trzeci jeździec wyglądał, jakby czekał, żebyśmy podjechali bliżej. Nie było rady. Już nas zobaczył. Ruszyliśmy więc powoli naprzód, drżąc na całym ciele. Pozwolił nam przejechać obok siebie, siedział na siwym koniu, z wciśniętym na oczy kapeluszem, nie pozdrawiając nas ani słowem. Ale zaraz potem usłyszeliśmy, iż pędzi za nami cwałem. Obróciliśmy konie ku niemu, ale wcale go to nie wystraszyło. Przypadł jak wicher i szturchnąwszy mnie w nogę końcem buta, poprosił o cygaro z uśmiechem, od którego krew zastygła mi w żyłach. Wydawało się, że jest bez broni, ale gdy sięgnął w tył ręką po zapałki, ujrzałem olbrzymi rewolwer u jego pasa. Struchlałem. Miał takie niesamowite wąsy, don Carlosie, a ponieważ nie powiedział nam, że możemy jechać dalej, więc nie śmieliśmy ruszyć się z miejsca. W końcu, puszczając dym z mego cygara przez nos, odezwał się: „Señor, byłoby może lepiej dla was, gdybym pojechał za wami. Ale jesteście już niedaleko od Sulaco. Jedźcie z Bogiem". Co pan by zrobił? Ruszyliśmy. Niepodobna było mu się opierać. To mógł być sam Hernandez, chociaż mój służący, który nieraz jeździł do Sulaco morzem, zapewniał, iż poznał go i wie na pewno, że jest to *capataz cargadorów* portowych. Później, już wieczorem, widziałem tego samego człowieka na rogu *plaza*, jak rozmawiał z jakąś *morenitą*, która stała przy jego strzemieniu i trzymała rękę na grzywie siwka.

— Zapewniam pana, señor Hirsch — mruknął Charles Gould — że tym razem nie był pan narażony na żadne niebezpieczeństwo.

— Być może, señor, chociaż jeszcze się trzęsę. Wygląda na bardzo okrutnego człowieka. I co to znaczy, żeby urzędnik Towarzystwa Żeglugi Parowej rozmawiał z *salteadores* — bo tamci drudzy jeźdźcy to byli *salteadores* — na odludnym miejscu i sam zachowywał się jak rozbójnik. Cygaro to nic, ale kto by mu zabronił zażądać ode mnie sakiewki?

— Nie, nie, señor Hirsch — rzekł Charles Gould, odwracając z niejakim roztargnieniem oczy od okrągłej twarzy z haczykowatym nosem, po której błąkał się jeszcze wyraz dziecinnego niemal wyrzutu. — Jeżeli pan istotnie spotkał *capataza de cargadores*, a to nie ulega wątpliwości, to był pan najzupełniej bezpieczny.

— Dziękuję panu. Pan jest bardzo dobry. Ale ten człowiek ma okrutny wygląd. Zażądał ode mnie cygara, jakbyśmy się znali od dawna. A gdybym nie miał cygara przy sobie, to co by się stało? Dreszcz mnie jeszcze przechodzi. Co on ma w tym za interes, że rozmawia z rozbójnikiem na odludnym miejscu?

Milczenie

Ale Charles Gould, widocznie zajęty jakąś myślą, nie rzekł na to nic, nie uczynił nawet znaku. Nieprzeniknioność tego przedstawiciela koncesji Gouldów miała swe zewnętrzne odcienie. Niemota jest tylko fatalną ułomnością, ale król Sulaco dostatecznie władał słowem, aby otoczyć się tajemniczym urokiem milczącej potęgi. Milczenie jego, poparte w razie potrzeby siłą wysłowienia, posiadało w swych odcieniach tyle znaczeń, ile ich zawrzeć mogą słowa, oznaczające zgodę, wątpienie, przeczenie lub bodaj zwykły komentarz. Jedne zdawały się mówić wyraźnie: „zastanów się nad tym", inne dawały niedwuznacznie do zrozumienia: „dobrze, dalej". Proste, ciche: „rozumiem", poparte twierdzącym skinieniem na zakończenie cierpliwego półgodzinnego posłuchania, równało się zawarciu ustnej umowy, której ludzie nawykli ufać bezwzględnie, skoro stała za nią kopalnia San Tomé, która jako ośrodek materialnych interesów była tak potężna, iż nie zależała od niczyjej dobrej woli na całym obszarze Zachodniej Prowincji, mianowicie od takiej dobrej woli, której by nie mogła kupić za pieniądze. Ale dla krzywonosego człowieczka z Esmeraldy, który myślał tylko o wywozie skór, milczenie Charlesa Goulda było zwiastunem niepowodzenia. Widocznie nie był to czas sprzyjający rozwojowi kupieckich interesów. Przemknęło mu przez głowę przekleństwo, obejmujące cały ten kraj wraz z jego mieszkańcami, bez względu na to, czy stali po stronie Ribiery czy Montera; jego niemy gniew zaczął wzbierać łzami na myśl o niezliczonych skórach wołowych, które zmarnują się na sennych obszarach Campo, gdzie wśród zakola widnokręgu sterczą samotne palmy niby okręty na morzu, znacząc się nieruchomością swych potężnych syl-

wetek, podobnych do wysp okrytych listowiem, nad pierzchliwością rozfalowanych traw. Tam gniły skóry bez niczyjej korzyści, gniły, porzucone przez ludzi, którzy poszli czynić zadość pilnym koniecznościom rewolucji politycznych. Praktyczna, kupiecka dusza señora Hirscha wzdrygała się przed tymi szaleństwami, gdy pełen szacunku, ale i niepokoju żegnał się z potęgą i majestatem kopalni San Tomé w osobie Charlesa Goulda. Nie mógł powściągnąć rozdzierającego bełkotu, który wydarł się z jego boleściwego serca:

— To wszystko jest bardzo, bardzo niemądre. Ceny skór w Hamburgu idą ciągle w górę. Oczywiście rząd Ribiery będzie chciał z tego korzystać, gdy się już ustali. Tymczasem...

Westchnął.

— Tak, tymczasem — powtórzył Charles Gould zagadkowo.

Kupiec wzruszył ramionami. Ale nie zamierzał jeszcze odejść. Prosił, ażeby mu było wolno wspomnieć o pewnej drobnej sprawie. Miał dobrych przyjaciół w Hamburgu (tu wymienił nazwę firmy), którzy by bardzo chętnie podjęli się dostawy dynamitu. Kontrakt na dostawę dynamitu dla kopalni San Tomé, a potem może dla innych kopalń, które na pewno... Człowieczyna z Esmeraldy chciał rozwodzić się dalej, ale Charles mu przerwał. Cierpliwość *señora administradora* zaczęła się wyczerpywać.

— Señor Hirsch — odezwał się — mam taki zapas dynamitu w górach, że mógłbym w pył obrócić dolinę — podniósł nieco głos — że mógłbym wysadzić w powietrze pół Sulaco, gdyby mi się podobało.

Charles Gould spoglądał z uśmiechem na zaokrąglone, przerażone oczy handlarza skór, który zabełkotał śpiesznie:

— No tak, no tak — i zbierał się do odejścia. Niepodobna było handlować materiałami wybuchowymi z tym *administradorem*, który był tak dobrze w nie zaopatrzony, a przy tym tak zniechęcał. Nadaremnie znosił męki piekielne w siodle i narażał się na okrucieństwa bandyty Hernandeza. Nie udało się ani ze skórami, ani z dynamitem. Nawet ramiona przedsiębiorczego Izraelity wyrażały przygnębienie. W drzwiach pokłonił się nisko naczelnemu inżynierowi. Ale u podnóża schodów, na patio, przystanął i położył pulchną rękę na ustach z wyrazem zamyślonego zdziwienia.

— Po co on nagromadził tyle dynamitu? — mruknął do siebie. — I dlaczego mi o tym powiedział?

Naczelny inżynier, zajrzawszy przez drzwi do pustego salonu, skąd przypływ polityczny wyciekł już aż do ostatniej marnej kropli, powitał poufałym skinieniem głowy pana domu, który stał nieruchomo jak żeglarski znak na mieliźnie, wśród opustoszałego zbiorowiska sprzętów.

— Dobranoc. Odjeżdżam. Mam na dole rower. Kolej chciałaby wiedzieć, dokąd zwrócić się po dynamit, gdyby nam go zabrakło. Dotychczas rąbaliśmy i kopaliśmy. Teraz zaczniemy rozsadzać skały, by utorować sobie drogę.

— Nie do mnie — odparł Charles Gould z najzupełniejszym spokojem. — Nie mogę odstąpić ani szczypty, ani szczypty. Nie odstąpiłbym nawet własnemu bratu, gdybym miał brata i gdyby on był naczelnym inżynierem kolei rokującej najświetniejsze nadzieje na całym świecie.

— Co to? — zapytał naczelny inżynier pogodnie. — Nieżyczliwość?

— Nie — odparł Charles Gould stanowczo. — Polityka.

— Radykalna, moim zdaniem — zauważył naczelny inżynier, stojąc we drzwiach.

— Czy to słuszne określenie? — rzekł Charles Gould ze środka salonu.

— Chciałem powiedzieć, sięgające do samych korzeni — tłumaczył inżynier żartobliwie.

— No, tak — przemówił powoli Charles. — Koncesja Gouldów w sięgnęła tak głęboko do korzeni tego kraju, tej prowincji, tej gardzieli górskiej, iż chcąc ją wykorzenić, trzeba użyć dynamitu. Tak postanowiłem. To moja ostatnia karta.

Naczelny inżynier gwizdnął z cicha.

— Ładna gra! — rzekł nieco powściągliwie. — A czy powiedział pan Holroydowi o tym niezwykłym atucie, który ma pan w ręku?

— To karta, której użyć można tylko pod koniec gry. Tymczasem może pan ją nazywać...

— Bronią — podpowiedział inżynier.

— Nie, właściwiej byłoby ją nazwać argumentem — sprostował uprzejmie Charles Gould. — I w ten sposób przedstawiłem tę sprawę panu Holroydowi.

— A cóż on na to powiedział? — zapytał inżynier z nieukrywanym zaciekawieniem.

— On — rzekł Charles Gould po chwili namysłu — mówił coś tam o wytrwaniu do samej śmierci i o pokładaniu ufności w Bogu. Zdaje mi się, iż po prostu się przeraził. Ale — mówił dalej *administrador* kopalni San Tomé — on jest, wie pan, bardzo daleko, a Bóg, jak powiadają w tym kraju, bardzo wysoko.

Potakujący śmiech inżyniera zamierał, w miarę jak schodził po schodach. Stojąca w płytkiej wnęce Madonna z Dzieciątkiem zdawała się spoglądać na jego barczyste plecy, drżące od śmiechu.

ROZDZIAŁ VI

W Casa Gould panowała głęboka cisza. Pan domu, minąwszy korytarz, otworzył drzwi od swego pokoju i ujrzał żonę zagłębioną w wielkim fotelu, w którym siadywał zazwyczaj, paląc cygaro. Spoglądała w zamyśleniu na swe małe trzewiki. Kiedy wszedł, nie podniosła nawet oczu.

— Zmęczona? — spytał Charles Gould.

— Trochę — odparła pani Gould i wciąż jeszcze nie patrząc na niego, dodała ze smutkiem: — To wszystko wydaje się takie okropnie nierzeczywiste.

Charles Gould, stojąc przed długim stołem zawalonym papierami, na których leżała szpicruta myśliwska i para ostróg, spojrzał na żonę.

— Musiał być po południu okropny skwar i kurz — powiedział ze współczuciem. — Blask wody musiał być po prostu nieznośny.

— Można zamknąć oczy na blask — rzekła pani Gould. — Ale mój drogi Charley, niepodobna ich zamknąć na nasze położenie, na ten okropny...

Podniosła oczy i spojrzała na twarz swego męża, z której znikł wyraz współczucia oraz wszelkich innych uczuć.

— Czemu nie powiesz mi wszystkiego? — zajęczała niemal.

— Zdawało się mi, iż pojęłaś mnie dokładnie od samego początku — odpowiedział powoli Charles Gould. — Myślałem, że powiedzieliśmy sobie już od dawna wszystko, co powiedzieć należało. Teraz nie ma o czym mówić. Były różne rzeczy do zrobienia. Zrobiliśmy je lub zabraliśmy się do pracy nad nimi. Teraz nie ma odwrotu. I zdaje się mi, że od samego początku nie było możliwości odwrotu. Co więcej, nie możemy nawet zatrzymać się na miejscu.

— Ach, gdyby przynajmniej można było wiedzieć, jak daleko zamierzasz się posunąć! — rzekła jego żona niemal żartobliwie, choć zadrżała w duszy.

— Do samego ostatka — brzmiała odpowiedź w tonie tak rzeczowym, iż pani Gould znów powściągnęła drżenie.

Powstała, uśmiechnęła się z wdziękiem, a jej drobna postać wydała się jeszcze mniejsza z powodu szczodrej bujności jej włosów i długiego trenu eleganckiej sukni.

— Ale pomyślnego — rzekła przekonywająco.

Charles Gould objął ją stalowobłękitnym spojrzeniem swych bacznych oczu i odparł bez wahania:

— Och, nie ma innej możliwości.

W jego głosie brzmiała ogromna pewność. Co zaś do słów, to nic więcej sumienie nie pozwoliło mu powiedzieć.

Uśmiech pani Gould zamglił się długim cieniem na jej ustach. Odezwała się cicho:

— Opuszczę cię. Boli mnie trochę głowa. Pył i skwar były rzeczywiście... Pewnie masz zamiar wrócić do kopalni jeszcze przed ranem?

— O północy. Przywieziemy jutro srebro. Potem zostanę z tobą w mieście przez całe trzy dni.

— Ach, więc jedziesz na spotkanie eskorty? Będę o piątej rano na balkonie, by zobaczyć, jak będziecie przejeżdżali. Tymczasem do widzenia!

Charles Gould przeszedł nagle na drugą stronę stołu, ujął jej ręce i pochyliwszy się nad nimi, przycisnął obie do swych ust. Zanim zdążył znów się wyprostować, wyzwoliła jedną dłoń i musnęła jego twarz lekkim dotknięciem, jak gdyby był małym chłopcem.

— Połóż się na kilka godzin — szepnęła, spoglądając na hamak rozpięty w kącie pokoju. Jej długa suknia zaszeleściła miękko po czerwonych płytkach posadzki. Obejrzała się w drzwiach.

Dwie duże lampy o kloszach z matowego szkła zalewały łagodnym, obfitym światłem cztery białe ściany pokoju, oszkloną szafę z bronią, z leżącą na aksamicie mosiężną rękojeścią kawaleryjskiej szabli Henryka Goulda, i akwarelowy szkic przedstawiający wąwóz San Tomé. Pani Gould, spoglądając na niego westchnęła:

— Ach, gdybyśmy byli nie tykali go wcale, Charley!

— Nie — odparł Charles Gould chmurnie. — Niepodobieństwem było go nie tykać.

— Być może było niepodobieństwem — przyznała pani Gould po namyśle. Jej usta drgnęły z lekka, lecz uśmiechnęła się z wyrazem słodkiej brawury. — Dokuczyliśmy niejednemu wężowi w tym raju, prawda, Charley?

— Ach, tak, pamiętam — rzekł Charles Gould — to don Pépé nazwał ten wąwóz rajem węży. Z pewnością dokuczyliśmy niejednemu z nich. Pomyśl jednak, kochanie, że nie jest on już tym, czym był, gdy malowałaś swój szkic. — Skinął ręką w stronę akwareli, która w czarnych ramach wisiała samotnie na wielkiej, pustej ścianie. — Przestał być rajem węży. Wprowadziliśmy do niego ludzi, więc nie możemy go porzucić i zaczynać nowego życia gdzie indziej.

Przeszył żonę stanowczym, skupionym spojrzeniem, na które oczy pani Gould odpowiedziały obietnicą nieustraszonego męstwa, zanim wyszła z pokoju i zamknęła cicho drzwi za sobą.

W odróżnieniu od roziskrzonej bieli pokoju przyćmiony korytarz miał w sobie zaciszną tajemniczość leśnej polany, a wrażenie to potęgowały jeszcze łodygi oraz liście roślin ustawionych rzędem wzdłuż poręczy od strony patia. W smugach światła, padającego przez otwarte drzwi salonu, białe, czerwone i bladoliliowe kwiecie ożyło barwami kwiatów, błyszczących jakby w pełni słonecznego blasku. Przechodząca obok nich pani Gould zaznaczała się z wyrazistością postaci widzianej w jasnych plamach słońca sączącego się przez mroki leśne. Kamienie w pierścionkach zdobiących jej rękę przyciśniętą do czoła, migotały w świetle lamp napływającym przez drzwi salonu.

— Kto tam? — spytała przestraszonym głosem. — Czy to ty, Basilio? — Przyjrzała się dokładniej i zobaczyła Martina Decouda, który chodził między krzesłami i stołami, jak gdyby czegoś szukał.

— Antonia zapomniała tu wachlarza — odezwał się Decoud z jakimś dziwnym roztargnieniem. — Wstąpiłem, by go poszukać.

Jednak mówiąc to, zaprzestał równocześnie swych poszukiwań i podszedł do pani Gould, która patrzyła na niego z wyrazem zdumionej niepewności.

— Señora — zaczął przyciszonym głosem.

— Co się stało, don Martinie? — spytała pani Gould. Po czym dodała, śmiejąc się z lekka: — Jestem dziś taka zdenerwowana — jakby chciała usprawiedliwić szorstkość pytania.

— Nic, co by groziło już teraz — odrzekł Decoud, nie mogąc już ukryć swego wzburzenia. — Proszę się nie niepokoić. Naprawdę, niech pani się nie niepokoi.

Pani Gould, otwarłszy szeroko swe słodkie oczy i złożywszy do uśmiechu usta, zapanowała nad sobą i oparła o futrynę swą drobną, zdobioną pierścionkami rękę.

— Może pan nie wie, jakie to niepokojące, kiedy się pan tak nieoczekiwanie zjawia...

— Czyżby? Niepokojące? — zaperzył się, szczerze zdziwiony i urażony. — Zapewniam panią, iż sam bynajmniej nie czuję się zaniepokojony. Przepadł gdzieś wachlarz, no i chciałbym go odszukać. Ale nie wydaje się mi, żeby tu był. Po prostu szukam wachlarza. Nie pojmuję, jak Antonia mogła... Mniejsza o to! Czy znalazłeś go, *amigo*[198]?

— Nie, señor — odezwał się za plecami pani Gould łagodny głos Basilia, kamerdynera w Casa Gould. — Nie sądzę, żeby señorita zapomniała go w tym domu.

— Idź i poszukaj go jeszcze na patio. Idź, przyjacielu! Szukaj na schodach, pod bramą i obejrzyj każdy kamień. Szukaj, aż zejdę na dół... Chodzi boso — odezwał się po angielsku do pani Gould — i nigdy nie wiadomo, kiedy zjawi się za plecami. Kazałem mu szukać

[198]*amigo* (hiszp.) — przyjaciel. [przypis edytorski]

tego wachlarza, gdy tylko przyszedłem, by usprawiedliwić moje ponowne przybycie, mój niespodziewany powrót.

Zamilkł, a pani Gould rzekła uprzejmie:

— Jest pan zawsze mile widziany. — Umilkła również na jedno mgnienie. — Chciałabym się jednak dowiedzieć, co pana sprowadziło z powrotem.

Decoud przybrał nagle niedbały ton.

— Nie znoszę, żeby mnie szpiegowano. Ale pani pyta o powód? No, tak, jest powód! Przepadło jeszcze coś innego oprócz ulubionego wachlarza Antonii. Odprowadziłem don Joségo i Antonię i wracałem już do domu, gdy spotkałem jadącego konno ulicą *capataza de cargadores*, który mnie zagadnął...

— Czy stało się coś u Violów? — zapytała pani Gould.

— U Violów? Pani zapewne ma na myśli starego hotelarza, Garibaldina, u którego mieszkają inżynierowie? Nie, nic tam się nie stało. Przynajmniej *capataz* nic o nich nie mówił. Powiedział mi tylko, iż telegrafista z Kompanii Telegraficznej chodzi z gołą głową po *plaza* i mnie szuka. Nadeszły wiadomości z głębi kraju, pani Gould. Powinienem był powiedzieć raczej: pogłoski o wiadomościach.

— Dobre nowiny? — rzekła pani Gould przyciszonym głosem.

— Moim zdaniem, takie sobie. Ale gdybym musiał je określić, to nazwałbym je złymi. Sprowadzają się do tego, że w pobliżu Santa Marta stoczono dwudniową bitwę i że ribierzyści zostali pobici. Stało się to zapewne przed kilkoma dniami, może przed tygodniem. Pogłoski dotarły już do Cayty i urzędnik tamtejszej stacji telegraficznej przekazał tę wiadomość swemu tutejszemu koledze. Można było równie dobrze zatrzymać Barriosa w Sulaco.

— Cóż teraz robić? — szepnęła pani Gould.

— Nic. Jest teraz z wojskiem na morzu. Za kilka dni będzie w Caycie i dowie się o wszystkim. Kto wie, co wtedy zrobi? Czy będzie trzymał Caytę? Czy podda się Monterowi? Czy wreszcie rozpuści swą armię? To ostatnie jest najprawdopodobniejsze. Sam zaś wsiądzie na jeden ze statków T.O.Ż.P. i popłynie na północ lub na południe, do San Francisco lub Valparaiso, wszystko jedno dokąd. Nasz Barrios ma wiele doświadczenia w wygnaniach i powrotach do ojczyzny, które są niby punkty zwrotne w grze politycznej.

Decoud, nie spuszczając oczu z pani Gould, dodał, jak gdyby chcąc ją wystawić na próbę:

— A jednak, gdybyśmy mieli tu Barriosa z dwoma tysiącami nowoczesnych karabinów, można by było coś zrobić.

— Montero zwyciężył, zupełnie zwyciężył! — szepnęła pani Gould z niedowierzaniem.

— Może to kaczka. Lęgną się one obficie w takich czasach jak dzisiejsze. Ale nawet gdyby to było prawdą? No, przypuśćmy najgorsze, przyjmijmy, że to prawda.

— Wtedy wszystko stracone — odezwała się pani Gould ze spokojem rozpaczy.

Wtem jakby nagły domysł błysnął w jej głowie i wydało się jej, że pod wymuszoną niedbałością Decouda dostrzega straszliwe podniecenie. Rzeczywiście widać je było w śmiałym i czujnym spojrzeniu jego oczu, w na poły beztroskim, na poły pogardliwym skrzywieniu jego ust. Wydobył się z nich francuski zwrot, jakby dla tego bulwarowego Costaguanera był to jedyny przekonywujący język:

— *Non, madame. Rien n'est perdu*.[199]

Słowa te niczym wstrząs elektryczny obudziły panią Gould z odrętwienia. Spytała żywo:

— Cóż pan zamierza uczynić?

Ale w powściąganym podnieceniu Decouda drgnął już lekki odruch szyderstwa.

— A czegóż mogłaby się pani spodziewać po rdzennym Costaguanerze? Oczywiście, nowej rewolucji. Daję pani słowo honoru, pani Gould, iż uważam siebie za rodowitego *hijo del pays*, prawego syna tego kraju, chociaż ojciec Corbelan ma o mnie inne wyobrażenie. I nie jestem do tego stopnia niewierzący, abym nie dowierzał swym własnym pomysłom, swym własnym środkom zaradczym, swym własnym pragnieniom.

— Czyżby? — rzekła pani Gould z powątpiewaniem.

[199] *Non, madame. Rien n'est perdu.* (fr.) — Nie, proszę pani. Nic nie jest stracone. [przypis edytorski]

— Zdaje mi się, że nie zdołałem pani przekonać — podjął znów Decoud po francusku. — Powiedzmy zatem: swym namiętnościom.

Pani Gould przyjęła ten dodatek bez zaskoczenia. By go zrozumieć, nie potrzebowała bynajmniej dalszych zapewnień, które wyrzekł półgłosem:

— Nie ma rzeczy, której nie uczyniłbym dla Antonii. Gotów jestem podjąć się wszystkiego. Gotów jestem narazić się na wszystko. — Decoud zdawał się czerpać świeżą śmiałość z wypowiadania swoich myśli. — Nie uwierzyłaby mi pani, gdybym powiedział, że to z miłości ojczyzny...

Zaprzeczyła zniechęconym gestem ręki, jakby chciała powiedzieć, iż podobnej pobudki nie spodziewa się po nikim.

— Sulaco powinno wszcząć rewolucję — mówił dalej Decoud półgłosem, ale z zapałem. — Wielkiej sprawie można służyć tu, gdzie się zaczęła, gdzie jest jej miejsce urodzenia.

Zagryzając w zamyśleniu dolną wargę, odstąpiła na krok od drzwi.

— Czyżby pani zamierzała pomówić z mężem? — Zatrzymał ją zaniepokojony Decoud.

— Czyż nie będzie pan potrzebował jego pomocy?

— Niewątpliwie — przyznał Decoud bez wahania. — Wszystko zależy od kopalni San Tomé, ale wolałbym, aby na razie nic nie wiedział o moich... moich nadziejach.

Wyraz zakłopotania pojawił się na twarzy pani Gould. Decoud podszedł ku niej i rzekł, jakby się zwierzał:

— Bo widzi pani, on jest idealistą.

Pani Gould pokraśniała z lekka, a oczy jej pociemniały.

— Charley idealistą! — odezwała się ze zdziwieniem, jakby do siebie samej. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tak jest — upierał się Decoud. — Brzmi to dziwnie, gdy ma się przed oczyma kopalnię San Tomé, największe bodaj dzieło w całej Ameryce Południowej. Lecz niech pani na nie spojrzy, a zobaczy pani, że wyidealizował je do tego stopnia... — Zatrzymał się. — Czy pani zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia wyidealizował on istnienie, wartość i znaczenie kopalni San Tomé? Czy pani zdaje sobie z tego sprawę?

Widocznie wiedział, o czym mówi. Wywołał wrażenie, o które mu chodziło. Płomień, który wrzał w duszy pani Gould, przygasł nagle w nikłym, głuchym okrzyku, podobnym do jęku.

— Cóż pan powie? — spytała słabym głosem.

— Nic! — odparł Decoud stanowczo. — Ale czyż pani nie zdaje sobie sprawy, że jest Anglikiem?

— Cóż z tego? — spytała pani Gould.

— Po prostu nie może żyć ani działać, nie idealizując każdego najzwyczajniejszego uczucia, pragnienia lub czynu. Niezdolny jest wierzyć w swe pobudki, zanim nie przedzierzgnie ich w okruch jakiejś czarodziejskiej baśni. Coś mi się zdaje, iż ziemia mu nie wystarcza. Czy pani nie ma mi za złe mojej otwartości? Zresztą, bez względu na to, czy pani mi wybaczy, czy nie, jest to cząstka tej prawdy, która razi — jakby to powiedzieć? — wrażliwość anglosaską, zaś w obecnej chwili nie wiem, czy byłbym zdolny liczyć się poważnie czy to z jego sposobem pojmowania rzeczy, czy chociażby nawet — niechaj mi będzie wolno powiedzieć — ze sposobem pojmowania ich przez panią.

Pani Gould nie okazała niczym, że czuła się obrażona.

— Sądzę, iż Antonia całkowicie pana rozumie?

— Rozumie? Zapewne. Ale nie jestem pewien, czy pochwala. Zresztą to nie ma znaczenia. Jestem dość uczciwy, by powiedzieć to pani, pani Gould.

— Pan dąży do oderwania? — zagadnęła.

— Naturalnie — oświadczył Martin. — Do oderwania całej Zachodniej Prowincji od reszty niespokojnego państwa. Ale moim prawdziwym dążeniem, jedynym, na którym mi zależy, jest uniknąć rozłąki z Antonią.

— I to wszystko? — spytała pani Gould, nie okazując surowości.

— Bezwarunkowo. Nie zwykłem mydlić sobie oczu co do swych pobudek. Ona nie chce opuścić dla mnie Sulaco, zatem Sulaco musi opuścić resztę republiki i stać się samodzielne. To jasne jak słońce. Lubię jasno określone sytuacje. Nie mogę wyjechać w towa-

rzystwie Antonii, więc jedna i niepodzielna Republika Costaguana musi postradać swą Zachodnią Prowincję. Na szczęście, pozostaje to w zgodzie także ze zdrowym rozsądkiem. Najbogatszą, najżyźniejszą połać tego kraju będzie można ocalić od anarchii. Osobiście bardzo mało mnie to obchodzi, ale to pewne, iż kiedy Montero dojdzie do władzy, moja śmierć jest nieunikniona. We wszystkich proklamacjach zapowiadających powszechną amnestię moje nazwisko oraz kilka innych wyraźnie wyłączono. Wie pani bardzo dobrze, iż obaj bracia mnie nienawidzą. I oto szerzy się pogłoska, że wygrali bitwę. Powie pani zapewne, iż jeśli te wieści się sprawdzą, to będę miał jeszcze dość czasu, by ratować się ucieczką.

Przerwała mu na chwilę lekkim odruchem protestu. Spojrzał na nią z posępną stanowczością.

— Ach, umknąłbym, pani Gould, uciekłbym, gdyby to mogło wyjść na dobre temu, co jest obecnie jedynym mym pragnieniem. Mam dość odwagi, by to powiedzieć, a nawet, by to zrobić. Ale kobiety, nawet nasze kobiety, bywają idealistkami. To Antonia nie chce uciekać. Nowy rodzaj próżności.

— I pan nazywa to próżnością! — rzekła pani Gould z urazą w głosie.

— Niech więc będzie dumą, o której ojciec Corbelan powiedziałby pani, że jest grzechem śmiertelnym. Ale ja nie jestem dumny. Jestem po prostu za bardzo zakochany, żeby uciec. A przy tym chcę żyć. Po śmierci już się nie kocha. Dlatego jest rzeczą konieczną, żeby Sulaco nie uznało władzy zwycięskiego Montera.

— I pan sądzi, że mój mąż udzieli panu poparcia?

— Sądzę, iż może zostać w tę sprawę wciągnięty, jak to bywa ze wszystkimi idealistami, gdy dostrzegą dla swych działań podstawę natury uczuciowej. Ale nie chciałbym z nim mówić. Same tylko fakty nie przemówiłyby do jego uczuć. Będzie zatem dla niego lepiej, gdy dojdzie do tego przekonania swą własną drogą. Wyznaję szczerze, że może nie byłbym obecnie zdolny do należytego uszanowania jego pobudek, a może nawet pobudek pani.

Było widoczne, iż pani Gould mocno postanowiła nie obrażać się. Uśmiechnęła się niejasno, jakby zastanawiała się nad sprawą. O ile mogła sądzić z dziewczęcych półzwierzeń, Antonia rozumiała tego młodzieńca. Niepodobna było zaprzeczyć, iż w jego planie, a raczej w jego pomyśle istniała zapowiedź bezpieczeństwa. Co więcej, dobry czy zły, pomysł nie mógł zaszkodzić. Było również rzeczą najzupełniej możliwą, że pogłoska była nieprawdziwa.

— Czy ma pan już plan? — zagadnęła.

— Niezmiernie prosty. Barrios wyruszył, niech więc jedzie. Będzie bronił Cayty, która stanowi wrota szlaku morskiego do Sulaco. Tamci nie mogą wysłać dostatecznych sił przez góry. Nie, nawet gdyby chodziło tylko o poskromienie bandy Hernandeza. Tymczasem zorganizujemy tu opór. Przyda się nam do tego tenże Hernandez. Jako bandyta nieraz gromił wojsko, dokona zapewne tego samego, gdy go się mianuje pułkownikiem lub nawet generałem. Zna pani ten kraj już dość dobrze, by nie raziły pani moje słowa. Słyszałem, jak twierdziła pani, iż ten biedny bandyta jest żywym przykładem okrucieństwa, niesprawiedliwości, ucisku i głupoty, które niszczą w tym kraju mienie i dusze ludzkie. Będzie to więc jakby poetyczna odpłata, gdy temu człowiekowi da się możność zmiażdżenia zła, które uczciwego *ranchero* popchnęło do zbrodniczego życia. Piękna idea odpłaty, nieprawdaż?

Decoud przeszedł z łatwością na angielski, którym mówił biegle i bardzo poprawnie, nadużywając jednakowoż dźwięku z.

— Proszę nie zapominać również o swym szpitalu, o swej szkole, o cierpiących matkach i słabych starcach, słowem o całej tej ludności, którą sprowadziliście państwo do skalistego wąwozu San Tomé. Czyż nie jest pani odpowiedzialna przed swym sumieniem za tych ludzi? Czy nie lepiej zdobyć się na kolejny wysiłek, który bynajmniej nie jest tak rozpaczliwy, jak się wydaje, niż...

Decoud dokończył swej myśli poderwaniem ręki w górę, co miało oznaczać unicestwienie. Pani Gould odwróciła głowę ze zgrozą.

— Czemu pan nie chce powiedzieć tego wszystkiego mojemu mężowi? — spytała, nie patrząc na Decouda, który śledził, jakie wrażenie wywołają jego słowa.

— Ach, don Carlos jest tak bardzo Anglikiem... — zaczął, lecz pani Gould przerwała mu:

— Proszę przestać, don Martinie! Jest tak samo Costaguanerem... Nie! Jest bardziej Costaguanerem niż pan.

— Sentymentalny, sentymentalny! — gruchał niemal Decoud tonem uprzejmej i słodkiej wyrozumiałości. — Zdumiewająco sentymentalny, jak cały wasz naród. Przyglądam się królowi Sulaco, odkąd przybyłem tu z tym niedorzecznym zleceniem, wiedziony zapewne podstępną ręką losu, który czyha na niezliczonych zakrętach życia ludzkiego. Ale nie dbam o to, nie jestem sentymentalny. Nie umiem przystrajać swych osobistych pragnień w złotogłowie i klejnoty. Życie nie jest dla mnie powiastką moralną, która snuje się z tradycji pięknych, czarodziejskich bajek. Nie, pani Gould! Jestem człowiekiem praktycznym. Nie wstydzę się swych pobudek. Ale proszę mi wybaczyć, dałem się unieść za daleko. Chciałem jedynie powiedzieć, że obserwowałem. Może jednak lepiej nie mówić, co odkryłem...

— Nie, to niepotrzebne — szepnęła pani Gould, odwracając ponownie głowę.

— Owszem. Wspomnę tylko o tym drobnym szczególe, że mąż pani mnie nie lubi. Jest to drobiazg, który w obecnych okolicznościach nabiera wprost śmiesznego znaczenia. Śmiesznego i ogromnego, gdyż mój plan, rzecz jasna, wymaga pieniędzy. — Zamyślił się, po czym dodał znacząco: — A tu mamy do czynienia z dwoma sentymentalnymi ludźmi.

— Zdaje mi się, iż pana nie rozumiem, don Martinie — rzekła pani Gould oschle, nie zmieniając przyciszonego tonu rozmowy. — Ale gdybym rozumiała, to kimże byłby ten drugi?

— Oczywiście wielki Holroyd ze San Francisco — szepnął Decoud swobodnie. — Sądzę, iż pani mnie doskonale rozumie. Kobiety są idealistkami, ale przy tym są bardzo przenikliwe. Kobieta, Idealista

Pani Gould zdawała się nie zwracać uwagi na to spostrzeżenie, ubliżające i razem pochlebne. Nazwisko Holroyda było nowym zarzewiem jej zaniepokojenia.

— Jutro rano będą wieźli srebro do portu, plon półrocznej pracy! — zawołała z trwogą.

— To dobrze, niech je przywiozą! — szepnął jej Decoud niemal do ucha.

— Ale jeżeli o tej pogłosce dowie się ludność, a zwłaszcza, jeśli okaże się ona prawdziwa, mogą wybuchnąć rozruchy w mieście — zauważyła pani Gould.

Decoud przyznał, że jest to możliwe. Znał dobrze osiadłych w Sulaco ludzi z Campo; byli złośliwi, złodziejscy, mściwi i krwiożerczy, mimo wielkich zalet, jakie okazywali ich krewniacy z równiny. Ale chodziło o tego drugiego sentymentalnego człowieka, który faktom rzeczywistym nadawał dziwnie idealne znaczenie. Strumień srebra musiał popłynąć na północ, jeśli miał powrócić potem pod postacią finansowego poparcia z wielkiej firmy Holroyda. Trzymane w potężnych skarbcach kopalni srebrne sztaby posiadały dla jego zamierzeń wartość mniejszą od zwykłego ołowiu, z którego było można przynajmniej lać kule. Niechże je przywiozą i przygotują do załadunku.

— Zabierze je najbliższy statek płynący na północ i dzięki temu uratuje kopalnię San Tomé, która wydała tyle skarbów. Poza tym pogłoska jest zapewne nieprawdziwa — pospiesznie dorzucił z przekonaniem w głosie. — Zresztą, señora — mówił dalej Decoud — można się postarać, żeby nieprędko dotarła do publicznej wiadomości. Rozmawiałem z telegrafistą na samym środku Plaza Mayor, jestem więc pewien, że nikt nie mógł nas podsłuchać. Nie było w pobliżu nas nikogo, nawet ptaka w powietrzu. Niechaj ponadto będzie mi wolno powiedzieć jeszcze coś więcej. Zaprzyjaźniłem się z tym *capatazem*, którego nazywają Nostromo. Mówiłem z nim dziś wieczorem, idąc przy boku jego konia. Wyjeżdżał właśnie z miasta. Przyrzekł mi, że gdyby z jakiegokolwiek powodu wybuchły rozruchy — chociażby z powodów wyłącznie politycznych — jego *cargadores*, którzy, jak pani wiadomo, stanowią znaczną część ludności, staną po stronie Europejczyków.

— Obiecał to panu? — zagadnęła pani Gould z ożywieniem. — Cóż go skłoniło, iż złożył panu taką obietnicę?

— Doprawdy, nie wiem — oświadczył Decoud nieco zdziwionym tonem. — Wiem, że mi przyrzekł, ale nie umiem odpowiedzieć, z jakich powodów. Mówił ze swoją zwykłą

niedbałością, którą, gdyby był czymś innym niż podrzędnym marynarzem, nazwałbym pozą lub udawaniem.

Decoud przerwał i spojrzał z ciekawością na panią Gould.

— Biorąc wszystko pod uwagę, przypuszczam — mówił dalej — że oczekuje z tego jakiejś korzyści dla siebie. Nie można zapominać, iż nadzwyczajna władza, jaką posiada nad pospólstwem, połączona jest z niejednym niebezpieczeństwem i wielką hojnością w wydawaniu pieniędzy. Za tak cenną rzecz jak potęga indywidualności trzeba zapłacić w ten czy inny sposób. Zaprzyjaźniliśmy się podczas zabawy tanecznej, w pewnej *posadzie* za miastem, której gospodarzem jest jakiś Meksykanin. Powiedział mi, iż przyjechał tutaj, by zdobyć fortunę. Widocznie uważa swoje wpływy za pewien rodzaj inwestycji.

— A może też ceni je dla nich samych — rzekła pani Gould takim tonem, jak gdyby chciała odeprzeć niezasłużone oszczerstwo. — Garibaldino, Viola, który zna go z bliska od kilku lat, nazywa go nieprzekupnym.

— Ach, więc to jeden z pani protegowanych w porcie? *Muy bien*[200]. Kapitan Mitchell nazywa go zdumiewającym człowiekiem. Nasłuchałem się już nieskończonych opowiadań o jego sile, odwadze i wierności. Całe mnóstwo pięknych rzeczy! Hm, nieprzekupny! To istotnie chlubne miano dla *capataza cargadorów* z Sulaco. Nieprzekupny! Piękne to, ale mgliste. Mimo to przypuszczam, iż jest również sprytny. Rozmawiałem z nim, wychodząc z tego zdrowego i praktycznego założenia.

— Ja zaś wolę wyobrażać sobie, że jest bezinteresowny i że właśnie dlatego zasługuje na zaufanie — rzekła pani Gould ze zwięzłością, z jaką miała zwyczaj formułować swe przypuszczenia.

— No, jeżeli tak, to srebro jest tym pewniejsze. Niechaj je państwo sprowadzą, señora! Trzeba je sprowadzić i wysłać na północ, żeby powróciło pod postacią kredytu.

Pani Gould rzuciła okiem w głąb korytarza, ku drzwiom pokoju swego męża. Decoud, który patrzył na nią, jak gdyby miała jego los w swych rękach, zauważył, iż niemal niedostrzegalnie skinęła głową na znak zgody. Ukłonił się z uśmiechem i włożywszy rękę do bocznej kieszeni surduta, wyjął wachlarz z jasnych piór osadzonych na pomalowanych listewkach z drzewa sandałowego.

— Włożyłem go do kieszeni — mruknął z triumfem — żeby mieć wiarygodny pretekst. — Ukłonił się ponownie. — Dobranoc, señora.

Pani Gould zaczęła przechadzać się po korytarzu z dala od pokoju swego męża. Przeznaczenie kopalni San Tomé zwaliło się ciężko na jej serce. Zaczęła go się lękać już od dawna. Kiedyś było ideą. Śledziła z niedowierzaniem, jak zamieniało się w fetysz, a teraz ten fetysz stał się potwornym i miażdżącym brzemieniem. Zdawało się jej, jak gdyby natchnienie jej lat dziewczęcych pierzchło z jej serca i zamieniło się w mur ze srebrnych cegieł, który w milczeniu zbudowały złe duchy między nią a jej mężem. Zamieszkał sam w warowni z drogocennego kruszcu, pozostawiając ją samą za tym murem z jej szkołą, szpitalem, z chorymi matkami i niedołężnymi starcami, tymi nic nieznaczącymi pozostałościami pierwotnego natchnienia.

— Biedni ludzie! — szepnęła do siebie.

Z dołu doleciał głos Martina Decouda, który odezwał się głośno na patio:

— Basilio, znalazłem wachlarz doñii Antonii! Mam go, widzisz?

ROZDZIAŁ VII

Przyjaźń

W skład tego, co Decoud nazywał swym zdrowym materializmem, wchodziła również niewiara w możliwość przyjaźni między kobietą a mężczyzną.

Jedyny wyjątek, który uznawał, potwierdzał jego zdaniem tę bezwzględną regułę. Przyjaźń była możliwa między bratem a siostrą, o ile przez przyjaźń rozumiało się, podobnie jak w stosunku do innych ludzi, swobodną otwartość myśli i uczuć. Była to nieskrępowana i konieczna szczerość, z jaką najbardziej wewnętrzne życie jednej istoty ludzkiej dąży do oddziałania na głębokie przywiązanie drugiej, podobnej istoty.

Ulubiona siostra, ładny, nieco samowolny i rezolutny aniołek, który rządził swym ojcem i matką we frontowym mieszkaniu bardzo wytwornej paryskiej kamienicy, by-

[200] *Muy bien* (hiszp.) — Bardzo dobrze. [przypis edytorski]

ła odbiorczynią zwierzeń Martina Decouda, powiernicą jego myśli, czynów, zamysłów, wątpliwości, nawet pośliźnięć...

„Przygotuj nasze kółko paryskie na narodziny nowej republiki południowoamerykańskiej. Jedna mniej, czy jedna więcej, cóż to za różnica? Przychodzą one na świat jak złowrogie kwiaty, pleniące się na podścielisku przegniłych instytucji. Ale zawiązek tej, o której mówię, począł się w głowie twego brata, co powinno jej zapewnić twą życzliwą przychylność. Piszę do ciebie przy jednej świeczce w czymś w rodzaju hoteliku w pobliżu portu, prowadzonym przez pewnego Włocha, niejakiego Violę, protegowanego przez pani Gould. Zbudował go podobno, o ile mi wiadomo, pewien *conquistador*, który przed trzystu laty zajmował się połowem pereł. Teraz spowija go głęboka cisza. Cisza zalega także równinę między miastem a portem. Jest na niej cicho, ale nie tak ciemno jak w tym domu, gdyż placówki robotników włoskich, strzegących kolei, porozpalały małe ogniska wzdłuż toru.

Wczoraj nie było tu tak cicho. Mieliśmy groźne rozruchy, nagły bunt ludności, który udało się ostatecznie uśmierzyć dopiero dziś po południu. Miał on bez wątpienia na celu grabież, której zapobieżono, o czym już wiesz zapewne z kablogramu wysłanego przez San Francisco i Nowy Jork ubiegłego wieczora, kiedy kable były jeszcze czynne. Musiałaś już czytać także o tym, iż energiczna postawa Europejczyków pracujących przy budowie kolei ocaliła miasto od zniszczenia. Możesz tej wiadomości wierzyć. Sam redagowałem ten kablogram. Nie mamy tu korespondentów Agencji Reutera. Strzelałem również do tłumu z okien klubu wraz z innymi młodszymi panami z towarzystwa. Trzeba było przez Calle de la Constitution utorować drogę kobietom i dzieciom, które schroniły się na pokład kilku lichtug, stojących teraz w porcie. Było to wczoraj. Z kablogramu dowiedziałeś się niewątpliwie i o tym szczególe, iż zaginiony prezydent Ribiera, który znikł po bitwie pod Santa Marta, dzięki osobliwemu zbiegowi okoliczności, co wydaje się po prostu nieprawdopodobne, dotarł do Sulaco i jadąc na kulawym mule, dostał się w odmęt walki ulicznej. Okazało się, iż uciekał przez góry w towarzystwie pewnego mulnika, niejakiego Bonifacia, i z obawy przed Monterem wpadł w ramiona rozwścieczonego motłochu.

Capataz de cargadores, ten włoski marynarz, o którym w mych listach już wspomniałem, ocalił go od haniebnej śmierci. Ten człowiek z jakąś dziwną zdolnością umie zawsze znaleźć się tam, gdzie jest coś niezwykłego do zrobienia.

O czwartej rano był u mnie w redakcji »Porvenir«, dokąd wstąpił tak wcześnie, by mnie ostrzec przed zbliżającymi się rozruchami i zapewnić, iż wraz ze swymi *cargadorami* stanie po stronie ładu. Gdy dzień zaświtał, wyglądaliśmy obaj przez okna na tłumy piesze i konne, które zalegały *plaza* i rzucały kamieniami w okna Intendencji. Nostromo (gdyż tak go tutaj nazywają) pokazywał mi swych *cargadorów* rozsianych wśród tłuszczy.

Słońce ukazuje się późno w Sulaco, gdyż musi najpierw wznieść się ponad góry. W świetle poranka, jaśniejszym od brzasku, Nostromo dostrzegł po drugiej stronie rozległej *plaza*, u wylotu jednej z ulic obok katedry, jakiegoś jeźdźca osaczonego przez gromadę wyjących *leperos*. Zaraz rzekł do mnie: »To ktoś obcy. Czego oni chcą od niego?«. Wyjął srebrny gwizdek, którego zwykł używać w porcie (ten człowiek nie raczy widocznie używać kruszców mniej cennych od srebra), i gwizdnął dwa razy, co było zapewne umówionym znakiem dla jego *cargadorów*. Uczyniwszy to, wybiegł niezwłocznie, a oni skupili się dokoła niego. Wybiegłem również, lecz za późno, by zdążyć za nimi i pomóc w oswobodzeniu nieznajomego, którego wierzchowiec zwalił się na ziemię. Rzucono się od razu na mnie jako na znienawidzonego arystokratę i miałem szczęście, że udało mi się dotrzeć do klubu, gdzie don Jaime Berges (pamiętasz zapewne, iż bywał u nas w Paryżu przed jakimiś trzema laty) wcisnął mi w rękę strzelbę myśliwską. Strzelano już z okien. Na rozłożonych stolikach do kart leżały małe kupki naboi. Pamiętam kilka przewróconych krzeseł i parę butelek toczących się wśród rozsypanych kart, które spadły, gdy *caballeros* zerwali się od stolików, by wszcząć ogień do motłochu. Większość młodzieży spędziła tę noc w klubie, przypuszczając, iż dojdzie do rozruchów. W dwu kandelabrach, które stały na konsolach, dopalały się świece. Gdy wszedłem, wielka żelazna mutra, skradziona prawdopodobnie z warsztatów kolejowych, wpadła z ulicy do sali i roztrzaskała duże lustro zawieszone na ścianie. Zauważyłem również, iż jeden ze służących klubowych leżał w kącie, mając ręce i nogi związane sznurami od portier. Majaczy mi się coś, iż don Jaime oświadczył mi pośpiesznie, że tego draba przyłapano, gdy zaprawiał trucizną potrawy,

które miano podać do stołu. Pamiętam jednak dokładnie, że wrzeszczał bez przestanku, błagając o litość, ale do tego stopnia nie zwracano na niego uwagi, iż nikt nie zadał sobie trudu, by zatkać mu usta. Wrzask jego był tak nieprzyjemny, iż omal nie uczyniłem tego sam. Ale nie można było marnować czasu na takie drobnostki. Stanąłem przy jednym z okien i zacząłem strzelać.

Dopiero pod wieczór dowiedziałem się, kim był ów nieznajomy, którego Nostromo przy pomocy swych *cargadorów* oraz kilku robotników włoskich ocalił z rąk pijanej hołoty. Ten człowiek okazuje szczególne zdolności, gdy trzeba dokonać czegoś, co przemawia do wyobraźni. Powiedziałem mu to później, gdyśmy się spotkali po przywróceniu jakiego takiego ładu w mieście, zaś odpowiedź jego zdziwiła mnie nieco. Powiedział ponuro: »I co z tego mam, señor?«. Później zaświtało mi w głowie, iż próżność tego człowieka zapewne szuka zaspokojenia w pochlebstwach pospólstwa i zaufaniu przełożonych".

Decoud zatrzymał się, by zapalić papierosa, po czym, nie podnosząc głowy, wydmuchnął kłąb dymu, który zdawał się pełzać po papierze. Wziął znowu ołówek w rękę.

„Było to ubiegłego wieczora na *plaza*. Siedział na stopniach katedry z rękoma opuszczonymi między kolana, dzierżąc lejce swej słynnej siwej klaczy. Przez cały dzień dowodził świetnie swym zastępem *cargadorów*. Wydawał się znużony. Nie wiem, jak wyglądałem. Prawdopodobnie byłem bardzo brudny. Ale zdaje mi się, że musiałem przy tym wyglądać na człowieka uradowanego. Odkąd zbiegłemu prezydentowi udało się przedostać na pokład »Minerwy«, powodzenie odwróciło się przeciw motłochowi. Wyparty z portu i głównych ulic miejskich, musiał pierzchać do swych kryjówek w ruinach. Trzeba ci wiedzieć, iż te rozruchy, które zrazu niewątpliwie miały na celu tylko opanowanie srebra z kopalni San Tomé złożonego w piwnicach Urzędu Celnego (poza ogólną grabieżą przez *ricos*), nabrały zabarwienia politycznego, gdy dwu posłów do Zgromadzenia Prowincjonalnego z Bolsonu stanęło na ich czele. Señores Gamacho i Fuentes uczynili to, co prawda, dopiero pod wieczór, gdy motłoch, zawiedziony w swych nadziejach łupu, stłoczył się w wąskich ulicach i zaczął wrzeszczeć: »*Viva la Libertad!*[201] Precz z feudalizmem!« (Chciałbym wiedzieć, jak oni wyobrażają sobie ten feudalizm). »Precz z Gotami i paralitykami!« Przypuszczam, iż señores Gamacho i Fuentes wiedzą, co czynią. To sprytni ludzie. W Zgromadzeniu chcieli uchodzić za umiarkowanych i sprzeciwiali się wszelkim energicznym zarządzeniom z filantropijną wyrozumiałością. Gdy zaczęto przebąkiwać o zwycięstwie Montera, zaczęli okazywać subtelną zmianę w swym wyrozumiałym usposobieniu i dogryzać biednemu don Juste'owi Lopezowi z taką bezczelnością, iż nie pozostawało mu nic innego, jak gładzić w zmieszaniu swą brodę i potrząsać prezydialnym dzwonkiem. Kiedy zaś już nie było ani cienia wątpliwości, iż sprawa ribierzystów poniosła klęskę, przedzierzgnęli się w zapamiętałych liberałów i działając zawsze razem niby dwaj bracia syjamscy, wysunęli się ostatecznie na czoło rozruchów pod hasłem zasad monterystowskich.

Najnowszy ich czyn polega na tym, iż dzisiejszego wieczora zawiązali komitet monterystowski, który obraduje, o ile mi wiadomo, w *posadzie* pewnego byłego toreadora meksykańskiego. Jest on wielkim politykiem, ale nazwiska jego zapomniałem. Z tej swojej siedziby wystosowali do nas, do Gotów i paralityków z klubu »Amarilla« (gdzie znajduje się nasz komitet), odezwę, w której proponują, abyśmy nawiązali z nimi rokowania co do doraźnego zawieszenia broni, gdyż — jak bezczelnie się wyrażają — nie godzi się, żeby dostojną sprawę wolności »miały zbezcześcić zbrodnicze porywy samolubstwa konserwatywnego«. Kiedy wychodziłem, by usiąść wraz z Nostromem na stopniach katedry, klub rozprawiał gorąco nad odpowiedzią na to pismo w głównej sali, usianej łuskami nabojów, odłamkami szkła, lichtarzami oraz innymi szczątkami zbroczonymi krwią. Ale wszystko to jest niedorzecznością. Nikt w świecie nie ma rzeczywistej władzy prócz inżynierów kolejowych, którzy obsadzili swymi ludźmi opustoszałe domy, nabyte wcześniej przez Towarzystwo Kolejowe celem utworzenia miejskiego dworca, po jednej stronie *plaza*, oraz Nostroma, którego *cargadores* ułożyli się do snu pokotem pod arkadami wzdłuż frontowych okien sklepu Anzaniego. Na *plaza* paliły się złocone meble, wyrzucone ze salonów Intendencji, a ogromny płomień buchał wprost na posąg Karola IV. U jego podnóża leżały zwłoki jakiegoś człowieka; ramiona miał szeroko rozrzucone,

[201] *Viva la Libertad!* (hiszp.) — Niech żyje wolność! [przypis edytorski]

a twarz zakrytą sombrerem — ktoś wyświadczył mu widocznie tę przyjacielską przysługę. Łuna płomieni sięgała listowia pierwszych drzew *alamedy* i pląsała u wylotu pobliskiego zaułka, zawalonego wozami i martwymi wołami. Jakiś otulony w płaszcz *lepero* siedział na jednym z zewłoków i palił papierosa. Było to, rozumiesz, zawieszenie broni. Na *plaza* jedyną żywą prócz nas istotą był jakiś *cargador*, który z długim, nagim nożem w ręce przechadzał się przed arkadami, czuwając nad bezpieczeństwem swych uśpionych towarzyszy. Jedynym poza tym oświetlonym miejscem wśród mroków miejskich były jaśniejące okna klubu na rogu ulicy".

Nakreśliwszy te słowa, don Martin Decoud, egzotyczny dandys[202] z bulwarów paryskich, powstał i zaczął przechadzać się po posypanej piaskiem podłodze kawiarni, która zajmowała jeden kraniec Gospody pod Zjednoczoną Italią, będącej własnością Giorgia Violi, dawnego towarzysza Garibaldiego. W nikłym blasku jedynej świeczki jaskrawo zabarwiona litografia wiernego bohatera zdawała się spoglądać chmurnie na człowieka, który wierzył tylko w prawdę swych własnych uczuć. Wyjrzawszy z okna, Decoud zetknął się z tak nieprzeniknioną ciemnością, iż nie był zdolny rozróżnić ani gór, ani miasta, ani budynków w pobliżu portu. Znikąd nie dobiegał najlżejszy dźwięk, jak gdyby przeraźliwe mroki Zatoki Cichej, rozpostarłszy się z toni morskiej na ląd, nie tylko go oślepiły, ale i oniemiły.

Nagle Decoud poczuł, iż podłoga drży mu z lekka pod stopami, a równocześnie posłyszał daleki szczęk żelaza. Daleko w mroku ukazało się jasne, białe światło i powiększało się przy hukach grzmotu. Był to skład wagonów, który zazwyczaj stał na bocznicy w Rincon, a teraz ze względu na bezpieczeństwo wracał do zajezdni. Niczym tajemniczy kłąb ciemności skrywającej się za latarnią lokomotywy, pociąg przemknął z dudniącym łoskotem, mijając kraniec domu, który w odpowiedzi cały zadrżał. I nic nie było dokładniej widać, prócz nagiego po pas Murzyna, który stał w białych spodniach na ostatnim, płaskim wagonie i wywijał nieustannie zapaloną pochodnią, zataczając krąg nagim ramieniem. Decoud stał bez ruchu.

Za nim, na poręczy krzesła, z którego się podniósł, wisiało jego eleganckie paryskie palto z perłowoszarą, jedwabną podszewką. Kiedy jednak odwrócił się, by podejść do stołu, światło świecy padło na jego twarz, posępną i pokiereszowaną. Różowe usta poczerniały od gorączki i dymu prochowego. Brud i sadza zgasiły połysk jego krótkiej brody. Kołnierz u koszuli i mankiety miał pomięte, błękitny jedwabny krawat zwisał na piersi jak łachman; na białym czole widniała ciemna smuga. Przez jakieś czterdzieści godzin nie mył się i nie zdejmował z siebie ubrania, a pragnienie zaspokajał przełkniętym naprędce łykiem wody. Owładnął nim bolesny niepokój, napiętnował go wszystkimi znamionami rozpaczliwego oporu, zamglił suchym, bezsennym szkliwem jego oczy. Mruknął do siebie ochrypłym głosem: „Ciekaw jestem, czy nie można by tu dostać chleba", rozejrzał się błędnie dokoła siebie, po czym osunął się na krzesło i ujął znów ołówek w rękę. Uświadomił sobie, iż już od dawna nie miał nic w ustach.

Doznawał wrażenia, iż nikt inny nie zdoła go tak dobrze zrozumieć, jak jego siostra. Kiedy życie waży się na szali, w najbardziej sceptycznych duszach odzywa się pragnienie, by pozostawić po sobie dokładny obraz swych uczuć, które są jakby światłem, przy którym ukażą się czyny, gdy człowiek odejdzie, odejdzie tam, gdzie żaden badawczy promień nie dosięgnie prawdy, znikającej wraz ze śmiercią ze świata. Dlatego zamiast szukać pożywienia lub zdrzemnąć się na chwilę, Decoud wypełniał karty wielkiego notatnika listem do swej siostry. Śmierć

Serdeczna szczerość tych zwierzeń nie pozwoliła mu ukryć swego wyczerpania, swego ogromnego znużenia, dolegliwych fizycznych doznań. Zaczął znów, jak gdyby mówił do niej. Poddając się niemal złudzeniu jej obecności, napisał słowa: „Jestem bardzo głodny".

„Doznaję uczucia wielkiego osamotnienia" — pisał dalej. — „Pochodzi to może stąd, iż wśród powszechnego rozprzężenia, wśród zaniku wszelkich zamierzeń i nadziei jestem jedynym człowiekiem z określonym pomysłem w głowie. Mimo to moja samotność jest również bardzo rzeczywista. Wszyscy inżynierowie rozjechali się na dwa dni, by zaopiekować się mieniem Centralnej Kolei Państwowej, tego wielkiego przedsiębiorstwa costaguańskiego, które wzbogaca Anglików, Francuzów, Amerykanów, Niemców i Bóg wie

[202] *dandys* — mężczyzna z przesadą dbający o strój i kurtuazyjny w zachowaniu. [przypis edytorski]

kogo jeszcze. Cisza dokoła mnie jest po prostu złowieszcza. Pośrodku domu, w którym przebywam, jest jakby pięterko z wąskimi okienkami, które za dawnych czasów oddawały zapewne usługi podczas obrony przeciw przewlekłemu barbarzyństwu naszego ojczystego lądu, kiedy dzicz nie przyodziewała się jeszcze w czarne stroje polityków, lecz uderzała, wyjąc, na wpół naga, z łukami i strzałami w ręku. Gospodyni tego domu dogorywa i, jak mi się zdaje, nie ma przy niej nikogo prócz jej starego męża. Klatka schodowa jest tu wąska i zbudowana tak, że jeden człowiek może z łatwością bronić się przeciwko motłochowi, który chciałby wedrzeć się na piętro. Przed chwilą słyszałem przez grubą ścianę, jak starzec schodził po coś do kuchni. Był to niby chrobot, jaki czyni mysz pod tynkiem muru. Cała służba rozbiegła się wczoraj i jeszcze nie powróciła, a nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek powróci. Pozostały tylko dzieci, dwie dziewczynki. Ojciec kazał im zejść na dół, więc wśliznęły się do tej kawiarni, może dlatego, że ja tu jestem. Przykucnęły w kącie, tuląc się wzajem do siebie. Zauważyłem je dopiero przed kilkoma minutami i czuję się jeszcze samotniejszy niż poprzednio".

Decoud odwrócił się na krześle i zapytał:

— Czy nie można by dostać chleba?

Linda potrząsnęła przecząco swą ciemną główką, pochylając się nad jasnymi włosami swej siostry, która przylgnęła do jej piersi.

— Czy nie mogłybyście mi dać trochę chleba? — nalegał Decoud. Dziewczynka się nie poruszyła. Czuł na sobie spojrzenie jej dużych oczu wyzierających głęboką czernią z kąta. — Boicie się mnie? — zapytał.

— Nie — rzekła Linda — nie boimy się pana. Pan przyszedł tu z Gian' Battistą.

— Czy mówisz o Nostromie? — zagadnął Decoud.

— Tak nazywają go Anglicy, ale nie jest to imię ani ludzkie, ani zwierzęce — odparła dziewczynka, muskając łagodnie dłonią włosy siostry.

— Ale on pozwala, żeby go tak nazywano — zauważył Decoud.

— Nie w tym domu — zaprzeczyło dziecko.

— No, to będę go nazywał *capatazem*.

Decoud umilkł i pisał czas jakiś bez przerwy, po czym odwrócił się znowu.

— Kiedy go się spodziewacie? — zapytał.

— Po przyprowadzeniu pana tutaj pojechał, żeby przywieźć z miasta señora doktora dla mamy. Powróci lada chwila.

— Będzie miał szczęście, jeśli go nie zastrzelą po drodze — mruknął Decoud do siebie głośno, na co Linda odparła swym przenikliwym głosikiem:

— Nikt nie odważy się strzelić do Gian' Battisty.

— Wierzysz w to — zapytał Decoud — wierzysz naprawdę?

— Wiem to — odparła dziewczynka z przekonaniem. — Nie ma w tym mieście nikogo, kto by śmiał zaczepić Gian' Battistę.

— Nie trzeba zbyt wielkiej odwagi, by zza krzaka pociągnąć za spust — mamrotał Decoud do siebie. — Na szczęście noc jest ciemna, inaczej niewiele byłoby szans na ocalenie srebra z kopalni.

Odwrócił się do swego notatnika, przejrzał jego kartki i znów sięgnął po ołówek.

„Tak przedstawiał się stan rzeczy wczoraj, kiedy »Minerwa« ze zbiegłym prezydentem na pokładzie opuściła port, a buntowników udało się wyprzeć w boczne zaułki miasta. Siedziałem na stopniach katedry z Nostromem, wysławszy uprzednio kablogram, dający znać o wszystkim mniej lub bardziej zainteresowanemu światu. Rzecz dziwna, iż jakkolwiek biura Kompanii Telegraficznej znajdują się w tym samym domu co »Porvenir«, motłoch, który wyrzucił moje prasy drukarskie przez okno i porozsypywał czcionki po całej *plaza*, nie poniszczył przyrządów po drugiej stronie dziedzińca. Kiedy siedziałem, rozmawiając z Nostromem, spod arkad wyszedł telegrafista Bernhardt z jakimś papierem w ręce. Ten mały człowieczek przypasał się do ogromnego miecza i obwiesił się rewolwerami. Mimo swej śmieszności jest najprzyzwoitszym Niemcem, jaki kiedykolwiek miał do czynienia z aparatem Morse'a. Otrzymał telegram z Cayty, donoszący, iż statki z wojskami Barriosa wpłynęły właśnie do portu. Telegram kończył się słowami: »Panuje ogromny entuzjazm«. Poszedłem, by napić się wody z fontanny, gdy ktoś strzelił do mnie, kryjąc się za drzewem. Ale napiłem się i nie zważałem na nic. Skoro Barrios jest w Caycie, a od zwycięskiej armii Montera dzieli nas ogrom Kordylierów, mimo wysiłku panów Gamacho

i Fuentesa, mam nowe państwo w garści. Chciałem się przespać, ale kiedy zaszedłem do Casa Gould, zastałem patio zapełnione rannymi, którzy leżeli na słomie. Paliły się światła, a nad zamkniętym dziedzińcem unosiły się w skwarnym powietrzu nocnym mdłe wyziewy krwi i chloroformu. Na jednym końcu doktor Monygham, lekarz górniczy, zakładał opatrunki, na drugim, w pobliżu schodów, klęczał ojciec Corbelan, słuchając spowiedzi konającego *cargadora*. Pani Gould chodziła po tej rzeźni z wielką butelką w jednej ręce i z paczką waty w drugiej. Spojrzała na mnie, ale nawet nie skinęła głową. Podążała za nią jej *camerista*, która również trzymała butelkę i szlochała z cicha.

Przez jakiś czas nosiłem wodę z cysterny dla rannych. Potem wszedłem na górę i ujrzałem tam wiele znakomitych pań z Sulaco. Były bledsze niż kiedykolwiek i nosiły przewieszone przez ramię bandaże. Nie wszystkie zdążyły uciec na okręty. Wiele z nich schroniło się za dnia w Casa Gould. Na zakręcie schodów jakaś dziewczyna z rozpuszczonymi do połowy włosami klęczała pod ścianą przed wnęką, gdzie stoi Madonna w błękitnych szatach i ze złotą koroną na głowie. Zdaje mi się, że była to najstarsza panna Lopez; nie widziałem jej twarzy, ale pamiętam, że spojrzałem na wysoki francuski obcas jej małego trzewiczka. Nie odzywała się, nie poruszała, nie łkała i zachowywała się najzupełniej spokojnie, cała czarna na tle białej ściany, niby milczące upostaciowanie żarliwej modlitwy. Jestem pewien, że nie była bardziej przerażona od tamtych bladych pań roznoszących bandaże. Jedna z nich siedziała na najwyższym stopniu schodów i pośpiesznie darła kawał płótna na pasy. Była to młoda żona tutejszego, leciwego już bogacza. Przerwała, by odpowiedzieć skinieniem ręki na mój ukłon, jak gdyby siedziała w swym powozie na *alamedzie*. Warto zobaczyć nasze kobiety podczas rewolucji. Opada z nich róż i perłowy puder wraz z biernością w stosunku do zewnętrznego świata, biernością, którą od najwcześniejszego dzieciństwa narzuca im wychowanie, tradycja i obyczaj. Myślałem o twej twarzy, która od najmłodszych lat nosiła znamię inteligencji zamiast owego cierpliwego i zrezygnowanego wyrazu, który ukazuje się, gdy jakiś polityczny przewrót zedrze powłokę kosmetyków i nawyków.

Kobieta, Rewolucja

W wielkiej sali na piętrze odbywało się posiedzenie jakby *junty*[203] szlacheckiej, pozostałości rozpierzchłego Zgromadzenia Prowincjonalnego. Don Juste Lopez miał brodę do połowy osmaloną od wystrzału dwururki nabitej siekańcami, które jakimś cudownym sposobem wszystkie go chybiły. Kiedy odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, wydawało się, jak gdyby w jego fraku mieściło się dwóch ludzi: jeden uroczysty i dostojnie brodaty, drugi niechlujny i zeszpecony.

Kiedy wszedłem, zawołali: »Decoud! Don Martin!«. Zapytałem ich: »Nad czym panowie obradujecie?«. Nie było wśród nich, jak się zdaje, przewodniczącego, chociaż don José Avellanos zajmował naczelne miejsce przy stole. Odpowiedzieli wszyscy chórem: »Nad zachowaniem życia i mienia!«. »Do chwili, kiedy przybędą nowi urzędnicy« — tłumaczył mi don Juste, zwracając się ku mnie dostojną połową swej twarzy. Był to jakby strumień zimnej wody wylany na gorejącą we mnie ideę nowego państwa. Zasyczało mi w uszach i sala zamgliła się, jak gdyby nagle napełniły ją wyziewy.

Podszedłem na oślep do stołu, jak gdybym był pijany. »Zamierzacie panowie zdać się na łaskę i niełaskę« — rzekłem. Wszyscy siedzieli cicho, pochyliwszy nosy nad arkuszami papieru, które leżały przed nimi, Bóg wie po co. Jedynie don José ukrył twarz w dłoniach, bełkocąc: »Nigdy, nigdy!«. Kiedy jednak spojrzałem na niego, wydało się mi, iż mógłbym go zdmuchnąć swym oddechem, taki był nikły, zgrzybiały i słaby. Nie przeżyje, bez względu na to, co nastąpi. Zbyt wielki to zawód dla człowieka w jego wieku. Czyż nie widział, jak kartki *Pięćdziesięciu lat nierządu*, które zaczęliśmy już składać w drukarni »Porvenira«, walały się po *plaza*, wpadały do rynsztoków, paliły się jako zatyczki petard, nabitych czcionkami, rozpraszały się na wietrze, były wdeptywane w błoto? Widziałem na własne oczy, jak niektóre pływały nawet na wodach portu. Byłoby niedorzecznością przypuszczać, iż przeżyje to wszystko. Byłoby to zbyt okrutne.

»Czy panowie zdajecie sobie sprawę — zawołałem — co oznacza poddanie się dla was samych, dla waszych żon, dzieci i waszego mienia?«

Grzmiałem przez jakieś pięć minut bez wytchnienia, wykazując sprzyjające nam okoliczności i powołując się na dzikość Montera, którego przedstawiłem jako skończone

[203] *junta* (hiszp.) — rada. [przypis edytorski]

bydlę, nie wątpiąc zresztą, iż nim się okaże, jeżeli tylko będzie miał dość inteligencji, by zaprowadzić systematyczne rządy terroru. Następnie przez kolejnych pięć minut, a może nawet dłużej, przemawiałem płomiennie do ich męstwa z całą namiętnością mej miłości do Antonii. Bo jeżeli kiedykolwiek się zdarzy komuś mówić dobrze, to wynika to zawsze z uczuć osobistych, bez względu na to, czy chodzi o potępienie wroga, czy o bezpieczeństwo własne, czy wreszcie o obronę czegoś, co jest nam droższe nad życie. Grzmiałem na nich po prostu, droga ty moja! Zdawało mi się, że mój głos rozsadzi ściany, a kiedy umilkłem, zauważyłem, iż ich przerażone oczy spoglądają na mnie z niedowierzaniem.

I to było wszystko, co osiągnąłem. Jedynie głowa don Joségo pochylała się coraz niżej i niżej na piersi. Przybliżyłem ucho do jego zwiędłych ust i usłyszałem szept, coś w rodzaju: »W imię Boże, do dzieła, Martinie, mój synu!«. Nie wiem jednak, czy słyszałem dokładnie. Ale pewien jestem, że wspomniał coś o Bogu. Doznałem wrażenia, iż pochwyciłem ostatnie jego tchnienie, duszy pierzchającej z jego ust.

Co prawda żyje jeszcze. Widziałem go potem, lecz było to tylko starcze ciało, leżące na plecach, zakryte aż pod brodę i tak ciche, iż można było mniemać, że już nie oddycha. Obok jego łoża klęczała Antonia. Pozostawiłem go w tym stanie, zanim przyszedłem do tej włoskiej *posady*, gdzie również czai się wszechobecna śmierć. Wiem jednak, iż don José umarł tam, w tej Casa Gould, wzywając mnie szeptem do podjęcia dzieła, przed którym niewątpliwie musiała się wzdragać jego dusza, spowita w nietykalność umów dyplomatycznych i uroczystych oświadczeń. Zawołałem na cały głos: »Nie może być Boga w kraju, gdzie ludzie nie chcą pomagać sobie samym!«

Na to don Juste rozpoczął stateczną przemowę, której uroczysty ton chybił skutkiem komicznego zeszpecenia jego brody. Nie czekałem, żeby ją zrozumieć. Chciał niby to uzasadnić, iż zamierzenia Montera (nazywał go generałem) nie są może tak złe, choć nadmienił, że ten »znakomity mąż (jeszcze przed tygodniem nie nazywał go inaczej, niż *gran' bestia*) jest zapewne w błędzie co do wyboru właściwych środków«. Domyślisz się z pewnością, iż nie chciałem słuchać dalszego ciągu. Znałem zamierzenia brata Montera, Pedrita, *guerillera*, którego przed kilku laty ośmieszyłem w kawiarni paryskiej uczęszczanej przez studentów południowoamerykańskich, gdzie chciał uchodzić za sekretarza poselstwa. Zachodził tam i gadał całymi godzinami, miętosząc pilśniowy kapelusz w swych kosmatych łapach, a jego ambicją było zostać czymś w rodzaju księcia de Morny[204] przy jakimś Napoleonie. Już wówczas wyrażał się o swym bracie nader pompatycznie. Czuł się najzupełniej bezpieczny, ponieważ wszyscy ci studenci zaliczali się do *blancos* i, jak łatwo się domyślisz, nie bywali w poselstwie. Jedynie Decoud, ten człowiek bez czci i wiary, zachodził tam niekiedy dla rozrywki, jakby to była siedziba tresowanych małp. Znam jego zamiary. Widziałem, jak zmieniał talerze przy stole. Niechaj inni żyją sobie w ucisku, mnie nie pozostaje nic innego, jak śmierć.

Nie, nie pozostałem, by słuchać do końca, jak don Juste Lopez starał się z krasomówczą powagą przekonać samego siebie o łaskawości, sprawiedliwości, uczciwości i czystości braci Montero. Wyszedłem natychmiast, by poszukać Antonii. Ujrzałem ją na korytarzu. Gdy otworzyłem drzwi, wyciągnęła ku mnie załamane ręce.

— Co oni tam robią? — spytała.

— Gadają — rzekłem, patrząc jej w oczy.

— No, tak, ale...

— Czcze gadaniny — przerwałem. — Kryją swój strach za głupimi nadziejami. To sami wielcy parlamentarzyści, jak pani wie.

Byłem tak podniecony, iż ledwo mogłem mówić. Drgnęła ruchem rozpaczy.

Przez drzwi, które pozostawiłem nieco uchylone, słyszeliśmy, jak don Juste głędził monotonnie, miarowo, przechodząc od okresu do okresu, niby opętany przez jakieś czcigodne, namaszczone szaleństwo.

»Być może dążenia demokratyczne mają swoją zasadność. Drogi ludzkiego postępu są niezbadane i skoro los kraju jest w rękach Montera, to powinniśmy...«

[204] *książę de Morny*, właśc. *Charles Auguste Louis Joseph Demorny* (1811–1865) — francuski finansista i polityk, minister; przyrodni brat i zaufany doradca cesarza Napoleona III, któremu pomógł w przeprowadzeniu zamachu stanu (1851), a później przekonał do wysłania ekspedycji wojskowej do Meksyku. [przypis edytorski]

Przy tych słowach zatrzasnąłem drzwi. Miałem dosyć, było tego za dużo. Nigdy może na niczyjej pięknej twarzy nie objawiło się tyle grozy i rozpaczy, co na twarzy Antonii. Nie mogłem tego znieść i schwyciłem ją za ręce.

— Czy ci panowie nie zabili mojego ojca? — spytała.

Oczy jej roziskrzyły się oburzeniem, lecz gdy spojrzałem w nie oczarowany, przygasły.

— Chcą się poddać — rzekłem. I pamiętam, że potrząsałem jej dłońmi, trzymając je w rękach. — Lecz jest coś więcej niż ich słowa! Ojciec pani polecił mi przystąpić w imię Boże do dzieła.

Miłość

Moja ty droga, jest coś w Antonii, co każe mi wierzyć w możliwość dokonania wszystkiego. Dość mi spojrzeć w jej twarz, a moja głowa zajmuje się płomieniem. A jednak kocham ją, jakby kochał każdy inny człowiek — sercem, i tylko sercem. Jest dla mnie czymś więcej niż Kościół dla ojca Corbelana. (Wikariusz generalny znikł ubiegłej nocy z miasta, być może przyłączył się do opryszków Hernandeza). Jest dla mnie czymś więcej niż drogocenna kopalnia dla tego sentymentalnego Anglika. Wolę nie wspominać o jego żonie. Ona też mogła kiedyś być sentymentalna. Teraz pomiędzy tym dwojgiem ludźmi stoi kopalnia San Tomé.

— Własny pani ojciec, Antonio — powtórzyłem — ojciec pani — czy pani rozumie? — polecił mi przystąpić do dzieła!

Odwróciła twarz i zawołała bolesnym głosem:

— Tak powiedział? Jeżeli tak powiedział, to obawiam się, że już nigdy więcej nie przemówi.

Uwolniła ręce z mojego uścisku i zaczęła łkać, przysłaniając usta chusteczką. Nie dbałem o jej mękę; wolałem widzieć ją zrozpaczoną niż nie widzieć jej wcale, nie ujrzeć jej nigdy; gdyż zarówno gdybym uciekł, jak gdybym zginął na miejscu, nie mogliśmy już być razem, nie było już dla nas przyszłości. Ponieważ tak było, nie znajdowałem w sobie współczucia dla przemijających chwil jej bólu. Posłałem ją, zapłakaną, by przyprowadziła doñię Emilię i don Carlosa. Ich uczuciowość była mi potrzebna, by tchnąć życie w mój plan. Jest to sentymentalizm ludzi, którzy nigdy nie uczynią niczego dla urzeczywistnienia swych najgorętszych pragnień, o ile nie objawiają się im one w uroczej osłonce idei.

Późną nocą utworzyliśmy małą *juntę*, złożoną z czterech osób: z dwu kobiet, don Carlosa i mnie. Zebraliśmy się w biało-błękitnym buduarze pani Gould.

El rey de Sulaco uważa siebie bez wątpienia za bardzo prawego człowieka. I okazałby się nim zapewne, gdyby można było zajrzeć poza jego małomówność. Być może zdaje mu się, że dzięki niej jego uczciwość jest bez plamy. Ci Anglicy żywią się złudzeniami, które w ten czy inny sposób pozwalają im ujmować mocno istotę rzeczy. Jeżeli się odzywa, to tylko po to, by z rzadka powiedzieć »tak« lub „nie«, które brzmią bezosobowo jak słowa wyroczni. Ale nie wyprowadza mnie w pole swoją niemą powściągliwością. Wiem, co ma w głowie: swą kopalnię ma w głowie. Zaś jego żona ma w głowie tylko jego drogocenną osobę, którą powiązał z koncesją Gouldów i uwiesił na jej kobiecej szyi. Mniejsza o to. Sztuka polegała na tym, żeby zechciał przedstawić całą tę sprawę Holroydowi (królowi stali i srebra) i wyjednać jego pieniężne poparcie. W tym czasie, to znaczy przed dwudziestoma czterema godzinami, sądziliśmy, iż srebro kopalni będzie spoczywało bezpiecznie pod sklepieniami Urzędu Celnego, aż do chwili, kiedy zabierze je parowiec płynący na północ. Jak długo zaś te skarby płynęłyby bez przerwy na północ, tak długo krańcowy idealista, Holroyd, nie wyrzekłby się myśli zaszczepienia na tych zatraconych lądach nie tylko sprawiedliwości, przemysłu i pokoju, lecz także swego ulubionego marzenia, przejawiającego się pod postacią »czystszych form chrześcijaństwa«. Niedługo potem nadjechał konno od strony portu najwybitniejszy z Europejczyków, przebywający w Sulaco naczelny inżynier kolejowy, i został dopuszczony do naszych obrad. Tymczasem w wielkiej sali rozprawiała wciąż jeszcze *junta* szlachecka. Któryś z nich wybiegł na korytarz i zapytał służącego, czy nie mógłby im przynieść czegoś do jedzenia. Pierwsze słowa, które wyrzekł naczelny inżynier, wchodząc do buduaru, brzmiały: »Czymże jest pani dom, pani Gould? Na dole szpital połowy, a na górze, jak się zdaje, restauracja. Widziałem, jak do sali wnoszono kopiaste półmiski ze smakołykami«.

»Tu zaś, w tym buduarze — rzekłem — widzi pan tajny gabinet przyszłej Republiki Zachodniej«.

Był tak roztargniony, iż nie uśmiechnął się na te słowa, nie wydawał się nawet zdziwiony.

Zaczął nam opowiadać, iż kiedy był na stacji kolejowej, gdzie wydawał polecenia mające na celu ochronę własności kolei, wezwano go na stację telegraficzną. Inżynier węzła kolejowego u podnóża gór chciał się z nim porozumieć z drugiego końca linii. W biurze prócz niego był tylko urzędnik telegrafu kolejowego, który odczytywał głośno uderzenia na wstędze papierowej, w miarę jak osuwała się na podłogę. Komunikat, wystukiwany nerwowo z drewnianej chatki w głębi lasu, zawiadamiał przełożonego, że prezydent Ribiera był, a może nawet nadal jest ścigany przez swych wrogów. Było to zupełną nowością dla nas wszystkich w Sulaco. Sam Ribiera, gdyśmy go tu ocalili, ocucili i uspokoili, był skłonny przypuszczać, że nie wysłano za nim pościgu.

Ribiera uległ natarczywym naleganiom swych przyjaciół i opuścił kwaterę główną swej rozgromionej armii sam, a jego przewodnikiem był mulnik Bonifacio, który wziął na siebie tę odpowiedzialność wraz z ryzykiem. Wyjechał o świcie trzeciego dnia. Resztki jego wojska stopniały w nocy. Bonifacio i on pędzili konno ku Kordylierom; po drodze dostali muły, wjechali w wąwozy i zdołali minąć Paramo Ivie, zanim lodowata wichura zadęła nad tym skalistym płaskowyżem i pogrzebała w zawiei śnieżnej małe, murowane schronisko, w którym spędzili noc. Następnie biedny Ribiera doznał wielu przygód, rozłączył się ze swym przewodnikiem, postradał swego człapaka, przedostał się pieszo z gór na Campo i gdyby się nie zdał na łaskę jakiegoś *ranchero*, byłby zginął z dala od Sulaco. Ten człowiek, poznawszy go zresztą od razu, dał mu świeżego muła, który padł pod ciężkim i niezręcznym zbiegiem. I było to prawdą, że ścigał go oddział, dowodzony nie przez byle kogo, bo przez samego Pedra Montera, brata generała. Na szczęście mroźna wichura z Paramo dopadła prześladowców na szczycie przełęczy. Kilku ludzi i wszystkie zwierzęta zginęły w lodowatej zawiei. Śmierć zdławiła straż przednią, ale główny oddział nie ustał w pościgu. Znaleźli biednego Bonifacia, dogorywającego u podnóża pokrytej śniegiem krzesanicy i szlachetnym obyczajem wojen domowych zakłuli go natychmiast bagnetami. Byliby pojmali również Ribierę, gdyby z jakiegoś powodu nie byli zboczyli ze szlaku dawnej Camino Real i nie zabłądzili w lasach u podnóża niższych zboczy. Zupełnie niespodziewanie natknęli się na obozowisko robotników budujących tor kolejowy. Inżynier węzła kolejowego doniósł zwierzchnikowi telegraficznie, iż Pedro Montero był przy tej czynności w biurze i przysłuchiwał się stukaniu aparatu. Miał zamiar zająć Sulaco w imieniu demokracji. Zachowywał się jak samowładca. Jego ludzie zarżnęli kilka sztuk bydła należącego do Towarzystwa Kolejowego, nie zapytawszy nikogo o pozwolenie, i zaczęli piec mięsiwo na ogniu. Pedrito wypytywał się szczegółowo o kopalnię i chciał wiedzieć, co się stało ze srebrem wydobytym w ostatnich sześciu miesiącach. Oświadczył rozkazująco:

»Proszę zapytać o to swego przełożonego telegraficznie! Będzie zapewne wiedział. Proszę mu powiedzieć, iż don Pedro Montero, gubernator Campo i minister spraw wewnętrznych nowego rządu pragnie być szczegółowo o wszystkim powiadomiony«.

Stopy miał owinięte w zakrwawione łachmany, twarz wychudłą i zdziczałą, brodę i włosy w nieładzie. Przy chodzeniu utykał, wspierając się na kuli sporządzonej z rozwidlonej gałęzi. Jego towarzysze byli w jeszcze gorszym stanie, ale nie porzucili broni ani, w żadnym razie, całego zapasu amunicji. Ich zapadłe twarze wypełniły drzwi i okna chaty, w której mieściło się biuro telegraficzne. A ponieważ stanowiła ona zarazem sypialnię inżyniera, więc Montero rzucił się na czystą pościel i leżąc, dyktował polecenia, które miały być telegraficznie przekazane do Sulaco. Domagał się, żeby przysłano zaraz pociąg, który by zabrał jego ludzi.

— Odpowiedziałem na to z mojej strony — opowiadał nam dalej naczelny inżynier — iż nie odważyłbym się wysłać taboru kolejowego w głąb kraju, gdyż niejednokrotnie usiłowano uszkodzić pociągi krążące po linii kolejowej. Uczyniłem to dla pana, panie Gould — mówił naczelny inżynier. — Odpowiedź mojego podwładnego zamykała się w słowach: »Plugawe bydlę, leżące na moim łóżku, powiedziało: „A gdybym kazał pana rozstrzelać?"«. Na to mój podwładny, który, jak się zdaje, sam pełnił czynności telegrafisty, zauważył, że pociągu to nie sprowadzi. Wówczas Pedrito, ziewając, miał się odezwać: »Mniejsza o to, nie brak koni na Campo«, i odwróciwszy się, zasnął na łóżku Harrisa.

Oto dlaczego, moje ty kochanie, uciekam już dzisiejszego wieczora. Ostatni telegram z węzła kolejowego donosi, iż Pedro Montero i jego ludzie wyruszyli dziś rano po całonocnym objadaniu się pieczonym mięsiwem. Podobno zabrali wszystkie konie i spodziewali się dostać ich więcej po drodze. Będą tu w niespełna trzydzieści godzin, Sulaco nie jest zatem odpowiednim miejscem ani dla mnie, ani dla wielkich zapasów srebra należącego do koncesji Gouldów.

Ale nie to jest najgorsze. Załoga Esmeraldy przeszła na stronę zwycięzców. Dowiedzieliśmy się o tym od telegrafisty Kompanii Telegraficznej, który przyszedł wczesnym rankiem z tą nowiną do Casa Gould. Było tak wcześnie, że w Sulaco ledwie miało się ku świtaniu. Jego kolega z Esmeraldy wezwał go do aparatu i przekazał, iż załoga, wystrzelawszy niektórych swych oficerów, opanowała rządowy okręt stojący w porcie. To rzeczywiście ciężki cios dla mnie. Sądziłem, iż w tej prowincji można polegać na każdym człowieku. Myliłem się. W Esmeraldzie wybuchła rewolucja monterystowska, podobna do tej, jaką wszczęto w Sulaco, z tą tylko różnicą, iż ta ostatnia się nie udała. Telegrafista donosił o wszystkim Bernhardtowi przez cały czas, a ostatnie nadane przez niego słowa brzmiały: »Wyłamują drzwi i przejmują urząd telegraficzny. Jesteście odcięci. Nie mogę nic więcej zrobić«.

Mimo to udało się mu jeszcze zmylić na chwilę czujność swych siepaczy, którzy starali się zapobiec porozumieniu ze światem zewnętrznym. Dokonał tego. W jaki sposób, tego nie wiem. Dość, że w kilka godzin później przesłał znów do Sulaco słowa następujące: »Zbuntowane wojska opanowały statek rządowy stojący w przystani. Żołnierze wsiadają na ten okręt, by dostać się wzdłuż wybrzeża do Sulaco. Miejcie się zatem na baczności. Mają zamiar odpłynąć za kilka godzin i napaść na was przed wschodem słońca«.

Oto wszystko, co zdołał powiedzieć. Widocznie usunięto go tym razem na dobre od aparatu, gdyż Bernhardt wielokrotnie starał się nawiązać połączenie z Esmeraldą, ale nie otrzymał odpowiedzi".

Nakreśliwszy te słowa w notatniku, który zapełniał dla siostry, Decoud podniósł głowę i zaczął nadsłuchiwać. Ale niczego nie było słychać ani w pokoju, ani w domu prócz szmeru wody, która kapała z cedzidła do ogromnego, glinianego dzbana. Na zewnątrz domu zalegała ogromna cisza. Decoud znowu pochylił głowę nad notatnikiem.

„Pojmujesz zapewne, iż nie uciekam" — zaczął pisać. — „Usuwam się po prostu wraz z tym drogocennym srebrem, które należy ocalić za wszelką cenę. Pedro Montero od strony Campo i zbuntowana załoga Esmeraldy od strony morza podążają, by je zagarnąć. Jednak znalazło się ono na ich drodze tylko przypadkiem. Właściwym ich celem, jak z łatwością się domyślisz, jest sama kopalnia San Tomé. W przeciwnym razie pozostawiono by bez wątpienia Zachodnią Prowincję w spokoju przez długie tygodnie, by dopiero przy nadarzającej się sposobności zagarnąć ją w posiadanie zwycięskiego stronnictwa. Don Carlos Gould będzie miał niemało do zrobienia, żeby ocalić swą kopalnię wraz z jej urządzeniami i górnikami. Jest to *imperium in imperio*, ta wytwórnia bogactw, z którą jego sentymentalizm kojarzy osobliwą ideę sprawiedliwości. Przywiązał się do niej, jak inni ludzie przywiązują się do idei odwetu lub miłości. Sądzę, iż się nie mylę co do tego człowieka, przypuszczając, że albo kopalnia pozostanie nietknięta, albo ją zburzy odruch jego własnej woli. W jego chłodne, idealistyczne życie wtargnęła namiętność. Namiętność, z której zdolny jestem zdać sobie sprawę tylko intelektualnie. Niepodobna do namiętności, które my znamy, my, ludzie innej krwi. Mimo to jest niemniej niebezpieczna od naszych.

Jego żona zrozumiała to również. Oto dlaczego idzie ze mną ręka w rękę. Sprzyja wszystkim moim zamierzeniom, mając niezawodne poczucie, iż ostatecznie wyjdą one na dobre koncesji Gouldów. Zaś on ulega jej może nie tyle dlatego, że jej ufa, lecz żeby ją niejako wynagrodzić za jakąś nieuchwytną krzywdę, za wiarołomstwo w uczuciach, które jej szczęście i jej życie rzuca na pastwę opętania przez ideę. Ta mała kobietka domyśliła się, że on żyje raczej dla kopalni niż dla niej samej. Niechże im się stanie wedle ich woli. Każdy ma swe przeznaczenie, ukształtowane przez namiętność lub uczucie. Najważniejsze, że poparła mój pomysł, aby natychmiast wywieźć srebro z miasta i z kraju, za wszelką cenę, za cenę wszelkiego ryzyka. Zadaniem don Carlosa będzie ustrzec od zmazy dobre imię kopalni; pani Gould będzie chroniła męża przed następstwami tej chłodnej, przemożnej namiętności, której lęka się ona bardziej od jego zadurzenia się w innej kobiecie. Wreszcie

Nostromo będzie miał za zadanie ocalić srebro. Zamierzamy umieścić je na największej lichtudze Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej i przewieźć przez zatokę do małego portu leżącego już poza obrębem Costaguany, po drugiej stronie Azuery. Stamtąd ma je zabrać pierwszy parowiec płynący na północ. Morze jest tu spokojne, pogrążymy się w ciemnościach zatoki, zanim buntownicy przybędą z Esmeraldy. Kiedy zaś dzień zaświta nad oceanem, będziemy już niewidzialni, ukryci za Azuerą, która wygląda z tutejszego wybrzeża niby bladobłękitny obłok na widnokręgu.

Niesprzedajny *capataz de cargadores* jest jakby stworzony do tego zadania, zaś ja, człowiek z namiętnością, choć bez zadania, popłynę z nim, by powrócić, odegrać w tej farsie swą rolę do końca i gdyby wypadła pomyślnie, otrzymać nagrodę, której nikt inny dać mi nie może prócz Antonii.

Nie będę już jej widział przed odjazdem. Pozostawiłem ją, jak poprzednio wspomniałem, przy łożu don Joségo. Na ulicy było ciemno, domy pozamykane, gdy szedłem z miasta w głąb nocy. Od dwóch dni nie zapalono ani jednej latarni na ulicach. Łuk bramy wjazdowej wyglądał niby kłąb ciemności o niewyraźnych kształtach wieży. Dolatywały z niej głuche, smutne westchnienia, które wydawały się mi odpowiedzią na szmer męskiego głosu.

Dosłyszałem w jego tonie jak gdyby beztroskę i niedbałość. Znamionuje ona owego marynarza genueńskiego, który podobnie jak ja, dostał się tutaj w odmęt wypadków, do których zarówno jego, jak mój sceptycyzm odnosi się jak gdyby z bierną pogardą. O ile zdołałem wywnioskować, jedyną rzeczą, do której przywiązuje wagę, jest, by dobrze o nim mówiono. Ambicja bywa rysem dusz szlachetnych, ale może być także wodą na młyn wyjątkowo inteligentnych łotrów. Tak. Wyraził się najdosłowniej: »Chciałbym, żeby dobrze o mnie mówiono. *Si, señor*«. Nie wydaje mi się, żeby odróżniał mówienie od myślenia. Ciekaw też jestem, czy jest to zwykła naiwność czy praktyczny punkt widzenia. Indywidualności wyjątkowe są zawsze dla mnie zajmujące, gdyż pozostają w zgodzie z ogólną regułą wyrażającą stan moralny ludzkości.

Ambicja

Nie zatrzymując się, minąłem ich pod ciemnym sklepieniem bramy, lecz wkrótce dogonił mnie na drodze do portu. Rozmawiał z jakąś nieszczęśliwą kobietą. Szedł obok mnie, ale początkowo nie odzywałem się przez dyskrecję. Po chwili sam zaczął opowiadać. Chodziło o coś innego, niż przypuszczałem. Była to tylko babina, stara koronczarka. Przepadł jej syn, jeden z zamiataczy ulic, wynajmowanych przez magistrat. Przyjaciele przyszli przed świtem i wywołali go przez drzwi z lepianki. Poszedł z nimi i odtąd już go nie widziała. Pozostawiła na poły ugotowaną strawę w stygnącym popiele i podreptała aż do portu, bo słyszała, że podczas rozruchów zabito tam rano kilku miejskich *mozos*. Któryś z *cargadorów* stojących na straży Urzędu Celnego wyniósł latarnię i pomógł jej obejrzeć kilka zwłok, które leżały w pobliżu. Zawiedziona w swych poszukiwaniach, powlokła się biedaczka z powrotem. Zastał ją siedzącą na kamieniu pod arkadą. Stękała z wielkiego znużenia. *Capataz* zagadnął ją i wysłuchawszy urywkowej, płaczliwej opowieści, poradził, żeby poszła rozejrzeć się wśród rannych, którzy leżeli na patio Casa Gould. Dał jej też ćwierć dolara, o czym napomknął niedbale.

— Po co pan to zrobił? — spytałem. — Czy pan ją zna?

— Nie, señor! Nie widziałem jej przedtem na oczy, bo nie mogłem widzieć. Zapewne już od lat nie wychodziła na ulicę. To jedna z tych staruszek, które siedzą w tym kraju gdzieś w głębi chat, przykucnięte przy ognisku, mają przy sobie kij na ziemi, ale są za słabe, żeby odpędzić bodaj bezpańskiego psa od swych garnków. *Caramba!* Słuchając jej głosu, ma się wrażenie, iż śmierć o niej zapomniała. Ale stare czy młode, wszystkie lubią pieniądze i dobrze mówią o człowieku, które je daje. — Jego głos drgnął śmiechem. — Señor, poczułem na ręce jej szpony, gdy wetknąłem jej do garści tych kilka groszy! — Zatrzymał się. — Ostatnie, które miałem.

Nic mu nie odpowiedziałem. Znany jest ze swej hojności, nie ma przy tym szczęścia do gry w *monte*. Zgrywa się i jest tak samo ubogi, jak był przedtem.

— Myślę, don Martinie — zaczął jak gdyby w zadumie — iż señor administrador kopalni San Tomé odwdzięczy mi się kiedyś, gdy mu ocalę to srebro.

Odrzekłem, że nie ulega to wątpliwości, że jest to rzeczą pewną. Szedł dalej, mamrocząc do siebie:

— *Si, si*, na pewno, na pewno! I widzi pan, co to znaczy, gdy o kimś ludzie dobrze mówią. O nikim innym nie pomyślano by nawet, gdyby chodziło o taką sprawę. Dostanie mi się kiedyś za to nie byle co. Oby rychło. — pomrukiwał. — Czas mija w tym kraju równie prędko, jak gdzie indziej na świecie.

Oto, *soeur chérie*[205], mój towarzysz w wielkiej ucieczce dla dobra wielkiej sprawy. Jest on bardziej naiwny niż przebiegły, bardziej władczy niż zręczny, szczodrobliwszy w szafowaniu swą osobą od ludzi, którzy posługują się nim za swe pieniądze. Zapatruje się też w ten sposób na siebie, raczej z dumą niż z sentymentem. Cieszę się, że się z nim zaprzyjaźniłem. Jako towarzysz nabiera nierównie większego znaczenia, niżeli je kiedykolwiek miał w roli geniusza[206] niższej rangi, autentycznego marynarza włoskiego, któremu pozwoliłem wstępować na godzinkę i gawędzić poufale z redaktorem „Porveniru", gdy dziennik był już pod prasą. Ciekawą, zaiste, jest rzeczą spotkać człowieka, dla którego wartość życia polega na osobistej renomie.

Teraz czekam tu na niego. Gdyśmy przyszli do *posady* Violi, dzieci były same na dole, zaś stary genueńczyk krzyknął na swego rodaka, by sprowadził doktora. Gdyby nie to, bylibyśmy poszli na nabrzeże portu, gdzie kapitan Mitchell wraz z kilku chętnymi Europejczykami i paru gorliwymi *cargadorami* ładuje na lichtugę srebro, które trzeba ocalić ze szponów Montery, żeby posłużyło do jego pogromu. Nostromo cwałem popędził do miasta. Pojechał już dawno. Dzięki temu miałem dość czasu, by do Ciebie napisać. Niejedno jeszcze zdarzy się do chwili, kiedy ten notatnik znajdzie się w twoich rękach. Ale obecnie nastąpiła przerwa pod unoszącymi się nad nami skrzydłami śmierci w tym głuchym domu, pogrążonym wśród mroków nocnych, gdzie umiera kobieta, gdzie dwoje dzieci tuli się w milczeniu do siebie, zaś przez gruby mur, niby chrobot myszy, słychać stąpanie starca, który chodzi po schodach, z lekka powłócząc nogami. Jestem tu jedyną prócz nich osobą i nie wiem doprawdy, czy zaliczać siebie do żywych, czy do umarłych. *Quien sabe?*[207], jak mają zwyczaj odpowiadać tutejsi ludzie na każde pytanie. Ale nie! Uczucie do Ciebie na pewno nie umarło i to wszystko, ten dom, ta ciemna noc, te milczące dzieci w tej mrocznej izbie, nawet moja tu obecność jest życiem, musi być życiem, bowiem jest tak bardzo podobna do snu".

Kreśląc te ostatnie słowa, Decoud doznał uczucia nagłego, całkowitego zapomnienia. Zachwiał się nad stołem, jakby ugodzony kulą. Lecz zaraz opamiętał się, zmieszany, gdy usłyszał, że ołówek potoczył się na podłogę. Niskie drzwi kawiarni stały otworem. Wypełniał je blask pochodni; widniała przy niej połowa konia, chłoszczącego ogonem nogę jeźdźca z długą żelazną ostrogą, przytwierdzoną rzemieniami do nagiej pięty. Dziewczynki odeszły. Pośrodku izby stał Nostromo, spoglądając na niego spod okrągłego ronda sombrera wciśniętego głęboko na oczy.

— Przywiozłem tego angielskiego doktora z kwaśną gębą powozem señory Gould — odezwał się Nostromo. — Wątpię, czy tym razem zdoła swą wiedzą ocalić *padronę*. Posłali po dzieci. To zły znak.

Usiadł na skraju ławy.

— Zapewne chce je pobłogosławić.

Decoud, na wpół jeszcze nieprzytomny, odezwał się, iż zdaje się mu, że się zdrzemnął, na co Nostromo odpowiedział z nieokreślonym uśmiechem, iż zajrzał przez okno i widział go leżącego na stole z ramionami pod głową.

Angielska señora przyjechała tym samym powozem i od razu poszła na górę z doktorem. Poleciła mu, żeby jeszcze nie budził don Martina; ale kiedy posłano po dzieci, wszedł do kawiarni.

Widoczna na zewnątrz połówka konia z połówką siedzącego na nim jeźdźca wykonała obrót. Pochodnia z pakuł i smoły umieszczona w żelaznym koszu, sterczącym na kiju u łęku siodła, rozjaśniła naraz swą drgającą poświatą całą izbę. W tej chwili weszła śpiesznie pani Gould. Twarz miała bardzo bladą i znużoną. Kaptur granatowego płaszcza zsunął się jej z głowy. Obaj mężczyźni powstali.

— Teresa chciałaby się z panem zobaczyć, Nostromo — rzekła.

---

[205] *soeur chérie* (fr.) — ukochana siostra. [przypis edytorski]

[206] *geniusz* (mit. rzym.) — bóstwo opiekuńcze miejsca a. osoby, wyobrażane jako uskrzydlony człowiek; później ogólnie duch (dobry a. zły). [przypis edytorski]

[207] *Quien sabe?* (hiszp.) — Kto wie? [przypis edytorski]

Capataz nie poruszył się. Decoud, oparty o stół, zaczął zapinać płaszcz.

— Srebro, pani Gould, srebro! — mruknął po angielsku. — Proszę nie zapominać, że garnizon Esmeraldy ma parowiec. Mogą lada chwila pojawić się u wejścia do portu.

— Doktor powiada, że nie ma nadziei — rzekła pani Gould śpiesznie, również po angielsku. — Odwiozę pana do portu swym powozem, a potem powrócę, by zabrać dziewczęta. — Następnie już po hiszpańsku odezwała się do Nostroma: — Niech pan nie marudzi! Żona starego Giorgia pragnie widzieć się z panem.

— Idę do niej, señora — bąknął *capataz*.

W tej chwili ukazał się doktor Monygham, który odprowadzał z powrotem dzieci. Na pytające spojrzenie pani Gould potrząsnął tylko głową i wyszedł zaraz w towarzystwie Nostroma.

Koń człowieka z pochodnią zwiesił nisko łeb, a jeździec opuścił lejce, by zapalić papierosa. Blask pochodni pląsał po frontowej ścianie domu, upstrzonej wielkimi, czarnymi literami napisu, z którego tylko słowo „Italia" widniało w pełnym świetle. Łuna rozmigotanego blasku sięgała aż do powozu pani Gould, który czekał na drodze. Na koźle drzemał okazały Ignacio o żółtej twarzy. Obok niego Basilio, kościsty i śniady, trzymał przed sobą oburącz winchesterski karabin i spoglądał trwożnie w ciemność. Nostromo dotknął lekko ramienia doktora:

— Czy ona naprawdę umiera, *señor doctor*?

— Tak — odparł doktor z jakimś dziwnym skurczem swej naznaczonej blizną twarzy. — Nie pojmuję, dlaczego chce się z panem widzieć.

— Wcześniej też tak z nią bywało — podsunął mu Nostromo, odwracając oczy.

— No, *capatazie*, mogę pana zapewnić, że już więcej tak z nią nie będzie — warknął doktor Monygham. — Może pan pójść do niej albo nie pójść. Po co te rozmowy z umierającymi? Ale słyszałem na własne uszy, jak mówiła do doñii Emilii, iż opiekowała się panem jak matka, odkąd pan wylądował na tym brzegu.

— *Si*! I nigdy nie powiedziała o mnie do nikogo bodaj jednego dobrego słowa. Zdawało się doprawdy, iż nie może mi przebaczyć, że żyję i że jestem takim mężczyzną, jakim by kiedyś pragnęła widzieć swojego syna.

Kobieta, Cierpienie

— Być może — odezwał się jakiś posępny głos obok nich. — Kobiety mają swe własne sposoby udręczania siebie samych.

Giorgio Viola wyszedł z domu. W świetle pochodni jego sylwetka rzucała wielki, czarny cień, a blask płomienia migotał na jego potężnej twarzy i siwej czuprynie wielkiej, włochatej głowy. Wyciągniętą ręką zachęcał *capataza*, by wszedł do wnętrza.

Doktor Monygham, otworzywszy małą skrzynkę z politurowanego drewna, która leżała na siedzeniu powozu, odwrócił się do starego Giorgia i wetknął jedną z buteleczek ze szklaną zatyczką w jego dużą, drżącą rękę.

— Od czasu do czasu proszę jej dawać łyżkę tego lekarstwa — odezwał się. — To przyniesie jej ulgę.

— I nic już nie można jej pomóc? — spytał starzec cierpliwie.

— Nie. Nic już jej nie pomoże — rzekł doktor i odwróciwszy się od niego, zamknął na zatrzask skrzynkę z lekarstwami.

Nostromo przeszedł z wolna przez wielką kuchnię. Było tam ciemno, lecz pod ogromnym okapem pieca jarzyła się garść węgli, na których w żelaznym garnku bulgotała wrząca woda. Między dwie ściany wąskiej klatki schodowej napływało jasne światło z góry, z pokoju chorej. Wspaniały *capataz de cargadores*, stąpający bez szmeru w miękkich, skórzanych sandałach, ze swym bujnym zarostem, muskularną szyją i brązową piersią, wyzierającą spod rozchełstanej koszuli w kratę, podobny był do marynarza z Morza Śródziemnego, który dopiero co wysiadł na ląd z jakiejś feluki[208] wiozącej wino czy owoce. U szczytu schodów zatrzymał się, barczysty, wąski w biodrach i gibki. Spojrzał ku łożu, które niczym jakaś królewska kareta nurzało się w nadmiarze śnieżnej pościeli. Wśród niej siedziała *padrona*, niepodparta, pochyliwszy swą wdzięczną, czarnobrewą twarz na piersi. Gęstwa kruczych włosów z nielicznymi tylko, srebrnymi smugami okrywała jej ramiona. Jedno grube pasmo, zwieszające się od przodu, przysłaniało do połowy jej lica.

[208] *feluka* — tradycyjna łódź o jednym lub dwóch trójkątnych żaglach, używana w żegludze po Nilu, M. Czerwonym i wsch. części M. Śródziemnego. [przypis edytorski]

Znieruchomiała w tej postawie, wyrażającej przygnębienie i niepokój, podniosła oczy na Nostroma.

Capataz miał owinięty dokoła bioder czerwony pas. Wielki, srebrny pierścień połyskiwał na palcu wskazującym ręki, którą podniósł, by podkręcić wąsa.

— Te ich rewolucje, ich rewolucje! — dyszała señora Teresa. — Widzisz, Gian' Battista, zabiły mnie w końcu.

Nostromo nie odezwał się, chora wpatrywała się w niego natrętnymi oczami.

— Widzisz, to mnie zabiło, a tyś tymczasem bił się jak wariat za sprawę, która cię nic nie obchodzi.

— Po co to gadanie? — mruknął *capataz* przez zęby. — Czy nigdy nie uwierzycie w mój zdrowy rozsądek? Chcę być tym, czym jestem: zawsze sobą samym.

— Wcale się zmieniasz, rzeczywiście! — sarknęła gorzko. — Zawsze myślisz tylko o sobie i łasisz się na słodkie słówka od ludzi, którzy wcale o ciebie nie dbają.

Istniała między nimi zażyłość antagonizmu, na swój sposób nie mniej ścisła od zażyłości, jaką wytwarza czułość i zgoda. Drogi, po których chodził, rozmijały się z życzeniami Teresy. To ona go zachęciła, by porzucił służbę na okręcie, spodziewając się, że się stanie przyjacielem i obrońcą jej dziewcząt. Żona starego Giorgia znała stan swego zdrowia i drżała na myśl o osamotnieniu sędziwego męża i opuszczeniu dzieci. Chciała pozyskać tego na pozór spokojnego i statecznego młodzieńca, miłego i uległego, który, jak sam powiedział, był sierotą od najmłodszych lat i nie miał we Włoszech nikogo prócz wuja, kapitana i właściciela feluki. Wuj tak go poniewierał, że zbiegł z niej przed ukończeniem czternastego roku życia. Wydał się jej odważnym, skrzętnym pracownikiem, który zdoła sobie utorować drogę w świecie. Z wdzięczności i z przyzwyczajenia miał zostać jakby przybranym synem jej i Giorgia, a potem, kto wie, gdy Linda dorośnie... Dziesięć lat różnicy między mężem a żoną nie jest zbyt wiele. Jej własny mąż był od niej niemal o dwadzieścia lat starszy. Poza tym Gian' Battista był ujmującym młodzieńcem. Jego spokojna osobowość sprawiała, że lubili go mężczyźni, lubiły kobiety i dzieci. Spokój ten, niby pogodny zmierzch, dodawał uroku jego krzepkiej postaci i stanowczości postępowania.

Stary Giorgio, niewtajemniczony w zamierzenia i nadzieje małżonki, wielce poważał młodego rodaka. „Mężczyzny nie należy krępować", mawiał do niej, przytaczając to hiszpańskie przysłowie na obronę świetnego *capataza*. Zaczęła stawać się zazdrosna o jego powodzenie. Obawiała się, że jej się wymknie. Była osobą praktyczną, więc uważała go za niedorzecznego marnotrawcę zalet, które czyniły go tak bardzo cennym. Za mało mu one przynosiły. Jej zdaniem trwonił je na prawo i na lewo, rozpraszając wśród zbyt wielu ludzi. Nie odkładał pieniędzy. Szydziła z jego ubóstwa, jego przygód, miłostek i rozgłosu, ale w głębi duszy nie wyrzekała się go nigdy, jak gdyby naprawdę był jej synem.

Śmierć

Pragnęła go jeszcze widzieć nawet w tej chwili, chwili ciężkiej niemocy, kiedy już czuła chłodne, mroczne tchnienie zbliżającego się końca. Było to niby wyciągnięcie drętwiejącej dłoni, żeby chwycić go z powrotem. Ale przeceniła swoje siły. Nie mogła już kierować swymi myślami, zmętniały tak jak jej wzrok. Słowa plątały jej się ustach i tylko przemożna troska oraz pragnienie życia zdawały się jeszcze brać górę nad śmiercią.

Capataz odezwał się:

— Słyszałem już to nieraz. Jesteście niesprawiedliwi, ale to mnie nie boli. No, ale teraz nie macie zbyt wiele sił, żeby mówić, a ja znowu mam zbyt mało czasu, żeby słuchać. Jestem zajęty sprawą ogromnego znaczenia.

Zapytała go z wysiłkiem, czy to prawda, iż znalazł czas, by sprowadzić do niej lekarza. Nostromo skinął potakująco.

Ucieszyła się. Ulżyła jej myśl, że ten człowiek zechciał tak wiele zrobić dla kogoś, kto naprawdę potrzebował jego pomocy. Był to dowód jego przyjaźni. Głos jej stał się mocniejszy.

— Trzeba mi raczej księdza niż doktora — rzekła żałośnie. Nie poruszała głową, tylko jej oczy drgały w kącikach, śledząc *capataza*, który stał obok jej łoża. — Sprowadziłbyś mi teraz księdza? Pomyśl tylko! Prosi cię o to konająca kobieta!

Nostromo potrząsnął głową stanowczo. Nie wierzył w kapłańskie posłannictwo księży. Lekarz mógł coś zdziałać, ale ksiądz jako ksiądz nie był w stanie uczynić ani nic

dobrego, ani nic złego. Nostromo nawet nie wzdrygał się na widok księży, jak to czynił stary Giorgio. Najbardziej uderzała go całkowita bezużyteczność tego zlecenia.

— *Padrona*, bywaliście w tym stanie już przedtem — odparł — i poprawiało się wam po kilku dniach. Poświęciłem wam ostatnie chwile, jakimi rozporządzam. Poproście señorę Gould, niech przyśle wam księdza.

Zrobiło się mu jakoś nieswojo na myśl o bezbożności tej odmowy. *Padrona* wierzyła w księży i spowiadała się przed nimi. Ale czyniły to wszystkie kobiety. Nie mogło to mieć większego znaczenia. A jednak przykro mu było, gdy pomyślał, czym mogła być dla niej spowiedź, jeżeli wierzyła w nią bodaj odrobinę. Lecz mniejsza o to. Było najzupełniejszą prawdą, że poświęcił jej ostatnie wolne chwile, jakimi jeszcze rozporządzał.

— Odmawiasz mi? — stęknęła. — Ach, ty zawsze jesteś sobą!

— Niechże *padrona* pomyśli rozsądnie — rzekł. — Polecono mi ocalić srebro kopalni. Słyszycie? To większy skarb niżeli te, których podobno strzegą duchy i diabły na Azuerze. To prawda. Podjąłem się tego dzieła, bodaj najbardziej desperackiego w całym moim życiu.

Owładnęło nią rozpaczliwe oburzenie. Ostateczna próba zawiodła. Stojąc nad nią, Nostromo nie widział udręczonych rysów jej twarzy, udręczonych bólem i gniewem. Zaczęła drżeć na całym ciele. Trzęsła się jej pochylona głowa, dygotały szerokie ramiona.

— Więc może Bóg zmiłuje się nade mną! Ale uważaj, człowieku, żebyś miał coś z tego prócz zgryzot, które cię kiedyś nie miną. — Uśmiechnęła się blado. — Zdobądźże w końcu choć raz bogactwo, ty niezastąpiony, ty podziwiany Gian' Battisto, dla którego spokój konającej kobiety mniej znaczy od pochwały ludzi, którzy w zamian za twoje ciało i duszę nic ci nie dali prócz głupiego przezwiska.

Capataz de cargadores zaklął z cicha pod wąsem.

— Niech *padrona* zostawi mą duszę w spokoju, a sam będę wiedział, jak dbać o swoje ciało. Czymże to tak skrzywdzili mnie ludzie, którym jestem potrzebny? Z czegóż to ograbiłem was albo dzieci, że mi tak zazdrościcie? Ci ludzie, których mi wyrzucacie, więcej zrobili dla starego Giorgia, niżeli kiedykolwiek mieli zamiar zrobić dla mnie.

Uderzył się otwartą dłonią w piersi, nie podniósł głosu, choć mówił dobitnie. Podkręcał raz po raz wąsy, a jego oczy zaczęły z lekka błądzić po pokoju.

— Czy to moja wina, że tylko ja jestem im przydatny? Co za głupstwa gadacie, matko? Czyżbyście woleli, żebym był nierozgarnięty i tchórzliwy, sprzedawał melony na targu lub woził łodzią podróżnych po zatoce niby jakiś cacany neapolitańczyk, bez odwagi i dbałości o swe imię? Czybyście chcieli, żebym za młodu żył jak mnich? Nie wierzę w to. Czy chcecie mnicha dla swej starszej córki? Niech tylko dorośnie. Czego się lękacie? Już od lat gniewacie się na mnie za wszystko, co czynię. Od tej chwili, kiedy po raz pierwszy mówiliście mi w tajemnicy przed starym Giorgiem o swej Lindzie. Miałem być mężem dla jednej, a bratem dla drugiej, czy nie tak? Czemuż by nie? Lubię te małe, a trzeba będzie kiedyś się ożenić. Ale właśnie od tego czasu zaczęliście mnie umniejszać przed ludźmi. Dlaczego? Czy wam się zdawało, że będziecie mogli włożyć mi obrożę i łańcuch, niby któremuś z psów, co warują przy zajezdniach kolejowych? Słuchajcie, *padrona*, jestem tym samym człowiekiem, który wylądował pewnego wieczora, siedział pod słomianą strzechą chaty, w której mieszkaliście wówczas po drugiej stronie miasta, i opowiadał wszystko o sobie. Nie byliście wówczas dla mnie niesprawiedliwi. Cóż zaszło od tego czasu? Nie jestem już byle jakim smarkaczem. Dobre imię, jak Giorgio powiada, jest skarbem, *padrona*.

— Przewrócili ci w głowie pochwałami — sarknęła chora kobieta. — Odpłacili ci się słowami. Twoje szaleństwo pogrąży cię w ubóstwie, nędzy, niedoli. Nawet *leperos* będą się z ciebie naśmiewali, wielki *capatazie*...

Nostromo stał przez chwilę jak porażony niemotą. Nie spojrzała na niego ani razu. Ufny, pogodny uśmiech pierzchł nagle z jego ust. Skierował się do wyjścia. Jego wzgardzona postać znikła za drzwiami. Schodził po schodach z nurtującym w duszy poczuciem, iż dał się poniekąd oszołomić lekceważeniu tej kobiety dla uznania, które zdobył i które pragnął zachować.

Na dole w obszernej kuchni paliła się świeca, otaczały ją cienie padające od ścian i pułapu, ale z otwartego prostokąta drzwi prowadzących na zewnątrz nie wpadał już czerwony blask. Powóz z panią Gould i don Martinem odjechał już do portu, poprzedzany przez jeźdźca dzierżącego pochodnię. Doktor Monygham pozostał, siedział przy stole

niedaleko lichtarza. Pochylił wygoloną, poradloną bliznami twarz, skrzyżował ramiona na piersiach, wydął usta i nie odrywał swych wyłupiastych oczu od czarnej ziemi podłogi. W pobliżu kuchennego ogniska, na którym wciąż jeszcze wrzała woda, stał stary Giorgio z brodą ukrytą w dłoni, z jedną nogą wysuniętą naprzód, jakby przykuty do miejsca jakąś nagłą myślą.

— *Adios, viejo!*[209] — rzekł Nostromo, dotykając rękojeści rewolweru wiszącego u pasa i obluźniając nóż w pochwie. Wziął ze stołu niebieskie poncho z czerwoną podszewką i przywdział je przez głowę. — *Adios*, zaopiekuj się gratami w moim pokoju, a jeśli słuch o mnie zaginie, oddaj skrzynkę Paquicie. Niewiele tam cennych rzeczy prócz nowego meksykańskiego *serape*[210] i kilku srebrnych guzów od mojego najlepszego kaftana. Mniejsza o to! Całkiem nieźle będą wyglądały na jej przyszłym kochanku, który nie potrzebuje się obawiać, że będę wałęsał się po śmierci jak ci *gringos*, co straszą na Azuerze.

Doktor Monygham ściągnął usta gorzkim uśmiechem. Kiedy stary Giorgio wszedł na wąskie schody, skinąwszy zaledwie głową i nie mówiąc ani słowa, doktor odezwał się:

— Jak to, *capatazie*? Myślałem, że panu wszystko się udaje.

Nostromo zerknął pogardliwie na doktora i stanął w drzwiach, kręcąc papierosa. Po chwili zapalił zapałkę i trzymał ją nad głową, aż do chwili, kiedy płomyk zaczął już niemal muskać jego palce.

— Nie ma wiatru! — mruknął do siebie. — Niech no señor spojrzy. Czy wie pan, czego się podjąłem?

Doktor Monygham ponuro skinął głową.

— To tak, jakbym brał na siebie klątwę, *señor doctor*. Człowiek z takim skarbem będzie miał wszędzie na tym wybrzeżu wyciągnięte przeciw sobie noże. Rozumie pan, *señor doctor*? Mam pływać jak wyklęty wzdłuż wybrzeża, aż spotkam parowiec Towarzystwa zdążający na północ. A wtedy o *capatazie cargadorów* z Sulaco będzie głośno od jednego krańca Ameryki do drugiego.

Doktor Monygham parsknął krótkim, gardłowym śmiechem. Nostromo odwrócił się w drzwiach.

— Ale jeżeli pan zdoła znaleźć innego człowieka przydatnego i chętnego do tej wyprawy, to zostanę. Nie przykrzy mi się jeszcze życie, chociaż jestem taki biedak, że mógłbym całe swoje mienie pomieścić na siodle.

— Gra pan za dużo i nigdy nie odmawia pan ładnej twarzyczce, *capatazie* — rzekł doktor Monygham z przebiegłą prostotą. — W ten sposób nie robi się majątku. Ale nikt z moich znajomych nie przypuszczał, że jest pan ubogi. Mam nadzieję, iż pomyślał pan o hojnym wynagrodzeniu na wypadek, gdyby udało się panu ujść cało z tych opałów.

— A jak pan sobie wyobraża to wynagrodzenie? — zapytał Nostromo, wydmuchując dym przez drzwi.

Doktor Monygham nasłuchiwał przez chwilę, czy nie ma kogoś na schodach, po czym odparł, parskając znów krótkim, urywanym śmiechem:

— Gdybym miał wziąć na siebie klątwę śmierci, jak pan się wyraża, to nagroda musiałaby być nie mniejsza od samego skarbu, sławetny *capatazie*.

Nostromo chrząknął niechętnie na te szydercze słowa i znikł za drzwiami. Doktor Monygham usłyszał tętent oddalającego się konia. Nostromo popędził cwałem w ciemność. W zabudowaniach Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej migotały światła, lecz zanim do nich dotarł, spotkał powóz Gouldów. Poprzedzał go jeździec z pochodnią, w której świetle widać było białe muły, okazałego Ignacio i Basilio z karabinem w ręku. Z ciemnego wnętrza powozu głos pani Gould zawołał:

— Czekają na pana, *capatazie*

Wracała zziębnięta i podniecona, wciąż jeszcze trzymając w ręce notatnik Decouda. Prosił ją, żeby odesłała go jego siostrze. „Może to moje ostatnie słowa do niej" — rzekł, ściskając dłoń pani Gould.

Capataz nie zwolnił pędu. U przyczółka pomostu jakieś mgliste postacie z karabinami przypadły do łba jego konia, inne rzuciły się ku niemu. Byli to *cargadorowie*, którzy

[209] *Adios, viejo!* (hiszp.) — Żegnaj, stary! [przypis edytorski]

[210] *serape* — prostokątny kawałek wielobarwnej tkaniny wełnianej, z frędzlami na końcach, noszony w Meksyku jako rodzaj peleryny, szczególnie przez mężczyzn. [przypis edytorski]

z polecenia kapitana Mitchella stali na straży. Dość było jednego słowa, by odskoczyli pokornie, rozpoznawszy jego głos. U drugiego końca pomostu wśród ciemnej gromadki z żarzącymi się cygarami ktoś z ulgą w głosie wymienił jego imię. Byli tam niemal wszyscy Europejczycy z Sulaco. Zgromadzili się dokoła Charlesa Goulda, jak gdyby srebro kopalni było godłem wspólnej sprawy. Załadowali je na lichtugę własnymi rękami. Nostromo rozpoznał smukłą, szczupłą postać don Carlosa Goulda. Stał milczący nieco na uboczu. Druga wysoka postać, którą był naczelny inżynier, rzekła głośno:

— Jeżeli ma przepaść, to stokroć lepiej, żeby poszło na dno morza.

Martin Decoud zawołał z łodzi:

— *Au revoir*[211], panowie, do chwili, kiedy podamy sobie ręce nad kolebką nowo narodzonej Republiki Zachodniej.

Na jego czysty, dźwięczny głos odpowiedziały tylko przytłumione szmery. Po czym wydało mu się, iż pomost roztapia się wśród nocy. Było to dziełem Nostroma, który już odbijał od pomostu, zaparłszy się ciężkim wiosłem o pal. Decoud się nie poruszył, miał wrażenie, jakby został wyrzucony w przestworza. Po kilku pluśnięciach słychać było tylko szmer stóp Nostroma, który krzątał się po łodzi. Wciągnął wielki żagiel. Powiew wiatru musnął policzek Decouda. Wszystko zanikło prócz światła latarni, którą kapitan Mitchell kazał zawiesić na wysokim słupie na samym końcu pomostu, by wskazywała drogę z portu do zatoki.

Obaj mężczyźni nie widzieli siebie wzajem i nie odzywali się ani słowem, gdy łódź pod naporem zmiennych powiewów mknęła między niedostrzegalnymi niemal przylądkami, by zanurzyć się w jeszcze głębszą ciemność zatoki. Przez jakiś czas latarnia rzucała za nimi światło z pomostu. Wiatr przycichł, po czym zaczął powiewać znowu, ale tak słabo, iż wielka półpokładowa łódź ślizgała się bez szmeru, jak gdyby zawieszona w powietrzu.

— Jesteśmy już w zatoce — zabrzmiał spokojny głos Nostroma. Po chwili dodał: — Señor Mitchell kazał opuścić latarnię.

— Tak — rzekł Decoud — teraz nikt nas nie znajdzie.

Gęstniejąca ciemność ogarnęła łódź ze wszystkich stron. Toń w zatoce była równie czarna jak chmury na niebie. Nostromo na próżno zapalał zapałki, by rzucić okiem na kompas znajdujący się na pokładzie, i zaczął w końcu sterować według wiatru, który muskał mu policzek.

Noc, Cisza, Morze

Dla Decouda nowym doznaniem była tajemniczość tych wielkich, szeroko rozpościerających się, dziwnie cichych wód, jak gdyby ich niepokój uległ pod naciskiem tej nieprzeniknionej nocy. Zatoka Placido spała głęboko pod swym czarnym poncho.

Główne zadanie, które miało rozstrzygnąć o powodzeniu, polegało obecnie na tym, by oddalić się od wybrzeża i jeszcze przed świtem dotrzeć do środka zatoki. Wyspy Izabele znajdowały się gdzieś w pobliżu.

— Przed panem na lewo, señor — rzekł nagle Nostromo.

Gdy głos jego przebrzmiał, ogromna cisza, bez światła i dźwięku, oddziałała na zmysły Decouda niby jakiś mocny narkotyk. Chwilami nie zdawał sobie nawet sprawy, czy jest we śnie, czy też na jawie. Jak człowiek głęboko uśpiony, nic nie widział. Dla jego oczu nie istniała nawet ręka podniesiona do twarzy. To nagłe przejście od niepokojów, namiętności i niebezpieczeństw, od szmerów i głosów rozlegających się na lądzie, było tak zupełne, iż nie różniłoby się niczym od śmierci, gdyby nie przeżyły jego myśli. W tym przedsmaku wiekuistego spokoju przemykały one żywo i lekko jak nieziemsko jasne sny o ziemskich rzeczach, które czarują zapewne dusze wyzwolone przez śmierć z mglistej atmosfery nadziei i żalu. Decoud otrząsnął się i wzdrygnął nieco, chociaż powietrze wokół niego było ciepłe. Doznał niezmiernie dziwnego uczucia, jakby jego dusza powróciła do ciała z otaczającej go ciemności, w której ląd, morze, niebo, góry i skały jakby nie istniały.

Od steru rozległ się głos Nostroma, który również zdawał się nie istnieć.

— Czy pan spał, don Martinie? *Caramba!* Gdy by to było możliwe, pomyślałbym, że ja też się zdrzemnąłem. Miałem dziwne wrażenie, jak gdyby śnił mi się dźwięk podobny do głosu cierpiącego człowieka, gdzieś w pobliżu łodzi. Coś pośredniego pomiędzy wzdychaniem a szlochaniem.

[211] *Au revoir* (fr.) — Do widzenia. [przypis edytorski]

— To dziwne! — mruknął Decoud, leżąc na stosie skrzyń ze srebrem, przykrytych płachtami nieprzemakalnego płótna. — Czy to możliwe, że oprócz nas jest w zatoce jakaś inna łódź? Wie pan, mogliśmy jej nie dostrzec.

Nostromo parsknął śmiechem z niedorzeczności tego pomysłu. Nie mieścił się mu w głowie. Osamotnienie było niemal dotykalne. Gdy wiatr ustał, ciemność przywaliła Decouda jak kamień.

— Jakie to przepotężne! — bąknął. — Czy my w ogóle płyniemy, *capatazie*?

— Mniej więcej jak pełzający chrząszcz, który uwiązł w trawie — odrzekł Nostromo, a jego głos zdawał się obumierać za gęstą zasłoną ciemności, która spowijała ich, ciepła i beznadziejna. Nieraz na długo zupełnie milknął i nie było go widać ani słychać, jak gdyby tajemniczo przepadł gdzieś ze statku.

Wśród tej bezpostaciowej nocy Nostromo nie był nawet pewny, jaką drogą zaczęła podążać łódź, gdy wiatr zupełnie zamarł. Wypatrywał wysp. Nie było ich ani śladu, jak gdyby zapadły się na dno morza. W końcu rzucił się jak długi obok Decouda i szepnął mu do ucha, iż gdyby wiatr całkiem zawiódł i świt zastał ich w pobliżu Sulaco, to można by jeszcze ukryć łódź pod urwiskiem na wysokim brzegu na krańcu Wielkiej Izabeli. Decouda zdziwiła siła jego niepokoju. Dla niego usunięcie skarbu miało znaczenie polityczne. Było wiele powodów, dla których nie powinien był wpaść w ręce Montera, lecz oto był człowiek, który inaczej zapatrywał się na tę sprawę. *Caballeros* z wybrzeża nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co polecili mu zrobić. Nostromo, jakby pod wpływem otaczającego mroku, wydawał się nerwowo przeczulony. Decoud był zdumiony. *Capataz*, nie dbając o niebezpieczeństwa, które jego towarzyszowi wydawały się oczywiste, z jakąś pogardliwą goryczą przejmował się śmiertelną fatalnością skarbu, który najzwyczajniej w świecie powierzono jego dłoniom. Było to dużo niebezpieczniejsze, mówił Nostromo, klnąc i śmiejąc się, niż posłać kogoś po skarby, których duchy i diabły strzegą ponoć w głębokich czeluściach Azuery.

— Señor — powiedział — musimy przychwycić parowiec na morzu. Musimy pływać po pełnym morzu i wypatrywać go aż do chwili, kiedy zjemy i wypijemy wszystko, co zabraliśmy na pokład. Gdybyśmy go przypadkiem przeoczyli, to musimy dalej trzymać się z dala od brzegu, aż się pochorujemy, powariujemy może, pomrzemy i będziemy błąkali się martwi, aż inny parowiec Towarzystwa napotka łódź z dwoma martwymi ludźmi, którzy ocalili ten skarb. Oto jedyny sposób, by go ocalić, bo chyba pan rozumie, że przybić gdzieś do brzegu ze srebrem, choćby i o sto mil dalej, to to samo, co rzucić się nagą piersią na ostrze noża. Przekazano mi ten skarb jak jakąś śmiertelną chorobę. Jeśli ludzie to odkryją, będę trupem, i pan także, skoro pan będzie ze mną. Tego srebra jest tyle, że można by nim wzbogacić całą prowincję. Czyż więc możemy się z nim zatrzymać się w jakimś przybrzeżnym *pueblo*, zamieszkanym przez złodziei i włóczęgów? Señor, przecież pomyślą, że samo niebo zsyła im te bogactwa, i pozarzynają nas w okamgnieniu jak barany. Nie dowierzałbym pięknym słówkom najlepszych nawet ludzi mieszkających wokół tej dzikiej zatoki. Co tu mówić? Gdybyśmy nawet oddali te skarby na pierwsze wezwanie, nie zdołalibyśmy ujść cało. Czy pan to pojmuje, czy może jaśniej to panu wytłumaczyć?

— Nie, nie potrzebuje już pan tłumaczyć — rzekł Decoud z lekką urazą. — Ja sam pojmuję, że posiadanie tego skarbu jest jakby śmiertelną chorobą dla ludzi w naszym położeniu. Ale trzeba było usunąć go z Sulaco, a pan jakby był stworzony do tego dzieła.

— Tak, ale nie chce mi się wierzyć — rzekł Nostromo — żeby jego strata bardzo zubożyła don Carlosa Goulda. Jest jeszcze więcej tych bogactw w górach. Po skończeniu pracy w porcie nieraz jeździłem do pewnej dziewczyny w Rincon i słyszałem, jak dudniły wśród ciszy nocnej po rynnach. Od lat bogate głazy staczają się z hukiem gromu, a górnicy powiadają, że w samym sercu gór jest ich aż nadto, by grzmiały tak jeszcze przez długie czasy. A jednak walczyliśmy onegdaj[212], by obronić ten skarb przed motłochem, a dzisiaj wysłano mnie w tę ciemność i ciszę morską, żebym go wywiózł, jak gdyby to był ostatni łut[213] srebra na ziemi, za który można kupić chleba dla głodnych. Ha, ha! Dobrze. Chcę, żeby to było najsłynniejszym i najrozpaczliwszym dziełem mego życia, i wszystko mi jedno, czy jest wiatr czy go nie ma. Małe dzieci podrosną, a dorośli się zestarzeją, nim pamięć

[212] *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

[213] *łut* — dawna jednostka wagi, licząca 1/32 funta, tj. w różnych miejscach i czasach od 10 g do 50 g.; tu przen.: odrobina. [przypis edytorski]

o nim zaginie. Powiedziano mi, że monteryści nie mogą dostać srebra bez względu na to, co stanie się z *capatazem* Nostromem, i powiadam panu, że nie będą go mieli, bo Nostromo uwiązał je sobie u szyi.

— Rozumiem — mruknął Decoud. Zrozumiał istotnie, iż jego towarzysz ma swój własny, osobliwy pogląd na to przedsięwzięcie.

Nostromo przerwał jego rozmyślania nad sposobem, w jaki wykorzystuje się zalety ludzkie, nie mając pojęcia o ich istocie, pytając, czy nie byłoby dobrze wyciągnąć długie wiosła, by popchnąć łódź w kierunku Izabel. Byłoby niedobrze, gdyby światło dnia odsłoniło skarb pływający zaledwie o milę od wejścia do portu. Liczył na skorzystanie z podmuchów wiatru, które zazwyczaj bywają tym silniejsze, im ciemność jest głębsza, ale dzisiaj zatoka pod swym ponchem z obłoków spoczywała tak głucho, iż wydawała się raczej martwa niż uśpiona.

Delikatne ręce don Martina cierpiały straszliwie, uwierane przez grubą rękojeść olbrzymiego wiosła. Mimo to władał nią dzielnie, zaciskając zęby. On również zamotał się w sieci urojonego istnienia i ta osobliwa praca przy popychaniu łodzi wydawała mu się częścią naturalnego początku nowego państwa, której miłość do Antonii nadała idealne znaczenie. Mimo wielkich wysiłków, ciężko obciążona lichtuga ledwo się poruszała. Przy wtórze regularnego plusku wioseł rozlegały się klątwy Nostroma.

— Kręcimy się w kółko — mruczał do siebie. — Żebyż to móc dojrzeć te wyspy!

Wskutek braku wprawy don Martin przepracował się. Od czasu do czasu jakaś niemoc mięśni przenikła z końców obolałych palców we wszystkie włókna jego ciała i roztapiała się w fali gorąca. Walczył, mówił, cierpiał duchowo i fizycznie, wytężając ducha i ciało przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy. Nie odpoczywał, jadł bardzo mało, nie miał chwili wytchnienia w rozterce uczuć i myśli. Nawet jego miłość do Antonii, z której czerpał siły i natchnienie, przeszła w stan tragicznego napięcia podczas przelotnej rozmowy u łoża don Joségo. I oto z odmętu tego wszystkiego wpadł nagle w ciemność zatoki, której głęboki mrok, cisza i nieruchomy spokój pomnażał mękę wynikającą z konieczności fizycznego trudu. Z drżeniem dziwnej rozkoszy wyobrażał sobie, iż łódź idzie na dno.

„Jestem na krawędzi obłędu" — myślał. Opanował rozdygotanie wszystkich członków, piersi, wewnętrzne drżenie całego ciała, pozbawionego sił nerwowych.

— Może byśmy odpoczęli, *capatazie*? — zagadnął swobodnym tonem. — Mamy jeszcze długą noc przed sobą.

— To prawda. Zdaje mi się, że nie przepłynęliśmy więcej niż milę. Niech pan pozwoli wypocząć ramionom, jeżeli o to panu chodzi. Ręczę, iż nie zazna pan innego odpoczynku, odkąd pan związał się z tym skarbem, którego strata nie uczyniłaby żadnego biedaka biedniejszym. Nie, señor, nie wypoczniemy, aż spotkamy parowiec płynący na północ albo pomrzemy, leżąc na srebrze Anglika, i znajdzie nas jakiś inny okręt. Ale lepiej nie, *por Dios!* Raczej zrąbałbym siekierą pokład do samej wody, niż pozwoliłbym, żeby głód i pragnienie pozbawiły mnie sił. Na wszystkich świętych i diabłów! Wolałbym rzucić ten skarb w morze, niż oddać go w ręce obcego człowieka. Skoro *caballeros* raczyli mnie wysłać na tę wyprawę, to niechaj się dowiedzą, że jestem człowiekiem, jakiego potrzebowali.

Decoud leżał zdyszany na skrzyniach ze srebrem. Wszystkie wrażenia i uczucia, które powodowały nim, odkąd tylko mógł sięgnąć pamięcią, wydawały się mu szaleństwem sennym. Nawet jego namiętna czułość dla Antonii, do której wzniósł się z padołów swego sceptycyzmu, postradała wszelkie znamiona rzeczywistości. Na chwilę stał się pastwą połączonego z niezmiernym omdleniem, lecz bynajmniej nie przykrego zobojętnienia.

— Jestem przekonany, iż nie wyobrażali sobie, by pan tak rozpaczliwie mógł wziąć tę sprawę do serca — powiedział.

— Cóż więc to było? Żart? — zżymał się człowiek, którego księgi płatnicze Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej w Sulaco określały jako „przodownika portowego", wymieniając obok wysokość jego wynagrodzenia. — Czy to dla żartu zbudzono mnie po dwu dniach ulicznej walki, żebym postawił życie na taką kiepską kartę? Wszyscy wiedzą, iż nie mam szczęścia w grze.

— No, tak, ale wszyscy wiedzą, że ma pan szczęście do kobiet, *capatazie* — uspokajał Decoud swego towarzysza znużonym, przeciągłym głosem.

— Nich pan posłucha, señor — mówił dalej Nostromo — ja się nawet nie sprzeciwiałem. Kiedy usłyszałem, o co chodzi, zrozumiałem, jaka to niebezpieczna sprawa, i od

razu zdecydowałem. Ważna była każda chwila. Najpierw musiałem czekać na pana. Potem, gdyśmy przybyli do „Italia Una", stary Giorgio krzyknął na mnie, żebym pojechał po angielskiego doktora. Później, jak pan wie, chciała widzieć się ze mną ta biedna, konająca kobieta. Nie chciałem do niej pójść, señor. Czułem, że to przeklęte srebro ciąży mi już na grzbiecie i obawiałem się, iż czując się bliska śmierci, zażąda ode mnie, abym pojechał po księdza. Ale ojciec Corbelan jest daleko, bo schronił się wśród zbójców Hernandeza, a ludność, która by go rozszarpała na ćwierci, jest bardzo wzburzona przeciwko księżom. Żaden opasły *padre* nie zgodziłby się wytknąć dzisiaj nosa ze swej kryjówki, by zbawić chrześcijańską duszę, chyba że wziąłbym go pod swoją opiekę. Oto czego chciała. Udawałem, iż nie wierzę w jej konanie. Señor, odmówiłem sprowadzenia księdza do umierającej kobiety... Wyrzuty sumienia

Decoud drgnął w ciemności.

— Odmówił pan! — zawołał. Ton jego się zmienił. — No, wie pan, to raczej dobrze.

— Pan nie wierzy w księży, don Martinie? Ja także nie. Po co to marnować czas? Ale ona, ona w nich wierzy. Stoi mi to kością w gardle. Może już umarła, a my tu kołyszemy się tu bezradnie, bo nie ma wiatru. Niech diabli wezmą wszystkie zabobony! Pewno umarła, myśląc, że pozbawiłem ją raju. To bodaj najfatalniejsza sprawka w moim życiu.

Decoud rozmyślał głęboko. Próbował analizować wrażenia, jakich doznawał, słuchając tego opowiadania. Głos *capataza* zabrzmiał znowu:

— A teraz, don Martinie, zabierzmy się do wioseł i szukajmy Izabel. Jeżeli dzień nas tu zastanie, to nie pozostanie nic innego jak zatopić łódź. Nie zapominajmy, że może nadpłynąć parowiec z Esmeraldy wiozący żołnierzy. Popłyniemy teraz wprost przed siebie. Znalazłem kawałek świecy i trzeba będzie zaryzykować i zapalić światełko, żeby obrać kierunek przy pomocy kompasu. Wiatr jest taki słaby, że jej nie zgasi. Bodaj licho wzięło tę ciemną zatokę!

Płomyk palił się całkiem równo. Zamajaczyły mocne wiązania i żebrowania wewnętrznej, pustej części lichtugi. Decoud ujrzał Nostroma, który wiosłował, stojąc. Widział go od dołu po czerwony pas na biodrach. Migała biała rękojeść rewolweru i drewniany trzonek długiego noża zwisającego z jego lewego boku. Decoud rozstrajał się od wytężonego wiosłowania. Wprawdzie wiatr był za słaby, by zgasić świecę, lecz mimo to jej płomień drgał z lekka w takt powolnych ruchów ciężkiej łodzi. Była tak wielka, iż mimo największych ich wysiłków posuwała się w ciągu godziny zaledwie o niecałą milę. Wystarczało to jednak, by dotrzeć do Izabel przed świtem. Mieli przed sobą jeszcze ze sześć godzin ciemności, a odległość od portu do Wielkiej Izabeli nie przekraczała dwóch mil. Decoud wykonywał tę znojną pracę, ulegając niecierpliwości *capataza*. Chwilami przestawali i nadsłuchiwali bacznie, czy nie płynie statek z Esmeraldy. Wśród tej idealnej ciszy ruch parowca usłyszeliby z daleka. Niepodobna natomiast było dostrzec czegokolwiek. Nie widzieli siebie wzajemnie. Nawet rozpięty żagiel statku był niewidzialny. Odpoczywali bardzo często.

— *Caramba!* — odezwał się nagle Nostromo podczas jednej z przerw, gdy dyszeli, oparci bezczynnie o ciężkie trzonki wioseł. — Co się stało? Czy panu coś dolega, don Martinie?

Decoud zapewnił, że nic mu nie dolega. Nostromo zachowywał się przez czas jakiś bardzo cicho, po czym szeptem wezwał Martina, żeby poszedł na tył łodzi.

Dotykając niemal ustami ucha Decouda, oświadczył mu, że ktoś oprócz nich musi być jeszcze w łodzi, bo już dwukrotnie słyszał odgłos przytłumionego łkania.

— Señor — szeptał z trwożnym zdumieniem — jestem pewien, że ktoś płacze w tej łodzi.

Decoud nie słyszał nic. Dał wyraz swemu niedowierzaniu. Zresztą nietrudno było to sprawdzić.

— Zadziwiające — szepnął Nostromo. — Czyżby ktoś ukrył się pod pokładem, gdy łódź stała jeszcze przy pomoście?

— Mówi pan, że to było podobne do łkania? — zapytał Decoud, przyciszając również głos. — Jeżeli ten ktoś płacze, to nie może być bardzo groźny.

Przedostawszy się przez drogocenny stos spiętrzony pośrodku, popełzli chyłkiem naprzód, pod maszt, dostali się pod półpokład i zaczęli szukać po omacku. Wyciągając ręce

przed siebie, natknęli się w najciemniejszym zakątku na członki jakiegoś człowieka, który milczał jak grób. Oniemiali z osłupienia, wywlekli go stamtąd za ramię i kołnierz od marynarki. Był bezwładny, bez życia.

Światło ogarka padło na okrągłą twarz o haczykowatym nosie, czarnych wąsach i niedużych bokobrodach. Był ohydnie brudny. Niechlujny zarost brody rozpościerał się na wygolone policzki. Grube wargi rozchyliły się nieco, ale oczy pozostały zamknięte. Ku swemu niezmiernemu zdumieniu Decoud poznał señora Hirscha, handlarza skór z Esmeraldy. Nostromo poznał go również. Spoglądali na siebie nad tym ciałem, leżącym z bosymi stopami wyżej głowy w niedorzecznym pozorze snu, omdlenia czy śmierci.

ROZDZIAŁ VIII

Dokonawszy tego nadzwyczajnego odkrycia, zapomnieli na chwilę o swych troskach i uczuciach. Uczucia leżącego señora Hirscha graniczyły zapewne z ostateczną grozą. Przez długi czas nie chciał dać znaku życia i dopiero wymyślania Decouda, a w większej bodaj mierze niecierpliwa uwaga Nostroma, że należałoby go wrzucić do morza, skoro wygląda na to, że nie żyje, skłoniły go do tego, że uniósł najpierw jedną powiekę, a potem drugą.

Ucieczka, Strach

Okazało się, że nie mógł znaleźć sposobności do bezpiecznego wyjazdu z Sulaco. Mieszkał u Anzaniego, właściciela uniwersalnego sklepu przy Plaza Mayor. Gdy wszczęły się rozruchy, czmychnął przed świtem z domu swego gospodarza tak spiesznie, że zapomniał włożyć buty. Wybiegł odruchowo tylko w skarpetkach i z kapeluszem w ręku do ogrodu, który znajdował się przy domu Anzaniego. Trwoga natchnęła go potrzebną zręcznością, dzięki jej przelazł przez kilka niskich murów, po czym wpadł na oślep do zarośniętych chaszczami krużganków zrujnowanego klasztoru franciszkańskiego, wznoszącego się przy jednym z zaułków. Wcisnął się z niedbałością rozpaczy w splątane gąszcze i stąd pochodziły zadraśnięcia na jego ciele i dziury w ubraniu. Leżał tam ukryty przez cały dzień, a język przysechł mu do podniebienia, tak bardzo dręczyło go pragnienie, wywołane upałem i lękiem. Trzy razy wśród przekleństw i krzyków wpadali tam jacyś ludzie, szukając ojca Corbelana. Ku wieczorowi, wciąż jeszcze leżąc w krzakach twarzą do ziemi, uczuł, że skona ze strachu przed otaczającą go ciszą. Nie bardzo wiedział, co go skłoniło do opuszczenia tego miejsca, ale jakoś stamtąd wypełzł i wymknął się szczęśliwie z miasta opustoszałymi, bocznymi uliczkami.

Tułał się w ciemnościach w pobliżu kolei tak opętany przerażeniem, iż nie śmiał nawet zbliżyć się do ognisk porozpalanych przez placówki włoskich robotników, którzy strzegli toru. Błysnęło mu niejasno w głowie, iż znajdzie schronienie na terenie stacji kolejowej, lecz psy rzuciły się na niego, warcząc, ludzie zaczęli się nawoływać, ktoś dał ognia na oślep. Uciekł więc sprzed bramy. Najzupełniej przypadkowo, jak to się zdarza, podążył w kierunku budynków biurowych Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Dwa razy potykał się o trupy ludzi zabitych za dnia, lecz oznaki życia przerażały go jeszcze bardziej. Łaził, czołgał się, pełzał, skakał, wiedziony jakimś zwierzęcym instynktem, unikał świateł i szmeru głosów. Miał zamiar rzucić się do stóp kapitana Mitchella i prosić o schronienie w biurach Towarzystwa. Było tam ciemno, gdy zbliżył się, czołgając się na czworakach, gdy wtem ktoś stojący na straży zawołał głośno: „*Quien vive?*"[214]. Leżało tam więcej zwłok ludzkich, więc przypłaszczył się obok jakiegoś zimnego trupa. Usłyszał czyjś głos: „To pewno pełza któryś z tych rannych łotrów. Mam pójść i go dobić?". Zaś inny głos ostrzegał, że niebezpiecznie jest iść na taką wędrówkę bez latarni, że może to jakiś murzyński liberał, szukający okazji, żeby wbić nóż w brzuch uczciwego człowieka. Hirsch nie słuchał już dalej, tylko poczołgał się chyłkiem do końca nabrzeża i ukrył się wśród stosu pustych beczek. Po chwili nadeszło kilka osób, które rozmawiały, migając żarem papierosów. Nie zastanowił się bynajmniej nad tym, czy wyglądają na ludzi, którzy mogą mu wyrządzić krzywdę, lecz czmychnął natychmiast wzdłuż pomostu, ujrzał na końcu zacumowaną lichtugę i wskoczył do niej. Pragnąc się ukryć, wpełzł od razu pod półpokład i leżał, ledwie żywy, dręczony torturą pragnienia i głodu, prawie nieprzytomny z przerażenia. Wtem rozległy się kroki i głosy Europejczyków, którzy przyszli tam gromadą, eskortując drezynę pełną skarbów, popychaną po szynach przez kilku *cargadorów*. Zrozumiał z rozmowy, na co się zanosi, ale nie zdradził swojej obecności, obawiając się,

[214] *Quien vive?* (hiszp.) — Kto idzie? [przypis edytorski]

że nie pozwolą mu pozostać w łodzi. Jedynym jego pragnieniem wówczas, przemożnym i wszechpotężnym, było wydostać się z tego straszliwego Sulaco. Teraz bardzo tego żałował. Słyszał rozmowę Nostroma z Decoudem i chciał powrócić na ląd. Nie miał ochoty mieszać się do rozpaczliwych przedsięwzięć i znaleźć się w matni, z której nie można drapnąć. Mimowolne biadania jego struchlałej duszy zdradziły czułemu słuchowi *capataza* jego obecność.

Podźwignęli go i oparli w pozycji siedzącej o ścianę lichtugi. Opowiadał im dalej płaczliwie o swych przygodach, aż głos mu uwiązł i głowa opadła na piersi. „Wody" — szepnął z trudnością. Decoud nachylił manierkę do jego ust. Przyszedł do siebie nadzwyczaj szybko i zerwał się gwałtownie na nogi. Nostromo gniewnym i groźnym głosem kazał mu pójść na dziób łodzi. Hirsch należał do ludzi, na których strach działa jak chlaśnięcie biczem, i miał zapewne straszliwe wyobrażenie o dzikości *capataza*. Z niesłychaną zwinnością rzucił się naprzód i znikł w ciemnościach. Słyszeli, jak przełaził przez brezentowe płachty, potem rozległ się łoskot ciężkiego upadku i żałosny jęk. Następnie w przedniej części łodzi zaległa cisza, jakby się zabił, łamiąc karku przy upadku. Nostromo krzyknął groźnie:

— Leż tam cicho! Nie ruszaj się ręką ani nogą! Jeśli usłyszę, że oddychasz za głośno, to pójdę tam i strzelę ci w łeb.

Tchórzostwo, Zdrada

Wystarczy choćby i bierna obecność tchórza, by w niebezpiecznym położeniu zakiełkował zarodek zdrady. Nerwowa niecierpliwość Nostroma przemieniła się w posępną zadumę. Decoud półgłosem, jakby mówiąc do siebie samego, zauważył, iż ten dziwaczny wypadek nic nie zmienia. Nie pojmował, w czym ten człowiek mógłby zaszkodzić. W ostateczności będzie zawadzał jak martwy, bezużyteczny przedmiot, na przykład kłoda drzewa.

— Namyśliłbym się dwa razy, zanimbym się pozbył kawałka drzewa — rzekł Nostromo spokojnie. — Może się zdarzyć coś nieoczekiwanego i wtedy bywa przydatny. Ale w naszym położeniu takiego człowieka należałoby wyrzucić za burtę. Jest zbyteczny, nawet gdyby był odważny jak lew. Nie uciekamy dla ratowania życia. Señor, nie ma w tym hańby, gdy dzielny człowiek stara się ocalić życie mężnie i przemyślnie, ale pan słyszał jego opowiadanie, don Martinie! Jego obecność tutaj to cud strachu... — Nostromo przerwał. — A na tej łodzi nie ma miejsca na strach — dorzucił przez zęby.

Decoud nie miał na to odpowiedzi. Nie była to sytuacja, która pozwalała na argumentację, powoływanie się na uczucia lub skrupuły. Istniał tysiąc różnych sposobów, na które człowiek ogarnięty paniką mógł stać się niebezpieczny. Było rzeczą oczywistą, że Hirscha nie da się namówić, zakląć ani przekonać, by zachowywał się rozsądnie. Historia jego ucieczki dowodziła tego aż nadto. Decoudowi przyszło na myśl, że to ogromna szkoda, iż ten nieszczęśnik nie skonał ze strachu. Przyroda, która uczyniła go tym, czym był, widocznie z okrutną dokładnością wyliczyła, ile może znieść przeraźliwego lęku i nie wyzionąć przy tym ducha. Takiemu przerażeniu należało okazać nieco współczucia. Decoud, choć pobudliwy uczuciowo, postanowił nie mieszać się do tego, co postanowi Nostromo. Ale Nostromo nic nie robił. Toteż los señora Hirscha zawisł w ciemnościach zatoki, zdany na łaskę wypadków, których nie można było przewidzieć.

Ciemność

Capataz, wyciągnąwszy rękę, zgasił nagle świecę. Decoudowi wydało się, że jego towarzysz jednym ruchem unicestwił świat interesów, miłości i rewolucji, w którym on z błogą wyższością śmiało analizował wszystkie pobudki i wszystkie namiętności, nie wyłączając własnych.

Westchnął z lekka. Decoud pozostawał pod wrażeniem nowości sytuacji, w jakiej się znalazł. Ufny w swą inteligencję, cierpiał, iż oto pozbawiono go jedynej broni, której mógł użyć z powodzeniem. Inteligencja nie była zdolna przeniknąć ciemności zalegających Golfo Placido. Jednej tylko rzeczy był zupełnie pewny, mianowicie zarozumiałej próżności swego towarzysza. Była bezpośrednia, nieskomplikowana, naiwna i skuteczna. Decoud, który posługiwał się nim do swych celów, starał się przeniknąć tego człowieka do głębi. Odkrył, że za różnorodnymi przejawami jednolitego charakteru, kryje się tylko ta jedna prosta pobudka. To była przyczyna, dla której człowiek ten zachował zdumiewającą prostotę w zazdrośnie strzeżonym wyobrażeniu swojej wielkości. I oto nastąpiło powikłanie. Był najwidoczniej niezadowolony, iż wdał się w sprawę, w której tkwiło ty-

le możliwości porażki. „Ciekaw jestem — myślał Decoud — jakby się zachował, gdyby mnie tu nie było".

Usłyszał, iż Nostromo zaczął znowu pomrukiwać:

— Nie, na tej łodzi nie ma miejsca na strach. Zdaje się, że nawet odwaga tu nie wystarczy. Mam dobre oko i mocną rękę, nikt jeszcze nie widział mnie znużonego lub niepewnego. Ale *por Dios*, don Martinie, wysłano mnie w tę czarną otchłań, gdzie ani dobre oko, ani mocna ręka, ani zdrowy rozum na nic się nie przydadzą... — Wyrzucił z siebie jednym tchem serię przekleństw włoskich i hiszpańskich. — W tej sprawie zadziała tylko rozpacz.

Słowa te pozostawały w jaskrawej sprzeczności z przemożnym spokojem, z nieprzeniknioną niemal głuszą zatoki. Deszcz mżył, szemrząc z przerwami dokoła łodzi. Decoud zdjął kapelusz i doznał wielkiej ulgi, gdy zwilgotniało mu czoło. Równy, lekki powiew muskał jego policzki. Lichtuga zaczęła się poruszać, lecz mżenie deszczu wyprzedziło ją. Krople przestały siąpić na twarz i ręce, szemranie zamarło w oddali. Nostromo chrząknął z zadowolenia i ująwszy ster w dłonie, zaczął gruchać miękko, jak zwykli czynić marynarze, kiedy chcą zwabić wiatr. W ciągu ostatnich trzech dni Decoud nigdy jeszcze nie odczuwał w mniejszym stopniu niedostatku tego, co *capataz* nazywał rozpaczą.

— Zdaje mi się, iż słyszę znów gdzieś mżenie deszczu na wodzie — zauważył tonem spokojnego zadowolenia. — Mam nadzieję, że nas pokropi.

Nostromo od razu przestał gruchać.

— Pan słyszy, że znowu gdzieś mży? — rzekł z powątpiewaniem.

Ciemność zaczęła jakby się przecierać i Decoud zaczął dostrzegać zarys postaci swego towarzysza; nawet żagiel wynurzył się z mroków nocnych niby graniasta bryła zbitego śniegu.

Szmer zasłyszany przez Decouda zbliżał się szybko po wodzie. Nostromo rozpoznał, że był to dźwięk pośredni między sykiem i szumem, jaki rozpierzcha się na wszystkie strony od parowca płynącego cichą nocą po gładkiej toni. Nie mogło to być nic innego jak tylko transportowiec wiozący wojsko z Esmeraldy. Dyszenie jego pary wzmagało się z każdą chwilą, ustawało niekiedy, potem odzywało się z nagła na nowo znacznie bliżej, jakby ten niewidzialny okręt, którego pozycji niepodobna było dokładnie oznaczyć, zmierzał wprost ku łodzi ze srebrem. Tymczasem ta ostatnia żeglowała z wolna i cicho, poruszana powiewem tak słabym, iż Decoud dopiero wówczas przekonał się, że łódź w ogóle płynie, gdy przechylił się przez burtę, wysunął rękę i poczuł wodę przepływającą pomiędzy palcami. Jego senność minęła. Cieszył się, że lichtuga się porusza. Po tak wielkiej ciszy łoskot parowca wydawał się rażący i rozpraszający. Było to niesamowite, iż nie można było go zobaczyć. Nagle wszystko ucichło. Okręt zatrzymał się, ale tak blisko nich, że gdy wypuszczał parę, dudniła wibracją tuż nad ich głowami.

— Chcą się zorientować, gdzie się znajdują — szepnął Decoud. Wychylił się znowu i zanurzył palce w wodzie. — Poruszamy się całkiem szybko — zawiadamiał Nostroma.

— Wygląda na to, że przepływamy w poprzek jego dzioba — rzekł *capataz* ostrożnie. — Ale to ciuciubabka ze śmiercią. Posuwanie się dalej nie ma sensu. Nie powinni nas zobaczyć ani usłyszeć.

Szeptał głosem ochrypłym z podniecenia. Z całej jego twarzy widać było tylko połyskiwanie białek oczu. Jego palce wpiły się w ramię Decouda.

— To jedyny sposób, jeśli chce się ocalić ten skarb przed parowcem pełnym żołnierzy. Inni zapaliliby światła. Tymczasem, jak pan widzi, na ich pokładzie nie ma ani płomyka, który by nam wskazał, gdzie się znajdują.

Decoud stał jak sparaliżowany, tylko jego myśli przewalały się opętańczo. Mignął w jego pamięci wyzbyty nadziei wyraz oczu Antonii, gdy odchodził, pozostawiając ją obok łoża jej ojca w mrocznym domu Avellanosów, domu o zamkniętych okiennicach, wszystkich drzwiach stojących otworem, z którego uciekła cała służba prócz starego Murzyna u bramy. Przypomniał sobie swoje ostatnie odwiedziny w Casa Gould, swe argumenty, tony swego głosu, nieprzeniknioną postawę Charlesa, twarz pani Gould, tak pobladłą od troski i znużenia, iż jej oczy wyglądały, jakby zmieniły barwę i przez kontrast stały się niemal czarne. Przez głowę przemykały mu nawet całe zdania z proklamacji, którą ze swej kwatery głównej miał ogłosić Barrios po wylądowaniu w Caycie. Istny zalążek nowego państwa, ta separatystyczna proklamacja. Przed swym odjazdem próbował ją naprędce

odczytać don Josému, leżącemu w łóżku pod zakrzepłym spojrzeniem córki. Bóg tylko wie, czy sędziwy mąż stanu ją rozumiał; nie mógł mówić, ale było pewne, że podźwignął ramię z kołdry. Ręka jego poruszyła się, jak gdyby chciała uczynić znak krzyża w powietrzu, gest błogosławieństwa i przyzwolenia. Decoud miał w kieszeni brulion tej proklamacji, skreślony ołówkiem na kilku luźnych ćwiartkach papieru opatrzonego okazałym nagłówkiem: „Zarząd Kopalni Srebra San Tomé, Sulaco. Republika Costaguana". Pisał ją zaciekle, chwytając arkusz po arkuszu ze stołu Charlesa Goulda. Pani Gould zaglądała mu kilka razy przez ramię, ale *señor administrador*, stojąc na szeroko rozstawionych na nogach, nie raczył nawet rzucić okiem, gdy proklamacja była gotowa. Odżegnał się od niej stanowczym ruchem. Musiała to być wzgarda, a nie przezorność, gdyż nie okazał niezadowolenia, że papieru z nagłówkiem zarządu użyto na tak kompromitujący dokument. Dowodziło to lekceważenia, iście angielskiego lekceważenia zwyczajnej roztropności, jak gdyby wszystko, co leży poza obrębem angielskich myśli i uczuć, było niegodne poważnego zastanowienia. Decoud w ciągu paru sekund zdołał wściekle rozzłościć się na Charlesa Goulda, a nawet odczuć urazę do pani Gould, której powierzył — milcząco, co prawda — opiekę nad Antonią. „Stokroć lepiej zginąć niż zawdzięczać ocalenie takim ludziom!" — zawołał w myśli. Chwyt Nostroma, który nie puszczał jego ramienia, zaciskając uparcie palce, przywołał go do przytomności.

— Ciemność jest naszym sprzymierzeńcem — szeptał mu *capataz* do ucha. — Mam zamiar spuścić żagiel i zdać naszą ucieczkę na łaskę tej czarnej zatoki. Niczyje oczy nie zdołają nas dostrzec, gdy będziemy stać cicho z gołym masztem. Zrobię to zaraz, zanim ten parowiec jeszcze bardziej się przybliży. Lekkie trzeszczenie bloku wydałoby nas i skarb ze San Tomé wpadłby w ręce tych złodziei.

Zakrzątnął się zwinnie jak kot. Decoud nic nie słyszał i dopiero po zniknięciu prostokątnej płachty ciemności zdał sobie sprawę, że reja się osunęła, spuszczona tak ostrożnie, jak gdyby była ze szkła. W chwilę później usłyszał obok siebie spokojny oddech Nostroma.

— Niech pan lepiej nie rusza się z miejsca — napominał go *capataz* usilnie. — Mógłby pan się potknąć lub potrącić o coś głośno. Dokoła leżą wiosła i drągi. Niech pan się nie rusza, jeśli panu życie miłe! *Por Dios*, don Martinie — mówił dalej ostrym, lecz przyjaznym szeptem — jestem tak zrozpaczony, że gdybym nie wiedział, że jest pan człowiekiem odważnym, który zdoła zachować się cicho bez względu na to, co się zdarzy, pchnąłbym pana nożem w serce.

Śmiertelna cisza zalegała dokoła łodzi. Nie chciało się wierzyć, iż w pobliżu znajduje się parowiec pełen ludzi i że mnóstwo oczu śledzi z pokładu, czy wśród nocy nie zamajaczy gdzieś zarys lądu. Para przestała ziać, a okręt zatrzymał się widocznie tak daleko, że żaden inny odgłos nie dosięgał łodzi.

— Może by pan pchnął, *capatazie* — zaczął Decoud szeptem. — Ale niech się pan nie kłopocze. Są inne rzeczy niż obawa przed pańskim nożem, które dodają siły mojemu sercu. Nie zawiedzie ono pana. Zapomniał pan jednak...

— Mówiłem do pana otwarcie jak człowiek zrozpaczony — tłumaczył się *capataz*. — Musimy ocalić to srebro przed monterystami. Trzy razy mówiłem kapitanowi Mitchellowi, że wolę popłynąć sam. Mówiłem to również don Charlesowi Gouldowi. Było to w Casa Gould. Posłali po mnie. Były tam panie. Kiedy im tłumaczyłem, dlaczego nie chciałbym zabierać pana ze sobą, przyrzekły mi obie wielkie nagrody za ocalenie pana. Dziwny to sposób mówienia z człowiekiem, którego wysyła się na niemal pewną śmierć. Tacy państwo nie mają, jak się zdaje, dość rozsądku, aby zrozumieć, czego wymagają od innych. Odpowiedziałem im, że nie mogę nic dla pana uczynić, że byłby pan bezpieczniejszy z bandytą Hernandezem. Można było wyjechać konno z miasta, narażając się co najwyżej na kulę, która świsnęłaby w ciemności. Lecz były jak głuche. Musiałem przyrzec, że zaczekam na pana pod bramą portu. Zaczekałem. Teraz, kiedy okazał się pan dzielnym człowiekiem, jest pan równie bezpieczny jak srebro. Ani mniej, ani więcej.

W tej chwili, jakby na dopełnienie słów Nostroma, niewidzialny parowiec ruszył naprzód, rozwijając zaledwie połowę możliwej prędkości, o czym świadczyły powolne uderzenia koła. Łoskot wyraźnie dobiegał z innego miejsca, ale się nie przybliżył. Stał się nawet nieco odleglejszy i wkrótce ucichł.

— Szukają miejsca, z którego mogliby dojrzeć Izabelę — pomrukiwał Nostromo — żeby stamtąd popłynąć na wprost do portu i zagarnąć Urząd Celny wraz ze skarbami. Czy pan widział kiedyś komendanta Esmeraldy, Sotilla? Przystojny człowiek i ma miły głos. Gdym tu przyjechał, widywałem go na *calle*, mizdrzącego się do señorit w oknach i szczerzącego nieustannie białe zęby. Ale jeden z moich *cargadorów*, który służył w wojsku, opowiadał mi, iż pewnego razu kazał odrzeć żywcem ze skóry jakiegoś człowieka gdzieś tam na Campo, dokąd go posłano dla przeprowadzenia poboru wojskowego wśród ludności *estancji*. Nie mieściło mu się zapewne w głowie, żeby Towarzystwo posiadało człowieka, który udaremni jego zamiary.

Przyciszona wielomówność *capataza* raziła Decouda jako oznaka słabości. A jednak gadatliwa odwaga może być równie szczera jak zawzięte milczenie.

— Nie wywiódł pan jeszcze Sotilla w pole — odezwał się. — Czy nie pamięta pan już o tym nicponiu, który leży tam, na przedzie?

Nostromo zapomniał o señorze Hirschu. Wyrzucał sobie gorzko, iż nie przetrząsnął starannie łodzi przed opuszczeniem portu. Nie mógł sobie darować, że nie zadźgał nożem i nie wrzucił do morza Hirscha zaraz w pierwszej chwili, nie zaglądając mu nawet w twarz. Byłoby to zgodne z rozpaczliwym charakterem tej wyprawy. Bez względu na to, co nastąpi, Sotillo jest już wywiedziony w pole. Gdyby nawet ten łajdak, który leży teraz cicho jak nieżywy, zdradził czymkolwiek obecność łodzi, to jednak Sotillo — jeżeli to on dowodzi wojskiem na statku — nie posiądzie łupu.

— Mam w ręku siekierę — szepnął Nostromo zaciekle — która trzema cięciami przerąbie ścianę po samą wodę. Poza tym każda lichtuga ma rufie czop. Wiem dokładnie, gdzie on jest. Czuję go pod podeszwą.

Decoud rozpoznał brzmienie niekłamanej stanowczości w nerwowych pomrukach i mściwym podnieceniu znakomitego *capataza*.

— Zanim parowiec, wiedziony jednym lub dwoma okrzykami, bo więcej by ich nie było — rzekł Nostromo, zacinając głośno zęby — zdąży odszukać łódź, będzie pod dostatkiem czasu, żeby zatopić skarb uwiązany u mojej szyi.

Ostatnie słowa wtargnęły z sykiem do ucha Decouda. Nie odezwał się. Był najzupełniej przekonany. Pierzchł zwykły, charakterystyczny spokój tego człowieka. Nie był zgodny z tym, jak postrzegał sytuację. Coś głębszego, coś, czego nikt nie oczekiwał, wydobyło się na powierzchnię. Decoud ostrożnymi ruchami zdjął ze siebie kurtkę i zzuł obuwie. Nie uważał za obowiązek honoru utonąć razem ze skarbem. Jego zadaniem było przedostać się do Cayty, do Barriosa, o czym *capataz* dobrze wiedział. On również zamierzał we właściwy sobie sposób tchnąć w ten poryw całą rozpacz, do jakiej był zdolny. Nostromo szeptał:

— Słusznie, słusznie! Pan jest politykiem, señor. Powinien pan przedostać się do armii i wywołać nową rewolucję. — Nadmienił przy tym, iż na każdej lichtudze jest małe czółno, które może pomieścić co najmniej dwóch ludzi, jeżeli nie więcej. Ich czółno było przywiązane z tyłu.

O tym Decoud nie wiedział. Było oczywiście za ciemno, żeby je dojrzał, i dopiero gdy Nostromo położył jego rękę na linie przytrzymującej czółno, przywiązanej do knagi[215] na rufie, doznał uczucia pełnej ulgi. Wstrząsnęła nim myśl, że może znaleźć się w wodzie, że ogłuszony ciemnością i niezwykłością, będzie pływał, kręcąc się prawdopodobnie na miejscu, aż w końcu z wyczerpania pójdzie na dno. Jałowa i okrutna marność takiego końca zachwiała jego pozą beztroskiego pesymizmu. W porównaniu z nim możliwość, że będzie się błąkał po morzu w czółnie, narażony na pragnienie, głód, uwięzienie i stracenie, wydawała się wprost rozkoszą, którą warto było okupić nawet pewną pogardą dla siebie. Nie przyjął rady Nostroma, żeby zaraz wsiadł do czółna.

— Może nas coś nagle zaskoczyć — rzekł *capataz*, obiecując solennie, iż odczepi czółno, kiedy zajdzie konieczna potrzeba.

Decoud oświadczył mu swobodnie, że ma zamiar posłużyć się czółnem dopiero w ostatniej chwili i tylko w takim przypadku, gdy *capataz* będzie mu towarzyszył. Ciemność zatoki nie była już dla niego końcem wszystkiego. Stanowiła część ożywionego świata,

[215] *knaga* — rozwidlony drewniany lub metalowy kołek, przyśrubowany do pokładu lub burty jednostki pływającej i służący do mocowania ruchomych lin, np. cumowniczych. [przypis edytorski]

skoro przeprawiając się przez nią, czuło się grozę zatraty i śmierci. Była jednak zarazem ochroną. Cieszył się, że jest nieprzenikniona.

— Jak mur, jak mur! — mamrotał do siebie.

Jedyną rzeczą, która krępowała jego ufność, była myśl o señorze Hirschu. Że go się nie związało i nie zakneblowało, było teraz dla Decouda wprost szczytem nieopatrznego szaleństwa. Nędznik mógł wrzasnąć, był więc nieustającym niebezpieczeństwem. Wprawdzie jego nikczemny lęk zastygł teraz w milczeniu, ale nie można było przewidzieć, czy coś nie rozpęta go w nagłe krzyki. Istny szał trwogi, który zarówno Decoud, jak Nostromo dostrzegli w błędnych, nieprzytomnych spojrzeniach i ciągłych skurczach jego ust, obronił señora Hirscha przed okrutną koniecznością rozpaczliwej wyprawy. Minęła chwila, kiedy było można uciszyć go na wieki. Jak oświadczył Nostromo, odpowiadając na ubolewania Decouda, było za późno. Nie można było zrobić tego po cichu, zwłaszcza że nie wiedzieli dokładnie, gdzie on się znajduje. Gdziekolwiek wpełznął i się trząsł, byłoby zbyt ryzykowne zbliżać się do niego. Zacząłby prawdopodobnie skomleć o zmiłowanie. Zachowuje się cicho, więc będzie dużo lepiej pozostawić go w spokoju. Jednak konieczność polegania na jego milczeniu stawała się z każdą chwilą coraz przykrzejsza dla spokoju ducha Decouda.

— Wolałbym, *capatazie*, żeby pan nie był przeoczył stosownej chwili — zamamrotał.

— Co? Żeby go uciszyć raz na zawsze? Chciałem najpierw dowiedzieć się, w jaki sposób tu się dostał. To było bardzo dziwne. Któż mógł przypuścić, że stało się to tylko przypadkiem? Później, señor, kiedy zobaczyłem, że pan podaje mu wodę, nie mogłem już tego uczynić. Widziałem, jak nachylał pan manierkę do jego ust, jak poił go pan niby rodzonego brata, i już nie mogłem. Señor, nad taką koniecznością nie należy namyślać się zbyt długo. A jednak nie byłoby to okrucieństwem, gdyby go się pozbawiło tego nędznego życia. Ono jest ciągłą trwogą. To pańskie współczucie ocaliło go, don Martinie, a teraz już za późno. Nie można tego zrobić po cichu.

Parowiec stał, pogrążony w głuchym milczeniu, i cisza była tak głęboka, iż zdawało się Decoudowi, że nawet najlżejszy, zaledwie pojmowaniu dostępny szmer musi rozlegać się głośno i bez przeszkody aż po krańce świata. „Co by to było, gdyby Hirsch zakaszlał lub kichnął?" Czuć się na łasce podobnie idiotycznej ewentualności było rzeczą zbyt przykrą, żeby można było zbywać ją ironią. Nostromo również zdawał się niepokoić. „Czy to możliwe — zadawał sobie pytanie — żeby parowiec, uważając, że noc jest zbyt ciemna, zamierzał stać w miejscu do świtu?" Zaczął przypuszczać, iż może stać się to istotnym niebezpieczeństwem. Lękał się, by ciemność, która była jego opiekunką, nie stała się w końcu przyczyną jego zguby.

Tak jak przypuszczał Nostromo, transportowcem rzeczywiście dowodził Sotillo. Nie wiedział o wypadkach, które zaszły w Sulaco w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Nie dowiedział się również, iż telegrafista z Esmeraldy zdołał ostrzec swego kolegę w Sulaco. Podobnie jak wielu innych oficerów dowodzących załogami rozmieszczonymi na prowincji przechylił się na stronę ribierzystów w mniemaniu, iż mają oni na swe usługi niezmierne bogactwa koncesji Gouldów. Należał do tych, którzy bywali w Casa Gould, gdzie popisywał się przed don Josém Avellanosem konserwatywnymi przekonaniami i zapałem do reform, rzucając przy tym co chwila otwarte, uczciwe spojrzenia w stronę pani Gould i Antonii. Wiedziano, iż pochodził z dobrej rodziny, prześladowanej i zubożałej za tyranii Guzmana Bento. Poglądy, które wygłaszał, wydawały się najzupełniej naturalne i godziwe u człowieka, który miał takich przodków i takie koligacje. Nie okłamywał, był w doskonałej zgodzie ze sobą, dając wyraz wzniosłym uczuciom, gdyż wszystkie jego władze były zaprzątnięte tym, co wówczas wydawało się mu rzetelną i praktyczną myślą, tą mianowicie, że przyszły mąż Antonii Avellanos będzie z pewnością w zażyłych stosunkach z koncesją Gouldów. Wyłuszczył to nawet raz Anzaniemu, targując się się z nim o szóstą czy siódmą niewielką pożyczkę w mrocznym i wilgotnym mieszkaniu z wielkimi żelaznymi kratami, znajdującym się na tyłach głównego sklepu pod arkadami. Dał do zrozumienia kupcowi, iż łączą go doskonałe stosunki z emancypowaną señoritą, która jest dla Angielki jak siostra. Wysunął jedną nogę naprzód i wziął się pod boki, nakazując swą postawą podziw Anzaniemu i mierząc go wyniosłym spojrzeniem.

„Spójrz, nędzny sklepikarzu! Czyż takiemu człowiekowi może się oprzeć któraś kobieta, jakaś tam samotna, emancypowana panna, która nawykła do gorszącej swobody?" — zdawał się mówić.

Jego zachowanie się w Casa Gould było oczywiście zupełnie odmienne, pozbawione wszelkiej agresywności i nawet nieco smętne. Podobnie jak wielu jego rodaków, dawał się ponosić brzmieniu pięknych słów, zwłaszcza wypowiedzianych przez niego samego. Nie miał żadnych innych przekonań prócz przeświadczenia o nieodpartej potędze własnej wyższości. Ale było ono tak mocne, iż nie zaniepokoił się nawet pojawieniem się Decouda w Sulaco ani jego bliską zażyłością z Gouldami i Avellanosami. Wręcz przeciwnie, starał się zaprzyjaźnić z bogatym Costaguanerem przybyłym z Europy, spodziewając się, iż wkrótce wyłudzi od niego znaczniejszą sumę. Jedynym pobudką kierującą jego życiem była chęć zdobycia pieniądze na zaspokojenie swych kosztownych zachcianek, którym hołdował beztrosko, nie mając panowania nad sobą. Wyobrażał sobie, iż jest mistrzem w intrygach, ale jego zepsucie było tak proste jak instynkt zwierzęcy. Osamotniony, miewał niekiedy chwile dzikości; występowała ona u niego również w pewnych okolicznościach, jak na przykład, kiedy był sam w pokoju z Anzanim i starał się wydostać od niego pożyczkę.

Narzucił się swym gadaniem na komendanta załogi w Esmeraldzie. Ta mała przystań morska miała swoje znaczenie jako stacja głównego kabla podmorskiego, łączącego zachodnie prowincje ze światem zewnętrznym oraz dzięki odgałęzieniu zapewniającego połączenie z Sulaco. Polecił go na to stanowisko don José Avellanos, zaś Barrios z prostackim, drwiącym śmiechem rzekł:

— Niech będzie Sotillo! To człowiek w sam raz do strzeżenia kabla, a damy z Esmeraldy będą miały z niego pociechę. — Barrios, bezsprzecznie dzielny człowiek, nie miał zbyt pochlebnego wyobrażenia o Sotillu.

Tylko dzięki połączeniu kablowemu z Esmeraldą kopalnia San Tomé mogła pozostawać w stałym kontakcie z wielkim finansistą, którego milczące przyzwolenie stanowiło siłę ruchu ribierystowskiego. Ale ruch ten nawet w Esmeraldzie miał przeciwników. Sotillo rządził miastem z bezwzględną surowością aż do chwili, kiedy zmieniony tok wypadków na odległej arenie wojny domowej nasunął mu refleksję, iż wielka kopalnia srebra stanie się niezawodnie łupem zwycięzcy. Ale konieczna była ostrożność. Zaczął więc od tego, iż zajął niejasne i zagadkowe stanowisko w stosunku do władz miejskich Esmeraldy, które stały wiernie po stronie Ribiery. Później, kiedy rozeszła się wieść, iż komendant zwołuje nocami oficerów na narady (co przesiąkło w jakiś sposób na zewnątrz), ojcowie miasta zaniedbali zupełnie obowiązki obywatelskie i pozamykali się w swych domach. Nagle pewnego dnia, już bez ogródek, wymówek i osłonek, oddział żołnierzy zabrał z urzędu pocztowego wszystkie listy, przywiezione przez umyślnego posłańca lądem z Sulaco. Za pośrednictwem Cayty Sotillo dowiedział się o ostatecznej klęsce Ribiery.

Była to pierwsza oznaka zmiany jego przekonań. Wkrótce potem powszechnie znanych demokratów, którzy żyli dotychczas w nieustannej obawie uwięzienia, kajdan i nawet chłosty, zaczęto widywać, jak wchodzili i wychodzili z wielkiej bramy *commandancji*, gdzie konie ordynansów drzemały pod ciężkimi siodłami, a żołnierze w podartych mundurach i stożkowatych słomianych kapeluszach wylegiwali się na ławie, wytknąwszy bose stopy ze smugi cienia. U szczytu schodów stał wartownik w dziurawym płaszczu z czerwonej bai i spoglądał wyniośle na pospólstwo, które przechodząc, zdejmowało przed nim kapelusze.

Poglądy Sotilla nie sięgały poza osobiste bezpieczeństwo oraz możliwość ograbienia miasta, nad którym powierzono mu pieczę, ale obawiał się, że wskutek późnego przystąpienia do zwycięzców ich wdzięczność okaże się nader skąpa. Nieco za długo wierzył w potęgę kopalni San Tomé. Przejęte listy potwierdziły jego wcześniejsze informacje o wielkim zapasie sztab srebra, złożonych w Urzędzie Celnym w Sulaco. Zagarnięcie tych bogactw byłoby bezsprzecznie czynem monterystowskim, usługą, która zasługiwała na nagrodę. Mając je w ręku, mógłby stawiać warunki w imieniu własnym i swych żołnierzy. Nie wiedział ani o rozruchach, ani o ucieczce prezydenta do Sulaco, ani o pościgu prowadzonym przez brata Montera, *guerrillera*. Zdawało się mu, iż gra zależy tylko od niego. Na początek opanował urząd telegraficzny i zagarnął rządowy parowiec, stojący na kotwicy w ciasnej zatoce, będącej przystanią Esmeraldy. Zamachu tego dokonała bez

trudu kompania żołnierzy, która wpadła nagle gromadą na trapy statku stojącego przy samym nabrzeżu. Natomiast porucznik, któremu kazano aresztować telegrafistę, zatrzymał się po drodze przed jedyną kawiarnią w Esmeraldzie, z której kazał wynieść wódki dla swych żołnierzy i pokrzepił się nią sam na koszt właściciela, znanego ribierzysty. Cały oddział się upił i podążał dalej ulicą, wrzeszcząc i strzelając na oślep w okna. Ta mała rozrywka, która mogłaby pociągnąć za sobą niebezpieczne następstwa dla życia telegrafisty, pozwoliła mu ostatecznie wysłać ostrzeżenie do Sulaco. Porucznik, zataczając się, wszedł na schody z dobytą szablą. W nagłym przystępie dobrego humoru, wywołanego pijackim zamroczeniem, wycałował w oba policzki urzędnika i objął go mocno za szyję, zapewniając, iż wszyscy oficerowie należący do załogi w Esmeraldzie zostaną pułkownikami. Łzy błogości spływały po jego obrzękłych policzkach. Nieco później nadszedł burmistrz i zastał cały oddział uśpiony na schodach i korytarzach, a telegrafistę (który zlekceważył sobie sposobność ucieczki) stukającego pilnie na swym aparacie. Burmistrz wyprowadził go z rękami związanymi na plecach i z odkrytą głową, ale zataił prawdę przed Sotillem, który nie dowiedział się o ostrzeżeniu wysłanym do Sulaco.

Pułkownik nie był człowiekiem, który by uwierzył, iż jakaś tam ciemność może stanąć na przeszkodzie obmyślonej niespodzianki. Powodzenie wydawało mu się absolutnie pewne, oczekiwał spełnienia swych planów z nieopanowaną, dziecinną niecierpliwością. Nawet gdy parowiec okrążał Punta Mala, by pogrążyć się w głębszych mrokach zatoki, nie schodził z pokładu wraz z oficerami, którzy byli nie mniej podnieceni od niego samego. Nie mogąc zebrać myśli wśród pochlebstw i pogróżek Sotilla i jego sztabu, nieszczęsny komendant parowca dokonywał ruchów z taką ostrożnością, na jaką mu pozwalano. Niektórzy z nich byli bez wątpienia mocno pijani, ale nadzieja zagrabienia takich ogromnych bogactw czyniła ich do szaleństwa zuchwałymi, równocześnie niezmiernie niespokojnymi. Pewien stary major, głupi i podejrzliwy, dowódca batalionu, który nigdy przedtem nie podróżował okrętem, zgasił nagle lampę, która oświetlała busolę. Było to jedyne światło, które z konieczności pozostawiono na pokładzie. Nie pojmował, na co ono może się przydać przy szukaniu drogi. Gdy kapitan okrętu zaczął energicznie protestować, tupnął nogą i trzasnął dłonią po rękojeści szabli.

— Aha, zdemaskowałem cię! — zawołał triumfalnie. — Wyrywasz sobie włosy z rozpaczy nad moją przenikliwością. Czy to ja dziecko, żebym wierzył, iż światło umieszczone w mosiężnym pudełku może ci wskazać, gdzie znajduje się przystań? Jestem starym żołnierzem, jak widzisz! Każdego zdrajcę wywącham na milę. Potrzebowałeś tego kaganka, bo chciałeś zawiadomić swego angielskiego przyjaciela, że się zbliżamy. Taka rzecz może wskazywać ci drogę? Co za nędzne kłamstwo! *Que picardia!* Wy wszyscy z Sulaco jesteście przekupieni przez cudzoziemców. Zasłużyłeś, żebym cię przebił szablą!

Zbiegli się inni oficerowie i uśmierzali jego wzburzenie, tłumacząc mu przekonywająco:

— Nie, nie! To przyrząd używany przez marynarzy, majorze! To nie zdrada!

Kapitan transportowca rzucił się jak długi twarzą na pokład i nie chciał się podnieść.

— Wykończcie mnie od razu — powtarzał zdławionym głosem.

W końcu musiał wmieszać się Sotillo.

Zgiełk i zamieszanie na mostku wzmogły się do tego stopnia, iż sternik uciekł od koła. Schronił się do hali maszyn i zawiadomił o wszystkim inżynierów, którzy nie zważając na groźby pilnujących ich żołnierzy, zatrzymali maszyny i oświadczyli, iż wolą zginąć od kuli niż pójść na dno.

Było to wówczas, kiedy Nostromo i Decoud po raz pierwszy usłyszeli, że parowiec się zatrzymał. Gdy przywrócono porządek i zapalono lampę przy busoli, ruszył znowu naprzód, przepływając w pewnej odległości od lichtugi, w poszukiwaniu Izabel. Wysp nie dostrzeżono; na błagalne zaklęcia kapitana Sotillo pozwolił powtórnie zatrzymać maszyny i czekać na jedno z przejaśnień, zdarzających się od czasu do czasu wskutek przesuwania się chmur tworzących ciemną zasłonę nad wodami zatoki.

Sotillo, stojąc na pokładzie, co pewien czas pomrukiwał gniewnie na kapitana. Ten kłaniał się i usprawiedliwiał, błagając *su merced*[216] pułkownika, by zechciał mieć na uwadze ograniczenia, jakim pod wpływem ciemności nocnych ulegają zmysły ludzkie. Sotillo

[216] *su merced* (hiszp.) — jego łaskawość. [przypis edytorski]

pienił się z wściekłości i niecierpliwości. Podobna sposobność nie powtarza się dwa razy w życiu.

— Jeżeli twoje oczy nie są na nic przydatne, to każę ci je wyłupić! — wrzasnął.

Kapitan parowca nic nie odpowiedział, gdyż właśnie w tej chwili, po przelotnym deszczu, zamajaczyła niejasno bryła Wielkiej Izabeli i zniknęła znowu, jakby spłukana falą głębszej ciemności, która poprzedzała nową ulewę.

Tyle mu wystarczyło. Głosem człowieka, który odzyskał życie, oświadczył srogiemu pułkownikowi, iż za godzinę przybije do lądu w Sulaco. Okręt ruszył pełną parą, a na pokładzie wszczął się ruch, gdyż żołnierze przygotowywali się do lądowania.

Zgiełk ten słyszeli wyraźnie Decoud i Nostromo. *Capataz* zdawał sobie sprawę z jego znaczenia. Tamci dostrzegli Izabelę i zdążali teraz prosto do Sulaco. Był zdania, iż przepłyną tuż obok, ale sądził, iż nie zdołają dojrzeć lichtugi stojącej w miejscu ze zwiniętym żaglem.

— Nawet gdyby się o nas otarli — mruknął.

Deszcz zaczął znowu padać; zrazu mżył tylko mokrą mgłą, potem zaczął siąpić raźniej, gęstniejąc w rzęsistą jak z cebra ulewę. Łomot i syk nadpływającego parowca rozlegał się coraz bliżej. Decoud, z pochyloną głową i oczami pełnymi wody, właśnie zadawał sobie pytanie, kiedy okręt wreszcie ich minie, gdy niespodziewanie poczuł, że łódź raptownie przechyla się na bok. Rozprysk piany wtargnął z szumem na rufę, jednocześnie zatrzeszczały wiązania i dał się odczuć silny wstrząs. Miał wrażenie, iż jakaś gniewna ręka porwała lichtugę i ciągnie ku zgubie. Przewrócił się od wstrząsu i potoczył na dno łodzi pełne wody. Wszystko wokół się kotłowało. Dziwny, zdumiony głos wrzasnął coś nad nim wśród nocy. Usłyszał przeraźliwe skomlenie o pomoc señora Hirscha. Przez cały czas zaciskał mocno szczęki. To było zderzenie!

Katastrofa

Parowiec uderzył w lichtugę z ukosa, przechyliwszy ją tak, iż zanurzyła się do połowy pod wodę, uszkodził jej kadłub i jednym zamachem wykręcił ją przodem równolegle do własnego biegu. Na pokładzie okrętu wstrząs nie dał się prawie odczuć. Cała siła zderzenia dała się we znaki, jak to zwykle bywa, tylko mniejszej jednostce. Nawet Nostromo pomyślał, że to zapewne koniec jego rozpaczliwej wyprawy. Jego również odrzuciło od długiego steru, który wyrwał mu się z rąk podczas raptownego przechyłu. Za chwilę parowiec przemknąłby dalej, zostawiając za sobą tonącą lub utrzymującą się na wodzie lichtugę. Zepchnął ją po prostu z swej drogi tak szybko, iż nie zauważył nawet jej kształtu. Ponieważ jednak zanurzał się głęboko pod ciężarem zapasów i mnóstwa ludzi, kotwica zwisała tak nisko, że zaplątała się w jedną ze stalowych lin masztu lichtugi. Lina była nowa i opierała się przez chwilę temu nagłemu targnięciu. To dlatego Decoud doznał wrażenia szarpnięcia, ciągnącego łódź ku zgubie. O tej przyczynie oczywiście nie wiedział. Wszystko stało się tak nagle, iż nie miał czasu na myślenie. Ale odczuwał wszystko zupełnie jasno. Zachował całkowite panowanie nad sobą; z zadowoleniem zdawał sobie sprawę z swego spokoju nawet w tej chwili, kiedy przewaliwszy się na głowę przez poprzeczną belkę, tarzał się na plecach w głębokiej wodzie na dnie łodzi. Usłyszał i rozpoznał krzyk señora Hirscha, kiedy zaś podźwignął się na nogi, wciąż jeszcze doznawał tajemniczego wrażenia, iż coś wlecze ich na złamanie karku w ciemność. Nie krzyknął, nie odezwał się ani słowem, nie miał czasu, by dojrzeć cokolwiek. Po rozpaczliwym okrzyku o pomoc szarpanie ustało tak nagle, iż zatoczył się przed siebie z rozpostartymi ramionami i upadł na stos skrzynek ze srebrem. Uczepił się ich instynktownie z niejasną obawą, iż może zostać odrzucony na nowo. Natychmiast usłyszał znów wołanie o pomoc, rozpaczliwe i przeciągłe, jednak nie w pobliżu, ale w jakiejś nieokreślonej odległości, gdzieś z dala od lichtugi, jak gdyby jakiś duch przedrzeźniał wśród nocy przerażenie i rozpacz señora Hirscha.

Potem wszystko ucichło, nastała taka cisza, jak kiedy ktoś budzi się w swoim łóżku, w ciemnym pokoju, z dziwacznego i niespokojnego snu. Lichtuga kołysała się lekko, deszcz jeszcze padał. Dwie macające ręce chwyciły go od tyłu, za potłuczone boki, a głos *capataza* szepnął mu do ucha:

— Cicho, jeśli panu życie miłe! Cicho! Parowiec się zatrzymał.

Decoud nadsłuchiwał. W zatoce zalegała głucha cisza. Poczuł, że woda sięga mu prawie po kolana.

— Czy toniemy? — zapytał niemal niedosłyszalnie.

— Nie wiem — szepnął Nostromo od tyłu. — Señor, ani pary z ust!

Hirsch, od kiedy Nostromo kazał mu pójść na przód łodzi, nie wrócił do swej pierwotnej kryjówki. Upadł w pobliżu masztu i nie miał sił, by się podnieść, co więcej, bał się poruszyć. Leżał jak martwy, ale bez żadnego racjonalnego powodu. Uległ po prostu okrutnemu i zatrważającemu uczuciu. Ilekroć pomyślał, co się z nim stanie, zaczynały mu szczękać zęby. Był tak pochłonięty ostateczną nędzą swego strachu, iż nie zwracał na nic uwagi.

Chociaż niemal dusił się pod żaglem, który Nostromo bezwiednie spuścił wprost na niego, nie śmiał nawet wychylić głowy aż do chwili, kiedy nastąpiło zderzenie z parowcem. Zerwał się wówczas na równe nogi, przynaglony do nowych cudów tężyzny fizycznej tym nowym rodzajem niebezpieczeństwa. Wtargnięcie wody, wywołane przechyleniem statku, rozwiązało mu język. Jego okrzyk: „Ratujcie!" był pierwszą wyraźną oznaką zderzenia dla ludzi znajdujących się na pokładzie parowca. Zaraz potem zerwała się stalowa lina i uwolniona kotwica zakołysała się nad przednim pokładem lichtugi. W pewnej chwili znalazła się tuż przed piersią señora Hirscha, który nie wiedząc wcale, co to jest, uchwycił się jej i oplótł trzon rękami i nogami ponad jej ramionami z nieprzezwyciężoną, zapamiętałą uporczywością. Lichtuga szarpnęła się i odsunęła, a parowiec, płynąc naprzód, porwał go ze sobą, uczepionego ze wszystkich sił i wrzeszczącego o pomoc. W końcu kilku ludzi przechyliło się przez burtę i wyciągnęło go na pokład. Powleczono go od razu przed Sotilla. Przesłuchanie potwierdziło ich wrażenie, iż najechali na jakąś łódź, która zatonęła, niepodobna jednak było w tak ciemną noc szukać dowodów w postaci pływających szczątków. Sotillo jeszcze goręcej zapragnął dotrzeć do portu bez straty czasu. Nie chciał pogodzić się z myślą, iż przyprawił o zgubę główny przedmiot i cel swojej wyprawy, gdyż myśl ta była nie do zniesienia. To uczucie sprawiło, że usłyszana historia wydała się mu jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Señora Hirscha, którego poturbowano nieco, gdyż łgał jak najęty, zamknięto w kajucie służbowej. Ale obito go tylko lekko. Jego opowieść pozbawiła ducha sztab Sotilla, chociaż wszyscy powtarzali za swym przełożonym: „Niemożliwe! Niemożliwe!", prócz starego majora, który triumfował posępnie.

— A mówiłem wam, mówiłem wam! — zrzędził. — Każdą zdradę, każdą *diablerię* wywącham zawsze na milę.

Tymczasem parowiec podążał dalej do Sulaco, gdzie prawda ostatecznie musiała wyjść na jaw. Decoud i Nostromo słyszeli, jak głośne zrazu burczenie przycichało i w końcu umilkło. Nie tracąc na próżno słów, skierowali lichtugę na Izabele. Ostatni deszcz przyniósł ze sobą łagodny, lecz stały powiew. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło i nie było czasu na gadanie. Łódź była podziurawiona jak sito. Taplali się co krok w wodzie. *Capataz* wetknął Decoudowi w garść rączkę pompy przymocowanej do bocznej ściany rufy i od razu, bez żadnych pytań ani uwag, Decoud zaczął pompować, zapomniawszy doszczętnie o wszelkich pragnieniach i myśląc tylko o ocaleniu skarbu. Nostromo podciągnął żagiel, pobiegł do steru i szarpnął liną jak szalony. Przelotny rozbłysk zapałki (nie zamokły w szczelnym, blaszanym pudełku, chociaż ich właściciel był zupełnie mokry), ostry rozbłysk zapałki ukazał pracującemu Decoudowi napięcie na twarzy towarzysza, pochylonej nad skrzynką z kompasem, i baczne spojrzenie jego oczu. Wiedział już, gdzie jest, i miał nadzieję doprowadzić tonącą lichtugę do płytkiej zatoczki na krańcu Wielkiej Izabeli, gdzie głęboki, zarośnięty chaszczami wąwóz rozszczepia na dwie równe części wysokie, urwiste brzegi.

Decoud pracował bez przerwy. Nostromo sterował, nie tracąc ani na chwilę wyrazu wytężenia swych szukających oczu. Zajęci pracą, obaj byli najzupełniej samotni. Nie przyszło im na myśl, by do siebie przemówić. Nie mieli ze sobą nic wspólnego prócz przeświadczenia, iż uszkodzona lichtuga z wolna, lecz niechybnie tonie. Przeświadczenie to, które było niby kamień probierczy ich pragnień, uczyniło ich zupełnie obcymi sobie, jak gdyby już podczas wstrząsu wywołanego zderzeniem uświadomili sobie, iż utrata lichtugi dla każdego z nich będzie miała odmienne znaczenie. Wspólne niebezpieczeństwo z cała jasnością uwidoczniło w ich osobistych odczuciach różnice między ich zamiarami, poglądami, charakterami i stanowiskami. Nie łączyły ich więzi przekonań, nie kojarzyła wspólna idea. Byli dwoma awanturnikami, z których każdy szukał swej własnej przygody i los tylko uwikłał ich w tę samą ostateczność śmiertelnego niebezpieczeństwa. Dlatego

nie mieli sobie nic do powiedzenia. Ale to niebezpieczeństwo, ta jedyna wspólna dla nich obu bezsporna prawda oddziaływała jak natchnienie na ich władze cielesne i duchowe.

Było to, zaiste, niemal cudem, iż *capataz* zdołał dotrzeć do zatoczki, nie mając innego przewodnika prócz mglistych zarysów wyspy oraz mdłego majaczenia niewielkiej smugi piasku. Lichtuga przybiła do brzegu w miejscu, gdzie między urwiskami zieje rozpadlina, a nikły, płytki strumyk wije się wśród chaszczy, by zatracić się w morzu. Obaj mężczyźni z milczącą, nieposkromioną energią zaczęli wyładowywać drogocenną zawartość łodzi, nosząc po jednej skrzynie z wołowej skóry przez chaszcze w górę łożyska strumyka do zagłębienia, powstałego pod korzeniami wielkiego drzewa wskutek obsunięcia się ziemi. Potężny, gładki pień pochylał się niby upadająca kolumna nad strużką wody, która sączyła się wśród rzadko wystających kamieni.

Kilka lat temu Nostromo spędził samotnie całą niedzielę, przetrząsając tę wyspę. Opowiedział o tym Decoudowi, gdy ukończyli pracę i siedzieli śmiertelnie znużeni, zwiesiwszy nogi z niewielkiego wzgórka i oparłszy się plecami o drzewo niby para ślepców, którzy dostrzegają siebie i swe otoczenie dzięki jakiemuś nieokreślonemu, szóstemu zmysłowi.

— Tak — powtórzył Nostromo — nigdy nie zapominam miejsca, które raz dokładnie obejrzałem.

Mówił powoli, niemal opieszale, jak gdyby miał przed sobą długie, beztroskie życie, a nie dwie skąpe godziny, które pozostały jeszcze do świtu. Istnienie skarbu, ledwie ukrytego na tym nieprawdopodobnym miejscu, nakładało brzemię tajemniczości na każdy rozważny krok, na wszelkie zamysły i zamierzenia przyszłego postępowania. Czuł, iż częściowe niepowodzenie jego rozpaczliwej wyprawy pozwalało mu się spodziewać wielkiego rozgłosu, który w wiadomy sobie sposób postanowił wyzyskać. Było to zresztą także częściowe powodzenie. Jego próżność została w połowie zaspokojona, rozdrażnienie nerwów uśmierzyło się.

— Nigdy nie wiadomo, co może wyjść człowiekowi na dobre — mówił dalej z właściwym sobie spokojem w głosie i zachowaniu. Spędziłem całą nędzną niedzielę, badając ten skrawek lądu.

— Zaiste, zajęcie godne mizantropa[217] — mruknął Decoud zjadliwie. — Pewno nie miał pan pieniędzy na grę i na uganianie się za dziewczętami w swych zwykłych przybytkach.

— *E vero!*[218] — zawołał *capataz*, tak zdumiony tą przenikliwością, że odezwał się w ojczystym języku. — Istotnie, nie miałem. Dlatego nie chciałem pójść między tę hołotę, która nawykła do mojej hojności. Wymagano jej od *capataza cargadorów*, którzy są bogaczami i mają opinię *caballeros* wśród pospólstwa. Grywam w karty tylko dla zabicia czasu, a co do dziewcząt, które chwalą się, że otwierały drzwi na moje pukanie, to wie pan, nie spojrzałbym na żadną dwa razy, gdyby nie chodziło mi o to, co gadają ludzie. Dziwni są ci ludzie z Sulaco. Nieraz dowiadywałem się różnych ważnych rzeczy, słuchając cierpliwie kobiet, o których wszyscy myśleli, że się w nich kocham. Biedna Teresa nie mogła tego nigdy zrozumieć. Otóż tej właśnie niedzieli dopiekła mi tak, że uciekłem z domu i poprzysiągłem sobie, iż przestąpię jego próg jeszcze tylko raz, po to, żeby zabrać swój hamak i skrzynkę z odzieżą. Señor, nie ma bodaj niczego gorszego niż kiedy kobieta, którą się szanuje, kpi w oczy człowiekowi z jego dobrego imienia, a on nie ma ani złamanego grosza w kieszeni. Odwiązałem łódkę i wypłynąłem z portu, mając przy sobie tylko trzy cygara, które miały być jedynym moim pokrzepieniem na tej wyspie. Ale okazało się, że woda tego potoku, szemrzącego pod pańskimi stopami, jest zimna i słodka i daje się pić zarówno przed paleniem, jak po paleniu. — Umilkł na chwilę, po czym dodał zamyślony: — Było to w tydzień po tym, jak przeprowadziłem przez góry tego białobrodego angielskiego *rica*, całą drogę w dół od Paramo na przełęczy Entrady, i to jeszcze w powozie. Jak świat światem nigdy przedtem powóz nie przejechał przez te góry i dopiero ja przeprowadziłem go, mając do pomocy pięćdziesięciu peonów, którzy jak jeden człowiek pracowali linami, oskardami i kołami pod moim kierownictwem. To

Kobieta, Mężczyzna, Honor

[217] *mizantrop* — osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]
[218] *E vero!* (wł.) — Prawda! [przypis edytorski]

był ten bogaty Anglik, o którym ludzie opowiadają, że łoży na budowę kolei. Był bardzo ze mnie zadowolony. Ale zapłatę otrzymałem dopiero z końcem miesiąca.

Zsunął się nagle ze wzgórza. Decoud usłyszał pluskanie jego stóp w potoku i podążył za nim w dół wąwozu. Jego postać znikła wśród krzaków i ukazała się dopiero na piaszczystej wydmie pod urwiskiem. Nie miało się jeszcze ku świtaniu, ale ciemność rozrzedziła się mocno nad ranem, jak to niejednokrotnie bywa w tej zatoce, gdy wczesną nocą padają częste i rzęsiste deszcze.

Lichtuga, uwolniona od drogocennego ładunku, kołysała się lekko, na wpół wynurzona z wody, z dziobem na piasku. Długa lina, rozpięta na smudze białej plaży jak pasmo czarnej bawełny, kończyła się małą kotwicą, którą Nostromo wyciągnął na ląd i zahaczył o pień jakiegoś rosochatego krzewu rosnącego u wylotu wąwozu.

Decoudowi nie pozostawało inne wyjście jak pozostać na wyspie. Otrzymał z rąk Nostroma całe zapasy żywności, jaka dzięki przezorności kapitana Mitchella znalazła się na lichtudze. Złożył je tymczasem w niewielkiej łódeczce, którą zdążyli już wyciągnąć na ląd i ukryć wśród chaszczy. Miał ją zatrzymać dla siebie. Wyspa miała być kryjówką, nie więzieniem; mógł dopłynąć na przepływający okręt. Statki pocztowe T.O.Ż.P., podążając z północy do Sulaco, przepływały tuż obok wyspy. Jednak „Minerwa", która zabrała na pokład byłego prezydenta, zawiozła na północ również nowiny o rozruchach w Sulaco. Możliwe, iż najbliższy następny parowiec płynący na południe otrzyma rozkaz, by ominąć ten port, bowiem oficerowie „Minerwy" wiedzieli, iż miasto zostało opanowane przez motłoch. To oznaczało, że przez miesiąc mogło nie być parowca, przynajmniej parowca pocztowego. Ale Decoud z tą możliwością musiał się pogodzić. Wyspa była dla niego jedynym schronieniem przed proskrypcją[219], która zawisła nad jego głową. *Capataz* oczywiście wracał. Nieobciążona lichtuga przeciekała znacznie mniej, więc miał nadzieję, że zdoła nią dopłynąć do portu.

Stojąc po kolana w wodzie, podał Decoudowi jedną z dwóch łopat, należących do wyposażenia każdej lichtugi i służących do rozmieszczania balastu wewnątrz łodzi. Pracując umiejętnie tą łopatą, gdy tylko się rozwidni, Decoud miał obsunąć zwał ziemi i kamieni zawieszony nad zagłębieniem, w którym złożyli skarby, w ten sposób, żeby wydawało się, że spadł pociągnięty własnym ciężarem. Zasypałby nie tylko zagłębienie, ale także ślady ich kroków, ich pracy, przesunięte kamienie, a nawet połamane krzewy.

— Zresztą czy komuś przyjdzie do głowy szukać tutaj pana albo tych skarbów? — gawędził dalej Nostromo, jak gdyby nie mógł rozstać się z tym miejscem. — Nikt tu nie lubi zaglądać. Bo i komuż jest potrzebny ten spłacheć ziemi, dopóki ma się stały ląd pod nogami? Tutejsi ludzie nie są ciekawi. Nie ma tu nawet rybaków, którzy by mogli się panu naprzykrzać. W tej zatoce ryby poławia się tylko tam dalej, w pobliżu Zapigi. Señor, gdyby pan musiał opuścić tę wyspę, zanim zdąży się panu przyjść z pomocą, niech pan się wystrzega Zapigi. To gniazdo złodziei i *matreros*, którzy od razu poderżnęliby panu gardło dla zegarka i złotego łańcuszka. I radzę, niech pan dwa razy pomyśli, zanim pan komukolwiek zaufa. Jeżeli się pan dostanie na pokład któregoś z parowców Towarzystwa, to lepiej mieć się na baczności nawet przed oficerami. Sama tylko uczciwość nie jest jeszcze rękojmią bezpieczeństwa. Trzeba szukać w ludziach dyskrecji i roztropności. I niech pan pamięta, zanim zdarzy się panu otworzyć usta do zwierzeń, iż ten skarb może tu bezpiecznie leżeć przez setki lat. Czas jest po jego stronie, señor. A srebro to metal, który się nie psuje i zachowuje swą wartość na wieki... To metal, który się nie psuje — powtórzył, jak gdyby ta myśl sprawiała mu wielką przyjemność.

— Mówi się podobnie o niektórych ludziach — odezwał się Decoud zagadkowo do *capataza*, który wyczerpywał wodę z lichtugi drewnianym wiaderkiem i wylewał ją do morza z miarowym pluskiem. Decoud, niepoprawny w swym sceptycyzmie, doszedł do wniosku, bez cynizmu, lecz ze szczerym zadowoleniem, że ten człowiek ustrzegł się zepsucia dzięki swej niezmiernej próżności, tej najsubtelniejszej odmianie egoizmu, która może przybrać wygląd każdej cnoty.

Nostromo przestał czerpać i, jakby tknięty nagłą myślą, rzucił z hałasem wiaderko na dno lichtugi.

[219] *proskrypcja* — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa z przyczyn politycznych. [przypis edytorski]

— Czy nie ma pan jakichś poleceń? — zagadnął cichszym głosem. — Proszę pamiętać, że będą mi zadawać pytania.

— Trzeba będzie obmyślić coś pocieszającego dla znajomych w mieście. Ufam pańskiej inteligencji i pańskiemu doświadczeniu, *capatazie*. Rozumie mnie pan?

— *Si, señor*... Dla pań.

— Tak, tak — rzekł Decoud śpiesznie. — Dzięki pańskiej nieporównanej opinii te słowa będą miały dla nich wielkie znaczenie, proszę zatem uważać na to, co pan powie. Spodziewam się — mówił dalej, doznając fatalnego przypływu pogardy do siebie samego, której poddawała się jego skomplikowana natura — podziewam się chwalebnego i pomyślnego zakończenia swego posłannictwa. Słyszy pan, *capatazie*? Mówiąc do señority, niech pan użyje słów: „chwalebny i pomyślny". Ze swojego zadania wywiązał się pan znakomicie i pomyślnie. Nie ulega wątpliwości, iż ocalił pan srebro kopalni. Nie tylko to srebro, ale prawdopodobnie całe srebro, które kiedykolwiek zostanie z niej wydobyte.

Nostromo wyczuł ironiczny ton.

— Ośmielę się powiedzieć, don Martinie — rzekł ponuro — że niewiele jest rzeczy, którym bym nie podołał. Niech pan spyta tych *signori* cudzoziemskich. Jestem człowiekiem z ludu, który nie zawsze rozumie, co pan ma na myśli. Ale jeżeli chodzi o ten skarb, który tu pozostanie beze mnie, to proszę pozwolić sobie powiedzieć, że byłbym dużo spokojniejszy, gdyby pana wcale ze mną nie było.

Okrzyk wyrwał się z ust Decouda, po czym nastąpiła chwila milczenia.

— Czy mam z panem powrócić do Sulaco? — zapytał gniewnym tonem.

— Czy mam pana położyć trupem na miejscu? — ofuknął go Nostromo pogardliwie. — Byłoby to samo, co zabrać pana do Sulaco. Niech pan się opamięta! Pańskie dobre imię związane jest z polityką, a moje z losem tego srebra. Czemu pan się dziwi, iż wolałbym, żeby prócz mnie nikt o nim nie wiedział? Nie trzeba mi było nikogo!

— Beze mnie nie utrzymałby pan lichtugi na powierzchni — wrzasnął niemal Decoud. — Byłby pan poszedł wraz z nią na dno!

— Zapewne — wycedził Nostromo z wolna — ale sam.

„Oto człowiek — pomyślał sobie Decoud — który, jak się zdaje, wolałby raczej skonać niż zniweczyć doskonałą formę swego egoizmu". Taki człowiek nie zawiedzie. Milcząc, dopomógł *capatazowi* wciągnąć kotwicę na pokład. Nostromo odbił od pochyłego brzegu jednym pchnięciem ciężkiego wiosła, a Decoud pozostał na wyspie sam, jak człowiek pogrążony we śnie. Nagle serce ścisnęło mu się pragnieniem usłyszenia jeszcze raz ludzkiego głosu. Lichtuga ledwie odcinała się od czarnej toni, na której się unosiła.

— Jak panu się zdaje, co stało się z Hirschem? — krzyknął.

— Przeleciał przez burtę i utonął — odpowiedział bez wahania głos Nostroma z czarnych bezmiarów nieba i morza, rozpościerających się dokoła wysepki. — Niech pan nie opuszcza wąwozu, señor! Postaram się odwiedzić pana najbliższej nocy lub następnej.

Lekki, świszczący szelest świadczył, iż Nostromo rozpina żagiel. Ten nadął się cały od razu z odgłosem, jakby ktoś uderzył w bęben. Decoud powrócił do wąwozu. Nostromo, nie wypuszczając steru z ręki, spoglądał od czasu do czasu na znikającą bryłę Wielkiej Izabeli, zlewającą się stopniowo z jednostajną tkaniną nocy. Kiedy po raz ostatni odwrócił głowę, nie dostrzegł już nic prócz ciemności, zwartej niby gruba ściana.

Wtedy i on także doznał uczucia samotności, które zaczęło gnębić Decouda, odkąd lichtuga odbiła od brzegu. O ile jednak wygnańca na wyspie dręczyło jakieś dziwaczne poczucie nierzeczywistości, obejmujące nawet ziemię, po której stąpał, o tyle umysł *capataza de cargadores* zwrócił się szybko ku zagadnieniu przyszłego działania. Uzdolnienia Nostroma, pracując równolegle, pozwalały mu sterować na wprost, wypatrywać Hermozy, koło której miał przepłynąć, i jednocześnie wyobrażać sobie, co stanie się jutro w Sulaco. Jutro, czyli raczej dzisiaj, bo miało się już ku świtaniu, Sotillo dowie się, w jaki sposób wywieziono skarb. Cała gromada *cargadorów* przenosiła sztaby z magazynów Urzędu Celnego na drezynę i ciągnęła tę drezynę na nabrzeże. Nastąpią aresztowania i na pewno już przed południem Sotillo będzie wiedział, w jaki sposób zniknęło srebro z Sulaco i kto był sprawcą tego zniknięcia.

Nostromo zamierzał popłynąć wprost do portu, ale tknięty tą myślą, nagłym zwrotem steru pchnął lichtugę przeciw wiatrowi i powściągnął jej szybki bieg. Powrót *capataza* tą samą łodzią wzbudziłby podejrzenia, wywołałby domysły, naprowadziłby Sotilla na trop.

Aresztowano by go, a gdyby się znalazł w *calabozo*[220], nie wiadomo, co by zrobili, żeby wymusić na nim zeznania. Polegał na sobie, ale powstał i rozejrzał się dokoła. Opodal wyzierała gładka jak stół, biała powierzchnia Hermozy, dokoła której pląsały wzdęte powiewem fale, zalewając z szumem jej brzegi. Lichtugę trzeba było natychmiast zatopić.

Pozwolił jej dryfować z żaglem skierowanym ku tyłowi masztu. Wewnątrz było sporo już wody. Pozwolił łodzi zbliżyć się do wejścia do portu, po czym, wypuściwszy ster z dłoni, przykucnął i zaczął obluzowywać czop. Wystarczyło było go wyjąć, a lichtuga zaraz napełniłaby się wodą, zaś mały żelazny balast, w który zaopatrzona była każda lichtuga, pociągnąłby ją na dno. Gdy znowu się podniósł, szum fal wokół Hermozy zdawał się dolatywać z daleka i niemal już ucichł. Mógł już rozróżnić zarys wybrzeża u wejścia do portu. Porywał się na czyn rozpaczliwy, ale był dobrym pływakiem. Jedna mila była dla niego niczym, a znał dogodne miejsce do wylądowania, poniżej wałów starego, opuszczonego fortu. Z dziwną natarczywością narzuciła się mu myśl, że fort będzie odpowiednim miejscem i że będzie można w nim przespać cały dzień po tylu bezsennych nocach.

Jednym uderzeniem steru, który w tym celu zdjął z zawiasów, wybił czop, ale nie zadał sobie trudu, by spuścić żagiel. Poczuł, że woda kłębi mu się mocno dokoła nóg, zanim skoczył do relingu. W samej koszuli i spodniach stał tam i czekał, nieruchomy i wyprostowany. Kiedy zaś statek zaczął zagłębiać się pod nim, rzucił się naprzód dalekim skokiem, wpadając w morze z potężnym pluskiem.

Natychmiast odwrócił głowę. W mgławym brzasku, który świtał zza gór, dostrzegł na gładkiej powierzchni wody górny kraniec żagla, ciemny, mokry trójkąt płótna, unoszony przez fale. Widział, jak zniknął, jakby wciągnięty w głąb, i podążył wpław w stronę wybrzeża.

[220]*calabozo* (hiszp.) — więzienie. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ TRZECIA. LATARNIA MORSKA

ROZDZIAŁ I

Gdy tylko lichtuga odbiła od brzegu i zniknęła w ciemnościach przystani, Europejczycy z Sulaco rozeszli się, by przygotować się na przyjęcie *regime'u* monterystowskiego, który nadciągał ku miastu i od gór, i od morza.

Odrobina trudu, jaką zadali sobie przy ładowaniu srebra, była ich ostatnią umówioną czynnością. Stanowiła ona zakończenie trzydniowego okresu pełnego niebezpieczeństw, podczas którego, jak głosiły dzienniki europejskie, ich energia ocaliła miasto od klęsk wywołanych zaburzeniami ulicznymi. U skraju pomostu kapitan Mitchell pożegnał ich życzeniem dobrej nocy i powrócił na ląd. Miał zamiar przechadzać się po drewnianym pomoście nabrzeża aż do chwili, kiedy nadpłynie statek z Esmeraldy. Inżynierowie ze sztabu kolejowego zabrali swych włoskich i baskijskich robotników i odprowadzili ich do zabudowań kolejowych, pozostawiając otwarty na cztery wiatry gmach Urzędu Celnego, którego broniono tak dzielnie pierwszego dnia rozruchów. Podwładni ich sprawowali się mężnie i wiernie podczas słynnych „trzech dni" w Sulaco. Ich wierność i męstwo przejawiły się w znacznej mierze raczej w obronie własnej niż w służbie interesów materialnych, którym poświęcił się Charles Gould. Wśród okrzyków, które rozlegały się z ust motłochu, bodaj najgłośniej huczała groźba zwiastująca śmierć cudzoziemcom. Było to, zaiste, nader pomyślną okolicznością dla Sulaco, iż stosunki między tymi przywiezionymi zza morza robotnikami a ludnością miejscową od samego początku były jednako złe.

Doktor Monygham, zmierzając w stronę drzwi kuchni Violów, przyglądał się temu odwrotowi, który oznaczał koniec współudziału cudzoziemskiego, był wycofaniem armii postępu materialnego z pobojowiska rewolucji costaguańskiej.

Od pochodni z drzewa świętojańskiego, niesionych na skrajach tego pochodu, dolatywał do jego nozdrzy przenikliwy zapach. Poświata pląsająca po frontowej ścianie domu wprawiała w drganie czarne głoski napisu „Albergo d'Italia Una", rozwleczone na całej długości ściany. Oczy doktora Monyghama mrużyły się od ostrego blasku. Kilku młodych ludzi, przeważnie smukłych i dorodnych, przewodniczyło temu tłumowi ciemnobrązowych twarzy, nad którymi migotały pochylone lufy karabinów. Mijając, pozdrawiali go poufałym skinieniem głowy. Doktor był powszechnie znany. Niektórzy z nich zapytywali ze zdziwieniem, co tu robi. Po czym kroczyli dalej na skrzydłach swego robotniczego zastępu, podążając za linią kolejową.

— Wycofuje pan swych ludzi z portu? — zagadnął doktor, zwracając się do naczelnego inżyniera, który towarzyszył Charlesowi Gouldowi w drodze powrotnej do miasta i szedł obok konia, trzymając rękę na łęku siodła. Zatrzymali się tuż przed otwartymi drzwiami, by nie zastępować drogi robotnikom.

— Niezwłocznie. Nie jesteśmy stronnictwem politycznym — odparł inżynier znacząco. — I nie chcielibyśmy stwarzać pozorów, które by upoważniały nowych naszych władców do zaczepienia kolei. Pan nic nie ma przeciwko temu, panie Gould?

— Najzupełniej — odezwał się obojętny głos Charlesa Goulda dochodzący z wysoka, spoza obrębu mgławego równoległoboku światła, które przez otwarte drzwi padało na drogę.

Jedyną troską naczelnego inżyniera było uniknąć starcia zarówno z Sotillem, którego oczekiwano z jednej strony, jak z Pedrem Monterem, który nadciągał z drugiej. Sulaco było dla niego stacją kolejową, węzłem, warsztatem, wielkim nagromadzeniem zapasów. Kolej broniła swej własności przeciwko motłochowi, ale politycznie była neutralna. Był dzielnym człowiekiem, lecz ten duch neutralności kazał mu nawiązać rokowania o rozejm z samozwańczymi przywódcami stronnictwa ludowego, posłami Fuentesem i Gamacho. Jeszcze kule latały w powietrzu, kiedy szedł przez *plaza* z tym poselstwem, powiewając nad głową białą serwetą, należącą do bielizny stołowej klubu „Amarilla".

Był wielce dumny z tego swojego dzieła; a ponieważ przyszło mu na myśl, iż doktor, zajęty całymi dniami przy rannych na patio Casa Gould, nie miał czasu rozpytywać się

o nowiny, więc zaczął zwięzłe opowiadanie. Przekazał trybunom ludu wiadomości, jakie otrzymał z obozowiska robotniczego o Pedrze Monterze. Zapewnił ich, że brat zwycięskiego generała może przybyć do Sulaco lada chwila. Señor Gamacho nie zawiódł jego oczekiwań i natychmiast przez okno obwieścił tę nowinę motłochowi, który polnymi drogami ruszył ławą w stronę Rincon. Obaj posłowie pożegnali go przyjacielskim uściskiem dłoni i wsiadłszy na konie, popędzili cwałem na spotkanie wielkiego człowieka.

— Zamydliłem im nieco oczy — przyznawał się naczelny inżynier — bo chociażby gnał bez wytchnienia, to nie będzie tu wcześniej niż jutro rano. Ale osiągnąłem swój cel. Zapewniłem kilka godzin spokoju pokonanemu stronnictwu. Nie wspomniałem im jednak ani słówkiem o Sotillu z obawy, żeby znowu nie zachciało się im opanować portu, co mogliby uczynić bądź to żeby go powitać, bądź też żeby mu się opierać — bo nie można wiedzieć, co nastąpi. Było tam srebro Goulda, a od tego srebra zależą resztki naszych nadziei. Przy tym wyszłaby zapewne na jaw ucieczka Decouda. Zdaje mi się, iż kolej przysłużyła się nieźle swym przyjaciołom, nie kompromitując się beznadziejnie. Teraz oba stronnictwa trzeba pozostawić im samym.

— Costaguana dla Costaguańczyków — wtrącił doktor ironicznie. — To piękny kraj i zaiste piękny plon nienawiści, mściwości, zbrodni i grabieży wypielęgnowali jego synowie.

— Jestem jednym z nich — zabrzmiał spokojny głos Charlesa Goulda — i muszę odjechać, żeby się zastanowić nad plonem własnych kłopotów. Czy moja żona pojechała wprost do domu, doktorze?

— Tak. Po tej stronie było całkiem spokojnie. Pani Gould zabrała ze sobą obie dziewczynki.

Charles Gould odjechał, a naczelny inżynier wszedł za doktorem do wnętrza.

— Ten człowiek to wcielenie spokoju — rzekł z uznaniem, siadając na ławie i wyciągając ku drzwiom swe kształtne nogi w pończochach do jazdy na rowerze. — Musi być ogromnie pewny siebie.

— Jeżeli pewny jest tylko siebie, to nie jest pewny niczego — rzekł doktor, zasiadłszy znów na końcu stołu. Na jednej dłoni wspierał policzek, a drugą podtrzymywał swój łokieć. — To ostatnia rzecz, której powinno się być pewnym.

Jarzący się mdłym światłem knot wypalonej do połowy świecy oświetlał od dołu jego pochylone oblicze, którego wyraz, spotęgowany bruzdami blizn na policzkach, miał coś jakby nienaturalnego, zastanawiał nasileniem pełnej wyrzutów goryczy. Siedząc w tej postawie, zdawał się rozmyślać nad jakimiś posępnymi rzeczami. Naczelny inżynier popatrzył na niego długo, zanim zaprzeczył:

— Nie sądzę, żeby tak było. Zapatruję się inaczej. Chociaż...

Był człowiekiem rozumnym, ale nie zdołał całkiem ukryć swej pogardy dla tego rodzaju paradoksu; bo też Europejczycy z Sulaco nie lubili doktora Monyghama. Zewnętrzny jego wygląd wyrzutka, którego nie pozbywał się nawet w salonie pani Gould, dawał powód do nieprzychylnych spostrzeżeń. Niepodobna było powątpiewać o jego inteligencji, a ponieważ od dwudziestu z górą lat przebywał w tym kraju, nie było można zbywać lekceważeniem pesymizmu jego poglądów. Jednak jego słuchacze, broniąc instynktownie swej działalności i swych nadziei, składali ten pesymizm na karb jakiejś utajonej ułomności w charakterze tego człowieka. Wiedziano, iż przed wielu laty, gdy był jeszcze zupełnie młody, Guzman Bento mianował go naczelnym lekarzem swej armii. Żaden z Europejczyków, którzy pozostawali wówczas w służbie costaguańskiej, nie był tak bardzo lubiony i ceniony przez srogiego, sędziwego dyktatora.

Jego późniejsze dzieje nie przedstawiały się tak jasno. Gubiły się wśród nieprzeliczonych opowieści o sprzysiężeniach i spiskach przeciwko tyranowi na podobieństwo strumienia, który wsiąknąwszy w jałową smugę piaszczystej okolicy, pojawia następnie pomniejszony, a może nawet zmącony, w jakimś innym miejscu. Doktor nie ukrywał, iż przez długie lata przebywał w najdzikszych pustkowiach republiki, wałęsając się z niemal nieznanymi plemionami indiańskimi po olbrzymich puszczach w głębi kraju, gdzie mają swe źródła wielkie rzeki. Była to jednak bezcelowa wędrówka; nie pisał o niczym, nie zbierał niczego, nie przyniósł żadnej wiedzy z mroku lasów, który przylgnął do jego skołatanej osobowości, plątającej się po Sulaco, dokąd dostał się przypadkiem, jak rozbitek wyrzucony na brzeg morski.

Wiedziano również, iż żył w niedostatku aż do przyjazdu Gouldów z Europy. Don Carlos i doña Emilia zaopiekowali się zwariowanym angielskim doktorem, kiedy się okazało, iż mimo jego dzikiej niezależności można go poskromić dobrocią. A może poskromił go tylko głód. Przed laty znał zapewne ojca Charlesa Goulda w Santa Marta, zaś obecnie, pomimo ciemnych skaz na kartach swych dziejów, jako lekarz kopalni San Tomé był uznaną osobistością. Uznawano go, ale nie przyjmowano bez zastrzeżeń. Ogrom wyzywającej ekscentryczności i nieskrywanej pogardy dla ludzi zdawał się świadczyć, iż z bezwzględnością sądu kojarzyła się u niego buta winy. Ponadto, odkąd znów wypłynął nieco na powierzchnię, zaczęły krążyć mętne pogłoski, iż przed laty miał zdradzić swego najlepszego przyjaciela. Stało się to podobno za czasów tak zwanego wielkiego spisku, kiedy popadł w niełaskę u Guzmana Bento i został wtrącony do więzienia. Nikt nie dawał wiary tym pogłoskom. Historia wielkiego spisku była beznadziejnie zagmatwana i niejasna. W Costaguanie panowało przekonanie, iż to sprzysiężenie było tylko wytworem rozstrojonej wyobraźni tyrana, że więc nie było można niczego ani nikogo zdradzić, chociaż na podstawie tego oskarżenia uwięziono i stracono bardzo wielu znakomitych Costaguańczyków. Dochodzenia wlokły się przez długie lata, dziesiątkując wyższe warstwy ludności niby zaraza. Nawet oznaki żalu po straconych krewnych podlegały karze śmierci. Don José Avellanos był może jedynym wśród żyjących, który znał w całości dzieje tych niewysłowionych okrucieństw. Sam ich doświadczył na sobie, lecz wszelką o nich wzmiankę miał zwyczaj zbywać wzruszeniem ramion i urwanym, nerwowym gestem ręki. Cokolwiek było tego przyczyną, doktor Monygham mimo wybitnego stanowiska, jakie zajmował w zarządzie koncesji Gouldów, mimo uniżonej czci okazywanej mu przez górników i mimo pobłażania, jakiego dla niezwykłości jego charakteru nie szczędziła mu pani Gould, stał nieco na uboczu.

To, że naczelny inżynier wstąpił do gospody wznoszącej się na równinie, nie wynikało z sympatii dla doktora. Starego Violę lubił znacznie bardziej. „Albergo d'Italia Una" skojarzyła się w jego odczuciach z koleją. Mieszkało tam wielu jego podwładnych. Niejako wyróżniała ją życzliwość, jaką pani Gould otaczała rodzinę jej właściciela. Naczelny inżynier, który rozkazywał całej armii robotników, umiał ocenić moralny wpływ, jaki stary Garibaldino wywierał na swych ziomków. Jego nieugięty, staroświecki republikanizm posiadał surowe, żołnierskie znamiona wierności i obowiązku, jak gdyby świat był polem bitwy, na którym ludzie powinni walczyć za powszechną miłość i braterstwo, a nie o większy lub mniejszy udział w zdobyczy.

— Biedny, stary dziwak! — rzekł, wysłuchawszy opowiadania doktora o Teresie. — Sam nie da sobie rady z tą gospodą. Martwi mnie to.

— Będzie odtąd całkiem samotny — wykrztusił doktor i machnął swą wielką głową w kierunku wąskiej klatki schodowej. — Nie ma przy nim ani żywej duszy, gdyż pani Gould zabrała przed chwilą dziewczęta. Do niedawna nie były tutaj zbyt bezpieczne. Jako lekarz nie mogę oczywiście zrobić nic więcej. Ale prosiła mnie, żebym nie opuszczał starego Violi; zgodziłem się bez sprzeciwu, bo nie mam konia, aby powrócić do kopalni, gdzie powinienem być. A w mieście obejdą się beze mnie.

— Mam wielką ochotę pozostać tu z panem, doktorze, dopóki nie zobaczymy, co będzie się działo w porcie dzisiejszej nocy — oświadczył naczelny inżynier. — Trzeba mu będzie oszczędzić nagabywania przez żołdactwo Sotilla, który może dotrzeć tu od razu. Sotillo bywał dla mnie bardzo uprzejmy u Gouldów i w klubie. Nie wyobrażam sobie, jak ten człowiek będzie miał odwagę spojrzeć swym tutejszym przyjaciołom w oczy.

— By otrząsnąć się z początkowego zakłopotania, każe prawdopodobnie rozstrzelać kilku z nich — rzekł doktor. — Wojskowemu, który przeszedł do przeciwnego obozu, nic w tym kraju nie wychodzi tak na dobre, jak kilka doraźnych egzekucji. — Mówił z posępną stanowczością, nie dopuszczającą sprzeciwu. Naczelny inżynier wcale go też nie próbował. Potrząsnął kilkakrotnie z ubolewaniem głową, po czym przemówił:

— Sądzę, że będziemy mogli jutro dać panu konie, doktorze. Nasi *peonowie* odebrali kilka skradzionych nam koni. Jadąc co koń wyskoczy wielkim zakolem na Los Hatos i poprzez skraj lasów, a trzymając się przy tym z dala od Rincon, może pan bez przeszkód dotrzeć do mostu San Tomé. Kopalnia, moim zdaniem, jest obecnie najbezpieczniejszym miejscem pobytu dla ludzi w jakikolwiek sposób skompromitowanych. Pragnąłbym, żeby kolej była równie trudna do wzięcia.

— A czy ja jestem skompromitowany? — wycedził z wolna doktor Monygham po krótkim milczeniu.

— Cała koncesja Gouldów jest skompromitowana. Nie mogła na zawsze pozostawać poza politycznym życiem tego kraju — jeśli te drgawki można nazwać życiem. Sęk w tym, czy może być wzięta? Musiała nadejść chwila, kiedy neutralność nie będzie już możliwa, i Charles Gould rozumiał to dobrze. Sądzę, że jest przygotowany na wszelką ostateczność. Człowiek tego pokroju na pewno nie zamierzał pozostawać bez końca na łasce zepsucia i ciemnoty. Znaczyło to być jeńcem w jaskini opryszków i okupem, który ma się w kieszeni, z dnia na dzień opłacać swe życie. Chodziło już nie o wolność, lecz o najzwyklejsze bezpieczeństwo, doktorze. Wiem, co mówię. Porównanie, na które pan wzrusza ramionami, jest najzupełniej trafne, zwłaszcza jeżeli wyobrazi pan sobie jeńca, który ma władzę ciągłego napełniania swych kieszeni za pomocą sposobów tak obcych zdolnościom jego prześladowców, jak gdyby były czymś magicznym. Zrozumiał pan to zapewne równie dobrze jak ja, doktorze. Był w położeniu gęsi, która znosi złote jaja. Wyłuszczyłem mu to wszystko, gdy sir John był tutaj. Jeniec głupich i chciwych opryszków jest zawsze na łasce pierwszego lepszego, idiotycznego szubrawca, który może strzelić mu w łeb w przystępie fantazji lub w nadziei niezwłocznego, tłustego połcia. Bajka o zabiciu gęsi, która niesie złote jaja, nie jest czczym wytworem mądrości ludzkiej. Nigdy nie utraci swego znaczenia. Oto dlaczego Charles Gould we właściwy sobie, skryty i głęboki sposób popierał mandat ribierystowski, ten pierwszy akt publiczny, który obiecywał mu bezpieczeństwo z nieprzekupnych pobudek. Ribieryzm zawiódł, podobnie jak wszystko rozumne zawodzi w tym kraju. Ale Gould jest logiczny, dążąc do ocalenia swych wielkich zasobów srebra. Zamiar Decouda, by wywołać kontrrewolucję, może być wykonalny lub nie, może mieć widoki powodzenia lub może ich nie mieć. Znając z doświadczenia ten rewolucyjny kontynent, dalibóg, nie mogę już liczyć się poważnie z ich metodami. Decoud odczytał nam swój szkic proklamacji i ze dwie godziny mówił bardzo dobrze o swym planie działania. Przytaczał argumenty, które mogły być wcale niezłe, gdyby nas, członków starych, trwałych organizacji politycznych i narodowych, nie wprawiał w osłupienie sam pomysł nowego państwa, który zrodził się w głowie młodego wartogłowa[221], z proklamacją w kieszeni ratującego się ucieczką do prostackiego, bajdurzącego, nieokrzesanego samochwała, który w tej części świata nosi tytuł generała. Brzmi to jak komiczna bajka, a jednak może się udać, ponieważ pozostaje w zgodzie z duchem tego kraju.

— Więc srebro wywieziono? — zapytał doktor chmurnie.

Naczelny inżynier wyjął z kieszeni zegarek.

— Wedle kapitana Mitchella, a on się na tym zna, powinno już być w odległości trzech do czterech mil od portu. A jak mówi Mitchell, Nostromo jest marynarzem, który umie wykorzystać wszelkie okoliczności. — Tu doktor chrząknął tak mocno, iż inżynier zmienił ton. — Ma pan nieszczególne wyobrażenie o tym pomyśle, doktorze? Ale czemu? Charles Gould postanowił zagrać w otwarte karty, chociaż nie jest człowiekiem, który zwykł zdawać sprawę ze swego postępowania nawet przed sobą samym; może też woli pozostawiać to innym. Możliwe, że częściowo tę grę podsunął mu Holroyd. Pozostaje ona jednak w zgodzie z jego charakterem i dlatego się powiodło. Czyż w Santa Marta nie nazwano go „królem Sulaco"? Przezwisko może być najlepszym dowodem powodzenia. Jest to, moim zdaniem, osadzeniem głowy żartu na tułowiu prawdy. Mój drogi panie, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Santa Marta, zdziwiłem się, jak wszyscy ci dziennikarze, demagodzy, posłowie, generałowie i sędziowie mizdrzyli się do opasłego adwokata bez klienteli, jedynie dlatego, iż był pełnomocnikiem koncesji Gouldów. Sir John po swym przyjeździe doznał tego samego wrażenia.

— Nowe państwo z tym niezdarnym dandysem Decoud w roli pierwszego prezydenta — dumał doktor Monygham, piastując w dłoni policzek i kiwając bez ustanku nogą.

— Dalibóg, i czemużby nie? — odparł naczelny inżynier nieoczekiwanie poważnym i poufnym głosem. Zdawało się, jak gdyby jakiś subtelny składnik atmosfery costaguańskiej zaszczepił mu lokalną wiarę w *pronunciamientos*. Od razu zaczął rozprawiać, jak jakiś doświadczony rewolucjonista, o tym gotowym narzędziu, którym mogłaby się posłużyć nietknięta armia w Caycie. W kilka dni będzie można sprowadzić ją z powrotem do Su-

[221] *wartogłów* (daw.) — narwaniec. [przypis edytorski]

laco, byleby tylko Decoudowi udało się od razu dotrzeć wzdłuż wybrzeża. Na czele wojsk stanąłby Barrios, który od Montera, swego dawniejszego rywala i zaciekłego wroga, może spodziewać się tylko kuli. Współudział Barriosa jest pewny. O ile zaś chodzi o jego armię, to ona również nie może spodziewać się niczego od Montera, nawet miesięcznego żołdu. Z tego punktu widzenia istnienie skarbu miało ogromne znaczenie. Wieść, iż ocalono go przed monterystami, będzie dla wojska z Cayty dostateczną pobudką, by stanęło po stronie nowego państwa.

Doktor się odwrócił i przyglądał się czas jakiś swemu towarzyszowi.

— Ten Decoud, jak widzę, umie przekonywać, chociaż jest jeszcze młody — odezwał się w końcu. — A jego nalegania polegały zapewne na tym, by Charles Gould pozwolił wywieźć cały zapas srebra na morze pod opieką tego jakiegoś Nostroma?

— Charles Gould — rzekł naczelny inżynier — jak zwykle nie uważał za stosowne napomknąć coś więcej o swych pobudkach. Pan wie, że nie lubi mówić. Ale my wszyscy znamy jego powód, a ma go tylko jeden: chodzi mu o bezpieczeństwo kopalni San Tomé i o zachowanie koncesji Gouldów w myśl jego układu z Holroydem. Holroyd jest drugim niepowszednim człowiekiem. Rozumieją wzajemnie swoje sfery wyobraźni. Jeden ma lat trzydzieści, drugi blisko sześćdziesiąt, a są jak stworzeni dla siebie. Być milionerem, i to takim jak Holroyd, to być wiecznie młodym. Śmiałość młodości polega na tym, iż zdaje się jej, że dysponuje nieograniczonym czasem, jednak milioner ma w ręku nieograniczone środki, a to jest lepsze. Długość życia jednostki ludzkiej jest czymś niepewnym, natomiast potęga milionów nie ulega wątpliwości. Zaszczepienie czystych form chrześcijaństwa na tym kontynencie jest mrzonką młodocianego entuzjasty, a usiłowałem już panu wytłumaczyć, dlaczego Holroyd w pięćdziesiątym ósmym roku życia jest niby człowiek, który stoi u jego progu. Nie jest misjonarzem, ale kopalnia San Tomé w tym go wyręcza. Czy pan da wiarę, iż nie mógł się powstrzymać, żeby nie wspomnieć o tej sprawie w czysto rzeczowej konferencji o finansach Costaguany, którą odbył przed laty z sir Johnem? Sir John wspomniał mi o tym ze zdumieniem w liście pisanym w drodze powrotnej, z San Francisco. Daję panu słowo, doktorze, iż rzeczy same w sobie nic nie są warte. Zaczynam wierzyć, iż jedyną rzetelną ich wartością jest treść duchowa, którą każdy z nas odkrywa we właściwej sobie formie działalności...

— Ba! — przerwał doktor, nie przestając kiwać leniwie nogą. — To pochlebstwo w stosunku do siebie samego. Pożywka dla próżności, dzięki której świat nie ustaje w biegu. Ale jak panu się zdaje, co stanie się z skarbem pływającym po zatoce z wielkim *capatazem* i wielkim politykiem?

— Dlaczego pan tak się o to troszczy, doktorze?

— Ja się troszczę? A cóż mnie to, do diabła, obchodzi? Nie zwykłem wkładać treści duchowej w swe pragnienia, osądy i czyny. Nie są dość przestronne, żeby było w nich miejsce na pochlebstwo w stosunku do samego siebie. Niech pan tylko pomyśli! Bardzo chciałem przynieść ulgę tej biednej kobiecie w jej ostatnich chwilach. I nie mogłem. Było to niepodobieństwem. Czy zajrzał pan kiedyś niepodobieństwu w oczy — a może, niby jakiś Napoleon kolejowy, nie ma pan tego słowa w swym słowniku?

— Czy jest już z nią tak bardzo źle? — spytał naczelny inżynier ze szczerym współczuciem.

Powolnym, ciężkim stąpaniem zatętniła podłoga na piętrze, wsparta na potężnych, wyciosanych z twardego drzewa belkach, które podtrzymywały powałę kuchni. Następnie z ciasnej klatki schodowej, pomieszczonej w grubym murze i tak wąskiej, iż jeden człowiek mógł tam się bronić przeciwko dwudziestu, doleciał szmer dwu głosów, jednego słabego i złamanego i drugiego, który mu odpowiadał, głęboki i łagodny, przytłaczając swym pełniejszym brzmieniem słabszy głos. Obaj mężczyźni pozostawali w głuchym milczeniu aż do chwili, kiedy dźwięki ucichły, po czym doktor wzruszył ramionami i wymamrotał:

— Coraz gorzej. I nic nie mógłbym pomóc, chociażbym teraz poszedł na górę.

Na górze i na dole nastąpiło przewlekłe milczenie.

— Coś mi się zdaje — zaczął inżynier przyciszonym głosem — że pan nie dowierza *capatazowi* kapitana Mitchella.

— Nie dowierzam mu? — cedził doktor przez zęby. — Moim zdaniem jest zdolny do wszystkiego, nawet do najbardziej niedorzecznej wierności. Pan wie, iż byłem ostatnim

człowiekiem, z którym rozmawiał przed opuszczeniem wybrzeża. Biedna kobieta, która kona tam na górze, chciała z nim się widzieć, więc wezwałem go do niej. Nie godzi się sprzeciwiać konającym. Była już taka spokojna i pełna rezygnacji, i oto ten drab w niespełna dziesięć minut zrobił czy powiedział coś takiego, że pogrążył ją w rozpaczy. Pan wie — mówił dalej doktor z wahaniem — iż kobiety we wszystkich okolicznościach i okresach życia są nieobliczalne; zdawało mi się więc nieraz, jak gdyby była w pewien sposób zakochana w tym *capatazie*. Ten hultaj ma niewątpliwie właściwy sobie wdzięk, gdyż inaczej nie byłby podbił serc całej ludności miejskiej. Nie, nie! Nie mówię głupstw. Może określiłem niewłaściwie to silne uczucie, jakiego doznawała w stosunku do niego. Może to była nierozumna, prosta postawa, jaką kobiety mają emocjonalnie skłonność przybierać w stosunku do mężczyzny. Pomiatała nim nieraz przede mną, co zresztą nie pozostaje w sprzeczności z moim domysłem. Bynajmniej. Zdawało mi się, iż ciągle myśli o nim. Miał wielkie znaczenie w jej życiu. Przyglądałem się tym ludziom. Ilekroć przyjeżdżałem z kopalni, pani Gould prosiła mnie, bym nie spuszczał ich z oka. Ona lubi Włochów; przebywała długo we Włoszech, jak mi się zdaje, i powzięła szczególną sympatię do tego starego Garibaldina. Niezwykły z niego dziwak! Natura twarda i marzycielska, pogrążona w republikanizmie swej młodości niby w jakimś obłoku. Dodawał bodźca mętnym mrzonkom *capataza* — ten stary, patetyczny, egzaltowany żebrak.

— Jakim mrzonkom? — dziwił się naczelny inżynier. — Moim zdaniem *capataz* był zawsze bardzo rozgarniętym i wrażliwym człowiekiem, nie znającym trwogi i nadzwyczaj użytecznym. Okazywał się ogromnie przydatny. Sir John, jadąc przez góry z Santa Marta, zachwycał się jego pomysłowością i zapobiegliwością. Później, jak pan zapewne wie, oddał nam niemałą przysługę, gdyż zawiadomił ówczesnego naczelnika policji o obecności kilku zawodowych złodziei, którzy przybyli z daleka do miasta, żeby ograbić nasz pociąg wiozący pieniądze na miesięczne wypłaty. Z wielką umiejętnością zorganizował dla Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej służbę przewozową w porcie. Umie wzbudzić posłuch, chociaż jest cudzoziemcem. Co prawda *cargadores* są tu również cudzoziemcami — przybyszami, *isleños*[222].

— Jego sława jest jego fortuną — mruknął doktor niechętnie.

— Człowiek ten dowiódł swej rzetelności w niezliczonych okolicznościach i w najrozmaitszy sposób — dowodził inżynier. — Gdy chodziło o to srebro, kapitan Mitchell oświadczył bardzo gorąco, iż jego *capataz* jest jedynym człowiekiem, któremu można zaufać. Oczywiście jako marynarzowi. Bo jeżeli chodziło o człowieka, to trzeba panu wiedzieć, iż Gould, Decoud i ja sam byliśmy zdania, że wszystko jedno, kto popłynie. Równie dobrze mógł to uczynić pierwszy lepszy żeglarz. Bo, proszę pana, cóż może złodziej począć z takim mnóstwem srebra? Gdyby z nim uciekł, musiałby w końcu gdzieś wylądować i czy zdołałby je ukryć przed oczyma mieszkańców wybrzeża? Wprost niepodobna było brać pod rozwagę takiej możliwości, zwłaszcza, że popłynął z nim Decoud. Bywały okoliczności, w których znacznie bardziej polegało się na dobrej woli *capataza*.

— On patrzył na to nieco inaczej — powiedział doktor. — Słyszałem, jak tu, w tej izbie, oświadczył, iż będzie to najrozpaczliwsza wyprawa jego życia. Wygłosił w mej obecności coś w rodzaju ostatniej woli i wyznaczył starego Violę na jej wykonawcę. Dalibóg, pan wie, iż nie wzbogaciła go ta jego wierność w stosunku do was, do ludzi z portu i z kolei! Zdaje mi się, iż wynagrodzeniem za jego prace bywają — jakby to powiedzieć? — jakieś wartości duchowe, gdyż inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć, co za licho go skłania do tej wierności względem pana, Goulda, Mitchella lub kogokolwiek innego. On dobrze poznał ten kraj. Wie, na przykład, iż taki Gamacho, poseł z Javiry, był najpospolitszym *tramposo*[223], małym kramarzem z Campo, który wyłudził na kredyt trochę towarów od Anzaniego, otworzył sklepik w dzikich stronach i został wybrany przez pijanych *mozos*, którzy czepiają się *estancji*, oraz przez zadłużonych u niego, najuboższych *rancheros*. A Gamacho, który jutro będzie prawdopodobnie wysokim naszym dostojnikiem, jest również cudzoziemcem, *isleño*. Byłby został *cargadorem* T.O.Ż.P., gdyby swej kariery życiowej nie był zaczął od tego, iż zamordował jakiegoś wędrownego kramarza w lasach i ukradł mu pakunek (co *posadero* z Rincon gotów jest stwierdzić przysięgą).

[222] *isleño* (hiszp.) — wyspiarz. [przypis edytorski]
[223] *tramposo* (hiszp.) — oszust. [przypis edytorski]

A czy panu się zdaje, że taki Gamacho mógłby tu zostać bohaterem ludowym, jak nasz *capataz*? Na pewno nie. Nie dorósł mu do pięt. Nie! Stanowczo ten Nostromo musi mieć bzika.

Gadanina doktora mierziła budowniczego kolei.

— Nie ma co o tym rozprawiać — rzekł filozoficznie. — Każdy człowiek ma swoje uzdolnienia. Szkoda, że pan nie słyszał, jak Gamacho przemawiał do swych zwolenników na ulicy. Mówił, jak gdyby wył, i krzyczał jak opętany, wywijając zaciśniętą pięścią nad głową i wychylając się do połowy ciała z okna. Tłuszcza stojąca na dole ryczała co chwili: „Precz z oligarchami! *Viva la libertad!*". Fuentes, który znajdował się wewnątrz pokoju, wyglądał przy tym nadzwyczaj marnie. Pan wie, iż jest on bratem Jorge Fuentesa, który przed kilku laty był przez pół roku ministrem spraw wewnętrznych. To człowiek bez sumienia, ale pochodzi z dobrej rodziny i jest nieźle wykształcony. W swoim czasie był dyrektorem ceł w Caycie. Ten idiotyczny bydlak, Gamacho, przyczepił się do niego wraz ze swą ciżbą najpodlejszego motłochu. Doprawdy, trudno wyobrazić sobie coś zabawniejszego niż jego chorobliwa trwoga przed tym opryszkiem.

Podniósł się z ławy i podszedł do drzwi, by zerknąć na port.

— Jest spokojnie — powiedział. — Ciekaw jestem, czy Sotillo naprawdę zamierza tu przybyć.

ROZDZIAŁ II

Kapitan Mitchell, przechadzając się po nabrzeżu, zadawał sobie to samo pytanie. Wciąż jeszcze zachodziła wątpliwość, czy właściwie zrozumiano telegrafistę z Esmeraldy, którego ostrzeżenie dotarło fragmentarycznie i z przerwami. Mimo to ten zacny człowiek postanowił nie kłaść się przed świtem, a może i wcale. Wyobrażał sobie, iż oddał ogromną przysługę Charlesowi Gouldowi. Myśląc o ocalonym srebrze, zacierał ręce z zadowoleniem. Z właściwą sobie prostodusznością był dumny, iż wziął udział w tej nadzwyczaj mądrze pomyślanej wyprawie. Dzięki niemu przybrała ona formę praktyczną, gdyż to on poddał pomysł, że będzie można przechwycić na morzu parowiec płynący na północ. Było to z korzyścią także dla przedsiębiorstwa, któremu służył, postradałoby bowiem cenny ładunek, gdyby skarb pozostał na lądzie i uległ konfiskacie. Niemała była też jego przyjemność z rozczarowania, jakie oczekiwało monterystów. Kapitan Mitchell nie był demokratą, gdyż właściwy mu temperament oraz długie przyzwyczajenie do wydawania rozkazów rozwinęły w nim poczucie władzy. Posuwał się tak daleko, iż nie skrywał swej pogardy nawet dla parlamentaryzmu.

— Jego ekscelencja, don Vincente Ribiera — mawiał — którego ja i Nostromo mieliśmy szczęście i zaszczyt ocalić od okrutnej śmierci, był nazbyt uległy w stosunku do kongresu. To był błąd, stanowczy błąd, panie.

Prostoduszny stary marynarz, zwierzchnik T.O.Ż.P., wyobrażał sobie, iż ostatnie trzy dni wyczerpały już do dna zasób zdumiewających niespodzianek w politycznym życiu Costaguany. Wyznawał potem, że późniejsze wypadki przekroczyły jego wyobraźnię. Zaczęło się od tego, iż Sulaco (skutkiem przejęcia kabli i dezorganizacji żeglugi parowców) przez całe dwa tygodnie było odcięte od reszty świata jak oblężona twierdza.

— Po prostu nie do wiary, a jednak tak było, panie. Przez całe dwa tygodnie.

Opowiadania o niesłychanych zdarzeniach z owych czasów oraz o potędze wrażeń, jakich doświadczył, nabierały komicznego wyrazu z powodu pretensjonalności, która zabarwiała jego gawędę. Rozpoczynał stale od zapewnienia, iż „od początku do końca tkwił w sednie rzeczy". Następnie opowiadał, jak wyprawiono srebro i jak nie mógł pozbyć się obawy, by „jego człowiek", który miał pokierować lichtugą, nie popełnił jakiegoś głupstwa. Chodziło nie tylko o utratę drogocennego kruszcu, ale także o życie miłego, zamożnego i światłego dżentelmena, señora Martina Decouda, który mógł wpaść w ręce swych politycznych nieprzyjaciół. Kapitan Mitchell przyznawał również, iż czuwając samotnie na wybrzeżu, ulegał niejakiej trosce o przyszłość całego kraju.

— Uczucie — tłumaczył — najzupełniej zrozumiałe u człowieka, który umie być wdzięczny za niejedną uprzejmość, jakiej doznał od najznakomitszych rodzin kupieckich oraz od innych niezależnych miejscowych dżentelmenów. Zaledwie ocaleni przez nas z rąk motłochu, mieli, jak mi się zdawało, postradać swe majętności i stać się pa-

stwą żołdactwa, które, jak wiadomo, podczas wojen domowych zwykło po barbarzyńsku postępować z mieszkańcami. Poza tym chodziło o oboje Gouldów, o męża i o żonę, do których czułem gorącą sympatię, wywołaną ich zacnością i gościnnością. Obawiałem się też o los dżentelmenów z klubu „Amarilla", którzy mianowali mnie członkiem honorowym i okazywali mi stale wiele względów i życzliwości, mając na uwadze zarówno mą godność agenta konsularnego, jak zaszczytne stanowisko kierownika w służbie wielkiego przedsiębiorstwa żeglugi parowej. Nie ukrywam, iż martwiłem się bardzo o pannę Antonię Avellanos, najpiękniejszą i najmilszą młodą osobę, z jaką kiedykolwiek miałem szczęście rozmawiać. Musiałem się też dobrze zastanowić, w jaki sposób zmiany na stanowiskach urzędniczych odbiją się na interesach naszego przedsiębiorstwa. Słowem, byłem bardzo niespokojny i ogromnie znużony tymi podniecającymi i wiekopomnymi wypadkami, w których po trosze wziąłem udział. Budynek Towarzystwa, w którym mieszkałem, znajdował się w odległości zaledwie pięciu minut drogi. Nęciła mnie kolacja, no i mój hamak (mam zwyczaj sypiać w hamaku, gdyż jest to najodpowiedniejsze posłanie w tym klimacie). Nie byłem w stanie nikomu przyjść z pomocą, a jednak nie mogłem odejść z nabrzeża, gdzie potykałem się wprost ze zmęczenia. Noc była nadzwyczaj ciemna, najciemniejsza, jakiej zaznałem w moim życiu, toteż pomyślałem sobie, iż z powodu utrudnionej żeglugi w zatoce transportowiec z Esmeraldy nie będzie mógł przybyć przed świtem. Moskity cięły jak wściekłe. Byliśmy tu udręczeni przez moskity, zanim nie poczyniono odpowiednich zarządzeń. Jest to plugastwo właściwe tutejszemu portowi, słynne ze swej zjadliwości. Unosiły się jak obłok nad moją głową i tylko dzięki ich dokuczliwości nie zdrzemnąłem się podczas tej przechadzki i nie padłem jak kłoda na ziemię. Paliłem cygaro po cygarze, nie tyle z upodobania do tego zielska, ile z obawy, by nie zagryzły mnie na śmierć. Otóż kiedy po raz dwudziesty przybliżałem mój zegarek do jarzącego się końca, by zobaczyć, która godzina, i stwierdziłem ze zdziwieniem, że jest za dziesięć minut dwunasta, usłyszałem dźwięk śruby okrętowej. Jest to niezawodne ostrzeżenie dla ucha marynarza podczas takiej spokojnej nocy. Odgłos był słaby, ponieważ płynęli nadzwyczaj wolno i ostrożnie, zarówno z powodu ciemności, jak i z obawy, byśmy ich zawczasu nie zauważyli. Ostrożność ta była najzupełniej zbyteczna, gdyż jestem przekonany, iż na wybrzeżu tej ogromnej zatoki nie było prócz mnie żywej duszy. Nawet stróże nocni, przepłoszeni rozruchami, nie przychodzili już od pewnego czasu na swe stanowiska. Rzuciłem cygaro i przydeptawszy je, stałem nieruchomo jak posąg, co zapewne bardzo podobało się moskitom, o ile mogłem sądzić o tym następnego ranka z wyglądu mej twarzy. Ale była to drobnostka w porównaniu z brutalnym postępowaniem, którego w stosunku do mnie dopuścił się Sotillo. Coś wprost niesłychanego, proszę pana! Raczej wybryki jakiegoś maniaka niż czyn człowieka zdrowego, chociażby nawet wyzutego ze wszelkiego poczucia przyzwoitości i honoru. Ale Sotillo był wściekły, że złodziejski plan mu się nie udał.

Kapitan Mitchell miał słuszność. Sotillo był istotnie rozwścieczony. Jednak kapitana Mitchella nie aresztowano od razu. Ciekawość skłoniła go do pozostania na nabrzeżu (które ma około czterystu stóp długości), aby zobaczyć, a raczej aby usłyszeć, jak będzie odbywało się lądowanie. Ukryty za drezyną kolejową, którą przywieziono srebro, a następnie odsunięto ku przybrzeżnemu krańcowi pomostu, kapitan Mitchell dostrzegł mały oddział, który ruszył naprzód i rozsypał się w różnych kierunkach po równinie. Tymczasem wojska wylądowały i sformowały kolumnę, której czoło, posuwając się stopniowo naprzód, zajęło niemal całą szerokość pomostu i znalazło się zaledwie o kilka jardów od niego. Następnie głuche pomruki, szczękania i szemrania ustały i cała ta masa czekała z godzinę nieruchomo i w milczeniu na powrót zwiadowców. Od strony lądu dolatywały tylko posępne ujadania brytanów strzegących składów kolejowych, przyciszonym szczekaniem odpowiadały im bezpańskie psy, wałęsające się na krańcach miasta. Gromadka ciemnych postaci stała na przedzie, oddzielona od czoła kolumny.

Po pewnym czasie wartownik na końcu pomostu zaczął półgłosem wzywać do podania hasła pojedyncze postacie, które zbliżały się od strony równiny. Powracający wysłannicy oddziałów zwiadowczych szybko mijali swych towarzyszy, zbywając ich krótkimi słowami, i gubili się w wielkiej, nieruchomej masie, by zdać raport przełożonym. Kapitan Mitchell zaczął właśnie zdawać sobie sprawę, że to jego położenie może stać się nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne, gdy wtem na przyczółku mola rozległ się okrzyk komendy,

zagrała trąbka, szczęknęła broń, szmer przeleciał wzdłuż szeregów. W pobliżu czyjś donośny głos rzucił pospieszny rozkaz: „Odsunąć ten wagon z drogi!". Słysząc tupot bosych stóp, spieszących, by wykonać polecenie, kapitan Mitchell odskoczył o dwa kroki w tył, a wagon, pchnięty nagle siłą wielu ramion, odtoczył się od niego po szynach. Zanim zrozumiał, co się stało, już go otoczono, pochwycono za ramiona i kołnierz płaszcza.

— Pojmaliśmy jakiegoś człowieka, który tu się ukrywał, *mi teniente*[224]! — krzyknął któryś z jego prześladowców.

— Trzymajcie go, dopóki nie przejdzie straż tylna — odpowiedział głos. Cała kolumna biegiem minęła kapitana Mitchella, a gromki tupot nóg ucichł nagle, gdy ludzie dobiegli do wybrzeża. Prześladowcy trzymali go mocno, nie zważając na jego donośne oświadczenia, że jest Anglikiem i że żąda, aby go natychmiast zaprowadzono do dowódcy. W końcu pogrążył się w wyniosłym milczeniu. Na deskach pomostu rozległ się głuchy łoskot kół; toczyło się kilka dział polowych, popychanych ludzkimi rękami. Za nimi wśród brzęku stalowych pochew przeszedł niewielki oddział, eskortujący cztery czy pięć postaci ludzkich, które kroczyły przodem. W końcu wzięto go pod ramiona i poprowadzono z pomostu do Urzędu Celnego. Niestety można przypuszczać, że podczas tego pochodu kapitan Mitchell doznał pewnych zniewag ze strony żołnierzy: potrącano go, bito w kark, szturchano lufami karabinów między łopatki. Ich pojęcie o pośpiechu nie pozostawało w zgodzie z jego poczuciem godności własnej. Zakipiał z gniewu, poczerwieniał, ale był zupełnie bezsilny. Zdawało się mu, iż zbliża się koniec świata.

Długi budynek otaczało wojsko, które już ustawiło karabiny w kozły i układało się do spoczynku na swych *ponchos*, mając tornistry za wezgłowie. Kaprale chodzili z rozkołysanymi latarniami, ustawiając warty przy wszystkich drzwiach i otworach w murach. Sotillo wydał takie rozporządzenia, jak gdyby wewnątrz rzeczywiście znajdowały się skarby. Chęć zdobycia fortuny jednym śmiałym pociągnięciem wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Nie chciał uwierzyć w możliwość niepowodzenia, najlżejsza wzmianka o czymś podobnym zalewała mu mózg wściekłością. Każda niepomyślna okoliczność wydawała się mu nieprawdopodobna. Opowiadania Hirscha, które zadawało fatalny cios jego nadziejom, nie wziął zupełnie pod rozwagę. Co prawda, Hirsch opowiadał tak bezładnie i z tak widocznymi oznakami pomieszania, że jego słowa rzeczywiście raziły nieprawdopodobieństwem. Było niezmiernie trudno dorozumieć się z nich początku i końca. Na pokładzie parowca, bezpośrednio po jego ocaleniu, Sotillo i inni oficerowie, pałając podnieceniem i niecierpliwością, nie pozostawili temu biedakowi ani chwili na zebranie odrobiny przytomności, która mu jeszcze pozostała. Należało go wpierw uspokoić, pokrzepić, ułagodzić, tymczasem przemawiano doń groźnie, obchodzono się z nim srogo, bito go i popychano. Jego drgawki, jego łaszenia się i przyklękania, po których następowały opętańcze skoki, jak gdyby koniecznie chciał się rzucić w morze, jego wrzaski, kurczenie się i dzikie spojrzenia napełniły ich zrazu zdumieniem, lecz wkrótce nasunęły im podejrzenia co do jego dobrej woli, gdyż ludzie zawsze zwykli podejrzewać nieszczerość w każdym zapamiętałym przejawie uczuć. Język hiszpański tak mu się poplątał z niemiecczyzną, iż więcej niż połowa jego opowieści była najzupełniej niezrozumiała. Chciał ich przebłagać, nazywając ich *hochwohlgeborene Herren*[225], co brzmiało nader podejrzanie. Gdy go upominano surowo, by nie kręcił, powtarzał znów swe błagania i zapewnienia o swej rzetelności i niewinności, uporczywie po niemiecku, nie zdając sobie sprawy, jakim mówi językiem. Wiedziano oczywiście doskonale, że jest mieszkańcem Esmeraldy, ale to bynajmniej nie rozwiązywało sprawy. Zapomniawszy nazwiska Decouda, pomieszał go z innymi osobami, które spotkał w Casa Gould, i wywołał wrażenie, jak wszyscy oni znajdowali się również na lichtudze. Sotillo przez chwilę mógł mniemać, iż zatopił wszystkich wybitnych ribierzystów ze Sulaco. Nieprawdopodobieństwo tego faktu podało w wątpliwość całą opowieść. Hirsch albo był obłąkany, albo udawał trwogę i roztargnienie, grając na zwłokę, by ukryć prawdę. Łapczywość Sotilla, podniecona do najwyższego stopnia nadzieją olbrzymiego łupu, nie chciała wierzyć w przeciwności. Być może, iż ten Żyd był rzeczywiście przerażony wypadkiem, który go spotkał, ale wiedział, gdzie schowano srebro, i z żydowską przebiegłością zmyślał tę opowieść, by zupełnie zmylić mu tropy.

Antysemityzm

[224] *mi teniente* (hiszp.) — poruczniku. [przypis edytorski]

[225] *hochwohlgeborene Herren* (niem.) — jaśnie wielmożni panowie. [przypis edytorski]

Sotillo zakwaterował się na piętrze w wielkiej komnacie o potężnych, czarnych belkach. Nie było tam pułapu i oko gubiło się w mrokach pod wysokimi wiązaniami dachu. Ciężkie okiennice stały otworem. Na długim stole widniał wielki kałamarz, kilka uszkodzonych i umazanych atramentem piór oraz dwie kwadratowe drewniane skrzynki, z których każda zawierała pół centnara[226] piasku. Arkusze szarego, szorstkiego papieru kancelaryjnego leżały rozrzucone na podłodze. Było to widocznie miejsce urzędowania jakiegoś wyższego urzędnika celnego, gdyż za stołem stał wielki, obity skórą fotel oraz kilka krzeseł o wysokich oparciach. Z jednej z belek zwieszał się wygodny hamak, zapewne urzędnik odbywał w nim swą popołudniową sjestę. Kilka świec w wysokich żelaznych lichtarzach jaśniało mdłym, czerwonawym światłem. Między nimi leżał kapelusz, szabla i rewolwer pułkownika. Kilku zaufanych oficerów rozwaliło się posępnie dokoła stołu. Sam pułkownik siedział na fotelu, a ogromny Murzyn z odznakami sierżanta na podartym rękawie klęczał przed nim i zdejmował mu buty. Hebanowoczarny wąs Sotilla silnie kontrastował z bladością jego twarzy. Chmurne oczy jakby zapadły się w głąb głowy. Wydawał się być wyczerpany swymi rozterkami, znużony od rozczarowań, ale kiedy wartownik, który stał na schodach, wsunął głowę przez drzwi i oznajmił o przybyciu jeńca, odżył natychmiast.

— Wprowadzić go tu! — wrzasnął groźnie.

Drzwi otwarły się na oścież i kapitan Mitchell, z obnażoną głową, z porozpinaną kamizelką, z węzłem krawata gdzieś pod uchem, wpadł do pokoju.

Sotillo poznał go od razu. Drogocenność tej zdobyczy przeszła jego oczekiwania. Oto miał człowieka, który może mu powiedzieć, jeżeli zechce, wszystko, o co mu chodziło. I od razu przyszło mu na myśl pytanie, w jaki sposób będzie go można najłatwiej skłonić do szczerych zeznań. Gniew ze strony obcego państwa nie przeważał Sotilla. Potęga całej zbrojnej Europy nie byłaby uchroniła kapitana Mitchella przed obelgami i zniewagami, gdyby nie nagła refleksja Sotilla, że ma do czynienia z Anglikiem, który przy złym traktowaniu najpewniej się uprze i całkiem nie będzie można sobie z nim poradzić. Na wszelki wypadek pułkownik rozpogodził zachmurzone czoło.

— Co to? Szanowny señor Mitchell! — zawołał z udaną zgrozą. Tak spiesznie podbiegł z pozornym gniewem i tak rozkazująco krzyknął: — Puścić mi natychmiast tego *caballera* — iż zdumieni żołnierze odskoczyli od swego jeńca. Pozbawiony w ten sposób przymusowego oparcia, kapitan Mitchell zatoczył się i omal nie upadł. Sotillo wziął go poufale pod ramię, posadził na krześle, po czym skinął ręką w głąb pokoju. — Wyjdźcie stąd wszyscy! — rozkazał.

Gdy odeszli, stał, spoglądając w niepewności i w milczeniu, i czekał, aż kapitan Mitchell odzyska mowę.

Oto miał w swych szponach jednego z ludzi, którzy zajmowali się wywiezieniem srebra. Zgodnie ze swoim temperamentem Sotillo czuł ochotę, żeby go pobić, podobnie jak kiedyś, podczas trudnych targów o pożyczkę z przezornym Anzanim, swędziały go palce, by chwycić kramarza za gardło. Zaś kapitan Mitchell nie mógł po prostu zebrać myśli z powodu nagłości, niespodziewaności oraz istnej niepojętości zdarzeń. Przy tym dosłownie zabrakło mu tchu.

— Po drodze trzy razy przewrócono mnie na ziemię — wystękał w końcu. — Ktoś za to odpowie! — Istotnie potykał się parę razy i wleczono go, zanim znów nie stanął na nogach. Przyszedłszy do siebie, zapamiętał się po prostu z oburzenia. Zerwał się na równe nogi, purpurowy, ze zjeżonym siwym włosem i mściwymi płomykami w źrenicach, potrząsając łachmanami poszarpanej kamizelki przed zmieszanym Sotillem. — Niech pan spojrzy! Ci pańscy umundurowani złodzieje z dołu ukradli mi zegarek.

Wygląd starego marynarza był bardzo groźny. Sotillo zdał sobie sprawę, że nie ma dostępu do stołu, na którym leżała jego szabla i rewolwer.

— Żądam zwrotu i przeprosin! — piorunował Mitchell zapamiętale. — Od pana! Tak jest, od pana!

Przez jedno mgnienie pułkownik stał jak skamieniały; kiedy jednak kapitan Mitchell zamachnął się ręką ku stołowi, jakby chciał chwycić rewolwer, Sotillo z okrzykiem przerażenia skoczył do drzwiom i znikł jak błyskawica, zatrzaskując je za sobą. Pod wpływem

[226] *centnar* — jednostka masy równa 112 funtom, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

zdumienia wściekłość kapitana Mitchella przycichła. Sotillo wrzasnął za zamkniętymi drzwiami i wkrótce rozległ się donośny łomot nóg po drewnianych schodach.

— Rozbroić go! Związać go! — huczał głos pułkownika.

Kapitan Mitchell ledwie zdążył zerknąć na okna, jak wiedział, każde zakratowane trzema żelaznymi, prostopadłymi prętami i znajdujące się dwadzieścia stóp ponad ziemią, gdy drzwi się otworzyły i żołnierze rzucili się na niego. W nieprawdopodobnie krótkim czasie przywiązano go do krzesła rzemieniem w ten sposób, iż tylko głowa pozostała wolna. Dopiero wówczas do pokoju odważył się wejść Sotillo, który przedtem stał w drzwiach, trzęsąc się widocznie. Żołnierze odeszli, pozbierawszy z podłogi karabiny, które porzucili, by ręcznie zmagać się z jeńcem. W pokoju pozostali oficerowie, wsparci na swych szablach.

— Zegarek! zegarek! — szalał pułkownik, rzucając się jak tygrys w klatce. — Oddać mi zegarek tego człowieka!

Kapitanowi Mitchellowi, zanim go postawiono przed Sotillem, rzeczywiście zabrano w sieni, na dole, zegarek z łańcuszkiem, niby to szukając broni. Ale przedmiot znalazł się natychmiast na wezwanie pułkownika i jakiś kapral przyniósł go, trzymając ostrożnie w złożonych dłoniach. Sotillo porwał zegarek i trzymając go w zaciśniętej pięści, zaczął nim wymachiwać wokół twarzy kapitana Mitchella.

— Co teraz, ty bezczelny Angliku! Śmiałeś naszych żołnierzy nazywać złodziejami? Masz tu swój zegarek!

Zamachnął się pięścią, jakby chciał uderzyć jeńca w nos. Kapitan Mitchell, bezsilny jak dziecko w powijakach, spoglądał niespokojnie na złoty chronometr, wartości sześćdziesięciu gwinei[227], który przed laty otrzymał w darze od Towarzystwa Asekuracyjnego za ocalenie pewnego okrętu od pożaru. Sotillo również zauważył wartość przedmiotu. Umilkł nagle, podszedł do stołu i zaczął starannie oglądać zegarek przy blasku świec. Oficerowie skupili się dokoła niego i zaglądali spoza jego pleców, wyciągając szyje.

Tak bardzo się zainteresował, że na chwilę zapomniał o swym jeńcu. Jest zawsze coś dziecinnego w drapieżności namiętnych, a trzeźwo myślących ras południowych, pozbawionych mglistego idealizmu ludzi z Północy, którzy przy najlżejszej zachęcie marzą co najmniej o podboju świata. Sotillo przepadał za klejnotami, złotymi cackami, osobistymi ozdobami. Po chwili odwrócił się i rozkazującym gestem odsunął precz swych oficerów. Położył zegarek na stole, po czym niedbałym ruchem przykrył go swym kapeluszem.

— Ha! — zaczął na nowo, podszedłszy bardzo blisko do krzesła. — Śmiesz nazywać naszych dzielnych żołnierzy z pułku Esmeraldy złodziejami? Ty śmiesz? Co za bezczelność! Wy, cudzoziemcy, przyjeżdżacie tutaj, by ograbiać nasz kraj z jego bogactw. Nigdy nie macie dosyć. Wasze zuchwalstwo nie zna granic.

Rzucił okiem w stronę oficerów, między którymi wszczął się potakujący szmer. Stary major uznał za właściwe oświadczyć:

— *Si, mi colonel*[228]. Oni wszyscy są zdrajcami.

— Nie wspomnę już — mówił dalej Sotillo, spoglądając na nieruchomego i bezsilnego Mitchella złym, niespokojnym spojrzeniem. — Nie wspomnę już o zdradzieckiej próbie pochwycenia mojego rewolweru i zastrzelenia mnie w chwili, kiedy obchodziłem się tobą z taką uprzejmością, na jaką nie zasłużyłeś. Sam siebie zgubiłeś. Jedyną twoją nadzieją jest moja łaskawość.

Śledził, jakie wrażenie wywarły jego słowa, ale na twarzy kapitana Mitchella nie dopatrzył się żadnych oznak strachu. Jego siwe włosy były pełne kurzu, który pokrywał również resztę jego bezbronnej postaci. Nie dbając o usłyszane słowa, ściągnął brew, by pozbyć się źdźbła słomy, które się w nią wplątało.

Sotillo wysunął nogę naprzód i podparł się pod boki.

— To ty jesteś złodziejem — odezwał się z naciskiem — a nie moi żołnierze. — Wyciągnął ku swemu jeńcowi palec o długim paznokciu kształtu półksiężyca. — Gdzie jest srebro z kopalni San Tomé? Pytam ciebie, Mitchell, gdzie jest srebro, które znajdowało

[227] *gwinea* — dawna angielska moneta ze złota, później zwyczajowa nazwa jednostki obrachunkowej równej 21 szylingom (funt i jeden szyling), używana głównie do określania cen towarów luksusowych, honorariów itp. [przypis edytorski]

[228] *Si, mi colonel* (hiszp.) — Tak, pułkowniku. [przypis edytorski]

się tu, w tym Urzędzie Celnym? Odpowiedz mi na moje pytanie! Ukradłeś je. Wziąłeś udział w jego kradzieży. Skradliście je rządowi. Aha! Zdaje ci się, że nie wiem, co mówię. Znam ja się na waszych cudzoziemskich wybiegach! To srebro wywieziono. Czy nie? Wywieziono je na jednej z twoich *lanchas*[229], ty łajdaku! Jak śmiałeś?

Tym razem wywołał wrażenie. „Skąd, u licha, Sotillo może o tym wiedzieć?" — myślał Mitchell. Nagłe drgnięcie głowy, tej jedynej części ciała, którą mógł poruszyć, zdradziło jego zdumienie.

— Ha! Drżysz! — ryknął nagle Sotillo. — To spisek! To zbrodnia przeciw państwu. Nie wiedziałeś, że to srebro należy do republiki, dopóki nie zostaną zaspokojone roszczenia rządu? Gdzie ono jest? Gdzieś je ukrył, ty podły złodzieju?

Pytanie to pokrzepiło mdlejącą otuchę kapitana Mitchella. Sotillo w jakiś niepojęty sposób dowiedział się wprawdzie o lichtudze, ale jej nie schwytał. To było jasne. Kapitan Mitchell postanowił w swym znieważonym sercu, iż nie powie ani słowa, jak długo będzie tak haniebnie skrępowany, ale chęć, by dopomóc w ocaleniu srebra, kazała mu odstąpić od tego postanowienia. Wytężył całą inteligencję. Odkrył w Sotillu cień wątpliwości, jakąś niepewność.

„Ten człowiek — pomyślał — nie jest pewien tego, co utrzymuje". Mimo swej pompatyczności w stosunkach towarzyskich, kapitan Mitchell umiał stawiać czoło rzeczywistości życia ze stanowczością i odwagą. Ochłonąwszy z pierwszego wstrząsu wywołanego ohydną zniewagą, był chłodny i skupiony. Dodawała mu sił bezgraniczna pogarda, jaką czuł dla Sotilla. Odezwał się zagadkowo:

— Do tej pory z pewnością jest już dobrze ukryte.

Sotillo zdążył również ochłonąć.

— *Muy bien*, Mitchell — rzekł zimnym i groźnym głosem. — Ale czy możesz wykazać się pokwitowaniem rządowym za wpłacony podatek oraz pozwoleniem Urzędu Celnego na wywóz, co? Możesz? Nie. Zatem srebro wywieziono bezprawnie, a winowajca będzie pociągnięty do odpowiedzialności, o ile w przeciągu pięciu dni go nie zwróci.

Wydał rozkaz, by jeńca odwiązano i zamknięto w jednym z mniejszych pokoi na dole, po czym zaczął się przechadzać, chmurny i milczący. Tymczasem kapitan Mitchell, którego trzymało za ramiona po dwu ludzi, powstał, otrząsnął się i tupnął nogą.

— Jak ci się podobało bycie związanym, Mitchell? — spytał drwiąco Sotillo.

— To ohydne, niesłychane nadużycie władzy! — oświadczył kapitan Mitchell donośnym głosem. — I zaręczam panu, że nic pan na tym nie zyska bez względu na to, co pan zamierza.

Wysoki, blady pułkownik o kruczoczarnych kędziorach i wąsach przykucnął, by zajrzeć w oczy niskiemu, krępemu jeńcowi o czerwonej twarzy i rozczochranych, siwych włosach.

— Zobaczymy. Pozna pan lepiej moją władzę, gdy przywiązany do słupka postoi pan na słońcu przez cały dzień. — Wyprostował się dumnie i dał znak, żeby wyprowadzono kapitana Mitchella.

— A co z moim zegarkiem? — krzyczał kapitan Mitchell, opierając się żołnierzom, którzy ciągnęli go do drzwi.

Sotillo zwrócił się do oficerów:

— Posłuchajcie no, *caballeros*, tego *picaro*[230] — odezwał się z udaną pogardą, a na jego słowa odpowiedział chór drwiących śmiechów. — Upomina się o swój zegarek. — Podbiegł znów do kapitana Mitchella, gdyż z całych sił zapragnął dać ujście swym uczuciom, bijąc i katując tego Anglika. — Twój zegarek! Jesteś jeńcem wojennym, Mitchell! Nie masz ani praw, ani własności! *Caramba!* Nawet twoja dusza należy do mnie. Pamiętaj to sobie!

— Gadaj sobie zdrów! — rzekł kapitan Mitchell, skrywając niemiłe wrażenie.

Na dole, w wielkiej sali, gdzie zamiast podłogi była ubita ziemia, a w narożniku wznosił się wysoki kopiec usypany przez białe mrówki, żołnierze rozpalili niewielkie ognisko z połamanych stołów i krzeseł w pobliżu sklepionej bramy, przez którą dolatywał nikły szmer fal morskich, łamiących się na plaży. Gdy kapitana Mitchella prowadzono po

[229] *lancha* (hiszp.) — łódź. [przypis edytorski]
[230] *picaro* (hiszp.) — hultaj. [przypis edytorski]

schodach na dół, minął go jakiś oficer, spieszący na górę do Sotilla z meldunkiem, że pojmano kolejnych jeńców. W mrocznej przestrzeni wielkiej sali kłębiły się smugi dymu, ogień trzaskał i jak gdyby przez mgłę kapitan Mitchell, otoczony niskimi postaciami żołnierzy z najeżonymi bagnetami, dostrzegł głowy trzech wysokich jeńców: doktora, naczelnego inżyniera oraz białą lwią grzywę starego Violi, który stał na pół odwrócony od innych, z głową opuszczoną na piersi i skrzyżowanymi rękami. Zdumienie Mitchella nie miało granic. Krzyknął na cały głos, a tamci odpowiedzieli mu okrzykiem. Ale popędzono go dalej przez wielką salę podobną do pieczary. W głowie wirowały mu strzępy myśli, przypuszczeń, ostrzeżeń.

— Czy on naprawdę pana więzi? — krzyknął naczelny inżynier, którego monokl błyskał w poświacie ognia.

Jakiś oficer zawołał z góry nagląco:

— Dawać ich tutaj wszystkich trzech!

W rozgwarze głosów i szczęku broni głos kapitana Mitchella zabrzmiał niewyraźnie:

— Na Boga! Ten hultaj ukradł mi zegarek.

Naczelny inżynier, wleczony już na schody, zdążył na chwilę powstrzymać napór i krzyknąć:

— Co? Co pan powiedział?

— Mój chronometr! — wrzasnął kapitan Mitchell donośnie właśnie w chwili, kiedy przez wąskie drzwiczki wtrącono go na złamanie karku do jakiejś celi, zupełnie ciemnej i tak ciasnej, że potoczył się aż do przeciwległej ściany. Natychmiast zatrzaśnięto za nim drzwi. Wiedział, dokąd go wrzucono. Był to skarbiec Urzędu Celnego, skąd zaledwie przed kilku godzinami zabrano srebro. Cela ta była wąska jak korytarz i miała naprzeciwko drzwi niewielki, kwadratowy otwór, zakratowany potężnymi prętami. Kapitan Mitchell stąpał przez chwilę chwiejnym krokiem, po czym usiadł na ziemi i oparł się plecami o ścianę. Nic nie mąciło jego rozmyślań, nie wnikał nawet najniklejszy promyk światła. Myśli jego były twarde, choć nie wybiegały zbyt daleko. Nie były też z ponure. Stary marynarz mimo swych słabostek i niedorzeczności był z usposobienia niezdolny do dłuższych obaw o swe osobiste bezpieczeństwo. Wynikało to u niego nie tyle z mocy ducha, co z braku pewnego rodzaju wyobraźni, której nadmierny rozwój był przyczyną dotkliwych cierpień señora Hirscha. Jest to ten rodzaj wyobraźni, która ślepy lęk przed fizycznym bólem i śmiercią, pojętą tylko jako unicestwienie ciała, kojarzy z innymi pojęciami, na których polega sens istnienia jednostki. Niestety kapitan Mitchell nie miał zbyt wiele przenikliwości; charakterystyczne, znamienne drobnostki wyrazu twarzy, czynu czy ruchu uchodziły zupełnie jego uwagi. Zbyt pompatycznie i naiwnie zdawał sobie sprawę z własnego istnienia, by zajmować się istnieniem innych. Nie mógł na przykład uwierzyć, że Sotillo rzeczywiście się go przestraszył, ponieważ nie przyszłoby mu nigdy do głowy strzelić do kogoś, chyba w ostateczności własnej obrony. Wszyscy powinni widzieć, iż nie jest on z tych, co mordują ludzi — rozumował najzupełniej poważnie. — Skądże więc to niewczesne i ubliżające oskarżenie? — zadawał sobie pytanie. Atoli jego myśli wirowały głównie dokoła zdumiewającego pytania, na które nie było odpowiedzi: Od jakiego diabła ten hultaj dowiedział się, iż srebro wywieziono na lichtudze? A było rzeczą oczywistą, że jej nie przechwycił! Co do tego ostatniego wniosku sprowadzało kapitana Mitchella na mylne drogi przypuszczenie, wysnute podczas długiego czuwania w porcie ze spostrzeżeń nad stanem pogody. Zdawało mu się mianowicie, iż tej nocy wiał w zatoce wiatr, silniejszy niż zazwyczaj, tymczasem było właśnie wręcz przeciwnie.

— Jakim cudem ten zatracony hultaj zdołał wywąchać tę sprawę? — brzmiało jego pierwsze pytanie, gdy trzask i łomot otwierających się drzwi (które zamknęły się znów, zanim zdążył podnieść pochyloną głowę) uświadomił go, iż pozyskał towarzysza niedoli. Głos doktora Monyghama przestał mamrotać przekleństwa hiszpańskie i angielskie.

— Czy to pan, panie Mitchell? — zapytał zgryźliwie. — Uderzyłem głową o tę przeklętą ścianę z taką siłą, że przewróciłby się nawet byk. Gdzie pan jest?

Kapitan Mitchell, przyzwyczajony do ciemności, dostrzegł doktora, który wyciągał omackiem ręce.

— Siedzę tu, na ziemi. Niech pan uważa i nie potknie się o moje nogi — oznajmił z wielką godnością głos kapitana Mitchella. Doktor, nie odważając się chodzić po ciemku,

również osunął się na ziemię. Obaj jeńcy Sotilla, dotykając się niemal głowami, zaczęli zwierzać sobie wzajemnie.

— Tak — zaspokajał półgłosem doktor namiętną ciekawość kapitana Mitchella — pojmano nas w domostwie starego Violi. Jak się zdaje, jeden z ich oddziałów, dowodzony przez oficera, dotarł aż do bramy miejskiej. Nie mieli rozkazu wchodzić do miasta, lecz pozwolono im zatrzymywać każdego człowieka spotkanego na równinie. Rozmawialiśmy w izbie przy otwartych drzwiach i zapewne dostrzegli migotanie naszego światła. Musieli przez jakiś czas podchodzić chyłkiem. Inżynier usiadł na ławie w kącie przy kominku, a ja poszedłem na górę, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Od dłuższego czasu nic stamtąd nie było słychać. Stary Viola zobaczył, że nadchodzę, i uniesieniem ręki dał znak, abym zachowywał się cicho. Wszedłem tam na palcach. Na miłość Boską, żona jego spoczywała na łóżku i spała. Ta kobieta naprawdę zapadła w sen! Viola szepnął do mnie: „Zdaje mi się, że jej duszność minęła i jest jej lepiej". „Tak jest — odparłem, wielce zdumiony. — Pańska żona jest dziwną kobietą". Wtem rozległ się strzał w kuchni, podskoczyliśmy i padliśmy na ziemię jak rażeni piorunem. Jak się zdaje, żołnierze podeszli bardzo blisko, a jeden z nich podpełzł do drzwi. Zajrzał do wnętrza i sądząc, że nie ma tam nikogo, wszedł spokojnie z karabinem gotowym do strzału. Naczelny inżynier opowiadał mi, iż chwilę przedtem zamknął oczy. Kiedy je otworzył, żołnierz stał już pośrodku izby i zaglądał w ciemne kąty. Inżynier był tak przerażony, iż bez namysłu wyskoczył ze swej kryjówki wprost przed kominek. Żołnierz, niemniej przerażony, podniósł karabin i wystrzelił, ogłuszając i osmalając inżyniera, lecz w pośpiechu całkiem go chybiając. I oto, co się stało! Na huk wystrzału drzemiąca kobieta zerwała się jak podrzucona sprężyną i krzyknęła: „Dzieci, Gian' Battisto! Ratuj dzieci!". Do tej pory brzmią mi te słowa w uszach. Był to najszczerszy krzyk rozpaczy, jaki kiedykolwiek słyszałem. Stałem jak sparaliżowany, ale sędziwy małżonek podbiegł do łóżka, wyciągając ramiona. Przylgnęła do niego. Zobaczyłem, że jej oczy zachodzą szkliwem. Starzec opuścił ją na poduszki i obejrzał się na mnie. Umarła! Nie trwało to nawet pięciu minut, po czym zbiegłem na dół, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Niepodobna było myśleć o oporze. Obaj nie mogliśmy nic powiedzieć przesłuchującemu oficerowi, zgodziłem się jednak pójść na górę z kilkoma żołnierzami i przyprowadzić starego Violę. Siedział na łóżku, wpatrzony w twarz żony i zdawał się nie słyszeć, co do niego mówiłem; dopiero kiedy przykryłem prześcieradłem jej głowę, wstał i zeszedł z nami spokojnie po schodach jakby w zamyśleniu. Poprowadzili nas drogą, pozostawiając otwarte drzwi i niezgaszoną świecę. Naczelny inżynier szedł w milczeniu, a ja obejrzałem się raz czy dwa na nikłe migotanie. Gdyśmy uszli już dość daleko, Garibaldino, który stąpał obok mnie, odezwał się nagle: „Pochowałem wielu ludzi na polach bitew tego lądu. Księża mówią o poświęcanej ziemi. Ba! Cała ziemia jest święta, bo jest stworzona przez Boga, a najświętsze jest morze, gdyż nie zna królów, księży i tyranów. Doktorze! Chciałbym ją pochować w morzu bez żadnych komedii, świec, kadzideł, bez księży i ich święconej wody. Duch wolności unosi się nad wodami..." — Zdumiewający starzec. Mówił to wszystko półgłosem jakby do samego siebie.

— Tak, tak — przerwał kapitan Mitchell niecierpliwie. — Ale czy nie domyśla się pan, w jaki sposób ten opryszek Sotillo zdobył te informacje? Przecież nie dostał w swoje łapy żadnego z naszych *cargadorów*, którzy pomagali przy drezynie, prawda? Ale nie, to niepodobna! To byli wybrani ludzie, którzy od pięciu lat pełnili służbę na naszych łodziach, i każdemu z nich osobiście wręczyłem gwineę z poleceniem, by zniknął z ludzkich oczu na co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Widziałem na własne oczy, jak razem z Włochami odchodzili na tereny kolejowe. Naczelny inżynier obiecał dostarczać im żywności tak długo, jak długo tam będą przebywali.

— No — rzekł doktor z wolna — niech pan się pożegna raz na zawsze ze swą najlepszą lichtugą i z *capatazem cargadorów*.

Na te słowa kapitan Mitchell zerwał się na równe nogi z nadmiaru podniecenia. Nie pozwalając mu dojść do słowa, doktor opowiedział pokrótce, jaką rolę odegrał Hirsch w ciągu tej nocy.

Kapitan Mitchell zapamiętał się. — Utonął! — mruczał nieprzytomnym i przerażonym głosem. — Utonął! — Następnie pogrążył się w milczeniu i pozornie słuchał, lecz nazbyt był przygnębiony tą fatalną wiadomością, by zwracać baczniejszą uwagę na opowiadanie doktora.

Doktor tak dobrze udawał, iż o niczym nie wie, że Sotillo kazał przyprowadzić Hirscha, by ten jeszcze raz wszystko opowiedział. Przyszło mu to z niesłychanym trudem, gdyż co chwila zanosił się łkaniem. W końcu Hirscha wyprowadzono i zamknięto w pokoju na piętrze, żeby go mieć pod ręką na każde zawołanie. Po czym doktor, udając człowieka niewtajemniczonego w poufne sprawy zarządu San Tomé, napomknął, iż ta opowieść brzmi nieprawdopodobnie. Oczywiście, stwierdził, nie może powiedzieć, co robili Europejczycy, gdyż był ogromnie zajęty, opatrując rannych i czuwając nad don Josém Avellanosem. Przybrał z takim powodzeniem ton obojętnej bezstronności, iż Sotillo zdawał się być zupełnie wyprowadzony w pole. Do tej chwili przesłuchanie odbywało się najzupełniej prawidłowo. Jeden z oficerów siedział przy stole, zapisując pytania i odpowiedzi. Inni wałęsali się po pokoju, słuchali uważnie, palili długie cygara i nie spuszczali oczu z doktora. Ale nastąpiła chwila, kiedy Sotillo odprawił ich wszystkich za drzwi.

ROZDZIAŁ III

Gdy tylko pozostali sami, w urzędowej surowości pułkownika zaszła zmiana. Wstał z miejsca i zbliżył się do doktora. Oczy migotały mu drapieżnością i nadzieją. Zaczął się zwierzać: „Możliwe, że srebro rzeczywiście załadowano na lichtugę, ale niepodobna pomyśleć, żeby je wywieziono na morze". Doktor, bacząc na każde słowo, kiwał z lekka głową i z widocznym upodobaniem palił cygaro, które mu ofiarował Sotillo na znak swych przyjacielskich zamiarów. Chłodna obojętność, jaką przejawiał doktor w stosunku do innych Europejczyków, skłoniła Sotilla do tego, że przechodząc od przypuszczenia do przypuszczenia, oświadczył w końcu, iż jego zdaniem jest to sztuczka Charlesa Goulda, by ten olbrzymi skarb zagarnąć wyłącznie dla siebie. Doktor, baczny i panujący nad sobą, mruknął: „On jest do tego zdolny".

W tym miejscu kapitan Mitchell zawołał zdumiony i oburzony:

— Powiedział pan to o Charlesie Gouldzie? — W jego głosie pojawił się niesmak, a nawet niejaka podejrzliwość, bowiem dla niego, podobnie jak dla innych Europejczyków, w charakterze doktora kryła się jakaś dwuznaczność. — Cóż, u licha, skłoniło pana, iż powiedział pan coś podobnego temu łotrowi, który kradnie zegarki? — zapytał. — Jaki był cel tego piekielnego kłamstwa? Ten zatracony kieszonkowiec mógł naprawdę panu uwierzyć.

Parsknął. Doktor przez chwilę milczał w ciemności.

— Takie jednak było dokładne brzmienie moich słów — odezwał się w końcu tonem, z którego ktoś inny byłby wywnioskował, iż zwłoka w odpowiedzi nie wynikła z ociągania się, lecz z namysłu. Natomiast kapitan Mitchell pomyślał sobie, iż nie zdarzyło mu się jeszcze słyszeć czegoś równie bezwstydnego.

— No, dobrze, dobrze! — mruknął do siebie, ale serce nie wtórowało jego myślom. Ustąpiły one miejsca innym, pełnym skupienia i żalu. Przygnębiło go ciężkie poczucie klęski: utrata srebra, śmierć Nostroma, która była dla niego istotnym ciosem, gdyż przywiązał się do swego *capataza*, jak zwykli przywiązywać się ludzie do swych podwładnych z umiłowania wygody i niemal bezwiednej wdzięczności. Kiedy zaś pomyślał, iż Decoud również utonął, zapamiętywał się niemal z żalu nad tym nieszczęsnym zgonem. Jakiż to bolesny cios dla tej biednej, młodej osoby! Kapitan Mitchell nie należał do gatunku zgryźliwych, starych kawalerów, wręcz przeciwnie, lubił, gdy młodzieńcy zalecali się do panien. Wydawało się mu to czymś naturalnym i właściwym. Przede wszystkim właściwym. Co do marynarzy, rzecz miała się inaczej; nie powinni się żenić, utrzymywał, z powodów moralnych, mianowicie z powodu zaparcia się samych siebie, gdyż życie na pokładzie okrętu żadną miarą nie odpowiada kobiecie, jeżeli zaś pozostawi się ją na lądzie, to po pierwsze nie jest to uczciwe, a po drugie albo naraża się ją na cierpienia z tego powodu, albo też ona się zapomina, zatem w obu przypadkach jest niedobrze. Nie byłby umiał powiedzieć, co dotknęło go bardziej: czy ogromna strata materialna Charlesa Goulda, czy śmierć Nostroma, która dla niego samego była bolesną stratą, czy wreszcie myśl o tej pięknej i szlachetnej kobiecie, pogrążonej teraz w żałobie.

— Tak — zaczął znowu doktor, który widocznie rozmyślał dalej. — Uwierzył mi do tego stopnia, iż myślałem, że mnie uściska. „*Si, si* — powiedział — napisze do swojego

wspólnika, tego bogatego *Americano*, że wszystko przepadło. Bo czemu nie? Jest się czym podzielić z wieloma ludźmi".

— Ależ to głupie! — krzyknął kapitan Mitchell.

Doktor zauważył, że Sotillo jest głupi i że jego głupota jest wystarczająco przemyślna, by go zupełnie sprowadzić na manowce. On sam tylko mu w tym trochę dopomógł.

— Napomknąłem — rzekł doktor — niby to przypadkiem, iż skarby raczej zakopuje się w ziemi, niż spławia po morzu. Na to Sotillo uderzył się ręką w czoło. „*Por Dios*, tak jest — rzekł — zakopali go gdzieś na wybrzeżu portowym, zanim odpłynęli".

— Do stu piorunów! — mruczał kapitan Mitchell. — Nie mieści mi się w głowie, żeby ktoś mógł być takim osłem... — Urwał, po czym dodał ponuro: — Ale na co to się przyda? Byłoby warto skłamać, gdyby lichtuga pływała jeszcze po morzu. Powstrzymałoby to może tego niepojętego idiotę od wysłania parowca na wody zatoki. To niebezpieczeństwo nie dawało mi spokoju.

Kapitan Mitchell westchnął głęboko.

— Miałem swój cel — przemówił doktor z wolna.

— Miał go pan? — mruknął kapitan Mitchell. — To dobrze. Gdyż inaczej pomyślałbym, iż wodził go pan za nos, by sobie z niego zakpić. Może to było pańskim celem. Muszę powiedzieć, że osobiście nie zniżyłbym się do czegoś podobnego. To nie w moim guście. Nie, nie! Nie oczerniłbym charakteru przyjaciela, choćby chodziło o kpinę z najpodlejszego opryszka na świecie.

Gdyby nie przygnębienie wywołane fatalnymi nowinami, niesmak, jaki odczuwał w stosunku do doktora Monyghama, byłby przybrał wyrazistsze kształty, ale pomyślał sobie, iż teraz już wszystko jedno, co ten człowiek, którego nigdy nie lubił, powie lub zrobi.

— Dziwię się — burknął — iż zamknięto nas razem i że Sotillo w ogóle kazał pana zamknąć, gdyż, jak mi się zdaje, byłby pan dla niego pożądanym towarzyszem.

— Tak, to dziwne! — rzekł doktor cierpko.

Kapitan Mitchell był tak przygnębiony, iż byłby wolał zupełną samotność od najlepszego towarzystwa. Ale łatwiej byłby zniósł byle kogo niż doktora, na którego zawsze krzywo patrzył, niby na jakiegoś włóczęgę niepośledniej inteligencji, który niezupełnie podźwignął się ze swego upadku. To uczucie skłoniło go do zapytania:

— A co ten opryszek zrobił z tamtymi dwoma?

— Naczelnego inżyniera wypuści w każdym razie — odpowiedział doktor. — Nie zechce zatargu z koleją. W każdym razie na pewno nie teraz. Nie wiem, czy pan dokładnie zdaje sobie sprawę z położenia, w jakim znajduje się Sotillo...

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym sobie tym obciążać głowę — mruknął kapitan Mitchell.

— Oczywiście — przyznał doktor nie mniej cierpko. — I ja także nie widzę. Przecież nikomu nic z tego nie przyjdzie, gdy pan się nad czymś dokładniej zastanowi.

— Owszem — rzekł kapitan Mitchell po prostu i z widocznym przygnębieniem. — Człowiek zamknięty w tej przeklętej czarnej dziurze nikomu na nic nie jest przydatny.

— Jeżeli zaś chodzi o starego Violę — mówił doktor dalej, jak gdyby nie dosłyszał — to Sotillo wypuścił go z tego samego powodu, dla którego wkrótce wypuści pana.

— Jak to? Co? — zawołał kapitan Mitchell, wytrzeszczając oczy jak sowa w ciemności. — Cóż ja mam wspólnego ze starym Violą? Chyba to, że stary dziwak nie ma zegarka z łańcuszkiem, który ten złodziej mógłby ukraść. A ja panu powiadam, doktorze Monygham — mówił dalej ze wzmagającym się gniewem — iż trudniej przyjdzie mu uwolnić się ode mnie, niż sobie wyobraża. Mówię panu, że jeszcze poparzy sobie palce na tej drobnostce. Przede wszystkim nie odejdę bez swojego zegarka, a co do reszty, to zobaczymy! Zdaje mi się, że być zamkniętym to nic wielkiego dla pana. Ale Joe Mitchell jest innego pokroju człowiekiem. Nie zamierzam ulegle poddać się zniewadze i grabieży. Piastuję godność publiczną, mój panie!

W tej chwili kapitan Mitchell zauważył, iż czarne kraty w okienku zarysowały się na tle kwadratu szarości. Bielejący dzień uciszył go, jak gdyby przyszło mu na myśl, iż odtąd już na zawsze będzie pozbawiony cennych usług swego *capataza*. Oparł się o ścianę, skrzyżowawszy ręce na piersi, zaś doktor zaczął przechadzać się po celi, dziwnie kulejąc, jak gdyby ciągnął za sobą uszkodzone stopy. Gdy zbliżał się do końca celi oddalonego

od krat, jego sylwetka niknęła zupełnie w ciemności. Słychać było tylko lekki szelest jego posuwistego kuśtykania. W tym nieustannym, bolesnym wleczeniu się było jakieś posępne oderwanie się od wszystkiego. Nie okazał zdumienia, kiedy drzwi nagle się otworzyły i wywołano go po nazwisku. Skręcił w miejscu i wyszedł od razu, jakby zależało mu na pośpiechu. Natomiast kapitan Mitchell stał jakiś czas oparty plecami o ścianę, wahając się w swym rozgoryczeniu, czy na znak protestu nie należałoby pozostać bez ruchu. Chciał niemal, by go wywleczono przemocą, lecz ostatecznie zgodził się wyjść, gdy oficer w drzwiach zawołał na niego kilka razy zdziwionym i karcącym tonem.

Zachowanie się Sotilla uległo zmianie. W swobodnej uprzejmości pułkownika pojawiło się niezdecydowanie, jak gdyby nie był pewien, czy uprzejmość w tym wypadku jest na miejscu. Uważnie przyjrzał się kapitanowi Mitchellowi, zanim przemówił łaskawym głosem z wielkiego fotela za stołem:

— Postanowiłem nie zatrzymywać pana, señor Mitchell. Umiem wybaczać. Mam wyrozumiałość. Ale niech to będzie nauką dla pana.

Osobliwy brzask Sulaco, który zdaje się wymykać daleko na zachód, a potem cofać i wsiąkać w cienie górskie, mieszał się z czerwonawą poświatą świec. Kapitan Mitchell na znak obojętności i pogardy błądził oczyma po pokoju, obrzucając w przelocie twardym spojrzeniem doktora, który wtuliwszy się we wnękę okna, opuścił powieki, obojętny i zamyślony, a może zawstydzony.

Sotillo, obwarowany w wielkim fotelu, dorzucił:

— Sądziłbym, iż poczucie grzeczności *caballera* podyktuje panu właściwą odpowiedź.

Oczekiwał jej, lecz kapitan Mitchell milczał raczej z niezmiernej urazy niż z rozmyślnego postanowienia. Sotillo zawahał się, zerknął na doktora, który podniósł oczy i skinął głową, po czym rzekł z niejakim wysiłkiem:

— Oto pański zegarek, señor Mitchell. Widzi pan, jak przedwczesny i niesprawiedliwy był pański sąd o moich patriotycznych żołnierzach.

Rozwalony na fotelu, wyciągnął ramię ku stołowi i lekko odsunął zegarek od siebie. Kapitan Mitchell podszedł do stołu z nieskrywanym pośpiechem, przyłożył zegarek do ucha i włożył go do kieszonki z chłodnym spokojem.

W Sotillu wezbrała ogromna niechęć. Zerknął znów z ukosa na doktora, który patrzył na niego, nie mrużąc oczu. Ale kiedy kapitan Mitchell odwrócił się, nie zaszczyciwszy go ukłonem, ani spojrzeniem, rzekł pospiesznie:

— Może pan zejść na dół i poczekać tam na *señora doctora*, którego również zamierzam uwolnić. Wy, cudzoziemcy, w moich oczach jesteście bez znaczenia.

Parsknął wymuszonym, przykrym śmiechem, gdy kapitan Mitchell po raz pierwszy spojrzał na niego z pewnym zainteresowaniem.

— Waszymi przestępstwami zajmą się później sądy — gadał śpiesznie Sotillo. — Jeśli chodzi o mnie, to możecie żyć na wolności, bez straży i nadzoru. Słyszy pan, señor Mitchell? Może pan powrócić do swych zajęć. Nie zasługuje pan na moją uwagę. Jestem zajęty czymś nierównie ważniejszym.

Kapitan Mitchell miał już odpowiedź na końcu języka. Nie podobało mu się, iż uwalniano go, jednocześnie znieważając, ale bezsenność, przedłużające się obawy, głębokie rozczarowanie z powodu fatalnego niepowodzenia ze srebrem zaciążyły na jego duchu. Zdołał zaledwie ukryć niepokój, jaką uczuwał nie tyle o siebie samego, co z powodu ogólnego stanu rzeczy. Wyraźnie wyczuwał, iż coś się odbywa po kryjomu. Wychodząc, zlekceważył zupełnie doktora.

— Bydlę! — powiedział Sotillo, gdy drzwi się zamknęły.

Doktor Monygham wysunął się z wnęki okiennej i włożywszy ręce do kieszeni długiego, szarego, lekkiego płaszcza, który miał na sobie, zrobił parę kroków w głąb pokoju.

Sotillo także powstał i zastąpiwszy mu drogę, mierzył go oczyma od stóp do głowy.

— Pańscy rodacy zbytnio panu nie ufają, *señor doctor*. Nie lubią pana, co? Ciekaw jestem, dlaczego?

Doktor, podniósłszy głowę, odpowiedział długim, martwym spojrzeniem i słowami:

— Może dlatego, że za długo żyłem w Costaguanie.

Sotillo błysnął białymi zębami spod czarnych wąsów.

— Aha! Ale siebie pan lubi — rzekł zachęcająco.

— Jeśli pozostawi ich pan w spokoju — rzekł doktor, spoglądając tym samym martwym wzrokiem w przystojną twarz Sotilla — niedługo sami się zdradzą. Tymczasem może skłoniłbym don Carlosa, żeby coś powiedział?

— Ach, *señor doctor* — odezwał się Sotillo, potrząsając głową — jest pan człowiekiem bystrej inteligencji. Jesteśmy jak stworzeni dla siebie. — Odwrócił się. Nie mógł znieść dłużej tego bezbarwnego, nieruchomego wzroku, z którego wyzierała jakaś nieprzenikniona pustka, jak głębia czarnej otchłani.

Nawet w człowieku zupełnie pozbawionym zmysłu moralnego pozostaje zdolność oceny łajdactwa, które jest rzeczą konwencjonalną i zupełnie jasną. Sotillo myślał, iż doktor Monygham, tak odmienny od innych Europejczyków, był gotów sprzedać swych rodaków i swego chlebodawcę, Charlesa Goulda, za udział w srebrze z San Tomé. Nie gardził nim z tego powodu. Zanik zmysłu moralnego u pułkownika miał charakter głęboko zakorzeniony i niewinny. Graniczył z tępotą, moralną tępotą. Nic nie było dla niego naganne, o ile służyło jego celowi. Mimo to czuł odrazę do doktora Monyghama. Miał dla niego bezgraniczną pogardę. Pogardzał nim z całego serca, gdyż bynajmniej nie zamierzał go wynagrodzić. Pogardzał nim nie jako człowiekiem bez czci i wiary, lecz jako głupcem. Doktor Monygham poznał się tak dobrze na charakterze Sotilla, iż zmylił go najzupełniej. Dlatego uważał on doktora za głupca.

Od chwili przybycia do Sulaco poglądy pułkownika uległy pewnej zmianie.

Nie pragnął już kariery politycznej w rządzie Montera. Zawsze powątpiewał o bezpieczeństwie tej drogi. Od kiedy dowiedział się od naczelnego inżyniera, iż najprawdopodobniej już o świcie zetknie się z Pedrem Montero, jego obawy znacznie się wzmogły. Ten *guerillero*, brat generała — Pedrito, jak go powszechnie nazywano — był nie mniej osławiony niż on sam. Sotillo miał niejasne zamiary zagarnięcia nie tylko skarbu, ale i miasta, a potem prowadzenia rokowań wedle swej woli. Teraz, wobec wieści zasłyszanych od naczelnego inżyniera (który nie skrywał przed nim grozy położenia), jego śmiałość, w ogóle niezbyt stanowcza, ustąpiła miejsca najprzezorniejszemu wahaniu.

— Armia, cała armia pod wodzą Pedrita przekroczyła już góry — powtarzał, nie kryjąc swego zakłopotania. — Nie wierzyłbym temu, gdyby te nowiny nie pochodziły od człowieka na pańskim stanowisku. Zdumiewające!

— Oddział zbrojny — poprawił go słodkim głosem inżynier.

Jego cel został osiągnięty. Chodziło o to, by Sulaco jeszcze przez kilka godzin było wolne od zbrojnej okupacji i ludzie, których ogarnęła trwoga, mogli opuścić miasto. Wśród powszechnego przerażenia całe rodziny miały nadzieję uciec drogą na Los Hatos, stojącą chwilowo otworem po wycofaniu się zbrojnej hołoty, która pod wodzą señorów Fuentesa i Gamacha podążała do Rincon, by przygotować entuzjastyczne przyjęcie dla Pedra Montera. Była to pośpieszna i pełna niebezpieczeństwa ucieczka. Opowiadano, iż Hernandez, który ze swymi opryszkami opanował lasy w okolicy Los Hatos, nie odmawiał schronienia zbiegom. Naczelny inżynier wiedział dobrze, iż wiele osób przygotowywało się do tej ucieczki.

Starania podejmowane przez ojca Corbelana w sprawie najpobożniejszego z opryszków nie pozostały całkiem bezowocne. Szef polityczny Sulaco uległ w ostatniej chwili usilnym naleganiom księdza i podpisał tymczasową nominację mianującą Hernandeza generałem i polecającą mu urzędowo z tytułu tej nowej godności, by przestrzegał porządku w mieście. Sprawa przedstawiała się tak, iż szef polityczny, widząc, że wszystko stracone, nie dbał o to, co podpisuje. Był to ostatni urzędowy dokument, który podpisał przed opuszczeniem pałacu Intendencji i ucieczką do biur T.O.Ż.P. Ale nawet gdyby kładł swój podpis pod tym aktem z pełnym przekonaniem, było już za późno. Rozruchy, których oczekiwał i których się obawiał, wybuchły w niespełna godzinę po jego rozstaniu się z ojcem Corbelanem. Ojciec Corbelan, który miał spotkać się z Nostromem w klasztorze dominikańskim, gdzie zajmował celę, nie zdołał dotrzeć na umówione miejsce. Z Intendencji poszedł prosto do domu Avellanosa, by przekazać wiadomość szwagrowi, i został odcięty od swego ascetycznego ustronia. Nostromo czekał tam przez jakiś czas, śledząc z niepokojem wzmagający się zamęt na ulicach, po czym poszedł do redakcji „Porveniru" i pozostał tam do świtu, jak o tym wspomniał Decoud w liście do swej siostry. W ten sposób *capataz*, zamiast pojechać konno do lasów Los Hatos i doręczyć Hernan-

dezowi nominację, pozostał w mieście, by ocalić życie prezydenta-dyktatora, wziąć udział w stłumieniu rozruchów motłochu i odpłynąć w końcu ze srebrem na wody zatoki.

Jednak ojciec Corbelan, uciekając do Hernandeza, miał dokument w kieszeni, oficjalne pismo przeobrażające bandytę w generała pamiętny, ostatni oficjalny akt stronnictwa ribierzystów, którego hasłami była uczciwość, pokój i postęp. Ani ksiądz, ani bandyta nie zauważyli prawdopodobnie ironii tego faktu. Ojciec Corbelan zdołał widocznie znaleźć ludzi, którzy się podjęli poselstwa do miasta, gdzie już o świcie drugiego dnia rozruchów gruchnęły wieści, iż Hernandez czatuje na drodze do Los Hatos i gotów jest przyjąć uchodźców, którzy oddadzą się mu pod opiekę. Jakiś śmiały, niemłody, dziwnie wyglądający jeździec pojawił się w mieście i jadąc z wolna, przyglądał się domom, jak gdyby po raz pierwszy widział tak wysokie budynki. Przed katedrą zsiadł z konia, ukląkł na środku *plaza*, przewiesił sobie wodze przez ramię, kapelusz położył przed sobą na ziemi, pochylił nisko głowę, przeżegnał się i uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi. Wsiadłszy znów na konia, powiódł nieulęknionym, lecz przychylnym spojrzeniem po gromadce ludzi, którzy zbiegli się na widok jego publicznej pobożności, po czym zapytał o Casa Avellanos. Ze dwadzieścia rąk wyciągnęło się w odpowiedzi, wskazując palcami w kierunku Calle de la Constitucion.

Jeździec odjechał, zerknąwszy ciekawie w stronę okien klubu „Amarilla", który wznosił się na rogu ulicy. Jego stentorowy głos[231] co chwila rozbrzmiewał w opustoszałej ulicy: „Gdzie jest Casa Avellanos?", aż wreszcie otrzymał odpowiedź od wystraszonego odźwiernego i znikł pod sklepieniem bramy. List, który przywiózł, pisany przez ojca Corbelana ołówkiem przy ognisku obozowym Hernandeza, miał być doręczony don Josému, o którego krytycznym stanie zdrowia ksiądz nic nie wiedział. Antonia przeczytała go i zasięgnąwszy rady Charlesa Goulda, przesłała go do wiadomości panów, którzy tworzyli załogę klubu „Amarilla". Wiedziała, co robić. Zamierzała się udać do swojego wuja, ostatnie dni, a może nawet ostatnie godziny życia swego ojca powierzyć opiece bandyty, którego istnienie było protestem przeciwko nieodpowiedzialnej tyranii wszystkich po równi stronnictw, przeciwko moralnej ciemnocie kraju. Wolała od tego mroki lasów Los Hatos, mniej było poniżające twarde życie wśród szajki rozbójników. Antonia całą duszą sprzyjała upartej zaciekłości, z jaką jej wuj stawiał czoło nieszczęściu. Wynikało to u niej z wiary w człowieka, którego kochała.

W swoim liście wikariusz generalny poręczał własną głową za wierność Hernandeza. Pisząc o jego potędze, zwracał uwagę, iż przez wiele lat nie zdołano go poskromić. W liście tym wysunięta przez Decouda idea nowego Zachodniego Państwa (którego kwitnący i uporządkowany stan jest powszechnie obecnie znany) po raz pierwszy została podana do wiadomości publicznej i przytoczona jako argument. Hernandez, były bandyta i ostatni generał mianowany przez ribierzystów, miał rzekomo dość sił, by utrzymać połać kraju między lasami Los Hatos a pasem wybrzeża, aż do chwili, kiedy ofiarny patriota, don Martin Decoud, sprowadzi generała Barriosa z powrotem do Sulaco i odzyska miasto.

„Taka jest wola nieba. Opatrzność jest po naszej stronie" — pisał ojciec Corbelan. Nie było czasu zastanawiać się nad jego stwierdzeniami, a tym mniej na ich kwestionowanie. Toteż dyskusja, która się wszczęła w klubie „Amarilla" po przeczytaniu listu, była wprawdzie ożywiona, lecz niedługa. W ogólnym zamieszaniu wywołanym klęską jedni przyjęli ten pomysł z radosnym zdumieniem, niby zdumiewające objawienie nowej nadziei. Inni byli zachwyceni obietnicą natychmiastowego bezpieczeństwa swoich żon i dzieci. Większość uchwyciła się tej myśli, jak tonący chwyta się źdźbła. Ojciec Corbelan nieoczekiwanie ofiarował im schronienie przed Pedritem Monterem z jego *llaneros*, do których miała przyłączyć się uzbrojona hołota señorów Fuentesa i Gamacha.

Reszta popołudnia zeszła na ożywionej dyskusji w wielkich salach klubu „Amarilla". Nawet ci członkowie, których ustawiono przy oknach z strzelbami i karabinami, by strzegli wylotu ulicy przed ponownym zbrojnym najściem motłochu, wykrzykiwali przez ramię swoje argumenty i poglądy. Gdy zapadł zmierzch, don Juste Lopez poprosił zwolenników swoich przekonań, by wyszli z nim na korytarz i tam przy małym stoliku, na którym paliły się dwie świece, zajął się redagowaniem adresu[232], czy raczej uroczystej

[231] *stentorowy głos* — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]
[232] *adres* — tu: list zbiorowy. [przypis edytorski]

deklaracji. Pedrito Montero miał ją otrzymać z rąk tych członków Zgromadzenia Prowincjonalnego, którzy z wyboru pozostaną w mieście. Chodziło o to, by go ułagodzić i nakłonić do zachowania przynajmniej form instytucji parlamentarnych. Siedząc nad białym arkuszem papieru z gęsim piórem w ręce, don Lopez, otoczony ze wszystkich stron, zwracał się na prawo i lewo i powtarzał z uroczystą usilnością:

— *Caballeros*, proszę o chwilę spokoju! Chwilę spokoju! Musimy jasno przekazać, że w dobrze wierze godzimy się z faktami dokonanymi.

Wypowiadał te słowa jakby z wyrazem melancholijnego zadowolenia. Gwar dokoła niego nasilał się, głosy stawały się ochrypłe. W nagłych przerwach podniecone twarze pogrążały się od razu w cichości głębokiego przygnębienia.

Tymczasem rozpoczęła się ucieczka. Wypełnione kobietami i dziećmi karety przejeżdżały, kołysząc się, przez *plaza*, obok nich pieszo lub konno podążali mężczyźni. Za nimi jechali inni na koniach i mułach. Najubożsi szli pieszo. Mężczyźni i kobiety nieśli węzełki, piastowali w ramionach niemowlęta, prowadzili starców, wlekli za sobą doroślejsze dzieci. Gdy Charles Gould, pożegnawszy się z doktorem i inżynierem u drzwi Casa Viola, wjeżdżał przez bramę do miasta, wszyscy, którzy zamierzali wywędrować, odjechali, zaś inni zabarykadowali się w swych domach. Na ciemnej ulicy tylko w jednym miejscu migotały światła i poruszały się postacie ludzkie. *Señor administrador* rozpoznał powóz swojej żony, czekający przed drzwiami domu Avellanosów. Podjechał niemal niepostrzeżenie i nie mówiąc ani słowa, patrzył, jak kilku jego służących wyszło z bramy, niosąc don Joségo Avellanosa, który, z zamkniętymi oczami i zakrzepłymi rysami, wyglądał jak nieżywy. Jego żona i Antonia szły po obu stronach skleconych na poczekaniu noszy, które zaraz umieszczono w powozie. Kobiety uściskały się. Po drugiej stronie powozu siedział na koniu wysłannik ojca Corbelana o rozwichrzonej, siwiejącej brodzie i wystających kościach policzkowych. Następnie Antonia usiadła obok noszy i uczyniwszy pośpiesznie znak krzyża, przysłoniła sobie twarz gęstą woalką. Służba oraz kilku sąsiadów, którzy byli obecni przy tym wyjeździe, stali opodal, odkrywszy głowy. Siedzący na koźle Ignacio, który już pogodził się z myślą, że będzie musiał jechać przez całą noc (i może zginąć przed świtem od noża), spoglądnął posępnie przez ramię.

— Jedź ostrożnie! — zawołała pani Gould drżącym głosem.

— *Si*, ostrożnie, *si, niña* — mruknął, przygryzając usta. Jego krągłe policzki drżały.

Powóz powoli wyjechał z kręgu światła.

— Odprowadzę ich do brodu na rzece — powiedział Charles Gould do żony.

Stała na skraju chodnika z lekko splecionymi rękami i żegnała odjeżdżającego skinieniem głowy. W oknach klubu „Amarilla" było ciemno. Wygasła ostatnia iskra oporu. Charles Gould odwrócił głowę na zakręcie i zobaczył, jak przez oświetloną smugę ulicy jego żona przechodzi do bramy swego domu. Ich sąsiad, powszechnie znany kupiec i obywatel ziemski, szedł obok niej i mówił, gestykulując rękami. Gdy weszła do bramy, wszystkie światła zgasły, a na ulicy zaległa ciemność i pustka.

Domy rozległej *plaza* niknęły w ciemności nocy. Wysoko w górze, jak gwiazda, migotało nikłe światełko na jednej z wież katedralnych. Konny posąg odbijał się blado od tła czarnych drzew *alamedy* jak upiór królewskości zabłąkany w odmęt rewolucji. Nieliczni włóczędzy, których napotykali po drodze, odsuwali się pod ściany domów. Minąwszy ostatnie kamienice, powóz potoczył się bezszelestnie po miękkim podłożu kurzu i razem z większą ciemnością odczuwało się jakby jakąś świeżość, która zdawała się spływać z liści drzew obrzeżających polną drogę. Wysłannik z obozu Hernandeza zbliżył swojego konia do konia Charlesa Goulda.

— *Caballero* — odezwał się z nutą zaciekawienia w głosie — czy pan jest tym, którego ludzie nazywają królem Sulaco, panem kopalni? Chciałbym wiedzieć...

— Tak, jestem panem kopalni — odpowiedział Charles Gould.

Jeździec kłusował czas jakiś w milczeniu, po czym rzekł:

— Mam brata w pańskiej służbie, *serena*, w dolinie San Tomé. Dowiódł pan, że jest pan sprawiedliwym człowiekiem. Nikomu z ludzi, których wezwał pan do pracy w górach, nie stała się krzywda. Mój brat powiada, że żaden urzędnik rządowy, żaden gnębiciel Campo nie pokazał się jeszcze po pańskiej stronie rzeki. Pańscy urzędnicy nie uciskają ludzi pracujących w wąwozie. Zapewne lękają się pańskiej surowości. Jest pan sprawiedliwym człowiekiem i potężnym — dodał.

Mówił urywanym, niezależnym tonem, ale widocznie do czegoś zmierzał w tej rozmowie. Opowiedział Charlesowi Gouldowi, iż był *rancherem* w jednej z nisko położonych dolin, daleko na południu, sąsiadem Hernandeza za dawnych czasów i ojcem chrzestnym jego najstarszego syna. Był jednym z tych, którzy stanęli po jego stronie, gdy stawiał opór poborowi rekruta, i to było początkiem wszystkich ich nieszczęść. Kiedy uprowadzono przemocą jego *compadre*[233], on pochował jego żonę i dzieci, zamordowane przez żołnierzy.

— *Si, señor* — mamrotał chrypliwym głosem. — Wraz z dwoma czy trzema szczęśliwcami, którzy pozostali na wolności, pochowałem ich wszystkich we wspólnym grobie, przy zgliszczach ich chaty, pod drzewem, co ocieniało jej dach.

To u niego trzy lata później szukał schronienia Hernandez, zbiegłszy z wojska. Miał jeszcze na sobie mundur z odznakami sierżanta na rękawie, pierś i ręce zbroczone krwią swego pułkownika. Z żołnierzy, których wysłano za nim w pościg, trzech jeźdźców uciekło i przyłączyło się do niego. I opowiadał Charlesowi Gouldowi jak on i kilku jego przyjaciół, widząc tych żołnierzy, ukryło się w zasadzce za skałami i już zamierzało dać ognia, gdy rozpoznał swego *compadre* i wybiegł z kryjówki, wołając go po imieniu, bo wiedział, że Hernandez nie wróciłby jako wysłannik niesprawiedliwości i ucisku. Owi trzej żołnierze wraz z ludźmi, którzy kryli się w zasadzce, utworzyli zawiązek słynnej bandy, zaś on, który o tym opowiadał, był przez długie lata ulubionym porucznikiem Hernandeza. Wspomniał z dumą, iż urzędnicy wyznaczyli również cenę za jego głowę, ale to nie przeszkodziło, że posiwiała na jego karku. I oto dożył chwili, że jego *compadre* został generałem.

Parsknął przytłumionym śmiechem:

— Z rozbójników zostaliśmy żołnierzami. Ale trzeba mieć się na baczności przed tymi, co nas zrobili żołnierzami, a jego generałem. Trzeba się mieć przed nimi na baczności!

Ignacio krzyknął. Światło lamp powozu, snujące się po szpalerach kaktusów, które z obu stron obrzeżały gościniec, zamigotało na dzikich twarzach ludzi stojących na brzegu drogi, wrzynającej się głęboko w pulchną ziemię Campo na podobieństwo wiejskiej dróżki angielskiej. Kulili się, ich duże oczy błyskały na chwilę, po czym światło, snując się dalej po na poły odsłoniętych korzeniach jakiegoś wielkiego drzewa i kolejnych kępach kaktusów, padło na inną grupę twarzy, oglądających się za siebie z lękiem. Trzy kobiety, z których każda niosła dziecko, oraz dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach, jeden uzbrojony w szablę, a drugi w strzelbę, stało przy ośle dźwigającym dwa węzełki owinięte w pledy. Nieco dalej Ignacio znowu krzyknął, wymijając karetę o podłużnym drewnianym pudle, osadzonym na dwu wysokich kołach. Pojazd miał z tyłu drzwiczki, które chwiały się, stojąc otworem. Siedzące wewnątrz panie poznały zapewne białe muły, gdyż zawołały:

— Czy to pani, doño Emilio?

Na zakręcie drogi łuna wielkiego ognia rozwidniła krótki odcinek, zasklepiony od góry konarami drzew. W pobliżu brodu na płytkim strumieniu została przypadkowo podpalona przydrożna chata, sklecona z plecionej trzciny i przykryta słomianą strzechą. Wyjące złowieszczo płomienie oświecały wolną przestrzeń, zatłoczoną końmi, mułami i niespokojną, pełną wrzawy ciżbą ludzką. Gdy Ignacio przystanął, kilka pań idących pieszo otoczyło powóz, błagając Antonię, by je zabrała. Nie odpowiadała na ich skargi, lecz wskazywała w milczeniu na swego ojca.

— Tu muszę panią opuścić — rzekł Charles Gould wśród wrzawy. Płomienie buchały pod niebo, a mrowie uchodźców, pierzchając przed ziejącym żarem, tłoczyło się wokół powozu. Jakaś pani w średnim wieku, ubrana w czarną, jedwabną suknię, lecz z samodziałową *mantą*[234] na głowie i sękatym kosturem zamiast laski w ręce, zatoczyła się ku przednim kołom powozu. Dwie młode panny, przerażone i milczące, czepiały się jej ramion. Charles Gould znał ją dobrze.

---

[233] *compadre* (hiszp.) — kum, ojciec chrzestny w stosunku do rodziców dziecka albo ojciec dziecka w stosunku do rodziców chrzestnych. [przypis edytorski]

[234] *manta* (hiszp.) — noszony przez mężczyzn sukienny pled, służący jako okrycie pleców, przerzucany przez ramię lub zarzucany na głowę, określany również jako chusta lub szal, będący elementem hiszpańskiego stroju ludowego. [przypis edytorski]

— *Misericordia!*[235] Okropnie nas tu gniotą w tym tłumie! — zawołała, uśmiechając się dzielnie do niego. — Wybrałyśmy się pieszo. Cała nasza służba uciekła wczoraj, by przyłączyć się do demokratów. Zamierzamy powierzyć się opiece ojca Corbelana, świątobliwego wuja pani, Antonio. Dokonał cudu, przeobrażając serce najokrutniejszego rozbójnika. Prawdziwego cudu!

Podnosiła stopniowo głos aż do krzyku, unoszona naciskiem tłumu, który usuwał się z drogi przed kilkoma wozami nadjeżdżającymi galopem od brodu wśród głośnych okrzyków i trzaskania z biczów. Roje iskier przetykających czarne dymy przelatywały nad drogą. Trzcina bambusowa płonących ścian chaty trzaskała z łoskotem podobnym do grzechotu strzelaniny. Nagle jasna łuna przygasła, pozostawiając tylko czerwonawy półmrok, pełny błąkających się czarnych cieni rozpierzchających się w różnych kierunkach. Zgiełk głosów zdawał się obumierać wraz z pożarem. Zamęt głów, ramion, przekleństw i sprzeczek przewalił się, uchodząc w ciemność.

— Muszę teraz panią pożegnać — powtórzył Charles Gould, zwracając się do Antonii.

Odwróciła powoli głowę i odsłoniła twarz. Wysłannik i *compadre* Hernandeza podjechał blisko na swym koniu.

— Czy pan kopalni nie każe nic powiedzieć Hernandezowi, panu Campo?

Trafność tego porównania uderzyła Charlesa Goulda. Mimo swej stanowczości równie niepewnie dzierżył swą kopalnię, jak nieposkromiony rozbójnik Campo. Byli równi wobec bezprawia tego kraju. Niepodobna było ustrzec swej działalności od jego poniżających wpływów. Gęsta sieć zbrodni i zepsucia spowijała cały kraj. Bezgraniczne i chorobliwe zniechęcenie zamknęło mu na chwilę usta.

— Jest pan sprawiedliwym człowiekiem — nalegał wysłannik Hernandeza. — Niech pan popatrzy na tych ludzi, co mojego *compadre* mianowali generałem, a nas wszystkich przedzierzgnęli w żołnierzy. Niech pan spojrzy na tych oligarchów, którzy uchodzą z życiem, mając tylko to, co na sobie. Mój *compadre* nie myśli o tym, ale nasi zwolennicy będą mocno zdziwieni i chciałbym przemówić słowo za nimi. Proszę mnie posłuchać, señor! Przez długie miesiące mieliśmy Campo w swoich rękach. Nie potrzebowaliśmy prosić o nic nikogo. Ale żołnierze muszą być opłacani, jeżeli mają żyć uczciwie, gdy wojna przeminie. Ludzie wierzą, iż pańska dusza jest tak prawa, że pańska modlitwa może leczyć z niemocy bydlęta, jak modlitwa sprawiedliwego sędziego. Niech usłyszę z pańskich ust kilka słów, które zadziałają jak zaklęcie na wątpliwości naszej *partidy*[236], w której każdy jest prawdziwym mężczyzną.

— Czy pani słyszy, co on mówi? — odezwał się Charles Gould po angielsku do Antonii.

— Niech pan nam wybaczy naszą nędzę! — zawołała gorączkowo. — Pański charakter jest tym niewyczerpanym skarbem, który jeszcze może nas wszystkich ocalić. Pański charakter, nie pańskie bogactwa! Błagam, by zechciał pan dać temu człowiekowi słowo, iż godzi się pan na wszystkie układy, które mój wuj zawrze z ich dowódcą. Jedno słowo! Tyle mu wystarczy.

Z przydrożnej chaty pozostał tylko ogromny stos perzyny, jarzącej się przyćmionym, czerwonym żarem, który oblewał ciemnym rumieńcem twarz Antonii, drżącą od wzruszenia. Charles Gould po krótkim namyśle wyrzekł żądane zapewnienie. Czuł się jak człowiek, który zapędziwszy się na urwistą ścieżkę, skąd nie ma powrotu, jedyną nadzieję ocalenia widzi w posuwaniu się dalej. Pojął to, patrząc w tej chwili na don Joségo, który na wpół żywy leżał obok wyprostowanej Antonii. W walce całego życia pokonały go ciemne moce znikczemnienia, które ze swych zastygłych głębin wydawały potworne zbrodnie i potworne mrzonki. Wysłannik Hernandeza w paru słowach wyraził swoje całkowite zadowolenie. Antonia spokojnie opuściła woalkę, oparłszy się chęci zapytania o powodzenie ucieczki Decouda. Natomiast Ignacio zerknął żałośnie przez ramię.

— Niech pan się dobrze przypatrzy swoim mułom, *mi amo*[237] — mruknął. — Już pan ich więcej nie zobaczy!

---

[235] *Misericordia!* (hiszp.) — Litości! [przypis edytorski]
[236] *partida* (hiszp.) — oddział. [przypis edytorski]
[237] *mi amo* (hiszp.) — mój dziedzicu. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ IV

Charles Gould zawrócił w stronę miasta. W bielejących brzaskach szczerbate szczyty Sierry wydawały się niemal czarne. Tu i ówdzie otulony w opończę *lepero*, słysząc tętent kopyt jego konia, znikał za narożnikiem porośniętej trawą uliczki. Psy warczały za murami ogrodów. Wraz z bezbarwnym świtem chłód śniegów zdawał się spływać z gór na zrujnowane bruki i domy o zamkniętych okiennicach, obtłuczonych gzymsach i płaskich pilastrach[238], pomiędzy które płatami spadał obłupany tynk. Świt zmagał się z mrokiem pod arkadami *plaza*, gdzie pod ogromnymi parasolami, uplecionymi z sitowia, nie było śladu wieśniaków, którzy codziennie przywozili na targ swoje towary, na niskich ławach piętrzyli stosy owoców i układali wiązki jarzyn ozdobione kwiatami. Nie ożywiał wczesnego ranka zgiełk chłopów, bab, dzieci i objuczonych osiołków. Tylko gdzieniegdzie na rozległym placu stały gromadki rewolucjonistów, spoglądając spod wciśniętych na czoło kapeluszy w jednym kierunku: czy nie wiezie ktoś wiadomości z Rincon. Największa z tych gromad, widząc przejeżdżającego Charlesa Goulda, odwróciła się jak jeden mąż i wrzasnęła za nim groźnie: „*Viva la libertad!*"

Charles Gould minął ich i skręcił w bramę swego domu. Na patio, zasłanym słomą, któryś z *practicante*[239], miejscowych asystentów doktora Monyghama siedział na ziemi i oparłszy się plecami o skraj fontanny, brząkał dyskretnie na gitarze. Przed nim stały dwie dziewczyny z ludu, które podrygiwały z lekka, wymachiwały ramionami i nuciły popularną melodię taneczną.

Większość rannych z dwu dni rozruchów zabrali już ich krewni i przyjaciele, ale kilku siedziało tam jeszcze, kiwając obandażowanymi głowami w takt muzyki. Charles Gould zsiadł z konia. Zaspany *mozo* wybiegł z drzwi piekarni i ujął konia za uzdę. *Practicante* próbował pośpiesznie ukryć gitarę. Dziewczęta, niezmieszane, usunęły się z uśmiechem w głąb. Charles Gould, podążając ku schodom, zerknął w ciemny kąt patia, gdzie obok śmiertelnie rannego *cargadora* klęczała jego żona. Mamrotała pośpiesznie modlitwy, usiłując równocześnie włożyć kawałek pomarańczy w drętwiejące usta konającego męża.

Okrutna marność rzeczy objawiała się bez osłonek w lekkomyślności i cierpieniu tego niepoprawnego ludu; okrutna marność życia i śmierci, którymi szafowano w daremnych wysiłkach znalezienia trwałego rozwiązania tego problemu. Charles Gould nie był podobny do Decouda i nie umiał pogodnie brać udziału w tragicznej farsie. Zaiste, dla niego była ona tragiczna, ale nie miała w sobie nic z farsy. Zbyt boleśnie dolegało mu przeświadczenie o nieuleczalnym szaleństwie. Był nazbyt surowym praktykiem i idealistą, żeby patrzeć z humorem na jego straszliwe komizmy, jak to czynił Martin Decoud, marzycielski materialista, patrzący na wszystko przez pryzmat swego oschłego sceptycyzmu. Dla niego, podobnie jak dla nas wszystkich, kompromis ze swym sumieniem był jeszcze szpetniejszy w obliczu niepowodzenia. Małomówność, jaką sobie rozmyślnie narzucał, ustrzegła go przed jawnym igraniem ze swymi myślami, ale koncesja Gouldów podstępnie spaczyła jego osąd. Powinien był wiedzieć — mówił sobie, opierając się o balustradę galerii — iż ribieryzm nigdy niczego nie wskóra. Kopalnia spaczyła jego sąd, gdyż skłoniła go do przekupstw i knowań, byleby tylko jego dzieło z dnia na dzień pozostawiano w spokoju. Podobnie jak jego ojciec nie lubił być ograbiany. Doprowadzało go to do rozpaczy. Wmówił w siebie, iż pomijając nawet wyższe względy, poparcie nadziei don Joségo na reformy jest dobrym interesem. Zagmatwał się w niedorzeczną walkę, podobnie jak jego biedny wuj, którego szabla wisiała na ścianie jego pracowni. Uwikłał się w obronę najzwyklejszych zasad zorganizowanego społeczeństwa. Jego bronią były jednak skarby kopalni, bronią subtelniejszą i sięgającą dalej niż uczciwy stalowy brzeszczot, osadzony w zwyczajnej, mosiężnej rękojeści.

Stokroć jednak niebezpieczniejsza dla tego, który nią władał, była broń bogactwa, obosieczna chciwością i niedolą ludzką, zatruta wszystkimi wadami wynikającymi z pobłażania sobie, jak wywarami jadowitych ziół, plamiąca każdą sprawę, dla której jej dobyto, zawsze gotowa zawieść dzierżącą ją dłoń. I oto teraz nie pozostawało nic innego,

[238] *pilaster* — dekoracyjny płaski filar połączony ze ścianą. [przypis edytorski]
[239] *practicante* (hiszp.) — pielęgniarz. [przypis edytorski]

jak nią się posłużyć. Ale poprzysiągł sobie, iż raczej strzaska ją w drzazgi, niż pozwoli, by wydarto mu ją z rąk.

Mając angielską krew w żyłach i angielskie wychowanie, zdawał sobie sprawę, iż mimo wszystko jest w tym kraju awanturnikiem, potomkiem awanturników, którzy zaciągnęli się do obcej legii, ludzi, którzy szukali szczęścia w walkach rewolucyjnych, planowali rewolucje i wierzyli w rewolucje. Mimo prawości swego charakteru miał w sobie jakąś niewybredną moralność awanturnika, który w etycznej ocenie swych czynów liczy się z osobistym ryzykiem. Był przygotowany, o ile zaszłaby potrzeba, wysadzić w powietrze całą górę San Tomé, zdmuchnąć ją z powierzchni Republiki Costaguany. To postanowienie było wyrazem mocy jego charakteru, wynikiem wyrzutów sumienia z powodu tej niepochwytnej niewierności małżeńskiej, w której jego żona przestała być wyłączną panią jego myśli, czymś z niezdrowej wyobraźni ojca i wreszcie czymś jakby z ducha korsarza, który woli wrzucić zapaloną zapałkę do prochowni niż poddać swój okręt.

Na dole, na patio, ranny *cargador* wyzionął ducha. Jego żona krzyknęła. Na ten krzyk, przeraźliwy i nieoczekiwany, wszyscy ranni usiedli na posłaniach. *Practicante* zerwał się na nogi z gitarą w ręce, uniósł brwi i wpatrywał się w nią uporczywie. Dwie dziewczyny, siedzące w kucki obok rannego krewniaka, z długimi cygarami w ustach, skinęły na siebie znacząco.

Charles Gould, przechyliwszy się przez balustradę, ujrzał, iż trzech panów, odzianych ceremonialnie w czarne fraki i białe koszule, z okrągłymi, europejskimi kapeluszami na głowach, weszło z ulicy na patio. Jeden z nich, przerastający innych ramionami i głową, szedł przodem z powagą, wskazując im drogę. Był to don Juste Lopez, który wraz z swymi dwoma przyjaciółmi, posłami na Zgromadzenie Prowincjonalne, wybrał się o tak wczesnej porze do administratora kopalni San Tomé. Zobaczyli go również i pośpiesznie powitali ruchem dłoni, wchodząc jakby w procesji na schody.

Don Juste zmienił się nie do poznania, gdyż ogolił zupełnie osmaloną brodę, a wraz z nią postradał dziewięć dziesiątych swej zewnętrznej godności. Charles Gould, aczkolwiek pochłonięty myślami, nie mógł nie dostrzec uderzającej ograniczoności, jaka ujawniła się na jego twarzy. Jego towarzysze byli przygnębieni i ospali. Jeden z nich wysuwał koniec języka ze spieczonych ust. Drugi wodził tępo oczyma po posadzce korytarza, gdy don Juste, wysunąwszy się nieco naprzód, zagrzmiał przemówieniem do *señora administradora* kopalni San Tomé. Był do głębi przekonany, iż należy przestrzegać form. Do nowego gubernatora zawsze wysyłano deputacje[240] od *cabildo*, czyli rady miejskiej, oraz od *consulado*, czyli izby handlowej. Wypadało zatem, żeby Zgromadzenie Prowincjonalne również wysłało deputację, chociażby dla zaznaczenia, iż istnieją instytucje parlamentarne. Don Juste zaproponował, aby don Carlos Gould, jako najwybitniejszy obywatel prowincji, przyłączył się do deputacji Zgromadzenia. Jego stanowisko było wyjątkowe, a osoba znana w całej republice. Uprzejmości urzędowej nie należy zaniedbywać, choćby przy niej krwawiło serce. Pogodzenie się z faktami dokonanymi może ocalić cenne szczątki instytucji parlamentarnych. Oczy don Justego pałały tępym blaskiem; wierzył w instytucje parlamentarne, a jego drgający pewnością głos zatracał się w ciszy domu niby buczenie wielkiego bąka.

Charles Gould odwrócił się, słuchając cierpliwie i opierając się łokciem o balustradę. Potrząsał odmownie głową, niemal wzruszony zatroskanym spojrzeniem przewodniczącego Zgromadzenia Prowincjonalnego. Polityka Charlesa Goulda nie pozwalała, by kopalnia San Tomé brała udział w jakichkolwiek formalnych wystąpieniach.

— Moim zdaniem, señores, powinniście oczekiwać losu we własnych domach. Nie ma potrzeby oddawać się formalnie w ręce Montera. Uległość wobec tego, co nieuniknione, jak powiada don Juste, jest rzeczą słuszną, ale jeżeli to nieuniknione nazywa się Pedrito Montero, nie należy uwydatniać zbyt wyraźnie bezwarunkowej kapitulacji. Błędem tego kraju jest brak umiaru w życiu politycznym. Nikczemne przystosowywanie się do bezprawia, po którym następuje krwawa reakcja, nie prowadzi, señores, do stabilnej i pomyślnej przyszłości.

[240] *deputacja* (daw.) — delegacja, grupa przedstawicieli jakiejś zbiorowości wysłana w celu załatwienia jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

Charlesa Goulda zamilkł, widząc smutne, oszołomione twarze oraz zdumione, trwożne spojrzenia oczu. Współczucie dla tych ludzi, którzy całą swą ufność pokładali w jakichś tam słowach, gdy w kraju panoszyły się zabójstwo i grabież, było powodem, iż wdał się w to, co wydawało się czczą gadatliwością. Don Juste zamamrotał:

— Pan nas opuszcza, don Carlosie... A przecież instytucje parlamentarne...

Nie mógł dokończyć z żalu. Przez chwilę zakrywał oczy dłonią. Charles Gould z obawy przed pustą gadaniną nie odpowiadał na tę skargę. Odwzajemnił w milczeniu ich ceremonialne ukłony. Milczenie było jego schronieniem. Rozumiał, że chodziło im o przeciągnięcie na swoją stronę wpływów, jakie miała kopalnia San Tomé. Rokowania pojednawcze ze zwycięzcą chcieli nawiązać pod skrzydłami koncesji Gouldów. Inne zrzeszenia publiczne, jak *cabildo* i *consulado*, również by przyszły, szukając poparcia najtrwalszej, najczynniejszej siły, jaka kiedykolwiek istniała w ich prowincji.

Nierównym, szybkim krokiem nadszedł doktor i dowiedział się, że pan domu zamknął się w swym pokoju i polecił, aby mu pod żadnym pozorem nie przeszkadzano. Ale doktor Monygham nie pragnął zobaczyć się z Charlesem Gouldem natychmiast. Spędził czas jakiś na pośpiesznym przeglądzie swych rannych. Przyglądał się każdemu po kolei, trąc swą brodę między palcem wielkim a wskazującym. Jego twardy wzrok pozbawiony wyrazu spotykał się z ich pytającym w milczeniu spojrzeniem. Wszyscy mieli się dobrze. Ale kiedy stanął nad martwym *cargadorem*, zatrzymał się nieco dłużej, przyglądając się nie mężczyźnie, który już przestał cierpieć, lecz kobiecie klęczącej obok z niemą zadumą na zakrzepłej twarzy, ze zwężonymi nozdrzami i białymi błyskami w niedomkniętych oczach. Powoli podniosła głowę i rzekła głuchym głosem:

— Niedawno został *cargadorem*, zaledwie przed kilkoma tygodniami. Wielmożny pan *capataz* przyjął go dopiero po wielu zachodach.

— Nie jestem odpowiedzialny za wielkiego *capataza* — mruknął doktor, odchodząc.

Idąc po schodach ku drzwiom pokoju Charlesa Goulda, doktor w ostatniej chwili się zawahał. Odwrócił się w końcu od klamki, wzruszył swymi nierównymi ramionami i pokuśtykał pośpiesznie w głąb korytarza, szukając *cameristy* pani Gould.

Leonarda powiedziała mu, iż señora jeszcze nie wstała. Señora oddała jej pod opiekę dziewczynki włoskiego *posadera*. Spełniając ten rozkaz, ona, Leonarda, ułożyła je do snu w swym pokoju. Jasnowłosa dziewczynka dopominała się snu, natomiast ciemnowłosa, ta większa, nie zmrużyła dotychczas oczu. Siedziała na łóżku, zakrywszy się prześcieradłem aż po samą brodę, i patrzyła przed siebie jak mała czarownica. Leonarda nie była zadowolona, iż dzieci Viola zabrano do tego domu. Nie skrywała swych uczuć, pytając obojętnym tonem, czy matka ich jeszcze żyje. Señora zapewne jeszcze śpi. Po odjeździe doñii Antonii i jej dogorywającego ojca poszła do swego pokoju i odtąd nic stamtąd nie słychać.

Doktor, ocknąwszy się z głębokiej zadumy, rozkazał jej szorstko, by poprosiła zaraz swą panią. Po czym odszedł, kulejąc, by zaczekać w sali na panią Gould. Był bardzo znużony, ale nazbyt podniecony, by usiedzieć na miejscu. Przechadzał się pomiędzy krzesłami i stołami po tym wielkim, pustym w tej chwili salonie, gdzie jego zmarniała dusza odzyskała swą świeżość po wielu jałowych latach i gdzie jego duch wyrzutka pobłażał milcząco ukradkowym spojrzeniom. Wreszcie weszła śpiesznie pani Gould, otulona w ranny szlafrok.

— Pani wie, nigdy iż nie pochwalałem wywiezienia tego srebra — zaczął doktor od słów, będących jakby wstępem do opowieści o nocnych przygodach, jakich doświadczył w głównej kwaterze Sotilla razem z kapitanem Mitchellem, naczelnym inżynierem i starym Violą. Dla doktora, który miał swój własny pogląd na to polityczne przesilenie, wywiezienie srebra było złowróżbną niedorzecznością. Znaczyło dla niego to samo, jak gdyby wódz w przededniu bitwy pod jakimś tajemnym pretekstem odsyłał z pola najlepszą część swych wojsk. Cały zapas srebra należało ukryć w takim miejscu, w którym byłoby gotowe każdej chwili odeprzeć niebezpieczeństwa zagrażające koncesji Gouldów. Jej administrator postąpił tak, jak gdyby olbrzymia potęga i pomyślność kopalni opierały się na zasadach uczciwości, na poczuciu użyteczności. A nie było ani jednego, ani drugiego. Metoda, jaką przyjęto, była jedyną możliwą. Koncesja Gouldów płaciła okup przez cały czas swego istnienia. To było obrzydliwe. Rozumiał doskonale, że Charles Gould miał tego dość, więc porzucił dawną ścieżkę, by poprzeć beznadziejne usiłowania zmierzające ku reformie. Doktor nie wierzył w zreformowanie Costaguany. I oto kopal-

nia powróciła znów na dawne tory, z tą jednakże niepomyślną różnicą, iż odtąd będzie miała do czynienia nie tylko z łapczywością, rozbudzoną przez swe bogactwa, ale także z niechęcią, wywołaną wysiłkami, by uwolnić się z jarzma moralnego zepsucia. Takie były konsekwencje niepowodzenia. Niepokoiło go to, iż Charles Gould jak gdyby osłabł w stanowczej chwili, kiedy jawny powrót do dawnych metod był jedynym ratunkiem. Słabością było słuchać dzikich pomysłów Decouda.

Doktor wymachiwał ramionami, wykrzykując: „Decoud, Decoud!". Kuśtykał po sali, śmiejąc się pogardliwym, gniewnym śmiechem. Przed wielu laty kostki u jego nóg zostały poważnie uszkodzone podczas pewnego przesłuchania, przeprowadzonego w cytadeli Santa Marta przez komisję złożoną z wojskowych. W środku nocy, całkiem nieoczekiwanie, kazał im podjąć się tego zadania Guzman Bento, który ryknął na nich, marszcząc groźnie brwi i miotając z oczu pioruny. Stary tyran, w jednym ze swych nagłych napadów podejrzliwości, mieszał zapienione odwołania do ich wierności z przekleństwami i straszliwymi groźbami. Cele i kazamaty[241] cytadeli wznoszącej się na wzgórzu były już zapełnione więźniami. Obowiązkiem komisji było wykryć zbrodniczy spisek przeciwko Obywatelowi Zbawcy Ojczyzny.

Ich lęk przed oszalałym tyranem przeobraził się w gorączkową dzikość procedury. Obywatel Zbawca nie był przyzwyczajony do czekania. Należało wykryć spisek. Na podwórzach cytadeli rozlegał się szczęk kajdan, świst biczów i wrzaski bólu. Komisja, złożona z wyższych oficerów, pracowała pośpiesznie, a jej członkowie ukrywali wzajemnie przed sobą niepokój i obawy, mając się zwłaszcza na baczności przed sekretarzem, ojcem Beronem, kapelanem wojskowym, który w tym czasie był w łaskach Obywatela Zbawcy. Ksiądz ten był wielkim, barczystym mężczyzną, miał brudną, zarastającą włosami tonsurę na szczycie spłaszczonej głowy, śniadożółtą cerę i był nieco otyły. Tłuste plamy szpeciły od góry do dołu przód jego porucznikowskiego munduru, na którym na lewej piersi widniał niewielki krzyż, wyszyty białą bawełną. Ojciec Bernon miał ogromny nos i obwisłą wargę. Doktor Monygham pamiętał go jeszcze. Pamiętał mimo całego wysiłku woli, żeby go zapomnieć. Guzman Bento umyślnie przydzielił ojca Berona tej komisji, aby jego światła żarliwość wspierała jej członków w pracy. Doktor Monygham żadną miarą nie mógł zapomnieć żarliwości ojca Berona ani jego twarzy, ani jego bezlitosnego, monotonnego głosu, który powtarzał: „Czy teraz wyznasz?".

To wspomnienie nie przerażało dzisiaj, ale uczyniło zeń to, czym był w oczach przyzwoitych ludzi: człowiekiem, niedbającym o poprawność towarzyską, czymś pośrednim pomiędzy inteligentnym włóczęgą a zniesławionym lekarzem. Ale nie wszyscy przyzwoici ludzie posiadali dostateczną delikatność uczuć, aby zrozumieć, z jakim cierpieniem i wyrazistością wizji doktor Monygham, lekarz kopalni San Tomé, wspominał ojca Berona, kapelana wojskowego, który był kiedyś sekretarzem komisji oficerskiej. W swym mieszkaniu na samym końcu budynku szpitalnego w wąwozie San Tomé doktor Monygham pamiętał ojca Berona równie dokładnie jak dawniej. Ksiądz przypominał mu się niekiedy nocą, we śnie. Takie noce doktor zwykł był spędzać przy zapalonej świeczce, chodząc w tę i z powrotem po pokoju, nie spuszczając oczu ze swych bosych stóp i mocno oplatając rękoma piersi. Bywało, iż śnił, że ojciec Beron siedzi na końcu długiego, czarnego stołu, za którym widniały rzędem głowy, ramiona i epolety wojskowych członków komisji, ogryzających obsadki piór i słuchających ze znużoną i niecierpliwą pogardą zaklęć tego czy owego więźnia, powołującego niebo na świadka swej niewinności. W końcu rozlegał się głos: „Nie szkoda czasu na taką nędzną gadaninę? Dajcie mi z nim pomówić na osobności". I ojciec Beron wychodził za podzwaniającym kajdanami więźniem, którego prowadzili dwaj żołnierze. Te sceny powtarzały się przez wiele dni, wiele razy, z wieloma więźniami. Gdy więzień powracał, był już gotów do wszelkich zeznań, jak oświadczał ojciec Beron, pochylając się z tym tępym i sytym wzrokiem, jaki widuje się w oczach żarłoków po sutym obiedzie.

Inkwizytorski instynkt tego księdza nie odczuwał zbytnio niedostatku klasycznych narzędzi używanych przez inkwizycję. W żadnej epoce nie brakowało ludziom możliwości zadawania cielesnych i psychicznych męczarni swym bliźnim. Uzdolnienia tego nabywali w miarę, jak komplikowały się ich namiętności i szybko doskonaliła się ich pomysłowość.

[241] *kazamaty* — podziemne cele w ciężkim więzieniu. [przypis edytorski]

Można jednak powiedzieć z całą pewnością, iż człowiek pierwotny nie zadawał sobie trudu wynajdywania tortur. Był na to zbyt leniwy i miał za czyste serce. Rozwalał sąsiadowi głowę kamienną siekierą z konieczności i bez złej woli. Najgłupszy umysł może wynaleźć krzywdzące słowa lub piętnować niewinnego okrutną potwarzą. Kawał powroza i wycior, kilka muszkietów w połączeniu z długim rzemieniem lub bodaj zwykły tłuczek z ciężkiego, twardego drzewa, spadający z rozmachem na ludzkie palce lub na stawy ludzkiego ciała, wystarczają do zadania najwyszukańszych tortur. Doktor był bardzo zatwardziałym więźniem, toteż skutkiem tego „przekornego usposobienia" (jak to nazywał ojciec Beron) poskromienie go było nader miażdżące i nader zupełne. Stąd wziął się jego kulawy chód, skręt ramion i blizny na twarzy. Jego zeznania, gdy w końcu nastąpiły, były wyczerpujące. Niekiedy, przechadzając się nocą, zgrzytał zębami z wściekłości i wstydu i dziwił się pomysłowości swojej wyobraźni, kiedy ją pobudzano torturą sprawiającą, że prawda, honor, godność osobista, a nawet życie stają się bez znaczenia.

Nie mógł zapomnieć ojca Berona i jego monotonnego pytania: „Czy teraz wyznasz?", które docierało do niego ze straszliwą powtarzalnością i jasnością znaczenia przez majaki i obłęd nieznośnej męki. Nie mógł zapomnieć. Ale nie to było najgorsze. Doktor Monygham miał pewność, iż gdyby po tylu latach spotkał ojca Berona na ulicy, struchlałby przed nim. Wprawdzie nie było już czego się obawiać. Ojciec Beron nie żył, ale ta bolesna pewność nie pozwalała doktorowi Monyghamowi patrzeć ludziom w oczy.

Doktor stał się niejako niewolnikiem upiora. Oczywiście powrót do Europy z widmem ojca Berona był niemożliwy. Składając wymuszone zeznania przed sądem wojskowym, doktor Monygham nie starał się uniknąć śmierci. Pragnął jej. Siedząc całymi godzinami półnagi na mokrej ziemi swego więzienia, tak nieruchomo, iż pająki, jego towarzysze, przyczepiały pajęczyny do jego zmierzwionych włosów, pocieszał niedolę swej duszy rozumowaniem, iż winy, które wziął na siebie, wystarczą na wyrok śmierci, że posunięto by się za daleko, pozwalając mu żyć po tym, co powiedział.

Ale jakby z jakiegoś wyrafinowanego okrucieństwa pozwolono doktorowi Monyghamowi całymi miesiącami powoli dogorywać w ciemności więzienia, niby w jakimś grobie. Spodziewano się zapewne, iż obejdzie się bez egzekucji. Ale doktor Monygham miał żelazny organizm. Wcześniej umarł Guzman Bento, nie od sztyletu spiskowca, lecz porażony apopleksją, a doktora Monyghama pospiesznie wypuszczono na wolność. Zdjęto mu kajdany przy blasku świecy, która po tylu miesiącach mroków raziła jego oczy tak bardzo, że zakrywał twarz dłońmi. Podźwignięto go na nogi. Serce biło mu mocno z obawy przed wolnością. Gdy zaczął stawiać kroki, od niesłychanej wiotkości stóp poczuł zawrót głowy i upadł na ziemię. Włożono mu dwa kije do rąk i wypchnięto z korytarza. Panował już zmierzch. W oknach mieszkań oficerskich dokoła podwórza jarzyły się świece. Mimo to mroczne niebo oszołomiło go swą przeogromną i przytłaczającą wspaniałością. Cienkie poncho zwisało z jego nagich, kościstych ramion, strzępy spodni sięgały mu ledwie za kolana, niestrzyżone od osiemnastu miesięcy włosy spadały brudnymi, siwymi kudłami na wystające kości policzkowe. Gdy wlókł się koło drzwi straży więziennej, jeden z wałęsających się żołnierzy pod wpływem jakiegoś niejasnego impulsu podbiegł do niego i z dziwnym śmiechem wcisnął mu na głowę stary, połamany kapelusz słomkowy. Doktor Monygham zatoczył się i powlókł się dalej. Wysunął jeden kij, potem okaleczoną stopę, po czym postawił drugi kij; druga noga ledwie się przesunęła, jak gdyby była za ciężka, żeby mógł ją udźwignąć; obie nogi, okryte zwisającymi połami poncha, nie wydawały się grubsze od kosturów, które trzymał w ręku. Nieustające drżenie wstrząsało jego pochylonym ciałem, wycieńczonymi kończynami, kościstą głową, stożkowatym, obszarpanym czubkiem sombrera, którego szerokie, płaskie rondo opadło mu na ramiona.

W takim oto stroju i w takich okolicznościach odzyskiwał doktor Monygham wolność. Okoliczności te kojarzyły go nierozerwalnie z ziemią Costaguany niby przebieg jakiejś straszliwej naturalizacji, wciągały go w głąb życia narodowego znacznie silniej, niżby to mogło uczynić powodzenie i zaszczyty. Wyzuły go z jego europejskości; bowiem doktor Monygham wytworzył sobie idealne pojęcie o swej hańbie. Pojęcie to całkowicie odpowiadało zasadom dżentelmena i oficera. Doktor Monygham, zanim przybył do Costaguany, był chirurgiem w jednym z pieszych pułków Jej Królewskiej Kości. Pogląd ten nie liczył się ani z faktami fizjologicznymi, ani z rozumowymi argumentami, ale bynajmniej nie był głupi. Był prosty. Zasada postępowania opierająca się głównie na su-

rowym odrzucaniu czegoś złego jest z konieczności prosta. Pogląd doktora Monyghama na to, do czego go zobowiązywała, był surowy. Był to pogląd idealny o tyle, iż stanowił wyobraźniowe wyolbrzymienie słusznego uczucia. Przy tym dzięki swej sile, wpływowi i wytrwałości był to pogląd nadzwyczaj lojalnego charakteru.

W naturze doktora Monyghama leżała wielka lojalność. Przeniósł ją w całości na panią Gould. Wierzył, że jest godna wszelkiego poświęcenia. W głębi duszy doznawał gniewnej przykrości z powodu powodzenia kopalni San Tomé, bowiem ten rozwój pozbawiał ją spokoju ducha. Costaguana nie była krajem dla kobiety takiej jak ona. Co sobie myślał Charles Gould, przywożąc ją tutaj! To było oburzające! Doktor śledził bieg wypadków z ponurą powściągliwością, którą w jego mniemaniu narzucała mu jego żałosna historia.

Przywiązanie do pani Gould nie wyłączało jednak dbałości o bezpieczeństwo jej męża. Doktor postanowił być w mieście, gdy nadejdzie rozstrzygająca chwila, gdyż nie dowierzał Charlesowi Gouldowi. Uważał go za beznadziejnie zarażonego obłędem rewolucyjnym. Z tego powodu kuśtykał tego poranka zatroskany po salonie Casa Gould, powtarzając w posępnym rozdrażnieniu: „Decoud, Decoud!".

Pani Gould, z wypiekami na twarzy i roziskrzonym wzrokiem, patrzyła wprost przed siebie, przejęta nagłym ogromem nieszczęścia. Końce palców jej ręki spoczywały lekko na niewielkim, niskim stoliczku, ramię drżało po same barki. Słońce, które późno zjawia się w Sulaco, ukazało się wysoko na niebie w całej pełni swej potęgi, wynurzywszy się spoza olśniewających śniegów Higueroty, rozszczepiło delikatną, miękką, perłową szarość, w której wczesnym rankiem pogrąża się miasto, na ostro odcinające się smugi czarnego cienia i plamy skwarnego, rozmigotanego blasku. Trzy długie prostokąty światła wpadały przez okna do salonu. Wznoszący się po drugiej stronie ulicy front domu Avellanosów wydawał się bardzo mroczny we własnym cieniu, oglądany poprzez smugi światła.

W drzwiach odezwał się jakiś głos:

— A co z Decoudem?

Był to Charles Gould. Nie słyszeli, jak szedł korytarzem. Spojrzeniem prześlizgnął się po żonie i utkwił wzrok w Munyghamie.

— Ma pan jakieś nowiny, doktorze?

Doktor Monygham powtórzył z grubsza wszystko na raz. Kiedy skończył, administrator kopalni San Tomé patrzył na niego przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Pani Gould osunęła się w niski fotel i opuściła ręce na kolana. Między trzema nieruchomymi osobami zaległo milczenie. W końcu Charles Gould odezwał się:

— Powinien pan zjeść śniadanie.

Usunął się od drzwi, by przepuścić żonę. Uchwyciła rękę męża i uścisnęła ją, po czym wyszła, podnosząc chusteczkę do oczu. Widok męża przywiódł jej na myśl Antonię i nie mogła się powstrzymać od łez, myśląc o nieszczęsnej dziewczynie. Kiedy weszła do jadalni, umywszy poprzednio twarz, obaj mężczyźni siedzieli już przy stole, a Charles Gould mówił do doktora:

— Tak, to nie ulega wątpliwości.

Zaś doktor potwierdził:

— Istotnie, trudno wątpić w to, co opowiadał ten żałosny Hirsch. Obawiam się, że jest aż nadto prawdziwe.

Usiadła na końcu stołu i spoglądała na nich kolejno. Obaj mężczyźni nie odwracali wprawdzie głów, lecz starali się unikać jej wzroku. Doktor zaczął nawet udawać, że jest głodny. Chwycił nóż i widelec i zaczął jeść z przymusem, jakby na scenie. Charles Gould nie udawał. Z uniesionymi łokciami podkręcał końce swych płomienistych wąsów, które były tak długie, iż jego ręce odstawały daleko od jego twarzy.

— Nie dziwię się — mruknął, przestał podkręcać wąsy i przerzucił rękę przez poręcz krzesła. Twarz miał spokojną i nieruchomą, jej wyraz zdradzał wielkie natężenie duchowej rozterki. Czuł, że ten wypadek jest zakończeniem wszystkich konsekwencji wynikłych z jego linii postępowania, z jego świadomych i podświadomych zamierzeń. Będzie teraz musiał skończyć z tą milczącą powściągliwością, z pozorami niedocieczoności, za którymi chronił swoją godność. Była to najmniej haniebna forma obłudy, narzucona mu przez tę parodię cywilizowanego ustroju, która obrażała jego inteligencję, jego prawość, jego poczucie słuszności. Był podobny do swego ojca. Nie umiał patrzeć ironicznie. Nie bawiły go niedorzeczności władające doczesnym światem. Obrażały jego wrodzoną powagę. Czuł,

iż żałosny zgon biednego Decouda pozbawił go pozycji niedostępnej potęgi działającej z zaplecza. Zmuszał go do jawnego wystąpienia, chyba że wycofa się z gry — a to było niemożliwe. Sprawy materialne wymagały od niego poświęcenia jego rezerwy, a może nawet własnego bezpieczeństwa. I przyszło mu na myśl, że separatystyczny plan Decouda nie poszedł na dno wraz ze srebrem.

Jedyną rzeczą, która nie uległa zmianie, był jego stosunek do Holroyda. Zwierzchnik przedsiębiorstw srebra i stali przystąpił do spraw costaguańskich z niejaką namiętnością. Costaguana stała się mu potrzebna do życia. W kopalni San Tomé znalazł zadowolenie, jakie inne umysły czerpią z dramatu, ze sztuki lub z niebezpiecznego, fascynującego sportu. Był to szczególniejszy przejaw dziwactwa wielkiego człowieka, uświęcony zamierzeniami moralnymi i dość wielki, by schlebiać jego próżności. Nawet tym zbłąkaniem swego geniuszu oddawał usługi postępowi świata. Charles Gould był pewny, że z powodu ich wspólnej pasji zostanie przez niego dobrze zrozumiany i pobłażliwie osądzony. Nic teraz nie mogło zdziwić ani zaskoczyć wielkiego człowieka. Charles Gould wyobrażał sobie, że pisze list do San Francisco zawierający mniej więcej takie słowa: „...Ludzie, którzy stali na czele ruchu, zginęli lub uciekli; organizacja cywilna prowincji jest na razie rozbita; stronnictwo *blancos* w Sulaco załamało się beznadziejnie, lecz w sposób charakterystyczny dla tego kraju. Natomiast Barrios z nietkniętą armią w Caycie może być jeszcze przydatny. Jestem zmuszony wystąpić jawnie z planem rewolucji prowincjonalnej, gdyż jest to jedyny sposób trwałego zabezpieczenia olbrzymich interesów materialnych, skojarzonych z pomyślnością i spokojem Sulaco..." To było jasne. Widział te słowa jak ogniste litery nakreślone na ścianie, na którą patrzył roztargnionym wzrokiem.

Pani Gould śledziła jego roztargnienie z niepokojem. Znała to zatrważające zjawisko, które zaciemniało i wyziębiało dom na podobieństwo burzowej chmury przysłaniającej na chwilę słońce. Przystępy roztargnienia u Charlesa Goulda były oznaką usilnej koncentracji woli opętanej jedną myślą. Człowiek opętany jedną myślą jest szalony. Jest niebezpieczny, nawet gdy jego myśl jest ideą sprawiedliwości; bo czyż nie może bezlitośnie zwalić nieba na ukochaną głowę? Oczy pani Gould, utkwione w profil męża, znowu napełniły się łzami. I znowu wydało się jej, że widzi rozpacz nieszczęsnej Antonii.

Idealista, Szaleniec

— Co ja bym zrobiła, gdyby Charley utonął podczas naszego narzeczeństwa? — wołała w duchu ze zgrozą. Jej serce zamieniło się w lód, a policzki zapłonęły, jak gdyby muśnięte tchnieniem stosu pogrzebowego, który pochłaniał jej wszystkie doczesne uczucia. Łzy trysnęły jej z oczu.

— Antonia się zabije! — wykrzyknęła.

Krzyk wstrząsnął ciszą pokoju, nie wywołując większego wrażenia. Jedynie doktor, który kruszył w ręku kawałek chleba, przechylając na bok głowę, podniósł głowę, lekko marszcząc krzaczaste brwi, na których drgnęło kilka długich włosów. Doktor Monygham całkiem szczerze myślał, że Decoud był wyjątkowo niegodny kobiecych uczuć. Następnie znów pochylił głowę, wykrzywiając usta, z sercem pełnym czułego podziwu dla pani Gould.

„Myśli o tej dziewczynie — rzekł do siebie — myśli o dzieciach Violi, myśli o mnie, o rannych, o górnikach. Zawsze myśli o wszystkich biednych i nieszczęśliwych. Ale co by poczęła, gdyby Charles zginął w tym piekielnym odmęcie, w który go wciągnęli ci przeklęci Avellanosowie? O niej nikt nie myśli".

Charles Gould, zapatrzony na ścianę, snuł dalej swe subtelne plany.

— Napiszę do Holroyda, iż kopalnia San Tomé jest dość potężna, by podjąć się utworzenia nowego państwa. To mu się spodoba. Pogodzi go z ryzykiem.

Czy jednak Barrios był naprawdę przydatny? Może. Lecz nie było do niego dostępu. Nie można już było wysłać łodzi do Cayty, gdyż Sotillo był panem portu i miał parowiec do dyspozycji. Czyż teraz, kiedy cała prowincja została zalana przez demokratów, a wszystkie miasta na Campo znajdowały się w stanie wrzenia, zdoła znaleźć człowieka, który by przedarł się szczęśliwie przez góry do Cayty i dostarczył list po dziesięciu co najmniej dniach konnej podróży? Człowieka odważnego i stanowczego, który nie dałby się zatrzymać ani zabić, a w ostateczności połknąłby powierzony mu papier? Takim człowiekiem byłby *capataz cargadorów*. Ale *capataza* już nie było na świecie.

I Charles Gould, odwracając oczy od ściany, rzekł łagodnie:

— Ten Hirsch! Co za nadzwyczajne zdarzenie! A więc naprawdę ocalał, uczepiwszy się kotwicy? Nie miałem pojęcia, że pozostał w Sulaco. Sądziłem, że już ponad tydzień temu wrócił przez góry do Esmeraldy. Był tu kiedyś, by pomówić ze mną o swoim handlu skórami i jakichś innych sprawach. Dałem mu niedwuznacznie do zrozumienia, iż nic z tego nie będzie.

— Bał się wracać z powodu Hernandeza, który znajdował się w pobliżu — napomknął doktor.

— Ale gdyby nie on, nie dowiedzielibyśmy się, co się stało — zastanawiał się Charles Gould.

Pani Gould krzyknęła:

— Antonia nie powinna się dowiedzieć. Nie można jej mówić. Nie teraz!

— Nie ma nikogo, kto by jej zaniósł te nowiny — zauważył doktor. — Nie jest to w niczyim interesie. Co więcej, tutejsza ludność drży przed Hernandezem, jakby był istnym diabłem. — Zwrócił się do Charlesa Goulda. — To nawet kłopotliwe, bo nie znalazłby pan posłańca, gdyby trzeba było porozumieć się z uchodźcami. Gdy Hernandez obozował o sto mil stąd, ludność w Sulaco już truchlała, bo chodziły pogłoski, że piecze swych jeńców żywcem.

— Tak — mruknął Charles Gould. — *Capataz* kapitana Mitchella był jedynym człowiekiem w mieście, który stykał się z Hernandezem oko w oko. Ojciec Corbelan go do niego wysyłał. On pierwszy nawiązał z nim stosunki. Szkoda, że...

Głos wielkiego dzwonu katedry zagłuszył jego słowa. Buchnęły nagle trzy uderzenia, jedno po drugim, a następnie rozpierzchły się w niskich, łagodnych wibracjach. Po czym wszystkie dzwony kościołów, klasztorów i kaplic, nawet tych, które pozamykano już przed laty, zadygotały zgodnym brzmieniem. W tym rozszalałym zalewie metalicznego zgiełku była taka potęga przejmujących obrazów walki i przemocy, że policzki pani Gould pobladły. Basilio, który usługiwał do stołu, skulił się i przylgnął do kredensu, szczękając zębami. Niepodobna było słyszeć się wzajemnie.

— Zamknij te okna! — krzyknął na niego Charles gniewnie Gould.

Reszta służby, przerażona tym, co uznała za wezwanie do powszechnej rzezi, wybiegła gromadnie na schody, potrącając się wzajemnie; mężczyźni i kobiety, nieznani, zazwyczaj nieoglądani mieszkańcy suteren po czterech stronach patio. Kobiety, krzycząc: „*misericordia!*", wpadły do pokoju i rzuciwszy się pod ścianami na kolana, zaczęły żegnać się gorączkowo. Struchlałe twarze mężczyzn stłoczyły się jednej chwili w drzwiach. Byli to *mozos* stajenni, ogrodnicy, nieokreślone popychadła, żyjące z okruszyn szczodrobliwego domu — i oto Charles Gould ujrzał wszystkich swych domowników, nie wyłączając odźwiernego. Był to na pół sparaliżowany starzec, któremu długie, białe włosy spadały na ramiona, dziedziczny sługa, utrzymywany przez Charlesa Goulda na łaskawym chlebie. Pamiętał jeszcze Henryka Goulda, Anglika i Costaguanera w drugim pokoleniu, naczelnika prowincji Sulaco. Był przez długie lata jego osobistym *mozo* podczas pokoju i wojny; uzyskał pozwolenie usługiwania swemu panu w więzieniu; podążył owego fatalnego poranka za plutonem egzekucyjnym i wyzierając zza jednego z cyprysów, które rosły wzdłuż murów klasztoru franciszkanów, z oczyma na wierzchu ujrzał, jak don Enrique wyrzucił w górę ręce i padł twarzą na ziemię. Charles Gould zauważył przede wszystkim tę wielką, patriarchalną głowę naocznego świadka wśród tłumu innych służących. Zdziwił się jednak, gdy ujrzał jedną czy dwie skurczone starowinki, o których istnieniu w murach swego domu nic nie wiedział. Musiały to być matki, a może nawet babki jakichś jego służących. Było również kilkoro dzieci, mniej lub więcej nagich, które krzyczały i plątały się pod nogami starszych. Nigdy przedtem nie zauważył żadnego dziecka na patio. Nadbiegła nawet przerażona *camerista* Leonarda i przeciskając się przez tłum z nadąsaną twarzą ulubionej służącej, prowadziła za ręce dziewczynki Violi. Porcelana brzęczała na stole i kredensie; cały dom udawał się pławić w ogłuszającym zalewie dźwięku.

ROZDZIAŁ V

W ciągu nocy pospólstwo opanowało wszystkie dzwonnice, by powitać Pedrita Monterę, który wjeżdżał do miasta po nocnym wypoczynku w Rincon. Tłocząc się bezładnie przez bramę miejską, szedł na czele zbrojny motłoch wszelkich kolorów i odcieni skóry, wszela-

kiego wyglądu i usposobienia i najrozmaiciej obdarty, nazwany sam przez siebie gwardią narodową Sulaco, pozostający pod dowództwem señora Gamacha. Środkiem ulicy jak rzeka nieczystości płynął odmęt słomkowych kapeluszy, *ponchos*, luf karabinów, z olbrzymią, zielono-żółtą chorągwią, trzepoczącą się pośrodku w obłokach kurzu, przy wściekłym warkocie bębnów. Widzowie cofali się pod ściany domów, rycząc swoje: „*Vivas!*". Za tym tłumem widniały lance kawalerii, „armii" Pedra Montero. On sam jechał między señorami Fuentesem i Gamachem, na przedzie swych *llaneros*, którzy dokonali wielkiego wyczynu, gdyż przekroczyli *paramos* Higueroty w czasie zamieci śnieżnej. Jechali czwórkami, siedząc na zarekwirowanych na Campo koniach, w najróżniejszych strojach, zagrabionych pośpiesznie w przydrożnych sklepach, które łupili, przebiegając pędem północną połać prowincji, bowiem ich dowódcy śpieszno było zająć Sulaco. Chustki, luźno zawiązane na ich nagich szyjach, były zastanawiająco nowe, zaś prawe rękawy bawełnianych koszul obcięli aż po pachy, żeby mieć więcej swobody w rzucaniu lassem. Zmizerowani siwobrodzi starcy jechali obok smukłych ciemnowłosych chłopaków, napiętnowanych wszystkimi oznakami twardej żołnierki. Dokoła kapeluszy mieli okręcone paski surowej wołowiny. Pobrzękiwały ciężkie, żelazne ostrogi, przytwierdzone do nagich pięt. Ci, którzy postradali swe lance na przesmykach górskich, zaopatrzyli się w ościenie[242] używane przez pasterzy bydła z Campo: cienkimi drzewcami palmowymi długości dziesięciu stóp, na które nanizano luźne pierścienie, podzwaniające pod żelaznym ostrzem. Byli uzbrojeni w rewolwery i noże. Nieustraszone męstwo wyzierało z poczerniałych od słońca twarzy. Spoglądali wyniośle na ciżbę zaczerwienionymi oczami lub zerkając zuchwale w górę, pokazywali sobie wzajem jakąś kobiecą twarzyczkę w oknie. Gdy wyjechali na *plaza* i ujrzeli konny posąg królewski, który, olśniewająco biały w świetle słonecznym, piętrzył się w swym ogromie i nieruchomości nad rozfalowanym mrowiem, witając ich zastygłym gestem pozdrowienia, przebiegł przez ich szeregi szmer podziwu.

— Co to za święty w tym ogromnym kapeluszu? — pytali jedni drugich.

Byli wzorowym przykładem kawalerii z równin, dzięki której Pedro Montero walnie przyczynił się do triumfu swego brata, generała. Wpływ, jaki ten człowiek, wychowany w miastach przybrzeżnych, zdołał w krótkim czasie wywrzeć na ludności osiadłej na równinach republiki, można było przypisać tylko geniuszowi podstępu, tak skutecznemu, iż tym gwałtownym, półdzikim ludziom wydawał się zapewne szczytem przebiegłości i cnoty. Ludowa mądrość wszystkich narodów dowodzi, iż nieszczerość i chytrość w połączeniu z siłą fizyczną uchodziła u ludów pierwotnych za cnotę heroiczną w wyższym nawet stopniu niż odwaga. Pokonanie przeciwnika odgrywało wielką rolę w ich życiu. Odwagę uważano za rzecz oczywistą. Natomiast przejaw inteligencji budził podziw i szacunek. Podstęp, o ile nie zawodził, przynosił zaszczyt. Łatwe wycięcie w pień niczego niepodejrzewających wrogów wywoływało uczucia radości, dumy, uwielbienia. Nie dlatego zapewne, że ludzie pierwotni byli bardziej wiarołomni od swych dzisiejszych potomków, ale ponieważ zdążali do celu prostszą drogą i byli bardziej szczerzy w uznawaniu powodzenia za jedyny drogowskaz moralności.

Przemoc, Podstęp, Dobro

Zmieniliśmy się od tych czasów. Przejaw inteligencji nie budzi już wielkiego podziwu i spotyka się z mniejszym poszanowaniem. Ale ciemni, barbarzyńscy jeźdźcy z równin, uwikłani w wojnę domową, podążali chętnie za wodzem, któremu często udawało się wydawać im na pastwę ich wrogów z powiązanymi niejako rękami. Pedro Montero miał talent usypiania czujności swych przeciwników. A ponieważ ludzie uczą się rozumu niezmiernie powoli i zawsze są skłonni wierzyć w obietnice, które schlebiają ich skrytym nadziejom, więc Pedro Montero odnosił powodzenia raz za razem. Będąc tylko służącym czy podrzędnym urzędnikiem poselstwa Costaguany w Paryżu, skoro tylko dowiedział się, iż jego brat wynurzył się z cienia swej nadgranicznej *commandancji*, podążył natychmiast do ojczyzny. Dzięki swojej umiejętności wzbudzania zaufania udało mu się wyprowadzić w pole przywódców ruchu ribierystowskiego w stolicy i nawet przenikliwy agent kopalni San Tomé nie zdołał poznać się na nim całkowicie. Od razu zyskał ogromny wpływ na swego brata. Z wyglądu obaj byli bardzo do siebie podobni, łysi, z kępkami kędzierzawych włosów koło uszu, świadczących o domieszce krwi murzyńskiej. Pedro był tylko nieco niższy od generała, przede wszystkim zaś wątlejszy. Z małpią zmyślnością umiał na-

[242] *oścień* — zaostrzony kij do popędzania bydła. [przypis edytorski]

śladować wszystkie zewnętrzne oznaki wyższości i wytworności, miał też papuzi talent do języków. Obaj bracia otrzymali jakieś podstawowe wykształcenie dzięki szczodrobliwości pewnego znakomitego podróżnika europejskiego, któremu ich ojciec towarzyszył jako osobisty służący w podróżach w głąb kraju. Pomogło ono generałowi Montero w zdobyciu wyższych stopni wojskowych. Młodszy, Pedrito, niepoprawny leń i nicpoń, wałęsał się od jednego miasta na wybrzeżu do drugiego, tułał się po kantorach i najmował cudzoziemcom jako *valet-de-place*[243], prowadząc łatwe, niegodziwe życie. Upodobanie do czytania napełniło mu głowę niedorzecznymi mrzonkami. Jego czyny wynikały zazwyczaj z pobudek tak nieprawdopodobnych, iż ludzie racjonalni nie mogli dopatrzyć się w nich sensu.

To spowodowało, że agent koncesji Gouldów w Santa Marta na pierwszy rzut oka uznał, że ma do czynienia z człowiekiem rozsądnym, który nawet potrafiłby powściągać wiecznie niezaspokojoną próżność generała. Nie przyszłoby mu jednak do głowy, żeby Pedrito Montero, lokaj czy podrzędny pisarczyk, nawykły do tułania się po poddaszach paryskich hoteli, gdzie poselstwo Costaguany zwykło było umieszczać swe dyplomatyczne dostojeństwo, pochłaniał lżejsze dzieła historyczne w języku francuskim, takie na przykład, jak książki Imberta de Saint Amand[244] o drugim cesarstwie. Niemniej Pedrito uległ urokowi świetności dworu cesarskiego i na podobieństwo księcia de Morny wymarzył sobie życie, w którym by mógł opływać we wszelkie rozkosze, a zarazem kierować sprawami politycznymi i korzystać z pełnej władzy we wszystkich dziedzinach. Tego nikt nie mógł odgadnąć, a jednak to właśnie było jedną z bezpośrednich przyczyn rewolucji monterystowskiej. Wyda się to mniej nieprawdopodobne, jeśli weźmie się pod uwagę, że zasadnicze powody są zawsze te same, mianowicie wynikają one z politycznej niedojrzałości narodu, z nieudolności klas wyższych i ciemnoty klas niższych.

Pedrito Montero widział w wywyższeniu swego brata otwartą drogę dla swych najdzikszych mrzonek. I to było przyczyną, dla której monterystowskiemu *pronunciamento* niepodobna było zapobiec. Sam generał prawdopodobnie dałby się przekupić i ułagodzony pochlebstwami, podjąłby się chętnie misji dyplomatycznej do Europy. Cóż, kiedy podżegał go nieustannie jego brat. Pragnął zostać najświetniejszym mężem stanu Ameryki Południowej. Nie pożądał najwyższej władzy, obawiał się bowiem jej trudów i niebezpieczeństw. Pedrito Montero, nauczony doświadczeniami europejskimi, pragnął przede wszystkim zebrać duży majątek. Mając na oku ten cel, nazajutrz po wygranej bitwie wymógł na swym bracie pozwolenie na przeprawę przez góry i opanowanie Sulaco. Sulaco było krajem przyszłej szczęśliwości, ziemią obiecaną materialnego postępu, jedyną prowincją republiki, która nęciła kapitalistów europejskich. Pedrito Montero, idąc za przykładem księcia de Morny, postanowił zapewnić sobie udział w tej pomyślności. O to właśnie mu chodziło. Jego brat był teraz panem kraju, jako prezydent, dyktator czy nawet cesarz — bo czemużby nie miał zostać cesarzem? — więc postanowił domagać się udziału we wszystkich przedsiębiorstwach: w kolejach, kopalniach, plantacjach trzciny cukrowej i bawełny, majętnościach ziemskich, słowem we wszystkim — w zamian za swe poparcie. Chciał być na miejscu jak najprędzej i to było prawdziwą przyczyną sławnego pochodu przez góry, w którym uczestniczyło około dwustu *llaneros*. Była to wyprawa, z której niebezpieczeństw w swej niecierpliwości nie zdawał sobie zrazu jasno sprawy. Mając za sobą szereg zwycięstw, mniemał, iż wystarczy, żeby Montero się ukazał, a będzie panem sytuacji. To złudzenie popchnęło go do nadmiernego pośpiechu, który zaczynał sobie uświadamiać. Jadąc na czele swych *llaneros*, żałował, że ma ich tak mało. Entuzjazm ludności dodał mu otuchy. Wrzeszczano: „*Viva Montero! Viva Pedrito!*". Chcąc rozpłomienić lud jeszcze więcej, a mając wrodzone upodobanie do obłudy, opuścił wodze na kark konia i ze wzruszającym gestem przyjacielskości i poufałości wsunął ręce pod ramiona señorów Fuentesa i Gamacha. W tej postawie, mając za przewodnika obdartego *mozo*, który ujął cugle jego konia, jechał triumfalnie przez *plaza* do bram Intendencji. Stare, posępne mury zdawały się drżeć od krzyków, które wypełniały powietrze i przygłuszały gromkie dźwięki katedralnych dzwonów.

[243] *valet-de-place* (fr.) — służący, który oferuje swoje usługi przyjezdnym, głównie jako przewodnik, posłaniec itp. [przypis edytorski]

[244] *Saint Amand, Imbert de* (1834–1900) — francuski dyplomata i historyk, znany szczególnie z serii książek historyczno-biograficznych na temat kobiet na królewskim i cesarskim dworze francuskim. [przypis edytorski]

Pedro Montero, brat generała, zsiadł z konia otoczony wrzaskliwą i spoconą zgrają wielbicieli, odtrącanych szorstko przez obszarpanych gwardzistów. Postąpiwszy parę kroków, spoglądał na tłum, który gapił się na niego, i na poznaczone kulami ściany domów, przezierających z lekkiej mgły prześwietlanego słońcem kurzu. Z przeciwległej strony wielkiego placu wyzierały ku niemu ogromne, czarne głoski słowa „Porvenir", przedzielone wytłuczonymi oknami. Z rozkoszą myślał o godzinie zemsty, gdyż był pewien, iż dostanie w swe ręce Decouda. Po jego lewej stronie zwalisty, popędliwy Gamacho ocierał swą kosmatą, wilgotną twarz i odsłaniał żółte kły, szczerząc je z głupkowatą wesołością. Po prawej drobny i szczupły señor Fuentes rozglądał się z zaciśniętymi ustami. Ciżba, pogrążona w pożądliwym zasłuchaniu, rozdziawiła usta, jak gdyby oczekiwała, iż wielki *guerrillero*, znakomity Pedrito zacznie zaraz rozrzucać jakieś namacalne dowody szczodrobliwości. On jednak zaczął od przemówienia. Pierwsze rzucone przez niego krzykiem słowo: „Obywatele!", dosięgło nawet tych, którzy stali pośrodku *plaza*. Później większość obywateli pozostawała już tylko pod urokiem popisu mówcy, jego wspinania się na palce, rąk, które z zaciśniętymi pięściami wystrzeliwały ponad głowę, dłoni przykładanych do serca, gestów zamaszystych, wytykających, obejmujących, jednej jego ręki, kładącej się poufale na ramieniu Gamacha, i drugiej, która zwracała się uroczystym skinieniem do drobnej, odzianej w czerń osóbki señora Fuentesa, adwokata, polityka i oddanego przyjaciela ludu. Okrzyki tych, którzy stali najbliżej mówcy, wybuchały nagle, rozpierzchając się chwiejnie aż po krańce ciżby na podobieństwo płomienia, który pożera suchą trawę, i zamierały u wylotów ulic. W przerwach na rojnej *plaza* zagęszczało się ciężkie milczenie, wśród którego otwierały się i zamykały usta mówcy, wyrzucając frazesy: „szczęście ludu", „dzieci ojczyzny", „cały świat, *el mundo entiero*". Docierały aż do zatłoczonych stopni katedry przelotnym, ściszonym dźwiękiem, nikłym niby brzęczenie moskita. I oto mówca uderzył się w piersi, zdając się unosić w skoku pomiędzy dwoma towarzyszami. Był to ostateczny wysiłek jego krasomówstwa. Następnie dwie mniejsze postacie zniknęły z widowni i pozostał tylko olbrzymi Gamacho, który postąpił naprzód i wzniósł kapelusz wysoko nad głowę. Po chwili dumnie nałożył go z powrotem i ryknął: „*Ciudadanos!*"[245]. Głuchy pomruk powitał señora Gamacha, byłego kramarza z Campo, obecnie komendanta gwardii narodowej.

Tymczasem na górze Pedrito Montero przechadzał się szybko po zrujnowanych komnatach Intendencji i zżymał się nieustannie:

— Co za głupota! Co za zniszczenie!

Señor Fuentes, który mu towarzyszył, sprzeniewierzył się swemu małomównemu usposobieniu i mruknął:

— To robota Gamacha i jego gwardzistów. — Po czym przechylił głowę na lewe ramię i zacisnął usta tak mocno, iż w ich kącikach ukazały się małe dołki. Miał w kieszeni nominację na gubernatora miasta i pragnął czym prędzej objąć urzędowanie.

Stali bezczynnie w mroku i spustoszeniu długiej sali przyjęć z jej wielkimi lustrami potłuczonymi kamieniami, ze zdartymi zasłonami i baldachimem nad podestem w głębi potarganym na strzępy. Poprzez okiennice dolatywał potężny, głęboki pomruk tłumu i słychać było ryczący głos Gamacha, który właśnie zaczął przemawiać.

— Bydlę! — warknął jego ekscelencja, don Pedro Montero, przez zaciśnięte zęby. — Trzeba pomyśleć o tym, żeby go jak najprędzej wysłać razem z jego gwardzistami przeciwko Hernandezowi.

Nowy *jéfé politico* przechylił tylko głowę w bok i zaciągnął się papierosem na znak, iż zgadza się, by w ten sposób uwolnić miasto od Gamacha i jego uciążliwego motłochu.

Pedrito Montero spoglądał z niesmakiem na ogołoconą doszczętnie posadzkę i na rząd ciężkich, złoconych ram od obrazów, z których strzępy pociętych i podartych płócien zwisały jak niechlujne łachmany.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami — przemówił.

Oto co rzekł jego ekscelencja, ulubieniec ludu, Pedrito, *guerrillero*, wyćwiczony w sztuce urządzania zasadzek, któremu brat powierzył, na jego własną prośbę, zorganizowanie Sulaco wedle zasad demokratycznych. Ubiegłej nocy, zasięgając zdania swych stronni-

[245] *ciudadanos* (hiszp.) — obywatele. [przypis edytorski]

ków, którzy przybyli na jego spotkanie do Rincon, dał wyraz swym zamierzeniom, mówiąc do señora Fuentesa:

— Zarządzimy powszechne głosowanie na zasadzie „tak" lub „nie", powierzające ster naszej ukochanej ojczyzny mądrości i wspaniałomyślności mego bohaterskiego brata, niezwyciężonego generała. Plebiscyt. Rozumie pan?

Señor Fuentes, wydąwszy policzki jakby z wygarbowanej skóry, pochylił z lekka głowę w lewo i wypuścił nikłą, błękitnawą smugę dymu ze ściśniętych ust. Zrozumiał.

Jego ekscelencja był do żywego wzburzony zniszczeniami. W reprezentacyjnych salonach nie pozostało ani jedno krzesło, ani jeden stół, sofa, etażerka czy konsola. Jego ekscelencja, mimo że wrzał wściekłością, nie wybuchnął gniewem, wstrzymywało go od tego poczucie oddalenia i osamotnienia. Jego bohaterski brat był bardzo daleko. A jak tu tymczasem użyć sjesty? Miał nadzieję, iż po roku twardego życia obozowego znajdzie w Intendencji zbytek i wygodę, że zakończą się poniewierki i uciążliwości, połączone z nieustraszonym pochodem na Sulaco, na tę prowincję, która swym bogactwem i znaczeniem przewyższała resztę republiki. Chciał już nawet załatwić się z Gamachem. I oto mowa señora Gamacha, miła uszom tłumu, rozlegała się wśród blasku i skwaru *plaza* niby skowyt jakiegoś podrzędnego diabła, wtrąconego w czeluść rozpalonego do białości pieca. Co chwila ocierał nagim ramieniem ociekającą twarz; zdjął kurtkę i zakasał rękawy po łokcie, ale zatrzymał na głowie kapelusz z podwiniętym rondem i białym pióropuszem. Jego prostoduszność lubowała się w tej odznace komendanta gwardii narodowej. Ustępy jego mowy witano poważnym, pełnym uznania pomrukiem. Jego zdaniem należało niezwłocznie wypowiedzieć wojnę Francji, Anglii, Niemcom i Stanom Zjednoczonym, które, budując koleje, zakładając przedsiębiorstwa górnicze, organizując kolonizację i chwytając się tym podobnych błahych pozorów, dążą do wyzucia ubogiego ludu z ziemi i przy pomocy arystokratów, tych „Gotów i paralityków", pragną go zamienić w nędznych, zapracowanych niewolników. *Leperos*, rozwiewając poły swych brudnych, białych *mantas*, krzyczeli na znak uznania. Generał Montero — ryczał z przekonaniem Gamacho — jest jedynym człowiekiem, który może sprostać patriotycznym zadaniom. Temu również przyklasnęli.

Poranek zaczął nużyć, w tłumie już pojawiły się oznaki rozpadu, tworzyły się wiry i prądy. Niektórzy szukali cienia pod ścianami i pod drzewami *alamedy*. Jeźdźcy bodli konie ostrogami, pokrzykując. Sombrera, włożone płasko na głowy dla ochrony przeciwko promieniom słońca w zenicie, płynęły na boczne ulice, gdzie otwarte drzwi *pulperii* ziały ponętnym mrokiem, w którym rozlegały się słodkie brzęki gitar. Gwardziści narodowi myśleli o sjeście, a krasomówstwo ich komendanta Gamacha już się wyczerpała. Później, kiedy pod wieczór zrobiło się chłodniej, próbowali znów się zebrać, żeby dalej roztrząsać sprawy publiczne, ale kawaleria Montera obozująca na *alamedzie* uderzyła na nich pędem, mierząc długimi lancami w ich grzbiety, pierzchające ku wylotom ulic. Gwardia narodowa Sulaco była zdumiona tym postępowaniem. Ale nie szemrała. Żaden Costaguanero nie zwykł sarkać na wybryki siły zbrojnej. Należą one do naturalnego porządku rzeczy. Tym razem, jak sądzili, było to bez wątpienia jakieś zarządzenie administracyjne. Ale motywy tego zarządzenia wymykały się ich nieoświeconej inteligencji, zaś ich naczelnik i mówca, Gamacho, *commandante* gwardii narodowej, wypoczywał pijany na łonie rodziny. Jego bose stopy sterczały w cieniu na podobieństwo stóp trupa. Rozdziawiły się jego wymowne usta. Jego najmłodsza córka, skrobiąc się jedną ręką po głowie, powiewała zieloną gałęzią nad jego rozpalonym, uznojonym obliczem.

ROZDZIAŁ VI

Chyląc się słońce przesunęło z zachodu na wschód cienie rzucane przez domy miejskie. Rozpościerało cienie po całym obszarze niezmierzonego Campo z białymi ścianami *haciend*, które ze wzgórz górowały nad zielenią przestworów; ze słomianymi strzechami *ranchos*, które przysiadły w zagłębieniach na brzegach strumieni; z ciemnymi wysepkami rosochatych drzew, rozsianych po jasnym morzu traw; ze stromymi krzesanicami Kordylierów, które ogromne i nieruchome, wyłaniały się z fal niżej położonych lasów niczym jałowe wybrzeże jakiejś krainy olbrzymów. Promienie słoneczne, muskając śnieżne stoki Higueroty, nadawały im z daleka wygląd różanej młodości, natomiast szczerbate zwały

odległych grani były czarne, jakby stężałe w płomiennej jasności. Rozfalowana powierzchnia lasów wyglądała jak posypana bladozłotym pyłem. W oddali, za Rincon, zasłoniętym od strony miasta dwiema lesistymi odnogami górskimi, granie czeluści San Tomé, okolone płaskim wałem gór, uwieńczonych olbrzymimi paprotnikami, mieniły się miękkimi tonami, żółtymi i brunatnymi, na których zaznaczały się rdzawe smugi i ciemna zieleń zarośli wypełniających rozpadliny. Stępory i zabudowania kopalni widniały hen, w górze, drobne i ciemne, niby gniazda ptasie uwite na krawędzi wiszarów. Zakosy ścieżek podobne były do niewyraźnych kresek wydrapanych na murze twierdzy cyklopów. Oczom dwóch *serenios*, czuwających z karabinami w ręku pod drzewami okalającymi strumień w pobliżu mostu, don Pépé schodzący ścieżką z górnego tarasu wydawał się nie większy od dużego chrząszcza.

Wałęsając się z pozorną bezcelowością owada po powierzchni skały, postać don Pépégo zstępowała wytrwale, kiedy zaś była już blisko podnóża, znikła za dachami magazynów, kuźnic i warsztatów. Obaj *serenios* przechadzali się dalej przed mostem, na którym zatrzymali jakiegoś jeźdźca trzymającego w ręce dużą białą kopertę. Po chwili spomiędzy chat wiejskiej uliczki, oddalonej od granicznego mostu zaledwie o rzut kamieniem, wynurzył się don Pépé w szerokich, ciemnych spodniach wsuniętych w cholewy, w białej płóciennej kurtce, z szablą przy boku i rewolwerem za pasem. W tych burzliwych czasach nic nie mogło zaskoczyć *señora gobernadora*, był zapięty na ostatni guzik.

Na lekkie skinienie jednego z *serenos* posłaniec z miasta zeskoczył z siodła i przeszedł przez most, prowadząc konia za uzdę.

Don Pépé wziął list z jego drugiej ręki i pomacał się dłonią po lewym boku i biodrze, szukając futerału z okularami. Umieściwszy na nosie wielkie, oprawne w srebro szkła i umocowawszy je starannie za uszami, otworzył kopertę, odsuwając ją na stopę od oczu. Papier, który z niej wyjął, zawierał ze trzy linijki pisma. Wpatrywał się w nie przez długi czas. Jego siwe wąsy poruszyły się lekko w górę i w dół, a promieniste zmarszczki zbiegły się w kącikach oczu. Skinął spokojnie głową.

— *Bueno*[246] — rzekł. — Nie będzie odpowiedzi.

Po czym we właściwy sobie, spokojny i uprzejmy sposób wdał się w ostrożną rozmowę z przybyszem, który miał chętkę pogawędzić wesoło, jak gdyby go niedawno spotkało coś pomyślnego. Widział z daleka piechotę Sotilla, obozującą wzdłuż wybrzeża portu po obu stronach Urzędu Celnego. Nie uszkodzili budynków. Cudzoziemcy, którzy budowali kolej, pozamykali się na terenach kolejowych. Nie śmieli już strzelać do biednych ludzi. Przeklinał cudzoziemców. Następnie opowiedział o wjeździe Montera i o pogłoskach krążących po mieście. Ubodzy mieli teraz stać się bogaczami. To bardzo dobra rzecz. Więcej nie wiedział, lecz uśmiechając się pojednawczo, zwierzył się, że jest spragniony i głodny. Stary major polecił mu udać się do *alcada* pierwszej wioski. Przybysz odjechał, zaś don Pépé, krocząc powoli w stronę małej drewnianej dzwonnicy, zajrzał przez płot do ogródka, gdzie dojrzał ojca Romana, siedzącego w białym hamaku, zawieszonym między dwoma drzewami pomarańczowymi przed kościołem.

Olbrzymi tamaryndowiec[247] ocieniał biały barak swym ciemnym listowiem. Młoda dziewczyna indiańska o bujnych włosach, dużych oczach, drobnych rękach i nogach, wyniosła drewniane krzesło, podczas gdy jakaś chuda, zgryźliwa staruszka, śledziła ją cały czas z werandy. Don Pépé usiadł i zapalił cygaro; ksiądz wciągnął ogromną porcję tabaki z zagłębienia dłoni. W jego czerwonobrunatnej twarzy, zniszczonej i zapadniętej, jarzyła się para oczu, młodzieńczych i szczerych, migoczących jak czarne diamenty.

Don Pépé łagodnym i żartobliwym głosem zawiadomił ojca Romana, iż Pedrito Montero pismem, sporządzonym ręką señora Fuentesa, zwrócił się do niego z zapytaniem, na jakich warunkach zgodzi się oddać kopalnię, sprawnie działającą, legalnie ustanowionej komisji złożonej z patriotycznych obywateli, która przybędzie pod eskortą nielicznej siły zbrojnej. Ksiądz wzniósł oczy ku niebu.

— Jednakże — mówił dalej don Pépé — *mozo*, który przywiózł to pismo, opowiadał, iż don Carlos żyje i że dotychczas go nie nagabywano.

[246] *bueno* (hiszp.) — dobrze. [przypis edytorski]

[247] *tamaryndowiec* — gatunek tropikalnego drzewa, pochodzący ze wschodniej Afryki. [przypis edytorski]

Ojciec Roman wyraził pokrótce swoją wdzięczność za wiadomość, że *señorowi administradorowi* nie stało się nic złego.

Srebrzysty głos dzwonu, rozlegający się z małej dzwonnicy, dał znać, iż godzina modlitwy minęła. Pas lasu zamykającego wejście do doliny wznosił się jak zasłona między chylącym się słońcem a wiejską uliczką. U drugiego krańca skalistego wąwozu, między ścianami z bazaltu i granitu, wznosiła się stromo lesista góra, oświetlona aż po sam szczyt, zasłaniając łańcuchy górskie przed oczyma mieszkańców San Tomé. Trzy małe, różowe obłoczki wisiały nieruchomo w bezdni błękitu. Gromadki ludzi siedziały na ulicy między opłotkami chat. Przed *casa alcada* przodownicy nocnej zmiany gromadzili już swych ludzi, którzy przykucnąwszy kręgiem na ziemi, pochylali brązowe grzbiety i podawali sobie z rąk do rąk pękatą butelkę z *mate*. Przybyły z miasta *mozo* przywiązał konia do drewnianego słupa przed drzwiami i opowiadał im nowiny z Sulaco, a butelka z napitkiem krążyła dalej. Przysłuchiwał się temu nawet poważny *alcade*, w białej przepasce na biodrach i kwiecistej perkalowej szacie z rękawami, rozpiętej tak szeroko, że odsłaniała nagość jego okazałej postaci niczym pstry płaszcz kąpielowy. Na głowie miał kapelusz ze spilśnionego sukna, a w dłoni dzierżył długą laskę ze srebrną gałką. Te odznaki jego godności wręczono mu w zarządzie kopalni, tej krynicy zaszczytów, pomyślności i pokoju. Był jednym z pierwszych, którzy przybyli do tej doliny; jego synowie i zięciowie pracowali we wnętrzu góry, która po rynnach, dudniących od rudy, zdawała się zsyłać wraz z swymi skarbami dary dobrobytu, bezpieczeństwa i sprawiedliwości uznojonym pracownikom. Przysłuchiwał się nowinom z miasta ciekawie i obojętnie, jakby dotyczyły one jakiegoś, obcego mu świata. I rzeczywiście tak mu się wydawało. W ciągu paru zaledwie lat rozwinęło się w tych udręczonych, półdzikich Indianach poczucie przynależności do potężnej organizacji. Byli dumni z kopalni i przywiązali się do niej. Pozyskała ich zaufanie i wiarę. Wyposażyli ją opiekuńczą, niepokonalną moc, jak gdyby była fetyszem wykonanym ich własnymi rękami. Byli ciemni i nie różnili się zresztą zbytnio od reszty ludzi, którzy pokładają niezmierne zaufanie w tym, co sami stworzyli. *Alcade* nie mieściło się w głowie, żeby opiekuńcza potęga kopalni mogła kiedykolwiek zawieść. Polityka była w sam raz dla ludzi z miasta i z Campo. Żółta, okrągła twarz *alcada* o szerokich nozdrzach, niezmienna w wyrazie, przypominała księżyc w pełni. Słuchał gorączkowych majaczeń *moza* bez podejrzliwości, bez zdumienia, bez jakiegokolwiek czynnego odruchu.

Pycha

Ojciec Roman kołysał się przygnębiony, dotykając stopami ziemi i czepiając się rękami brzegów hamaku. Mniej ufny, ale równie nieświadomy jak jego owieczki zapytywał majora, co się, jego zdaniem, teraz stanie.

Don Pépé, siedząc prosto na krześle, wsparł spokojnie ręce na rękojeści szabli i odrzekł, że nie wie. Kopalni można by bronić przeciw wojsku, które by wysłano w celu jej opanowania. Mając jednak na uwadze jałowość doliny, trzeba się liczyć z możliwością, iż gdyby odcięto dowóz od strony Campo, ludność trzech wsi mogłaby zostać zmuszona głodem do uległości. Don Pépé wyłuszczał spokojnie te okoliczności ojcu Romanowi, który służył niegdyś w wojsku, więc mógł podążać za rozumowaniami zawodowego oficera. Rozmawiali prosto i szczerze. Ojciec Roman martwił się myślą, że jego owieczki mogą się rozproszyć lub popaść w niewolę. Nie miał złudzeń co do ich losu, nie z przenikliwości, lecz z długiej znajomości okrucieństw politycznych, które wydawały się mu fatalnością i koniecznością w istnieniu państwa. Działalność zwykłych urzędów publicznych przedstawiała się mu nader wyraziście jako seria klęsk spadających na jednostki, nieszczęść przenoszących się logicznie z jednej na drugą drogą nienawiści, odwetu, szaleństwa i drapieżności, na podobieństwo dopustu bożego. Jasnowidzenie ojca Romana miało na usługi niewykształconą inteligencję, ale jego serce, które zachowało tkliwość wśród obrazów rzezi, przemocy i grabieży, wzdrygało się przed tymi okropnościami tym bardziej, im silniejsze więzy łączyły go z ofiarami. W stosunku do Indian z doliny miał uczucie ojcowskiej pogardy. Od pięciu z górą lat chrzcił, udzielał ślubów, spowiadał, rozgrzeszał i grzebał robotników z kopalni San Tomé z godnością i namaszczeniem; wierzył w świętość tych obrzędów, które w znaczeniu duchowym czyniły ich jego podwładnymi. Byli mu drodzy, dając mu poczucie kapłańskiej wyższości. Szczera troskliwość, jaką okazywała pani Gould temu ludowi, zwiększała jego znaczenie w oczach księdza, zwiększając zarazem jego własne. Rozmawiając z nią o niezliczonych Mariach i Brygidach z górniczych wiosek, czuł, że rozwija się w nim własne człowieczeństwo. *Padre* Roman był

niezdolny do fanatyzmu w stopniu niemal nagannym. Angielska señora była oczywiście heretyczką, ale równocześnie wydawała się mu anielską, przedziwną istotą. Ilekroć przydarzał się mu taki zamęt w uczuciach, na przykład, kiedy z brewiarzem pod pachą przechadzał się w cieniu wielkiego tamaryndowca, przystawał i prychając mocno, zażywał potężną porcję tabaki, po czym potrząsał głową z zamyśleniem. Myśląc, co może się teraz stać z tą szlachetną señorą, wpadał stopniowo w coraz większe przerażenie. Odzywał się podnieconymi pomrukiem. Nawet don Pépé stracił na chwilę swój pogodny spokój. Pochylił się sztywno naprzód.

— Posłuchajcie no, *padre*. Już to samo, że te złodziejskie małpy ze Sulaco są skłonne do targów o mój honor, świadczy, że don Carlosowi i domownikom Casa Gould nic nie grozi. Co do mego honoru, to jest on także pewny, jak o tym wiadomo wszystkim mężczyznom, kobietom i dzieciom. Ale nie wiedzą o tym murzyńscy liberałowie, którzy zagarnęli miasto podstępem. Niech sobie siedzą i czekają. Czekając, nie zrobią nic złego.

Odzyskał równowagę ducha. Odzyskał ją łatwo, gdyż bez względu na to, co się stanie, jego honor, honor starego oficera Paeza, będzie nietknięty. Przyrzekł Charlesowi Gouldowi, iż kiedy zbliży się jakiejkolwiek siła zbrojna, będzie bronił wąwozu tak długo, ile będzie potrzeba na wysadzenie za pomocą potężnych ładunków dynamitu całego miejsca, budynków i warsztatów kopalni, zawalenie gruzem głównego szybu, zniszczenie dróg, zburzenie tamy wodnej, doszczętne rozbicie słynnej koncesji Gouldów, która wyleci w powietrze na oczach struchlałego świata. Charles Gould dzierżył kopalnię z tą samą straszliwą zaciętością, z jaką kiedyś narzucono ją jego ojcu. Mimo to ostateczność tego rodzaju była dla don Pépégo najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Przygotował wszystko z namysłem i troskliwą starannością. Toteż teraz oparł ręce spokojnie na rękojeści szabli i kiwał głową ku księdzu. Podniecony ojciec Roman całymi garściami zażywał tabakę, aż wreszcie umazany nią, zerwał się z hamaka i z zaokrąglonymi oczyma zaczął się przechadzać, z niepokojem rzucając pojedyncze wyrazy.

Don Pépé pogładził swe siwe, bujne wąsy, których cienkie końce zwisały poniżej jego szlachetnie zarysowanych szczęk, po czym rzekł z dumnym poczuciem własnej reputacji:

— Tak jest, *padre*, nie wiem, co się stanie. Ale wiem, że jak długo jestem tutaj, don Carlos może rozmawiać z tą małpą, Pedritem Montero, i grozić zniszczeniem kopalni z całą pewnością, iż będzie to brane poważnie. Bo ludzie mnie znają.

Zaczął obracać cygaro w ustach z niejaką nerwowością, po czym mówił dalej:

— Ale to wszystko gadanie, dobre dla *politicos*. Ja jestem żołnierzem. Nie wiem, co może się stać. Ale wiem, co należy zrobić. Kopalnia powinna ruszyć na miasto z karabinami, toporami, nożami na kijach, *por Dios!* Oto co należałoby zrobić. Tylko że...

Jego złożone na rękojeści ręce drgnęły. Cygaro obróciło się szybciej w kąciku ust.

— A któż będzie mógł poprowadzić? Tylko ja. Na nieszczęście — zauważcie — dałem słowo honoru don Carlosowi, że nie dopuszczę, żeby kopalnia wpadła w ręce tych złodziei. Na wojnie, jak wiecie, fortuna kołem się toczy, a któż tu zostanie, żeby mnie zastąpił w razie klęski? Materiały wybuchowe są przygotowane. Potrzeba jednak człowieka o wielkim poczuciu honoru, inteligentnego, roztropnego i odważnego, który by dokonał przygotowanego zniszczenia. Człowieka, którego honorowi mógłbym zaufać jak swojemu. Na przykład innego dawnego oficera Paeza. A może... może mógłby nim być któryś z dawnych kapelanów Paeza?

Wstał, wysoki, szczupły, krzepki, z marsowym wąsem i kościstą budową twarzy, z której spojrzenie głęboko osadzonych oczu zdawało się przeszywać księdza, który stał nieruchomo, z pustą, drewnianą tabakierką w opuszczonej ręce, i spoglądał bez słowa na gubernatora kopalni.

ROZDZIAŁ VII

W tym samym mniej więcej czasie w Intendencji miasta Sulaco Charles Gould zapewniał Pedrita Montera, który posłał po niego, iż nigdy nie pozwoli, żeby kopalnia przeszła z jego rąk na rzecz rządu, który chciałby mu ją zagrabić. Koncesja Gouldów nie może być cofnięta. Jego ojciec jej nie pragnął, zaś syn jej nie odda. Nie odda jej do ostatniego tchu. Jeżeli zaś zginie, to gdzie jest potęga, która zdoła wskrzesić to przedsiębiorstwo w całym jego bogactwie i mocy z gruzów i perzyn zniszczenia? Takiej potęgi nie ma w kraju.

A czyż zagraniczny kapitał i cudzoziemska przedsiębiorczość zechcą się tknąć takiego odstraszającego trupa? Charles Gould mówił obojętnym tonem, za którym przez długie lata zwykł był skrywać swój gniew i pogardę. Cierpiał. Czuł niesmak do tego, co trzeba było powiedzieć. Nazbyt zatrącało bohaterstwem. Zmysł ściśle praktyczny pozostawał u niego w głębokiej rozterce z mistycznym niemal poglądem na swe prawa. Koncesja Gouldów była symbolem abstrakcyjnej sprawiedliwości. Choćby się miało zawalić sklepienie niebieskie. Ale odkąd kopalnia San Tomé zdobyła światowy rozgłos, jego groźba miała dostateczną wyrazistość i moc, by dotrzeć do pierwotnego umysłu Pedra Montera, omotanego dotychczas błahymi anegdotami historycznymi. Koncesja Gouldów była ważną pozycją w budżecie państwa i co więcej, w budżetach prywatnych wielu urzędników. To stało się tradycją. To było wiadome. O tym mówiono. W to należało wierzyć. Każdy minister spraw wewnętrznych pobierał honoraria z kopalni San Tomé. To było naturalne. Zaś Pedrito zamierzał zostać prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych w rządzie swego brata. Książę de Morny piastował te wysokie godności za czasów drugiego cesarstwa we Francji z niemałą korzyścią dla siebie.

Postarano się o stół, o krzesło i drewniane łóżko dla jego ekscelencji, który po krótkiej sjeście, niezbędnej po trudach i uroczystościach wjazdu do Sulaco, ujął ster machiny administracyjnej, ustalając audiencje, wydając rozkazy i podpisując proklamacje. Rozmawiając sam na sam z Charlesem Gouldem w sali przyjęć, jego ekscelencja ze znaną powszechnie zręcznością starał się ukryć swe zaniepokojenie i zakłopotanie. Zrazu zaczął wyniośle mówić o konfiskacie, ale brak jakiejkolwiek reakcji uczuciowej i nieruchoma twarz *señora administradora* pozbawiły go mistrzowskiego panowania nad własnym wyrazem twarzy. Charles Gould powtórzył:

— Rząd może oczywiście doprowadzić do zniszczenia kopalni San Tomé, jeżeli zechce, ale beze mnie nic więcej nie zrobi.

Było to oświadczenie niepokojące i dobrze obliczone, by urazić wrażliwość polityka, który rozmyśla nad zagarnięciem łupów zwycięstwa. Charles Gould dodał, iż zniszczenie kopalni San Tomé pociągnie za sobą ruinę innych przedsiębiorstw, ucieczkę europejskiego kapitału oraz, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, niewypłacenie ostatniej raty pożyczki zagranicznej. Ten człowiek o kamiennej twarzy mówił o wszystkich tych rzeczach (dostępnych pojmowaniu jego ekscelencji) z tak zimną krwią, iż po prostu przebiegały ciarki.

Długoletnie rozczytywanie się w dziełach historycznych o lekkim i plotkarskim charakterze, zabieranych na poddasza hoteli paryskich, w nigdy niezasłanym łóżku, z zaniedbywaniem takich czy i innych obowiązków, wpłynęło na usposobienie Pedra Montero. Gdyby widział teraz wokół siebie przepych starej Intendencji, wspaniałe draperie i ustawione pod ścianami złocone meble, gdyby stąpał po czerwonej płachcie wytwornego dywanu, byłby prawdopodobnie bardzo niebezpieczny w swym poczuciu powodzenia i wywyższenia. Ale w tej ograbionej i zniszczonej rezydencji, gdzie trzy pospolite sprzęty stały pośrodku przestronnej sali, wyobraźnia Pedrita ulegała naporowi poczucia niepewności i nietrwałości. To poczucie wraz z niewzruszoną postawą Charlesa Goulda, który dotychczas nie użył ani razu słowa „ekscelencja", umniejszało go we własnych oczach. Przybrał ton światłego światowca i prosił Charlesa Goulda, by nie poddawał się niepotrzebnemu zaniepokojeniu. Przypomniał mu, że rozmawia z bratem władcy kraju, człowiekiem, któremu powierzono zadanie reorganizacji.

— Z zaufanym bratem władcy kraju — powtórzył. — rozumnego patrioty i bohatera, dla którego nic nie jest bardziej obce niż myśl o zniszczeniu. Zaklinam pana, don Carlosie, żeby pan nie powodował się swymi antydemokratycznymi uprzedzeniami! — zawołał w przystępie wylewności.

Na pierwszy rzut oka Pedrito Montero zaskakiwał niezmiernie wysokim łysym czołem, wypolerowanym żółtym sklepieniem między czarnymi jak węgiel kosmykami pozbawionych połysku włosów, ujmującym kształtem ust i niespodziewanie kulturalnym głosem. Ale jego oczy, bardzo świecące, jakby świeżo namalowane po obu stronach haczykowatego nosa, miały beznadziejny, ptasi wyraz, gdy je szeroko otwierał. Teraz jednak mrużył je uprzejmie, wysuwając naprzód kanciastą brodę i mówiąc z zaciśniętymi zębami, z lekka przez nos, gdyż wyobrażał, sobie że nadaje mu to wygląd wielkopański.

Przybrawszy go, oświadczył nagle, że najdoskonalszą formą demokracji jest cezaryzm. Władza cesarska opiera się na bezpośrednim powszechnym głosowaniu. Cezaryzm jest konserwatywny. Posiada siłę. Uznaje uzasadnione potrzeby demokracji, która domaga się orderów, tytułów i odznaczeń. Będzie je hojnie nadawał zasłużonym ludziom. Cezaryzm jest pokojowy i postępowy. Zapewnia pomyślność kraju. Pedrito Montero dał się ponieść swojej wymowie.

— Wystarczy rzucić okiem na to, co Drugie Cesarstwo[248] uczyniło dla Francji. Były to rządy, które przyjemnością wyróżniały ludzi miary don Carlosa. Drugie Cesarstwo upadło, ale tylko dlatego, że jego władca był pozbawiony tego wojskowego geniuszu, który generała Montera wyniósł na szczyty rozgłosu i chwały. — Pedrito gwałtownie wzniósł rękę do góry, by podkreślić pojęcia szczytu i rozgłosu. — Będziemy jeszcze nieraz ze sobą rozmawiali. I gruntownie się wzajemnie zrozumiemy, don Carlosie! — wołał tonem koleżeńskiej równości. — Republikanizm już swego dokonał. Demokracja pod rządami cezara to potęga przyszłości. *Guerillero* Pedrito, odkrywając swoje karty, zniżył głos. Według niego człowiek wyróżniony przez swych współobywateli chlubnym przezwiskiem *El Rey de Sulaco*, ze strony cesarskiej demokracji z pewnością uzyska pełne uznanie tylko jako wielki twórca przemysłu i światły doradca, którego popularne przezwisko ustąpi wkrótce miejsca trwalszemu tytułowi. — Hm, don Carlos? Nie! Co pan na to? *Conde de Sulaco?*[249] hę? albo markiz...

Urwał. Powietrze na *plaza* ochłodziło się. Patrol kawalerii jeździł dokoła placu, nie zapuszczając się w boczne ulice, z których rozbrzmiewały okrzyki i brzęczenia gitar, dolatujące z otwartych drzwi *pulperii*. Wydano rozkaz, by nie przeszkadzać ludowi w zabawie. Ponad dachami, obok prostopadłych linii wież katedralnych, śnieżny ogrom Higueroty przesłaniał wielką przestrzeń ciemniejącego błękitu przed oknami Intendencji. Po chwili Pedrito Montero włożył rękę w zanadrze surduta i skinął głową powoli i z godnością. Audiencja była skończona.

Charles Gould, wychodząc, przesunął dłonią po czole, jakby chciał rozproszyć opary dokuczliwego snu, którego groteskowa przesada pozostawia nieuchwytne poczucie fizycznego niebezpieczeństwa i duchowego rozstroju. W korytarzach i na schodach starego pałacu wałęsali się bezczelnie kawalerzyści Montera, paląc i nie ustępując z drogi nikomu. Szczęk szabel i ostróg rozlegał się po całym budynku. Trzy milczące gromadki cywilnych osób w surowej czerni czekały na głównym korytarzu. Stali sztywno i bezradnie, trochę bez ładu, stroniąc od siebie, jak gdyby chcieli ukryć przed oczyma ludzkimi wypełnienie obywatelskiego obowiązku.

Były to deputacje, które czekały na posłuchanie. Jedna z nich, bardziej niespokojna i nieswoja jako zbiorowisko, stanowiła przedstawicielstwo Zgromadzenia Prowincjonalnego. Górowała w nim duża, pulchna, biała twarz don Justego Lopeza o wypukłych powiekach, spowita w nieprzeniknioną powagę niczym w gęsty obłok. Przewodniczący Zgromadzenia Prowincjonalnego, który stawił się mężnie, by ocalić ostatnie strzępy instytucji parlamentarnych (na wzór angielski), odwrócił oczy od administratora kopalni San Tomé, jak gdyby czynił mu z godnością wyrzut, iż okazał zbyt mało wiary w ten jedyny środek ocalenia.

Żałosna surowość tej nagany nie dotknęła Charlesa Goulda, ale poruszyły go inne spojrzenia, które zwróciły się ku niemu bez wyrzutu, jak gdyby chcąc tylko wyczytać z jego twarzy, co przyniesie przyszłość. Wszyscy ci panowie gadali, krzyczeli i deklamowali niegdyś w wielkim salonie Casa Gould. Współczucie dla tych ludzi, dotkniętych dziwną niemocą pod wpływem moralnego poniżenia, nie skłoniło go, by skinąć im głową. Zbyt mocno dolegało mu poczucie, że współdziałał z nimi w złym.

Przeszedł przez *plaza* nienagabywany. Klub „Amarylla" był pełen rozpanoszonych obszarpańców. Z każdego okna wychylały się rozczochrane głowy, z wnętrza dolatywały pijane okrzyki, tupanie nogami i brzęk harf. Potłuczone butelki leżały pod oknami na bruku.

Charles Gould zastał jeszcze doktora w swym domu.

---

[248] *Drugie Cesarstwo Francuskie* — okres w historii Francji od koronacji Napoleona III na Cesarza Francuzów (grudzień 1852) do jego detronizacji i proklamowania III Republiki Francuskiej (wrzesień 1870). [przypis edytorski]

[249] *Conde de Sulaco* (hiszp.) — hrabia Sulaco. [przypis edytorski]

Doktor Monygham odsunął od szczeliny w okiennicy, przez którą wyglądał na ulicę.

— Ach, wreszcie pan wrócił! — rzekł z ulgą w głosie. — Zapewniałem panią Gould, że jest pan najzupełniej bezpieczny, ale bynajmniej nie byłem pewien, czy ten hultaj pozwoli panu odejść.

— Ja również — przyznał się Charles Gould, kładąc kapelusz na stole.

— Będzie pan musiał zacząć działać.

Milczenie Charlesa Goulda zdawało się potwierdzać, że nie było innego wyjścia. Charles Gould nie zwykł posuwać się dalej w wyrażaniu swoich zamierzeń.

— Mam nadzieję, że nie uprzedził pan Montera, co zamierza pan zrobić? — rzekł doktor z niepokojem.

— Usiłowałem mu uświadomić, że istnienie kopalni wiąże się z moim osobistym bezpieczeństwem — mówił Charles Gould, odwracając oczy od doktora i zatrzymując je na akwaforcie wiszącej na ścianie.

— Uwierzył panu? — spytał doktor pośpiesznie.

— Bóg wie! — rzekł Charles Gould. — Powiedziałem to ze względu na moją żonę. On jest dobrze poinformowany. Wie, iż jest tam don Pépé. Zapewne Fuentes mu powiedział. Wiedzą, iż stary major jest najzupełniej zdolny wysadzić w powietrze kopalnię San Tomé bez żalu i wahania. Gdyby tak nie było, nie wypuszczono by mnie zapewne z Intendencji i nie pozwolono by odejść swobodnie. Wysadziłby w powietrze wszystko z poczucia rzetelności i z nienawiści — z nienawiści do tych liberałów, jak się sami nazywają. Liberałowie! Dobrze znane słowa mają w tym kraju koszmarne znaczenia. Wolność, demokracja, patriotyzm, rząd — wszystko to trąci brednią i zbrodnią. Czy nie tak, doktorze?... Ja jeden mogę powstrzymać don Pépégo. Gdyby... gdyby się mnie pozbyli, nikt go nie powstrzyma.

— Będą próbowali wejść z nim w układy — napomknął doktor znacząco.

— To bardzo możliwe — odparł Charles Gould bardzo cicho, jak gdyby mówił do siebie, patrząc wciąż jeszcze na szkic wąwozu San Tomé. — Myślę, że będą próbowali — Spojrzał po raz pierwszy na doktora. — Zyskam na czasie — dorzucił.

— Oczywiście — rzekł doktor Monygham, powściągając swe podniecenie. — Zwłaszcza jeśli don Pépé będzie zachowywał się dyplomatycznie. Czemu nie miałby ich zwodzić nadzieją powodzenia? Hm? W przeciwnym razie nie zyska pan tak wiele na czasie. Czy nie można by mu wydać polecenia, żeby...

Charles Gould, nie spuszczając oka z doktora, potrząsnął głową, ale doktor mówił dalej z niejakim uniesieniem:

— Żeby zaczął się układać o poddanie kopalni. To dobra myśl! Tymczasem pański plan by dojrzał. Nie pytam oczywiście, jaki on jest. Nie chcę o nim wiedzieć. Nie słuchałbym, gdyby pan zaczął o nim mówić. Nie jestem stworzony do słuchania zwierzeń.

— Co za niedorzeczność! — mruknął Charles Gould niechętnie.

Nie pochwalał przeczulenia, jakie doktor okazywał co do dawno minionego epizodu swego życia. Ten nadmiar pamięci raził Charlesa Goulda. Wydawał się mu chorobliwy. I znów potrząsnął głową. Zarówno jego charakter, jak i jego przezorność nie pozwalały mu narażać szczerej prostolinijności postępowania don Pépégo. Instrukcji można było udzielić albo ustnie, albo pisemnie. W obu wypadkach zachodziła obawa, że mogą zostać przejęte. Nie było bynajmniej pewne, iż posłaniec zdoła dotrzeć do kopalni. Ponadto nie było kogo posłać. Charles miał na końcu języka, że jedynym człowiekiem, którego można by do tego użyć z niejaką nadzieją powodzenia i pewnością dyskrecji, był nieżyjący *capataz de cargadores*. Ale tego nie powiedział. Wyłuszczył doktorowi, że byłoby to nierozsądne posunięcie. Gdyby nasunęły się przypuszczenia, iż don Pépégo można przekupić, osobiste bezpieczeństwo administratora oraz jego przyjaciół byłoby zagrożone. Nie byłoby już bowiem powodów do traktowania ich z umiarem. Nieprzekupność don Pépégo była faktem istotnym i powściągającym.

Doktor zwiesił głowę i przyznał, że w pewnej mierze byłoby tak istotnie. Nie mógł zaprzeczyć sam przed sobą, że to rozumowanie było nader słuszne. Użyteczność don Pépégo polegała na jego nieskazitelnym charakterze. Jeżeli zaś chodziło o jego własną użyteczność — rozumował gorzko — to był nią również jego własny charakter. Oświadczył Charlesowi Gouldowi, iż jest w jego mocy, by powstrzymać Sotillo przed połączeniem sił z Monterem, przynajmniej na razie.

— Gdyby srebro było na miejscu — mówił doktor — lub gdyby przynajmniej było wiadomo, że znajduje się ono w kopalni, mógłby pan przekupić Sotilla, żeby wyrzekł się swego świeżego monteryzmu. Mógłby go pan skłonić albo żeby odpłynął na swym parowcu, albo nawet, żeby połączył się z panem.

— Na pewno nie wybrałbym tego ostatniego — oświadczył Gould twardo. — Co później robić z takim człowiekiem, niech pan sam powie, doktorze? Srebro wywiezione, a ja jestem z tego zadowolony. Byłoby natychmiastową i silną pokusą. Szarpanina o ten namacalny łup przyśpieszyłaby fatalny koniec. Musiałbym go bronić. Jestem zadowolony, żeśmy je wywieźli, nawet jeżeli przepadło. Byłoby przekleństwem i niebezpieczeństwem.

— Może ma słuszność — rzekł w godzinę później doktor do pani Gould, którą spotkał na korytarzu. — Stało się, a majak skarbu może się przydać równie dobrze jak sam skarb. Niech mi będzie wolno służyć pani całym zasobem mojej kiepskiej reputacji. Wybieram się teraz, by omamić Sotilla i zatrzymać go poza miastem.

Wyciągnęła impulsywnie ręce.

— Naraża się pan na straszne niebezpieczeństwo, doktorze — szepnęła, odwracając od jego twarzy oczy pełne łez, by zerknąć ku drzwiom pokoju swego męża. Uścisnęła jego dłonie, zaś doktor stał niby przykuty do miejsca, spoglądając na nią i usiłując złożyć usta do uśmiechu.

— Ach, wiem, że będzie pani broniła mej pamięci — odezwał się w końcu i zataczając się, zbiegł po schodach na patio, a stamtąd za bramę. Na ulicy zaczął kuśtykać śpiesznym krokiem, dzierżąc pudełko z narzędziami pod pachą. Wiedziano, że jest *loco*[250]. Nikt go nie zatrzymywał. Spod łuku bramy od strony morza, poprzez zapyloną, jałową równinę, usianą drobnymi krzaczkami, ujrzał w odległości jakiejś mili brzydki w swoim ogromie gmach Urzędu Celnego i parę innych budynków, które w owym czasie tworzyły zabudowania portu Sulaco. Daleko, od południa, rzędy palm obrzeżały zakole portu. Odległe szczyty Kordylierów zatracały realność swych wyraziście rzeźbionych kształtów w pogłębiającym się nieustannie błękicie zachodniego nieba. Doktor szedł szybko. Z zenitu zdawał się spływać na niego mroczny cień. Słońce zaszło. Śniegi Higueroty jarzyły się jeszcze czas jakiś odbitą chwałą zachodu. Doktor, zmierzając samotnie wprost do Urzędu Celnego, podrygiwał wśród ciemnych zarośli jak wielki ptak o złamanym skrzydłem.

Jasne tonie portu mieniły się złotem, szkarłatem i purpurą. Jeg zakole zamykała widoczna z brzegu podłużna smuga lądu, prosta jak ściana, z porośniętymi trawą ruinami fortu, tworzącymi jakby zaokrągloną, zieloną spinkę. Zatoka Placido odtwarzała w oddali ten przepych barw w jeszcze większych rozmiarach i z posępniejszym majestatem. Wypełniające jej środek zwały obłoków miały w swych zwojach czerni i szarzyzny długie, czerwone plamy, co czyniło ją podobną do rozwianego płaszcza, ubroczonego krwią. Trzy Izabele, okryte cieniem i odcinające się ostro od wielkiej gładzizny spowijającej niebo i morze, purpurą i czernią zdawały się pławić w powietrzu. Drobne fale rozsiewały nikłe, czerwone iskry po piaszczystych wybrzeżach. Szkliste wstęgi wody wzdłuż widnokręgu żarzyły się krwawą czerwienią, jak gdyby ogień stopił się z wodą w olbrzymim łożu oceanu.

Wreszcie skończył się pożar nieba i morza, ogarniający cicho ognistym kręgiem krańce świata. Czerwone iskry na wodzie znikły wraz z plamami krwi na czarnym płaszczu, otulającym posępne ciało Zatoki Placido. Prysnął nagły powiew i zamarł, załopotawszy ciężko w zaroślach pokrywających zrujnowane okopy fortu. Nostromo ocknął się po czternastu godzinach snu i powstał z posłania w bujnej trawie. Stał po kolana w szeleszczącej, falującej zieleni, z nieprzytomnym wyrazem twarzy, jak człowiek, który dopiero przyszedł na świat. Piękny, silny i zwinny, odchylił w tył głowę, rozprostował ramiona i przeciągnął się, wyginając się w pasie i szczerząc w głośnym ziewnięciu białe zęby. W tej chwili przebudzenia był tak naturalny i wolny od zła jak wspaniałe i nieświadome dzikie zwierzę. Po czym w nagłym znieruchomieniu spojrzenia, utkwionego w zadumie spod zmarszczonej brwi w nicość, objawił się człowiek.

[250] *loco* (hiszp.) — szalony. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ VIII

Wylądowawszy po swej przeprawie, Nostromo wdrapał się, ociekając wodą, do głównego czworoboku starego fortu. Przespał tam cały dzień wśród pokruszonych murów i próchniejących w rozwalinach dachów. Spał w cieniu gór, w białym skwarze południa, w ciszy i odosobnieniu tego zarośniętego chaszczami skrawka ziemi, rozciągającego się między owalem przystani a przestronnym zakolem zatoki. Leżał jak martwy. *Rey zamuro*[251], majaczący w błękicie na podobieństwo nikłej, czarnej plamki, zatrzymał się, kołując przezornie ukradkowym lotem, dziwnym u ptaka tej wielkości. Cień jego perłowo białego tułowia i czarno zakończonych skrzydeł padał na murawę równie cicho, jak on sam opuszczał się na pagórek gruzu, o jakieś trzy jardy od człowieka leżącego nieruchomo na kształt trupa. Ptak wyciągnął swą nagą szyję i pochylił łysy łeb, ohydny mimo świetnego ubarwienia, z żarłocznym niepokojem wpatrując się w obiecujące w swym bezruchu, rozciągnięte ciało. Po czym schował głęboko łeb w miękkie pióra i znieruchomiał w oczekiwaniu. Pierwszą rzeczą, na którą padło po przebudzeniu spojrzenie Nostroma, był ten cierpliwy stróż, oczekujący oznak śmierci i rozkładu. Gdy zerwał się na nogi, kondor odskoczył w bok, trzepocząc skrzydłami. Ociągał się przez chwilę ponuro i niechętnie, po czym poderwał się, krążąc bezszelestnie ze złowrogo opuszczonym dziobem i wyciągniętymi szponami.

Kiedy wreszcie znikł, Nostromo spojrzał w niebo i mruknął: „Jeszcze nie umarłem".

Capataz cargadorów z Sulaco pławił się w świetności i rozgłosie do chwili, kiedy podjął się sterowania lichtugą zawierającą ładunek srebra w sztabach.

Ostatni czyn, jakiego dokonał w Sulaco, pozostawał w doskonałej zgodzie z jego próżnością i jako taki był najzupełniej szczery. Ostatniego dolara oddał staruszce, wzdychającej z żalu i zmęczenia po daremnych poszukiwaniach, pod łukiem starej bramy. Dokonany w ciemności i bez świadków, czyn ten miał jeszcze znamiona rozgłosu i świetności, doskonale harmonizował z jego reputacją. Ale przebudzenie na pustkowiu, pod czujnym ślepiem kondora, w ruinach fortu, nie miało już tego charakteru. Pierwszym jego mętnym uczuciem było właśnie to: że to nie pasuje. Był to raczej jakby koniec wszystkiego. Konieczność dalszego życia ukrywała coś, Bóg wie od jak dawna, co ogarnęło go po powrocie świadomości, uczyniło całą wieloletnią przeszłość marnością i głupstwem, na podobieństwo pochlebnego snu, który nagle pierzchnął.

Wspiął się na spadziste zbocze wału i rozchyliwszy krzewy, spojrzał na port. Zobaczył parę zakotwiczonych statków na gładkiej powierzchni wody, odbijającej ostatnie blaski światła, oraz parowiec Sotilla, przycumowany do mola. Za długim, szarym budynkiem Urzędu Celnego rozpościerało się miasto niby gąszcz zabudowań ze sklepioną bramą na pierwszym planie, z kopułami, wieżami i *miradorami*[252], wznoszącymi się ponad drzewami, a wszystko było ciemne, jak gdyby już zanurzone w nocy. Przyszło mu na myśl, że nie może już pojechać konno ulicami miasta, znany przez wielkich i małych, jak to zwykł był czynić co wieczór, kiedy udawał się do *posady* Meksykanina Domingo na partię *monte*, że nie będzie już zasiadał na honorowym miejscu, słuchając śpiewów i patrząc na tańce. I wydało się mu, że to miasto jakby nie istnieje.

Patrzył długo, po czym puścił rozchylone krzewy, które zamknęły się za nim, i przeszedłszy na drugą stronę fortu, rozglądał się po niezmierzonym pustkowiu wielkiej zatoki. Izabele odcinały się ostro od zwężającej się, długiej wstęgi czerwieni na zachodzie, która delikatnie jarzyła się między ich czarnymi kształtami. *Capataz* myślał o Decoudzie, który pozostał tam samotnie ze skarbem. „To jedyny człowiek, który troszczył się o to, czy wpadnę w ręce monterystów czy nie" — myślał *capataz* gorzko. Lecz i ta troska wynikała z dbałości o siebie. Inni ani o niego się nie troszczyli, ani się nim nie zajmowali. Wielką prawdą było, co słyszał niegdyś od Giorgia Violi. Królowie, ministrowie, arystokraci, słowem wszyscy, którzy mają pieniądze, trzymają lud w ubóstwie i ujarzmieniu; trzymają go, jak trzyma się psy, by uganiały się i zagryzały w służbie swych panów.

Ciemność niebios opuściła się na rubież widnokręgu, spowijając całą zatokę, wysepki i wielbiciela Antonii, który pozostał z skarbem na Wielkiej Izabeli. *Capataz*, odwróciwszy

[251] *rey zamuro* (hiszp.) — kondor królewski, duży padlinożerny ptak zamieszkujący Amerykę Południową i Centralną. [przypis edytorski]

[252] *miradori* (hiszp.) — kryty balkon. [przypis edytorski]

się od tych rzeczy, istniejących, a niewidzialnych, usiadł i oparł twarz na pięściach. Po raz pierwszy w życiu odczuwał ucisk ubóstwa. Znaleźć się bez pieniędzy, gdy zawiodło *monte* w niskiej, zadymionej gospodzie Dominga, gdzie bractwo *cargadorów* wieczorami grało, śpiewało i tańczyło; mieć puste kieszenie po publicznym popisie szczodrobliwości w stosunku do jakiejś dziewczyny *peyne d'oro* czy innej (o którą nie dbał) — nie było ani ubóstwem, ani poniżeniem. Pozostawało bogactwo rozgłosu i chwały. Ale teraz, kiedy nie mógł już jeździć szumnie po ulicach miasta i otrzymywać pełnych uszanowania pokłonów w swych zwykłych przybytkach rozrywki, marynarz czuł się zupełnie ogołocony.

Zaschło mu w ustach. Zaschło mu, jak nigdy przedtem, od ciężkiego snu i wytężonego myślenia. Nostromo czuł w ustach smak jakby pyłu i popiołu z owocu życia, w który wgryzł się mocno z głodu chwały. Nie odejmując pięści od twarzy, spróbował splunąć przed siebie: ‚Tfu" i cisnął półgłosem przekleństwo na samolubstwo wszystkich bogaczy.

Odkąd wszystko w Sulaco zdawało się stracone (a z takim poczuciem się ocknął), Nostromowi nasunęła się myśl o opuszczeniu kraju na zawsze. Na tę myśl ujrzał, jakby początek innego snu, wizję stromych, niezalewanych falą wybrzeży z ciemnymi sosnami na wzgórzach i białymi domami stojącymi poniżej, nad brzegiem rozbłękitnionego morza. Widział nadbrzeża wielkiego portu, po ślizgają się bez szmeru przybrzeżne feluki z łacińskimi żaglami rozpostartymi na kształt nieruchomych skrzydeł, wnikając między dwa mola z kamiennych bloków, zbiegające się ze sobą pod kątem i tulące flotylle statków do wspaniałego łona wzgórza pokrytego pałacami. Wspomniał te krajobrazy nie bez jakiegoś synowskiego uczucia, choć na jednej z takich feluk brał nieraz jako chłopiec surowe cięgi od wygolonego genueńczyka o krótkiej szyi i rozważnym, podejrzliwym usposobieniu, który (w co głęboko wierzył) pozbawił go jego sierocego dziedzictwa. Ale takie jest miłosierne zrządzenie, iż minione przykrości blakną we wspomnieniach. Pod wpływem osamotnienia, opuszczenia i zawodu myśl o powrocie do kraju dzieciństwa wydawała się znośna. Lecz jak powrócić? Boso i bez kapelusza? Nie mając nic prócz pstrej koszuli i pary bawełnianych *calzoneras*?

Odrodzony *capataz*, z łokciami na kolanach i pięściami wgniecionymi w policzki, zaśmiał się z siebie samego i splunął z niesmakiem gdzieś w cienie nocy. Nieokreślone wewnętrzne wrażenie powszechnego rozpadu, które ogarnia egoistyczną naturę przy każdym silniejszym powściągnięciu władającej nią namiętności, mają w sobie gorycz, która nie różni się od goryczy śmierci. Był naturą prostą. Gotów był ulec jakiejkolwiek wierze, zabobonowi lub żądzy — niby dziecko.

Położenie, w jakim się znalazł, oceniał po męsku, z dokładną znajomością kraju. Widział je jasno. Był jak człowiek, który otrzeźwiał po długim pijaństwie. Wyzyskiwano jego wierność. Skłonił bractwo *cargadorów* do stanięcia po stronie *blancos* przeciwko ludowi, naradzał się z don Josém, z ramienia ojca Corbelana prowadził układy z Hernandezem, wiadomo było również, iż don Martin Decoud pozwalał mu na pewną zażyłość i swobodne zachodzenie do redakcji „Porveniru". Wszystko to schlebiało mu w zwykły u niego sposób. Co go obchodziła ich polityka? Zgoła nic. A w końcu, Nostromo tu, Nostromo tam, gdzie jest Nostromo? Nostromo może zrobić to i owo, pracować za dnia i pędzić na koniu nocą — i ani się spostrzegł, kiedy został niewątpliwym ribierzystą, narażonym na mściwość takiego na przykład Gamacha, zwłaszcza teraz, kiedy stronnictwo Montera zawładnęło miastem. Europejczycy dali za wygraną, *caballeros* dali za wygraną. Wprawdzie don Martin tłumaczył mu, że dzieje się to tylko chwilowo, że jedzie, by sprowadzić Barriosa na pomoc. A cóż z nią będzie, skoro don Martin (którego ironiczny sposób przemawiania zawsze niemile dotykał *capataza*) jest rozbitkiem na Wielkiej Izabeli? Wszyscy odstąpili. Nawet don Carlos dał za wygraną. Pospieszne wywiezienie skarbu dowodziło tego dobitnie. *Capataz de cargadores* pod wpływem przewrotu, jaki nastąpił w jego osobowości, zwątpił niemal do obłędu i patrzył na cały swój świat bez wiary i odwagi. Został zdradzony!

Mając za sobą niezmierzone mroki oceanu, a przed sobą wyniosłe szczyty niższych szczytów skupionych dokoła białego, zamglonego blasku Higueroty, Nostromo zaśmiał się głośno z głębi swego bezruchu i milczenia, zerwał się śpiesznie na nogi i stanął jak wryty. Musiał iść. Ale dokąd?

— To nie pomyłka! Trzymają nas i szczują, żebyśmy jak psy polowali i zagryzali się w ich służbie. *Vecchio* ma rację — rzekł powoli, złowrogo. Przypomniał sobie, jak stary

Giorgio wyjął fajkę z ust i rzucił przez ramię te słowa w głąb kawiarni pełnej maszynistów i ślusarzy z warsztatów kolejowych. Ten obraz podziałał decydująco na jego chwiejne zamysły. Postara się odszukać starego Giorgia, jeśli będzie mógł. Bóg wie, co się z nim stało! Postąpił parę kroków przed siebie, po czym znów przystanął i potrząsnął głową. Przed nim i za nim, na lewo i na prawo liche chaszcze tajemniczo szemrały w ciemnościach.

— Teresa też miała słuszność — dorzucił przyciszonym, pełnym lęku głosem. Był ciekaw, czy już umarła, pogniewana na niego, czy też jeszcze żyje. Jakby w odpowiedzi na tę myśl na poły wyrzutu, a na poły nadziei, przecięła mu drogę wielka sowa, miękko łopocząc skrzydłami w skośnym locie, jak duża ciemna czarna kula, krzycząc przeraźliwie: „*Ya-acabo! Ya-acabo!*", co znaczy „skończyło się, skończyło się" i wedle zabobonu ludowego zwiastuje śmierć i nieszczęście. Ponieważ upadło wszystko, co stanowiło o jego sile, poddał się przesądowi i drgnął z lekka. A więc signora Teresa umarła. To nie mogło oznaczać nic innego. Wrzask złowieszczego ptaka, ten pierwszy odzew, jaki go doleciał po powrocie, był właściwym pozdrowieniem dla jego zawiedzionej osobowości. Niewidzialne moce, które obraził, nie chcąc przywołać księdza do umierającej kobiety, podnosiły głos przeciw niemu. Umarła! Z zadziwiającym, głęboko ludzkim sposobem wnioskowania naginał wszystko do siebie. Była zawsze kobietą dobrej rady. A osieroconego, starego Giorgia strata ogłuszyła właśnie w chwili, kiedy miał zamiar zasięgnąć wskazówek jego mądrości. Ten cios otumani marzycielskiego starca na jakiś czas.

Co do kapitana Mitchella, to Nostromo zwyczajem zaufanych podwładnych uważał go za człowieka, który dzięki wykształceniu może wydawać rozkazy i podpisywać papiery w biurze, ale poza tym jest zupełnie nieużyteczny i nieco głupi. Konieczność codziennego owijania sobie dokoła małego palca pompatycznej, dziwacznej figury nadętego starego marynarza, zaczęła stopniowo drażnić Nostroma. Zrazu dawała mu wewnętrzne zadowolenie. Jednak konieczność pokonywania drobnych przeszkód przykrzy się ludziom pewnym siebie, zarówno z powodu pewności powodzenia, jak i monotonii wysiłków. Podejrzliwie patrzył na skłonności swego przełożonego do kapryśnych działań. „Ten stary Anglik nie ma zdrowego rozsądku", powiadał do siebie. Niepodobna było przypuszczać, żeby zapoznawszy się z rzeczywistym stanem rzeczy, mógł tę wiadomość zachować dla siebie. Zacząłby mówić o wykonaniu niewykonalnych rzeczy. Nostromo bał się go, jak zazwyczaj boją się ludzie obarczenia jakimś przewlekłym kłopotem. Kapitan Mitchell nie był dyskretny. Zdradziłby skarb. A Nostromo postanowił sobie, iż skarb nie może być zdradzony.

Nuda

Słowo „zdrada" zapuściło korzenie w jego umyśle. Jego wyobraźnia uchwyciła się jasnego i prostego pojęcia zdrady, by uzasadnić oszałamiające wrażenie oświecenia, iż nieświadomie zszedł ze swojej ścieżki, by wziąć udział w sprawie, w której jego osobowości nie brano pod uwagę. Człowiek zdradzony jest człowiekiem unicestwionym. *Signora* Teresa (niechaj światłość wiekuista świeci nad jej duszą!) miała słuszność. Nigdy się z nim nie liczono. Zdradzony! Jej biała postać skulona w łożu, rozwiana czerń włosów, szerokie czoło cierpiącej, wzniesionej ku niemu twarzy, ognisty zapał jej przepowiedni, wszystko to wydawało się mu obecnie majestatyczne grozą jasnowidzenia i śmierci. Nie na próżno ptak nieszczęścia złowrogim wrzaskiem odezwał się nad jego głową. Umarła, niechaj jej świeci światłość wiekuista!

Zdrada

Podzielając antyklerykalne, wolnomyślne poglądy mas, posługiwał się tą pobożną formułą z powierzchowną siłą nawyku, ale z głęboko zakorzenioną szczerością. Dusza ludu niezdolna jest do sceptycyzmu; ta niezdolność rzuca jego bezradną moc na pastwę krętactwa oszustów i bezlitosnego entuzjazmu przywódców natchnionych wizjami szczytnego przeznaczenia. Umarła. Ale czy raczy Bóg zmiłować się nad jej duszą? Umarła bez spowiedzi i rozgrzeszenia, ponieważ on nie chciał poświęcić jej jeszcze jednej chwili swego czasu. Jego odraza do księży jako księży pozostała, lecz mimo wszystko nie mógł wiedzieć, czy to, co oni utrzymują, nie jest prawdą. Moc, kara, przebaczenie są prostymi i wiarygodnymi pojęciami. Świetny *capataz de cargadores*, pozbawiony prostych realiów, jak zachwyt kobiet, pochlebstwa mężczyzn, podziwianego rozgłosu, był gotów poczuć, iż brzemię świętokradzkiej winy zwala się na jego barki.

Lud, Przywódca

Z gołą głową, w cienkiej koszuli i spodniach, czuł pod stopami kojące ciepło miałkiego piasku. Wąskie pasmo plaży majaczyło w oddali długą krzywizną, obrysowując kontury

dzikiego ustronia po tej stronie portu. Mknął wzdłuż brzegu jak ścigany cień, między posępnymi gąszczami palmowymi a tonią wodną, która roztaczała się po jego prawej ręce, tak spokojna jak śmierć. Biegł w samotności i ciszy z opętańczym pośpiechem, jak gdyby wyzuty z wszelkiej rozwagi i ostrożności. Wiedział, iż po tej stronie wody nie musi się obawiać wykrycia. Jedynym mieszkańcem był samotny, małomówny, apatyczny Indianin, który miał opiekował się gajem palmowym i zanosił niekiedy do miasta trochę orzechów kokosowych na sprzedaż. Żył bez kobiety, w otwartym szałasie, gdzie stale buzował ogień z suchego chrustu, rozwlekając swe dymy opodal starej łodzi leżącej dnem do góry na piasku. Nietrudno było go uniknąć.

Szczekanie psów dokoła szałasu było pierwszą rzeczą, która przykróciła jego pośpiech. Zapomniał o psach. Skręcił z miejsca i zaszył się w gąszcz palm jak w matecznik kolumn jakiejś niezmierzonej sali, której nieprzenikniona ciemność zdawała się szeptać i cicho szumieć nad jego głową. Przedarł się przez nią, wszedł do jakiejś rozpadliny i wspiął się na szczyt stromego szczytu, niepokrytego drzewami ani chaszczami.

Z tego miejsca ujrzał równinę między miastem a przystanią, otwartą i majaczącą w poświacie gwiezdnej. W roztaczających się powyżej lasach jakiś nocny ptak odzywał się dziwnie bębniącym klekotem. Poniżej palmowego gaju, na brzegu, psy Indianina ujadały dalej zaciekle. Zastanawiał się, co je tak bardzo rozdrażniło, i rozglądając się ze swego wzniesienia, zauważył ze zdumieniem jakieś niewytłumaczalne poruszenia, jak gdyby poruszało się kilka podłużnych połaci równiny. Te czarne, chwiejne plamy, na przemian ukazujące się, to znów niknące z oczu, zmieniały miejsce, stale oddalając się od portu, wywołując wrażenie jakiegoś ciągłego ładu i celowości. Zaświtało mu w głowie. Była to kolumna piechoty, która nocnym marszem zdążała w kierunku wyżej położonej, pobrużdżonej połaci kraju, u podnóża wzgórz. Wszystko było dla niego nadal zbyt ciemne, by mógł się dziwić lub zastanawiać.

Równina odzyskała swą mroczną nieruchomość. Zszedł ze wzgórza i znalazł się w otwartym pustkowiu między portem a miastem. Jego rozległość, które wskutek ciemności wydawała się bezkresna, dawała mu silniej uczuć jego głęboką samotność. Zwolnił kroku. Nikt go nie oczekiwał, nikt o nim nie myślał, nikt nie oczekiwał ani nie pragnął jego powrotu. „Zdradzony, zdradzony!" — mamrotał do siebie. Nikomu na nim nie zależało. Mógł przecież utonąć, a nikt by się nie zmartwił, prócz może dzieci, pomyślał sobie. Ale one były u angielskiej *signory* i w ogóle o nim nie myślały.

Zawahał się w swym postanowieniu, żeby pójść wprost do Casa Viola. Po co? Czegóż może tam się spodziewać? Życie zawodziło go w wszystkim, do najdrobniejszego szczegółu, zgodnie z pogardliwymi przepowiedniami Teresy. Boleśnie odczuwał swą rozterkę. Czy to był ten wyrzut sumienia, który mu przepowiadała, zanim wyzionęła ostatnie tchnienie?

Tymczasem zszedł z prostej drogi, zbaczając jakby instynktownie na prawo, w stronę molo i portu, które były widownią jego codziennego trudu. Długi budynek Urzędu Celnego wyłonił się nagle niby mury jakiejś faktorii. Nikt nie go zatrzymał, kiedy się zbliżył. Gdy podszedł ostrożnie od frontu, zaciekawił go nieoczekiwany widok dwu oświetlonych okien.

Te dwa okna, jarzące się blado od strony portu z ogromu opuszczonego budynku, wywoływały wrażenie, jakby jakiś tajemniczy człowiek czuwał tam samotnie. Pustka była niemal wyczuwalna. Silny swąd spalonego drzewa ział z nikłego obłoczku, ledwie dostrzegalnego dla jego oczu na tle migoczących gwiazd. Ćwierkanie nieprzeliczonych świerszczy w suchej trawie zdawało się niemal przytępiać jego wytężony słuch, gdy stąpał z wolna w głębokim milczeniu. Idąc krok za krokiem, znalazł się w wielkiej hali, posępnej i pełnej gryzącego dymu.

Ognisko ułożone przy schodach wypaliło się bezsilnie, pozostawiając niewielką kupkę perzyny. Twarde drzewo schodów nie zajęło się ogniem. Tliło się tylko kilka dolnych stopni, po ich zwęglonych krawędziach pełzały iskry. U szczytu schodów ujrzał smugę światła padającą z otwartych drzwi. Światło to padało na obszerny podest, zamglony powoli wnoszącym się dymem. To był ten pokój. Zaczął wchodzić na schody, lecz zatrzymał się nagle, gdy na jednej ze ścian pokoju dostrzegł cień człowieka. Był to bezkształtny cień jakiejś barczystej osoby, która stała nieruchomo ze spuszczoną głową poza zasięgiem jego

wzroku. *Capataz*, uprzytomniwszy sobie, że jest zupełnie bezbronny, usunął się w bok i ukryty w ciemnym kącie, czekał, nie spuszczając oczu z drzwi.

Całe ogromne wnętrze zrujnowanego, niewykończonego budynku, bez sufitów pod więźbą wysokiego dachu, wypełniał dym. Snuł się nikłymi, splątanymi pasmami, igrając w mroku wysokich pokojów i korytarzy wielkich jak stodoły. Jakaś rozkołysana okiennica uderzyła o ścianę z ostrym, urwanym trzaskiem, jak gdyby pchnięta niecierpliwą ręką. Przed próg potoczył się z szelestem jakiś papier, nie wiadomo skąd. Kimkolwiek był nieznany człowiek, nie zacieniał swoją sylwetką oświetlonego wejścia. *Capataz* dwukrotnie wykradał się na kilka kroków ze swojego kąta i wyciągał szyję, mając nadzieję, że zobaczy, co ten ktoś robi tak cicho w pokoju, lecz za każdym razem dostrzegał tylko zniekształcony szerokich barków i pochylonej głowy. Widocznie nic nie robił i nie ruszał się z miejsca, jak gdyby rozmyślał lub może coś czytał. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk.

Capataz raz jeszcze się cofnął. Zastanawiał się, kto to był, czyżby jakiś monterysta? Ale bał się pokazać. Gdyby przed upływem wielu dni zauważono jego obecność na wybrzeżu, skarb, jego zdaniem, znalazłby się w niebezpieczeństwie. Ponieważ ta tajemnica zawładnęła całą jego duszą, uważał za rzecz niemożliwą, żeby ktokolwiek ze Sulaco nie wpadł na właściwy domysł. Po jakichś kilku tygodniach wyglądałoby to inaczej. Czy kto mógłby zaprzeczyć, iż nie powrócił przez góry z jakiegoś portu poza obrębem republiki? Istnienie skarbu mąciło jego myśli jakąś osobliwą troską, jak gdyby było z nim związane jego własne życie. To spowodowało, że czuł lęk, stojąc przed tymi oświetlonymi, zagadkowymi drzwiami. Niech diabli wezmą tego hultaja! Nie chce go wcale widzieć. Nie dowie się niczego z jego twarzy, znajomej czy nieznajomej. Był głupcem, marnując tu czas na czekaniu!

W niespełna pięć minut po wśliźnięciu się do budynku *capataz* przystąpił do odwrotu. Zszedł bez najmniejszej przeszkody po schodach, raz jeszcze zerknął przez ramię na oświetlony podest i przebiegł chyłkiem przez sień. Ale w chwili, kiedy wychodził przez wielkie drzwi, zaprzątnięty myślą, jak niepostrzeżenie ujść uwagi człowieka z góry, nagle z impetem wpadł na niego ktoś, kogo nie usłyszał, kto biegł szybko wzdłuż ściany frontowej. Obaj wydali stłumiony okrzyk zdumienia, odskoczyli od siebie i zatrzymali się, nie widząc siebie nawzajem dokładnie. Nostromo nie odezwał się. Natomiast ten drugi przemówił przerażonym i struchlałym głosem:

— Kto to?

Nostromo od razu wydawało się, iż poznaje doktora Monyhgama. Teraz nie miał już wątpliwości. Zawahał się na jedno mgnienie. Przyszło mu do głowy, by uciec, nie mówiąc ani słowa. Po co? Niepojęta odraza do wymówienia nazwiska, pod którym był znany, nieco przedłużyła jego milczenie. W końcu odezwał się cichym głosem:

— *Cargador*.

Podszedł do tamtego. Doktor Monygham doznał wstrząsu. Poderwał w górę ramiona i krzyknął na całe gardło, nie posiadając się ze zdziwienia, pod wrażeniem niesłychanego dziwu tego spotkania. Nostromo przestrzegł go gniewnie, by nie podnosił głosu. Urząd Celny nie jest tak pusty, jak się wydaje. Jest tam ktoś w oświetlonym pokoju na górze.

Cud

Nie ma cechy w fakcie dokonanym bardziej ulotnej od wrażenia jego niezwykłości. Umysł ludzki, znużony nieustannym rozważaniem swoich pragnień i obaw, naturalnym porządkiem rzeczy odwraca się od niezwykłej strony wydarzeń. Było też rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem, iż doktor zapytał człowieka, o którym jeszcze przed dwiema minutami był przekonany, że pochłonęły go tonie zatoki:

— Widział pan kogoś na górze? Naprawdę?

— Nie, nie widziałem.

— To skąd pan wie, że tam ktoś jest?

— Uciekałem przed jego cieniem, gdyśmy się spotkali.

— Przed jego cieniem?

— Tak. Jego cieniem w oświetlonym pokoju — odparł Nostromo pogardliwym tonem. Założywszy ramiona, oparł się o ścianę ogromnego budynku, zwiesił głowę i zaciął z lekka usta, nie patrząc na doktora. „No — myślał w duszy — teraz zacznie mnie wypytywać o skarb".

Ale myśli doktora były zaprzątnięte innym zdarzeniem, nie tak dziwnym jak ukazanie się Nostroma, lecz w swej istocie znacznie mniej zrozumiałym. Dlaczego Sotillo oddalił się wraz z całym swym oddziałem tak nagle i po kryjomu? Co zwiastowało to odejście? Zaraz jednak błysnęło doktorowi w głowie, iż ten ktoś na górze może być oficerem, pozostawionym przez zawiedzionego pułkownika, żeby się z nim porozumiał.

— Zdaje mi się, iż on czeka na mnie — rzekł.

— To możliwe.

— Muszę to sprawdzić. Niech pan jeszcze nie odchodzi, *capatazie*.

— Dokąd miałbym odejść? — odburknął Nostromo.

Ale doktor już znikł. Pozostał więc sam, oparty o ścianę i zapatrzony na ciemne wody przystani. Ćwierkanie świerszczy wypełniało mu uszy. Przemożny zamęt opanował jego myśli i odjął im władzę powodowania wolą.

— *Capatazie, capatazie!* — odezwał się z góry naglący głos doktora.

Poczucie zdrady i ruiny unosiło się na na jego posępnej obojętności jak w ospałej kałuży smoły. Wychylił się jednak spod ściany i spojrzawszy w górę, ujrzał doktora Monyghama, stojącego w oświetlonym oknie.

— Niech pan tu przyjdzie i zobaczy, co zrobił Sotillo. Nie potrzebuje pan bać się człowieka, który tu jest.

Odpowiedział nikłym, gorzkim uśmiechem. Bać się człowieka! *Capataz cargadorów* z Sulaco miałby bać się jakiegoś człowieka! Rozgniewało go, iż komuś mogło przyjść na myśl coś podobnego. Gniewało go, że jest bezbronny, przyczajony w ukryciu i narażony na niebezpieczeństwa z powodu tego przeklętego skarbu, który tak mało znaczył dla ludzi, którzy mu go uwiązali u szyi. Nie mógł się otrząsnąć z niepokoju o niego. Dla Nostroma doktor był przedstawicielem wszystkich tych ludzi... A nawet o niego nie zapytał. Ani słowa pytania o najrozpaczliwszy czyn jego życia!

Tak rozmyślając, Nostromo przeszedł znów podobną do jaskini sień, gdzie dym tymczasem mocno się przerzedził i unosił się po schodach, które teraz już nie parzyły go w stopy, ku smudze światła u szczytu. Doktor ukazał się na chwilę w tym świetle, podniecony i zniecierpliwiony.

— Niech pan wejdzie! Niech pan wejdzie!

Przekraczając próg, *capataz* doznał wstrząsu zdumienia. Mężczyzna się nie poruszył. Jego cień pozostał w tym samym miejscu. Nostromo wzdrygnął się, po czym wszedł do pokoju z wrażeniem, iż jest bliski rozwiązania zagadki.

Była bardzo prosta. W niewymiernym ułamku sekundy, pod światło dwu rozmigotanych i okapanych świec, poprzez cienką, błękitnawą, gryzącą w oczy zasłonę dymu, ujrzał mężczyznę stojącego w postawie, w jakiej go sobie wyobrażał, odwróconego plecami do drzwi i rzucającego ogromny, zniekształcony cień na ścianę. Szybciej niż mgnienie błyskawicy nastąpiło inne wrażenie: jego ciało miało wymuszoną pozycję i zdawało się przewracać, barki były wysunięte naprzód, głowa nisko opuszczona na piersi. Potem zauważył, iż miał on ramiona od tyłu wykręcone tak straszliwie, iż zaciśnięte i skrępowane razem pięści znajdowały się powyżej łopatek. Jednym rzutem oka dojrzał rzemień, który od skrępowanych przegubów biegł w górę i przerzucony przez potężną belkę, napinał się dalej w dół aż do wbitego w ścianę haka. Nie potrzebował już patrzeć na stężałe nogi, na obwisłe bezwładnie stopy, których nagie palce znajdowały się o jakichś sześć cali nad podłogą, by domyśleć się, że człowieka tego torturowano aż do utraty przytomności.

Pierwszym jego odruchem było rzucić się naprzód i jednym zamachem przeciąć rzemień. Sięgnął po nóż. Nie miał noża przy sobie — nie miał nawet noża. Stał drżący, zaś doktor, który skulony opierał się o stół i kryjąc brodę w dłoni, patrzył w zamyśleniu na to okrutne i żałosne widowisko, odezwał się bezsilnie:

— Torturowano go, potem zabito strzałem w pierś. Już stygnie...

Te słowa uspokoiły *capataza*. Jedna ze świec, migoczących w lichtarzu, zgasła.

— Kto to zrobił? — zapytał.

— Sotillo, mówię panu! Któż by inny? Rozumiem, że torturował. Ale po co zastrzelił? — Doktor patrzył uparcie na Nostroma, który lekko wzruszył ramionami. — A niech pan zauważy, że zastrzelił nagle, pod wpływem impulsu. To się rzuca w oczy. Chciałbym znać jego tajemnicę.

Nostromo postąpił naprzód i zatrzymał się, by rzucić okiem.

— Zdaje mi się, że już gdzieś widziałem tę twarz — mruknął. — Kto to?

Doktor zwrócił znów ku niemu spojrzenie.

— Byłbym niemal skłonny zazdrościć mu jego losu. Co pan o tym myśli, *capatazie*, hę?

Ale Nostromo nie dosłyszał nawet tych słów. Chwyciwszy pozostałą świeczę, podsunął ją pod obwisłą głowę. Doktor siedział pogrążony w zadumie, z nieprzytomnym wyrazem oczu. Wtem ciężki, żelazny lichtarz spadł z brzękiem na podłogę, jakby wytrącony z ręki Nostroma.

— Co się stało? — krzyknął doktor, podnosząc oczy z przerażeniem. Usłyszał, że *capataz* zatoczył się na stół i zaczął ciężko dyszeć. Gdy światło nagle zgasło, martwa ciemność, która zasklepiała wnęki okien, ożyła gwiazdami.

— Rozumiem, rozumiem! — mamrotał do siebie po angielsku doktor. — To wystarcza, żeby wyleźć ze skóry.

Nostromo czuł, że serce podchodzi mu do gardła. Kręciło mu się w głowie. Hirsch! Ten człowiek to Hirsch! Chwycił się mocno krawędzi stołu.

— Ależ on ukrywał się na lichtudze! — wrzasnął niemal. Głos mu się załamał. — Na lichtudze i... i...

— A Sotillo przyprowadził go tutaj — rzekł doktor. — Widok tego człowieka nie może być bardziej zaskakujący dla pana, niż pański widok był dla mnie. Chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób zdołał skłonić czyjąś miłosierną duszę, że skrócono mu mękę strzałem.

— Więc Sotillo wie... — zaczął Nostromo bardziej opanowanym głosem.

— Wszystko — przerwał doktor.

Capataz, słysząc to, uderzył pięścią w stół.

— Wszystko? Co pan opowiada? Wszystko? Wie wszystko? To niemożliwe! Wszystko?

— Oczywiście. Dlaczego wydaje się to panu niemożliwe? Mówię panu, że byłem przy przesłuchaniu Hirscha wczoraj wieczorem, tu, w tym pokoju! Zna pańskie nazwisko, nazwisko Decouda i wszystkie szczegóły połączone z załadunkiem srebra... Lichtuga została przecięta na pół. Pełzał z nikczemnego strachu przed Sotillem, ale pamiętał to dokładnie. Czegóż pan chce więcej? Najmniej wiedział o sobie samym. Znaleźli go uczepionego do kotwicy. Uczepił się jej zapewne w tej chwili, kiedy lichtuga szła na dno.

— Szła na dno? — powtórzył Nostromo powoli. — Sotillo w to wierzy? *Bueno!*

Doktor, nieco zniecierpliwiony, nie był w stanie pojąć, żeby można było wierzyć w coś innego. Tak jest, Sotillo wierzył, że lichtuga poszła na dno i że *capataz de cargadores* razem z Martinem Decoudem, a może też z paroma innymi zbiegami politycznymi, utonęli.

— Miałem słuszność, *señor doctor* — zauważył na to Nostromo — że Sotillo nie wie wszystkiego.

— Co? Co pan ma na myśli?

— Nie wie, że nie zginąłem.

— My również nie wiedzieliśmy.

— I nie przejmowaliście się tym, żaden z was, *caballeros*, którzy byliście w porcie, nie dbał o los człowieka, człowieka z krwi i kości jak wy, kiedy już wysłaliście go w szaleńcze przedsięwzięcie, które nie mogło skończyć się dobrze.

— Zapomina pan, *capatazie*, że nie byłem w porcie. I że nie pochwalałem tego przedsięwzięcia. Niech mi pan nie wymawia. Mówię panu, że niewiele mieliśmy czasu myśleć o zmarłych. Śmierć czyhała na nas wszystkich. Pana nie było.

— Nie było mnie istotnie — wtrącił Nostromo. — A dlaczego? Niech mi pan powie?

— Ach, to pańska rzecz — odparł doktor szorstko. — Niech mnie pan nie pyta!

Ich przyciszona rozmowa zamarła w ciemności. Siedząc na brzegu stołu, lekko odwróceni od siebie, czuli, że dotykają się ramionami, a ich oczy pozostawały utkwione w stężałej postaci, niemal zanikającej w mrocznej głębi pokoju. W upiornym bezruchu, ze zwieszoną głową i barkami, zdawała się czyhać na każde ich słowo.

— *Muy bien!* — wymruczał w końcu Nostromo. — Niech tak będzie. Teresa miała rację. To moja sprawa.

— Teresa umarła — zauważył doktor z roztargnieniem, gdyż jego myśli podążyły nowym szlakiem pod wpływem faktu, który można było nazwać powrotem Nostromo do życia. — Umarła, biedaczka.

— Bez księdza? — spytał *capataz* z niepokojem.

— Co za pytanie! Któż mógł sprowadzić do niej księdza tej nocy?

— Niech Bóg zmiłuje się nad jej duszą! — wybełkotał Nostromo z posępną i beznadziejną żarliwością. Zanim zdążyła zdziwić doktora Monyghama, *capataz* powrócił już do poprzedniego wątku i mówił dalej złowróżbnym tonem: — *Si, señor doctor*. To moja sprawa, jak pan powiedział. Rozpaczliwa, zaiste, sprawa.

— Nie drugiego człowieka w tej części świata, który by potrafił ocalić się wpław, jak to pan zrobił — rzekł doktor z podziwem.

I znów zaległo między nimi milczenie. Obaj rozmyślali, a odmienność ich natur sprawiała, że ich myśli, poczęte z wzajemnego spotkania, odbiegały daleko od siebie. Doktor, który pod wpływem swej życzliwości dla Gouldów dał się skłonić do niebezpiecznego działania, z wdzięcznością zastanawiał się nad łańcuchem wydarzeń, dzięki któremu *capataz* powrócił do Sulaco. Ten człowiek mógł oddać wielkie usługi w sprawie ocalenia kopalni San Tomé. Doktor przywiązał się do kopalni. W jego pięćdziesięcioletnich oczach przybierała ona postać drobnej kobiety w miękkiej sukni z trenem, z główką ujmująco obciążoną gęstymi zwojami jasnych włosów, kobiety o wrażliwym wnętrzu, drogocennej wartości moralnej, przejawiającej się w każdym jej zachowaniu, kobiety-klejnotu, kobiety-kwiatu. Gdy wokół kopalni San Tomé zaczęły narastać niebezpieczeństwa, złudzenie to nabrało mocy, trwałości i powagi. Opętało go w końcu. To opętanie, rozpłomienione wyrzeczeniem się w duchu zwykłych nadziei i nagrody, uczyniło indywidualność doktora Monyghama, jego myśli i działania nadzwyczaj niebezpiecznymi dla niego samego i dla innych, wszystkie bowiem jego skrupuły zanikły w dumnym poczuciu, iż jego oddanie jest jedyną rzeczą, która stoi pomiędzy uwielbioną kobietę a straszliwym nieszczęściem.

Było to niby jakieś zatrucie, które go czyniło zupełnie obojętnym na los Decouda, ale pozwalało jego umysłowi należycie oceniać jego polityczną ideę. Pomysł był dobry, a Barrios był jedynym narzędziem do jego urzeczywistnienia. Dusza doktora, zwiędła i skurczona od hańby moralnego poniżenia, stała się teraz nieubłagana w wielkim przypływie swej opiekuńczości. Powrót Nostroma był opatrznościowy. Nie myślał o nim z ludzką życzliwością jako o bliźnim, który dopiero co wyrwał się ze szponów śmierci. *Capataz* był dla niego jedynym możliwym człowiekiem, którego można posłać do Cayty. Najodpowiedniejszym człowiekiem. Mizantropijna niewiara doktora w ludzi (tym przykrzejsza, że wypływająca z własnego upadku), nie wydźwignęła go dostatecznie ponad powszechne słabości. Ulegał urokowi ustalonej reputacji. Wysławianej przez kapitana Mitchella, rozdętej przez powtarzanie i utrwalonej w powszechnym przeświadczeniu wierności Nostroma, doktor Monygham nigdy nie podawał w wątpliwość jako faktu. Tym bardziej nie mógł powątpiewać o niej teraz, kiedy rozpaczliwie sam jej potrzebował. Doktor Monygham był człowiekiem jak inni: przyjmował po prostu powszechne przeświadczenie o nieskazitelności *capataza*, ponieważ żadne słowo ani żaden fakt nie zaprzeczały nigdy temu twierdzeniu. Prawość wydawała się cząstką tego człowieka jak jego wąsy lub zęby. Nie można było go sobie bez niej wyobrazić. Chodziło tylko o to, czy podejmie się tego niebezpiecznego i rozpaczliwego poselstwa. Doktor był wystarczająco spostrzegawczy, by zauważyć coś niezwykłego w usposobieniu tego człowieka. Była to zapewne zgryzota z powodu utraty srebra.

„Trzeba mu będzie okazać całkowite zaufanie" — rzekł do siebie, dość przenikliwie wglądając w charakter człowieka, z którym miał do czynienia.

Po stronie Nostroma milczenie było pełne czarnej niepewności, gniewu i niedowierzania. Mimo to przerwał je pierwszy.

— Pływanie nie było wielką rzeczą — przemówił. — Chodzi o to, co było przedtem... i co będzie potem...

Nie skończył tego, co zamierzał powiedzieć, i urwał nagle, jakby jego myśl natknęła się na jakąś potężną przeszkodę. Umysł doktora z makiaweliczną przebiegłością podążał za swym planem. Rzekł z całym współczuciem, na jakie było go stać:

— To fatalne, *capatazie*. Ale nikomu nie przyszło na myśl ganić pana z tego powodu. To bardzo fatalne! Przede wszystkim nie należało wywozić tego skarbu z gór. Ale to Decoud, który... no, już nie żyje. Nie trzeba o nim mówić.

— Nie — przyznał Nostromo, gdy doktor się zawahał — nie trzeba mówić o umarłym. Ale ja jeszcze żyję.

— Ma pan słuszność. Tylko człowiek tak nieustraszony jak pan mógł się ocalić.

W tym doktor Monygham był szczery. Bardzo cenił sobie nieustraszoność tego człowieka, o którym poza tym nie miał wysokiego mniemania, rozczarowany w ogóle do ludzi z powodu pewnych okoliczności, w których zawiodło go własne człowieczeństwo. Zetknąwszy się w okresie swego wykolejenia z wieloma fizycznymi niebezpieczeństwami, zdał sobie dokładnie sprawę z najgroźniejszego czynnika wspólnego im wszystkim: mianowicie z miażdżącego, ubezwładniającego poczucia ludzkiej małości, które jest tym, co w rzeczywistości łamie człowieka zmagającego się z siłami przyrody samotnie, z dala od oczu swych towarzyszy. Był wyjątkowo przygotowany do ocenienia duchowego obrazu, jaki wytworzył sobie o *capatazie*, który po długotrwałym wysiłku i obawach, rzucony nagle w otchłań wód i ciemności, z dala od ziemi i nieba, stawił jej czoło nie tylko z niezmąconym umysłem, lecz także z oczywistym powodzeniem. Wiedziano wprawdzie, iż był on niezrównanym pływakiem, ale doktor był zdania, iż ta okoliczność świadczyła o jeszcze większej nieustraszoności ducha. Podobało się mu to i dobrze wróżyło o powodzeniu trudnej misji, którą miał zamiar powierzyć *capatazowi*, tak cudownym sposobem przywróconemu do stanu użyteczności. Więc tonem lekko zachęcającym zauważył:

— Musiało być straszliwie ciemno!

— To była największa ciemność, jaka kiedykolwiek zalegała zatokę — przytaknął *capataz* zwięźle. Złagodniał, gdyż zdawało mu się, że słowa doktora są oznaką pewnego zainteresowania niebezpieczeństwami, z którymi miał do czynienia, i dorzucił kilka opisowych zdań z udawaną, skąpą niedbałością. Czuł się w tej chwili skłonny do zwierzeń. Oczekiwał kolejnych przejawów tego zainteresowania, które bez względu na to, czy byłyby przyjęte czy odrzucone, przywróciłyby mu jego osobowość, tę jedyną rzecz, którą postradał w tej rozpaczliwej wyprawie. Jednak doktor, pochłonięty swoim własnym desperackim przedsięwzięciem, był okropny, podążając za swymi myślami. Wymknął się mu okrzyk ubolewania:

— Prawie żałuję, że nie zaczął pan krzyczeć i nie dał znaku światłem.

To nieoczekiwane oświadczenie zdumiało *capataza* swoim zimnokrwistym okrucieństwem. Znaczyło ono to samo, co: „Żałuję, że nie okazał się pan tchórzem; żałuję, że nie poderżnięto panu gardła za pańskie trudy". Naturalnie odniósł do siebie to, co było stosowane tylko do srebra i wypowiedziane prosto, z wieloma niedomówionymi zastrzeżeniami. Zdumienie i wściekłość zamknęły mu usta, zaś doktor mówił dalej, niesłuchany w istocie przez Nostroma, któremu wzburzona krew tętniła gwałtownie w uszach.

— Jestem bowiem przekonany, że Sotillo, zawładnąwszy srebrem, byłby zawrócił na miejscu i popłynął do któregoś z małych zagranicznych portów. Pod względem ekonomicznym byłaby to strata, ale większą jest stratą, że srebro zatonęło. Najlepiej było mieć je na podorędziu w jakimś pewnym miejscu i użyć go do przekupienia Sotilla. Ale wątpię, czy don Carlos mógłby się pogodzić z tą myślą. On się nie jest stworzony do Costaguany, to fakt, *capatazie*!

Capataz powściągnął wściekłość, która jak nawałnica zahuczała mu w uszach, w samą porę, by usłyszeć imię don Carlosa. Wydawał się teraz odmienionym człowiekiem, człowiekiem, który przemówił w zadumie łagodnym, równym głosem:

— A czy don Carlos byłby zadowolony, gdybym oddał ten skarb w ręce wroga?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby wszyscy myśleli teraz o tej sprawie w ten sposób — rzekł doktor chmurnie. — Ale nie pytano mnie o zdanie. Decoud miał własny pogląd. Mniemam, iż obecnie oczy im się otwarły. Wiem tylko, iż gdyby teraz to srebro jakimś cudem powróciło na wybrzeże, oddałbym je Sotillowi. I wiem, że przy obecnym stanie rzeczy spotkałbym się za to z uznaniem.

— Powróciło jakimś cudem — powtórzył *capataz* bardzo cicho, po czym podniósł głos. — Zaiste, señor, byłoby to takim cudem, że nie zdołałby go dokonać żaden święty.

— Wierzę panu, *capatazie* — rzekł doktor oschle.

I zaczął roztaczać swój pogląd na niebezpieczny wpływ Sotilla na sytuację. Zaś *capataz*, przysłuchując się jak we śnie, czuł się równie mało znaczący jak ta niewyraźna, nieruchoma sylwetka trupa, który wisiał pod belką, jak gdyby również nadsłuchując, zlekceważony i zapomniany niby okropny przykład zaniedbania.

— Czyż więc zwrócili się do mnie dla jakiegoś nieprzemyślanego, głupiego kaprysu? — przerwał nagle. — Czyż nie uczyniłem dla nich dosyć, żeby się ze mną liczono, *por Dios*? Czy *hombres finos*, jaśnie panowie, myślą tylko tak długo o człowieku z ludu, jak długo gotów jest on dla nich narażać ciało i duszę? A może my nie mamy duszy, jak psy?

— Był również Decoud ze swym planem — przypomniał mu znów doktor.

— *Si!* A także ten bogacz w San Francisko, który ma coś wspólnego z tym skarbem — co ja tam wiem? Nie! Słyszałem już za wiele. Zdaje mi się, że bogaczom wszystko wolno.

— Rozumiem, *capatazie* — zaczął doktor.

— Co za *capataz*? — wtrącił Nostromo mocnym, lecz równym głosem. — *Capataz* przepadł, jest zniszczony. Nie ma *capataza*. O, nie! Nie znajdziecie już *capataza*.

— Niechże pan nie będzie dzieckiem! — upomniał go doktor, zaś on uspokoił się nagle.

— Byłem rzeczywiście jak małe dziecko — mruknął.

Wzrok jego natknął się znów na zwłoki, wiszące w straszliwym znieruchomieniu, jakby bez skargi zakrzepły w wytężonej uwadze, i zapytał z łagodnym zdziwieniem:

— Po co Sotillo torturował tego żałosnego nieszczęśnika? Czy pan wie? Żadna tortura nie mogła być dla niego gorsza od strachu. Zabójstwo mógłbym pojąć. Przykro było patrzeć na jego strach. Ale dlaczego go tak męczył? Przecież on nie mógł już powiedzieć nic więcej.

— Nie; nie mógł już powiedzieć nic więcej. Każdy człowiek o zdrowych zmysłach byłby to zauważył. Powiedział mu wszystko. Ale ja panu powiem, o co chodziło. Sotillo nie chciał wierzyć w to, co on powiedział. Nie we wszystko.

— W co takiego nie chciał wierzyć? Nie rozumiem.

— A ja rozumiem, bo się z nim zetknąłem. Nie chce uwierzyć, że skarb przepadł.

— Co takiego? — zawołał *capataz* zmienionym głosem.

— Czy to pana dziwi, hę?

— Czy mam rozumieć, señor — mówił dalej Nostromo rozważnym i jakby czujnym tonem — że Sotillo sądzi, iż skarb został w jakiś sposób ocalony?

— Nie! Nie! To byłoby niemożliwe — odparł doktor z przekonaniem, na co odezwało się w ciemności chrząknięcie Nostroma. — To byłoby niepodobieństwem! On myśli, iż srebra nie było już na lichtudze, kiedy zatonęła. Wmówił w siebie, iż przedstawienie z wywiezieniem srebra na morze urządzono tylko po to, by wyprowadzić w pole Gamacha wraz z jego gwardzistami, Pedrita Montera, señora Fuentesa, naszego nowego *jéfé politico*, no i jego samego. Ale, powiada, nie jest taki głupi.

— Pomieszały mu się klepki we łbie! To największy dureń, jaki był kiedykolwiek pułkownikiem w tym przeklętym kraju — zżymał się Nostromo.

— Nie jest bardziej nierozumny od wielu rozsądnych ludzi — rzekł doktor. — Wmówił w siebie, że skarb można odnaleźć, ponieważ sam namiętnie pragnie go posiadać. Przy tym obawia się, żeby jego oficerowie go nie porzucili i nie przeszli do Pedrita, z którym nie śmie walczyć, a nie ma odwagi mu zaufać. Czy pojmuje pan to, *capatazie*? Dopóki istnieje bodaj cień nadziei, że ten olbrzymi łup da się odszukać, nie potrzebuje obawiać się dezercji. A uznałem, że w moim interesie jest, żeby tę nadzieję podtrzymywać.

— Uznał pan? — powtórzył *capataz* ostrożnie. — No, to dziwne. A jak długo chciałby ją pan podtrzymać?

— Tak długo, jak tylko się da.

— Co to znaczy?

— Powiem panu dokładnie. Tak długo, póki żyję — odparł doktor zdecydowanym głosem. Następnie przedstawił pokrótce historię swego aresztowania oraz okoliczności, w jakich go uwolniono. — Szedłem właśnie do tego głupiego łajdaka, gdyśmy się spotkali — zakończył.

Nostromo słuchał z głęboką uwagą.

— Uwziął się pan zatem na rychłą śmierć — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Być może, mój znakomity *capatazie* — rzekł doktor zgryźliwie. — Nie jest pan tu jedynym człowiekiem, który umie patrzeć paskudnej śmierci w oczy.

— Niewątpliwie — mruknął Nostromo dość głośno, by mógł być dosłyszany. — Może tu być nawet więcej niż dwóch półgłówków. Kto wie?

— To już moja sprawa — odrzekł doktor krótko.

— Podobnie jak wywiezienie tego przeklętego srebra na morze było moją sprawą — odciął się Nostromo. — Rozumiem. *Bueno*. Każdy z nas ma swoje powody. Ale był pan ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiałem przed wyjazdem, i odzywał się pan do mnie, jakbym nie miał wszystkich klepek w porządku.

Nostroma mierziła zgryźliwość, z jaką doktor natrząsał się z jego rozgłosu. Lekka ironiczne uznanie wyrażane przez Decouda niepokoiło go, a zażyłość z człowiekiem takim jak don Martin mu pochlebiała, podczas gdy doktor był dla niego niczym. Pamiętał go jako bezdomnego włóczęgę, który wałęsał się chyłkiem po ulicach Sulaco, nie mając przyjaciół ani znajomych, zanim don Carlos Gould nie przyjął go do służby w kopalni.

— Jest pan może bardzo mądry — mówił dalej w zamyśleniu, zapatrzony w ciemność pokoju, przeniknięty wstrząsającą tajemnicą torturowanego i uśmierconego Hirscha. — Ale nie jestem już taki głupi, jak kiedy odjeżdżałem. Dowiedziałem się odtąd jednej rzeczy, mianowicie, że jest pan niebezpiecznym człowiekiem.

Doktor Monygham doznał zbyt silnego wstrząsu, by zdobyć się na coś więcej od okrzyku:

— Co pan powiedział?

— Gdyby on mógł mówić, powiedziałby zapewne to samo — ciągnął Nostromo, kiwając swą ciemną głową, która zarysowywała się na tle rozgwieżdżonego nieba za oknem.

— Nie rozumiem pana — odezwał się doktor Monygham słabym głosem.

— Nie? Gdyby nie utwierdził pan Sotilla w jego szalonych przypuszczeniach, może nie pośpieszyłby się tak bardzo z torturowaniem tego nieszczęsnego Hirscha.

Doktor poderwał się na te słowa. Ale poświęcenie dla miłości, pochłaniające całą jego uczuciowość, uczyniło jego serce nieczułym na żal i wyrzuty. By jednak sobie zupełnie ulżyć, czuł potrzebę odparcia zarzutu głośno i pogardliwie:

— Ba! I pan śmie to mówić, gdy chodzi o człowieka takiego jak Sotillo! Przyznaję, że nie pomyślałem o Hirschu. Zresztą, i tak by to nie pomogło. Każdy rozumie, iż ten nieszczęśliwy tchórz był skazany od chwili, kiedy uczepił się kotwicy. Był skazany, powiadam panu! Podobnie jak ja jestem skazany, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

Tak odparł doktor Monygham na uwagę Nostroma, która była dość słuszna, by targnąć jego sumieniem. Nie był człowiekiem zatwardziałym. Ale wobec konieczności, wielkości i znaczenia zadania, które wziął na siebie, nikły wszystkie czysto ludzkie względy. Podjął go się z fanatyzmem. Nie lubił go. Mierziło go okłamywanie i oszukiwanie nawet najpodlejszych ludzi. Mierziło go z instynktu, tradycji, wychowania. Popełniać takie czyny, udając zdrajcę, było odrażające dla jego natury i okropne dla jego uczuć. Zdobył się na to poświęcenie w duchu pokory. Powiedział sobie gorzko: „Tylko ja jeden nadaję się do tej brudnej roboty". I wierzył w to. Prostoduszność jego była tego rodzaju, iż chociaż nie przychodziło mu na myśl szukać bohaterskiej śmierci, to jednak śmiertelne niebezpieczeństwo, na które się narażał, działało na niego podtrzymująco i pokrzepiająco. W tym stanie ducha los Hirscha wydawał się cząstką wszechokrucieństwa porządku rzeczy. Zastanawiał się nad tym epizodem z praktycznego punktu widzenia. Jakie było jego znaczenie? Czy była to oznaka jakiejś niebezpiecznej zmiany w zaślepieniu Sotilla? Doktor nie mógł zrozumieć, dlaczego ten człowiek został zabity w taki właśnie sposób.

— Wszystko rozumiem. Ale dlaczego go zastrzelił? — mruczał do siebie.

Nostromo zachował głębokie milczenie.

ROZDZIAŁ IX

Targany zwątpieniem i nadzieją, zatrwożony hukiem dzwonów, zwiastujących przybycie Pedrita Montery, Sotillo spędził ranek na zmaganiu się z myślami. Była to rozterka, do której nie mógł sprostać z powodu ograniczoności umysłu i gwałtowności uczuć. Rozczarowanie, łapczywość, gniew i trwoga kotłowały się w piersi pułkownika głośniej, niż w mieście rozbrzmiewały dźwięki dzwonów. Nie udawało się nic z tego, co zamierzał. Ani

Sulaco, ani srebro kopalni nie wpadły w jego ręce. Nie dokonał żadnego wojskowego czynu, by zabezpieczyć swoje stanowisko, nie zdobył olbrzymiego łupu, by z nim odpłynąć. Pedrito Montero, który nie był dla niego ani przyjacielem, ani wrogiem, napełniał go grozą. Dźwięki dzwonów przyprawiały go o szaleństwo.

Wyobrażając sobie zrazu, że może zostać od razu zaatakowany, ustawił swój pułk pod bronią na wybrzeżu. Chodził wzdłuż i wszerz po pokoju, od czasu do czasu zatrzymując się, by ogryzać paznokcie prawej ręki, spoglądając posępnie spode łba na posadzkę; po czym w przystępie dzikiej przebiegłości zaczynał się miotać znowu, wodząc dokoła ponurym, odpychającym wzrokiem. Jego kapelusz, szabla, szpicruta i rewolwer leżały na stole. Oficerowie, tłoczący się przy oknie, z którego było widać bramę miejską, spierali się o korzystanie z jego lornetki, kupionej przed rokiem na długoterminowy kredyt u Anzaniego. Przechodziła z rąk do rąk, a jej chwilowy posiadacz nie mógł się opędzić od zaniepokojonych pytań.

— Nie ma nic! Nic nie widać! — powtarzał niecierpliwie.

Rzeczywiście nie było nic widać. Odkąd pikieta, umieszczona w zaroślach opodal Casa Viola, otrzymała rozkaz, by powróciła do głównych sił, żaden ślad życia nie pojawił się na spłachciu zapylonej, jałowej równiny, rozciągającej się między miastem a wodami portu. Jednak pod wieczór dostrzeżono jakiegoś jeźdźca, który wyjechał z bramy i zbliżał się bez lęku. Był to wysłannik señora Fuentesa. Był sam, więc pozwolono mu się przybliżyć. Zsiadłszy z konia przy dużych drzwiach, pozdrowił milczących widzów z wesoło i bezczelnie i prosił, żeby go zaraz zaprowadzono do *muy valiente*[253] pułkownika.

Señor Fuentes, objąwszy urzędowe obowiązki gubernatora, wytężył swe zdolności dyplomatyczne, by opanować zarówno przystań, jak i kopalnię. Człowiek, któremu powierzył układy z Sotillem, był notariuszem; rewolucja zastała go więdnącego w najzwyczajniejszym więzieniu za podrabianie dokumentów. Uwolniony przez motłoch wraz z innymi „ofiarami tyranii *blancos*", pośpieszył zaofiarować swe usługi nowemu rządowi.

Wybrał się z silnym postanowieniem użycia całej potęgi swej gorliwości i wymowy. Zamierzał skłonić Sotilla, żeby przyjechał sam do miasta na konferencję z Pedritem Monterem. Nic nie było bardziej przeciwne zamiarom pułkownika. Na samą myśl, iż mógłby wpaść w ręce słynnego Pedrita, kilkakrotnie dostawał mdłości. Nie mogło o tym być mowy, byłoby to szaleństwem. Ale szaleństwem byłoby również okazać jawną wrogość. Uniemożliwiłoby to systematyczne poszukiwania skarbu, tego bezmiaru srebra, którego obecność, jak mu się zdawało, wyczuwał gdzieś w pobliżu, węszył gdzieś niedaleko.

Ale gdzie? Gdzie, na Boga! Gdzie? Och, czemuż pozwolił odejść temu doktorowi! Jakie palnął głupstwo! Ale nie! To był jedynie słuszny sposób postępowania — rozmyślał zakłopotany, kiedy wysłannik czekał na dole, gawędząc przyjemnie z oficerami. Ten łajdacki doktor powinien by powrócić w własnym, dobrze zrozumianym interesie z pozytywnymi wiadomościami. Ale jeżeli go coś zatrzymało? Na przykład ogólny zakaz wydalania się z miasta! Mogły być patrole!

Pułkownik, chwyciwszy głowę w dłonie, zatoczył się, jakby dotknięty zawrotami głowy. Błysk tchórzliwej intuicji poddał mu wykręt, nieobcy europejskim mężom stanu, gdy chcą odroczyć trudne rokowania. Nie zdejmując butów z ostrogami, wlazł do hamaku z pozbawionym godności pośpiechem. Jego urodziwa twarz pożółkła od ciężaru trosk, kształtny nos się zaostrzył, zuchwałe nozdrza zaklęsły i zmalały. Aksamitny, pieszczotliwy połysk jego pięknych oczu przygasł i uległ jakby rozstrojowi, bowiem te omdlewające oczy o kształcie migdału były teraz przekrwione wskutek złowrogiej bezsenności. Odezwał się do zdumionego wysłannika señora Fuentesa osłabłym, wyczerpanym głosem. Brzmiał on dojmująco chorobliwie spod stosu *ponchos*, które okrywały jego elegancką postać aż po czarne wąsy, nieufryzowane, obwisłe na znak cielesnej niemocy i umysłowego bezwładu. Gorączka, ciężka gorączka nawiedziła *muy valiente* pułkownika. Dziki wyraz twarzy, spowodowany skurczami kolki, która dopadła go znienacka, i szczękanie zębów, wywołane tłumionym dreszczem, wyglądały na tak prawdziwe objawy, iż wysłannik nie oparł się wrażeniu. Było to przeziębienie. Pułkownik oświadczył, że czuje się niezdolny myśleć, słuchać i mówić. Jak gdyby z nadludzkim wysiłkiem wystękał, iż nie może dać stosownej odpowiedzi ani też wykonać żadnego rozkazu jego ekscelencji. Za to

[253] *muy valiente* (hiszp.) — bardzo odważny. [przypis edytorski]

jutro! Jutro! Ach, jutro! Niechaj jego ekscelencja don Pedro się nie martwi. Dzielny pułk z Esmeraldy dzierży przystań... dzierży... I zamknąwszy oczy, taczał swą obolałą głowę, jak na wpół majaczący chory, podczas kiedy wysłannik przyglądał mu się pod badawczo i musiał się pochylać nad hamakiem, żeby dosłyszeć urywane i wymęczone słowa. Jednak pułkownik Sotillo ma nadzieję, iż ludzkie uczucia jego ekscelencji pozwolą doktorowi, angielskiemu doktorowi, opuścić miasto ze szkatułką cudzoziemskich leków, żeby wziął go w swą lekarską opiekę. Prosił gorąco jego wielmożność swego gościa, *caballera*, żeby mijając Casa Gould, zechciał wstąpić i zawiadomić angielskiego doktora, który zapewne tam przebywa, iż pułkownik Sotillo leży obłożnie chory w Urzędzie Celnym i potrzebuje niezwłocznie jego pomocy lekarskiej. Nieodzownie. Wzywa go się jak najusilniej. Oczekuje z największą niecierpliwością. Stokrotne dzięki. Zamknął oczy z niewymownym znużeniem i nie otworzył ich ponownie, leżąc bez uczucia, głucho, niemo, nieruchomo, skołatany, złamany, zmiażdżony, unicestwiony przez okrutną niemoc.

Ale gdy tylko nieproszony gość zamknął za sobą drzwi, pułkownik zerwał się, zamachnąwszy obiema nogami w odmęcie wełnianych okryć. Ostrogi uwikłały mu się w zwoje *ponchos*, które zakrywały go niemal z głową, więc odzyskał równowagę dopiero na środku pokoju. Ukryty za uchyloną do połowy okiennicą, nadsłuchiwał, co będzie działo się na dole.

Wysłannik wsiadł już na konia i zwracając się do zasępionych oficerów, którzy stali przy drzwiach wejściowych, uchylił grzecznie kapelusza.

— *Caballeros* — rzekł donośnym głosem — niecha mi będzie wolno polecić najtroskliwszej opiece panów waszego pułkownika. Było dla mnie radością i zaszczytem poznać panów. Tworzycie wspaniałe grono ludzi, którzy hołdują rycerskiej cnocie cierpliwości na tej wysuniętej placówce, gdzie jest tak wiele słońca, a o wodzie nie ma mowy, gdy tymczasem miasto pełne jest wina i wdzięków kobiecych i czeka z otwartymi ramionami, żeby was przygarnąć do swego łona za waszą waleczność. *Caballeros*, mam zaszczyt pożegnać panów. Sulaco będzie tańczyło na zabój dzisiejszego wieczora. Do widzenia.

Ale powściągnął konia i przechylił głowę na bok, widząc, iż stary major wystąpił naprzód, wysoki i chudy, w długim, obcisłym płaszczu do kostek, w którym wyglądał jak pokrowiec ze zwiniętym wokół drzewca sztandarem pułkowym.

Inteligentny, stary wojownik, wypowiedziawszy na wstępie dogmatyczne twierdzenie, iż „świat jest pełen zdrajców", zaczął wygłaszać z namysłem panegiryk na cześć Sotilla. Z rozwlekłą napuszonością wyposażał go we wszystkie możliwe zalety, streszczając je w niedorzecznym powiedzeniu, utartym wśród miejscowego pospólstwa (zwłaszcza w okolicy Esmeraldy).

— Jest to — zakończył, podnosząc nagle głos — człowiek o wielu zębach, *hombre de muchos dientes. Si, señor*. Jeżeli zaś chodzi o nas — dorzucił ze złowieszczym naciskiem — to wasza wielmożność widzi przed sobą najznakomitsze grono oficerskie z całej republiki, mężów nieporównanej mądrości i męstwa, *y hombres de muchos dientes*.

— Jak to? Wszyscy? — zagadnął szubrawy wysłannik señora Fuentesa z nikłym, drwiącym uśmieszkiem.

— *Todos. Si, señor* — potwierdził major poważnie i z przekonaniem. — Ludzie o wielu zębach.

Przybysz obrócił konia w stronę bramy podobnej do wysokich wrót nędznej stodoły. Podźwignął się w strzemionach i wyciągnął ramię. Był to krotochwilny hultaj, który dla tych głupich mieszkańców Zachodniej Prowincji odczuwał głęboką wzgardę, wrodzoną ludziom pochodzącym z centralnej części republiki. Zwłaszcza głupota tych esmeraldczyków dodała bodźca jego rozbawionemu lekceważeniu. Z uroczystym wyrazem twarzy rozpoczął przemówienie na cześć Pedrita Montero. Wymachiwał ręką, chcąc skupić na sobie ich uwagę. Kiedy zaś spostrzegł, iż wszystkie oczy zawisły na jego ustach, zaczął wykrzykiwać jakby katalog wszelkich doskonałości: „Wielkoduszny, waleczny, ludzki, głęboki — wywijał entuzjastycznie kapeluszem — mąż stanu, niezwyciężony wódz powstańców... — Po czym zaskakująco obniżył głos i nadając mu głębokie, głuche brzmienie, zakończył: — i dentysta".

W okamgnieniu odjechał na znaczną odległość; sztywno rozkraczone nogi, zwrócone na zewnątrz stopy, wyprostowany grzbiet, łobuzersko przekrzywione sombrero, nieru-

chome ramiona — wszystko to wyrażało bezgraniczny, wręcz przejmujący zgrozą bezwstyd.

Na górze, za niedomkniętą okiennicą, Sotillo stał czas jakiś nieruchomo. Zuchwalstwo tego hultaja przeraziło go. Co powiedzą na to jego oficerowie stojący na dole? Nie mówili nic. Zupełne milczenie. Zadygotał. Nie tak sobie wyobrażał tę wyprawę. Widział siebie w roli triumfującego, niekwestionowanego, zaspokojonego bożyszcza żołnierzy, rozważającego w skrytości swego zadowolenia rozkoszna alternatywy władzy i bogactwa. Niestety! Stało się inaczej! Rozstrojony, niespokojny, ubezwładniony, trawiony ogniem wściekłości lub zlodowaciały od grozy, czuł, że ze wszystkich pełznie ku niemu stron przerażenie bezdenne jak morze. Ten łotr, doktor, miał nadejść i udzielić mu informacji. To jasne. Ale opuszczony, nie będzie miał z nich pożytku. Nie będzie mógł z nimi nic zrobić. Przekleństwo! Doktor nigdy nie wyjdzie z miasta! Prawdopodobnie już go aresztowano i wrzucono do więzienia razem z don Carlosem. Zaśmiał się na całe gardło jak szalony. Ha! ha! ha! ha! To Pedrito Montero zdobędzie te informacje. Ha! ha! ha! ha! — srebro też. Ha!

Śmiejąc się tak, znieruchomiał naraz i umilkł, jakby skamieniał. On także miał jeńca. Jeńca, który musi, musi znać całą prawdę. Trzeba go zmusić do mówienia. I Sotillo, który ani na chwilę nie zapominał całkiem o Hirschu, doznał niepojętej rozterki na myśl, iż trzeba będzie chwycić się ostateczności.

Doznał rozterki, cząstki tej bezdennej grozy, która pełzła ku niemu ze wszystkich stron. Przypomniał sobie z odrazą rozszerzone źrenice handlarza skór, jego miotanie się, głośny szloch i zaklęcia. Nie było to współczucie czy bodaj tylko nerwowe przeczulenie. Faktem jest, że jakkolwiek Sotillo ani przez chwilę nie wierzył w jego opowiadanie — nie mógł w nie uwierzyć, bo któż by uwierzył w takie brednie? — to jednak niemile raziły go akcenty rozpaczliwej prawdy. Robiło mu się od nich mdło. Nasuwało się mu również podejrzenie, że ten człowiek mógł zwariować ze strachu. Wypytywanie wariata to sprawa beznadziejna. Ba! Udawanie. Nic tylko udawanie! Będzie wiedział, jak sobie z nim poradzić.

Zapamiętał się w rozdrażnieniu do ostatecznej dzikości. Zmrużył lekko swe piękne oczy. Klasnął w dłonie. Bosonogi ordynans wszedł bezszelestnie. Był to kapral z bagnetem u pasa i kijem w ręce.

Pułkownik wydał rozkaz i wkrótce nieszczęsny Hirsch, popychany przez kilku żołnierzy, zastał go, rozpartego groźnie w wielkim fotelu, z rozstawionymi kolanami, podpierającego się pod boki, władczego, majestatycznego, nieodpartego, wyniosłego, dostojnego, straszliwego.

Hirschowi związano ręce na plecach i wtrącono go przemocą do jednego z mniejszych pokoi. Zdawało się, iż zapomniano o nim, gdyż długo leżał nieprzytomny na podłodze. Z tego osamotnienia, pełnego rozpaczy i grozy, wyrwano go, bezlitośnie kopiąc i bijąc. Był ogłupiały i bierny. Słuchał gróźb i napomnień, po czym odpowiadał na pytania w zwykły sobie sposób, z brodą spuszczoną na piersi i rękami związanymi na plecach, słaniając się nieco przed Sotillem i nie podnosząc na niego oczu. Kiedy zmuszono go do podźwignięcia głowy, przykładając mu ostrze bagnetu pod brodę, jego oczy miały puste, obłąkańcze spojrzenie, a krople potu, wielkie jak groch, spływały po brudnej, posiniaczonej i pokaleczonej skórze jego bladej twarzy. Aż nagle przestały spływać.

Sotillo spoglądał na niego w milczeniu.

— Przestaniesz się upierać, łotrze? — zapytał.

Już rzemień, którego jeden koniec krępował przeguby señora Hirscha, przerzucono przez belkę, już czekali trzej żołnierze, którzy trzymali jego drugi koniec. Nie odpowiedział. Jego gruba dolna warga obwisła jak u głupka. Sotillo dał znak. Hirsch stracił oparcie pod nogami. Wrzask śmiertelnej rozpaczy przeleciał przez pokój, wypełnił korytarze wielkiego budynku i targnął powietrzem na zewnątrz. Wszyscy żołnierze obozujący na wybrzeżu podnieśli oczy do okien. Kilku oficerów, którzy gawędzili z podnieceniem w sieni, zerwało się z miejsca, błyskając oczyma. Inni zacięli usta i utkwili ponure spojrzenia w podłogę.

Sotillo wyszedł z pokoju, a za nim żołnierze. Wartownik stojący na podeście sprezentował broń. Hirsch pozostał sam, krzycząc za niedomkniętymi okiennicami, przez które blask słoneczny, odbity od wód portu, falował rozedrganym chybotaniem światła wy-

soko na ścianie. Skowytał z uniesionymi w górę brwiami i szeroko rozwartymi ustami, niewiarygodnie wielką gębą, czarną, potworną, najeżoną zębami, niemal komiczną.

W nieruchomym, rozżarzonym powietrzu bezwietrznego popołudnia odgłosy jego konania docierały aż do biur Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Kapitan Mitchell, który wyszedł na balkon, by zorientować się, co się dzieje, słyszał go słabo, lecz wyraźnie. Ten nikły, przerażający dźwięk drgał mu w uszach, gdy uciekał z balkonu z pobladłymi policzkami. Tego popołudnia spędzał go z balkonu jeszcze kilkakrotnie.

Sotillo, zły i rozdrażniony, chodził niespokojnie, naradzał się z oficerami, wydawał sprzeczne rozkazy przenikliwym krzykiem, który rozlegał się donośnie w opustoszałym budynku. Od czasu do czasu zapadała przewlekła, złowroga cisza. Kilkakrotnie wchodził do pokoju tortur, gdzie leżały na stole jego szabla, szpicruta, rewolwer i lorneta, by zapytać z wymuszonym spokojem:

— Cóż, powiesz teraz prawdę? Nie? Poczekam.

Ale nie nie mógł już dłużej czekać. Na tym to polegało. Ilekroć wchodził i wychodził, trzaskając drzwiami, wartownik na podeście prezentował broń i otrzymywał w zamian gniewne, jadowite, błędne spojrzenie, które w rzeczywistości nie widziało niczego, będąc tylko odbiciem duszy, duszy pełnej posępnej nienawiści, chwiejności, chciwości i wściekłości.

Słońce już zaszło, gdy wszedł raz jeszcze. Żołnierz wniósł dwie zapalone świece i wymknął się chyłkiem, bezgłośnie zamykając drzwi.

— Gadaj, ty, żydowski diabelski pomiocie! Srebro! Srebro, mówię! Gdzie ono jest? Gdzieście je ukryli, cudzoziemskie łotry? Gadaj albo...

Lekkie drżenie przebiegło po napiętym rzemieniu od udręczonych członków, ale ciało señora Hirscha, przedsiębiorczego kupca z Esmeraldy, wisiało pod potężną belką pionowo i cicho, zwracając się do pułkownika żałosną twarzą. Napływało nocne powietrze, ochłodzone przez śniegach Sierry, i stopniowo odświeżało rozkosznie pokój, pełen gorącego zaduchu.

— Mów, złodzieju, łajdaku, *picaro*[254]... albo...

Sotillo chwycił szpicrutę i stał z podniesionym ramieniem. Czuł, iż za jedno słowo, za jedno malutkie słówko, byłby ukląkł, pokłonił się, czołgał przed ospałym, przytomnym spojrzeniem tych nieruchomych gałek ocznych, wychodzących z orbit w wynędzniałej, rozczochranej głowie, która opadła w milczeniu z krzywo zamkniętymi ustami. Pułkownik zazgrzytał zębami i uderzył. Rzemień zakołysał leniwie pod ciosem, jak długi sznur wahadła wytrąconego z bezwładu. Ale wahnięcie nie udzieliło się ciału señora Hirscha, znanego na wybrzeżu handlarza skór. Kurczowym wysiłkiem spętanych ramion podskoczyło w górę na kilka cali, skręcając się jak ryba na końcu wędki. Głowa señora Hirscha opadła w tył, napinając szyję, broda zadygotała. Klekot jego szczękających zębów rozległ się na chwilę w wielkim, mrocznym pokoju, gdzie świece tworzyły jasne plamy dokoła dwu płomieni jarzących się obok siebie. I kiedy Sotillo, nie opuszczając ręki, czekał na odpowiedź, Hirsch wyszczerzył zęby i z nagłym podrzutem wykręconych ramion plunął mu gwałtownie w twarz.

Podniesiona szpicruta opadła i pułkownik odskoczył wstecz z lekkim okrzykiem przerażenia, jakby pokropiony wytryskiem zabójczej trucizny. Ruchem szybkim jak myśl chwycił rewolwer i dwukrotnie wystrzelił. Huk i wstrząs wystrzałów natychmiast przeistoczył jego niepohamowaną wściekłość w idiotyczne osłupienie. Stał z obwisłą szczęką i znieruchomiałymi oczyma. Co on narobił, *sangre de Dios*[255]? Co on narobił? Przeraził się swoim popędliwym czynem, który zamknął na wieki usta, z których tak wiele można było wymusić. Co on powie? Jak się wytłumaczy? Przemknęła mu przez głowę myśl o ucieczce na złamanie karku, gdziekolwiek. Tchórzostwo podsunęło mu nawet nędzny i niedorzeczny zamiar ukrycia się pod stołem. Było już za późno. Oficerowie wtargnęli hałaśliwie, szczękając pochwami od szabel, z głośnymi okrzykami ciekawości i zdumienia. Ponieważ jednak nie zatopili od razu szabel w jego piersi, bezczelność jego charakteru przejęła kontrolę. Wyprostował się, ocierając twarz rękawem munduru. Jego surowe spojrzenie krążyło powoli od jednego do drugiego oficera, tłumiąc zgiełk. Sztywne ciało

[254] *picaro* (hiszp.) — łotr, szelma. [przypis edytorski]

[255] *sangre de Dios* (hiszp.) — na krew Boga! [przypis edytorski]

nieboszczyka señora Hirscha, zakołysawszy się nieznacznie, wykonało pół obrotu i znieruchomiało wśród szmeru grozy i niespokojnego szurania nogami.

Ktoś zauważył głośno:

— Patrzcie na człowieka, który już nigdy nie przemówi!

Zaś inny głos, dolatujący z tylnego rzędu, wykrzyknął bojaźliwie, ale natarczywie:

— Dlaczego pan go zabił, *mi colonel*?

— Ponieważ wyznał wszystko — odparł Sotillo z zuchwalstwem rozpaczy. Czuł się zapędzony do narożnika. Uciekł się do tej bezczelności, korzystając ze swej reputacji, i całkowicie mu się powiodło. Jego słuchacze uważali go za zdolnego do takiego czynu. Byli skłonni wierzyć w każdą pochlebną bajkę. Nie ma łatwowierności tak pochopnej i ślepej jak łatwowierność chciwości, która na ogół jest miarą nędzy moralnej i umysłowego upadku ludzkości. Ach, więc wyznał wszystko ten pokraczny Żyd, ten *bribon*[256]! To dobrze. Był już więc niepotrzebny. Nagle usłyszano wybuch głośnego, rubasznego śmiechu señora kapitana, człowieka o wielkiej głowie z małymi krągłymi oczkami i potwornie opasłymi policzkami, które nigdy nie drgały. Stary major, wysoki i przeraźliwie obdarty niby jakieś strach na wróble, krążył dokoła zwłok nieboszczyka Hirscha i pomrukiwał do siebie z niezmiernym zadowoleniem, że teraz trzeba nie będzie strzec się zdrady tego łajdaka. Inni gapili się, przestępując z nogi na nogę i zwierzając się sobie urywanym szeptem ze swych spostrzeżeń.

Sotillo przypasał swą szablę i wydał krótki, stanowczy rozkaz, by pośpieszono się z odwrotem, uchwalonym po południu. Złowrogi, przygnębiony, z sombrerem wciśniętym na oczy, wyszedł pierwszy za drzwi w takiej rozterce ducha, iż zapomniał zupełnie uprzedzić o możliwym powrocie doktora Monyghama. Oficerowie podążyli za nim gromadnie; jeden czy dwu obejrzało się przelotnie na nieboszczyka señora Hirscha, kupca z Esmeraldy, który zakołysał się sztywno i pozostał sam z dwiema zapalonymi świecami. W pustym pokoju padający na ścianę gęsty cień głowy i ramion dawał pozory życia.

Na dole żołnierze ustawili się w milczeniu i ruszyli kompaniami, bez bębnów i trąbek. Stary major, strach na wróble, dowodził strażą tylną. Jednak żołnierze, których pozostawił z rozkazem, by podłożyli ogień pod Urząd Celny (i „spalili ścierwo tego zdrajcy, żyda, który tam wisi"), zawiedli z pośpiechu i nie poczekali, aż schody zajmą się płomieniem. Zwłoki nieboszczyka señora Hirscha jakiś czas przebywały samotnie w posępnym, pustym, niewykończonym budynku, rozbrzmiewającym upiornie nagłymi trzaskami i skrzypieniami drzwi i klamek, szelestami podartych papierów i rozełkanymi westchnieniami wiatru, które za każdym podmuchem rozlegały się pod wysokim dachem.

Światło dwóch świec, palących się przed pionowym, wiszącym bez tchu nieruchomym ciałem nieboszczyka señora Hirscha, rzucało odblask na ląd i na morze, jak sygnał wśród nocy. Tak trup ten doczekał się chwili, kiedy przeraził Nostroma swą obecnością i wprawił w zakłopotanie doktora Monyghama tajemnicą swego okrutnego zgonu.

— Ale dlaczego go zastrzelił? — spytał znów doktor sam siebie półgłosem.

Tym razem odpowiedział mu oschły śmiech Nostroma.

— Pan, zdaje się, bardzo się przejmuje zupełnie naturalną rzeczą, *señor doctor*. To mnie dziwi. Jest bardzo prawdopodobne, iż wkrótce jednego po drugim każe nas rozstrzelać jeżeli nie Sotillo, to Pedrito, Fuentes lub Gamacho. A możemy nawet — *quien sabe?* — trafić na tortury, dzięki pańskiej dowcipnej bajeczce o srebrze, którą pan wbił pan do głowy Sotillowi.

— Już to miał w głowie — zapierał się doktor. — Ja tylko...

— Tak. A pan tylko tak mu to w głowie przygwoździł, że sam diabeł...

— O to mi właśnie chodziło — podchwycił doktor.

— Więc o to panu chodziło? *Bueno*. Jest, jak powiedziałem. Niebezpieczny z pana człowiek!

Ich głosy, które nie podnosząc się, zaczęły się stawać kłótliwe, nagle umilkły. Nieboszczyk señor Hirsch, którego sztywna sylwetka majaczyła ciemnym kształtem na tle gwiazd, zdawał się czekać uważnie, w bezstronnym milczeniu.

Ale doktor Monygham nie szukał zatargu z Nostromem. W tym ostatecznym zachwianiu się pomyślności Sulaco uświadomił sobie wreszcie, że ten człowiek był istotnie

[256] *bribon* (hiszp.) — oszust, łajdak. [przypis edytorski]

niezbędny, niezbędniejszy, niżli mogło pojąć zaślepienie kapitana Mitchella, jego chełpliwego odkrywcy, niżli zdołała kiedykolwiek określić najudatniejsza, oschła kpina Decouda o „moim znakomitym przyjacielu, jedynym *capatazie de cargadores*". Ten człowiek był istotnie jedyny. Nie był „jednym z tysiąca". Był bezwarunkowo wyjątkowy. Doktor uległ. W geniuszu tego genueńskiego marynarza było coś, co potrafiło panować nad losami wielkich przedsiębiorstw i wielu ludzi, losem Charlesa Goulda i dolą uwielbionej kobiety. Na myśl o niej doktor musiał odchrząknąć, żeby móc przemówić.

Zupełnie zmienionym tonem zaczął wyłuszczać *capatazowi*, iż przede wszystkim nie grozi mu większe niebezpieczeństwo. Dotychczas wszyscy są przekonani, że nie żyje. Jest to okoliczność nadzwyczaj korzystna. Powinien by tylko schować się przed ludzkim wzrokiem w Casa Viola, gdzie, jak powszechnie wiadomo, przebywa tylko stary Garibaldino ze zwłokami swojej zmarłej żony. Cała służba się rozpierzchła. Nikomu nie przyjdzie na myśl go tam szukać, czy zresztą gdziekolwiek indziej.

— Byłoby to najzupełniejszą prawdą — odparł gorzko Nostromo — gdybym pana nie spotkał.

Doktor zamilkł na jakiś czas.

— Czy chce pan przez powiedzieć, iż przypuszcza pan, że mógłbym pana wydać? — zapytał niepewnym głosem. — Dlaczego? Dlaczego miałbym to robić?

— Czy ja wiem? Czemużby nie? Może, by zyskać choć jeden dzień na czasie. Sotillo potrzebowałby jednego dnia, by wziąć mnie na tortury lub zastosować jeszcze coś innego, zanimby mi wpakował kulę w serce, jak temu biedakowi. Czemużby nie?

Doktor przełykał z trudnością. Gardło wyschło mu w okamgnieniu. Ale nie z oburzenia. Doktor był do tego stopnia żałosny, iż mniemał, że utracił prawo oburzania się na kogokolwiek i za cokolwiek. Po prostu się przestraszył. Czyżby ten marynarz usłyszał przypadkiem jego historię? Gdyby tak było, to skończyłaby się jego użyteczność w tym zakresie. Niezmazana hańba, która czyniła go zdolnym do brudnej roboty, spowodowałaby, że ten niezbędny człowiek wymknąłby się spod jego wpływu. Doktor poczuł coś w rodzaju mdłości. Oddałby wszystko, żeby zyskać pewność, ale nie śmiał pytać o wyjaśnienia. Fanatyzm jego ofiarnego oddania, karmiony poczuciem poniżenia, opancerzył jego serce smutkiem i wzgardą.

— Rzeczywiście, czemużby nie? — zawtórował z przekąsem. — Byłoby więc najbezpieczniej, żeby pan zabił mnie na miejscu. Co prawda, mógłbym się bronić. Ale pan już wie zapewne, że nie zwykłem nosić przy sobie broni.

— *Por Dios!* — sarknął *capataz* porywczo. — Wy, panowie, wszyscy jesteście jednacy. Wszyscy niebezpieczni. Wszyscy zdrajcy biedaków, którzy są waszymi psami.

— Pan mnie nie rozumie — zaczął doktor z wolna.

— Rozumiem was wszystkich! — krzyknął Nostromo z gwałtownym ruchem, który dla oczu doktora był równie mało dostrzegalny jak uparta nieruchomość nieboszczyka señora Hirscha. — Biedak w waszym otoczeniu musi się sam o siebie troszczyć. Powtarzam, iż nie dbacie o ludzi, którzy wam służą. Niech pan spojrzy na mnie! Po tylu latach znalazłem się nagle w położeniu psa, który warczy tam, na dworze, nie mając ani budy, ani bodaj ogryzionej kości w zębach. *Caramba!* — Powściągnął się jednak z pogardliwą łagodnością. — Oczywiście — mówił dalej spokojnie — nie przypuszczam, żeby pan miał natychmiast wydać mnie w ręce Sotilla. To nie o to chodzi. To chodzi o to, że jestem niczym. Tak nagle! — Opuścił ręce. — Niczym dla ludzi — powtórzył.

Doktor odetchnął swobodnie.

— Niech no pan posłucha, *capatazie*! — rzekł wyciągając niemal serdecznie rękę ku ramieniu Nostroma. — Powiem panu rzecz bardzo prostą. Może pan być spokojny o siebie, bo jest pan potrzebny. Nie zdradziłbym pana za nic w świecie, ponieważ pana potrzebuję.

Nostromo zagryzł w ciemności usta. Już dosyć się tego nasłuchał. Wiedział, co to znaczy. Miał już tego wszystkiego wyżej uszu. Ale sądził, iż powinien teraz pomyśleć o sobie. I zdawało mu się również, iż nie byłoby rozsądnie rozejść się w niezgodzie ze swym towarzyszem. Doktor, którego podejrzewał o obłudę, miał wśród ludności Sulaco opinię niedobrego człowieka. Opierała się ona na jego zewnętrznym wyglądzie, rażącym niezwykłością, oraz na jego szorstkim i ironicznym sposobie bycie. Były to widoczne,

namacalne i nieodparte dowody złośliwego charakteru doktora. A Nostromo pochodził z ludu. Chrząknął więc tylko z niedowierzaniem.

— Mówiąc otwarcie, jest pan jedynym człowiekiem — mówił dalej doktor — w którego mocy jest ocalić to miasto i... wszystkich, przed niszczycielską drapieżnością ludzi, którzy...

— Nie, señor — odezwał się Nostromo z przekąsem. — Nie jest w mojej mocy odzyskać dla pana skarb, żeby go pan oddał Sotillowi, Monterowi czy Gamachowi. Czy ja wiem?...

— Nikt nie oczekuje rzeczy niemożliwych — brzmiała odpowiedź.

— Sam pan powiedział: „nikt" — mruknął Nostromo niechętnym, groźnym tonem.

Ale doktor Monygham, pełen otuchy, nie zwracał uwagi na te zagadkowe słowa i zawartą w nich pogróżkę. Ich oczom, przyzwyczajonym już do ciemności, nieboszczyk señor Hirsch zaczął zarysowywać się wyraźniej i zdawał się do nich zbliżać. Toteż doktor przyciszył głos, zaczynając ujawniać swój plan, jakby obawiał się, że może być podsłuchany.

Darzył niezbędnego dla siebie człowieka pełnym zaufaniem. Zawarte w jego słowach pochlebstwa oraz sugestie wielkich niebezpieczeństw zabrzmiały w uchu *capataza* znajomym dźwiękiem. Jego umysł, pławiący się w niepewności i niezadowoleniu, rozpoznał je z goryczą. Rozumiał doskonale, dlaczego doktor pragnie ocalić kopalnię San Tomé od zniszczenia. Bez niej był niczym. To było w jego interesie. Podobnie jak w interesie señora Decouda, *blancos* i Europejczyków było przeciągnąć jego *cargadorów* na swą stronę. Jego myśl zatrzymała się na Decoudzie. Co z nim się stało?

Przeciągające się milczenie Nostroma zaczęło niepokoić doktora. Zwrócił mu uwagę, całkiem zbytecznie, iż jakkolwiek na razie jest bezpieczny, to nie może bez końca żyć w ukryciu. Miał do wyboru albo podjąć się poselstwa do Barriosa, narażając się na trudy i niebezpieczeństwa, albo opuścić ukradkiem Sulaco w ubóstwie i bez chwały.

— Nikt z pańskich przyjaciół nie może teraz pana wynagrodzić ani ochraniać. Nawet sam don Carlos.

— Nie dbam o waszą opiekę ani o wasze nagrody. Chciałbym tylko, żeby można polegać na waszej odwadze i waszym rozsądku. Jeśli, jak pan powiada, powrócę w triumfie z Barriosem, mogę zastać wszystkich was martwych. Macie w tej chwili nóż na gardle.

Teraz z kolei zamilkł doktor, pogrążywszy się w rozmyślaniach nad okropnymi możliwościami.

— Cóż, ufamy pańskiej odwadze i pańskiemu rozsądkowi. Pan również ma nóż na gardle.

— Ach! A komuż to zawdzięczam? Czym jest dla mnie wasza polityka i wasze kopalnie, wasze srebro i wasze konstytucje, ten wasz don Carlos i don José, który...

— Nie wiem — wybuchnął doktor zrozpaczony. — Chodzi o narażonych na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi, których mały palec więcej jest wart niż pan czy ja i wszyscy ribierzyści razem wzięci. Nie wiem! Powinien pan sam siebie zapytać, zanim dał się pan uwikłać w te sprawy Decoudowi. Powinien pan się zastanowić jak mężczyzna, a jeżeli pan się nie zastanowił, to niech pan teraz stara się działać jak mężczyzna. Czy pan sądzi, że Decoud bardzo się troszczył o to, co się z panem stanie?

— Nie bardziej niż teraz pan troszczy się o to, co się ze mną stanie — mruknął marynarz.

— Nie! O to, co pana czeka, troszczę się równie mało, jak o to, co czeka mnie samego.

— I to dlatego, że pan jest takim zapalonym ribierzystą? — zagadnął Nostromo z niedowierzaniem.

— Właśnie dlatego, że jestem takim zapamiętałym ribierzystą — powtórzył doktor Monygham gorzko.

I znów, patrząc w roztargnieniu na ciało señora Hirscha, Nostromo zamilkł, rozmyślając, iż doktor jest człowiekiem niebezpiecznym w więcej niż jednym znaczeniu. Niepodobna było mu ufać.

— Czy pan mówi w imieniu don Carlosa? — zapytał w końcu.

— Tak jest — odparł doktor głośno i bez wahania. — On teraz musi wystąpić. Musi... — dodał coś szeptem, którego Nostromo nie dosłyszał.

— Co pan mówi, señor?

Doktor drgnął.

— Mówię, że powinien pan pozostać wiernym sobie, *capatazie*. Zawieść obecnie byłoby rzeczą gorszą od szaleństwa.

— Pozostać wiernym sobie? — powtórzył Nostromo. — A skąd pan wie, czy nie byłbym wierny sobie, gdybym odesłał pana do diabła z pańskimi propozycjami?

— Nie wiem. Być może, iż ma pan ten zamiar — odpowiedział doktor szorstko, chcąc ukryć przygnębienie i załamanie się głosu. — Wiem tylko, iż lepiej by pan zrobił, gdyby się pan stąd oddalił. Mogą tu przyjść ludzie Sotilla, szukając mnie.

Odsunął się od stołu, nadsłuchując bacznie. *Capataz* powstał również.

— A gdybym pojechał do Cayty, to co by pan tymczasem robił? — zagadnął.

— Poszedłbym zaraz do Sotilla, gdy tylko by pan wyjechał, w sposób, który obmyśliłem.

— Doskonały sposób, jeżeli tylko naczelny inżynier na niego się zgodzi. A niech mu pan przypomni, że to ja opiekowałem się starym, bogatym Anglikiem, który płaci za kolej, i że ocaliłem od śmierci kilku jego ludzi, gdy szajka złodziei nadciągnęła z południa, by napaść jeden z jego pociągów. To ja z narażeniem życia odkryłem wszystko, udając, że gotów jestem z nimi współpracować. Jota w jotę tak samo, jak pan postępuje z Sotillem.

— No, tak. Rozumie się. Ale mam dla niego lepsze argumenty — rzekł doktor pospiesznie. — Niech mi pan to pozostawi.

— Ach, oczywiście! To prawda. Jestem niczym.

— Bynajmniej. Jest pan wszystkim.

Podeszli do drzwi. Nieboszczyk señor Hirsch pozostał za nimi w nieruchomej postawie lekceważonego człowieka.

— Będzie wszystko dobrze. Wiem, co powiedzieć inżynierowi — mówił dalej doktor półgłosem. — Trudniej mi pójdzie ze Sotillem.

I doktor Monygham zatrzymał się na chwilę w drzwiach, jak gdyby wystraszony tą trudnością. Uczynił już ofiarę ze swego życia, kiedy uznał, że zdarzyła się odpowiednia sposobność. Ale nie chciał go tracić zbyt wcześnie. Udając, że zdradził zaufanie don Carlosa, będzie w końcu musiał wskazać miejsce, gdzie ukryto skarb. Będzie to koniec jego podstępów i koniec jego samego w szponach rozwścieczonego pułkownika. Chodziło o to, by przewlekać i utrzymywać go w niepewności do ostatniej chwili. łamał więc sobie głowę nad wymyśleniem kryjówki, która by miała pozory prawdopodobieństwa i zarazem była trudno dostępna.

Zwierzył się ze swej troski Nostromowi i dorzucił:

— Wie pan co, *capatazie*? Myślę, że kiedy nadejdzie stosowna chwila i trzeba będzie wskazać jakieś miejsce, wymienię Wielką Izabelę. Nie mogę wymyślić nic lepszego. Co się stało?

Przytłumiony okrzyk wydarł się z ust Nostroma. Doktor czekał, zdumiony. Po chwili głębokiego milczenia usłyszał słowa:

— Kompletna głupota — wypowiedziane głuchym głosem i zakończone westchnieniem.

— Dlaczego głupota?

— Ach, czy pan tego nie pojmuje? — zaczął Nostromo ze zjadliwością i rosnącą wzgardą. — Trzech ludzi w pół godziny sprawdzi, iż nigdzie na tej wysepce nie naruszono ani skrawka ziemi. Czy panu się zdaje, że taki skarb można zakopać, nie pozostawiając śladów, *señor doctor*? Nie zyskałby pan nawet pół dnia i aniby się pan obejrzał, już by Sotillo poderżnął panu gardło. Izabela! Co za niedorzeczność! Co za nędzny pomysł! Ach, wy panowie inteligenci, wszyscy jesteście jednacy! Wszyscy zdolni tylko do oszukiwania prostych ludzi, których narażacie na śmiertelne niebezpieczeństwa dla rzeczy, których sami nie jesteście pewni. Jeżeli się uda, to wy z tego czerpiecie korzyści. Jeżeli nie, to mniejsza o to. Prosty człowiek jest tylko psem. Ach, *Madre de Dios*[257], chciałbym... — I potrząsnął pięściami nad głową.

Doktor był zrazu oszołomiony tym wybuchem dzikiego, syczącego gniewu.

[257] *Madre de Dios* (hiszp.) — Matka Boska. [przypis edytorski]

— No, no! Na podstawie pańskiego własnego wywodu sądziłbym, iż prości ludzie nie są bynajmniej takimi głupcami — rzekł z przekąsem. — Ale mniejsza o to. Skoro pan taki mądry, to ma pan lepsze miejsce?

Nostromo szybko ochłonął z podniecenia.

— Na to jestem wystarczająco mądry — rzekł spokojnie, niemal obojętnie. — Niech mu pan wskaże kryjówkę na tyle dużą, żeby potrzebował całych dni na poszukiwania, miejsce, gdzie można schować cały skarb srebrnych sztab, nie pozostawiając śladu na powierzchni.

— I tuż na podorędziu — wtrącił doktor.

— Oczywiście, señor. Niech mu pan powie, że go zatopiono.

— Miałoby to tę zaletę, że byłoby prawdą — rzekł doktor pogardliwie. — Nie będzie wierzył.

— Powie mu pan, że zatopiono go w takim miejscu, skąd będzie miał nadzieję go wydostać, a uwierzy panu natychmiast. Powie mu pan, że zatopiono go w samym porcie z myślą, żeby później go wyłowić przy pomocy nurków. Powie mu pan, że się pan wywiedział, iż otrzymałem od don Carlosa Goulda rozkaz, żebym po cichu wrzucił skrzynki do morza gdzieś na linii między końcem mola a wejściem do portu. Tam nie jest zbyt głęboko. Sotillo nie ma wprawdzie nurków, ale ma okręt, łodzie, liny, łańcuchy, marynarzy. Niech wyławia srebro! Niech każe swoim głupcom ciągnąć włoki po dnie wzdłuż, wszerz i na krzyż, a sam siedzi i wypatruje, aż mu oczy wylezą z głowy.

— Rzeczywiście, to nadzwyczajny pomysł — wymamrotał doktor.

— *Si!* Powie mu pan to, a zobaczymy, czy nie uwierzy! Całymi dniami będzie się wściekał i gryzł, a jednak będzie wierzył. Nie będzie myślał o niczym innym. Nie ustanie, aż go stąd nie przepędzą, a może nawet zapomni pana zabić. Nie będzie jadł ani spał. Nie...

— W tym właśnie sęk! W tym właśnie sęk! — powtórzył doktor podnieconym szeptem. — *Capatazie*, zaczynam wierzyć, że jest pan na swój sposób geniuszem.

Nostromo zamilkł, po czym zaczął znów zmienionym, posępnym tonem, mówiąc do siebie, jakby zapomniał o obecności doktora:

— Jest w takim skarbie coś, co czepia się duszy ludzkiej. Będzie się modlił i bluźnił, a wytrwa. Będzie przeklinał dzień, w którym o nim usłyszał, i ani się obejrzy, kiedy mu wybije jego ostatnia godzina, a wciąż będzie mu się zdawało, że przeoczył go tylko o piędź[258]. Będzie mu się zwidywał nawet przy zamkniętych oczach. Nie zapomni o nim aż do śmierci i nawet potem... Słyszał pan kiedyś, panie doktorze, o nieszczęsnych *gringos* na Azuerze, którzy nie mogą umrzeć? Ha, ha! Marynarze, podobnie jak ja. Nie, niepodobna pozbyć się skarbu, gdy raz uczepi się duszy ludzkiej.

— Istny z pana diabeł, *capatazie*. To najlepszy pomysł!

Nostromo ujął go za ramię.

— Będzie to dla niego gorsze niż pragnienie na morzu lub głód w mieście pełnym ludzi. Czy wie pan, co to jest? Będzie znosił straszniejsze męki od tych, które zadał temu wystraszonemu biedakowi, który nie wpadł na żaden pomysł. Żaden! Żaden! Nie tak jak ja. Ja bym był opowiedział Sotillowi zabójczą bujdę przy najsłabszym bólu.

Zaśmiał się dziko i odwrócił się w drzwiach ku zwłokom señora Hirscha, ciemnej, wydłużonej bryle w na wpół przejrzystej ciemności pokoju, pomiędzy dwoma wysokimi równoległobokami okien pełnych gwiazd.

— Człowieku strachu! — krzyknął. — Zostaniesz pomszczony przeze mnie, Nostroma! Z drogi, doktorze! Z drogi, albo, na cierpiącą duszę kobiety, która skonała bez spowiedzi, uduszę cię własnymi rękoma.

Zbiegł na dół, do czarnej, zadymionej hali. Doktor chrząknął ze zdumienia i bez namysłu rzucił się za nim w pogoń. U podnóża osmalonych schodów przewrócił się i upadł na twarz z taką siłą, iż byłby stracił przytomność, gdyby nie był opętany troską miłości i poświęcenia. Podniósł się w okamgnieniu, wstrząśnięty, z dziwacznym wrażeniem, iż kula ziemska zwaliła mu się w ciemności na głowę. Nie był to jednak wstrząs dość potężny, by zatrzymać ciało doktora Monyghama, owładnięte zapamiętaniem poświęcenia,

[258] *piędź* — daw. miara długości, odpowiadająca szerokości rozpostartej dłoni (od końca małego palca do końca kciuka). [przypis edytorski]

zapamiętaniem wyrozumowanym, które postanowiło nie zaniedbać żadnej sprzyjającej okoliczności, jaka mogłaby się nadarzyć. Biegł, kuląc, na złamanie karku, wymachując ramionami jak skrzydłami wiatraka, by utrzymać równowagę na swych okaleczałych nogach. Zgubił kapelusz, a poły jego porozpinanego płaszcza polatywały za nim. Nie chciał stracić z oczu niezbędnego człowieka. Trwało to jednak długo i daleko odbiegł od Urzędu Celnego, zanim zdołał, zadyszany, chwycić go gwałtownie z tyłu za ramię.

— Stój pan! Czyś pan zwariował?

Nostromo szedł już powoli, ze zwieszoną głową, jak gdyby jego kroki hamowało znużenie niezdecydowaniem.

— O co panu chodzi? Ach, zapomniałem, że jestem panu do czegoś potrzebny. *Siempre*[259] Nostromo!

— Co pan miał na myśli, mówiąc, że mnie pan udusi? — wydyszał doktor.

— Co miałem na myśli? Myślałem, że sam szatan wysłał pana z tego miasta tchórzy i gadułów, żeby pan się spotkał ze mną tej nocy, której nie zapomnę do samej śmierci.

Na tle gwiaździstego nieba zamajaczyła „Albergo d'Italia Una", wydźwigając się czarną, niską bryłą z mrocznego poziomu niziny. Nostromo zatrzymał się.

— Księża powiadają, że on jest kusicielem, nieprawdaż? — dodał przez zaciśnięte zęby.

— Plecie pan głupstwa, mój panie! Diabeł nie ma nic do tego. I Ani nie ma to miasto, które pan może lżyć, jak się panu podoba. Ale don Carlos Gould nie jest ani tchórzem, ani gołosłownym gadułą. Czy pan to uznaje? — Zamilkł w oczekiwaniu. — Więc?

— Czy mogę się widzieć z don Carlosem?

— Na miłość Boską! Nie! Dlaczego? Po co? — zawołał doktor wzburzony. — Powiadam panu, że to szaleństwo. Za nic nie pozwolę panu pójść do miasta.

— Muszę.

— Wcale pan nie musi! — zawołał doktor wściekle, nie posiadając się niemal z trwogi, by ten człowiek nie zmarnował się wraz z swą użytecznością dla jakiegoś niedorzecznego kaprysu. — Powiadam panu, że pan nie może. Wolałbym raczej...

Zamilkł, nie mogąc znaleźć już słów. Wyczerpany, bezsilny, trzymał Nostroma za rękaw. Potrzebował koniecznie wytchnienia po pościgu.

— Jestem zdradzony! — mruknął *capataz* do siebie, zaś doktor, który dosłyszał ostatnie słowo, zdobył się na wysiłek, by rzec spokojnie:

— Właśnie to by się stało! Byłby pan zdradzony.

Z chorobliwym przerażeniem myślał, iż ten człowiek jest nazbyt powszechnie znany, żeby go nie poznano. Dom *señora administradora* był niewątpliwie osaczony przez szpiegów. A nawet służbie w Casa nie było można dowierzać.

— Niech pan się zastanowi, *capatazie* — rzekł natarczywie. — Z czego pan się śmieje?

— Śmieję się, bo przyszło mi na myśl, że gdyby ktoś nie życzył sobie mojej obecności w mieście, rozumie mnie pan, *señor doctor*, gdyby ktoś wydał mnie Pedritowi, to nawet z nim potrafiłbym się zaprzyjaźnić. To prawda. Co pan o tym myśli?

— Jest pan człowiekiem o niewyczerpanej pomysłowości — rzekł doktor Monygham ponuro. — Przyznaję. Ale miasto trzęsie się od plotek o panu, a ci nieliczni *cargadorzy*, którzy nie ukryli się razem z kolejarzami, wykrzykiwali przez cały dzień na *plaza*: „*Viva Montero!*"

— Moi biedni *cargadorzy* — zamamrotał Nostromo. — Oszukani, oszukani!

— Rozumiem, że w porcie mógł pan swobodnie uwijać się z kijem wśród swych biednych *cargadorów* — odezwał się doktor cierpkim głosem, który świadczył, iż wracał do siebie po wysiłku. — Niech pan się nie łudzi! Pedrito jest wściekły, że señor Ribiera wymknął mu się i że pozbawiono go przyjemności rozstrzelania Decouda. Krążą już po mieście pogłoski, że skarb zdmuchnięto mu sprzed nosa. To również nie podoba się Pedritowi; ale muszę panu powiedzieć, że gdyby nawet miał pan w ręku całe srebro na swój okup, nie ocaliłoby ono pana.

Nostromo odwrócił się szybko, chwycił doktora za ramiona i przybliżył twarz do jego twarzy.

[259] *siempre* (hiszp.) — zawsze. [przypis edytorski]

— *Maladetta!*[260] Nagabuje mnie pan ciągle gadaniem o tym skarbie. Uwziął się pan na moją zgubę. Był pan ostatnim człowiekiem, który spojrzał na mnie, zanim z nim odpłynąłem. A maszynista Sidoni mówi, że pan ma złe oko.

— Powinien wiedzieć co mówi. W zeszłym roku ocaliłem mu złamaną nogę — odparł doktor ze stoickim spokojem.Czuł na ramionach ciężar rąk, które słynęły wśród pospólstwa z rwania grubych lin i łamania podków. — Jeżeli zaś chodzi o pana, to daję panu najlepszy sposób ocalenia się — niech mnie pan puści! — i odzyskania dobrego imienia. Chełpił się pan, że to przeklęte srebro rozsławi *capataza de cargadores* od jednego krańca Ameryki do drugiego. Ale ja daję panu lepszą sposobność — niech mnie pan puści, *hombre!*

Nostromo puścił go nagle, a doktor zląkł się, że ten niezastąpiony człowiek znowu mu ucieknie. Ale nie zrobił tego. Zaczął iść powoli. Doktor kuśtykał obok niego, aż znaleźli się na rzut kamieniem od Casa Viola. Nostromo znowu przystanął.

Pogrążona w cichości niegościnnych mroków, Casa Viola jakby odmieniła swą naturę. Ten jego dom zdawał się odtrącać go jakąś beznadziejną i wrogą tajemnicą. Doktor odezwał się:

— Będzie pan tam bezpieczniejszy. Niech pan wejdzie, *capatazie*!

— Jakże mogę wejść? — zdawał się pytać sam siebie Nostromo cichym, zamyślonym głosem. — Nie może cofnąć tego, co powiedziała, ani ja tego, co uczyniłem.

— Ręczę, że wszystko będzie dobrze. Viola jest sam. Wstępowałem do niego, gdy szedłem z miasta. Będzie pan najzupełniej bezpieczny w tym domu aż do chwili, kiedy pan z niego wyruszy, by zasłynąć na Campo. Pójdę teraz, by porozumieć się co do pańskiego wyjazdu z naczelnym inżynierem i dam panu znać o wszystkim jeszcze przed świtem.

Doktor Monygham nie chcąc lub może lękając się przeniknąć znaczenie milczenia Nostroma, poklepał go z lekka po ramieniu i po kilku podrygach swego śpiesznego, kulawego chodu w kierunku toru kolejowego znikł zupełnie sprzed oczu. Zatrzymawszy się między dwoma drewnianymi palami, które służyły do przywiązywania koni, Nostromo stał, jakby wbity w ziemię równie mocno jak one. Dopiero po upływie pół godziny podniósł głowę, usłyszawszy zaciekłe ujadanie psów na terenach kolejowych. Wszczęło się nagłym zgiełkiem, przygłuszone, jakby dobiegało spod ziemi. Kulawy doktor o złym oku prędko stanął u celu.

Nostromo krok po kroku zbliżał się do „Albergo d'Italia Una", która nigdy przedtem nie była taka głucha i ciemna. Drzwi wejściowe, majaczące czarno w bladej ścianie, stały otworem, jak je pozostawił przed dwudziestu czterema godzinami, kiedy jeszcze niczego nie potrzebował ukrywać przed światem. Zatrzymał się przed nimi jak zbieg, jak człowiek zdradzony. Ubóstwo, niedola, nędza! Gdzie on słyszał te słowa? Gniew konającej kobiety przepowiedział ten los jego szaleństwu. Zdawało mu się, że ta przepowiednia sprawdzi się bardzo rychło. „Nawet *leperos* będą się śmiali" — powiedziała. Tak, będą się śmiali, gdy się dowiedzą, że *capataz de cargadores* jest na łasce zwariowanego doktora, który jeszcze przed paru laty kupował za miedziaki gotowaną strawę w kramie na *plaza*, jak jeden z nich.

W tej chwili wpadła mu do głowy myśl, żeby zajść do kapitana Mitchella. Spojrzał w kierunku mola i dostrzegł nikły odblask światła w budynku Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Myśl o oświetlonych oknach nie była zbyt pociągająca. Nie! Nie podejdzie po raz drugi tej nocy do oświetlonych okien! Tam jest kapitan Mitchell. I co mu powiedzieć? Ten doktor wyciągnąłby z niego, co zechce, jakby był dzieckiem.

Na progu zawołał półgłosem:

— Giorgio! — Wszedł do wnętrza. — *Olá, viejo!*[261] Jesteście tutaj? — W nieprzeniknionym mroku zdawało mu się w jego oszołomionej głowie, że ta ciemna kuchnia jest równie bezmierna jak Zatoka Placido i że podłoga zagłębia się pod nim jak tonąca lichtuga. — *Olá, viejo!* — zabełkotał powtórnie, chwiejąc się na nogach. Dłoń, którą wyciągnął szukając podpory, natrafiła na stół. Postąpił krok do przodu z wyciągniętą ręką i macając, poczuł pod palcami pudełko zapałek. Wydało się mu, iż słyszy spokojne westchnienie. Nadsłuchiwał chwilę z zapartym tchem, po czym drżącymi dłońmi spróbował zapalić zapałkę.

---

[260] *Maladetta!* (wł.) — Przekleństwo! [przypis edytorski]

[261] *Olá, viejo!*, popr. pisownia: *Hola, viejo!* (hiszp.) — Hej, stary! [przypis edytorski]

Cienkie drewienko zabłysło oślepiająco na końcu jego ręki, podniesionej do zmrużonych oczu. Skoncentrowany blask padł na lwią, białą głowę Giorgia, siedzącego obok czarnej czeluści pieca kuchennego. Zapatrzony nieruchomo przed siebie, pochylał się w fotelu, otoczony stłoczonymi, wielkimi zwałami cienia. Nogi miał skrzyżowane, policzek wsparty na dłoni, wygasłą fajkę w kąciku ust. Zdawało się, iż minęły długie godziny, zanim zdążył odwrócić twarz. W tej samej chwili zapałka zgasła i znikł, przytłoczony mrokiem, jakby ściany i dach opustoszałego domu zwaliły się w upiornej ciszy na jego białą głowę.

Nostromo usłyszał, że starzec się poruszył i spokojnie wyszeptał:

— To pewnie przywidzenie.

— Nie — rzekł łagodnie — to nie przywidzenie, ojcze.

Silny głos, dobyty z głębi piersi, zapytał w ciemności:

— Czy to ty mówisz, Giovann' Battista?

— *Si, viejo*. Spokojnie. Nie tak głośno.

Po wypuszczeniu przez Sotilla Giorgio Viola, odprowadzony przez zacnego naczelnego inżyniera do samych drzwi, powrócił do domu, który zmuszono go opuścić niemal w chwili zgonu jego żony. Zalegała cisza. Na górze paliła się lampa. Omalże nie zawołał żony po imieniu, lecz myśl, że na żadne wołanie nie odpowie już brzmienie jej głosu, zwaliła go ciężko na fotel. Zajęczał głośno z głębokiego bólu, jakby ostrze przeszyło mu pierś.

Przez resztę nocy nie odezwał się ani razu. Ciemność przedzierzgnęła się w szarzyznę i na tle bezbarwnego, jasnego, szklistego brzasku zębate szczyty Sierry zarysowały się płasko i nieprzejrzyście, jak wycięte z papieru.

Entuzjastyczna, surowa dusza Giorgia Violi, marynarza, bojownika uciśnionej ludzkości, wroga królów i — dzięki łaskawości pani Gould — właściciela gospody w porcie w Sulaco, zstąpiła w rozwartą otchłań rozpaczy wśród podruzgotanych szczątków swej przeszłości. Wspomniał swoje zaloty między jedną wyprawą wojenną a drugą, jeden krótki tydzień w porze zrywania oliwek. Powadze uniesienia tamtych dni dorównywało tylko głębokie, namiętne poczucie poniesionej straty. Uświadomił sobie ogrom swojej zależności od głosu tej kobiety, głosu, który umilkł na zawsze. Jej głosu brakowało mu najbardziej. Roztargniony, zajęty, pogrążony w wewnętrznych rozmyślaniach, w ostatnich latach rzadko przypatrywał się żonie. Myśl o dziewczynkach była dla niego troską, nie pocieszeniem. Jej głosu będzie mu brakowało najbardziej. I przypomniało się mu jeszcze inne dziecko, synek, który umarł na morzu. Ach, mężczyzna to istota, na której można się oprzeć. A niestety, nawet Gian' Battista, o którym, razem z Lindą, z taką troską mówiła jego żona, zanim zapadła w swój ostatni sen na ziemi, którego przed samą śmiercią wzywała na cały głos, by ratował dzieci — nawet on nie żył!

I starzec, pochyliwszy głowę w dłonie, przesiedział cały dzień w bezruchu i samotności. Nie zwrócił nawet uwagi na spiżowy dźwięk dzwonów miejskich. Gdy dźwięk ten ucichł, woda w glinianym cedzidle, które stało w rogu kuchni, wszczęła znów swe śpieszne, melodyjne szmery, sącząc się do podstawionego wielkiego dzbana.

Pod wieczór wstał i powolnymi ruchami zaczął wchodzić na schody, niknąć w wąskiej klatce schodowej. Wypełnił ją swą postacią, a ocieranie się jego ramion wywoływało nikły szmer, podobny do chrobotania myszy pod tynkiem ściany. Gdy przebywał na piętrze, dom pogrążał się w grobowej ciszy. Potem z tym samym nikłym szmerem zszedł na dół. Musiał się chwytać krzeseł i stołów, by zasiąść na dawnym miejscu. Zdjął fajkę z wysokiego gzymsu nad kominkiem, lecz nie próbował nawet sięgnąć po tytoń. Wetknąwszy ją w kącik ust, usiadł znów w tej samej, zapatrzonej postawie. Słońce, które widziało wjazd Pedrita do Sulaco, ostatnie, jakie przyświecało señorowi Hirschowi, i pierwsze, jakie powitało osamotnienie Decouda na Wielkiej Izabeli, przeszło ponad „Albergo d'Italia Una", chyląc się ku zachodowi. Słodkie kapanie wody z cedzidła ustało, lampa na piętrze zgasła i noc spowiła Giorgia Violę z jego martwą żoną w milczenie i ciemność, które zdawały się niepokonane do chwili, kiedy *capataz de cargadores*, powróciwszy z krainy zmarłych, zmusił je do ucieczki potarciem i zamigotaniem zapałki.

— *Si, viejo*. To ja. Poczekajcie.

Nostromo, zabarykadowawszy drzwi i zamknąwszy starannie okiennice, znalazł po omacku na półce świecę i zapalił ją.

Stary Viola wstał z fotela. Podążał oczyma w ciemności za odgłosami wywoływanymi przez Nostroma. Światło ukazało starca stojącego bez oparcia, jak gdyby sama obecność wiernego, dzielnego, nieskazitelnego człowieka, który był wszystkim tym, czym mógł być jego syn, starczyła za podporę jego podupadłych sił.

Wyciągnął rękę trzymającą fajkę z wrzoścowego drzewa, zwęgloną na krawędzi, i mocno ściągnął krzaczaste brwi przed światłem.

— Wróciłeś — odezwał się z chropowatą godnością. — Ach, bardzo dobrze! Ja...

Urwał. Nostromo, który stał oparty o stół, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, skinął ku niemu z lekka.

— Myśleliście, że utonąłem! Nie! Najlepszy pies bogaczy, arystokratów, tych jasnych panów, którzy umieją tylko gadać i okłamywać lud, jeszcze nie zdechł.

Garibaldino, stojąc nieruchomo, zdawał się chłonąć brzmienie tego dobrze znanego głosu. Poruszył z lekka głową, jakby przytakując, ale Nostromo zdawał sobie jasno sprawę, że starzec niczego nie rozumie z jego słów. Nie było nikogo, kto by to rozumiał, nikogo, komu można by było zwierzyć się z losów Decouda, z jego własnych losów, z tajemnicy srebra. Doktor był wrogiem ludu, kusicielem...

Potężna postać starego Giorgia drgnęła od stóp do głowy z wysiłku, by opanować wzruszenie wywołane widokiem człowieka, który dzielił z nim rodzinne życie, jakby był jego rodzonym synem.

— Wierzyła, że wrócisz — rzekł uroczyście.

Nostromo podniósł głowę.

— Mądra z niej była kobieta. Jakże bym mógł nie powrócić?... — dokończył w myśli: „Skoro mi przepowiedziała ubóstwo, niedolę i nędzę". Te gniewne słowa Teresy ze względu na okoliczności, w jakich zostały wypowiedziane, niby krzyk duszy, której nie pozwolono pojednać się z Bogiem, rozbudziły drzemiący w nim przesąd dotyczący osobistego powodzenia, od którego nawet najwięksi geniusze wśród awanturników i ludzi czynu rzadko kiedy są wolni. Oddziaływał on na umysł Nostroma z potęgą przemożnej klątwy. Jakimże brzemieniem przekleństwa obarczyły go te słowa! Osierocony w tak wczesnym wieku, iż nie pamiętał żadnej innej kobiety, którą by nazywał matką. Nie poszczęści mu się odtąd w żadnym przedsięwzięciu. Urok już działał. Nawet śmierć będzie go omijała...

Przemówił porywczo:

— Dalej, *viejo*! Dajcie mi coś do zjedzenia. Jestem głodny! *Sangre de Dios!* Od pustego brzucha kręci mi się w głowie.

Broda znów opadła mu na nagą pierś nad skrzyżowanymi ramionami, stał boso, śledząc spod zachmurzonych brwi ruchy starego Violi, który przetrząsał szafy. Wyglądał, jakby naprawdę był obarczony klątwą, odarty ze szczęścia, złowrogi *capataz*.

Stary Viola wyszedł z ciemnego kąta i nie mówiąc ani słowa, wysypał na stół ze stulonych dłoni kilka zeschniętych skórek chleba i połówkę nadwiędłej cebuli.

Podczas gdy *capataz* zaczął pochłaniać tę żebraczą strawę, biorąc kawałek po kawałku z nieruchomymi od żarłoczności oczyma, Garibaldino oddalił się i przykucnąwszy w drugim kącie, napełnił gliniany dzbanek czerwonym winem z oplecionego sitowiem gąsiora. Swobodnym gestem, jak kiedy usługiwał swym gościom w kawiarni, włożył fajkę do ust, by mieć wolne ręce.

Capataz pił chciwie. Lekki nalot rumieńca pogłębił brązowość jego policzków. Viola, stojąc przed nim, odwrócił swą białą, potężną głowę w stronę schodów, wyjął fajkę z ust i zaczął mówić powoli:

— Po tym strzale oddanym tu, na dole, który zabił ją tak celnie, jakby kula trafiła w jej skołatane serce, wołała cię, żebyś ratował dzieci. Ciebie, Gian' Battisto!

Capataz podniósł oczy.

— Czy naprawdę tak wołała, *padrone*? Żebym ratował dzieci? Są u angielskiej señory, ich bogatej dobrodziejki. Ej, stary synu ludu! Twoja dobrodziejka...

— Tak, stary jestem — zamamrotał Giorgo Viola. — Pewna Angielka postarała się, iż dano łóżko Garibaldiemu, który był wtedy ranny i znajdował się w więzieniu. To był największy człowiek, jaki kiedykolwiek żył. Także pochodził z ludu, i też był marynarzem.

Inna Angielka zapewniła mi dach nad głową. *Si*... jestem stary. Trzeba było się zgodzić. Życie czasem trwa za długo.

— A ona sama może za kilka dni nie mieć dachu nad głową, chyba że ja... Co wy na to? Czy powinienem utrzymać dach nad jej głową? Czy powinienem spróbować... i wraz z nią ocalić wszystkich *blancos*?

— Uczynisz to — odparł stary Viola mocnym głosem. — Uczynisz to, jak uczyniłby mój syn...

— Wasz syn, *viejo*!... Nigdy nie było człowieka takiego jak wasz syn. Ha, trzeba spróbować... Ale jeśli to tylko część przekleństwa, żeby mnie zwabić?... Mówicie, że wzywała mnie, żebym ratował... A potem?...

— Nie powiedziała już nic więcej. — Bohaterski towarzysz Garibaldiego na myśl o wiekuistej cichości i milczeniu, które spowiły postać otuloną w całuny na śmiertelnym łożu, odwrócił twarz i podniósł dłoń do pobrużdżonego czoła. — Umarła, zanim zdążyłem uchwycić jej ręce — wyjąkał żałośnie.

Przed rozszerzonymi źrenicami *capataza*, wpatrzonymi w mrok klatki schodowej, zamajaczył kształt Wielkiej Izabeli, podobny do jakiegoś dziwnego okrętu w niebezpieczeństwie, który wiezie niezmierzone skarby i jedno samotne życie ludzkie. Nie mógł nic dla niego zrobić. Nie można było nikomu zaufać, więc mógł tylko trzymać język za zębami. Skarb prawdopodobnie by przepadł, gdyby Decoud... I jego myśl nagle się urwała. Pojął, iż zupełnie nie potrafi sobie wyobrazić, co Decoud mógłby zrobić.

Stary Viola nie drgnął. Nieruchomy *capataz* opuścił swe długie, jedwabiste rzęsy, które górnej części jego zuchwałej, okolonej czarnym zarostem twarzy nadawały rys kobiecego wdzięku. Milczenie trwało długo.

— Boże, bądź miłościw jej duszy! — szepnął posępnie.

ROZDZIAŁ X

Ranek następnego dnia upłynął spokojnie. Tylko z północy, hen, od strony Los Hatos, dolatywały głuche odgłosy strzelaniny. Kapitan Mitchell przysłuchiwał się im trwożnie ze swego balkonu. „W mym drażliwym położeniu jedynego podówczas agenta konsularnego w tym porcie wszystko, panie, wszystko dawało powód do uzasadnionych obaw" — to zdanie powtarzało się w mniej lub więcej stereotypowej relacji o „historycznych wypadkach", którą przez parę następnych lat miewał stale na usługi wybitniejszych cudzoziemców odwiedzających Sulaco. Z kolei następowała wzmianka o godności i neutralności bandery, której tak trudno było strzec na jego stanowisku „w samym sednie tych wydarzeń, między bezprawiem rozbójniczego opryszka Sotilla a prawidłowiej zorganizowaną, lecz nie mniej okrutną tyranią jego ekscelencji don Pedra Montera". Kapitan Mitchell nie lubił zbytnio się rozwodzić nad niebezpieczeństwami. Natomiast kładł nacisk na to, że był to dzień pamiętny. Pod wieczór owego dnia zobaczył „tego mojego, biednego chłopca Nostroma. Był to marynarz, którego odkryłem i który po prostu był moim dziełem, panie. Wsławił się swą jazdą do Cayty, panie. Dalibóg, historyczne zdarzenie, panie!"

Ceniony w Towarzystwie Oceanicznej Żeglugi Parowej jako stary i oddany urzędnik, kapitan Mitchell osiągnął godnie i wygodnie kres swej użyteczności, stojąc na czele niezmiernie rozwiniętego przedsiębiorstwa. Rozrost działalności, całe zastępy urzędników, biuro w mieście, dawne biuro w porcie, podział na departamenty: podróżniczy, ładowniczy, przewozowy itd. — wszystko to pozwoliło mu pod koniec życia spokojniej odetchnąć w odrodzonym Sulaco, stolicy Republiki Zachodniej. Lubiany przez miejscową ludność z powodu swej dobroduszności i uprzejmości, prostoduszny i pewny swojego znaczenia, znany od lat jako „przyjaciel naszego kraju", uważał się za niepoślednią osobistość w mieście. Wstawał wcześnie, by przejść się po placu targowym, kiedy olbrzymi cień Higueroty padał jeszcze na barwny przepych kwiatów i owoców, piętrzących się stertami na kramach; brał udział sprawach bieżących; utrzymywał stosunki towarzyskie; witał się z paniami na *alamedzie*, miał wstęp do wszystkich klubów i bywał stale w Casa Gould — słowem nader dostojnie i wygodnie wiódł życie starego kawalera, człowieka rozrywanego w towarzystwach. Za to w dnie, kiedy przybywały pocztowce, już od wczesnego ranka był w porcie na własnej łodzi, z załogą ubraną w biało-błękitne barwy, gotowy przyjąć okręt, gdy tylko pojawi się we wrotach portu.

Uprzywilejowanego podróżnego przywoził swą łodzią do portowego biura i zapraszał, by spoczął na chwilę, zanim nie podpisze kilku papierów. Siedząc przy pulpicie, kapitan Mitchell nie przerywał uprzejmej pogawędki:

— Mamy niewiele czasu, jeżeli pan chce zobaczyć wszystko w jeden dzień. Wyjdziemy za chwilę. Zjemy śniadanie w klubie „Amarilla", chociaż ja należę do anglo-amerykańskiego klubu inżynierów górniczych i biznesmenów, wie pan, i do „Mirliflores", to nowy klub zrzeszający Anglików, Francuzów i Włochów i tym podobnych ludzi, przeważnie miłych, młodych chłopców, którzy zechcieli uczcić starego rezydenta, panie. Ale śniadanie zjemy w „Amarilli". Sądzę, że pana zainteresuje. Osobliwość tego kraju! Ludzie z najznakomitszych rodzin. Bywa tam nawet prezydent Zachodniej Republiki. Na patio starożytny, piękny biskup z obtłuczonym nosem. Moim zdaniem cenny zabytek sztuki rzeźbiarskiej. *Cavaliere* Parochetti — pan zna Parochettiego, słynnego rzeźbiarza włoskiego? — pracował tu dwa lata — wielce cenił naszego starego biskupa. No, już! Jestem całkowicie do pańskich usług.

Dumny ze swej znajomości rzeczy, przeniknięty poczuciem historycznej ważności ludzi, zdarzeń i budynków, mówił z namaszczeniem, urywanymi zdaniami, wymachując z lekka swym krótkim, grubym ramieniem, by nic „nie uszło uwagi" jego uprzywilejowanego jeńca.

— Jak pan widzi, buduje się mnóstwo. Przed odłączeniem się była to równina porośnięta spaloną trawą i nurzająca się w obłokach kurzu. Przecinał ją trakt, którym zaprzężone w woły wozy jeździły do naszego mola. Nic więcej. Oto prama portowa. Malownicza, nieprawdaż? Dawniej kończyło się tu miasto. Wyjeżdżamy teraz na Calle de la Constitution. Proszę przyjrzeć się tym starym hiszpańskim domom. Co za dostojność, prawda? Sądzę, iż wygląda obecnie tak samo jak za czasów wicekrólów, z wyjątkiem bruku. Mamy teraz drewnianą kostkę. A tam Narodowy Bank Sulaco z budkami strażniczymi po obu stronach bramy. Po tej stronie Casa Avellanos. Wszystkie okiennice na dole pozamykane. Mieszka tam niezwykła kobieta: panna Avellanos, piękna Antonia. Co to za charakter, panie! Historyczna kobieta! Naprzeciw — Casa Gould. Szlachetna brama wjazdowa. Tak, to ci Gouldowie z koncesji Gouldów, znanej obecnie całemu światu. Mam siedemnaście akcji, po tysiąc dolarów każda, Zjednoczonych Kopalni San Tomé. To drobne oszczędności całego mojego życia, ale wystarczą na wygodne utrzymanie, gdy trzeba będzie ustąpić z urzędu. Jak pan widzi, urządziłem już sobie mieszkanie na parterze. Don Carlos, to mój wielki przyjaciel. Siedemnaście akcji — wcale ładny spadek pozostanie po mnie! Mam siostrzenicę, poślubiła duchownego, bardzo godny człowiek, proboszcz małej parafii w Sussex, dzieci bez liku! Nigdy nie byłem żonaty. Marynarz powinien zaprzeć się siebie. Stojąc pod tą oto bramą z kilkoma młodymi inżynierami przygotowującymi się do obrony domu, w którym nie szczędzono im nigdy łaskawości i gościnności, widziałem pierwszy i ostatni atak jeźdźców Pedrita na wojska Barriosa. Zdobyły już bramę portową. Monteryści nie zdołali się oprzeć nowym karabinom, sprowadzonym przez tego biednego Decouda. Ogień był zabójczy. W okamgnieniu ulicę zawaliły stosy trupów ludzkich i końskich. Nie zaatakowali już po raz drugi.

I przez cały dzień kapitan Mitchell rozwodził się w podobny sposób przed swą mniej czy więcej chętną ofiarą:

— *Plaza*. Uważam ją za wspaniałą. Dwa razy większa od Trafalgar Square[262].

Stojąc pośrodku w pałających blaskach słonecznych, pokazywał budowle:

— Intendencja, obecnie pałac prezydenta — *Cabildo*, miejsce obrad Niższej Izby Parlamentu. Widzi pan te nowe domy po tamtej stronie *plaza*? To Kompania Anzani, wielkie domy towarowe, coś w rodzaju naszych sklepów spółdzielczych w Anglii. Stary Anzani zginął z rąk gwardzistów narodowych, zasłaniając własnym ciałem swą ogniotrwałą kasę. Za tę właśnie zbrodnię poseł Gamacho, komendant gwardzistów, dzikie i krwiożercze bydlę, został publicznie stracony z wyroku sądu doraźnego, utworzonego przez Barriosa. Siostrzeńcy Anzaniego zamienili to przedsiębiorstwo w spółkę akcyjną. Cała ta strona *plaza* spaliła się; miała dawniej kolumnadę. Ogień był straszliwy. Widziałem przy jego łunie koniec bitwy: *llaneros* uciekali, gwardziści rzucali broń, a górnicy z San Tomé,

[262] *Trafalgar Square* — centralny plac Londynu, znana atrakcja turystyczna, upamiętnia zwycięstwo brytyjskiej marynarki wojennej w bitwie pod Trafalgarem (1805). [przypis edytorski]

wszyscy Indianie z Sierry, walili niby odmęt przy dźwiękach piszczałek i cymbałów. Powiewały zielone chorągwie nad tym dzikim tłumem ludzi w białych *ponchos* i zielonych kapeluszach. Szli pieszo, gnali na osłach i mułach. Czegoś podobnego nie widziałem, jak żyję. Górnicy ruszyli na miasto pod wodzą don Pépégo, który wiódł ich, siedząc na swym karym koniu. Ich kobiety wśród ryku osłów dodawały im krzykiem otuchy i biły w tamburyny. Pamiętam, że jedna znich miała na ramieniu zieloną papugę, która siedziała tak spokojnie, jakby była wykuta z kamienia. Zdążyli jeszcze ocalić swego *señora administradora*, bowiem Barrios, aczkolwiek od razu, jeszcze w nocy, zarządził atak, byłby przybył za późno. Pedrito Montero kazał już wyprowadzić don Carlosa na miejsce rozstrzelania, to samo, na którym przed laty padł jego wuj, i omalże, jak później wyraził się Barrios, „Sulaco nie byłoby warte, żeby się o nie bić". Sulaco bez koncesji byłoby niczym. Wszędzie w górach rozmieszczono tony, całe tony dynamitu z przygotowanymi zapalnikami, a stary ksiądz, ojciec Roman, stał w pogotowiu, by unicestwić kopalnię San Tomé na pierwszą wieść o klęsce. Don Carlos uwziął się, by nie pozostawić nic po sobie, i umiał sobie dobrać odpowiednich ludzi.

Tak opowiadał kapitan Mitchell pośrodku *plaza*, trzymając nad głową białą parasolkę na zielonej podszewce; natomiast wewnątrz katedry, gdzie w chłodnej atmosferze mroku unosiły się nikłe wyziewy kadzideł i klęczały postacie kobiece z zasłoniętymi twarzami, w czerni lub całkiem na biało, jego przyciszony głos stawał się uroczysty i przenikliwy.

— Tu — mówił, pokazując wnękę w ścianie mrocznej nawy — widzi pan popiersie don Joségo Avellanosa, „patrioty i męża stanu", jak powiada napis, „ministra pełnomocnego przy dworach angielskim, hiszpańskim itd., itd., który zmarł w lasach Los Hatos, złamany długoletnią walką o Prawo i Sprawiedliwość, w przededniu Nowej Ery". Ogromne podobieństwo! Dzieło Parochettiego wedle kilku starych fotografii i szkicu ołówkowego pani Gould. Znałem dobrze tego znakomitego Hiszpano-Amerykanina dawnego pokroju, prawdziwego hidalga, kochanego przez wszystkich, którzy z nim się zetknęli. A ten marmurowy medalion w stylu antycznym, przedstawiający siedzącą kobietę, z zasłoniętą twarzą i załamanymi na kolanach rękami, wmurowano na pamiątkę tego nieszczęśliwego młodego dżentelmena, który wypłynął z Nostromem owej fatalnej nocy. Niech pan popatrzy! „Pamięci Martina Decouda, jego narzeczona, Antonia Avellanos". Prosto, skromnie, szlachetnie. Oto ona we własnej osobie! Wyjątkowa kobieta. Mylili się ci, którzy myśleli, że podda się rozpaczy. Ganiono ją gdzieniegdzie, iż nie przywdziała szat zakonnych. Spodziewano się tego po niej. Ale doña Antonia nie jest z tej gliny, z której lepi się zakonnice. Biskup Corbelan, jej wuj, mieszka wraz z nią w rodowym pałacu Corbelanów. Zawzięty z niego kapłan, użera się nieustannie z rządem o dawne kościelne włości i klasztory. Sądzę, że w Rzymie mają go na oku. Przejdziemy teraz przez *plaza* i pójdziemy do klubu „Amarilla", żeby coś przekąsić.

Zaraz po wyjściu z katedry, jeszcze u szczytu dostojnie zbiegających w dół schodów, jego głos wzbierał pompatycznie, a ramię wznawiało zamaszyste gesty.

— Tam, nad tymi wielkimi francuskimi oknami wystawowymi, mieszczą się na pierwszym piętrze biura „Porvenire"; to największy nasz dziennik. Konserwatywny, a raczej, powiedziałbym, parlamentarny. Mamy stronnictwo parlamentarne, na którego czele stoi obecny prezydent państwa, don Juste Lopez; moim zdaniem, bardzo rozumny człowiek. Pierwszorzędny intelekt, panie! Opozycyjne stronnictwo demokratyczne opiera się, niestety, na socjalistach włoskich, na ich tajnych stowarzyszeniach, *camorrach*[263] i tym podobnych organizacjach. Mnóstwo Włochów osiedliło się tu na terenach, zwolnionych marynarzy, mechaników, a wszyscy skupili się wzdłuż głównej linii kolejowej. Na Campo mamy całe wsie włoskie. A miejscową ludność też do tego wciągają... Bar amerykański? Tak. A tam dalej zobaczy pan drugi. Uczęszczany głównie przez przybyszów z Nowego Jorku... No, jesteśmy w klubie „Amarilla". Niech pan zwróci uwagę na tego biskupa u podnóża schodów, na prawo od wejścia.

Śniadanie przebiegało przy małym stoliku na galerii, w atmosferze wystawności i swobody. Kapitan Mitchell rozdzielał skinienia głowy i ukłony. Wstawał co chwila, by pomówić z różnymi urzędnikami w czerni, kupcami w żakietach, oficerami w mundurach,

[263] *camorra* (wł.) — tajna włoska organizacja przestępcza powstała na pocz. XIX w. w Królestwie Neapolu. [przypis edytorski]

caballeros z Campo — z których jedni byli bladzi, drobni i nerwowi, drudzy spokojni, otyli i śniadzi — z Europejczykami i Amerykanami z Północy, których twarze odznaczały się mocno swą białością od większości ciemnych cer i błyszczących oczu.

Kapitan Mitchell rozpierał się następnie w swym krześle, wodził dokoła zadowolonym spojrzeniem i podawał przez stół szkatułkę, napełnioną grubymi cygarami.

— Proszę spróbować tego zielska przy kawie. Miejscowy tytoń. Takiej czarnej kawy, jaką podają w klubie „Amarilla", nie dostanie pan nigdzie na świecie. Ziarno dostajemy ze słynnej *cafeteríi*[264] u podnóża wzgórz. Jej właściciel przysyła co roku trzy worki w prezencie swym kolegom z klubu, na pamiątkę walki, którą z tych oto okien toczyli *caballeros* przeciwko gwardzistom Gamacha. Był wtedy w mieście i brał w niej udział do samego końca. Przywożą ją trzema mułami — nie zaś, jak zwykle, koleją — wprost na patio, pod eskortą konnych peonów. Prowadzi ich *mayoral*[265] jego majątku, który wchodzi na schody w butach z ostrogami, po czym doręcza formalnie ten dar naszemu zarządowi, wymawiając słowa: „Na pamiątkę tych, którzy padli trzeciego maja". Nazywamy ją kawą *Tres de Mayo*. Proszę jej skosztować.

Kapitan Mitchell z takim wyrazem twarzy, jakby gotował się do wysłuchania kazania w kościele, podnosił małą filiżankę do ust. W błogim milczeniu wysączał nektar do dna, pogrążony w obłokach dymu ze swego cygara.

— Niech pan spojrzy na tego człowieka w czerni, który właśnie wychodzi! — zaczynał, pochylając się popiesznie. — To słynny Hernandez, minister wojny. Specjalny korespondent „Timesa", który napisał szereg nadzwyczaj zajmujących listów o Zachodniej Republice, nazywając ją „skarbcem świata", poświęcił jemu i utworzonej przez niego formacji wojskowej cały artykuł. To słynni strzelcy z Campo.

Gość kapitana Mitchella, spoglądając ciekawie, dostrzegał postać w długim, czarnym surducie, która kroczyła z powagą, opuściwszy powieki. Miała długą, spokojną twarz, poziomo zarysowane brwi i szpiczastą głowę, której siwe włosy, przerzedzone u szczytu i przyczesane starannie ze wszystkich stron, spadały ufryzowane na kark i ramiona. Więc to był ów słynny bandyta, który zaciekawiał Europę! Gdy wkładał na głowę sombrero o wysokim dnie i płaskim, szerokim rondzie, widać było różaniec z drewnianych paciorków okręcony wokół przegubu jego prawej ręki. A kapitan Mitchell mówił dalej:

— To opiekun zbiegów, którzy uciekli z Sulaco przed wściekłością Pedrita. Jako generał kawalerii pod dowództwem Barriosa wsławił się zdobyciem Tonoro, gdzie padł señor Fuentes i zginęły ostatnie resztki monterystów. Jest przyjacielem i pokornym sługą biskupa Corbelana. Codziennie słucha trzech mszy. Założę się, iż idąc do domu, wstąpi po drodze do kościoła, by odmówić modlitwę.

Milknął i zaciągał się kilka razy dymem ze swego cygara; po czym we właściwy sobie, pełen powagi sposób, oświadczał:

— Rasa hiszpańska jest płodna i wyróżnia się swym charakterem we wszystkich dziedzinach życia. Może byśmy przeszli teraz do sali bilardowej, gdzie jest chłodno i można gawędzić spokojnie? Przed piątą nikogo tam nie ma. Mogę panu opowiedzieć zdumiewające epizody z rewolucji, która zakończyła się utworzeniem nowego państwa. Gdy minie największy skwar, wybierzemy się na *alamedę*.

Program przebiegał dalej z nieodmiennością prawa przyrody. Przechadzka po *alamedzie* odbywała się z wolna i dawała sposobność do pompatycznych spostrzeżeń.

— Bywa tu cały wielki świat. — Kapitan Mitchell poczynał się kłaniać bez końca w prawo i w lewo, po czym odzywał się z ożywieniem: — Doña Emilia. Powóz pani Gould. Niech pan spojrzy! Zawsze białe muły. Najmilsza i najbardziej urocza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła na ziemi. Wielkie stanowisko, panie! Wielkie stanowisko. Najpierwsza dama w Sulaco — nawet małżonka prezydenta jej nie dorównuje. I warta tego! — Zdejmował kapelusz, po czym, zmieniając umiejętnie ton głosu, dorzucał niedbale, iż siedzący obok niej pan w czerni, w wysokim, białym kołnierzyku i z pokrytą bliznami, chmurną twarzą, to doktor Monygham, inspektor szpitali państwowych i główny lekarz Zjednoczonych Kopalni San Tomé. — Przyjaciel domu. Wiecznie tam przesiaduje. Nic dziwnego. Wszystko zawdzięcza Gouldom. Bardzo mądry człowiek, ale nigdy go nie lubi-

[264] *cafetería* (hiszp.) — tu: plantacja kawy. [przypis edytorski]
[265] *mayoral* (hiszp.) — zarządca. [przypis edytorski]

łem. Nikt go nie lubi. Pamiętam, jak kuśtykał po ulicach w kraciastej koszuli i chłopskich sandałach z melonem pod pachą. Było to jedyne jego całodzienne pożywienie. Teraz gruba ryba, panie, a zgryźliwy jak dawniej. Co prawda... Niepodobna zaprzeczyć, iż w swoim czasie świetnie się spisał. Ocalił nas wszystkich od tej śmiertelnej zmory, od Sotilla, co innemu by się nie udało...

Podniósł ramię.

— Konny posąg, który stał dawniej na tym cokole, usunięto. Był anachronizmem — tłumaczył kapitan Mitchell niejasno. — Obecnie mówi się, by go zastąpić pamiątkową kolumną z marmuru, z aniołami pokoju w czterech narożnikach i brązowym, pozłacanym posągiem Sprawiedliwości, dzierżącej wagę, u szczytu. Uproszono *cavaliera* Parochettiego, iż sporządził rysunek, który może pan obejrzeć pod szkłem w sali posiedzeń rady miejskiej. Dokoła podstawy mają być wyryte nazwiska. Ano, należałoby zacząć przede wszystkim od nazwiska Nostroma. Uczynił on dla sprawy separacji więcej niż kto inny i — dodawał kapitan Mitchell — otrzymał za to mniej od wielu innych. — Siadał na ławie kamiennej pod drzewem i zapraszał skinieniem gościa, by zechciał zająć obok niego miejsce. — Zawiózł Barriosowi listy ze Sulaco. Skłoniły tego generała do opuszczenia Cayty i do przybycia nam na pomoc morzem. Na szczęście, w porcie były jeszcze transportowce. Panie, nie wiedziałem nawet, iż mój *capataz de cargadores* żyje. Nie miałem o tym pojęcia. Doktor Monygham spotkał go przypadkiem w Urzędzie Celnym, opuszczonym jakąś godzinę przedtem przez tego przeklętego Sotilla. Nikt mi nic nie powiedział, nic przy mnie nie napomknął, jakbym był niegodny zaufania. Monygham zajął się wszystkim. Poszedł na tereny kolejowe i uzyskał widzenie z naczelnym inżynierem, który raczej ze względu na Gouldów niż na kogoś innego, zgodził się użyczyć lokomotywy, by przewiozła Nostroma. Był to jedyny sposób, by go wyprawić z miasta. Pędząc po torze kolejowym, ujechał sto osiemdziesiąt mil. W obozowisku robotniczym na końcu linii kolejowej zaopatrzono go w konia, broń i nieco odzieży. Wyruszył w drogę samotnie. Ujechał czterysta mil w przeciągu sześciu dni, pędząc co koń wyskoczy przez objęty zaburzeniami kraj, i uwieńczył swe dzieło, przedzierając się przez szeregi monterystowskie osaczające Caytę. Dzieje tej wyprawy to temat na porywającą książkę. Wiózł życie nas wszystkich w kieszeni. Nie mam słów na oddanie jego poświęcenia, odwagi, wierności i inteligencji. Był przy tym nieprzekupny i nieustraszony. Trzeba było człowieka, który by wiedział, w jaki sposób dać sobie radę. I oto on był tym człowiekiem. Piątego maja, będąc faktycznie uwięzionym w biurze portowym mojego Towarzystwa, z terenów kolejowych oddalonych o jakieś ćwierć mili usłyszałem nagle świst lokomotywy. Nie wierzyłem własnym uszom. Wybiegłem na balkon i ujrzałem, iż z wrót remizy wytacza się lokomotywa ziejąca pióropuszem pary, skwiercząca przeraźliwie i spowita białym obłokiem. Zatrzymała się tuż obok gospody starego Voli. Jakiś człowiek, którego nie mogłem rozróżnić, wybiegł z „Albergo d'Italia Una" i wpadł do kabiny parowozu, po czym maszyna jakby odskoczyła od domu i znikła w okamgnieniu. Jakby ktoś świecę zgasił, panie! Lokomotywą kierował widocznie pierwszorzędny maszynista. Gwardziści narodowi ostrzeliwali ją rzęsiście w Rincon oraz innych miejscowościach. Na szczęście szyn nie pozrywano. W cztery godziny dotarli do obozowiska robotników budujących tor kolejowy. Nostromo postawił na swoim... Resztę pan wie. Proszę rzucić okiem dokoła siebie. Oto na tej *alamedzie* widzi pan ludzi, którzy jeżdżą powozami albo wciąż żyją tylko dzięki temu, iż przed laty na przodownika w porcie przyjąłem zbiegłego włoskiego marynarza, po prostu z powodu siły, jaka biła z jego spojrzenia. To jest, panie, fakt. Tego nie można pominąć. Siedemnastego maja, równo dwanaście dni po tym, jak ujrzałem człowieka, który wybiegł z Casa Viola i wskoczył do lokomotywy, transportowce Barriosa wpłynęły do tutejszego portu i „skarbiec świata", jak korespondent „Timesa" nazywa Sulaco w swojej książce, ocalał nietknięty dla cywilizacji i dla jej przyszłości. Pedrito, naciskany przez Hernandeza od zachodu, a przez górników z kopalni San Tomé od bramy lądowej, nie mógł przeszkodzić wylądowaniu. Przez tydzień posyłał do Sotilla, żeby się z nim połączył. Gdyby Sotillo był to uczynił, byłyby nastąpiły rzezie i prześladowania, które nie oszczędziłyby nikogo spośród osób zajmujących w społeczeństwie wybitniejsze stanowiska. Ale w tym momencie na widowni pojawił się doktor Monygham. Sotillo, ślepy i głuchy na wszystko, nie ruszał się z pokładu swego parowca, poszukując srebra, które w jego mniemaniu spoczywało na dnie przystani. Opowiadano mi, że przez ostat-

nie trzy doby był po prostu nieprzytomny, szalał i pienił się z rozczarowania, że nic nie znajduje, latał po pokładzie i miotał przekleństwami na ludzi w łodziach sondujących dno, raz każąc im powracać, to znów nagle tupiąc nogą i wykrzykując: „A jednak ono jest tam! Widzę je! Czuję je!"

Poczynił już przygotowania, by powiesić doktora Monyghama (którego trzymał na pokładzie), gdy wtem nadpłynął pełną parą transportowiec Barriosa, nawiasem mówiąc jeden z naszych statków, i ocierając się niemal burtą o jego okręt, na powitanie otworzył bez ostrzeżenia ogień karabinowy. Była to niespodzianka, panie, wprost niesłychana. Zbytnio na początku potracili głowy, by się odsunąć. Ludzie walili się na prawo i na lewo jak kręgle. Jakimś istnym cudem doktor Monygham, który stał już pod masztem z powrozem na szyi, nie został podziurawiony jak rzeszoto. Opowiadał mi później, iż uważał się za straconego i wrzeszczał, ile mu sił starczyło: „Wywiesić białą flagę! Wywiesić białą flagę!". Wtem jakiś stary major z pułku Esmeraldy, stojący obok, wyciągnął szablę i z krzykiem: „Giń, wiarołomny zdrajco!" przeszył Sotilla na wylot, lecz tej samej chwili padł, ugodzony kulą w głowę.

Kapitan Mitchell milkł na chwilę.

— Ej, panie! Mógłbym jeszcze opowiadać panu całymi godzinami. Ale czas już, żebyśmy pojechali do Rincon. Nie wypada, żeby pan był w Sulaco i nie widział świateł w kopalni San Tomé. Cała góra pała jak oświetlony pałac nad ciemnym Campo. To bardzo modna przejażdżka... Ale opowiem panu małą anegdotkę, ot, żeby dać panu wyobrażenie. W jakieś dwa tygodnie po tym, jak Barrios, mianowany generałem, podążył na południe w pościg za Pedritem, jak Tymczasowa Junta z don Justem Lopezem na czele ogłosiła nową konstytucję, zaś nasz don Carlos Gould pakował kufry, wysłany w misją do San Francisco i Waszyngtonu (Stany Zjednoczone, panie, były pierwszym wielkim mocarstwem, które uznało Zachodnią Republikę), otóż w jakieś dwa tygodnie po tym wszystkim, gdyśmy już poczynali czuć, że nasze głowy są bezpieczne na naszych karkach, zaszedł do mnie w interesach pewien wybitny człowiek, który przewozi wiele towarów na naszych statkach, i na samym wstępie powiada: „Kapitanie Mitchell, czy ten hultaj (miał na myśli Nostroma) jest jeszcze *capatazem* pańskich *cargadorów*, czy nie?" — „A o co chodzi?" — pytam. — „Bo jeżeli jest, to nie mam pretensji. Nieraz już wysyłałem i sprowadzałem ładunki za pośrednictwem pańskich okrętów. Otóż zauważyłem, iż już od kilku dni włóczy się jak żebrak po nabrzeżu i dopiero co najspokojniej zaczepił mnie, prosząc o cygaro. A wie pan, palę cygara tylko w najlepszym gatunku i nie tak łatwo o nie, jakby się komuś zdawało". — „Sądzę, że złamał pan swoje zasady?" — rzekłem bardzo łagodnie. — „Oczywiście. Ale to zawstydzające natręctwo. On wiecznie naprzykrza się o coś do palenia". — Panie, odwróciłem oczy, a potem spytałem: „Czy nie był pan więziony w *cabildo*?" — „Przecież pan dobrze wie, że byłem więziony, a nawet zakuty w kajdany" — odpowiada. — „I musiał pan złożyć kaucję piętnastu tysięcy dolarów?" — Poczerwieniał panie, ponieważ się okazało, iż zemdlał ze strachu, kiedy przyszli go aresztować, a przed Fuentesem zachowywał się w ten sposób, że na widok jego uniżoności uśmiechali się nawet *policianos*, którzy go tam zawlekli za kark. „Tak — rzekł jakby onieśmielony. — A czemu pan pyta?" — „Och, nic takiego. Omalże nie poniósł pan grubej straty, nawet gdyby pan uszedł cało... Ale czym mogę panu służyć?" — Nie zdołał się nigdy połapać, o co chodzi. Jakimi to drogami świat chodzi, panie!

Podnosił się z miejsca nieco sztywno. Podczas przejażdżki do Rincon nieubłagany *cicerone*[266] zdobywał się na jedno tylko spostrzeżenie filozoficzne, wygłaszane z oczyma utkwionymi w światła kopalni San Tomé, która wyglądała jak zawieszona wśród ciemnej nocy między ziemią a niebem.

— To wielka potęga, panie! Może zrobić dużo dobrego i dużo złego. Ogromna potęga!

Potem wstępowali na obiad do klubu „Mirliflores", słynnego z doskonałej kuchni. W umyśle przejezdnego pozostawało wrażenie, iż w Sulaco musi być dużo wesołej, zamożnej młodzieży, która ma za wiele pieniędzy do wyrzucenia, i że wśród niej są i tacy Anglosasi, którzy potrafią „podnieść ciśnienie", jak to się mówi, swemu miłemu gospodarzowi. Na zakończenie szybko wracali do portu hałaśliwą, dwukołową bryczką (którą kapitan Mitchell nazywał biedką), zaprzężoną w chudego, rączego muła, którego nie-

[266] *cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

ustannie batożył gorliwy woźnica, neapolitańczyk. Biedka zatrzymywała się przed oświetlonymi biurami Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej, których nie zamykano do późna, czekając na odjazd parowca. Bywało to zakończeniem, choć jeszcze niezupełnym. „Jest dziesiąta. Pański statek nie odpłynie wcześniej niż o wpół do pierwszej, jeśli nie później. Proszę do mnie na *brandy and soda* i jeszcze jedno cygaro". W prywatnym mieszkaniu zarządcy portu uprzywilejowany podróżny „Cerery", „Junony" czy „Pallady" wpadał w osłupienie i, jeśli można tak powiedzieć, nicestwiał duchowo pod nagłym nawałem poglądów, brzmień, nazwisk i faktów. Nieprzetrawionym należycie, a niezmiernie zawiłym wiadomościom przysłuchiwał się jak zmęczone dziecko czarownej bajce. Słyszał głos, poufały i zaskakujący pompatycznością, który brzmiał jakby z innego świata, opowiadający mu, iż „w tej oto przystani" odbyła się demonstracja międzynarodowej floty, która położyła kres wojnie między Costaguaną a Sulaco. Krążownik Stanów Zjednoczonych „Powhattan" pierwszy oddał honory banderze Zachodniego Państwa — białej, z wieńcem zielonych liści laurowych otaczających żółty kwiat amarylisu[267]. Generał Montero, który ogłosił się cesarzem Costaguany, zginął niespełna miesiąc później (podczas publicznej uroczystości rozdawania odznak i krzyży) od kuli pewnego młodego oficera artylerii, brata swej utrzymanki.

— Obmierzły Pedrito, panie, uciekł z kraju — brzmiał głos. I mówił w dalszym ciągu: — Pewien kapitan jednego z naszych statków opowiadał mi niedawno, iż widział Pedrita *guerrillera*. Przystrojony w purpurowe pantofle i aksamitną czapeczkę ze złotym chwastem[268], prowadził dom publiczny w jednym z południowych portów.

— Obmierzły Pedrito? Któż to taki u licha? — dziwił się przelotny ptak, ważąc się między snem a jawą, z nikłym, lecz uprzejmym skrzywieniem ust, z których wysterczał niedopałek osiemnastego czy dwudziestego cygara, święcącego ten pamiętny dzień.

— Ukazał mi się w tym oto pokoju jak jakiś upiór — opowiadał kapitan Mitchell o swym Nostromie ze szczerą tkliwością uczucia i odcieniem wiele mówiącej dumy. — Może pan sobie wyobrazić, jakiego doznałem wrażenia. Oczywiście przybył tu z Barriosem okrężną drogą, morzem. Pierwszą rzeczą, której od niego się dowiedziałem, było, iż zdołał pochwycić łódkę lichtugi, unoszącą się na falach zatoki. Był do głębi wstrząśnięty tym zdarzeniem. I było to zdarzenie istotnie niezwyczajne, jeżeli się zważy, że upłynęło już szesnaście dni od zatopienia srebra. Zauważyłem od razu, że stał się innym człowiekiem. Wpatrywał się w ścianę, jakby po niej łaził pająk lub coś podobnego. Strata srebra wywołała zaburzenia w jego umyśle. Zapytał mnie od razu, czy doña Antonia usłyszała już o śmierci Decouda. Głos mu drżał. Odpowiedziałem na to, iż doña Antonia nie zdążyła jeszcze powrócić do miasta. Biedna dziewczyna! I właśnie chciałem go zagadnąć o tysiące różnych rzeczy, gdy z nagłym: „Przepraszam, señor!" uciekł z mojego biura. Nie widziałem go potem ze trzy dni. Byłem wtedy ogromnie zajęty, wie pan. Jak się zdaje, wałęsał się po mieście, a nocami sypiał w barakach kolejarzy. Okazywał najzupełniejszą obojętność na to, co się działo. Zapytałem go raz na pomoście: „Kiedy pan wróci do pracy, Nostromo? *Cargadorzy* będą mieć teraz mnóstwo roboty".

„Señor — powiedział, patrząc na mnie ospałym, badawczym wzrokiem — czy to pana zdziwi, gdy powiem, że czuję się jeszcze zbyt zmęczony, by się zabierać do pracy? I co ja mogę teraz robić? Czy będę śmiał spojrzeć moim *cargadorom* w oczy po stracie lichtugi?"

Prosiłem go, by już nie myślał o srebrze; uśmiechnął się. Uśmiech ten przeniknął mi do serca, panie! „To nie było zaniedbanie — powiedziałem mu. — To była fatalność, a na nią nie ma rady". — „*Si, si*" — odparł i odwrócił się. Pomyślałem, iż będzie najlepiej pozostawić go samego, żeby się z tym uporał. Byłem obecny przy jego rozmowie z don Carlosem. Muszę powiedzieć, iż Gould jest człowiekiem raczej oziębłym. Przez tyle lat musiał trzymać w karbach swe uczucia, mając do czynienia z łotrami i złodziejami, narażony nieustannie na zgubę własną i swej żony, iż chłód stał się drugą jego naturą. Patrzyli na siebie przez dłuższy czas. Don Carlos w właściwy sobie, spokojny i oględny sposób spytał go, co może dla niego uczynić.

„Moje imię jest znane od jednego krańca Sulaco do drugiego — odparł z równym spokojem. — Cóż więcej może pan dla mnie uczynić?" — I na tym na razie się skończy-

[267] *amarylis* — tropikalna roślina ozdobna o lejkowatych kielichach kwiatów. [przypis edytorski]
[268] *chwast* a. *chwost* (daw.) — pęczek piór, włosia a. nici użyty jako ozdoba. [przypis edytorski]

ło. Co prawda, kiedy później nadarzyła się sposobność nabycia bardzo pięknego szkunera przybrzeżnego, porozumiałem się z panią Gould; kupiliśmy ten statek i ofiarowaliśmy mu go. Ale spłacił go nam w całości w ciągu trzech lat. Zaczął nim krążyć, robiąc interesy wzdłuż całego tutejszego wybrzeża. Na domiar temu człowiekowi szczęściło się zawsze we wszystkim, prócz ocalenia tego srebra. Biedna doña Antonia również z nim rozmawiała, mając jeszcze w pamięci straszliwe przejścia w lasach Los Hatos. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o Decoudzie: co mówili, co robili, co myśleli do ostatniej chwili tej nieszczęsnej nocy. Pani Gould mówiła mi, że zachowywał się z wielkim spokojem i współczuciem. Panna Avellanos tylko raz zalała się łzami, gdy usłyszała od niego, jak Decoud wyraził się, iż jego plan będzie uwieńczony chlubnym powodzeniem... I nie ulega już wątpliwości, że trafnie przewidywał. Powodzenie jest zupełne.

Program był wreszcie bliski końca. I kiedy uprzywilejowany podróżnik, drżąc w miłym przewidywaniu odpoczynku, zapominał zadać sobie pytanie: „Na czym polegał ów plan Decouda?", kapitan Mitchell dopowiadał słowa:

— Żałuję, że musimy się tak szybko rozstać. Dzięki pańskiemu inteligentnemu zainteresowaniu przeżyłem miły dzień. Zobaczymy się jeszcze przy stole. Poznał pan po trosze „skarbiec świata". Bardzo udana nazwa. — Głos sternika, który oznajmiał od drzwi, że łódź jest gotowa, zwiastował ostateczne zakończenie całodziennego programu.

Nostromo rzeczywiście znalazł łódkę lichtugi, którą pozostawił Decoudowi na Wielkiej Izabeli. Unosiła się pusta na wodach zatoki. Znajdował się wówczas na pomoście pierwszego transportowca Barriosa, oddalonego o godzinę drogi od Sulaco. Barrios, który miał zawsze upodobanie do zuchwałych czynów i trafnie oceniał odwagę, wielce polubił *capataza*. Płynąc wzdłuż wybrzeża, generał nie puszczał Nostroma od siebie i często zwracał się do niego nagły i porywczy w sposób, co było u niego oznaką wielkiej przychylności.

Oczy Nostroma pierwsze dostrzegły z dala od dziobu okrętu nikłą, pierzchliwą, ciemną plamkę, która mając za sobą zwały trzech Izabel, ukazała się samotnie na wygładzonym, rozmigotanym pustkowiu zatoki. Bywają chwile, kiedy nie można zbywać lekceważeniem żadnego, bodaj najdrobniejszego szczegółu; warto zatem było zbadać, co oznacza ta łódka, błąkająca się z dala od brzegu. Na skinienie Barriosa transportowiec zszedł z kursu i podpłynął na taką odległość, że można było stwierdzić, iż w łupinie nikogo nie ma. Było to zwykłe czółno niesione prądem, z wiosłami w środku. Ale Nostromo, który całymi dniami miał nieustannie przed oczyma duszy postać Decouda, zapłonął podnieceniem, gdyż od razu poznał łódź lichtugi.

Nie mogło być mowy o zatrzymaniu się dla wyłowienia takiej drobnostki. Każda minuta miała znaczenie dla istnienia i przyszłości całego miasta. Płynącego na przedzie okręt, z generałem na pokładzie, wrócił na pierwotny kurs. Za nim podążyła pośpiesznie flota transportowców, rozwleczona na przestrzeni mili niby jak ogon morskiego dziwotworu, czerniąc się i dymiąc na tle zachodniego nieba.

— *Mi general* — zabrzmiał donośny, lecz spokojny głos Nostroma spoza gromadki oficerów. — Chciałbym uratować tę łódkę. *Por Dios*, znam ją. Należy do Towarzystwa, dla którego pracuję.

— A ty, *por Dios*, należysz do mnie — zarżał Barrios hałaśliwym, rozbawionym głosem. — Zrobię cię kapitanem kawalerii, gdy tylko znowu zobaczymy jakiegoś konia.

— Lepiej pływam niż jeżdżę konno, *mi general* — wołał Nostromo, przeciskając się do poręczy z ciemnymi błyskami w oczach. — Chciałbym...

— Chciałbyś? Co za zarozumiałe chłopisko! — pokpiwał jowialnie generał, nie patrząc nawet na niego. — Chciałby mi dać do zrozumienia, że nie zdobędziemy Sulaco bez niego! Ha, ha, ha! A może byś puścił się do niej wpław, mój chłopcze?

Głośny okrzyk, który przeleciał od jednego krańca statku do drugiego, powściągnął jego zrzędzenie. Nostromo wyskoczył za burtę; jego czarna głowa chybotała się na toni już daleko od okrętu. Generał mruknął struchlałym ze zgrozy głosem:

— *Cielo!*[269] Co ja grzeszny zrobiłem! — Wystarczyło jednak jedno zatrwożone spojrzenie, by zdał sobie sprawę, iż Nostromo płynie bez żadnego wysiłku. Huknął zatem groźnym głosem: — Nie, nie! Nie będziemy się zatrzymywali, by wyłowić tego zuchwalca. Niech się utopi ten zwariowany *capataz*!

[269] *Cielo!* (hiszp.) — Niebiosa! [przypis edytorski]

Żadna siła ludzka nie powstrzymałaby Nostroma od skoku w morze. Ta pusta łódź, która tak tajemniczo wypłynęła na jego spotkanie, jakby nią kierowała dłoń jakiego niewidzialnego widma, wywierała opętańcze wrażenie jakiegoś znaku, jakiegoś ostrzeżenia, była zaskakującą, zagadkową odpowiedzią na upartą myśl o skarbie i o losie pewnego człowieka. Byłby skoczył, gdyby go nawet czekała niechybna śmierć na tej półmilowej przestrzeni wodnej. Ale woda była gładka jak zwierciadło stawu, a z jakiegoś powodu w Zatoce Placido nie ma rekinów, choć po drugiej stronie Punta Mala roi się od nich wzdłuż wybrzeża.

Capataz chwycił się rufy łódki i ciężko odetchnął. Płynąc, doznawał jakiegoś dziwacznego, mdłego uczucia. Jeszcze w wodzie zdołał się pozbyć ubrania i butów. Wisiał czas jakiś na krawędzi łódki, odzyskując oddech. Niknące w oddali transportowce podążały wprost do Sulaco, wywołując wrażenie, jakby brały udział w pokojowych wyścigach, ćwiczeniach nawigacyjnych lub jakichś regatach. Połączone dymy z ich kominów unosiły się tuż nad jego głową niby jakaś zwiewna, siarczana mgławica. To dzięki jego męstwu, dzięki jego śmiałości, dzięki jego odwadze wypłynęły te okręty na morze, by ocalić życie i mienie *blancos*, ciemiężycieli ludu; by przyjść z pomocą kopalni San Tomé, by ratować dzieci.

Mocnym, zręcznym podrzutem wśliznął się do łodzi. Ta sama! Bez najmniejszej wątpliwości, bez jakiejkolwiek wątpliwości. Było to czółno lichtugi nr 3, czółno pozostawione na Wielkiej Izabeli Martinowi Decoudowi, żeby mógł sam sobie radzić, gdyby z wybrzeża niepodobna było przyjść mu z pomocą. I oto wypłynęło na jego spotkanie, puste i zagadkowe. Co stało się z Decoudem? *Capataz* dokonał drobiazgowego badania. Rozglądał się za jakąś rysą, za jakąś pozostałością, za jakimś znakiem. Jedyną rzeczą, którą odkrył, była rdzawa plama na wewnętrznej stronie burty. Nachylił się nad nią i potarł mocno palcem. Potem usiadł na rufie, bezwolny, ze złączonymi kolanami i skrzyżowanymi nogami.

Ociekający wodą od głowy do stóp, z mokrymi, obwisłymi wąsami i włosami, z przygasłym spojrzeniem utkwionym w dno czółna, *capataz cargodorów* z Sulaco przypominał topielca, który wynurzył się z toni, by przy zachodzie słońca odpocząć w łodzi. Podniecenie wywołane awanturniczą wyprawą i koniecznością powrotu na czas, podniecenie wywołane wysiłkiem i powodzeniem, ześrodkowaniem myśli o skarbie i jedynym człowieku, który o nim wiedział, przeminęło. Do ostatniej chwili wysilał umysł, zastanawiając się, jak dostać się na Wielką Izabelę niepostrzeżenie i bez straty czasu. Bowiem poczucie konieczności zachowania tajemnicy zrosło się ze skarbem tak ściśle, że nawet Barriosowi wzdragał się wspomnieć o obecności Decouda i srebra na wyspie. Listy, które zawiózł do generała, nadmieniały tylko pokrótce o stracie srebra, jako o czynniku mającym wpływ na stosunki w Sulaco. Jednooki pogromca tygrysów, węsząc z daleka bitwę, nie uważał za właściwe marnować czasu na wypytywanie posłańca. Toteż rozmawiając z Nostromem, Barrios wychodził z założenia, że don Martin Decoud poszedł na dno wraz z drogocennym kruszcem, zaś Nostromo, niepytany wprost, milczał pod wpływem jakiejś nieokreślonej niechęci i nieufności. „Niech don Martin sam o wszystkim powie" — powiedział sobie w duszy.

A teraz, kiedy trafił mu się sposób szybkiego dostania się na Wielką Izabelę, jego podniecenie minęło, jak kiedy dusza ulatuje, pozostawiając w bezwładzie ciało na ziemi, której już nie zna. Nostromo jakby nie poznawał zatoki. Przez długi czas nawet jego powieki nie drgnęły nad pustką jego szklistego spojrzenia. Następnie z wolna, bez najlżejszego ruchu, bez drgnienia mięśnia lub mrugnięcia powieki, po jego zakrzepłych rysach przemknął wyraz życia, głęboka myśl błysnęła w pustce źrenicy — jak gdyby jakaś błędna dusza, zadumana spokojnie dusza, spotkawszy na swej drodze to opuszczone ciało, wzięła je ukradkiem w posiadanie.

Capataz, zmarszczył brwi. Wśród niezmiernej ciszy wód, wysp i wybrzeża, wśród skłębionych chmur na niebie i smug światła na toni to zmarszczenie brwi miało dobitność potężnego gestu. Przez długi czas nic się nie poruszało. Następnie Capataz potrząsnął głową i znów pogrążył się w powszechnym spokoju wszystkich widzialnych rzeczy. Nagle podchwycił wiosła i jednym ruchem obrócił czółno dziobem ku Wielkiej Izabeli. Zanim jednak zaczął wiosłować, pochylił się raz jeszcze nad rdzawą plamą na burcie.

— Wiem, co to jest — zamamrotał do siebie, potrząsając przemyślnie głową. — To krew!

Jego uderzenia wiosłem były długie, mocne i równomierne. Od czasu do czasu zerkał przez ramię na Wielką Izabelę, której niskie urwiste wybrzeże miało dla jego trwożnych spojrzeń nieodgadniony wygląd. W końcu dziób łodzi dotknął brzegu. Nostromo rzucił raczej, niż wepchnął łódź na piasek małej plaży. Z nagła, odwróciwszy się plecami do zachodzącego słońca, podążył wielkimi krokami w głąb wąwozu, roztrącając i rozpryskując za każdym krokiem wodę strumienia, jak gdyby deptał jej ciche, przejrzyste, szemrzące bóstwo swą stopą. Pragnął skorzystać z każdej chwili dziennego światła.

Zwał ziemi, murawy i połamanych chaszczy obsunął się z góry bardzo naturalnie na zagłębienie pod pochyłym drzewem. Decoud wykonał zadanie ukrycia srebra według otrzymanych wskazówek, przemyślnie posługując się łopatą. Ale półuśmiech uznania na ustach Nostroma zmienił się w pogardliwe ściągnięcie warg, gdy ujrzał łopatę porzuconą w widocznym miejscu, jakby całkiem niedbale lub w nagłym popłochu, co zdradzało wszystko. Ach, wszyscy oni są jednacy w swej głupocie, ci *hombres finos*, którzy wynaleźli prawa, rządy i jałowe obowiązki dla ludu!

Capataz podniósł z ziemi łopatę, kiedy zaś uczuł jej rękojeść w dłoni, odezwało się w nim nagłe pragnienie obejrzenia skórzanych skrzynek zawierających skarb. Kilkoma machnięciami łopaty odsłonił ich krawędzie i narożniki, po czym, odwalając dalej ziemię, zauważył, iż jedna ze skrzynek została rozpruta nożem. Krzyknął na ten widok zdławionym głosem i rzucił się na kolana, oglądając się za siebie przez jedno, to przez drugie ramię z nierozumną podejrzliwością. Twarda skóra zamknęła się w miejscu przecięcia i zawahał się, zanim wetknął rękę przez długą szparę i wyczuł wewnątrz sztaby kruszcu. Były tam. Jedna, dwie, trzy... Tak, czterech brakowało. Wyjęto je. Cztery sztaby. Lecz kto wyjął? Decoud? Nikt inny. I po co? W jakim celu? Dla jakiego przeklętego kaprysu? Niech się wytłumaczy! Cztery sztaby wywiezione na łódce i — krew!

W obliczu otwartych wód zatoki, w obliczu, jasnego, nieprzesłoniętego chmurami, niezmiennego słońca, które nurzało się w toni, składając się w tajemniczej całopalnej ofierze, z dala od śmiertelnych oczu wśród nieskończonego majestatu ciszy i spokoju — te cztery sztaby srebra... i krew!

Capataz podniósł się z wolna.

— Możliwe, że po prostu zaciął się w rękę — mruknął — Ale w takim razie...

Usiadł na rozpulchnionej ziemi, bezwładnie, jakby przykuty do skarbu, i objął dłońmi kolana z wyrazem beznadziejnej uległości, jak niewolnik siedzący na straży. Raz tylko poderwał głowę: grzechot silnego ognia karabinowego dotarł do jego uszu, spływając z wysoka niby grad suchego grochu spadającego na bęben. Posłuchawszy chwilę, rzekł półgłosem:

— Nie powróci już nigdy, żeby się wytłumaczyć...

I znowu zwiesił głowę.

— Niemożliwe! — mruczał posępnie.

Odgłosy strzelaniny zamarły. Łuna wielkiego pożaru w Sulaco rozpostarła się czerwono nad wybrzeżem, igrała na obłokach przy wylocie zatoki, muskała rdzawą i złowieszczą poświatą kształty trzech Izabel. Nie widział jej, chociaż podniósł głowę.

— Ale w takim razie się nie dowiem — odezwał się na cały głos i siedział znowu nieruchomo, milczący i zapatrzony przed siebie.

Nie mógł się dowiedzieć. Nikt nie miał się dowiedzieć. O ile można przypuszczać, koniec don Martina Decouda nie stał się przedmiotem rozmyślań dla nikogo prócz Nostroma. Gdyby znano prawdę, zawsze pozostawałoby jeszcze pytanie: dlaczego? Natomiast pogłoska o jego śmierci podczas zatonięcia lichtugi nie pozostawiała niepewności co do przyczyny. Młody apostoł utworzenia oddzielnego państwa zginął wskutek nieodżałowanego wypadku, walcząc za swą ideę. Tymczasem naprawdę umarł skutkiem samotności, tego wroga znanego tylko bardzo niewielu śmiertelnikom, któremu stawić opór są zdolni tylko najpośledniejsi z prostaczków. Świetny Costaguanero z bulwarów paryskich zginął skutkiem samotności oraz braku wiary w siebie i w innych.

Dla jakiegoś słusznego i ważnego powodu, niedostępnego pojmowaniu ludzkiemu, morskie ptactwo zatoki unika Izabel. Jego przybytkiem jest skalisty wierzchołek Azuery; jej kamieniste upłazy i rozpadliny rozbrzmiewają od ich dzikich, gwarnych krzyków, jakby od wiecznych kłótni o legendarne skarby.

Pod koniec pierwszego dnia pobytu na Wielkiej Izabeli Decoud, przewracając się w cieniu drzewa na legowisku, które usłał sobie z ostrej trawy, powiedział sobie:

— Nie widziałem przez cały dzień ani jednego ptaka.

Nie słyszał też przez cały dzień żadnego szmeru prócz mamrotania własnego głosu. Był to dzień absolutnej ciszy, pierwszy, jakiego zaznał w życiu. A nie zasnął ani na jedno mgnienie. Mimo tylu bezsennych nocy i tylu dni walk, rozmyślań, nawoływań, przede wszystkim zaś mimo ubiegłej nocy, pełnej niebezpieczeństw i twardego fizycznego wysiłku na wodach zatoki, nie był zdolny zmrużyć oczu ani na chwilę. Nie mógł zasnąć, chociaż od wschodu do zachodu słońca przeleżał, złakniony snu, na ziemi bądź to na wznak, bądź też twarzą do swego posłania.

Przeciągnął się i powolnymi krokami zszedł do wąwozu, by spędzić noc obok srebra. Gdyby Nostromo powrócił, co mogło nastąpić lada chwila, tam właśnie by go szukał, zwłaszcza że noc była najodpowiedniejszą porą na próbę spotkania się. Z zupełną obojętnością przypomniał sobie, iż nie miał nic w ustach, odkąd pozostał sam na wyspie.

Przepędził noc z otwartymi oczyma, a kiedy dzień zaświtał, pożywił się nieco z tą samą obojętnością. Świetny „potomek Decoudów", popsuty pieszczoch rodziny, wielbiciel Antonii i publicysta ze Sulaco nie był zdolny do zmagania się ze sobą sam na sam. Samotność, tworzona tylko przez zewnętrzne warunki istnienia, rychło staje się stanem duszy, w którym nie ma miejsca dla komedianckich błazeństw ironii i sceptycyzmu. Opanowuje i pędzi myśl w wygnańcze pustkowie ostatecznej niewiary. Po trzech dniach oczekiwania na widok ludzkiej twarzy Decoud przychwycił się na powątpiewaniu we własną osobowość. Roztopiła się w świecie obłoków i wód, sił natury i kształtów przyrody. Tylko w naszym działaniu znajdujemy pokrzepiające złudzenie istnienia niezależnego od całokształtu rzeczy, którego jesteśmy bezradną cząstką. Decoud postradał zupełnie wiarę w rzeczywistość swych przeszłych i przyszłych czynów. Piątego dnia ogarnęła go bezmierna melancholia. Postanowił, że nie odda się w ręce tych ludzi z Sulaco, którzy otaczali go jak jakieś bełkoczące, sprośne widma, nierzeczywiste i okropne. Widział siebie, niedołężnie walczącego pośrodku, i Antonię, olbrzymią i wdzięczną jak alegoryczny posąg, spoglądającą pogardliwie na jego słabość.

Melancholia, Czyn, Kondycja ludzka

Żadna żywa istota, żadna plamka dalekiego żagla nie ukazała się w polu jego widzenia, więc jakby chcąc uniknąć samotności, pogrążył się w swej melancholii. Niejasne poczucie chybionego życia, ulegającego popędom, których wspomnienie pozostawiło mu gorzki posmak w ustach, było pierwszym przejawem moralnym w jego męskim życiu. Równocześnie jednak nie odczuwał skruchy. Czegóż miał żałować? Nie uznawał innej cnoty prócz inteligencji, a namiętności podźwignął do poziomu obowiązków. Zarówno jego inteligencja, jak i jego namiętności roztopiły się łatwo w ogromie nieprzerwanej samotności oczekiwania bez wiary. Bezsenność pozbawiła jego wolę wszelkiej energii, bowiem przez siedem dni nie spał nawet siedmiu godzin. Jego smutek był smutkiem sceptycznego umysłu. Widział wszechświat jako szereg niepojętych obrazów. Nostromo zginął. Wszystko haniebnie zawiodło. Nie śmiał już myśleć o Antonii. Nie przeżyła tego wszystkiego. Jeżeli jednak przeżyła, to nie będzie mógł spojrzeć jej w twarz. Wszelkie wysiłki wydawały się mu niedorzecznością.

Dziesiątego dnia, po nocy spędzonej bez zmrużenia oka (majaczyło mu się, iż Antonia nie mogła nigdy kochać istoty tak nierzeczywistej jak on), samotność zaczęła mu się wydawać jakby wielką pustką, a cisza zatoki napiętą, cienką liną, na której wisiał, uczepiony obiema rękami, bez lęku, bez zdumienia, bez jakichkolwiek wrażeń. Dopiero pod wieczór, pod wpływem względnego ukojenia chłodem, zapragnął, by ta lina się zerwała. Wyobrażał sobie, że to zerwanie nastąpi niby wystrzał z pistoletu, z ostrym, suchym trzaskiem. I to będzie jego koniec. Rozmyślał o tej możliwości z rozkoszą, ponieważ przerażały go bezsenne noce; ich cisza, naprężona na podobieństwo liny, na której wisiał, uczepiony obiema rękami, drgała niedorzecznymi frazami, zawsze tymi samymi, lecz najzupełniej niepojętymi, o Nostromie, o Antonii, o Barriosie i proklamacjach. Frazy te zlewały się w ironiczne, bezsensowne brzęczenie. Za dnia odczuwał tę ciszę niby linę w bezruchu, napiętą do ostatnich granic, na której końcu wisiało jego życie, jego płonne życie.

— Ciekaw jestem, czy usłyszę, jak się zrywa, zanim spadnę — zadawał sobie pytanie.

Słońce już od dwóch godzin widniało na widnokręgu, gdy powstał, wychudły, brudny, pobladły, i spojrzał na nie czerwono obwiedzionymi oczami. Członki dawały się powodować jego woli ociężale, jakby były pełne ołowiu, ale bez drżenia. Nadawało to jego ruchom stanowczą, rozważną godność. Działał, jak gdyby dokonywał jakiegoś obrzędu. Zszedł do wąwozu, bowiem urok srebra, z jego potężną mocą, pozostał jedyną rzeczą, która przetrwała poza nim. Podniósł z ziemi pas z rewolwerem i założył na siebie. Lina ciszy nie zerwie się przenigdy na wyspie. „Muszę spaść i utonąć w morzu — myślał. — I utonąć!..." — Rzucił okiem na luźną ziemię, pokrywającą skarb. — „W morzu!" — Wyglądał jak lunatyk. Przykucnął nisko i zaczął przemyślnie grzebać cierpliwymi palcami, aż odsłonił jedną ze skrzynek. Bez namysłu, jak gdyby robił coś, co już nieraz zdarzało mu się robić, rozpruł ją i wyjął z niej cztery sztaby, które włożył do kieszeni. Przykrył powtórnie ziemią odsłoniętą skrzynkę i idąc krok za krokiem, wyszedł z wąwozu. Chaszcze zamknęły się za nim z szelestem.

Jeszcze trzeciego dnia swej samotności przywlókł czółno w pobliże strumienia, mając zamiar gdzieś odpłynąć. Odstąpił jednak od tego zamiaru, po części za poszeptem chwiejnej nadziei, iż Nostromo powróci, po części zaś pod wpływem przeświadczenia o zupełnej bezużyteczności wszelkich wysiłków. Teraz trzeba było tylko z lekka pchnąć czółno, by zakołysało się na toni. Oprócz pierwszego dnia codziennie jadał co nieco i zachował jeszcze trochę siły w mięśniach. Ujął z wolna wiosła i odbił od urwistego brzegu Wielkiej Izabeli, która wznosiła się za nim, rozgrzana słońcem niby ciepłem życia, skąpana w szczodrym świetle od podnóża do szczytu, jakby w światłości wesela i nadziei. Wiosłował wprost ku zachodzącemu słońcu. Gdy zatoka okryła się mrokiem, przestał wiosłować i rzucił wiosła na dno łodzi. Pusty łoskot, jaki wydały padając, był dla niego najdonośniejszym zgiełkiem zasłyszanym w życiu. Podziałał jak objawienie. Zdawał się jakby przywoływać go z bardzo daleka. Przez głowę przemknęła mu myśl: „Może będę mógł usnąć dzisiejszej nocy". Ale w to nie uwierzył. Nie wierzył w nic. Nie ruszył się z poprzecznej ławki.

Świt spoza gór błysnął w jego szeroko otwarte oczy. Po jasnym brzasku słońce wzeszło wspaniale nad szczytami. Rozmigotał się przestwór zatoki dokoła łodzi. W tej chwale bezlitosnej samotności cisza objawiła się mu znowu, napięta niby ciemna, cienka struna.

Oczy jego patrzyły na nią przez chwilę bez pośpiechu, gdy przesiadał się z poprzeczki na skraj łodzi. Patrzyły na nią uporczywie, a tymczasem jego ręka sięgnęła do pasa, odpięła klapę skórzanego futerału, wyjęła rewolwer, skierowała lufę do piersi, pociągnęła za spust i z kurczowym rozmachem cisnęła dymiącą jeszcze broń w powietrze. Jego oczy patrzyły na nią, gdy runął przed siebie i zawisł piersiami na burcie, zaciskając palce prawej ręki na poprzeczce. Patrzyły...

— Dokonało się — wykrztusił przez krew, która nagle napłynęła mu do ust. Ostatnią jego myślą było: „Ciekaw jestem, w jaki sposób zginął *capataz*". — Jego zaciśnięte palce rozluźniły się i wielbiciel Antonii Avellanos stoczył się w morze, nie usłyszawszy, jak zrywa się struna ciszy w pustce Zatoki Placido, której lśniąca powierzchnia pozostała niezmącona po upadku jego ciała.

Ofiara odartego ze złudzeń znużenia, które jest odwetem za zuchwalstwo intelektualne, wytworny don Martin Decoud, obciążony sztabami srebra z kopalni San Tomé, przepadł bez śladu, pochłonięty przez niezmierną obojętność wszechrzeczy. Jego bezsenna, skulona postać opuściła kruszec z kopalni San Tomé, zaś duchy dobra i zła, które czają się w pobliżu każdego ukrytego skarbu doczesnego, mogły przez czas jakiś mniemać, iż o skarbie ukrytym na tej wysepce zapomnieli wszyscy ludzie. Jednak po kilku dniach inna postać wyłoniła się z poświat zachodzącego słońca, by spędzić noc na czuwaniu wśród mroków ciasnego wąwozu niemal w takiej samej, nieruchomej postawie i w tym samym miejscu, gdzie zwykł był siadywać tamten bezsenny człowiek, który tak spokojnie odpłynął na zawsze w małym czółnie o zachodzie słońca. A duchy dobra i zła, które zwykły się czaić koło zaklętych skarbów, wlot pojęły, iż srebro z kopalni San Tomé pozyskało teraz wiernego, dozgonnego niewolnika.

Świetny *capataz de cargadores*, ofiara zawiedzionej próżności, która jest odwetem za zuchwalstwo czynu, przesiedział całą noc w znużonej postawie tropionego wyrzutka, dręczony bezsennością, nie mniej dotkliwą od bezsenności Decouda, swego towarzysza w najrozpaczliwszej chwili życia. Zastanawiał się, w jaki sposób zginął Decoud. Wiedział

jednak, w jaki sposób sam przyczynił się do jego śmierci. Najpierw kobieta, potem mężczyzna, porzuceni w swojej ostatecznej potrzebie dla tego przeklętego skarbu. Opłacił go zgubą duszy i zatratą życia. Po bladej, milczącej zgrozie ogarnął go poryw bezmiernej dumy. Nikt inny na całym świecie, tylko Gian' Battista Fidanza, *capataz de cargadores*, nieprzekupny i wierny Nostromo, był zdolny zapłacić taką cenę.

Postanowił w duszy, iż nic nie zdoła już mu wydrzeć jego łupu. Nic. Decoud zginął. Ale jak? Nie było cienia wątpliwości, że zginął. Jednak te cztery sztaby?... Po co? Czy miał zamiar wrócić po więcej, kiedy indziej?

Skarb rozpościerał swą tajemną władzę. Mącił jasność umysłu człowieka, który za niego zapłacił. Nostromo był pewien, że Decoud nie żyje. Swymi szmerami zdawała się mówić o tym cała wyspa. Umarł! Odszedł! Przychwycił się na przysłuchiwaniu się szelestom chaszczy i rozpryskom wody w łożysku strumienia. Zginął! Ten gaduła, *novio* doñii Antonii!

— Ha! — mruknął, z głową na kolanach pod sinością zamglonego brzasku, świtającego nad wyzwolonym Sulaco i szarą jak perzyna zatoką. — On do niej poleci. Poleci do niej!

A te cztery sztaby! Czy zabrał je z zemsty, by rzucić urok, jak ta zagniewana kobieta, która przepowiedziała mu zgryzotę i niepowodzenia, a jednak obarczyła go obowiązkiem ocalenia dzieci? Ano, ocalił je. Pokonał zaklęcie nędzy i głodu. Uczynił to sam, a może wspomagany przez diabła. Co komu do tego? Dokonał tego, mimo że go oszukano, i ocalił zarazem kopalnię San Tomé, która wydawała mu się nienawistna i niezmierzona, władająca przy pomocy swych ogromnych bogactw nad wartością, znojem, wiernością biedaków, nad wojną i pokojem, nad działalnością miasta, Campo i morza.

Słońce rozjaśniło niebo za szczytami Kordylierów. *Capataz* nie odwracał przez chwilę oczu od luźnej ziemi, kamieni i pogruchotanych chaszczy, które przysłaniały kryjówkę ze srebrem.

— Trzeba się będzie bogacić bardzo powoli — rozmyślał głośno.

ROZDZIAŁ XI

Sulaco wyprzedziło przezornego Nostroma, bogacąc się szybko na skarbach ukrytymi w ziemi, których strzegą czujne duchy dobra i zła, wygrzebywanych pracowitymi rękami ludu. Była to jakby druga młodość, niby nowe życie, pełne obietnic, niepokojów i trudu, rozsiewające szczodrze swe bogactwa na cztery strony roznamiętnionego świata. Zmiany materialne podążały śladem interesów materialnych. Zaś inne zmiany, bardziej subtelne i od zewnątrz niedostrzegalne, dokonywały się w umysłach i sercach pracowników. Kapitan Mitchell powrócił do ojczyzny, by żyć z oszczędności zainwestowanych w kopalni San Tomé. Doktor Monygham postarzał się, głowę przyprószyła mu siwizna, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. Żył z niewyczerpanego skarbu swej ofiarnej tkliwości, dobywanej z kryjówek jego serca, które było niczym schowek bezprawnych bogactw.

Naczelny inspektor szpitali państwowych (których utrzymanie obciążało koncesję Gouldów), urzędowy doradca sanitarny władz miejskich, główny lekarz Zjednoczonych Kopalni San Tomé (których terytoria, zawierające złoto, srebro, miedź, ołów i kobalt, rozpościerają się całymi milami wzdłuż podnóży Kordylierów) czuł się jak wynędzniały, nieszczęśliwy i przymierający głodem, kiedy Gouldowie po raz drugi wyjechali na dłuższy czas do Europy i Stanów Zjednoczonych. Zżył się z domem, złożył dowody przyjaźni, był starym kawalerem, który nie był niczym związany i nie miał żadnych zobowiązań (prócz zawodowych), więc zaproszono go, by zamieszkał w Casa Gould. Jedenastego miesiąca ich nieobecności znajome pokoje, przypominające mu wszędzie kobietę, której oddał się całym sobą, stały się dla niego nie do zniesienia. Gdy zaczął się przybliżać dzień przybycia pocztowego „Hermesa" (najświeższego nabytku wspaniałej floty T.O.Ż.P.), doktor kuśtykał żwawiej i parskał bardziej zgryźliwie po prostu z samej tylko nerwowości.

Pakował swe skromne manatki z pośpiechem, z zaciekłością, z entuzjazmem. Z radością i upojeniem patrzył, jak omijając starego odźwiernego, wynoszono je za bramę Casa Gould. Kiedy zaś nadeszła wyczekiwana godzina, wsiadł samotnie do wielkiej landary zaprzężonej w białe muły, skrzywił wprost jadowicie twarz, by nie postradać panowania nad sobą, i trzymając w lewej ręce parę nowych rękawiczek, pojechał do portu.

Kiedy ujrzał Gouldów, stojących na pokładzie „Hermesa", serce tak wezbrało mu w piersi, iż jego powitania ograniczyły się do zdawkowego pomruku. Jadąc do miasta, wszyscy troje zachowywali milczenie. Na patio doktor odezwał się naturalniejszym tonem:

— Pozostawię teraz państwa samych. Zajdę jutro, jeśli mi będzie wolno.

— Proszę przyjść na śniadanie, drogi doktorze Monygham, i nich pan przyjdzie wcześnie — rzekła pani Gould i odwróciwszy się, spojrzała na niego u podnóża schodów. Miała na sobie podróżną suknię, twarz jej przysłaniała woalka. Stojąca we wnęce Madonna w błękitnych szatach i z Dzieciątkiem na ręku zdawała się pozdrawiać ją z wyrazem współczującej słodyczy.

— Niech pan się nie spodziewa, że zastanie mnie pan w domu — uprzedził go Charles Gould. — Wybieram się wczesnym rankiem do kopalni.

Po śniadaniu doña Emilia i *señor doctor* wyszli z wolna przez wewnętrzną bramę patia. Roztaczały się przed nimi obszerne ogrody Casa Gould, otoczone wysokimi murami i pokrytymi czerwoną dachówką dachami sąsiednich domów. Było pełno cienia pod drzewami i gładkich połaci słonecznych na trawnikach. Potrójny rząd starych drzew pomarańczowych okalał wnętrze ogrodu. Śniadzi, bosi ogrodnicy w śnieżnobiałych koszulach i szerokich *calzoneras* pielili, przykucnąwszy nad kwietnikami, lub przemykali się wśród drzew, grabiąc ścieżki. Nikłe smużki rozpryskującej się wody krzyżowały się wdzięcznymi krzywiznami i migotały w słońcu, spadając z cichym, pluszczącym szmerem na krzewy lub mżąc pyłem diamentów na trawniki.

Doña Emilia w powłóczystej, jasnej sukni szła obok doktora Monyghama, ubranego w długi, czarny surdut; surowa czerń krawata odcinała się od nieskazitelnej białości jego koszuli. Pod cienistą kępą drzew, gdzie stały małe stoliki i wiklinowe fotele, pani Gould usiadła w niskim, obszernym siedzisku.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi — rzekła do doktora Monyghama, który nie był zdolny ruszyć się z miejsca. Wcisnąwszy brodę w głąb kołnierza, pożerał ją ukradkiem oczyma, które na szczęście były okrągłe i twarde niby marmurowe gałki i nie umiały wyrażać jego uczuć. Znamiona czasu na licach tej kobiety, oznaki słabości i znużenia, które zaciążyły na oczach i skroniach „nigdy nieznużonej señory", jak zwykł z podziwem nazywać ją przed laty don Pépé, wzruszyły go niemal do łez.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi. Dzień dzisiejszy należy do mnie — nalegała pani Gould łagodnie. — Nie powróciliśmy jeszcze oficjalnie. Dopiero jutro okna Casa Gould rozświetlą się na przyjęcie gości.

Doktor osunął się na krzesło.

— Urządza pani *tertulię*[270]? — zapytał z roztargnieniem.

— Zwykłe powitanie wszystkich miłych przyjaciół, którzy zechcą przyjść.

— I dopiero jutro?

— Tak. Charles będzie zmęczony po powrocie z kopalni, ja zaś... chciałabym go mieć dla siebie przez jeden wieczór po powrocie do domu, który kocham. Ten dom widział całe moje życie.

— No, tak — warknął doktor nagle. — Kobiety liczą czas od swojego wesela. Czyż przedtem pani nie żyła?

— Zapewne. Ale czy o tym się pamięta? Wtedy nie było trosk.

Pani Gould westchnęła. I jak para przyjaciół, którzy po długiej rozłące rozpamiętywają najburzliwszy okres swego życia, zaczęli rozmawiać o rewolucji w Sulaco. Pani Gould wydawało się dziwne, iż ludzie, którzy brali w niej udział, zdają się już zapominać o niej i o wypływającej z niej nauce.

— A jednak — wtrącił doktor — my wszyscy, którzy braliśmy w niej udział, otrzymaliśmy nagrodę. Don Pépé, chociaż obarczony wiekiem, wciąż jeszcze może dosiąść konia. Barrios zapija się na śmierć w wesołym towarzystwie gdzieś tam w swojej posiadłości za Bolson de Tomoro. Zaś bohaterski ojciec Roman — wyobrażam sobie tego starego *padre* wysadzającego systematycznie kopalnię San Tomé i po każdym wybuchu wśród pobożnych zaklęć zażywającego całymi garściami tabakę — otóż bohaterski oj-

[270] *tertulia* (hiszp.) — spotkanie towarzyskie; przyjęcie. [przypis edytorski]

ciec Roman powiada, iż nie obawia się, żeby misjonarze Holroyda wyrządzili wśród jego owieczek jakiekolwiek szkody, dopóki on żyje.

Pani Gould wzdrygnęła się z lekka na przypomnienie zguby, której tak blisko była kopalnia San Tomé.

— A pan, drogi przyjacielu?

— Dokonałem dzieła, do którego się nadawałem.

— Zajrzał pan w oczy najokropniejszemu niebezpieczeństwu. Straszliwszemu od śmierci.

— Nie, pani Gould! Tylko śmierci przez powieszenie. I zostałem nagrodzony ponad moją zasługę.

Zauważywszy, iż spojrzenie pani Gould spoczywa na nim, spuścił oczy.

— Zrobiłem karierę, jak pani widzi — rzekł naczelny inspektor szpitali państwowych, poprawiając z lekka poły swego wytwornego, czarnego surduta. Poczucie własnej godności u doktora, zaznaczające się wewnętrznie zupełnym zniknięciem z jego snów ojca Berona, objawiło się na zewnątrz w tym, iż wbrew swemu dawniejszemu niedbalstwu zaczął uprawiać nadmierny kult zewnętrznego wyglądu. Zamknięta w surowych granicach kształtu i barwy, lecz zawsze świeża, ta zmiana stroju nadawała doktorowi Monyghamowi wygląd zawodowy i zarazem uroczysty. Jednakże jego chód i niezmienny, cierpki wyraz twarzy pozostawały z nimi w jaskrawej sprzeczności.

— Tak — mówił dalej. — Wszyscy zostaliśmy nagrodzeni: naczelny inżynier, kapitan Mitchell...

— Widzieliśmy go — podchwyciła pani Gould swym wdzięcznym głosem. — Poczciwiec przyjechał z prowincji, żeby nas odwiedzić w hotelu w Londynie. Zachowywał się z wielką godnością, ale coś mi się zdaje, że żal mu Sulaco. Tak ględził o „historycznych wypadkach", iż zdawało się mi już, że się popłaczę.

— Hm — chrząknął doktor — pewno się zestarzał. Nawet Nostromo się postarzał, chociaż się nie zmienił. Skoro o nim mówimy, chciałbym pani coś powiedzieć...

Już od pewnego czasu dom był pełen pomruków i rozgwarów. Nagle dwaj ogrodnicy, którzy krzątali się przy różach, upadli na kolana i pochylili głowy przed Antonią Avellanos, która weszła w towarzystwie swego wuja.

Otrzymawszy czerwony kapelusz po krótkim pobycie w Rzymie, dokąd zaprosiła go Propaganda[271], ojciec Corbelan, misjonarz dzikich Indian, spiskowiec, przyjaciel i opiekun rozbójnika Hernandeza, stąpał wielkimi, powolnymi krokami, szczupły i pochylony. Swe potężne dłonie założył w tył. Pierwszy kardynał-arcybiskup Sulaco zachował swój fanatyczny i posępny wygląd kapelana bandytów. Powiadano, iż jego niespodziewane wyniesienie do godności purpurata było odruchem przeciw protestanckiemu naporowi na Sulaco, zorganizowanemu przez Fundację Misyjną Holroyda. Antonia, której uroda nieco przygasła, a kształty lekko się zaokrągliły, szła z właściwym sobie, pogodnym spokojem, uśmiechając się z daleka do pani Gould. Przyprowadziła swego wuja, by odwiedzić drogą Emilię tuż przed samą sjestą.

Gdy wszyscy znowu zajęli miejsca, doktor Monygham usiadł na uboczu, udając, iż jest pogrążony w głębokiej zadumie, gdyż zaczął serdecznie nie cierpieć każdego, kto z zażyłością zbliżał się do pani Gould. Głośniejsze słowa Antonii sprawiły, iż podniósł głowę.

— Jakże możemy opuścić jęczących pod uciskiem, którzy zaledwie przed kilkoma laty byli naszymi rodakami, którzy nadal nimi są? — mówiła panna Avellanos. — Jakże możemy być bezlitośni, ślepi i głusi na straszliwe krzywdy naszych braci? Jest na to lekarstwo.

— Przyłączyć resztę Costaguany do ładu i pomyślności Sulaco — mruknął doktor. — Nie ma innego sposobu.

— Jestem pewna, *señor doctor* — rzekła Antonia z powagą niezłomnego przekonania — iż takie były od początku zamierzenia biednego Martina.

— Zapewne, lecz interesy materialne nie pozwolą narażać swego rozwoju dla czystej idei sprawiedliwości i współczucia — mamrotał doktor zgryźliwie. — I może tak jest dobrze.

---

[271] *Propaganda* — Kongregacja Rozkrzewiania Wiary (łac. *Congregatio de Propaganda Fide*), urząd watykański zajmujący się misyjną działalnością Kościoła katolickiego, założony w 1622. [przypis edytorski]

Kardynał-arcybiskup wyprostował swą chudą, kościstą postać.

— Pracowaliśmy dla nich, stworzyliśmy te materialne interesy dla cudzoziemców — odezwał się głębokim, oskarżającym tonem.

— A bez nich jesteście niczym — zawołał doktor z odległości. — Nie pozwolą wam...

— Niech się mają na baczności, aby lud, którego dążenia powstrzymują, nie powstał i nie upomniał się o udział w bogactwach i we władzy — oświadczył popularny kardynał-arcybiskup ze znaczącą pogróżką.

Nastąpiło milczenie, podczas którego jego eminencja utkwił chmurne spojrzenie w ziemię, a Antonia z wdziękiem siedziała wyprostowana na krześle i oddychała spokojnie w poczuciu mocy swych przekonań. Rozmowa przeszła następnie na tematy towarzyskie. Gawędzono o pobycie Gouldów w Europie. Kardynał-arcybiskup, przebywając w Rzymie, cierpiał na nieustanne bóle głowy. Było to następstwem klimatu, złego powietrza.

Gdy wuj i siostrzenica odchodzili, służba znowu upadła na kolana, a stary odźwierny, który znał jeszcze Henryka Goulda, zupełnie już ślepy i bezsilny, przypełzł, by ucałować wyciągniętą rękę jego eminencji. Doktor Monygham, patrząc za odchodzącymi, wyrzekł jedno słowo:

— Niepoprawni.

Pani Gould podniosła oczy w górę i opuściła bezwładnie na kolana białe ręce, migocące złotem i drogocennymi kamieniami licznych pierścionków.

— Spiskują. Tak! — rzekł doktor. — Ostatnia z Avellanosów i ostatni z Corbelanów spiskują ze zbiegami z Santa Marta, którzy napływają tu po każdej rewolucji. Pełno ich w Cafe Lambroso na rogu *plaza*. Słychać ich gwar aż na ulicy, niczym gęganie z kojca. Spiskują, by wtargnąć do Costaguany. A wie pani, gdzie szukają potrzebnych sił? W tajnych stowarzyszeniach, wśród zbiegów i ludności miejscowej, gdzie Nostromo — chciałem powiedzieć, kapitan Fidanza — jest wielkim człowiekiem. Czemu zawdzięcza to stanowisko? Kto wie? Geniuszowi? Jest genialny. Ma teraz większe uznanie wśród ludu, niż miał kiedykolwiek. Wydaje się, jakby rozporządzał jakąś ukrytą siłą, jakimiś tajemnymi środkami dla podtrzymania swych wpływów. Naradza się z arcybiskupem jak za dawnych czasów, które i pani, i ja pamiętamy. Barrios jest bezużyteczny. Ale na dowódcę wojskowego wzięli sobie pobożnego Hernandeza. I mogą wzburzyć kraj nowym hasłem: bogactwa dla ludu!

— Czy nigdy nie będzie spokoju? Nigdy nie będzie wytchnienia? — szepnęła pani Gould. — Myślałam, że...

Interes, Prawo, Dobro

— Nie! — przerwał doktor. — Nie ma spokoju i nie ma wytchnienia w rozwoju interesów materialnych. Mają one swoje prawa i swoją sprawiedliwość. Ale opierają się na pozorach i są nieludzkie. Są pozbawione prawości, ciągłości i siły, które można znaleźć tylko w zasadach moralnych. Nadchodzi czas, że wszystko to, przy czym obstawała koncesja Gouldów, zaciąży ludowi równie nieznośnie jak barbarzyństwo, okrucieństwo i nierząd sprzed kilku lat.

— Jak pan może coś podobnego mówić, doktorze Monygham? — krzyknęła, jakby urażona w najtkliwsze miejsce duszy.

— Mogę mówić, bo to prawda — upierał się doktor zawzięcie. — Zaciąży ludowi tak samo nieznośnie i wywoła niechęć, rozlew krwi i mściwość, ponieważ ludzie się zmienili. Czy pani sądzi, że górnicy poszliby teraz na miasto, by ratować swego *señora administradora*? Sądzi pani?

Przycisnęła splecione ręce do oczu i szepnęła beznadziejnie:

— Po to żeśmy pracowali?

Doktor pochylił głowę. Potrafił podążyć za jej niewypowiedzianą myślą. Czy po to pozbawiono jej życie wszelkiej cichej szczęśliwości powszedniego uczucia, którego jej czułość potrzebowała, jak ciało ludzkie potrzebuje powietrza do oddychania? I doktor, oburzony na zaślepienie Charlesa Goulda, zmienił pośpiesznie przedmiot rozmowy.

— Właśnie o Nostromie chciałem z panią pomówić. Niepodobna mu odmówić pewnej wytrzymałości i siły. Nic go nie złamie. Ale mniejsza o to. Dzieje się coś niejasnego, a może aż nadto jasnego. Wie pani zapewne, iż Linda jest praktycznie strażniczką latarni morskiej na Wielkiej Izabeli. Garibaldino jest już za stary. Do niego należy czyszczenie lamp i przyrządzanie strawy, nie może już chodzić po schodach. Czarnooka Linda sypia za dnia i czuwa nad latarnią całymi nocami. Nie spędza jednak całego dnia na spaniu.

Wstaje około piątej po południu, zaś Nostromo, ilekroć jego szkuner zawinie do portu, odwiedza ją, podpływając do wyspy łodzią.

— Czy oni jeszcze się nie pobrali? — spytała pani Gould. — O ile wiem, jej matka życzyła sobie tego, gdy Linda była jeszcze dzieckiem. Kiedy dziewczęta były u mnie przez prawie rok, ta niezwykła Linda powiadała bez ogródek, iż zostanie żoną Gian' Battisty.

— Nie, jeszcze się nie pobrali — odparł doktor krótko. — Miałem trochę nad nimi pieczę.

— Dziękuję panu, drogi doktorze — rzekła pani Gould i w cieniu wielkich drzew jej drobne, równe ząbki błysnęły dziewczęcym uśmiechem łagodnej przekory. — Doprawdy, ludzie nie wiedzą, jaki pan jest dobry. Nie daje im pan poznać tego po sobie, by mi dokuczyć, ale ja już od dawna zawierzyłam pańskiemu dobremu sercu.

Doktor podciągnął górną wargę, jakby chciał kogoś ugryźć, i skłonił się sztywno w swym fotelu. W bezgranicznym zapamiętaniu człowieka, do którego miłość przyszła późno, nie jako najprzedziwniejsze ze złudzeń, lecz jako rozwidniająca i bezcenna niedola, doznawał na widok tej kobiety (którego był pozbawiony niemal przez cały rok) odruchów uwielbienia, pragnął całować rąbek jej sukni. Ten nadmiar uczuć przejawiał się oczywiście wzmożoną zgryźliwością mowy.

— Obawiam się, że spotyka mnie zbyt wiele łaski. Niemniej ci ludzie mnie interesują. Byłem kilka razy w latarni na Wielkiej Izabeli, by zajrzeć do starego Giorgia.

Nie przyznał się, że bywał tam, gdyż podczas jej nieobecności doznawał ulgi w atmosferze pokrewnych uczuć, surowego uwielbienia starego Giorgia dla „angielskiej señory-dobrodziejki"; że miło mu było spotykać się z wylewnym, namiętnym przywiązaniem czarnookiej Lindy do „naszej anielskiej doñii Emilii"; że lubił, kiedy białoszyja, jasnowłosa Gizela wznosiła z zachwytem oczy, które błyskały ku niemu ukradkowym, na poły filuternym, na poły prostolinijnym spojrzeniem i sprawiały, iż doktor mówił w duchu do siebie: „Gdybym nie był stary i brzydki, myślałbym, że ta trzpiotka robi do mnie oko. I może robi. Ona pewno robi oko do każdego". — Doktor Monygham nie wspomniał o tym wszystkim pani Gould, która była opatrznością rodziny Violów, lecz powrócił do „naszego wielkiego Nostroma".

— Proszę posłuchać, co chciałem powiedzieć: nasz wielki Nostromo przez kilka lat nie troszczył się zbytnio o starca i dzieci. Co prawda, z dwunastu miesięcy spędzał wtedy dziesięć na podróżach wzdłuż wybrzeża. Robił pieniądze, jak kiedyś powiedział kapitanowi Mitchellowi. Jak się zdaje, powiodło mu się nadzwyczaj dobrze. Naturalnie należało się tego spodziewać. Jest człowiekiem pomysłowym, pełnym wiary w siebie, gotowym do skorzystania z każdej okazji i zmierzenia się ze wszelkim ryzykiem. Pamiętam, iż pewnego dnia byłem właśnie w biurze Mitchella, gdy wszedł tam z właściwą sobie, spokojną powagą, którą okazuje wszędzie. Patrząc swoim zwyczajem ponad naszymi głowami na ścianę, opowiadał, że handlował w Zatoce Kalifornijskiej, i ucieszył się, gdy po powrocie zobaczył, że buduje się latarnię morską na urwisku Wielkiej Izabeli. „Bardzo się ucieszyłem" — powtórzył. Kapitan Mitchell wyjaśnił, iż buduje ją Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej dla udogodnienia ruchu statkom pocztowym, za jego radą. Kapitan Fidanza łaskawie stwierdził, iż to doskonała rada. Pamiętam, iż długo podkręcał wąsa i oglądał wszystkie gzymsy w pokoju, zanim zaproponował, by nadzór nad tą latarnią powierzono staremu Giorgiowi.

— Słyszałam o tym. Zasięgano mojego zdania w swoim czasie — rzekła pani Gould. — Miałam wątpliwości, czy będzie to dobre dla tych dziewcząt, że będą odosobnione na wyspie jak w jakimś więzieniu.

— Pomysł przypadł do gustu staremu Garibaldino. Zaś dla Lindy każde miejsce było miłe i dobre, o ile zostało wybrane przez Nostroma. Mogła tam oczekiwać łaskawych odwiedzin swego Gian' Battisty równie dobrze, jak gdzie indziej. Myślę, iż kochała się już od dawna w tym nieskazitelnym *capatazie*. Przy tym zarówno ojciec, jak siostra pragnęli usunąć Gizelę z oczu niejakiego Ramireza.

— Ach! — rzekła pani Gould z zaciekawieniem. — Ramirez? Co to za człowiek?

— Taki sobie *mozo* miejski. Ojciec jego był *cargadorem*. Jako wątły dzieciak wałęsał się obdarty po wybrzeżu, aż Nostromo zajął się nim i zrobił z niego człowieka. Wziął go na lichtugę, zaś kiedy był nieco starszy, oddał pod jego kierownictwo łódź numer trzy, tę samą, którą wywieziono srebro. Nostromo wybrał tę lichtugę, gdyż była to naj-

mocniejsza i najobrotniejsza łódź przewozowa z całej floty T.O.Ż.P. Młody Ramirez był jednym z tych pięciu *cargadorów*, którym powierzono zabranie skarbu z Urzędu Celnego owej pamiętnej nocy. Gdy łódź, którą prowadził, zatonęła, Nostromo podziękował za służbę i polecił kapitanowi Mitchellowi na swoje miejsce Ramireza. Obeznał go doskonale z zawodem i w ten sposób Ramirez z wygłodzonego włóczęgi stał się człowiekiem i *capatazem cargadorów* w Sulaco.

— Dzięki Nostromowi — rzekła pani Gould z gorącym uznaniem.

— Dzięki Nostromowi — powtórzył doktor Monygham. — Daję słowo, iż przeraża mnie potęga tego człowieka, gdy o niej pomyślę. Nie było niczym dziwnym, iż nasz zacny, stary Mitchell był ogromnie rad, gdy polecono mu człowieka wyszkolonego w portowym rzemiośle i oszczędzającego mu kłopotów. Natomiast wprost niepojęte wydaje się, iż *cargadorzy* z Sulaco uznali Ramireza za swego zwierzchnika jedynie dlatego, że taka była wola Nostroma. Nie jest on oczywiście drugim Nostromem, jak sobie w swej zarozumiałości wyobrażał, lecz mimo wszystko jest na doskonałym stanowisku. Rozzuchwaliło go to do tego stopnia, iż zaczął się umizgać do Gizeli Viola, która, jak pani wie, uchodzi w mieście za piękność. Jednakże stary Garibaldino powziął do niego gwałtowną niechęć. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że nie jest on wzorem doskonałości jak Gian' Battista, uosobieniem męstwa, wierności i honoru „ludu". *Signor* Viola nie ma zbyt pochlebnego wyobrażenia o ludności Sulaco. Oboje zatem, stary Spartanin i białolica Linda o purpurowych ustach i czarnych jak węgiel oczach, pilnowali surowo jasnowłosej panny. Ramirez został ostrzeżony, by trzymał się z daleka. Ojciec Viola, jak mi opowiadano, pogroził mu kiedyś strzelbą.

— Cóż na to Gizela? — spytała pani Gould.

— Jak mi się zdaje, jest nieco kokietką — odrzekł doktor. — Nie przebiera. Lubi hołdy mężczyzn. Pozwolę sobie powiedzieć, pani Gould, że Ramirez nie był jedyny. Prócz niego miał być tam jeszcze jakiś inżynier z załogi kolejowej. Jemu również pogrożono strzelbą. Stary Viola nie pozwala żartować ze swego honoru. Od śmierci żony stał się niespokojny i podejrzliwy. Bardzo się ucieszył, że będzie mógł młodszą córkę zabrać z miasta. I cóż się stało? Ramirez, uczciwy chłopak, pozbawiony swej ukochanej, nie może bywać na wyspie. Nie ma na to rady. Stosuje się do zakazu, ale, rzecz prosta, iż często zwraca spojrzenia ku Wielkiej Izabeli. Wygląda na to, iż miewał zwyczaj spoglądać do późnej nocy na światło latarni. Otóż podczas tych sentymentalnych czuwań dostrzegł, iż Nostromo, inaczej kapitan Fidanza, zwykł powracać bardzo późno ze swych odwiedzin u Violów. Niekiedy aż po północy.

Doktor zatrzymał się i spojrzał znacząco na panią Gould.

— No, tak. Ale nie rozumiem — zaczęła zakłopotana.

— Teraz następuje to, co najdziwniejsze — mówił dalej doktor Monygham. — Viola, który jest królem na swej wyspie, nie pozwala nikomu bywać na niej po zmierzchu. Nawet kapitan Fidanza musiał odjeżdżać po zachodzie słońca, gdy Linda szła na górę, pilnować światła latarni. I Nostromo posłusznie odpływał. Cóż jednak działo się potem? Co porabiał na zatoce między wpół do siódmej a północą? Widywano go nieraz o tej późnej godzinie, jak zawijał spokojnie do portu. Ramireza trawiła zazdrość. Nie śmiał się zbliżyć do starego Violi; zdobył się jednak na odwagę, by zaczepić Lindę pewnego niedzielnego poranka, gdy przybyła na ląd, by wysłuchać mszy i odwiedzić grób matki. Byłem świadkiem tej sceny, która rozegrała się na wybrzeżu. Było to wczesnym rankiem. Musiał umyślnie na nią czekać. Znalazłem się tam najzupełniej przypadkiem, gdyż lekarz kanonierki niemieckiej stojącej w porcie wezwał mnie do siebie na pilną konsultację. Ciskała płomieniami gniewu i pogardy na Ramireza, który jakby postradał zmysły. Było to osobliwe widowisko, pani Gould! Długi pomost z oszalałym *cargadorem* przepasanym szkarłatną szarfą i z dziewczyną w czerni; wczesny poranek niedzielny nad przystanią, drzemiącą w cieniu gór; zaledwie jedna czy dwie łódki, snujące się między okrętami stojącymi na kotwicy, i nadpływająca po mnie łódź niemieckiej kanonierki. Linda przeszła tuż obok mnie. Podchwyciłem dzikie spojrzenie jej oczu. Zawołałem za nią po imieniu. Nie usłyszała mnie. Nie widziała mnie. Zdążyłem jednak spojrzeć w jej twarz; zatrważała gniewem i zgryzotą.

Pani Gould wyprostowała się i szeroko otworzyła oczy.

— Co pan ma na myśli doktorze Monygham? Czy to znaczy, że pan podejrzewa młodszą siostrę?

— *Quien sabe?* Kto wie? — odpowiedział doktor, wzruszając ramionami jak rodowity Costaguanero. — Ramirez podszedł do mnie na wybrzeżu. Słaniał się na nogach, wyraz twarzy miał obłąkany. Chwytał się za głowę rękami. Musiał się z kimś porozmawiać, po prostu musiał. Mimo swych obłąkanych oczu, poznał mnie. Ludzie mnie tu dobrze znają. Za długo żyłem wśród nich, żebym nie miał zostać doktorem o złym oku, który leczy wszystkie niedomagania cielesne i rzuca zły urok spojrzeniem. Podszedł do mnie. Usiłował zachować spokój. Starał się dać do zrozumienia, iż chce tylko ostrzec mnie przed Nostromem. Widocznie kapitan Fidanza wymienił mnie na jakimś tajnym zebraniu jako najzacieklej gardzącego wszystkimi biedakami — ludem. To bardzo możliwe. Zaszczyca mnie niegasnącą niechęcią. A wystarczy jedno słowo wielkiego Fidanzy, żeby jakiś narwaniec żgnął mnie nożem w plecy. Komisja Sanitarna, której jestem przewodniczącym, nie jest lubiana przez ludność. „Niech się pan go strzeże, *señor doctor*. Niech pan go zniszczy!" — syknął mi Ramirez w twarz. A potem wybuchnął: „Ten człowiek rzucił urok na obie dziewczyny!". O sobie powiedział aż za wiele. Musi teraz uciec, uciec i ukryć się gdziekolwiek. Wyrażał się czule o Gizeli, a potem obrzucał ją wyzwiskami, których niepodobna powtórzyć. Gdyby wiedział, że da się ją skłonić, aby go pokochała, porwałby ją z wyspy. Daleko w lasy! Ale nic z tego... Odszedł, wymachując rękami nad głową. Dostrzegłem wtedy starego Murzyna, który łowił ryby, siedząc za stosem skrzyń. Zwinął nagle wędkę i natychmiast czmychnął. Ale musiał coś podsłuchać i zapewne z tym się wygadał, gdyż, jak mi się zdaje, kilku starych przyjaciół Garibaldina ostrzegło go przed Ramirezem. W każdym razie ojciec został ostrzeżony. Lecz Ramirez znikł z miasta.

— Poczuwam sie do pewnych obowiązków względem tych dziewcząt — rzekła pani Gould zaniepokojona. — Czy Nostromo jest obecnie w Sulaco?

— Jest, od ubiegłej niedzieli.

— Trzeba będzie zaraz pomówić z nim.

— Któż ośmieli się z nim mówić? Nawet szalony z miłości Ramirez czmycha na widok samego tylko cienia kapitana Fidanzy.

— Ja mogę, ja z nim pomówię — oświadczyła pani Gould. — Takiemu człowiekowi jak Nostromo wystarczy jedno słowo.

Doktor uśmiechnął się kwaśno.

— Musi skończyć z tą sytuacją, która prowadzi do... Nie chce mi się wierzyć w to, co pan mówi o tym dziecku — mówiła dalej pani Gould.

— Jest bardzo pociągający — mruknął doktor posępnie.

— Jestem pewna, że on to zrozumie. Musi skończyć z tym wszystkim i niezwłocznie ożenić się z Lindą — zawyrokowała najznakomitsza dama z Sulaco z ogromną stanowczością.

Z bramy ogrodowej wynurzył się Basilio. Utył i zaokrąglił się. Postarzała się jego twarz bez zarostu, w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki. Kruczoczarne, sztywne włosy miał gładko przyczesane. Przystanąwszy za kępą krzewów, posadził pieczołowicie na ziemi małe dziecko, które niósł na ramieniu. Był to najmłodszy potomek jego i Leonardy. Nadąsana, przekwitła *camerista* i główny *mozo* Casa Gould byli małżeństwem już od kilku lat.

Siedział przez jakiś czas przykucnięty, patrząc czule na swoją latorośl, która odwzajemniała mu się pełnym powagi spojrzeniem. Następnie z namaszczeniem i godnością poszedł ścieżką.

— O co chodzi, Basilio? — spytała pani Gould.

— Telefonowano z biura kopalni, że wielmożny pan zanocuje dziś w górach.

Doktor Monygham powstał i zaczął rozglądać się dokoła. Głębokie milczenie zalegało na jakiś czas w cieniu ogromnych drzew rozkosznego ogrodu Casa Gould.

— Dobrze, Basilio — rzekła pani Gould. Śledziła go spojrzeniem, gdy szedł ścieżką, zatrzymał się na chwilę za kwitnącymi krzewami i ukazał się znów z dzieckiem na ramieniu. Miarowym krokiem minął bramę między ogrodem a patio, niosąc troskliwie swe lekkie brzemię.

Doktor, odwróciwszy się od pani Gould, przyglądał się dalekiemu kwietnikowi w słońcu. Ludzie uważali go za człowieka zgorzkniałego, który gardzi innymi. Jednak jego prawdziwą naturę stanowiła zdolność do gwałtownych uczuć i wielka wrażliwość charakteru. Brakowało mu gładkiej gruboskórności człowieka towarzyskiego, gruboskórności, z któ-

rej wynika łatwe pobłażanie dla siebie i innych; tolerancja znajduje się na przeciwległym biegunie szczerej życzliwości i ludzkiego współczucia. Z tego niedostatku gruboskórności brała początek zgryźliwość jego usposobienia i jadowitość jego powiedzeń.

Zapatrzony w głębokim milczeniu na barwny kwietnik, doktor Monygham miotał w duchu złorzeczenia na głowę Charlesa Goulda. Za nim siedziała nieruchomo pani Gould, która wdzięk postaci łączyła z urokiem arcydzieła, które podpatrzone w okamgnieniu, uwiecznia się na zawsze. Doktor odwrócił się znienacka i pożegnał się z nią.

Pani Gould siedziała w cieniu wielkich drzew, w posadzonych półkole. Siedziała z przymkniętymi oczyma, opuściwszy bezwładnie białe ręce na poręcze krzesła. Zalegający pod gęstwiną listowia półmrok uwydatniał młodzieńczą urodę jej twarzy, wydobywał świetlistą jasność jej lekkiej sukni i białe koronki jej stroju. Drobna i wdzięczna, jak gdyby promieniejąca własną jasnością w głębokim cieniu splątanych gałęzi, podobna była do dobrej wróżki, znużonej długotrwałym spełnianiem dobrych uczynków, tkniętej przejmującym poczuciem nieużyteczności swych trudów, niemocy swego czarodziejstwa.

Gdyby ktoś ją zapytał, o czym rozmyśla samotnie w ogrodzie, podczas gdy jej mąż przebywa w kopalni, a dom jest zamknięty od ulicy niby puste mieszkanie, jej szczerość nakazałaby jej uniknąć odpowiedzi. Przyszło jej na myśl, że aby życie było pełne i szczodre, musi zawierać w sobie troskę o przeszłość i przyszłość w każdej przelotnej chwili teraźniejszości. Nasza codzienna praca powinna być wykonywana na chwałę, tych co odeszli, i na pożytek tych, co po nas przyjdą. Myślała o tym i wzdychała, nie otwierając oczu, nie poruszając się wcale. Twarz pani Gould stężała i zakrzepła na jedno mgnienie, jakby bez drżenia chciała przyjąć wielką falę osamotnienia, która przepływała nad jej głową. Przyszło jej na myśl, że nikt nie spyta jej nigdy z prawdziwą troską, o czym ona myśli. Nikt. Nikt, prócz może człowieka, który właśnie odszedł. Nie, nie spyta nikt, komu by można odpowiedzieć z beztroską szczerością, jaką daje doskonałe zaufanie.

Słowo „niepoprawni", wymówione przed chwilą przez doktora Monyghama, napłynęło w jej pamięci, kiedy siedziała w smutku i milczeniu. Niepoprawny w swym oddaniu dla wielkiej kopalni srebra był *señor administrador!* Niepoprawny w swej twardej, nieustępliwej służbie interesom materialnym, z którymi złączył swą wiarę w triumf ładu i sprawiedliwości. Biedak! Widziała wyraźnie siwe włosy na jego skroniach. Był bez zarzutu, bez zarzutu. Czegóż więcej mogła się spodziewać? Powodzenie było trwałe i niesłychane, zaś miłość była tylko krótkim mgnieniem zapamiętania się, przemijającym upojeniem, którego słodycz wspomina się z uczuciem smutku, jak jakąś boleśnie odczutą chwilę w życiu. Było coś swoistego w konieczności skutecznego działania, co obniżało moralną wartość idei. Widziała górę San Tomé, która zawisła nad Campo, nad całym krajem, bogata, siejąca postrach, znienawidzona; bardziej bezduszna od każdego tyrana, bardziej bezlitosna i samowładna od najgorszego rządu, gotowa zmiażdżyć nieprzeliczone istnienia dla rozwoju swej potęgi. On tego nie widział. Nie mógł tego widzieć. Nie było to jego winą. Był bez zarzutu, bez zarzutu! Ale ona nigdy nie będzie go miała dla siebie. Nigdy. Nawet na godzinkę nie będzie go miała wyłącznie dla siebie w tym starym, hiszpańskim domu, który tak kochała! Niepoprawny jest ostatni z Corbelanów i niepoprawna ostatnia z Avellanosów, powiedział doktor, ale ona zdawała sobie jasno sprawę, że kopalnia San Tomé trawi i wypala życie ostatniego z costaguańskich Gouldów, że owładnęła energicznym duchem syna, podobnie jak władała żałosną słabością ojca. Straszliwy triumf ostatniego z Gouldów. Ostatniego! Spodziewała się długo, długo, że może... Ale nie! Nic już z tego nie będzie. Niezmierna rozpacz, lęk przed dalszym ciągiem własnego życia zwalił się na najznakomitszą damę z Sulaco. W proroczym jasnowidzeniu uświadomiła sobie, iż tylko ona przeżyje sponiewieranie swego młodzieńczego ideału życia, miłości i pracy, przeżyje go całkiem sama, samotnie w skarbcu świata. Głębokie, głuche cierpienie bolesnego snu pojawiło się na jej twarzy i na powiekach przymkniętych oczu. Niewyraźnym głosem człowieka uśpionego, który spoczywa biernie w uścisku bezlitosnej zmory, wyjęknęła bezwiednie słowa:

— Interesy materialne.

ROZDZIAŁ XII

Nostromo bogacił się bardzo powoli. Wynikało to z jego przezorności. Umiał nad sobą panować, nawet gdy był wytrącony z równowagi. Zostać niewolnikiem skarbu z pełną świadomością jest zdarzeniem rzadkim, które rozstraja ducha. Rozstrój ten wynikał w znacznej mierze także z trudności przekształcenia tego kruszcu i nadania mu użytecznej postaci. Już sama czynność wywożenia go z stopniowo z wyspy, kawałek po kawałku, wiązała się z trudnościami, najeżona była niebezpieczeństwami niezwłocznego wykrycia. Musiał bywać na Wielkiej Izabeli potajemnie, między podróżami wzdłuż wybrzeża, które rzekomo były źródłem jego majątku. Musiał się mieć na baczności przed załogą własnego szkunera, jak gdyby składała się ze szpiegów czyhających na groźnego kapitana. Nie śmiał zbyt długo przebywać w porcie. Po wyładowaniu towaru wyruszał pospiesznie na inną wyprawę, bowiem obawiał się, iż każdy dzień zwłoki może rozbudzić podejrzenia. Niekiedy podczas tygodniowego lub nawet dłuższego postoju udawało się mu raz tylko odwiedzić skarb. I to było wszystko. Zaledwie parę sztab! Cierpiał zarówno z powodu obawy, jak i przezorności. Upokarzało go, iż działa ukradkiem. A najwięcej cierpiał wskutek skupienia myśli na skarbie.

Kiedy przestępstwo czy zbrodnia wtargną w życie człowieka, przeżerają je niby złośliwy nowotwór, trawią niby gorączka. Nostromo postradał spokój; zanikła czystość wszystkich jego zalet. Czuł to sam i często przeklinał srebro z kopalni San Tomé. Jego męstwo, jego wspaniałomyślność, jego niedbałość, wszystko było jak dawniej, ale było tylko złudą. Natomiast skarb był rzeczywistością. Przylgnął do niego jeszcze zawziętszym, duchowym chwytem. Ale wzdragał się przed dotknięciem sztab. Niekiedy, zaniósłszy do kajuty kilka z nich, owoc ukradkowej, nocnej wyprawy na Wielką Izabelę, przyglądał się uważnie swym dłoniom, jakby zdziwiony, iż nie pozostawiły plam na jego skórze.

Znalazł sposoby sprzedaży sztab srebra w odległych portach. Konieczność dalekich wypraw powodowała, iż jego podróże wzdłuż wybrzeża trwały długo, a odwiedziny w domostwie Violów bywały nieczęste i dorywcze. Jego przeznaczeniem było poślubić żonę z tego domu. Wyraził się kiedyś w ten sposób do starego Giorgia. Ale Garibaldino zbył go majestatycznym skinieniem ręki, w której trzymał zakopconą, czarną fajkę. Dość jeszcze na to czasu; nie chce nikomu narzucać swoich córek.

Z biegiem czasu Nostromo nabrał przekonania, że woli młodszą. Zachodziło między nimi głębokie powinowactwo natur, bez którego nie ma zupełnego zrozumienia i wzajemnego zaufania, istniały przy tym powierzchowne różnice usposobień, które wywierały właściwy sobie urok kontrastu. Żona Nostroma musiała znać jego tajemnicę, gdyż inaczej życie byłoby niemożliwe. Pociągała go słodkooka, białoszyja Gizela, uległa, milcząca, płonąca żądzą pieszczot pod pokrywką gnuśnej spokojności. Natomiast Linda o wyrazistej, namiętnej, bladej twarzy, energiczna, ognista w słowach, dysząca żarem i wzgardą, nieodrodna córka surowego republikanina, choć obdarzona głosem Teresy, budziła w nim głęboką nieufność. Ponadto ta biedna dziewczyna nie umiała ukrywać swej miłości do Gian' Battisty. Zdawał sobie sprawę, że miłość ta jest porywcza, wymagająca, podejrzliwa, nieprzejednana — jak jej dusza. Gizella swą jasną, ciepłą urodą, zewnętrznym spokojem swej natury, zapowiadającym uległość, urokiem swej dziewczęcej tajemniczości rozniecała jego uczucie i koiła jego obawy o przyszłość.

Nie bywał w Sulaco długo. Powracając pewnego razu z takiej dalekiej wyprawy, zauważył lichtugi załadowane kamiennymi blokami pod urwiskiem Wielkiej Izabeli. Stały na nim żurawie i rusztowania, dokoła mrowili się robotnicy i niewielka latarnia morska dźwigała się już z fundamentów na skraju urwiska.

Na ten nieoczekiwany, niewyobrażalny, przerażający widok wydało się mu, że jest nieodwołalnie zgubiony. Cóż teraz mogło ocalić go od wyśledzenia? Nic! Struchlał od tego obrotu rzeczy, który miał rzucić światło na jedyną skrytą zmazę jego życia, życia, którego najistotniejsza treść, wartość i realność polegała na jego odzwierciedleniu w pełnych podziwu oczach ludzkich. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten fakt, nie do ogarnięcia zwyczajnym pojmowaniem, który stanął między nim a potęgą, która słucha wyrzeczonych w złej wierze klątw i daje im moc spełnienia się. Było ciemno. Nie każdy człowiek dysponował taką ciemnością. I oto zamierzano rozniecić tam światło. Światło!

Widział, jak padnie ono na niesławę, na ubóstwo, na pogardę. Ktoś już pewno... Może ktoś już...

Niezrównany Nostromo, *capataz*, groźny i wielbiony kapitan Fidanza, niewątpliwy patron tajnych stowarzyszeń, republikanin jak stary Giorgio, rewolucjonista w głębi duszy (ale na inny sposób), omalże nie rzucił się w morze z pokładu swego szkunera. Ten człowiek, subiektywny do szaleństwa, patrzył samobójstwu trzeźwo w twarz. Ani na chwilę nie stracił głowy. Powstrzymywała go myśl, że to nie będzie żadnym wyjściem. Wyobrażał sobie, że nie żyje, a niesława i hańba trwa. A właściwie mówiąc, nie mógł sobie wyobrazić, że nie żyje. Nazbyt silne miał poczucie własnego istnienia, przejawiającego nieskończoną trwałość w swej zmienności, by objąć umysłem pojęcie swego kresu. Ziemia obraca się bez końca.

Przy tym był odważny. Była to odwaga skażona, ale nadająca się do jego celów równie dobrze jak każda inna. Podpłynął tuż pod urwisko Wielkiej Izabeli, rzucając z pokładu badawcze spojrzenie w stronę wylotu wąwozu, zasnutego nietkniętą gęstwą chaszczy. Podpłynął tak blisko, iż wymienił pozdrowienia z robotnikami, którzy przysłaniali oczy dłońmi, stojąc na skraju urwiska, z którego zwieszało się ramię potężnego żurawia. Zdał sobie sprawę, iż żaden z nich nie miał sposobności bodaj zbliżyć się do wąwozu, w którym spoczywało ukryte srebro, że w tej kryjówce bywał tylko on sam. W porcie dowiedział się, iż nikt nie sypia na wyspie. Robotnicy co wieczór wracali do portu, śpiewając chórem w pustych lichtugach ciągniętych przez holownik. Na razie nie miał czego się obawiać.

„Ale potem?: — zadawał sobie pytanie. Później, gdy latarnik zamieszka w chacie budowanej o sto pięćdziesiąt jardów poniżej niskiej wieży latarni, o jakieś czterysta jardów od mrocznego, cienistego, dzikiego wąwozu, który zawierał tajemnicę jego bezpieczeństwa, jego wpływów, jego wspaniałości, jego przewagi nad przyszłością, jego urągania niedoli oraz wszelkiemu możliwemu oszukaństwu zarówno bogaczy, jak i biedaków — co będzie później? Nie otrząśnie się nigdy z tego skarbu. Jego śmiałość, większa niż u innych ludzi, wszczepiła tę żyłę srebra w jego życie. A uczucie trwożnej, żarliwej podległości, uczucie niewoli, tak głęboko osadzone i niemożliwe do wykorzenienia, iż nieraz w myślach przyrównywał się do legendarnych *gringos*, którzy ni to żywi, ni to martwi, przykuci są do nieprawnie zdobytych bogactw na Azuerze, uczucie to ciężko obarczało niezależnego kapitana Fidanzę, właściciela i pana przybrzeżnego szkunera, którego dziarska powierzchowność (i bajeczne szczęście do handlu) znana była powszechnie wzdłuż zachodniego wybrzeża rozległego kontynentu.

Widywano kapitana Fidanzę, jak przechadzał się swym zwyczajem po ulicach Sulaco, załatwiając interesy. Nastroszywszy z powagą bujne wąsy, stąpał nieco mniej gibkim krokiem, kryjąc siłę i umiar swych potężnych członków w pospolitości brunatnego, tandetnego ubrania, sporządzonego przez Żydów w londyńskich zaułkach, a nabytego w oddziale konfekcyjnym Kompanii Anzani. Jak zazwyczaj, pozwalał się domyślać, iż sprzedał z ogromnym zyskiem swój ładunek. Był to ładunek solonej ryby, a właśnie zbliżał się Wielki Post. Krążył tramwajami między miastem a portem, rozmawiał ze znajomymi w kawiarni miarowym, statecznym głosem. Kapitan Fidanza był na oczach ludzkich. Jeszcze nie przyszło na świat pokolenie, które nic nie słyszało o słynnej jeździe do Cayty.

Capataz de cargadores, przezwany niesłusznie Nostromem, zdobył sobie pod swym właściwym nazwiskiem inny wizerunek publiczny, zmieniony wskutek odmiennych warunków, mniej malowniczy i trudniejszy do utrzymania wśród coraz liczniejszej i różnorodniejszej ludności Sulaco, postępowej stolicy Zachodniej Republiki.

Kapitan Fidanza, już nie malowniczy, lecz zawsze nieco tajemniczy, był doskonale znany pod wysokim, oszklonym dachem stacji kolejowej w Sulaco. Wsiadł do miejscowego pociągu i wysiadł w Rincon, gdzie odwiedził wdowę po *cargadorze*, który zmarł z ran (u świtu nowej ery, jak don José Avellanos) na patio Casa Gould. Raczył siąść na ławie i wypić szklankę chłodnej lemoniady w chacie kobiety, która stojąc przed nim, zalewała go istną powodzią słów, których nie słuchał. Wręczył jej, jak zwykle, nieco pieniędzy. Osierocone dzieci, już podrośnięte i dobrze wychowane, nazywające go wujem, krzykliwie prosiły go o błogosławieństwo. Udzielił go. Wychodząc, zatrzymał się na chwilę w drzwiach, by z lekkim zmarszczeniem brwi spojrzeć na spłaszczone oblicze góry San Tomé. To zmarszczenie brwi, rzucające cień surowości na nieugięty zazwyczaj wyraz jego opalonego czoła, dostrzeżono w Loży, do której uczęszczał. Opuścił ją przed bankie-

tem. Wniósł tę zmarszczkę na zebranie na urządzone na jego cześć przez kilku dobrych towarzyszy, Włochów i miejscowych, którzy zebrali się pod przewodnictwem ubogiego, chorowitego, nieco garbatego fotografa o bladej twarzy, zabarwionej rumieńcem krwiożerczej nienawiści do wszystkich kapitalistów i ciemiężycieli obu półkul ziemskich. Stary rewolucjonista, bohaterski Giorgio Viola, nie byłby nic rozumiał z jego wstępnego przemówienia, zaś kapitan Fidanza, jak zwykle rozrzutnie hojny w stosunku do biednych towarzyszy, nie przemawiał wcale. Słuchał ze zmarszczoną brwią, roztargniony, po czym wyszedł niedostępny i milczący jak człowiek obarczony troskami.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się, gdy wczesnym rankiem zobaczył kamieniarzy wyruszających na Wielką Izabelę lichtugami załadowanymi czworokątnymi blokami kamienia, wystarczającymi do ułożenia jednej warstwy muru. Praca przewidziana na jeden dzień. Jedna warstwa dziennie.

Kapitan Fidanza rozmyślał. Obecność obcych ludzi na wyspie odcięłaby mu całkowicie dostęp do skarbu. Już przedtem bywało to niebezpieczne i trudne. Był wystraszony i zły. Rozmyślał ze stanowczością władcy i przebiegłością zalęknionego niewolnika. Po czym poszedł na wybrzeże.

Był człowiekiem pomysłowym i rzutkim. Wybieg, który znalazł w krytycznej chwili, okazał się dość skuteczny, by radykalnie zmienić sytuację. Niezrównany Nostromo posiadał dar wysnuwania bezpieczeństwa nawet z niebezpieczeństw. Gdyby się osadziło Giorgia na Wielkiej Izabeli, nie byłoby potrzeby się ukrywać. Mógłby bywać tam jawnie, za dnia, odwiedzać jego córki, jedną z jego córek, i pozostawać do późna, gawędząc ze starym Garibaldinem. Następnie po ciemku... Noc po nocy... Odważyłby się wówczas bogacić szybciej. Pragnął pochwycić, pochłonąć, objąć w niezaprzeczalne posiadanie ten skarb, który gnębił jego duszę, jego czyny, nawet jego sen.

Poszedł odwiedzić swego przyjaciela, kapitana Mitchella, i sprawę udało się załatwić, jak doktor Monygham opowiadał później pani Gould. Gdy o projekcie napomknięto Garibaldinowi, coś jakby przebłysk rozwagi, jakby nikła zjawa zapomnianego od dawna uśmiechu przemknęła pod białymi, ogromnymi wąsiskami starego wroga królów i ministrów. Córki były dla niego przedmiotem pieczołowitej troski. Zwłaszcza starsza, Linda, która miała głos matki, przejęła poniekąd jej rolę. Jej głębokie, wibrujące pytanie: „*Eh, padre?*" zdawało się, ze zmianą tylko jednego słowa, echem wzburzonego, upominającego „*Eh, Giorgio?*" biednej *signory* Teresy. Nabrał głębokiego przeświadczenia, iż miasto nie jest odpowiednim miejscem pobytu dla jego córek. Zadurzony, lecz prostoduszny Ramirez był dla niego odrażający, gdyż posiadał wszystkie wady tego kraju, którego ludność składała się ze ślepych, nikczemnych *esclavos*.

Powróciwszy ze swej następnej podróży, kapitan Fidanza zastał już Violów w chacie przeznaczonej dla latarnika. Nie zawiodła go znajomość dziwactw Giorgia. Garibaldino nie zgodził się, żeby mu dodano kogoś innego do pomocy prócz jego córek. Zaś kapitan Mitchell, chcąc przypodobać się swemu biednemu Nostromowi, z tą trafnością natchnienia, która bywa darem tylko szczerego przywiązania, mianował formalnie Lindę Viola pomocnicą latarnika na Wielkiej Izabeli.

— Latarnia jest własnością prywatną — tłumaczył. — Należy do naszego przedsiębiorstwa. Mam prawo mianować, kogo mi się podoba, więc wybrałem Violę. To bodaj jedyna rzecz, o którą Nostromo, człowiek wart tyle złota, ile sam waży, mnie kiedykolwiek prosił.

Kiedy tylko jego szkuner stanął na kotwicy naprzeciw nowego Urzędu Celnego, który swym płaskim dachem i kolumnadą naśladuje grecką świątynię, kapitan Fidanza wypłynął łódką z portu, kierując się ku Wielkiej Izabeli. Uczynił to jawnie, w świetle kończącego się dnia, przed oczyma ludzkimi, doznając wrażenia, iż udało się mu poskromić Przeznaczenie. Teraz musi sobie zapewnić stabilną pozycję. Poprosi Giorgia o rękę córki. Wiosłując, myślał o Gizeli. Linda może go kocha, ale starzec będzie zadowolony, gdy pozostanie mu starsza córka, która ma głos jego żony.

Nie popłynął na wąski brzeg, gdzie wylądował z Decoudem, gdzie później przybił, gdy po raz pierwszy odwiedzał skarb. Dobił do plaży na drugim końcu i poszedł pod górę łagodnym zboczem wyspy mającej kształt klina. Giorgio Viola, którego dojrzał z daleka, siedzącego na ławie pod ścianą chaty, podniósł rękę w odpowiedzi na jego głośne pozdrowienie. Wyszedł na wzgórze. Nie pojawiła się żadna z dziewcząt.

— Dobrze tu — rzekł starzec z właściwą sobie, surową zadumą.

Nostromo skinął głową, po czym po krótkim milczeniu odezwał się:

— Czy widzieliście, jak mój szkuner przepływał tędy przed niespełna dwiema godzinami? A czy wiecie, dlaczego tu jestem, zanim moja kotwica zdołała się mocniej wgryźć w dno portu?

— Witam cię jak syna — oświadczył starzec spokojnie, patrząc na morze.

— Ach, wasz syn! Wiem. Jestem tym, czym byłby wasz syn. No, dobrze, *viejo*. To bardzo miłe powitanie. Posłuchajcie, przyszedłem prosić o...

Nagły lęk ogarnął nieustraszonego i nieskazitelnego Nostroma. Nie śmiał wymówić imienia, które miał na myśli. Krótka przerwa dodała tylko uroczystej wagi zmienionemu zakończeniu zaczętego zdania.

— O żonę!... — Serce biło mu mocno. — Czas już, abyście...

Garibaldino zatrzymał go podniesieniem ręki.

— Pozostawiłem to do twojego uznania.

Podniósł się z wolna. Broda, nieprzystrzygana od śmierci Teresy, gęsta i śnieżnobiała, zakrywała jego potężną pierś. Odwrócił głowę w stronę drzwi i zawołał mocnym głosem:

— Linda.

Odpowiedź zabrzmiała z wnętrza chaty przenikliwie i słabo. Przerażony Nostromo powstał również, ale nie odezwał się, patrząc na drzwi. Bał się. Nie lękał się odmowy dziewczyny, którą kochał, żadna odmowa nie mogła stanąć między nim a upragnioną kobietą, lecz oto zamajaczyło przed nim lśniące widmo skarbu, domagając się jego milczącej uległości żądaniem, któremu niepodobna było się sprzeciwiać. Drżał, gdyż jak owi *gringos* na Azuerze, nie czuł się żywy ani martwy, należał ciałem i duszą do nieprawości swego zuchwalstwa. Obawiał się, żeby mu nie zabroniono bywać na wyspie. Bał się i nie wymówił ani słowa.

Widząc tcyh dwóch mężczyzn stojących obok siebie i czekających na nią, Linda zatrzymała się w drzwiach. Nic nie mogło zmienić śmiertelnej bladości jej twarzy, ale jej oczy zdawały się chłonąć i skupiać cały blask zachodzącego słońca w ognistych iskrach, które migotały w czarnych głębinach, po chwili przysłonięte opuszczeniem ciężkich powiek.

— Oto twój małżonek, pan i dobrodziej! — Głos starego Violi rozbrzmiewał z taką siłą, iż zdawał się wypełniać przestwór zatoki.

Postąpiła przed siebie z oczyma niemal zamkniętymi niby lunatyk, który błądzi w cudownym śnie.

Nostromo uczynił nadludzki wysiłek.

— Czas już, Lindo, żebyśmy się zaręczyli — rzekł stanowczo swym równym, niedbałym, nieugiętym głosem.

Wsunęła dłoń w jego wyciągniętą rękę, pochylając swą ciemnowłosą głowę o brązowych błyskach, na której spoczęła przez chwilę ręka jej ojca.

— Stanie się zatem zadość duszy nieboszczki.

Słowa te wyrzekł Giorgio Viola, który zaczął mówić o swej zmarłej żonie. Młodzi siedzieli obok siebie, nie podnosząc oczu. Gdy starzec skończył, Linda, nie ruszając się, zaczęła mówić:

— Odkąd tylko uczułam, że żyję na świecie, żyłam tylko dla ciebie, Gian' Battista. A ty o tym wiedziałeś! Wiedziałeś... Battistino.

Wymawiała jego imię zupełnie tak samo jak jej matka. Mrok grobu przysłonił serce Nostroma.

— Tak. Wiedziałem — odezwał się.

Bohaterski Garibaldino siedział na ławie, pochyliwszy sędziwą głowę. Jego stara dusza przebywała samotnie wśród wspomnień czułych i namiętnych, smutnych i straszliwych. Był sam w świecie pełnym ludzi.

Zaś Linda, jego najukochańsza córka, mówiła:

— Byłam twoja, odkąd tylko pamiętam. Myślałam tylko o tobie, gdyż ziemia bez ciebie stawała się pustkowiem dla mych oczu. Gdy byłeś obok, nie widziałam nikogo innego. Byłam twoja. Nic się nie zmieniło. Świat należy do ciebie, a ty pozwalasz mi w nim żyć.

Jeszcze bardziej obniżyła swój niski, drżący głos i znalazła jeszcze inne rzeczy do powiedzenia, co było udręką dla siedzącego obok niej mężczyzny. Jej szept stawał się wartki i żarliwy. Zdawała się nie widzieć swej siostry, która wyszła z robótką w ręku i przeszła przed nimi milcząca, wdzięczna, świeża, by z przelotnym zerknięciem i nikłym uśmieszkiem usiąść opodal, po drugiej stronie Nostroma.

Wieczór był cichy. Słońce obniżyło się niemal do skraju purpurowego oceanu. Biała wieża, siniejąca na tle obłoków wypełniających wnętrze zatoki, piastowała czerwono jarzącą się latarnię niby głownię zapaloną przez ognie niebieskie. Gizela, ospała i skromna, podnosiła od czasu do czasu swą robótkę do twarzy, by ukryć nerwowe ziewanie, podobne do poziewania młodej pantery.

Wtem Linda podbiegła do siostry i uchwyciwszy jej głowę w dłonie, zaczęła okrywać jej twarz pocałunkami. W mózgu Nostroma zawirowało. Gdy ją wreszcie puściła, jakby odurzoną tymi namiętnymi pieszczotami, niewolnik skarbu poczuł, że mógłby zastrzelić tę kobietę.

Stary Giorgio podniósł swą lwią głowę.

— Dokąd idziesz, Lindo?

— Na górę, do latarni, *padre mio*.

— *Si, si*, do swego obowiązku.

Podniósł się również z miejsca, spoglądając za swą starszą córką, po czym rzekł głosem, którego pogodny ton zdawał się być echem wesołości zatraconej w mroku wieku:

— Pójdę ugotować coś na wieczerzę. Aha, synu! Stary człowiek wie jeszcze, gdzie znaleźć butelkę wina.

Zwrócił się do Gizeli z wyrazem surowej czułości.

— A ty, mała, nie módl się do Boga księży i niewolników, ale do Boga sierot, uciśnionych, biednych i niewiniątek, żebyś dostała takiego męża jak ten.

Położył na chwilę swą ciężką dłoń na ramieniu Nostroma, po czym wyszedł. Pozbawiony nadziei niewolnik srebra z San Tomé poczuł przy tych słowach, że jadowite szpony zazdrości wbijają mu się głęboko w serce. Był przerażony nowością tego uczucia, jego siłą, fizyczną dotkliwością. Mąż! Jej mąż! A jednak było rzeczą naturalną, iż Gizela wcześniej lub później będzie miała męża. Nigdy przedtem sobie tego nie uświadamiał. Kiedy sobie uprzytomnił, że jej uroda może należeć do kogoś innego, uczuł, iż mógłby zabić również i tę córkę starego Giorgia. Odezwał się chmurnie:

— Mówią, że kochasz Ramireza.

Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego. Miedziane błyski migotały tu i ówdzie w gęstwinie jej złotych włosów. Jej gładkie czoło miało czysty, miękki połysk drogocennej perły w tym przepychu zachodzącego słońca, który wśród majestatu ciszy zlewał się z mżeniem przestworów gwiezdnych, z purpurą morza i szkarłatem obłoków.

— Nie — rzekła powoli. — Nigdy go nie kochałam. Myślę, że nigdy... To może on mnie kocha.

Pokusa jej miękkiego głosu zastygła w powietrzu, a jej podniesione oczy zapatrzyły się w próżnię, jakby bezmyślne i obojętne.

— Czy Ramirez mówił ci, że cię kocha? — spytał Nostromo, opanowując się.

— Ach, raz, pewnego wieczora...

— Łajdak... Ha!

Zerwał się na równe nogi jak ugryziony przez osę i stał przed nią gniewny.

— *Misericordia Divina!* I ty także, Gian' Battista? Biednaż ja! — żaliła się prostodusznie. — Powiedziałam Lindzie i zrzędziła na mnie, zrzędziła. Czy mam żyć na tym świecie jak ślepa, głucha i niema? Wygadała się ze wszystkim przed ojcem, a on zdjął strzelbę i zaczął ją czyścić. Biedny Ramirez! Potem przyszedłeś ty, i tobie też powiedziała.

Patrzył na nią. Utkwił oczy w dołku jej białej szyi, która miała nieodparty urok rzeczy młodych, delikatnych i tętniących życiem. Czy była tym samym dzieckiem, które znał tak dobrze? Czy to możliwe? Zaświtało mu w głowie, iż w ostatnich latach widywał ją mało, prawie wcale. Wcale. Przyszła na świat jak coś nieznanego. Naszła go niepostrzeżenie. Była niebezpieczeństwem. Strasznym niebezpieczeństwem. Instynktowny poryw dzikiej stanowczości, która nie zawodziła go nigdy wobec niebezpieczeństw życia, zespolił swą krzepką siłę z ognistością jego namiętności. Zaś ona głosem, który przypominał mu śpiew płynącej wody i dźwięk srebrnego dzwonka, mówiła dalej:

— To wy we troje ustaliliście i oddaliście mnie w tę niewolę niebu i morzu. Nic innego, tylko niebo i morze! Och, *Sanctissima Madre!*[272] Posiwieję na tej nudnej wyspie. Mogłabym cię znienawidzić, Gian' Battista!

Zaśmiał się głośno. Jej głos spowijał go jak pieszczota. Uskarżała się na swój los, roztaczając bezwiednie urok swej osoby, jak kwiat, który tchnie swą wonią w chłodzie wieczoru. Czyż to było jej winą, że nikt nigdy nie zachwycał się Lindą? Nawet kiedy jeszcze były małe i chodziły z matką na mszę, nikt nie zwracał uwagi na Lindę, która nie bała się niczego, a wszyscy woleli patrzeć na nią, chociaż była zawsze zalękniona. Może to dlatego, że miała włosy jak złoto.

Wybuchnął:

— Twoje włosy są jak złoto, twoje oczy jak fiołki, a twoje usta jak róże. Twoje okrągłe ramiona, twoja biała szyja...

Nie zmieniając swej niedbałej pozy, zarumieniła się mocno aż po same włosy. Nie była zarozumiała. Miała nie więcej świadomości swego uroku niż kwiat. Ale było jej miło. Może nawet kwiat lubi, kiedy go chwalą. Spojrzał w dół i dodał porywczo:

— Twoje drobne nóżki.

Oparta plecami o chropowate kamienie ściany, zdawała się wygrzewać leniwie w cieple własnego rumieńca. Spod spuszczonych powiek spojrzała na swe małe nóżki.

— A więc chcesz się w końcu ożenić z Lindą! Jest okropna. Teraz lepiej zrozumie, odkąd powiedziałeś jej, że ją kochasz. Nie będzie tak sroga.

— *Chica!*[273] — odparł Nostromo. — Nic jej nie powiedziałem.

— To pośpiesz się. Przyjdź jutro. Przyjdź i powiedz jej, żeby się uspokoiła i przestała na mnie zrzędzić, a może... kto wie...

— Będzie ci wolno gruchać ze swoim Ramirezem, co? Czy nie tak? Ty...

— Na miłość boską! Jakiś ty złośnik, Giovanni! — rzekła nieporuszona. — Ramirez... Ramirez... Kto to jest? — powtarzała sennie w półmroku okrytej chmurami zatoki. Od zachodu jarzyła się nisko czerwona smuga, niby zawora z rozpalonego żelaza zamykająca dostęp do posępnego jak jaskinia świata, w którym wspaniały *capataz de cargadores* ukrył swą zdobycz miłości i bogactwa.

— Posłuchaj no, Gizelo — rzekł miarowym głosem. — Nie powiem twojej siostrze, że ją kocham. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

— Niestety! Może nie będę mogła zrozumieć, Giovanni. Ojciec powiada, że nie jesteś jak inni ludzie, że dotychczas nikt właściwie cię nie rozumiał, że bogacze jeszcze się zadziwią... O, święci pańscy! Jaka ja zmęczona!

Podniosła robótkę, by zasłonić dolną część twarzy, po czym opuściła ją na kolana. Latarnia od strony lądu była zacieniona, ale na ukos od ciemnej wieży widzieli długi snop światła zapalonego przez Lindę, które sięgało dogasającego na widnokręgu żaru purpury i czerwieni.

Gizela Viola, z głową opartą o mur chaty, z przymkniętymi oczyma, ze skrzyżowanymi, drobnymi nóżkami w białych pończoszkach i czarnych pantofelkach, zdawała się poddawać z fatalistycznym spokojem nadciągającemu zmierzchowi. Urok jej ciała, obiecująca tajemniczość jej biernej sylwetki roztaczały się wśród mroku Zatoki Placido, rozpraszając się w cieniach i przepajając powietrze jak świeża i upajająca woń. Nostromo wdychał jej przemożny czar burzliwie wezbraną piersią. Opuszczając port, zdjął z siebie pospolite ubranie kapitana Fidanzy, żeby nie przeszkadzało mu w wiosłowaniu, i stał przed nią teraz w kraciastej koszuli i czerwonym pasie, jak niegdyś zwykł ukazywać się na nabrzeżu portowym: śródziemnomorski marynarz, szukający szczęścia w Costaguanie. Zmierzch purpury i czerwieni spowijał również i jego, mocno, miękko, głęboko, zaledwie o pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie gęstniał wieczór po wieczorze dokoła samobójczo zapamiętałej, bezwzględnej niewiary don Martina Decoud, pałając zwidem samotnej śmierci.

— Musisz mnie wysłuchać — zaczął w końcu, całkowicie opanowany. — Nie powiem ani słowa miłości twojej siostrze, z którą od dzisiejszego wieczora jestem zaręczony, ponieważ kocham tylko ciebie. Tylko ciebie!...

[272] *Sanctissima Madre!* (wł.) — Matko Najświętsza! [przypis edytorski]

[273] *chica* (hiszp.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

Mimo mroku dostrzegł słodki, rozkoszny uśmiech, który instynktownie pojawił się na jej ustach, stworzonych do miłości i pocałunków, i zaraz zastygł w pociągłych, twardych liniach przerażenia. Nie mógł pohamować się dłużej. Kiedy przybliżył się do niej, cofnęła się, ale jej ramiona wybiegły do niego, uległe i królewskie w swej godności tęsknego oddania. Ujął jej głowę w dłonie i pospiesznymi pocałunkami okrywał odwróconą twarz, majaczącą w purpurowym zmierzchu. Władczy i czuły, ogarniał ją z wolna w pełne swe posiadanie. Zauważył, że ona płacze. Wtedy niezrównany *capataz*, człowiek lekkomyślnych miłostek, stał się łagodny i pieszczotliwy jak kobieta, która ucisza rozpłakane dziecko. Przemawiał do niej czule, po czym usiadł przy niej i przytulił jej jasną głowę do swej piersi. Nazywał ją swą gwiazdką, swym kwiatem.

Zapadła ciemność. Z izby domostwa, gdzie Giorgio, jeden z „nieśmiertelnego tysiąca", pochylał swą lwią, bohaterską głowę nad węglowym piecem, dolatywał odgłos skwierczenia i aromat artystycznej frytury[274].

W mętnym chaosie zdarzenia, które spadło na nich jak kataklizm, tylko w jej kobiecej główce pozostała iskra rozsądku. On zapomniał o świecie, trzymając ją w objęciach. Ale ona zaczęła mu szeptać do ucha:

— Boże miłosierny! Co się stanie ze mną, tu, teraz, między tym niebem i tą wodą, których nienawidzę? Linda, Linda, widzę ją!... — Próbowała uwolnić się z jego ramion, których uścisk nagle zelżał na dźwięk tego imienia. Ale nikt nie zbliżał się do ich ciemnych postaci, splecionych i walczących na białym tle ściany. — Linda! Biedna Linda! Drżę! Umrę ze strachu przed moją biedną siostrą, Lindą, która zaręczyła się z Giovannim, moim kochankiem! Tyś musiał być niespełna zmysłów, Giovanni! Nie rozumiem cię! Nie jesteś jak inni ludzie. Nie oddam cię nikomu, nigdy, chyba samemu Bogu. Ale po co uczyniłeś tę ślepą, szaloną, okrutną, straszliwą rzecz?

Wyzwoliwszy się z jego objęć, zwiesiła głowę i opuściła ręce. Robótka, jakby uniesiona przez mocny wiatr, leżała daleko od nich, majacząc bielą na czarnej ziemi.

— Bo bałem się, że cię utracę.

— Wiedziałeś przecież, że posiadasz moją duszę! Wiesz wszystko! Moja dusza była stworzona dla ciebie. Cóż więc może stanąć między tobą a mną? Co? Powiedz! — powtarzała bez zniecierpliwienia, z przedziwną pewnością.

— Twoja nieboszczka matka — odparł bardzo cicho.

— Ach... Biedna matka! Chciała zawsze... Jest teraz świętą w niebie, ale ja nie mogę jej ciebie odstąpić. Nie, Giovanni! Chyba Bogu samemu. Byłeś szalony, ale stało się. Och, coś ty uczynił? Giovanni, mój najmilszy, moje życie, mój panie, nie pozostawiaj mnie tu, w tej mogile z obłoków. Nie możesz mnie teraz pozostawić! Musisz mnie zabrać, od razu, natychmiast, wywieźć swą łódkę. Giovanni, zabierz mnie jeszcze dziś wieczorem, bo lękam się oczu Lindy.

Przytuliła się mocno do niego. Niewolnik srebra z San Tomé poczuł jakby brzemię kajdan na swych członkach i ucisk zimnej dłoni na swych wargach. Zaczął zmagać się z tym zaklęciem.

— Nie mogę — powiedział. — Jeszcze nie. Jest coś, co stoi między nami dwojgiem a wolnym światem.

Przytuliła się do niego mocniej, z naiwnym, subtelnym instynktem uwodzicielki.

— Majaczysz, Giovanni, mój najmilszy — szeptała zachęcająco. — Cóż to takiego może być? Zabierz mnie, na swych rękach, do doñii Emilii, zabierz stąd! Nie jestem bardzo ciężka.

Zdawało się, jak gdyby oczekiwała, że uniesie ją w swych ramionach. Postradała poczucie niemożliwości. Tej cudownej nocy wszystko mogło się zdarzyć. Gdy się nie poruszył, krzyknęła niemal głośno:

— Mówię ci, że się boję Lindy. — Ale on stał dalej bez ruchu. Uspokoiła się przebiegle. — Cóż to takiego może być? — spytała pieszczotliwie.

Czuł ją żywą, ciepłą, oddychającą, zwieszoną w objęciu swych ramion. W rozradowanym poczuciu swej siły i w triumfującym podnieceniu umysłu wyruszał po swą wolność.

— Skarb — odrzekł. — Było cicho. Nie zrozumiała. — Skarb. Skarb srebra, za który kupię złotą koronę na twe czoło.

[274] *frytura* — mieszanina tłuszczów jadalnych odporna na działanie wysokich temperatur. [przypis edytorski]

— Skarb? — powtórzyła słabym głosem, jak gdyby dobytym z głębin snu. — Co ty mówisz?

Odsunęła się od niego łagodnie. Powstał z ławy i spojrzał na nią, szukając oczyma jej twarzy, jej włosów, jej ust, dołeczków na jej policzkach, widząc czar jej postaci w ciemności zatoki jak w blasku południa. Jej niedbały, urzekający głos drżał z podniecenia zalęknionego podziwu i nieposkromionej ciekawości.

— Srebrny skarb! — wyjąkała. Po czym ciągnęła już prędzej: — Powiedz! Gdzie? Jak go zdobyłeś, Giovanni?

Zmagał się z niewolącym go zaklęciem. Zadał mu bohaterski cios, gdy wybuchnął:

— Jak złodziej!

Doznał wrażenia, iż najgęstszy mrok Zatoki Placido wali się mu na głowę. Już nie widział Gizeli. Znikła w długim, mrocznym, otchłannym milczeniu, z którego po pewnym czasie doleciał go jej głos, a wraz z nim słabo zamajaczyła jej twarz.

— Kocham cię! Kocham cię!

Te słowa przywróciły mu zapomniane poczucie swobody, rzuciły na niego urok silniejszy od przeklętego uroku skarbu; jego znużoną zależność od tej martwej rzeczy zamieniły w radosne przeświadczenie o swej potędze. Będzie ją kochał, mówił, i otoczy przepychem równym przepychowi, w jakim żyje doña Emilia. Bogacze żyją z bogactw ukradzionych ludowi, ale on nie zabrał bogaczom niczego, niczego, co by nie było dla nich już i tak stracone skutkiem ich szaleństwa, ich oszukaństwa. Gdyż zdradzono go, zapewniał, oszukano, sponiewierano. Uwierzyła mu... Zagarnął ten skarb, żeby się zemścić, ale teraz nie dba już o zemstę. Dba tylko o nią. Chciałby, żeby jej uroda zajaśniała w pałacu na wzgórzu uwieńczonym drzewami oliwnymi, w białym pałacu nad błękitnym morzem. Ukryje ją tam jak klejnot w szkatule. Zakupi dla niej posiadłość, podścieli pod jej drobne stopy ziemię bogatą w winnice i zboża. Ucałował jej stopki... Zapłacił już za to wszystko duszą pewnej kobiety i życiem pewnego mężczyzny... *Capataz de cargadores* doznał największego upojenia swym poczuciem szczodrobliwości. Wspaniałomyślnie rzucił zagarnięty skarb pod jej stopy w tej nieprzeniknionej ciemności zatoki, ciemności urągającej, jak powiadają, wszechwiedzy Boga i chytrości diabła. Ale najpierw, uprzedził ją, niech pozwoli mu się wzbogacić.

Słuchała jak w transie. Jej palce błądziły w jego włosach. Podniósł się z kolan chwiejny, słaby, z uczuciem pustki, jakby postradał swą duszę.

— Spiesz się — rzekła. — Spiesz się, Giovanni, mój kochanku, mój panie, gdyż nie oddam ciebie nikomu, chyba tylko samemu Bogu. A boję się Lindy.

Domyślił się tego po tym, gdy zadrżała, i przysiągł, że uczyni, co tylko będzie w jego mocy. Zaufał odwadze jej miłości. Ona zaś przyrzekła, że wytrwa, bo chce zawsze być kochaną, daleko w białym pałacu nad błękitnym morzem... Potem z lękliwą, nieśmiałą gorliwością szepnęła:

— Gdzie on jest? Gdzie? Powiedz mi, Giovanni.

Otworzył usta i oniemiał jak porażony gromem.

— Nie pytaj o to! Tylko nie o to! — zżymał się, przerażony tajemniczym zaklęciem, które kazało mu milczeć przed tyloma ludźmi, a teraz znów zamykało mu usta z nieodpartą siłą. Nawet jej tego nie powie. Nawet jej! To nazbyt było niebezpieczne. — Zabraniam ci pytać! — krzyknął, przezornie tłumiąc gniew w swoim głosie.

Nie odzyskał wolności. Pojawiło się widmo bezprawnie zagrabionego skarbu i stanęło obok niej niby srebrny posąg, bezlitosne i tajemnicze, z palcem na bladych ustach. Dusza w nim zamarła, gdy wyobraził sobie siebie, jak pełznie w głąb rozpadliny, z wyziewami ziemi i zgniłych liści w nozdrzach, jak wpełza tam z zamiarem, od którego lodowacieje mu pierś, i wypełza, obładowany srebrem, nadsłuchując czujnie, czy nie rozlegną się podejrzane szmery. Trzeba to będzie wykonać jeszcze tej nocy, tę robotę przerażonego niewolnika.

Pochylił się nisko, przycisnął rąbek jej sukienki do ust i rozkazał jej szeptem:

— Powiedz mu, że nie chciałem pozostać — po czym odszedł od niej nagle, w milczeniu, a ciemna noc stłumiła szmer jego kroków.

Siedziała cicho, z głową opartą bezwładnie o ścianę, ze skrzyżowanymi nóżkami w białych pończoszkach i czarnych pantofelkach. Stary Giorgio, gdy wreszcie wyszedł z domu,

nie wydawał się bynajmniej zdziwiony wiadomością o odejściu Nostroma, jak tego niejasno się lękała. Teraz bowiem przepełniał ją niewytłumaczalny strach, bała się wszystkiego i wszystkich prócz swego Giovanniego i jego skarbu. Ale w to trudno było uwierzyć.

Stary Garibaldino przyjął wiadomość o nagłym odejściu Nostroma z mądrą pobłażliwością. Pamiętał własne uczucia i okazał męską przenikliwość co do prawdziwego stanu rzeczy.

— *Va bene.*[275] Niech idzie. Ha, ha! Jest markotno, chociażby kobieta była nie wiedzieć jak piękna. Wolność, wolność! Jest jej więcej niż jeden rodzaj. Wypowiedział wielkie słowo, a Gian' Battista nie jest okiełznany — zdawał się pouczać nieruchomą, zmieszaną Gizelę. Stojąc już we drzwiach, dorzucił dogmatycznym tonem: — Mężczyzn nie należy krępować. — Nie podobała się mu jej cichość i milczenie. — Nie zazdrość swojej siostrze losu! — napominał ją z wielką powagą swym głębokim głosem.

Niebawem musiał znowu wrócić do drzwi, by zawołać młodszą córkę. Było późno. Trzy razy musiał powtórzyć jej imię, zanim podniosła głowę. Pozostawiona w samotności, stała się bezwolną igraszką zdumienia. Weszła do izby, którą dzieliła z Lindą, jak osoba w głębokim śnie. Było to tak zastanawiające, iż nawet stary Giorgio odwrócił oczy od Biblii i potrząsnął głową, gdy zamykała za sobą drzwi.

Przeszła przez pokój, nie patrząc na nic, i usiadła od razu przy otwartym oknie. Kiedy Linda, z piersią wezbraną szczęściem, zeszła z wieży, zastała ją przy zapalonej świecy, zapatrzoną w czarną noc, pełną łkających podmuchów wiatru i szmeru odległych ulew, noc, jaka bywa w tej zatoce, zbyt gęsta dla oczu Boga i dla podstępów szatana. Nie odwróciła głowy, gdy skrzypnęły otwierane drzwi.

Było w tym bezruchu coś, co dosięgło Lindę w głębinach jej błogości. Starszej siostrze przyszła do głowy gniewna myśl, że to dziecko marzy o tym nicponiu, Ramirezie. Linda tęskniła za rozmową. Zawołała swym rozkazującym głosem: — Gizelo! — lecz nie otrzymała w odpowiedzi najlżejszego drgnięcia.

Dziewczyna, która miała mieszkać w pałacu i stąpać po własnej ziemi, wprost umierała ze strachu. Za nic w świecie nie odwróciłaby głowy, by spojrzeć w twarz siostrze. Serce biło jej jak szalone. Odrzekła z powściąganym pośpiechem:

— Nie mów do mnie! Modlę się.

Linda, rozczarowana, spokojnie wyszła. Gizela siedziała niedowierzająca, zadumana, trwożna, cierpliwa, jakby czekając na potwierdzenie czegoś niepojętego. Beznadziejna czerń obłoków zdawała się również cząstką jej snu. Czekała.

Nie czekała na próżno. Człowiek, w którym dusza zamarła, gdy wyłaził z rozpadliny obładowany srebrem, dostrzegł blask oświetlonego okna i nie mógł się powstrzymać, by nie skierować kroków z plaży z tamtą stronę.

Na nieprzeniknionym tle ciemności, która pochłonęła wyniosłe góry na wybrzeżu, dostrzegła niewolnika srebra z San Tomé, jakby ukazał się jakąś niesłychaną mocą cudu. Przyjęła jego powrót jako coś zwyczajnego, jak gdyby odtąd przez całą wieczność świat nie mógł skrywać żadnych niespodzianek.

Powstała, zniewolona i niewzruszona, i zaczęła mówić, zanim światło z wnętrza izby zdążyło paść na twarz nadchodzącego mężczyzny:

— Wróciłeś, by mnie zabrać. To dobrze. Otwórz ramiona, Giovanni, mój najmilszy! Idę.

Jego ostrożne kroki umilkły. Z błyszczącymi dziko oczyma rzekł szorstkim głosem:

— Jeszcze nie. Muszę się powoli wzbogacać... — W tonie jego głosu zadrgała groźba. — Pamiętaj, że masz złodzieja za kochanka.

— Wiem, wiem — szepnęła śpiesznie. — Podejdź bliżej! Słuchaj! Nie opuszczaj mnie, Giovanni! Nigdy, nigdy!... Będę cierpliwa!...

Jej postać wychyliła się z niskiego parapetu okna ku niewolnikowi bezprawnie zagarniętego skarbu. Światło w izbie zgasło. W mroku zatoki, obładowany srebrem, wspaniały *capataz* objął ramionami jej białą szyję, jak tonący chwyta się słomki.

[275] *Va bene* (wł.) — dobrze. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XIII

Pewnego dnia, kiedy pani Gould wedle słów doktora Monyghama miała „urządzać *tertulię*", kapitan Fidanza zszedł ze swego szkunera stojącego na kotwicy w porcie Sulaco; spokojny, nieugięty, rozważny, wsiadł do łodzi i ujął wiosła. Było później niż zwykle. Miało się już dobrze pod wieczór, kiedy wylądował na plaży Wielkiej Izabeli i mocnym krokiem zaczął wspinać się po pochyłości wyspy.

Z daleka dostrzegł Gizelę, siedzącą na krześle opartym o tylną ścianę domu, pod oknem pokoju dziewcząt. W rękach trzymała swój haft, podnosząc go do oczu. Spokój tej dziewczęcej postaci wzburzył go, kłócąc się z poczuciem nieustannej waśni i walki, które rozpierało mu pierś. Ogarnął go gniew. Wydawało się mu, iż powinna słyszeć z daleka szczęk jego kajdan, jego srebrnych kajdan. Tym bardziej, że tego dnia spotkał na wybrzeżu doktora o złym oku, który uważnie mu się przyglądał.

Podniosła oczy i to go ułagodziło. Ich uśmiech, mający w sobie świeżość kwiatów, przeniknął prosto w jego serce. A potem zmarszczyła brwi. Było to ostrzeżenie, żeby miał się na baczności. Zatrzymał się w pewnej odległości i donośnym, obojętnym głosem zagadnął:

— Dzień dobry, Gizelo. Czy Linda już wstała?

— Tak. Jest z ojcem w dużym pokoju.

Podszedł bliżej i zaglądając przez okno do sypialni z obawy, żeby został zaskoczony, gdyby Linda z jakiegoś powodu wróciła, odezwał się samym tylko poruszeniem ust:

— Kochasz mnie?

— Nad życie. — I kiedy on patrzył w zadumie na jej robótkę, mówiła dalej, niby nie odwracając uwagi od pracy: — Inaczej nie mogłabym żyć. Nie mogłabym. Bo moje życie jest jak śmierć. Och, Giovanni, zginę, jeśli mnie stąd nie zabierzesz.

Uśmiechnął się beztrosko.

— Przyjdę pod okno, gdy się ściemni — powiedział.

— Nie, nie rób tego, Giovanni. Nie dzisiejszego wieczora. Linda i ojciec długo dziś ze sobą rozmawiali.

— O czym?

— O ile dosłyszałam, o Ramirezie. Nie wiem. Boję się. Ja ciągle się boję. To jak konanie po tysiąc razy na dzień. Twoja miłość jest dla mnie tym, czym dla ciebie twój skarb. Istnieje, ale nigdy nie mogę się nią nasycić.

Patrzył na nią bardzo spokojnie. Była piękna. Zawrzało w nim pożądanie. Miał teraz dwoje władców. Ale ona była niezdolna do stałego odczuwania wzruszeń. Była szczera w tym, co mówiła, lecz sypiała spokojnie w nocy. Rozpłomieniała się, ilekroć go widziała, po czym tylko wzmożona milkliwość świadczyła, iż zaszła w niej zmiana. Bała się omamić siebie. Bała się męki, przykrości fizycznych, ostrych słów. Nie chciała się narażać na gniew i mieć do czynienia z przymusem. Bowiem jej dusza była lekka, wiotka i miała pogańską szczerość w swych odruchach. Odezwała się półgłosem:

— Zaniechaj pałacu, Giovanni, i winnicy na wzgórzach, dla których marnujemy naszą miłość.

Zaniemówiła, ujrzawszy Lindę stojącą w milczeniu przy narożniku domu.

Nostromo zwrócił się do swej narzeczonej z powitaniem i dziwił się na widok jej zapadniętych oczu, zaklęsłych policzków, udręki i niemocy na jej twarzy.

— Byłaś chora? — rzekł, starając się okazać niejaką troskliwość tym pytaniem.

Jej czarne oczy wionęły ku niemu płomieniem.

— Czy schudłam? — zagadnęła.

— Zapewne, może, nieco.

— I postarzałam się.

— Każdy dzień mija nie bez śladu, na nas wszystkich.

— Obawiam się, że posiwieję, zanim będę miała pierścionek na palcu — rzekła z wolna, nie spuszczając z niego oczu.

Czekała, co powie, odwijając zakasane rękawy.

— Nie ma obawy — odparł z roztargnieniem.

Odwróciła się, jak gdyby to miało być zakończeniem, i zajęła się gospodarstwem. Nostromo tymczasem rozmawiał z jej ojcem. Rozmowa z starym Garibaldinem nie była

łatwa. Wiek nie uszczuplił jego władz umysłowych, ale zdawało się, jakby zapadły weń głębiej. Odpowiedzi przychodziły mu z wolna i miały wyraz dostojnej powagi. Tego dnia jednak był bardziej ożywiony i rześki, zdawało się, jakby było więcej życia w tym starym lwie. Niepokoił się o nieskazitelność swego honoru. Dawał wiarę ostrzeżeniom Sidoniego, iż Ramirez czyha na jego młodszą córkę. I nie dowierzał jej. Była płocha. Nie napomknął nic o swych troskach „synowi Gian' Battiście". Był to przejaw starczej próżności. Chciał pokazać, iż jest jeszcze zdolny sam strzec honoru swego domu.

Nostromo oddalił się wcześnie. Skoro tylko zniknął, zmierzając ku plaży, Linda przestąpiła próg i z wymuszonym uśmiechem usiadła obok swego ojca.

Już od owej niedzieli, kiedy zadurzony i zrozpaczony Ramirez czekał na nią w porcie, nie miała żadnych wątpliwości. Zazdrosne majaczenia tego człowieka nie były dla niej rewelacją. Niby gwóźdź wbity w serce utwierdziły tylko to uczucie nierzeczywistości i omamu, które zamiast błogości i pewności znalazła w obcowaniu ze swym przyszłym mężem. Odeszła wówczas, obrzucając Ramireza oburzeniem i wzgardą, ale tamtej niedzieli konała niemal z rozżalenia i wstydu, leżąc na rzeźbionej płycie grobowca Teresy, który ufundowali maszyniści i mechanicy kolejowi na znak swej czci dla bohatera zjednoczenia Włoch. Stary Viola nie mógł spełnić swego życzenia, aby jego żonę pochowano w morzu, więc Linda zapłakiwała się na kamieniu.

Przerażała ją ta niezasłużona zniewaga. Jeśli pragnął złamać jej serce, to niech się dzieje jego wola. Gian' Battiście wszystko wolno. Ale po co deptał jego szczątki, po co poniżał jej ducha? Aha! Nie mógł go złamać. Osuszyła łzy. A Gizela, Gizela! Ta mała, która odkąd tylko zaczęła chodzić, zawsze szukała opieki pod jej fartuszkiem. Co za obłuda! Lecz może nie umiała temu zapobiec. Gdy chodziło o mężczyznę, ta biedna głuptaska nie umiała dać sobie rady.

Linda miała w sobie sporo ze stoicyzmu Violi. Postanowiła nic nie mówić. Ale po kobiecemu wniosła namiętność do swego stoicyzmu. Krótkie odpowiedzi Gizeli, wywoływane trwożnym niedowierzaniem, wyprowadzały ją z równowagi swą zwięzłością podobną do pogardy. Pewnego dnia podbiegła do krzesła, na którym spoczywała jej gnuśna siostra i wpiła się zębami w najbielszą szyję, jaka była w Sulaco. Gizela krzyknęła. Ale miała w sobie także cząstkę bohaterstwa Violi. Chociaż niemal mdlała ze strachu, rzekła tylko ospałym głosem:

— *Madre de Dios!* Czy chcesz zjeść mnie żywcem, Lindo?

I wybuch ten minął, nie pozostawiając śladu na ich wzajemnych stosunkach. „Nic nie wie. Nie może wiedzieć" — rozumowała Gizela. „Może to nieprawda. To nie może być prawdą" — starała się wmówić w siebie Linda.

Ale kiedy zobaczyła kapitana Fidanzę po raz pierwszy po swym spotkaniu z obłąkanym Ramirezem, pewność jej niedoli powróciła. Patrzyła za nim od drzwi, gdy odchodził do swej łodzi, i zadawała sobie ze stoickim spokojem pytanie: „Czy spotkają się tej nocy?". Postanowiła sobie ani na chwilę nie opuszczać wieży. Gdy znikł, wyszła na dwór i usiadła obok ojca.

Czcigodny Garibaldino czuł się, jak sam mówił, „jeszcze młodym mężczyzną". Ostatnio takim czy innym sposobem dotarło do niego wiele plotek o Ramirezie, zaś jego niechęć i pogarda do tego człowieka, który żadną miarą nie mógł być tym, czym byłby jego syn, odebrały mu spokój. Sypiał bardzo mało. Od kilku nocy zamiast czytać lub bodaj tylko siedzieć przed otwartą Biblią z srebrnymi okularami pani Gould na nosie, przetrząsał wyspę ze starą strzelbą w ręku, czuwając nad swym honorem.

Linda, położywszy swą szczupłą, śniadą rękę na jego kolanie, starała się uśmierzyć jego wzburzenie. Ramireza nie ma w Sulaco. Nikt nie wie, gdzie przebywa. Znikł. Jego gadanina o tym, co by zrobił, jest bez znaczenia.

— Nie — przerwał jej starzec. — Mój syn Gian' Battista powiedział mi, zupełnie niepytany„ że ten tchórzliwy *esclavo* zapija się i gra w karty z łotrami z Zapigo, tam, na północnym wybrzeżu zatoki. Mógłby zebrać najgorszą hołotę z tego podłego, murzyńskiego miasta, żeby mu pomogli porwać malutką... Ale ja nie jestem taki stary. Nie!

Usilnie wykazywała mu nieprawdopodobieństwo jakiegokolwiek zamachu. Starzec w końcu umilkł, zagryzając swe białe wąsy. Kobiety mają swe uparte poglądy, którym trzeba pobłażać. Taka była jego biedna żona, a Linda przypominała swoją matkę. Mężczyźnie nie wypada wdawać się z nimi w spory.

Kobieta

— Być może, być może — mamrotał.

W głębi duszy nie czuła się bynajmniej uspokojona. Kochała Nostroma. Z macierzyńską jakby czułością i z zazdrosną boleścią rywalki, poniżonej swym niepowodzeniem, zwróciła oczy na Gizelę, która siedziała opodal. Wstała i podeszła do niej.

— Słuchaj no ty — rzekła szorstko.

Nieodparta niewinność spojrzenia, te wzniesione oczy jak fiołki pokryte rosą rozbudziły jej gniew i podziw. Jakże piękne oczy miała ta *chica*, to niegodziwe stworzenie z białego ciała i czarnej obłudy. Nie wiedziała, czy wydrzeć je z okrzykiem zemsty, czy też okryć ich tajemniczą i bezwstydną niewinność pocałunkami żalu i miłości. I oto nagle te oczy przygasły i zaczęły patrzeć na nią pustym spojrzeniem, w którym przebijało zaledwie nieco lęku, nie dość głęboko ukrytego wraz z innymi uczuciami w sercu Gizeli.

Linda powiedziała:

— Ramirez przechwala się w mieście, że zamierza cię uprowadzić z wyspy.

— Co za głupstwa! — odpowiedziała jej siostra i z przewrotnością zrodzoną z długiego powstrzymywania się, dodała żartobliwym tonem z drżącą zuchowatością: — Nie stać go na to.

— Nie? — rzekła Linda przez zaciśnięte zęby. — Nie stać go? No, to uważaj, bo ojciec chodzi nocami z nabitą strzelbą.

— To niedobrze dla niego. Powinna byś mu to odradzić, Lindo. Mnie nie posłucha.

— Nie powiem już nic, nigdy, nikomu! — krzyknęła Linda porywczo.

„To nie może dłużej trwać" — myślała Gizela. Giovanni musi ją zaraz zabrać, gdy tylko przyjdzie za następnym razem. Nie zniesie dłużej tych przerażających sytuacji, nawet za tyle srebra. Od rozmów z siostrą była chora. Nie budziła w niej niepokoju czujność ojca. Prosiła Nostroma, by nie tego wieczora przychodził pod okno. Przyrzekł, że tym razem nie przyjdzie. Nie wiedziała, nie mogła się domyślić ani sobie wyobrazić, żeby miał inne powody, które sprowadzały go na wyspę.

Linda poszła prosto na wieżę. Był już czas zapalić latarnię. Otworzyła małe drzwiczki i szła ciężko po krętych schodach, dźwigając swą miłość do wspaniałego *capataza de cargadores* jak coraz cięższe brzemię haniebnych kajdan. Nie, nie mogła ich zrzucić. Nie, niech Bóg rozstrzyga o tamtych dwojgu. I krzątając się po latarni, wypełnionej mrokiem i poświatą księżyca, ostrożnymi ruchami zapaliła lampę. Po czym opuściła ramiona wzdłuż ciała.

— A nasza matka patrzy na to — szeptała do siebie. — Własna siostra, ta *chica*.

Cały aparat refrakcyjny, ze swymi mosiężnymi częściami i obręczami pryzmatów, skrzył się i migotał jak kopulasta świątynia z brylantów, zawierająca nie lampę, lecz święty ogień, górujący nad oceanem. Zaś jego strażniczka, Linda, cała w czerni, z bladą twarzą, siedziała na niskim, drewnianym krzesełku, sama ze swą zazdrością, wyniesiona wysoko ponad hańby i namiętności ziemskie. Jakieś dziwne, szarpiące cierpienie, jak gdyby ktoś ciągnął ją brutalnie za ciemne włosy o brązowych poświatach, zmusiło ją, że podniosła dłonie do skroni. Spotkają się. Spotkają się. I wiedziała gdzie. Przy oknie. Pot udręki spływał kroplami po jej policzkach. Smuga światła księżycowego padająca na morze zamykała olbrzymią, srebrną sztabą wylot Zatoki Placido — tej posępnej pieczary, pełnej obłoków i ciszy, wykutej w opłukiwanym przypływami morskimi wybrzeżu.

Linda Viola powstała nagle, przyłożywszy palec do ust. Nie kochała ani siebie, ani swej siostry. Wszystko wydawało się zbyt bezcelowe, żeby mogło ją przerażać lub budzić jakąkolwiek nadzieję. Dlaczego jej nie zabrał? Co mu na przeszkadza? Niepodobna było go zrozumieć. Na co oni czekają? W jakim celu kłamią i oszukują? To nie chodziło o ich miłość. Nie o nią chodziło. Nadzieja, iż uda się jej odzyskać go dla siebie, zachwiała jej postanowieniem, że nie zejdzie z wieży tej nocy. Musi zaraz pomówić z ojcem, który jest mądry i ją zrozumie. Zbiegła po krętych schodach. Kiedy otwierała drzwi na dole, rozległ się huk pierwszego wystrzału, jaki kiedykolwiek padł na Wielkiej Izabeli.

Doznała wstrząsu, jak gdyby kula ugodziła ją w pierś. Biegła, nie zatrzymując się. W chacie było ciemno. Krzyknęła w drzwiach: — Gizelo, Gizelo! — po czym obiegła narożnik, nawołując siostrę przy otwartym oknie, ale nie otrzymała odpowiedzi. Kiedy jednak, pełna rozterki, zaczęła obiegać dom, Gizela wypadła z drzwi i przemknęła obok niej, biegnąc w milczeniu z rozwianymi włosami i oczyma utkwionymi przed siebie. Zdawała się zaledwie muskać stopami trawę i zniknęła.

Linda szła powoli, wyciągnąwszy ramiona przed siebie. Na wyspie zaległa cisza. Nie wiedziała, dokąd idzie. Drzewo, pod którym Martin Decoud spędził swe ostatnie dni, patrząc się na swe życie jak na szereg niepowiązanych obrazów, rzucało wielką plamę czarnego cienia na murawę. Nagle ujrzała ojca, stojącego spokojnie i samotnie w poświacie księżycowej.

Garibaldino, ogromny, wyprostowany, ze śnieżnobiałymi włosami i brodą, znieruchomiał w monumentalnej postawie, wsparty na strzelbie. Położyła mu lekko rękę na ramieniu. Nie poruszył się.

— Co uczyniłeś, ojcze? — spytała swym zwykłym głosem.

— Zastrzeliłem tego podłego Ramireza — odparł, kierując oczy w stronę miejsca, gdzie cień był najczarniejszy. — Przyszedł jak złodziej i zginął jak złodziej. Trzeba było dziecko ochronić.

Nie drgnął z miejsca, nie postąpił naprzód ani kroku. Stał zastygły i niewzruszony jak posąg starca strzegącego honoru swego domu. Linda zdjęła swą drżącą rękę z jego ramienia, krzepkiego i nieustępliwego jak kamień, i nie mówiąc ani słowa, weszła w czarną ciemność cienia. Ujrzała na ziemi kłąb bezładnych kształtów i stanęła jak wryta. Do jej uszu dotarł szept rozpaczy i wzmagające się łkanie.

— Błagałam cię, żebyś dzisiejszej nocy nie przychodził. Och, mój Giovanni! I przyrzekłeś. Och, dlaczego, dlaczego przyszedłeś, Giovanni?

Był to głos jej siostry. Urwał się rozdzierającym szlochem. Zaś głos dzielnego *capataza de cargadores*, pana i niewolnika skarbu z San Tomé, którego znienacka zaskoczył stary Giorgio, gdy przekradał się przez otwartą przestrzeń do wąwozu, by zabrać więcej srebra, odpowiedział z ziemi niedbale i chłodno, ale dziwnie słabo:

— Zdawało mi się, że nie przeżyję tej nocy, jeśli cię raz jeszcze nie zobaczę, moja gwiazdko, mój kwiatuszku!

*

Świetna *tertulia* właśnie się skończyła, ostatni goście odjechali, a *señor administrador* odszedł już do swego pokoju, gdy doktor Monygham, którego oczekiwano tego wieczora, ale który nie przybył, nadjechał przy świetle lamp elektrycznych po drewnianym bruku opustoszałej Calle de la Constitution i zastał wielką bramę Casa jeszcze otwartą.

Kulejąc, wszedł do domu, wspiął się na schody i trafił na moment, kiedy wymuskany, tłusty Basilio gasił właśnie światła w sali. Kwitnący majordomus otworzył usta na widok przybysza.

— Nie gaś światła — rozkazał doktor. — Chcę się widzieć z señorą.

— Señora jest w kancelarii *señora administradora* — rzekł namaszczonym głosem Basilio. — *Señor administrador* za godzinę odjeżdża w góry. Zdaje się, że obawiają się tam zamieszek robotniczych. Bezwstydna hołota bez rozumu i wychowania. I leniwa, señor! Leniwa!

— Tyś sam bezwstydnie głupi i leniwy — burknął doktor z właściwą sobie zdolnością drażnienia ludzi, która czyniła go tak powszechnie lubianym. — Nie gaś światła.

Basilio odszedł z godnością. Doktor Monygham, czekając w rzęsiście oświetlonej sali, usłyszał, jak zamknęły się drzwi na drugim końcu domu. Zamarł szczęk ostróg. *Señor administrador* pojechał w góry.

Szeleszcząc miarowo trenem sukni, migocąc od klejnotów i połyskując od jedwabiu, szła oświetlonym korytarzem „najznakomitsza dama z Sulaco", jak zwykł był wyrażać się o niej kapitan Mitchell. Szła, pochyliwszy swą subtelną głowę, jakby pod ciężarem jasnych włosów, w których gubiły się srebrne pasma, bogatsza ponad wszelkie marzenia, szanowana, kochana, czczona, uwielbiana i tak samotna, jak może jeszcze nikt nie był na ziemi.

Na głos doktora: „Pani Gould! Jedną chwilkę!..." zatrzymała się u drzwi oświetlonej i pustej sali. Podobieństwa nastroju i okoliczności, widok doktora, stojącego samotnie wśród porozstawianych mebli, przypomniały jej wrażliwej pamięci spotkanie z Martinem Decoud. Zdawało jej się, iż w ciszy doleciał ją głos tego człowieka, zmarłego tragicznie przed tylu laty, wymawiający słowa: „Antonia zapomniała tu wachlarza". Ale był to głos doktora, nieco zmieniony pod wpływem podniecenia. Zauważyła jego błyszczące oczy.

— Pani Gould, ktoś pani potrzebuje. Czy pani wie, co się stało? Pamięta pani, co mówiłem wczoraj o Nostromie? Otóż dzisiejszej nocy płynęła z Zapigi *lancha*, kryta łódź z czterema Murzynami. Gdy mijali Wielką Izabelę, jakiś kobiecy głos, jak się okazało, głos Lindy, wezwał ich z urwiska, żeby podpłynęli do plaży (noc była księżycowa) i zabrali do miasta rannego człowieka. *Patron*[276] łodzi (od którego dowiedziałem się o tym wszystkim) zrobił to od razu. Opowiadał, iż kiedy okrążyli urwisko i przybili do niższego brzegu Wielkiej Izabeli, Linda Viola już ich oczekiwała. Poszli za nią; zaprowadziła ich pod drzewo, rosnące niedaleko chaty. Zastali tam leżącego na ziemi Nostroma, z głową spoczywającą na kolanach młodszej dziewczyny, oraz starego Violę stojącego opodal, wspartego na strzelbie. Stosując się do wskazówek Lindy, wynieśli z domu stół i obłamali mu nogi, żeby posłużył za nosze. Są tutaj, pani Gould. To znaczy jest Nostromo i... i Gizela. Murzyni zanieśli go do portowego szpitala. Posłał po mnie służącego. Ale nie ze mną chciał się widzieć, lecz z panią, pani Gould. Z panią!

— Ze mną? — szepnęła pani Gould, wzdrygnąwszy się z lekka.

— Tak jest — wybuchnął doktor. — Błagał mnie, swego wroga, jak mu się zdaje, żebym panią zaraz do niego sprowadził. Jak się zdaje, ma coś do powiedzenia pani samej.

— Niemożliwe! — wyszeptała pani Gould.

— Powiedział do mnie: „Proszę jej przypomnieć, iż przyczyniłem się nieco do tego, że ma dach nad głową..." Pani Gould — mówił dalej doktor w największym podnieceniu. — Pamięta pani srebro? Srebro na lichtudze, które zatonęło?

Pani Gould pamiętała. Ale nie wspomniała, iż nienawidzi choćby wzmianki o tym srebrze. Będąc uosobieniem szczerości, przypomniała sobie z niepohamowaną zgrozą, iż po raz pierwszy i ostatni w życiu nie powiedziała swemu mężowi prawdy właśnie o tym srebrze. Zbłądziła wówczas pod wpływem obaw i nie mogła sobie tego przebaczyć. Co więcej, to srebro, które nie byłoby zatonęło, gdyby jej mąż wiedział o nowinach przyniesionych przez Decouda, omalże nie stało się pośrednią przyczyną śmierci doktora Monyghama. Wszystko to wydawało się jej nader okropne.

— Ale czy ono zatonęło? — zawołał doktor. — Zawsze wyczuwałem od tamtego czasu jakąś tajemnicę wokół naszego Nostroma. Myślę, że chciałby teraz, w obliczu śmierci...

— W obliczu śmierci? — powtórzyła pani Gould.

— Tak. Tak... Chciałby może powiedzieć pani coś o tym srebrze, które...

— Och, nie, nie! — odparła pani Gould cichym głosem. — Czyż już nie przepadło i nie poszło w niepamięć? Czyż i bez niego nie ma dość skarbów, żeby wszyscy na świecie byli nieszczęśliwi?

Doktor nie odzywał się, pogrążony w uległym, zawiedzionym milczeniu. W końcu napomknął bardzo cicho:

— Jest tam też ta córka Violi, Gizela. Coś trzeba by zrobić. Zdaje się, iż chociaż jej ojciec i siostra...

Pani Gould oświadczyła, iż poczuwa się do obowiązku zajęcia się tymi dziewczętami.

— Mam tu wolant[277] — rzekł doktor. — Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, to...

Czekał, nie posiadając się z niecierpliwości, aż pani Gould powróciła, zarzuciwszy na swą suknię szary płaszcz z obszernym kapturem.

W takim stroju, płaszczu na wieczorowej sukni i mnisim kapturze, stanęła ta pełna cierpliwości i współczucia kobieta przy łożu, na którym leżał nieruchomo na wznak wspaniały *capataz de cargadores*. Biel poduszek i prześcieradeł uwydatniała posępny zarys jego brązowej, energicznej twarzy oraz śniadych, nerwowych rąk, które do niedawna tak dobrze władały sterem, wędzidłem i karabinem, a teraz, otwarte i bezczynne, spoczywały na białej kołdrze.

— Ona jest niewinna — odezwał się *capataz* niskim, równym głosem, jak gdyby obawiał się, iż donośniejsze słowo może zerwać wątłą więź, która jego duszę łączyła z ciałem. — Ona jest niewinna. To tylko ja... Ale mniejsza o to. Za te rzeczy nie będę za życia odpowiadał przed nikim.

Urwał. Twarz pani Gould, bardzo biała w cieniu kaptura, pochylała się nad nim z wyrazem przemożnego, nieukojonego smutku. Przytłumione łkania Gizeli Viola, klęczącej

[276] *patron* (hiszp.) — szyper, dowódca mniejszego statku lub dużej łodzi. [przypis edytorski]

[277] *wolant* — lekki, odkryty powozik. [przypis edytorski]

u nóg łóżka, okrywającej złotymi włosami o połyskach miedzi stopy *capataza*, niemal nie mąciły ciszy pokoju.

— Ha! Stary Giorgio, stróż twojego honoru! Niebywałe, jak *vecchio* potrafił podejść mnie tak cicho i wziąć na cel tak pewnie. Ja sam nie potrafiłbym lepiej. Ale można było oszczędzić wydatku na ten ładunek prochu. Honor był bezpieczny... Señora, ona by poszła na kraj świata za złodziejem Nostromem... Wypowiedziałem to słowo. Zaklęcie już mnie nie pęta.

Głuchy szloch dziewczyny zmusił go do spuszczenia oczu.

— Nie widzę jej... Ale mniejsza o to — mówił dalej z odcieniem dawnej, wspaniałej beztroski w głosie. — Wystarczy jeden pocałunek, gdy nie ma czasu na więcej. To beztroska dusza, señora! Jasna i ciepła jak słońce, prędko się chmurzy i prędko wypogadza. Tamtych dwoje by ją między sobą zmiażdżyło. Señora, zwróć na nią swe współczujące wejrzenie, tak słynne w całym kraju, jak z męstwa i odwagi słynie człowiek, który do ciebie mówi. Ona się z czasem pocieszy. A Ramirez nie jest złym chłopakiem. Nie gniewam się na niego. Nie! To nie Ramirez pokonał *capataza cargadorów* z Sulaco. — Urwał, zdobył się na wysiłek i mocniejszym głosem, nieco nieprzytomnie oświadczył:

— Umieram oszukany, zdradzony przez...

Ale nie powiedział, przez kogo lub przez co umiera zdradzony.

— Ona by mnie nie zdradziła — zaczął znów, otwierając bardzo szeroko oczy. — Była wierna. Mieliśmy pojechać w daleki świat, już wkrótce. Dla niej mogłem oderwać się od tego przeklętego skarbu. Dla tego dziecka byłbym zostawił całe skrzynie, pełne. A Decoud wziął cztery. Cztery sztaby. Po co? *Picardia!*[278] Żeby mnie oszukać? Jak mogłem oddać skarb bez tych czterech sztab? Powiedzieliby, że je sprzeniewierzyłem. Doktor by to powiedział... Trzyma mnie to jeszcze!

Pani Gould pochyliła się nisko, zafascynowana, zlodowaciała z obawy.

— Co stało się z don Martinem owej nocy, Nostromo?

— Kto to wie? Zastanawiałem się tylko nad tym, co się stanie ze mną. Teraz wiem. Śmierć miała najść mnie niespodziewanie. Przepadł! Zdradził mnie. A pani myśli, że ja go zabiłem! Wszyscyście jednacy, wy, jaśnie państwo. To srebro mnie zabiło. Trzymało mnie. Trzyma mnie jeszcze. Nikt nie wie, gdzie ono jest. Ale pani jest żoną don Carlosa, który oddał mi je w ręce i powiedział: „Ratuj je, jakbyś ratował swe życie". A kiedy powróciłem i wszyscy byli przekonani, że zatonęło, cóż usłyszałem? Że to nic ważnego. Mniejsza o nie. Nuże, wierny Nostromo, wsiadaj na konia i goń, żeby nas ocalić, goń, jakby tu chodziło o twoje życie.

— Nostromo! — szepnęła pani Gould, pochylając się bardzo nisko. — Ja także nienawidziłam tego srebra z głębi duszy.

— To dziwne, żeby ktoś z was nienawidził bogactw, które tak zręcznie umiecie wydzierać z rąk biedaków. Świat opiera się na biedakach, jak powiada stary Giorgio. Pani zawsze była dobra dla biedaków. Ale na bogactwie ciąży jakaś klątwa. Señora, czy mam pani powiedzieć, gdzie jest ten skarb? Tylko pani... Lśniący! Nieskazitelny!

Bolesna, bezwiedna niechęć drgała w jego głosie, w jego oczach, żalących się kobiecie, która posiadała dar współczującej intuicji. Odwróciła spojrzenie od niegodnej uległości konającego człowieka, przerażona, nie chcąc już słyszeć o srebrze.

— Nie, *capatazie* — rzekła. — Nikt już o nie się nie upomina. Niech przepadnie na zawsze.

Usłyszawszy te słowa, Nostromo zamknął oczy, nie wymówiwszy ani słowa, nie drgnąwszy nawet. Za drzwiami pokoju, w którym leżał, doktor Monygham, podniecony do najwyższego stopnia, z oczyma pałającymi gorliwością, wyszedł na spotkanie obu kobiet.

— No, pani Gould — odezwał się niemal szorstko z nadmiaru niecierpliwości — proszę mi powiedzieć, czy miałem słuszność. W tym jest jakaś tajemnica. Dostała pani wyjaśnienie, prawda? Powiedział pani...

— Nic mi nie powiedział — odparła pani Gould stanowczo.

Błysk odruchowej niechęci do Nostroma zgasł w oczach doktora Monyghama. Odstąpił ulegle. Nie wierzył pani Gould. Ale jej słowo było prawem. Przyjął jej zaprzeczenie

[278] *picardia* (hiszp.) — przewrotność. [przypis edytorski]

jak nierozwikłany fatalizm, utwierdzający przewagę geniuszu Nostroma nad jego geniuszem. Nawet wobec tej kobiety, którą kochał z tajoną tkliwością, został pokonany przez wspaniałego *capataza de cargadores*, człowieka, który żył własnym życiem, rozbudziwszy w innych przeświadczenie o swej niezłomnej wierności, rzetelności i odwadze.

— Proszę zaraz posłać kogoś po mój powóz — odezwała się pani Gould spod kaptura. Po czym, zwracając się do Gizeli Viola, zawołała: — Chodź bliżej, dziecko, chodź bliżej! Poczekamy tu.

Gizela Viola, zrozpaczona i dziecinna, z twarzyczką przysłoniętą opadającymi włosami, przytuliła się do jej boku. Pani Gould wsunęła rękę pod ramię niegodnej córki starego Violi, nieskazitelnego republikanina, bohatera bez zmazy. Z wolna, stopniowo głowa dziewczyny, która byłaby poszła za złodziejem na skraj świata, jak więdnący kwiat opadła na ramię doñii Emilii, najznakomitszej damy z Sulaco, małżonki *señora administradora* kopalni San Tomé. Pani Gould, słuchając jej przytłumionego łkania, z rozstroju i podniecenia przeżyła po raz pierwszy i jedyny w swym życiu chwilę goryczy. Gorycz ta była godna samego doktora Monyghama.

— Uspokój się dziecko. Wkrótce zapomniałby o tobie dla swojego skarbu.

— Señora, on mnie kochał. On mnie kochał — szeptała Gizela rozpaczliwie. — Kochał mnie, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochano.

— Ja również byłam kochana — rzekła pani Gould surowym tonem.

Gizela uczepiła się jej kurczowo.

— Och, señora, ale pani będzie wielbiona do końca życia.

Pani Gould zachowywała nieprzerwane milczenie, aż zajechał powóz. Pomogła wsiąść na poły nieprzytomnej dziewczynie. Gdy doktor zamknął drzwiczki, wychyliła się jeszcze ku niemu.

— Czy nie może pan nic zrobić? — szepnęła.

— Nie, pani Gould. Nie pozwala się nawet dotknąć. Ale to nie ma znaczenia. Zdążyłem rzucić okiem... Nie ma rady.

Ale obiecał jeszcze tego samego wieczora zajrzeć do starego Violi i drugiej dziewczyny. Mógł zawezwać łódź policyjną, żeby go zawiozła na wyspę. Pozostał na ulicy, spoglądając za powozem, który potoczył się powoli za białymi mułami.

Wieść o jakimś wypadku, o wypadku kapitana Fidanzy, obiegła po nowych ulicach nadbrzeżnych, gdzie stały rzędy latarń i ciemne kształty spiętrzonych żurawi. Garstka nocnych włóczęgów, najnędzniejszej hołoty, wieszała się u drzwi portowego szpitala, szepcąc między sobą w księżycowej poświacie pustej ulicy.

Przy rannym nie było nikogo prócz bladego fotografa. Wątły, ułomny, krwiożerczy wróg kapitalistów siedział na wysokim stołku u wezgłowia, wspierając brodę na rękach. Sprowadził go pewien towarzysz, który pracował późną nocą w porcie i dowiedział się od Murzyna z załogi *lanchy*, że przywieziono kapitana Fidanzę, śmiertelnie rannego.

— Czy macie jakieś polecenia, towarzyszu? — pytał niespokojnie. — Nie zapominajcie, że do naszej działalności potrzeba pieniędzy. Bogaczy musimy zwalczać ich własną bronią.

Nostromo nie odpowiedział. Towarzysz nie nalegał. Siedział zakłopotany na stołku. Miał kudłatą, rozczochraną głowę, przypominał garbatą małpę. Dopiero po długim milczeniu zaczął znowu uroczyście:

— Towarzyszu Fidanza, odmówiliście pomocy lekarskiej od tego doktora. Czy on rzeczywiście jest niebezpiecznym wrogiem ludu?

Śmierć

W mrocznym pokoju Nostromo odwrócił powoli głowę na poduszce i otworzył oczy, zwracając zagadkowe, badawcze spojrzenie na dziwaczną postać, która usadowiła się obok jego łóżka. Po czym jego głowa potoczyła się w tył, powieki opadły i *capataz de cargadores* skonał bez słowa ani jęku, po godzinie bezruchu przerywanej krótkimi dreszczami świadczącymi o najokropniejszych cierpieniach.

Doktor Monygham, płynąc barką policyjną ku wyspom, widział przed sobą blask księżyca na toni zatoki oraz wyniosły, czarny kształt Wielkiej Izabeli pod baldachimem obłoków, od którego padał w dal snop światła.

— Wiosłujcie powoli — odezwał się, zaciekawiony, co tam zastanie. Starał się wyobrazić sobie Lindę i jej ojca i poczuł w sobie jakąś dziwną niechęć. — Wiosłujcie powoli — powtórzył.

*

Od chwili, kiedy wystrzelił do złodzieja swego honoru, Giorgio Viola nie ruszył się z miejsca. Stał, oparłszy swą starą strzelbę o ziemię, ściskając ręką lufę przy wylocie. Gdy *lancha*, która zabrała Nostroma, odbiła od brzegu, Linda podeszła i stanęła przed ojcem. Zdawał się nie być świadomy jej obecności, lecz kiedy postradawszy swój wymuszony spokój, zawołała:

— Czy wiecie, kogoście zabili?

Odpowiedział:

— Włóczęgę Ramireza.

Blada, zapatrzona nieprzytomnie w ojca, Linda zaśmiała mu się w twarz. Po chwili zawtórował słabo niskim głosem, jak dalekie echo jej śmiechu. Gdy przestała się śmiać, starzec przemówił jakby zdziwiony:

— Krzyknął głosem mojego syna Gian' Battisty.

Strzelba wypadła z jego otwartej dłoni, ale ramię pozostało na chwilę wyciągnięte, jakby wciąż jeszcze na czymś się wspierało. Linda gwałtownie chwyciła go pod ramię:

— Jesteście za starzy, żeby zrozumieć. Chodźcie do domu.

Pozwolił jej się poprowadzić. Na progu potknął się ciężko i omalże nie upadł na ziemię wraz z córką. Jego podniecenie i ruchliwość w ostatnich kilku dniach były jakby błyskiem dogasającej lampy. Uchwycił się poręczy krzesła:

— Krzyknął głosem mojego syna, Gian' Battisty — powtórzył surowym tonem. — Słyszałem go, tego nędznika Ramireza.

Linda pomogła mu usiąść na krześle i pochyliwszy się nisko, syknęła mu w ucho:

— Zabiliście Gian' Battistę.

Starzec uśmiechnął się pod gęstym wąsem. Kobiety miewają dziwne urojenia.

— A gdzie jest dziecko? — zapytał, zdziwiony przenikliwym chłodem powietrza i niezwykle przyćmionym światłem lampy, przy której miał zwyczaj siadywać do północy nad otwartą Biblią.

Linda zawahała się na chwilę, po czym odwróciła oczy.

— Śpi — rzekła. — Pomówimy o niej jutro.

Nie mogła się przezwyciężyć, by na niego spojrzeć. Przejmował ją grozą i niemal nieznośnym uczuciem litości. Zauważyła zmianę, która w nim zaszła. Nie był zdolny zrozumieć, co uczynił; nawet dla niej wszystko to było niepojęte.

Przemówił z trudnością:

— Daj mi książkę.

Linda położyła na stole zamkniętą księgę w podniszczonej, skórzanej oprawie. Była to Biblia, którą dostał przed laty od pewnego Anglika w Palermo.

— Trzeba było ochronić dziecko — powiedział dziwnym, posępnym głosem.

Za jego krzesłem Linda załamywała ręce, zanosząc się bezgłośnym łkaniem. Nagle pobiegła do drzwi. Usłyszał jej ruch.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Na latarnię — odrzekła i odwróciła się, by spojrzeć na niego smutno.

— Aha, na latarnię! *Si*, obowiązek.

Śmierć

Wyprostowany, białowłosy, podobny do starego lwa, bohaterski w swojej skupionym spokoju, sięgnął do kieszeni czerwonej koszuli po okulary, które mu dała doña Emilia. Po długiej chwili bezruchu otworzył księgę i spojrzał z wysoka, przez szkła, na drobny druk w dwu kolumnach. Zakrzepły, surowy wyraz przemknął po jego rysach, drgnęły nieznacznie brwi, jakby w odpowiedzi na jakąś mroczną myśl czy niemiłe wrażenie. Ale ani na chwilę nie odrywał oczu od księgi, choć pochylał się łagodnie, stopniowo, aż jego biała głowa spoczęła na otwartych kartach. Drewniany zegar tykał miarowo na pobielanej ścianie. Powoli stygł Garibaldino i leżał sam, krzepki, niezmożony, jak stary dąb powalony szarpnięciem wichru.

Światło Wielkiej Izabeli paliło się spokojnie nad przeklętym skarbem z kopalni San Tomé. W błękitnawej poświacie bezgwiezdnej nocy latarnia rzucała snop żółtych promieni aż po daleki widnokrąg. Podobna do czarnej plamki na lśniącym zwierciadle Linda, skulona na zewnętrznej galeryjce, opierała głowę o poręcz. Księżyc chylący się ku zachodniej stronie spoglądał na nią, promienny.

U podnóża urwiska ucichł miarowy plusk wioseł płynącej łodzi i doktor Monygham podźwignął się ze swego miejsca.

— Lindo! — krzyknął, zadzierając głowę. — Lindo!

Linda wyprostowała się. Poznała go po głosie.

— Nie żyje? — zawołała, pochylając się przez poręcz.

— Tak, moje biedne dziecko. Popłynę dookoła — odpowiedział doktor z dołu. — Płyńcie do plaży! — rozkazał wioślarzom.

Miłość, Rozpacz

Czarna postać Lindy odcinała się w świetle latarni. Ramiona miała wzniesione nad głową, jakby chciała rzucić się na dół.

— To ja cię kochałam — szeptała, z twarzą stężałą i marmurowo bladą w księżycowej poświacie. — Ja! Tylko ja! Ona zapomni o tobie, zapomni, że zginąłeś marnie dla jej ładnych oczu. Nie rozumiem. Nie rozumiem. Ale nigdy cię nie zapomnę. Nigdy!

Stała cicha i milcząca, zbierając siły, by całą swą wierność, swój ból, rozpacz i mękę zawrzeć w jednym wielkim okrzyku.

— Przenigdy, Gian' Battista!

Doktor Monygham, płynąc dookoła w policyjnej łodzi, usłyszał to imię, brzmiące nad jego głową. Był to jeszcze jeden triumf Nostroma, największy, najbardziej godny zazdrości, najstraszliwszy. W tym okrzyku niegasnącej namiętności, który zdawał się rozlegać od Punta Mala do Azuery i dalej, aż po świetlisty rąbek widnokręgu, nad którym zwieszał się wielki, biały obłok, lśniący jak bryła litego srebra, geniusz wspaniałego *capataza de cargadores* roztaczał władzę nad ciemną zatokę kryjącą jego zdobycze: skarb i miłość.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-nostromo

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Nostormo. Powieść z pobrzeża morskiego z przedmową autora, Dom Książki Polskiej SA, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5805-3

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.